

ZMIERZCH ORŁA

FRANK S. BECKER

ROZDZIAŁ 1

BURZOWE CHMURNY

(259 r. po Chr.)

*Nie brakuje nam czasu, tylko
nie potrafimy go wykorzystać.*

SENEKA

W powietrzu unosiły się jeszcze resztki kadzidlanego dymu, gdy siwowłosa mężczyzna wyciągnął żelazny klucz z portalu. Jak zawsze, gdy mrugając oczyma, wychodził z cienia kolumn, jego dłoń musnęła nos lwa z brązu po lewej stronie. Przed nim rozciągały się jasnoczerwone dachy, zaś ku wieczornemu, skąpanemu w blasku zachodzącego słońca niebu wędrowała smuga dymu. U dołu zwiężała się, górą zaś była szeroka, więc wydawało się, że nad miastem zawisł ogromny sztylet. Nieco dalej rysowały się blanki murów miejskich, a za nimi błyszcząca wstęga rzeki z dostojnie kołyszącymi się na niej masztami statków.

Mężczyzna wszedł już po schodach, gdy nad dziedzińcem przemknął cień. Wyciągnął więc szyję, przyłożył dłoń do ucha i spojrzął, jak skrzydlaty przybysz znika w przybudówce świątyni. Kiwając z zadowoleniem głową, otworzył drzwi, wszedł do columbarium i wyjął stamtąd szarego ptaka. Poczł bicie serca gołębia pocztowego, który dziobnął go kilka razy w palec. Ostrożnie odwiązał z jego nogi skórzany woreczek, po czym wpuścił go z powrotem do klatki i sypanął mu garść ziarna. Gdy wyszedł na plac, pod jego stopami zaszeleściły liście zwarzone jesiennym chłodem.

Wracając do domu, sługa świątynny uśmiechał się. Już od kilku dni jego pan pytał go o gołębia pocztowego. Najwidoczniej oczekiwał ważnych wiadomości. Być może nawet wciśnie mu do ręki jakąś monetę. Niewiele brakowało, aby się spełniło marzenie starego niewolnika. Jeszcze tylko kilka miesięcy. Wtedy wreszcie uezbiera tysiąc denarów i wykupi się na upragnioną wolność.

Nie mógł wiedzieć, że trzy dni później będzie już martwy.

Na górnym piętrze miejskiej willi ostatnie promienie światła padały przez szybki małego okna na stół założony zwojami papirusów. Ale siedzący na krześle mężczyzna wpatrywał się tylko w pograżającą się w ciemności czerwień ściany. Jego palce bębniły po drewnianym blacie. Jeszcze tylko przez dwa tygodnie jego żona będzie przebywać w posiadłości pod Augusta Treverorum. Każdy dzień bezsensownego czekania mógłby spędzić z niewolnicą o czarnych kręconych włosach, wystawioną na sprzedaż w Bica-strum. Jego przyjaciel Caius Cassius Doryphoros, lekarz w tamtejszym kasztelu, wspomniął mu o niej podczas jednej z wizyt: jej czerwone, lekko otwarte usta, pełne piersi i lekko kołyszący chód. Skrycie wcisnął Grekowi mieszek złota, a do tego gołębia ze świątyni. Nikt nie mógł się o tym dowiedzieć, gdyż ptaki pocztowe przeznaczone były jedynie do przenoszenia oficjalnych raportów. Ale Doryphoros, lubujący się raczej w chłopięcych wdziękach, okazał się godny zaufania. Teraz więc radcę rozpałała ciekawość, kiedy wreszcie zakosztuje wdzięków ciemnoskórej Wenus. Czekala już nawet przygotowana izba w gospodarstwie jednego z dzierżawców. Nikt z Lopodunum nie mógł się o tym dowiedzieć, a już na pewno nie jego żona Druzylla. Wszystko zostało szczegółowo zaplanowane.

Przeciagnał ręką po rzadkich włosach, gdy pukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia.

- Modestusie? Wejź!

Do środka wszedł muskularnie zbudowany niewolnik o dobrotliwym obliczu. Z uśmiechem podał swojemu panu woreczek, który ten wziął, otworzył i wyjął z niego mały zwój. Prawie zapomniał o obecności przybysza.

- Dziękuję. Zobaczymy się później.

Mężczyzna o ciężko zwisających powiekach rozwinął papirusowy zwitek. Jego spojrzenie padło na szereg drobnych wierszy: tajne pismo Doryphorosa. Wiadomość po łacinie zapisana alfabetem greckim. Oblizwał wargi, podczas gdy jego palec przesuwiał się wzdłuż linijek. Ale to, co przeczytał półgłosem, w żadnej mierze nie odpowiadało jego oczekiwaniom:

„Salve, nieszczęśliwie zakochany Juliuszu!

Niestety, nie mogę dać ci żadnej nadziei na uleczenie twojej żądz, a zamiast tego muszę przesłać ostrzeżenie. Barbarzyńcy przekroczyli limes i puścili z dymem obozowisko. Tylko niewielu udało się ująć z życiem do kasztelu. Nie ma pośród nich niewolnicy o ciemnych lokach, której wdzięków tak bardzo pożądasz.

Oblegają nas germańskie hordy. W dzień zbijają drabiny, a w nocy rozlegają się uderzenia ich siekier i młotów. Nocą słyszymy odgłosy ich kroków przed naszymi murami. Straciliśmy nadzieję na ratunek. Większość wypróbowanych w walce żołnierzy wyruszyła wcześniej do Persji z cesarzem Walerianem, resztę wycofał jego syn Galien, aby stłumić powstanie w Panonii. Błagam Marsa, żeby nasi wrogowie nie dowiedzieli się, że załoga kasztelu składa się jedynie z oddziałów pomocniczych. Wysłaliśmy gońca z prośbą o odsiecz.

Oby Mars i Fortuna mieli nas w swej opiece!

Twój przyjaciel Caius Cassius Doryphoros".

Juliusz podszedł do stołu, opadł na krzesło, upuścił trzymany w ręku zwitek papirusu i wsparł głowę na dłoniach. Co teraz? Zwołać radę miejską - tylko jaki podać powód? Nie może przecież pokazać publicznie tego listu, nie narażając się na utratę dobrego imienia, godności i stanowiska. Wtajemniczyć w sprawę Avitu-sa, cesarskiego prefekta przebywającego w mieście? Już widział uśmiezek tego intryganta, w którego ręce musiałby złożyć swój los. Nie, list powinien zniknąć bez śladu!

Ale bez dowodów nikt mu nie uwierzy, a przy tym nie był pewien, czy za całą sprawą nie kryło się coś więcej niż tylko jedna ze zwykłych napaści. Tylko co będzie, jeśli zachowa swą wiedzę dla siebie, a hordy napadną na miasto?

Długo jeszcze siedział, wciąż na nowo czytając wiadomość i porządkując myśli. Pozostawała mu tylko nadzieja. Bicastrum leżało w odległości około 50 leug, a więc dobre trzy dni marszu. Co barbarzyńskie hordy robiły po zwycięstwie? Płądowały, piły i gwałciły. A na to trzeba było czasu. Być może już wkrótce w bramach pojawią się pierwsi uciekinierzy i ostrzegą mieszkańców.

Ale czy on jako duunwir, jeden z dwóch wybranych przez radę miasta burmistrzów, może na to czekać? Przed półwieczem, wznosząc mury miejskie, chciano raczej wyrzucić wrażenie na przybyszach, niż odstraszyć napastników. Blanki zwieńczyły kute mistrynie kamienne bloki, ale brakowało wież. Poza tym fortyfikacje były długie. Zbyt długie, aby bronić ich siłami obywateli, którym cesarskie reskrypty zabraniały obcowania z bronią. Nikt też nie wiedział, ile czasu potrzebował gołąb ani też czy inne oddziały nie ruszyły bezpośrednio w kierunku ich osady. Juliusz kolejny raz przebiegł oczyma po linijskich tekstu. Bogowie przekazali mu wiadomość. Musiała być jakaś możliwość ostrzeżenia miasta, bez narażania się przy tym samemu na niebezpieczeństwo. Ze zmarszczonym czołem zaczął nerwowymi krokami spacerować po gabinecie. Wreszcie stanął na chwilę. Na jego wargach pojawił się uśmiech, który stawał się coraz szerszy, aż wreszcie rozjaśnił całą twarz. Podszedł do drzwi i przywołał służbę.

Z niewolnicy musiał zrezygnować, ale nie z dobrego napitku. Co za luksus móc się nim delektować, bez konieczności wysłuchiwania zwykłych upomnień żony. Rozwiązanie się znalazło, zasłużył sobie na wino! Po trzecim kubku przytrzymał papirus w płomieniu oliwnej lampki.

Następnego dnia burmistrz wyklinał pod nosem - jak zawsze, gdy przy oficjalnych okazjach należało założyć togę. Już sinus [kieszonka - przyp. tłum.] był wystarczająco nieporęczny, ten pas tkani-ny zwieszający się z prawego ramienia przez zewnętrzną krawędź prawej ręki ku kolanom. Ale jeszcze bardziej złościło go contabulatio [pofałdowana przepaska - przyp. tłum.]. Ten kto wymyślił to bezsensowne okrycie dla torsu, powinien na wieki pozostać w najciemniejszym zakątku Hadesu! Humor poprawił mu się dopiero wtedy, gdy niesiony w kołyszącej się lektyce do małego pałacu obok term dojrzał obecnego prefekta.

Avitus w towarzystwie kilku żołnierzy przystanął przed przysadzistą fasadą, właśnie przyprawdzono im konie. Był to stosunkowo niski człowiek, liczący około trzydziestu lat, o ciemnych, gęstych włosach. Ponieważ nosił nienagannie czystą tunikę, można by go uznać za przystojnego, gdyby nie zarysowujący się podwójny podbródek i rozbiegany wzrok.

Burmistrz wysiadł i przyjął godną postawę.

- Witaj, prefekcie. Mam ważną sprawę.

Avitus spojrzał niechętnie na przybysza o starannie ułożonych przeredzonych włosach. Pewnie znowu jakieś administracyjne bzdury. Szczególnie niepożądane w chwili, gdy dochodzące z Kolonii wieści wymagały szybkiego działania.

- Salve. Co nowego w radzie miejskiej?

Zagadnięty pokręcił głową.

- Nie przychodzę jako radca miejski, tylko w kwestiach religijnych.

Avitus spojrzał w niebo, na którym słońce przedzierało się właśnie przez zasłone chmur.

- Co za problemy mogą mieć bogowie?

Juliusz zmarszczył czoło.

- Dzisiaj w nocy miałem zły sen. Obudziłem się z krzykiem i...
- Znam to. Szczególnie po zbyt obfitym posiłku. To może za-
czekać.

Avitus podszedł do swojego wierzchowca, gdy dotarł do niego
głos radcy.

- Nie, nie może. Jak wiecie, jestem także kapłanem w świątyni
Fortuny.

Avitus przytaknął. Jeszcze jeden urząd sprawowany przez tego
pyszałka.

- I co, czyżby dach się zawalił?

- Nie, ale zobaczyłem we śnie Fortunę. - Juliusz ściszył głos:
- Miastu zagraża nieszczęście. Musimy złożyć ofiarę, na podstawie
wnętrznosci będziemy wiedzieli, co mamy robić.

Avitus podszedł do burmistrza.

- Mój drogi Juliuszu - zaczął, pociągając nosem - czyżbyście
znowu zaglądali do kieliszka? Szczerze mówiąc, w głowie mi się
kręci, gdy czuję wasz oddech. Boskie przesłanie pochodziło chyba
od Bachusa!

Śmiejąc się, uderzył dłonią w udo, a jego orszak poszedł w ślad
za nim, nie znając przyczyny tej naglej wesołości. Pochylił się jesz-
cze nieco ku swojemu rozmówcy.

- A wiecie, jaka wieść dotarła dziś rano do mnie? Legiony nad-
reńskie obwołały cesarzem generała Postumusa! Są wzburzone,
gdyż Saloninus chce położyć rękę na ich łupach zdobytych na Ger-
manach - Avitus kpiąco spojrział na Juliusza. - Postumus maszeru-
je na Kolonię. A to oznacza kres tego nadętego synka Galienusa,
któremu zachciało się być współregentem.

Słyszając to, tęgawy mężczyzna zamarł. Podczas gdy barbarzyńcy
zalali pogranicze, kolejny uzurpator sięgnął po purpurę. Zdawało
się, jakby los przestał sprzyja Rzymowi.

Avitus poklepał go po ramieniu.

- Rozumiecie chyba, że musimy się zatroszczyć o porządek, drogi kapłanie. Nowy cesarz potrzebuje wiernych poddanych, a nie histerycznych uniesień religijnych i tym podobnych nonsensów. Nie mamy czasu na ofiary.

Juliusz szybko się otrząsnął.

- Właśnie w takich czasach, prefekcie, należy poważnie traktować wskazówki bogów. Skąd możecie wiedzieć, że obejrzenie wnętrzości nie zdradzi nam czegoś, co byłoby ważne dla nowego cesarza? - jego podniesiony głos rozbrzmiał na ulicy. - W moim domu wszyscy już wiedzą o tym śnie i wkrótce będzie o nim mówiło całe miasto. Jeśli tak zarządzicie, zrezygnujemy z ofiary. Ale na waszą odpowiedzialność!

Avitus przeciągnął ręką po ciemnej gęstej brodzie, krótko przystrzyżonej zgodnie z nową modą cesarską, i zacisnął wargi. Aby dać mu szansę, Juliusz mruknął:

- Pod jednym warunkiem możemy przesunąć złożenie ofiary na jutro...

- Pod jakim? - prefekt przekrzywił głowę.

- Jako pobożny człowiek przywiązujecie wagę do tego, aby osobiście ufundować odpowiednie zwierzę, które przedtem sami wybieriecie.

Avitus zaniemówił na chwilę, a potem na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

- Na Jupitera, to znakomity pomysł! Założę się, że przy następnym gospodarstwie drogę przebiegnie nam odpowiednio okazała sztuka. - Ściszył nieco głos: - Taaak, mogę sobie nawet wyobrazić, że ze względu na zbożny cel oraz moich legionistów jej właściciel - prefekt spojrzął ku zbrojnym - zrezygnuje nawet z zapłaty!

Śmiejąc się z własnych słów, zajął miejsce w siodle.

- Do jutra. O czwartej godzinie zacznie się grzebanie we flakach!

Avitus spał konia ostrogami i oddział ruszył w drogę.

Juliusz z ulgą opadł na łożo w swej lektyce, każąc się zanieść do świątyni Fortuny. Ukląkł przed posągiem stojącym w ciemnej ceili i poprosił boginię o wyrozumiałość. Bo czyż nie działał dla dobra miasta? I czy nie umocni to jej autorytetu pośród coraz bardziej obojętniejącej ludności? To na pewno usprawiedliwiało jego drobne oszustwo.

Zanim tragarze ponieśli go do domu, polecił Modestusowi, aby uprzętnął świątynię, przystroił ją i przygotował wszystko do złożenia ofiary. Potem nakazał obwoływaczom rozgłosić wieść o ceremonii w mieście.

Następnego poranka powietrze było ciężkie, więc jaskółki śmigały nisko nad ziemią. Juliusz oddał się w ręce cyrulika, który go ogolił, podciął mu włosy i namaścił je. Ze zdenerwowania zaplątał się w fałdy togi, prawie zapomniał o okrągłym kapeluszu kapłańskim, w końcu ponaglił tragarzy do pośpiechu. Przy świątyni zebrali się już ciekawscy, a także kilku liczących na kawałek mięsa ze zwierzęcia ofiarnego.

Wszystko zostało przygotowane, tylko pogoda zdawała się nie sprzyjać. Słońce stało już wysoko na niebie, ale od zachodu nadciągały ciemne chmury. Podmuchy wiatru wzniewały tumany kurzu i przemiały po dziedzińcu suche liście.

Gdy zegar słoneczny wskazał godzinę czwartą, zebrali się dygnitarze miejscy oraz znaczna liczba mieszkańców. Przy dźwiękach fletu ludzie Avitusa przyprowadzili owcę przystrojoną kolorowymi wstążkami. Podczas gdy sługa świątynny podsycał ogień, Juliusz wystąpił przed zebranych. Zanim podniosłym głosem odmówił modlitwę, aby uniknąć popełnienia jakichkolwiek błędów, obmył sobie ręce. Następnie zwierzę skropiono winem i uwolniono z ozdób. Modestus pochwycił topór rzeźnicki i obuchem uderzył w łeb owcę, która osunęła się na ziemię. Dwaj pozostali słudzy podnieśli ją na ołtarz, a młodszy z nich poderznął jej gardło. Gdy

porośnięty wełną korpus drgał w agonii, Modestus długim cięciem rozpruł owczy brzuch.

Juliusz pochylił się, aby zajrzeć w krwawe wnętrzności, gdy nastąpiło coś nieoczekiwane.

Niebo przecięły zygzaki błyskawic, a zaraz potem rozległ się ogłuszający grzmot. Oczy wszystkich powędrowały ku górze, kilka kobiet krzyknęło. W tej samej chwili pod ołtarz przedarł się mężczyzna o rzadkich zmierzwionych włosach. Uderzeniem w pierś odepchnął kapłana, a następnie zawołał do tłumu: - Precz z zabobonami. Koniec jest już blisko!

Szerokim gestem pochwycił gołymi rękoma wnętrzności i rzucił je na ziemię. Dwaj żołnierze, którzy chcieli go obezwładnić, zamarli zmrozeni jego spojrzeniem.

- Nawróćcie się do prawdziwego Boga! Czyńcie pokutę, dopóki jeszcze na to czas!

- Brać go! - głos Avitusa otrzeźwił wszystkich i jego legionieści powalili nieznajomego, który nie stawiał oporu.

Wiatr przybrał na sile i z nieba zaczął padać grad wielkości gołębih jaj.

- Przerwać składanie ofiary! - głos prefekta z trudem przebijal się przez panujący tumult. - Zakujcie bluźniercę w dyby, a po południu dostarczcie go na salę sądową!

Avitus oddalił się ze swoim orszakiem, natomiast Juliusz z tagarzami schronili się przed nawałnicą w przedśionku świątyni. Grad przemienił się w gwałtowną ulewę zasnuwającą powietrze i prawie niepozwalającą rozpoznać pobliskich domostw.

Juliusz drżał na całym ciele, spoglądając w osłupieniu na ich kontury rozjaśniane blaskami błyskawic. Jego wysiłki zmierzające do ostrzeżenia miasta spaliły na panewce.

Odwrócił się, przyglądając się okuciom z brązu zdobitym drewniany portal świątyni. W półmroku połyskiwały obręcze

w lwich pyskach, samice leopardów o rybich ogonach podawały swoje wypolerowane grzbiety jako uchwyty. Nad nimi na wchodzących spoglądały kobiece głowy. Nawet w Rzymie nie było czegoś równie wspaniałego.

Jego ręka dotknęła chłodnej lwiej paszczy. Zrobił tak jeszcze jako chłopiec, w czasie pierwszego pobytu w Lopodunum. Już wtedy nie mógł się wyzwolić od ich swoistego uroku, spędzając całe dnie w Tabernae Rhenanae, wciąż lepiąc lwy z czerwonej gliny. Aż wreszcie ojciec nakazał mu wrócić do koła garncarskiego.

Te brązy nie mogły się dostać w ręce rabusiów, żeby potem stopione służyć miały jakimś germańskim plemionom za garnki. Już sama myśl o tym napępiała go wściekłością i rozpaczą.

Gdy deszcz ustał, wsiadł do lektyki i mokrymi ulicami ruszył do domu.

Po południu udał się na forum. Szeroki, otoczony kramami plac wypełniał zwykły gwar. Tutaj biło serce miasta, tu stały posągi domu cesarskiego i zasłużonych obywateli. Był dzień targowy, więc całą powierzchnię zajmowały stragany. Pokrzykiwania handlarzy słyszało się nawet w lektyce.

- Piękne spinki z brązu, wykonane w Lopodunum! Jedyna okazja, panie!

- Gładkie igły, z najlepszej kości! Tylko dzisiaj!

- Purpurowe naczynia z Tabernae, poszukiwane od Aquincum do Vindolanda!

- Galijskie płaszcze z kapturami na nadchodzącą zimą!

Przed budynkiem zarządu miasta, gdzie zwykle przesiadywali najemni pisarze, tłoczyła się ruchliwa ludzka masa. Tragarze niosący lektykę musieli zagrozić utrzymanymi w ręku kijami, aby utworować sobie drogę. Właściwie taka rozprawa powinna się od-

być w wielkiej bazylice, ale nie ukończono jej budowy. Od całych dziesiątków lat po wschodniej stronie forum wznosiły się potężne załomy ścian, lecz przez otwory okienne prześwitywało niebo. Pośród miejscowych bogaczy nie znalazł się nikt, kto zainwestowałby pieniądze i czas w dalszą budowę, a wszystkie petycje do Rzymu pozostawały bez echa. Po południowe słońce przebijało przez chmury, a jego ciepłe promienie rozgrzewały czerwony piaskowiec. Juliusz minął strzegących wejścia strażników i przystanął, czekając, aż wzrok przywyknie mu do panującego tam półmroku. Siedzący na podwyższeniu Avitus pozdrowił go z widocznym zniecierpliwieniem. W rękę trzymał zwój papirusu, z pewnością protokół z wstępnego przesłuchania fanatyka. Właśnie wprowadzano go do sali, gdzie stanął pomiędzy dwoma żołnierzami. Na dany przez prefekta znak strażnicy trzykrotnie uderzyli drzewcami włóczni o kamienne płyty podłogi, a rozlegający się dźwięk w jednej chwili uciszył wszystkie rozmowy. Burmistrz, wiedząc, że Avitus chętnie reżyseruje publiczne wystąpienia na podobieństwo zabawy w kotka i myszkę, czekał w napięciu na ciekawy spektakl.

Prefekt pochylił się do przodu i zmierzył oskarżonego wzrokiem.

- No, mój drogi, jak się teraz czujemy, atak minął?

- Nigdy nie czułem się lepiej - odparł na to chudy więzień beznamiętnym głosem.

Avitus pokręcił głową, mrużąc pod nosem:

- To może się zmienić... - po czym przez chwilę studiował leżący przed nim protokół. - Jesteś obywatelem rzymskim, więc masz prawo do procesu. Tylko dłaczego na imię ci Johanan? Tak nie nazywa się żaden porządny Rzymianin.

- Ja także miałem wcześniej pogańskie imię. Miano jednego z naszych proroków noszę, odkąd zostałem oświecony przez Pana.

Avitus zlustrował go zdziwionym spojrzeniem i zmarszczył brwi.

- Czyżby to znaczyło, że wcześniej byłeś pod wpływem jeszcze większego obłędu? Pomóżcie mi, żebym zrozumiał, jak to możliwe!

Teatralnym gestem rozłożył ręce, zwracając się do obecnych, a ci odpowiedzieli uprzejmymi uśmiechami. Potem podrapał się po głowie i ponownie zerknął do papirusu.

- Tu jest napisane, że przyznajesz się do przynależności do chrześcijan. To ci sami sekciarze, którzy przy okazji ostatnich zarządzeń cesarza Waleriana odmówili składania ofiar naszym bogom i władcy, nieprawdaż? Ich zdaniem jest tylko jeden Bóg, a mianowicie, kto by pomyślał... - z uniesionym w górę palcem Avitus rozejrzał się po sali - ...właśnie ich! Jednocześnie ich kapłani bredzą jeszcze o jakimś Synu, który sprzymierzył się z Duchem Świętym. Powiedz mi lepiej od razu, na ilu kompanów trzeba być przygotowanym w waszym panteonie, he? Co więcej, to nie Duch Święty wstąpił do nieba, tylko Syn, i to pewnie pofrunął tam jak ptaszek!

Avitus wstał z miejsca i zamachał zgiętymi rękoma, naśladując niezdarne ruchy usiłującej latać kury. Tym razem komizm sytuacji spowodował wybuch gromkiego śmiechu. Prefekt rozejrzał się z zadowoleniem, a z jego twarzy zniknął wyraz uprzejmości.

- A może wy, chrześcijanie, nie jesteście tacy głupi, jak to próbujecie wmówić rzymskiej władzy? Czy przypadkiem namówieni przez Persów, bo przecież ze Wschodu pochodzicie, nie zamierza cie zniszczyć naszego państwa swoją dziwną nauką? Odpowiadaj!

Oskarżony wzruszył ramionami, a po chwili odparł:

- Wyjaśnienie niedowiarkowi tajemnicy Trójcy Świętej przewyższa umiejętności prostego wiernego. Ale skoro naprawdę pragniecie dowiedzieć się czegoś więcej o naszej wierze, to z Augusta Treverorum można sprowadzić episcopusa.

- Kogo? - Avitus uniósł się nieco, gapiąc się na więźnia z otwartymi ustami. - Czy myślisz, że nie mam nic innego do roboty, jak

siedzieć tu i czekać, aż w mieście zbierze się więcej bluźnierców? Nie, musisz sam odpowiedzieć - kolejne spojrzenie na zwój. - Co to za dziwny rytuał, przy którym wchodzić do basenu?

- Chrześcijaństwo służy oczyszczeniu z grzechu, z jakim się rodzimy, i jest włączeniem do wspólnoty wierzących.

Prefekt pokręcił głową z niedowierzaniem, a jego spojrzenie powędrowało ku zebrany.

- Czyżby to miało znaczyć, że to nowo narodzone dzieci są grzeszne, a nie takie wyrosnięte łobuzy jak ten? A ja, który w przeciwieństwie do niego codziennie uczęszczam do term, jestem nie czysty? Macie to w protokole?

Pisarze potwierdzili, a twarz Avitusa przybrała wyraz ojcowskiej dobroci.

- Tak szczerze, wy, chrześcijanie, grzeszycie przecież po tym waszym chrzcie, nieprawdaż?

Johanana przytaknął.

- Pan Bóg dopuszcza na nas pokusy i nie zawsze potrafimy się im oprzeć. Wtedy czynimy pokutę i pobożnym życiem odzyskujemy znowu Bożą łaskę.

Avitus uśmiechnął się krzywo i postukał po czole.

- No więc jeśli kiedyś miałby spaść na mnie ten obłąd, to dam się ochrzcić pod koniec życia, a wtedy oszczędzę sobie bezsensownej pokuty. Ale interesuje mnie bardzo, jak tak żaloszny nędzarz doświadczył Bożej łaski.

Oskarżony spojrział na otaczające go twarze przyglądające mu się w napięciu.

- Przed dziesięcioma laty mieszkałem w Augusta Raurica. Wtedy to zły duch opanował cesarza Trajana Decjusza i władca zażądał od wszystkich, aby oddali mu cześć jako bogu.

- Masz na myśli supplicatio, powszechną ofiarę, jaką imperator zarządził dla dobra cesarstwa? - przerwał mu prefekt.

- Tak nazwali to poganie - przytaknął Johan. - Wielu członków naszej wspólnoty uległo, złożyli ofiarę w świątyni przed posagami, zostali zarejestrowani i otrzymali libellum, poświadczenie.

- No widzisz, jednak można - wtrącił się dobrotliwie Avitus.

- Nie! Ja odmówiłem i byłem gotowy ponieść męczeńską śmierć. Skazano mnie na pożarcie przez dzikie zwierzęta.

Johan spojrzął prefektowi prosto w oczy, aż ten spuścił wzrok.

- Ale w noc poprzedzającą egzekucję Bóg wstrząsnął ziemią, mury pękły i odzyskałem wolność. Być może Pan nie powołał mnie jeszcze do wiecznego szczęścia.

Avitus spojrzął z pogardą na aresztanta.

- Doszliśmy wreszcie do sedna sprawy. Wydaje mi się, że mogę pójść ci na rękę i skrócić to oczekiwanie. Tak zatwardziały fanatyk jak ty zasłużył na śmierć. W jaki sposób chcesz zakończyć życie? - prefekt zatarł ręce. - Co powiesz na sprawne ukrzyżowanie? Po wiedziano mi, że wy, chrześcijanie, palicie się wręcz do niego. Ale wierz mi, to wcale nie jest tak wzniosłe przeżycie, jak by się mogło wydawać. Za cesarza Trajana Decjusza miałem okazję przyglądać się fachowo przeprowadzanej egzekucji, ale trzeciego dnia nawet mnie zrobiło się żal skazańca. Gdyby mu nie połamano gołeni, żeby przyspieszyć całą sprawę...

Avitus pokiwał głową, a potem rozpromienił się.

- Ach, zupełnie zapomniałem, przecież ty lubisz zwierzęta! Możliwymy coś zrobić, bo już od dawna nie mieliśmy w teatrze żadnego widowiska, które zabiłoby mnie i moich przyjaciół. Polecę, żeby sprawdzono, czy mamy jeszcze jakieś bestie. Możemy też zapytać w Mogontiacum, czy nie podarowałiby nam czegoś egzotycznego, na przykład pantery...

Ostatnie zdanie wypowiedział już prawie do siebie, pogrążony w myślach o czekającym go spektaklu, gdy głos Johana odbił się echem po sali.

- Skoro Bóg powołuje mnie do męczeństwa, to niech się stanie Jego wola. Wybaczam wam, prefekcie!

Z opadłą z osłupienia szczęką Avitus gapił się na podsądnego, a potem wrzasnął:

-Jeśli jest tu ktoś, kogo wola się dzieje, to jestem to ja! I jeśli kto miałby wybaczyć, to też ja, reprezentant cesarza! - głos prefekta łamał się od krzyku. - Ale nie wybaczam! Odprowadzić go! Dajcie mi spokój na dzisiaj z tymi szumowinami!

Sala powoli opróżniła się, umilkły ostatnie głosy i odgłosy kroków na kamiennej posadzce. Juliusz podszedł do drzwi. Czy Fortuna pałała gniewem za zainscenizowane oszustwo? Czy z tego powodu nie przyjęła ofiary? Czy może silniejszy był nieznany Bóg, za którego ten dziwny Johanana oddawał swoje życie? Zatopiony w myślach powędrował do świątyni bogini. Oby tylko nawałnica nie uszkodziła dachu. Już od lat prosił się o naprawę, ale skąd wziąć na to pieniądze?

Nagle posłyszał głośnie rozmowy i zza rogu wyłoniło się czterech żołnierzy. Prowadzili zakutego w łańcuchy Johanana. Przy każdej okazji szturchali go lub wymierzali mu kopniaka, więc bardziej się zataczał, niż szedł.

- Avitus zarządził *dammatio ad bestias* - zawołał ich dowódca. - Prowadzimy go do teatru i tam przykujemy do pala.

Radca ruszył z nimi, gdyż część drogi mieli wspólną. Przed drzwiami jednego z szynków wyszedł gospodarz, wierny wyznawca Jupitera. Gestem zaprosił legionistów do środka, aby postawić im kolejkę taniego wina. Juliusz zająrzył do wnętrza, lecz poczuł intensywny kwaśny zapach i już chciał odejść, gdy szczupły żołnierz pochwyił więźnia i pociągnął go za sobą do stojącej na podwórku kolumny. Składała się ona z kwadratowego cokołu z płaskorzeźba-

mi Merkurego, Herkulesa, Minerwy i Junony. Na nim wznosił się okrągły trzon zwieńczony posągami ciskającego piorunami Jupitera siedzącego na koniu. Szylnik był z niej bardzo dumny i gdy została zniszczona, wznosił ją na nowo na własny koszt.

- A teraz na kolana! - rozkazał legionista.

Gdy więzień nadal stał nieruchomo, drugi kopnął go z tyłu pod kolana, co sprawiło, że osunął się milcząco. Obu zbrojnych pochwyciło go, przyciskając mu twarz do cokołu.

- Ucałował Merkurego. Wszyscy widzieliśmy! - zawołał jeden z nich, ale Johanan zebrał ślinę w ustach i splunął na kolumnę.

Żołnierz uderzył go w twarz i już zamachiwał się powtórnie, gdy dowódca szarpnął go za ramię.

- Dość, nie chcę tu żadnych awantur. Odprowadzimy go do teatru, tam dostanie tuzin kijów. I to od ciebie! - spojrzał na chudego. - Za to wolno ci go pilnować aż do egzekucji, dzień i noc! - dodał kpiącym tonem.

Legionista potarł sobie podbródek, pokręcił głową i ruszył dalej wraz ze swoimi kompanami.

Juliusz wyszedł z knajpy i po chwili znalazł się przy świątyni. Na ziemi leżała rozbita dachówka, to wszystko. Położył dłoń na kole w pysku jednego z lwów. Nieznany artysta musiał mieć za model żywe zwierzęta, gdyż trafnie oddał ich drapieżną dzikość.

Przez chwilę się zastanawiał. Nie zjawili się uciekinierzy ani nie doszła wiadomość o odpartym ataku. Tylko że okucia z brązu stanowiły najcenniejsze mienie - i to nie tylko świątyni, lecz całego miasta! Należało je umieścić w bezpiecznym miejscu, ale nie zwracając niczyjej uwagi! Jutro każe zawiesić płachtami fronton świątyni. Znał zaufanych rzemieślników, którzy za kilka denarów zdemontują okucia, nie zadając pytań. Wiedział też, gdzie je ukryje, aż niebezpieczeństwo minie.

Burmistrz usiadł na najwyższym stopniu schodów i zaczął się zastanawiać nad drugim, znacznie trudniejszym problemem. Jak mógłby potajemnie zapewnić bezpieczeństwo sobie i członkom swojego stanu? Siedział, wspierając brodę na dłoniach, aż jego spojrzenie padło na jeden z masztów statku, wznoszący się w górę niczym ostrzegający palec. Skinął z zadowoleniem głową, podniósł się i odwiedziwszy po drodze kilku robotników, udał się do portu. Tej nocy spał spokojnie. O tym, że to ostatnia taka noc i że przez długi czas nie zazna spokojnego snu, nie mógł jeszcze wiedzieć. Gdy następnego dnia odesłał lektykę, tragarze spoglądali nań pytającym wzrokiem, lecz on w towarzystwie Modestusa, który przyprowadził dwa muły, ruszył do świątyni, gdzie czekali już rzemieślnicy. Tam napomknął coś o koniecznej renowacji, polecił zawiesić płachtami przedziały pomiędzy przednimi kolumnami i sięgnął po tabliczkę woskową zawieszoną przy pasie. Szybko sporządził listę brązów, gdy tymczasem robotnicy zabrali się do wyciągania gwoździ wbitych przed wiekiem w drewniane drzwi.

Gdy się przekonał, czy aby wystarczająco ostrożnie to robią, poszedł wraz z Modestusem do pobliskiego forum południowego. Leżało ono przy cardo, głównej ulicy przecinającej Lopodunum na osi północ - południe. Miało wspierać kolumnadę i wybrukowany dziedziniec. Przede wszystkim jednak mieściły się w nim obszerne piwnice, do których radca miał klucz.

Oboje zeszli do zatęchłych podziemi, rozejrzeli się w pograżonych w półmroku salach, aż wreszcie pośród rupieci znaleźli dużą pustą drewnianą skrzynię. W drodze powrotnej radca wyjaśnił niewolnikowi jego zadanie. Modestus, przywykły do niestawiania pytań, przytaknął milcząco.

Przy świątyni Juliusza zatrzymali zaniepokojeni pracownicy. Zdemontowali już trzy głowy lwów i dwie leopardzice, gdy przybiegł posłaniec. Pot lał się z niego strumieniami, a w rękę trzymał

zwój papirusowy, który osobiście chciał przekazać burmistrzowi. Duunwir westchnął w duchu. Pewnie znowu zapytanie, czy w ciągu dnia wozy mogą wjeżdżać do miasta, czy zakaz zostaje podtrzymany. Handlarz naczyń z tabernae, któremu przed kilkoma laty odsprzedał swoje udziały w ojcowskiej garncami, prześladował go od tej pory, nalegając na udzielenie specjalnego zezwolenia. Kręcąc głową, Juliusz ruszył do ratusza, po raz kolejny układając w głowie szczegóły swojego planu.

- Panie, nareszcie jesteście.

Gdy podniósł głowę, zobaczył Feliksa, swojego najmłodszego niewolnika machającego ku niemu z drugiej strony ulicy.

- Co się dzieje, mój mały?

Młody blondynek natychmiast znalazł się przy nim.

- Do willi przybył posłaniec. Chciał się z wami spotkać. Posłałiśmy go do świątyni. Czy dobrze postąpiliśmy?

Juliusz przytaknął.

- Owszem, ale nie dotarł do mnie. Muszę teraz pójść do magistratu.

Już chciał odejść, gdy sobie o czymś przypomniał. Wcisnął chłopcu kilka monet do ręki, wyszeptał coś do ucha i spojrzał, jak tamten rusza z kopyta. Gdy przekroczył progi ratusza, panował tam wyczuwalny niepokój. Urzędnicy poszeptywali między sobą, ale gdy się zbliżył, unikali jego wzroku i wracali do swojej pracy. Rzucił się ku niemu jego sekretarz.

- Panie, czy znalazł was wreszcie?

- Kto, u licha? - parsknął radca. - O co chodzi?

- Posłaniec. Nie znalazł was ani w willi, ani w świątyni - drobny człowieczek potrząsnął głową. - Teraz poszukuje was w mieście.

- Na wszystkich bogów kapitolinińskich, co się stało? - zapytał wzburzony Juliusz. - Znowu ta sprawa z wozami?

- Nie wydaje mi się. To posłaniec od Avitusa.

- Wobec tego odszukaj go i dowiedz się, czego chce!

- To niemożliwe, panie - sekretarz załamał dłonie. - Prefekt wyruszył przed godziną wraz z całym orszakiem. Nie wiem, o co chodzi.

Juliusz wzruszył ramionami.

- Ja też nie jestem wyrocznią delficką - odwrócił się z zamiarem odejścia. - Mam jeszcze kilka spraw w mieście. Na obiad wracam do domu.

W zamyśleniu ruszył wzdłuż cardo. Chociaż nie nadeszło jeszcze południe, niektórzy handlarze zamykali już swoje kramy, opuszczając ciężkie drewniane okiennice, ale on nie zwrócił na to uwagi. Gdy dotarł do świątyni, zanim ruszył ku małemu forum, zapłacił czekającym rzemieślnikom. Na dziedzińcu rozejrzał się wokoło, otworzył drzwi prowadzące do sutereny i zszedł do piwnic. Modestus czekał już, trzymając w ręku oliwną lampę, a przed nim na płachcie leżały rozłożone brązy. Juliusz skontrolował, czy niczego nie brakuje, i obaj mężczyźni ułożyli wszystkie elementy w skrzyni. Na dole najcięższe głowy lwów, następnie leopardzice, popiersia bogiń, ozdobne blachy, a na koniec pozostałe elementy z brązu i żelaza. Przybili wieko, przyłożyli skrzynię z pozostałymi rupieciami, zamknęli drzwi i udali się do domu.

W willi duunwir polecił, aby najpierw podano mu obiad. Nie lubił obwieszczać nieprzyjemnych wieści o pustym żołądku. Właśnie miał zamiar zwołać wszystkich mieszkańców, gdy zapukał jeden ze sług.

- Panie, pilny posłaniec chce z wami mówić.

Juliusz podniósł wzrok, czując, jak skurcz ściska mu żołądek.

- Wprowadź go!

Pospieszne kroki na korytarzu. W drzwiach pojawił się spocony goniec. Ciężko dysząc, wpatrywał się w radcę, jak gdyby nie mógł

uwierzyć, że udało mu się go w końcu znaleźć. Potem podniósł w górę zapieczętowany zwój. Juliusz już chciał po niego sięgnąć, ale posłaniec wręczył mu go dopiero wtedy, gdy burmistrz pokwitował przyjęcie na woskowej tabliczce, po czym, skłoniwszy się pospiesznie, opuścił pomieszczenie.

Juliusz przyglądał się zwojowi z pieczęcią prefekta. Wreszcie miał w ręku prześladowającą go od wielu godzin wiadomość, której wyczekiwał i jednocześnie się lękał. Najchętniej wrzuciłby ją w ogień, lecz zżerała go ciekawość, więc drżącymi dłońmi rozwinął papirus. To, co przeczytał, miało odmienić jego życie.

Tekst był krótki, najwidoczniej pisany w pośpiechu, wszelkie tytuły dotyczące majestatu cesarskiego ograniczono do minimum. Gdy przedarł się już przez wstępne formalności i doszedł do meritum, w jednej chwili dotarła doń cała perfidia nikczemnej intrygi.

„...i natychmiast muszę się udać do Kolonii, aby stawić się na służbę wzywającego mnie cesarza Postumusa. Jednocześnie dowiaduję się o wdarciu się plemion germańskich w obszar naszych granic, więc przenoszę niniejszym władzę rozkazodawczą na duo-viri. Rozkazuję w szczególności obronę miasta i zawieszam na czas zagrożenia wszelkie rozporządzenia stojące na przeszkodzie uzbrojeniu obywateli. Duoviri odpowiadają zatem przed samym cesarzem, aby umocnione miasto Lopodunum wraz z gmachami publicznymi oraz majątkiem płacących podatki wolnych obywateli nie padło łupem barbarzyńców!

Podpisał Avitus, prefekt cesarski”

Mieląc w zębach przekleństwo, Juliusz zgniół trzymane w ręku pismo. Jego ociąganie spowodowało, że stracił dwa dni! Teraz zaś Avitus przykuł go do miejsca, gdyż drugi duunwir przebywał wła-

śnie w swojej posiadłości wiejskiej pod Borbetomagus. Ta okoliczność sprawiała, że on, Juliusz Verecundus stawał się odpowiedzialny za zagrożone miasto, a teraz, gdy było już za późno i brakowało na to środków, nie mógł go skutecznie bronić. Pożegnał się w myślach z planami ucieczki, gdyż musiał zwołać radę miejską i ogłosić alarm.

Po krótkim namyśle wysłał wszystkich mieszkańców swojego domu jako posłańców do pozostałych radców z poleceniem jak najszybszego przybycia do ratusza. Ponieważ pośród nich znaleźli się również niewolnicy noszący lektykę, sam musiał iść piechotą. Dopiero teraz zauważył, jakie napięcie panowało w mieście. Mieszkańcy zbici w małe grupki dyskutowali, gestykulując zawzięcie, ale natychmiast przerywali, gdy tylko się do nich zbliżał. Zamknięte zostały już prawie wszystkie kramy. Z nieruchomym spojrzeniem i brzęczącym tobołkiem na ramieniu przebiegł obok niego złotnik, a za nim krawiec trzymający w ręku niewykończoną opończę. Najwidoczniej wieść o napadzie barbarzyńców przekazano już sobie z ust do ust i każdy myślał jedynie o tym, jak ratować własną skórę.

W kwadrans po jego przybyciu zjawiono się kolejnych piętnastu radców. Zgromadzili się w sali posiedzeń i wkrótce wewnątrz wypełnił gwar głosów.

- Ile czasu nam pozostało?

Juliusz zastanowił się przez chwilę.

- Nie więcej jak jeden dzień, być może tylko kilka godzin.

Rozległy się wzburzone pomrukiwania, nad którymi rozbrzmiały słowa Quintusa.

- Wyośmy się. Po co odgrywać bohaterów?

- To nasze miasto i nasz majątek, który zostanie rozgrabiony - to był tęgawy Blandus mający w mieście kilka domów.

- I z tego powodu mają nas wyróżnić? - oburzył się Quintus żyjący tak oszczędnie, że wszyscy nazywali go skąpcem, choć nagromadził całe wory pieniędzy.

- Nie, ale możemy odstraszyć barbarzyńców, Wystarczy kilka setek obrońców na murach - wtrącił się Juliusz.

- Ma rację - włączył się właściciel garncami Carus.

Wszyscy zwrócili się ku niemu, gdyż dzięki trzem latom, które odsłużył jako centurion w Legio III Italica, miał doświadczenie wojskowe.

- Gdy zaatakują, nie utrzymamy się. Ale w pertraktacjach mamy lepszą pozycję!

Znowu gwar głosów. Zaoferowanie Germanom pieniędzy w zamian za wycofanie się stało się w ostatnich latach nawet w wypadku doświadczonych dowódców powszechną praktyką. Niestety, doprowadziło również do tego, że barbarzyńcy stali się jeszcze śmielsi.

Juliusz podniósł głos.

- Musimy działać szybko. Zastanówmy się, skąd wziąć tylu mężczyzn.

- Również niewolników? Chcecie uzbroić niewolników?

Ten okrzyk wywołał kolejną debatę. Przemówił Blandus.

- Jestem za. Potrzebujemy wszystkich!

- Coraz bardziej gadacie od rzeczy! - łysy skąpiec nie odpuszczał. - W drogę, na zachód, dokąd tylko można! To powinniśmy postanowić.

- A ja proponuję, żeby natychmiast zamknąć bramy i za pomocą collegia obsadzić mury - wykrzyknął Carus. - Nikt nie jest w stanie tak szybko zmobilizować mężczyzn jak gildie.

Juliusz zaklaskał w dłonie.

- Głosujemy. Kto jest za ucieczką?

Quintus podniósł rękę, rozglądając się wokoło, ale nikt się do niego nie przyłączył.

- Kto jest za tym, aby Carusowi powierzyć dowództwo?

W górę wystrzeliły wszystkie dłonie.

- Zatem postanowione - Carus wystąpił przed wszystkich. -

Dzielimy mur miejski na odcinki i każdy zostanie powierzony jednemu coUegium. Jako broni rzemieślnicy niech użyją swoich narzędzi albo zaopatrzą się w pałki. Zrozumiano?

Wszyscy przytaknęli w milczeniu.

- Mam tu kawałek papirusu, więc zaraz ustalimy plan. Rybacy obejmą odcinek przy porcie, potem cieśle...

- A co z teatrem? - zapytał Blandus, gdy już wszystko ustalono. Półokrągła budowla przycupnęła niczym żółw przed południo wo-wschodnim murem.

- Gdybyśmy mieli wystarczającą liczbę mężczyzn, byłaby to doskonała fortyfikacja na przedpolu - zastanawiał się Carus.

- Przyszło mi też do głowy, że mamy właśnie w mieście gladiatora imieniem Pantacarus. Mianuję go moim zastępcą.

Niektórzy radcy pokręcili sceptycznie głowami, ale Carus odrzucił ich wątpliwości jednym ruchem ręki.

- Cieszę się z każdego, kto potrafi trzymać miecz za właściwy koniec. A co się tyczy teatru, nie możemy go obsadzić, bo za bardzo rozproszymy nasze siły. Najważniejszą sprawą jest utrzymanie muru!

Decyzja Carusa była słuszna co do strategii. Natomiast jej fatalne praktyczne następstwa miały się dopiero objawić.

Uwolniony wreszcie od paralizującej niepewności Juliusz popieszył do ratusza. Zdenerwowani urzędnicy biegali tu i tam niczym kurczęta próbujące się ukryć przed jastrzębiem, opróżniali szafy z aktami i przenosili dokumenty do piwnicy. Trzaskanie z bicza i łoskot obitych żelaznymi obręczami kół przyciągnęły go do okna. Ulicą jechał powoli wóz zaprzężony w dwa woły, a na nim

spoczywało pięć kamieni milowych oblepionych jeszcze świeżą ziemią. Juliusz nie dowierzał własnym oczom.

- Na błyskawicę Jupitera! Co to ma znaczyć?

Podszedł do niego sekretarz.

- Vigellius, urzędnik odpowiedzialny za budowę dróg, zarządził, aby ukryto kamienie. Barbarzyńcy nienawidzą wszelkich znaków rzymskiego porządku. Zęby nie uszkodzono drogowskazów, mają zostać zmagazynowane w piwnicach.

Radca chwycił się za głowę. Nadgorliwi urzędnicy ratowali kamienie, gdy tymczasem zagrożone było ludzkie życie! Kręcąc głową, zwołał pozostałych urzędników i podzielił ich na cztery grupy. Mieli obsadzić bramy miejskie, a wszystkich mieszkańców wysłać na forum, gdzie odbywała się rejestracja obrońców. Jednak nieco później, gdy podszedł ku bramie zachodniej, zastał przy niej wzburzony tłum.

- Wypuście nas, urzędasy!

- Nikt nie ma prawa zatrzymywać nas tutaj.

- Chodźcie lepiej z nami! Jeszcze jest czas.

Juliusz uniósł w górę dłoń ze złotym pierścieniem. Wszyscy się rozstąpili, przepuszczając go ku bramie, gdzie stanąwszy pomiędzy swoimi ludźmi, wsparł ręce na biodrach.

- Obywatele Lopodunum! Nie ma powodu do ucieczki. Rada miejska postanowiła obsadzić mury. Jeśli obronimy nasze miasto, obronimy też nas samych, nasze mienie, nasze żony i dzieci.

Juliusz spojrział na pełne napięcia twarze.

- Komu z was zabrakło odwagi? Kto chce porzucić na pastwę losu wszystkich pozostałych? Ty Caeciliusie? - wskazał na cieśnię z piłą na ramieniu. - Albo ty, Murraniusie, kominiarzu, albo ty tam, z tyłu, znam cię z szynku na forum?

Mężczyźni spuścili głowy, po czym zrezygnowani i z ociąganiem ruszyli z powrotem. Pozostali poszli w ich ślady, gdy na decuma-

nus maximus rozbrzmiały stukot kopyt i turkotanie kół. Nadjechał czterokołowy wóz podróżny, który woźnicy udało się z trudem zatrzymać. Zaczął krzyżeć na ludzi i trzaskać z bicia, ale niektórzy rozłoszczeni mężczyźni otoczyli pojazd i przytrzymali go. Odsunęła się zasłona w oknie i ukazała się łysina skąpca.

- Z drogi, wałkonie! - warknął. - Jestem radcą, macie mnie natychmiast przepuścić!

Juliusz podszedł bliżej.

- Co to ma znaczyć? - jego spojrzenie zlustrowało Quintusa. - Zapomnieliście o postanowieniu rady i rozkazie prefekta? Wasze miejsce jest tutaj!

Z wnętrza wozu rozległ się szyderczy śmiech.

- Rozkaz prefekta? Mogę sobie nim podetrzeć tyłek! - Quintus zwrócił się do tłumu. - Czy wiecie, że ten tchórz uciekł już kilka godzin temu?

Rozległy się ożywione poszeptywania przytłumione krzykiem skąpca.

- Nie grajcie bohaterów! A może wolicie, żeby Germanie pili swój wstrętny miód z waszych czaszek?

Dał znak woźnicy.

- Z drogi, durnie! - wrzasnął mężczyzna na koźle, pociągając za lejce.

Bicz trzasnął w powietrzu, przelatując nad głowami i wycinając krwawą pręgę na policzku jednej z kobiet. Rozległ się przeraźliwy wrzask, pojazd ruszył z miejsca. W tej samej chwili starszy człowiek wsunął swój kostur między szprychy. Wóz zatrzymał się gwałtownie, woźnica stracił równowagę i runął z koźła. Tłuszcza zawyła z uciechy, kilku mężczyzn pochwyliło za koła i skandując, podniosło wóz. Przez chwilę zawisł w powietrzu, w oknie ukazała się przerażona twarz skąpca, a potem rozleciały się koła i wóz przewrócił się na bok, uderzając w jedną z kolumn wspierających poddasza

domów. Jej trzon się przewrócił, pociągając za sobą dach. Posypały się dachówki i cegły, grzebiąc pod sobą pojazd i wierzgające kopytami, rżące z przerażenia konie. Zaraz potem tłum naparł na bramę, odepchnął strażników i opuścił miasto.

Juliusz jak nieprzytomny patrzył za uciekinierami, ale mógł jedynie kazać zamknąć wrota, zasunąć rygiel i zabezpieczyć go kłódką, a klucz włożył do kieszeni.

Jęki i przekleństwa sprawiły, że się odwrócił. Skąpiec wygrzebał się ze swojego wozu i wyciągał właśnie kilka worków ze złotem. Potem wraz z woźnicą pokuśtykał wzdłuż ulicy, uginając się pod ciężarem swoich denarów.

Juliusz odwrócił się i po schodach obok wieży wszedł na blanki. Z góry miał dobry widok na spokojnie płynącą rzekę oraz grupę uciekinierów spieszącą na północ pomiędzy murami i jej brzegiem. Gdy osiągnęli skraj miasta i przemierzili kawałek wolnego pola, ze wschodu nadciągnął tuzin jeźdźców. Sądząc po powiewających opończach ze skór, należeli do barbarzyńskiej straży przedniej, niewielkich oddziałów jazdy specjalizujących się w szybkich atakach. Otoczyli uciekinierów, tnąc bezlitośnie mieczami, pałkami i toporami; wydawało się, że słyhać trzask pękających kości. Gdy wszyscy padli już pod ciosami, Germanie nie zsiadli nawet z koni, aby ograbić zwłoki, lecz ruszyli ku murom. Zmierzali wzdłuż rzeki ku bramie, lecz miotane kamienie zmusiły ich do ucieczki.

Przyglądając się, z jaką dyscypliną jeźdźcy operują mieczami poza zasięgiem strzał wystrzeliwanych z łuków, Juliusz zaczął pojmosferać, dlaczego Lopodunum nie zostało wcześniej ostrzeżone. Tym razem jazda otaczała cel, plądrowała okolicę i przed pojawieniem się głównych sił wyłapywała wszystkich uciekających. Ktoś spośród tych rosnących dryblasów o jasnych grzywach przestudiował rzymską taktykę. Jupiterze, miej nas w swojej opiece!

Na północy unosiły się kłęby dymu. Tam, przy drodze do Mo-gontiacum, stała wielka willa. Wkrótce mężczyźni na murze dojrzelili płomienie liżące długi dach. Najwidoczniej nadchodził większy oddział.

Spoglądając na drogę, którą dziś rankiem uciekł Avitus, Juliusz zlorzeczył prefektowi. Dlaczego ten nędzny tchórz musiał zabrać ze sobą wszystkich żołnierzy?

Ale prefekt nie zabrał wszystkich legionistów.

W półkolu teatru znajdowało się dwóch mężczyzn niewiedzących o całym zamieszaniu. Johanana przykuto do pała, a przed nim siedział strażnik, o którym śpieszący się prefekt zupełnie zapomniał. Tymczasem żołnierzowi znudziło się bezczynne wyczekiwanie.

- Nie gap się tak ponuro! - warknął na więźnia. - Opowiedz mi lepiej coś wesołego.

- Możesz zostać uratowany - zwrócił się do niego Johanana - jeśli będziesz czynił pokutę.

- Powiedziałem: coś wesołego. Nie znasz żadnego dowcipu? Coś w tym rodzaju: Zeus spotyka Artemidę o stu piersiach i zwraca się do niej...

Więzień syknął na niego.

- Na zatwardziałych grzeszników czeka piekło!

- Mam dość twojego gadania i złego humoru!

Żołnierz wstał, zniknął w rekwizytorni i po krótkich poszukiwaniach wrócił z glinianą maską, którą przywiązał do twarzy opierającemu się więźniowi.

- No, to na pewno jest lepsze od twojej gęby! - przyjrzał się z zadowoleniem uśmiechniętej masce z długim nosem, po czym zaczął opróżnianiem zawartości swojego dzbana z winem. Wkrótce zaczął wygłaszać monologi, w których powątpiewał w daleko-

wzrocność rzymskiego dowództwa, nieumiejącego docenić jego prawdziwego żołnierskiego talentu.

Gdy zapadł zmrok, rozpałił mały ogień i przysiadł w pobliżu migocącego płomienia. Gdyby przerwał na chwilę swoją przemowę, pewnie dotarłoby do niego, że nie jest w teatrze sam na sam z więźniem. A tak uszło jego uwagi, że skradają się ku niemu trzy postaci. Cios pałki zgruchotał mu głowę, bez jęku osunął się na ziemię. Germanin zamierzał się znowu do ciosu, by ten sam los zgotować Johananowi, gdy władczy głos powstrzymał go. Z ciemności wyłonił się rosły mężczyzna, przyglądając się skulonemu więźniowi wyrwanemu z gorączkowego półsnu. Pochylił się nad nim i przemówił po łacinie, gdy tymczasem wokół pojawiło się więcej wojowników.

- Kim, na Wotana, jesteś? I dlaczego cię tu przykuto?

- Mam na imię Johanan. Próbowałem odwieść to miasto od składania czci bożkom. Chciałem też, żeby się nawróciło na prawdziwą wiarę i nie padło ofiarą sądu Bożego.

Germanin patrzył na niego, kręcąc głową.

- W tym przebraniu? No to niczemu się nie dziwię.

- Nie, tę maskę przywiązał mi tamten - Johanan sapnął niechętnie, wskazując głową na zabitego.

Germanin ściągnął mu z głowy maskę i przyjrzał się brodatemu obliczu z łysiną i długimi zmierzwionymi włosami.

- Jak, twoim zdaniem, powinien wyglądać taki sąd Boży?

- Pan spuścił deszcz ognia na Sodomę i Gomorę. Jerozolima została zniszczona przez legiony rzymskie, a świątynię splądrowano...

Jego rozmówca zaśmiał się.

- Plądrowanie, doskonale, twój Bóg mi się podoba. Czy odział wolnych Swebów mógłby być narzędziem twojego bóstwa?

-Tak, jeśli tylko ograbią świątynię, zniszczą posągi bożków i zabiorą skarby nagromadzone przez bogaczy.

Wódz przytaknął.

- To ze świątynią, chętnie. Bogaczy chcieliśmy dopaść tak czy owak. Założywszy, że dostaniemy się do środka. Mur został obsadzony.

Oczy Johanana rozpały się blaskiem.

- Koło portu jest mała furta.

- Lepiej nie mogliśmy trafić. Jestem Chnodomar. Pokaż mi, gdzie to jest.

Wydał kilka poleceń po swebsku, po czym jeden z wojowników rozciął toporem łańcuch więźnia. Johanana podniósł się z jękiem i stał, chwiejąc się na nogach, przez chwilę nie bardzo wiedząc, co ma robić. Wreszcie skinął na Germanina. Pokuśtykał przodem, a za nim ruszyli barbarzyńcy na czele z wodzem, który wysłał jednego z podkomendnych, aby sprowadził posiłki.

Skradali się wzdłuż murów aż do zamkniętej furty. Poprzez drewniane belki słychać było głosy dwojga rybaków martwiących się o swoje łodzie pozostawione bez straży w porcie. Chnodomar nadstawił ucha, a potem wyszeptał coś do jednego z towarzyszy, który bezszelestnie zniknął.

Minął kwadrans, a tymczasem z ciemności wynurzało się coraz więcej Germanów, aż wreszcie u podnóża muru zgromadziło się około trzydziestu wojowników. Johanana spojrział ku nim. Na co jeszcze czekali? I wtedy stało się. Na jednej z łodzi rysującej się na tle nocnego nieba pojawiło się światło, zamigotało, rozrosło się, przybrało na sile i wkrótce blask płomieni oświetlił zacumowane w sąsiedztwie korabie. Z murów rozbrzmiały wołania i przekleństwa. Również głosy obu strażników stawały się coraz bardziej niespokojne, aż wreszcie ich kroki oddaliły się.

Na to tylko czekali atakujący. Wystąpiło kilku mężczyzn z toporami. Na znak Chnodomara zaatakowali wściekłymi ciosami małą furkę. Właściwie obita żelazem brama powinna dłużej stawiać

opór. Wystarczająco długo, aby dać obrońcom możliwość odpe-
dzenia napastników wrzaskiem lub kamieniami. Ale stare drewno
było spróchniałe, a uwaga obsady muru skupiała się na pożarze w
porcie. Po kilku uderzeniach furta ustąpiła. Gdy wreszcie z blan-
ków posypały się kamienie, było już za późno. Ludzie
Chnodoma-ra niczym wilki wdarli się do bezbronnego miasta.

Carus ustawił oddział rezerwowy pod dowództwem gladiatora
na forum, ale mężczyźni pobiegli ku wschodniej stronie miasta.
Tam Germanie zaatakowali wściekle mury miejskie. Płonące strza-
ły śmigały niczym komety na nocnym niebie. Na dachach ubogich
rzemieślniczych domostw krytych drewnianymi gontami zamigo-
tały języki płomieni. Rozbrzmiały krzyki, kubły pełne chlapiącej
wody wędrowały z ręki do ręki. Wołania rybaków przebrzmiały bez
echa. Bezsilnie stali na blankach murów, niezdolni powstrzymać
wdzierających się napastników.

Na czele oddziału biegł Chnodomar, a obok niego Johanana,
który odzyskawszy siły, prowadził Germanów ku tawernie. Ciosy
toporów rozbiły drzwi, sfora ruszyła do ciemnego wnętrza. Rozka-
zawszy zapalić pochodnie, wódz napastników rozejrzał się wokoło,
a następnie przywołał do porządku swoich ludzi, którzy już zabie-
rali się do opróżniania pierwszych amfor z winem.

- Dalej, jeszcze nie zdobyliśmy miasta!

Po czym rzekł do Johanana:

- Czego szukamy w tej speluncie?

Fanatyk zaprowadził Germanów na dziedziniec.

-Tego... Zniszczcie ten symbol rzymskiego zabobonu! - jego
ręka wskazała na kolumnę Jupitera wznoszącą się ku nocnemu
niebu w migotliwym świetle pochodni.

- Wygląda solidnie - mruknął Chnodomar - ale coś ci obie-
caliśmy.

Kilka słów po swebsku i już kilku mężczyzn przywlokło ciężką drewnianą ławę. Tuzin ciosów obalił kolumnę, przewracając ją do studni. Johanen zajął do jej wnętrza, a potem się odwrócił.

- Teraz do następnych bożków!

- Wystarczy, masz nas za takich, *co* zajmują się burzeniem? - przywódca dał znak do wymarszu. - Swoją kampanię przeciwko Jupiterowi możesz prowadzić sam. My mamy co innego w planach.

- Co to znaczy, przecież mi obiecaliście... - Johanen pochwycił wodza za ramię.

- Zamknij się! - wrzasnął na niego Germanin, a ponieważ Johanen nie puszczał, wymierzył mu cios pięścią w twarz, który powalił go obok kontuaru na posadzkę. Potem oddział z tupotem wybiegł z knajpy i ruszył ku cardo.

Płonące jasnym płomieniem szachulcowe ściany domostw we wschodniej części miasta oblewały wszystko ponurym, drżącym blaskiem. Główną ulicę spowijał gryzący dym, z którego wynurzały się sylwetki coraz liczniejszych barbarzyńców. Gromadzili się przed najbardziej okazałymi portalami. Ciosy toporów rozbijały odrzwia z inkrustowanego, szlachetnego drewna. Tuzinami wdzierali się do domostw, skąd dochodziły łoskot i krzyki, lecz żadna kronika cesarska nie opowie nigdy o losach mieszkańców: o godności starego człowieka oferującego rabusiom pieniądze i biżuterię kobiet, aby oszczędzić jego dom - tylko po to, żeby po chwili przyglądać się, jak rozbija się meble i porywa zdolnych do pracy niewolników. O odwadze młodego Rzymianina, który na wiodących na górne piętro schodach wbił pierwszemu napastnikowi sztylet w szyję, żeby potem zginać pod ciosami pałek jego kompanów. O desperacji młodej ciężarnej kobiety, którą oderwano od okna i która zmarła po wielokrotnym zgwałceniu. O męce skąpca, który podał miejsce ukrycia swojego złota dopiero wtedy, gdy barbarzyńcy wcisnęli mu twarz w płonące węgle...

Dobrze dowodzona setka rzymskich legionistów zgotowała by krwawą jatkę napastnikom, ale żołnierze walczyli właśnie na wschodzie z innymi legionistami, aby obalić sztandar kolejnego uzurpatora.

Dowodzący obrońcami nadrzecznego muru burmistrz widział, że klęska jest blisko. Z łopocącymi połami płaszcza przebiegł przez decumanus do swojej willi, ale Modestus, którego posłał na forum, jeszcze nie wrócił. Nagle opuściły go siły, trzymające go na nogach od czasu decyzji o obronie miasta. Bezradnie opadł na krzesło, zastanawiając się na głos w kręgu pozostałej służby, czy lepiej ratować się ucieczką w powszechnym chaosie, czy zabarykadować dom?

Właśnie chciał wydać rozkaz, aby przyniesiono wszystkie meble przed portal, gdy przyszła Brygida. Była to połowica jego przyrodniego brata Primusa, który kupił ją przed dziesięcioma laty jako germańską niewolnicę, następnie wyzwolił i pojął za żonę. Od czasu gdy musiał wraz z Walerianem wyruszyć przeciwko Persom, kobieta o kasztanowych włosach zamieszkała z małym synem w willi burmistrza. Spokojnym głosem niezgrabną łaciną przedstawiła inną propozycję.

- Willa to nie kasztel. Zostawcie drzwi otwarte, w przeciwnym wypadku zostaną wyłamane. Jeśli stawicie opór, przybędzie więcej wojowników i pozabijają nas - zamilkła na chwilę, ale wszyscy patrzyli na nią z otwartymi ustami. - Sami spustoszymy dom. Niech się Germanom wyda, że już go splądrowano. Powiem im o tym, a wy się ukryjecie!

Juliusz zawahał się, podstęp był zbyt chytry jak na kogoś zdesperowanego, potem jednak wyraził zgodę. Po chwili wszyscy rzucili się do niezwyklego zadania obrócenia wszystkiego w perzynę. Pan domu przyglądał się temu zapałowi z ciężkim sercem. Przewrócono stoły,

na posadzce wylądowała zawartość półmisek. Stołki rzucono w kąt, wszędzie wałały się skorupy rozbitych dzbanów i misek. Zdarto zasłony i rozpruto poduszki. Nawet Lary, bóstwa chroniące dom, zabrane ze swojej niszy, wylądowały na podłodze wśród innych rzeczy.

Po krótkim czasie zniszczenia były tak wielkie, że musiały zniechęcić nawet najbardziej wytrwałego rabusia. Teraz mieszkańcy zajęli się swoim własnym wizerunkiem. Brygida zacięła się w ucho, natarła sobie krwią i popiołem twarz, doprowadziła do nieładu ubiór i wkrótce wyglądała tak, jak gdyby ściągnięto ją po schodach twarzą w dół.

Zdążyli w ostatniej chwili. Pospieszne kroki, wzywanie o pomoc, ryki i tupot nóg zbliżały się od ulicy. Brygida uniosła rękę.

- Ukryjcie się, połóżcie po kątach i udawajcie, że jesteście ciężko ranni! - doradziła pozostałym, a potem zwróciła się do gospodarza. - Nie możecie w żadnym wypadku wpaść w ręce barbarzyńcom. Będą was torturować, aż się dowiedzą, gdzie ukryliście złoto. I niech wszyscy bogowie mają was w swojej opiece, jeśli nie znajdą go dostatecznie dużo.

Juliusz spojrział na nią z przerażeniem.

- Ukryjcie się w piwnicy i zabierzcie mojego syna. Ja zostanę na górze i odwrócę ich uwagę. Nie zabijają kogoś, kto jest z ich szczepu.

Szeroko otwarte oczy syna Brygidy patrzyły w milczeniu na Juliusza, potem chłopiec zaczął płakać.

Matka uśmiechnęła się do niego i przytuliła go do piersi.

- Teraz z wujkiem Juliuszem będziesz się bawił w piwnicy w chowanego - otarła mu łzy z oczu. - Masz być grzeczny i zachowywać się bardzo, bardzo cicho. Obiecujesz?

Chłopiec z ociąganiem przytaknął, a potem dotknął muszli, którą jego matka nosiła na szyi jako amulet, i jej włosów. Gdy

rozwarła jego ręce i podała go mężczyźnie, malec chciał znowu płakać. Brygida włożyła mu do ust kawałek piernika i popchnęła Juliusza ku wejściu do piwnicy. I ona miała łzy w oczach. Syn wyciągnął do niej bezradnie rączki, a ona nachyliła się raz jeszcze, pogładziła go po głowie i wyszeptwała:

- Idźcie, szybko!

Kolana Juliusza były jak z wosku, opuściła go wszelka odwaga. Jak ogłuszony posłuchał jej polecenia. Sięgnął po lampkę oliwną i potykając się, zszedł w dół wraz z dzieckiem, szukając jakiejś kryjówki. Wszędzie stały amfory, a także drewniana beczka, w której przechowywano poscę, napój dla służby. Oddarł kawałek swojej tuniki, zawinął weń chłopca, posadził go w kącie za amforami, mrużąc:

- Cokolwiek się stanie, masz być cicho!

- Mama? - załkał malec.

- Przyjdzie zaraz, ale tylko wtedy, jeśli teraz będziesz cicho!

Potem rozejrzał się za odpowiednim schronieniem dla siebie.

Niestety Druzylla zawsze pilnowała porządku, nie dopuszczając, aby w piwnicy nagromadziły się rupiecie. Wreszcie ogarnięty paniką podniósł wieko beczki, zanurzył się w lemoniadzie octowej, zdmuchnął lampę i nałożył pokrywę. Przez wyłamaną u góry klepkę mógł wyglądać na zewnątrz. Płyn chlupotał wokół niego, mocząc mu odzienie, wkrótce też zaczął szczekać z zimna zębami.

Nad nim o drewnianą posadzkę dudniły kroki ciężkich butów, dźwięczała broń, krzyki Brygidy przerywały głuche męskie głosy. Po chwili odgłosy zamilkły i tylko przez wąskie okienka docierał przytłumiony hałas i migotliwy poblask pobliskich pożarów.

Juliusz chciał już podnieść drewnianą pokrywę, gdy w domu rozległ się odgłos pospiesznych kroków. Gwałtownie otwarto drzwi, po czym zatrzaśnięto, ktoś zeskakiwał ze schodów. Duunwir natychmiast opuścił dekiel, przyrzekając Fortunie złożenie ofiary, żeby

tylko intruz nie chciał skorzystać z jego kryjówki. Przez chwilę słyszał jedynie pospieszny oddech nieznajomego stojącego tuż obok beczki, gdy w górze załomotały kroki prześladowcy. Łomot i brzęk, po chwili nastąpiła cisza. A potem dały się słyszeć ostrożne, skradające się stąpnięcia. Juliusz, który wstrzymał oddech, chciał właśnie zaczerpnąć powietrza, gdy sięgnęła po niego lodowata dłoń.

U góry skrzypnęły deski! Pod ciężkim butem zatrzeszczały skrupy. Zaskrzypiały zawiasy wiodących do piwnicy drzwi. W półmroku dojrzał kontur mężczyzny schodzącego po schodach. Zabrzęczał metal pocierany o ścianę. Burmistrz poczuł wiercenie w nosie. Zdesperowany próbował powstrzymać kichnięcie, ale jego wyziębione, wyczerpane ciało okazało się silniejsze. Stwierdził, że parskanie - bez względu na to, jakie będą tego skutki.

ROZDZIAŁ 2

NOC ORŁA

(267 r. po Chr.)

*Nie powinno się obawiać śmierci,
lecz że nie zaczęło się żyć.*

MAREK AURELIUSZ

Na widok muszli wiedział już, co nastąpi dalej. Zawsze zaczynało się od muszli. Połyskiwała w środku jak tęcza i wisiała na rzemyku na szyi kobiety. Wyciągnął swoje rączki, chwytając kasztanowe loki. Potem twarz kobiety rozmywała się, stapiając z ciemnością, a on siedział za czymś, co było duże i okrągłe. Jego dłonie poczuły chropowatą powierzchnię, a później usłyszał hałas. Brzmiał on tak, jak gdyby nadchodziła burza. Szybkie kroki, wolne kroki, dwa brzękliwe uderzenia, stęknienie. Kwaśny odór wina wierzący w nosie. Ciemny kontur osunął się w dół, ponownie się podniósł, potem zmałał. Usłyszał głos. Obcy męski głos, ale znajome słowa. Język, który znali tylko on i kobieta. Dźwięk, za którym tęsknił, gdyż oznaczał bezpieczeństwo, czułość i miłość. Teraz się bał i chciał, żeby głos przemówił do niego. Zawołał, tak jak zawsze wołał, gdy potrzebował ciepła i delikatności. Ale nic nie było tak jak zawsze. Hałasy. Coś mokrego ochlapuje mu stopy. Czuł, że słowa nie zwiastują teraz niczego dobrego, tylko są zagrożeniem. I krzyczał, krzyczał, krzyczał...

Obudził się zlany potem. Jeszcze przez chwilę wspomnienie dominowało nad teraźniejszością, potem koszmar minął i pojawiła się znajoma mu izba. W rogu na stojaku z brązu wisiały trzy lampki oliwne, obok stała skrzynia wyplatana z jasnobrązowej trzciny, a na zydłu leżało jego odzienie. Białą ścianę za posłaniem podzielono szerokimi na dłoń pasami na trzy prostokąty. Wewnątrz nich czarne Unie obramowywały żółte płaszczyzny, na których umieszczono

wizerunki fruujących amorów grających na trąbkach. Na freskach widać było brązowe punkty, pozostałości po komarach. Przez wiodące na korytarz drzwi po podłodze z czerwonych cegieł wpadała smuga światła, oświecając wymiętą pościel.

Flawiusz usiadł, przecierając oczy. Ten prześladowający go od lat sen. Gdyby tylko wiedział, co bogowie chcą mu przezeń powiedzieć.

Sięgnął pod łóżko po sandały i wstał, żeby otworzyć okiennice. W kuchni pobrzękiwały garnki, a z korytarza dobiegał odgłos kroków.

- Flawiuszu, wstawaj. W kuchni czeka już śniadanie, a wiesz, że...
- Tak, tak, Feliksie, już idę.

Młody niewolnik wypełniał swój obowiązek, ale rankami Flawiusz nie znosił jego pilności. Sięgnął ku stercie ubrań na taborecie, nałożył tunikę i ruszył do kuchni. Na dużym dębowym stole ułożono chleb, ser, plastry kielbasy oraz dzbanek z wodą. Siedział przy nim nieco tęgawy łysiejący mężczyzna o kasztanowych włosach i obwisłych powiekach, oblizując wilgotne wargi.

- Dzień dobry, stryju Juliuszu.

Oczy wstającego od stołu mężczyzny spojrzały na niego bawczo.

- Dzień dobry, Flawiuszu. Zobaczymy się potem u mnie, może za godzinę?

Młodzieniec przytaknął, odłamując kawałek chrupiącego, pachnącego chleba. Zegar słoneczny dzielił dzień na dwanaście godzin trwających latem nieco dłużej niż zimą - co dotyczyło, niestety, również i czasu nauki. Jeśli, tak jak dzisiaj, nie zjawiał się guwerner, jego stryj wprowadzał go w arkana gospodarki. Flawiusz nigdy nie mógł się zdecydować, co go bardziej nudzi: greka czy kwestia, jaka pasza najlepiej służy opasom. Ale jeszcze miał czas. Odkroił gruby plaster sera, ułożył go na chlebie i jadł powoli.

Po śniadaniu obmył w kuchni twarz, a potem przeszedł do portyku łączącego narożne budynki po stronie południowej. Tutaj czę-

sto zasiadał w ciepłe letnie wieczory wraz z Juliuszem i stryjenką Druzyllą. Teraz jego wzrok powędrował po pagórkowatej okolicy, po ogrodzie i polach, łąkach i strumieniu. Na horyzoncie rysowała się ciemna wstęga lasu, którego nie odważył się wykarzczać żaden z właścicieli willi. Nieopodal leśnej kniei wyrastała stara sosna, a obok niej pośród zieleni wznosiła się mała świątynia.

Górne piętro jej kwadratowej bryły unosiło się jak biała plama nad szarym gontowym dachem i czerwonymi drewnianymi kolumnami krużganka. Wzdłuż krótkiej drogi, która łączyła sanktuarium z drogą do Augusta Treverorum, stały pochylone ze starości kamienie wotywno. Flawiusz obskrobał kiedyś obrastające je porosty i odczytał napisy. Najstarszy poświęcono przed dwustu laty Merkuremu jako podziękowanie za szczęśliwą podróż. Druzyllą opowiadała, że kiedyś, po wielkim trzęsieniu ziemi, ten daleki krewny wsiadł w Pompejach na ciągnięty przez woły wóz. Po kilkumiesięcznej podróży dotarł wraz z całą rodziną do nowej prowincji zwanej Dolną Germanią, aby objąć stanowisko w administracji wojskowej. Kilka lat później położył kamień węgielny pod budowę willi, w której teraz mieszkali.

Flawiusz wyjrzał na zewnątrz. Na niebieskim niebie kołysały się białe obłoki, obok leniwie przeleciał trzmiel. Wszystko wskazywało na to, że ten dzień przeminie równie bezbarwnie jak wszystkie poprzednie. W zachodnim narożu willi Juliusz zasiadł w swoim pokoju, kładąc przed sobą na stole abakus. Przesuwał jego kulki tam i z powrotem, próbując obliczyć wysokość spodziewanych żniw, dodał do tego szacunkowe dochody ze sprzedaży kiełbas wieprzowych, piór gęsi, skóry wołowej oraz wełny owczej i zapisał wszystko na powleczonych woskiem tabliczkach. Potem przyszła kolej na mniej przyjemną część - wydatki. Należało zapłacić podatki, niemało kosztowały także wino, sos rybny, narzędzia z że-

laza oraz olej do lamp. Westchnął, ale nie było rady. Już od dawna nie delektowali się ostrygami, oszczędnie używali indyjskiego pieprzu, zrezygnowali z kadzidła do świątyni, sami wypalali cegły, a nawet wyrabiali własną ceramikę. Wszystkiego jednak nie dało się wyprodukować w gospodarstwie.

Gdy skończył, odłożył rylec z brązu i spojrzął na kalendarz z wypalanej gliny. Drewniany kołek zatknięto przy Marsie, symbolizującym wtorek. Jutro, w dniu Merkurego, miał znowu przyjechać guwerner. Wkrótce jednak chłopiec powinien się nauczyć jakiegoś zawodu lub zdobyć wykształcenie pod okiem retora. To sporo kosztowało, ale do prowadzenia gospodarki nie wykazywał zbytniego zapału. A może zrobiłby karierę w legionach, tak jak jego ojciec Primus?

Co z niego wyrośnie? Od czasu wymarszu oddziałów, które cesarz Walerian ściągnął na wojnę z Persami, wieści dochodziły coraz rzadziej. Ostatnio Primus napisał z Syrii, że już niebawem sprawią cięgi Szapurowi, dumnemu władcy perskiemu. Wkrótce jednak z ust do ust podawano sobie siejącą groźbę wieść o zagładzie armii, aż dotarła ona do tej części Imperium, którą generał Postumus oderwał od Rzymu. Od ośmiu lat rezydując w Kolonii, silną ręką sprawował władzę w Germanii, Galii, Hiszpanii i Brytanii. Może gdy przybędzie coeparius, nadejdą z Rzymu nowe wiadomości.

Rozległo się pukanie do drzwi. Juliusz odsunął krzesło i zaprosił chłopca do środka. Flawiusz musiał się jeszcze sporo nauczyć o hodowli świń.

Wypełniony pracami w gospodarstwie dzień minął jak każdy inny. Zapadający wieczór barwił zieleń łąk szarobłękitnym półmrokiem. Cykały świerszcze, a od bramy dochodził pogwar głosów

ludzi pracujących na roli, którzy po całodziennym trudzie pragnęli posilić się, odpocząć i poplotkować w kwaterze dla niewolników.

Juliusz siedział przy stole, a przed sobą ustawił szachy. Obok dwóch kubków postawiono na stole także dzbanek na wodę z czarnej gliny z białym wzorem i napisem: „Pij wiele lat”. Gdzie się podziewał Flawiusz? Podniósł swoje masywne ciało z wyplatanego krzesła, podszedł do okna i wyglądnał na zewnątrz. Z zadowoleniem przypatrywał się drzewom owocowym, zabudowaniom gospodarczym, polom i łąkom. Tylko otaczający posiadłość mur mógłby być nieco wyższy. Przy bramie ręką dawało się sięgnąć jego zwieńczenia, ale na więcej nie starczało denarów.

Przynajmniej odtąd czuł się pewniej, spał znowu spokojniej i nie zrywał się na dźwięk każdego odgłosu nocy. Przyczyniały się do tego także gęsi. W starych pismach przekazano, że przed ponad sześcioma wiekami uratowały Kapitol rzymski przed napaścią Gallów. Tak czujne ptaki były właśnie tym, czego potrzebował. Wprawdzie jego gęsi nie miały jeszcze okazji przydać się pod tym względem, ale za to dostarczały miękkich piór i od czasu do czasu, tak jak dzisiaj wieczór, soczystej pieczeni. Poczuł pragnienie, więc oblizał wargi, gdy zapukano do drzwi.

-Jesteś wreszcie. Wejź!

W ciemnym prostokącie drzwi pojawił się jego podopieczny .w jasnobrązowej tunice z dzbankiem wina w ręku. Gdy niezdecydowany przestępował z nogi na nogę, Juliusz przyjrzał mu się spod oka. Ciemne włosy i rysy twarzy ojca, jasna cera i błękitne oczy po germańskiej matce. Od tamtej pory słuch zaginął również o niej.

- Co tak długo robiłeś? Gdy dałem ci klucz od piwnicy, słońce jeszcze nie zaszło!

Młodzieniec chrząknął zmieszany.

- Mogę o coś zapytać?

Ton jego głosu zwrócił uwagę Juliusza. Usiadł, odsunął planszę z grą i wskazał na drugie krzesło.

- Oczywiście. Co ci leży na sercu?

Flawiusz odstawił dzbanek na stół, potem usiadł sztywno na krawędzi wyplatanego stołka, ściskając nerwowo dłonie.

- Zaproponowałem po kolacji, że przyniosę ci wino...

- No tak, i dziwiłem się dlaczego. Mógł to zrobić ktoś z kuchni.

- Oczywiście - Flawiusz nalał sobie nieco wody. - Ale ja sam chciałem iść do piwnicy.

Juliusz zmarszczył brwi.

- Przecież już tam wcześniej byłeś!

- Zgadza się, ale nie wieczorem i nigdy sam. Zeszłej nocy znowu dręczył mnie sen. Musiałem się po prostu dowiedzieć, co się stanie, gdy...

Tęgawy mężczyzna złożył ręce na stole.

- Opowiedz jeszcze raz wszystko po kolei.

Bratanek spojrzał na stryja z wdzięcznością, a potem opowiedział, jak zszedł po schodach, włożył klucz do zamka i podniósł rygiel. Drzwi otworzyły się, skrzypiąc zawiasami i pozwalając zajrzeć do cuchnącej stęchlizną piwnicy, ^straszone światłem lampki oliwnej myszy rozbiegły się po kątach. W półmroku rysowały się pękate brzuchy zakurzonych amfor. Na okrągłym, stojącym pośrodku kamiennym stole stał wyplataný kosz, a w ściennych niszach złożono zardzewiałe narzędzia. Znajome kształty, lecz czuł, jak ściska go lodowata dłoń. Przywołał się do porządku i zaczął szukać, aż wreszcie w rogu znalazł jeden z dzbanów noszący grecką pieczęć.

-I właśnie wtedy, gdy go otworzyłem i wino zabulgotało w dzbanie...

Ciałem chłopca wstrząsnęły dreszcze. Juliusz wstał, odczekał chwilę, po czym podszedł do niego, kładąc mu ręce na ramionach.

- Tylko spokojnie, wszystko w porządku. Co stało się potem?

- Nagle sparaliżował mnie strach. Chciałem się ukryć za którąś amforą, ale ciało miałem jak z ołowiu. Koszmar powrócił i wydało mi się, że znowu pojawi się ten cień...

- Co było dalej?

- Zauważyłem, jak wino się przelewa, przykro mi, to drogie wino z Samos... - wyjąkał Flawiusz.

Juliusz odpowiedział uśmiechem.

- Nie myśl o tym, opowiadaj dalej.

- Odstawiłem amforę, wziąłem dzbanek, krok po kroku wyszedłem tyłem z piwnicy, zatrzasnąłem drzwi i usiadłem na schodach. Drżałem, a nogi miałem jak z wosku, tak że przez dłuższy czas nie mogłem zrobić ani kroku.

Juliusz spojrział na niego w zamyśleniu.

- Czego oczekujesz ode mnie?

- Chcę się dowiedzieć, co naprawdę się wtedy stało. Wtedy, w Lopodunum.

Tego właśnie pytania jego stryj zawsze się obawiał. Teraz zawisło w powietrzu, a chłopiec liczący sobie czternaście lat był wystarczająco dojrzały, aby domagać się odpowiedzi. Juliusz zaczął miętosić w palcach płatek prawego ucha.

- Nie masz żadnych wspomnień?

Flawiusz zaprzeczył, kręcąc głową.

- Nie. To, co zdarzyło się wcześniej, przed czasem tu na gospodarstwie, jest nieprzeniknione jak mgła na dnie doliny. Pojawiają się tylko urywki i czasami dręczą mnie sny.

Juliusz długo wpatrywał się w migotliwy płomień lampy.

- To dobrze, być może tak jest nawet lepiej. Twoja przeszłość jest przecież częścią i mojej przeszłości.

Mężczyzna oddychał ciężko. Nalał do kubka wina i nieco wody, po czym siorbiąc, skosztował jego zawartości. Wypił większy łyk, odchrząknął i rozpoczął swoją opowieść.

- Wkrótce minie osiem lat. Często stawiałem sobie pytania, czy los miasta z góry był przesądzony, czy też rozgniewałem któregoś z bogów. Miałem w rękach ostrzeżenie. Być może mogłem uratować twoją matkę i miasto. Ale byłem słaby. To moja wina...

Brunatna ćma okrążyła lampkę oliwną, ale nadleciała zbyt blisko. Płomień zasyczał i owad z nadpalonymi skrzydłami spadł na ziemię. Juliusz przyglądał mu się chwilę, a następnie kontynuował opowieść aż do chwili, kiedy to trzeba było ukryć w piwnicy.

- Poczulem, że nie mogę powstrzymać kichnięcia, chociaż można się było spodziewać najgorszego. Byłem bezsilny - spojrzał na chłopca i drgnął, gdy załomotała otwarta okiennica.

Do pomieszczenia wdarł się podmuch wiatru, prawie gasząc nikły płomyk, więc Flawiusz wstał, aby zamknąć okno. Gdyby w izbie nie było tak ciemno i nie wyjrzałyby krótko na zewnątrz i gdyby księżyc skrył się właśnie za chmurą - nic by nie dostrzegł. Ale jego oczy zauważyły w oddali jakiś ruch.

Młodzieniec zmrużył oczy, próbując przeniknąć nocne ciemności. Wreszcie, gdy nabrał pewności, skinął na stryja. -Juliuszu, zbliża się jakiś jeździec! Tęgi mężczyzna wstał i natychmiast znalazł się przy oknie.

- Gdzie? Nic nie widzę.

- Jest na drodze, na lewo od świątyni!

Podczas gdy Juliusz patrzył na pola skąpane w srebrnym zimnym blasku, wzrok chłopca zatrzymał się na świątyni. Nie było tam czegoś? Krótkie błysniecie pod krużgankami? Światło księ-

życa oświedało tylko skrawek pod dachem, więc ruchu można się było jedynie domyślać. Już chciał powiedzieć, że się pomylił, ale zobaczył skuloną postać skradającą się od świątyni ku kamieniom wotywnym. Jednocześnie po drugiej stronie z cienia sosny wyszło dwóch mężczyzn. Przez chwilę stali jak posągi, potem wchłonęła ich ciemność portyku. Podmuch wiatru zakolysał czubkiem smukłego drzewa.

- Juliuszu, czy to możliwe, że ktoś składa tam jeszcze ofiarę?

- Nie, świątynia jest zamknięta. Druzylla ma do niej klucz. Dlaczego pytasz?

Flawiusz opowiedział mu o tym, co dostrzegł. Juliusz przerwał mu w pół słowa.

- To rabusie! Nasz sąsiad Marcus Severus wspominał mi przed tygodniem, że napadnięto go niecałe dwie leugi stąd. Spróbuj ostrzec jeźdźca, a ja wyślę naszych ludzi!

Gdy Flawiusz, gestykulując przy oknie, wrzeszczał na całe gardło, Juliusz przebiegł przez dziedziniec i jednym ruchem otworzył drzwi szachulcowego domostwa, gdzie spali niewolnicy.

- Zbóje są przy świątyni, chwycicie za pałki! Fabricius, ty razem z pięcioma innymi ruszycie biegiem przez pola. Feliks, osiodłaj mojego konia i też tam galopuj. Pozostali niech obsadzą bramę i oświedą pochodniami dziedziniec. I niech Jupiter ma w opiece tego, kto się będzie ociągał!

Sapiąc, ruszył z powrotem do swojej izby, gdzie Flawiusz ciągle stał przy oknie.

- I co, usłyszał cię?

- Nie, dalej zmierza ku świątyni. Pod wiatr głos się nie niesie. Trzeba czegoś głośniejszego, dużo głośniejszego...

Juliusz zamarł na chwilę, a potem uderzył się w czoło.

- Mam pomysł. Chodź ze mną!

Głowa jeźdźca opada ku przodowi. Podrywa się wystraszony, mruga oczyma, złości się na samego siebie. To pomaga mu zachować czujność - pomimo zmęczenia, kołyszącego stępa konia, a także soczystej pieczeni i wina, jakimi uraczył się w gospodzie przy głównym trakcie. Droga okazała się łatwa do znalezienia, dokładnie taka, jak ją opisał tęgi szynkarz, rysując grubymi palcami w powietrzu.

- Ciągnie się przez pola, najpierw tak, potem tak, potrzebuje cie około godziny.

- I zawsze swobodny widok? Żadnych kotlin ani lasu? - zapytał.

- Nie, nie, mój panie. Bezpieczna droga. Kiedy znajdziecie się koło małej świątyni, skręćcie w prawo, a po połowie leugi osiągniecie posiadłość.

Jeździec poprawia się w siodle, spoglądając wokoło. Z przodu, w świetle księżyca rysuje się biały mur. To musi być świątynia. Wkrótce będzie na miejscu.

Siwek stąpa ku budowli, już można rozpoznać kamienie wotywne przy drodze. Jeszcze dwadzieścia, dziesięć, pięć kroków. Czy nie czai się coś pomiędzy głazami? Wilk? Człowiek? Może to tylko złudzenie.

Jego ręka sięga niezdecydowanie ku rękojeści krótkiego miecza, gdy słyszy dźwięk trąbki. Sygnał alarmowy legionów - każdy, kto kiedyś w nich służył, rozpozna go, nawet pogrążony we śnie! Wrywa broń z pochwy, gdy spomiędzy kamieni wyskakują cztery cienie. Jeden sięga po cugle konia, drugi chwytą go za lewą nogę, aby ściągnąć go z wierzchowca. Klinga miecza przecina ze świstem powietrze, chroniąc przed pałkami dwojga pozostałych dwóch napastników. Ci odskakują, żeby po chwili znowu zaatakować. Jeździec pochyla się, zadając cios. Broń zagłębia się w czymś miękkim, lewa noga odzyskuje swobodę ruchów. Nagle czuje dotkliwy ból w prawym udzie. Jeszcze jeden cios w tę

samą stronę, przez chwilę widzi ciemne oczy pod zmierzwionymi włosami, potem mężczyzna ze sztyletem potyka się i upada na wznak.

Koń z rzeniem staje dęba, bijąc przednimi kopytami, zbój trzymający cugle musi je wypuścić, ale jeździec nie widzi, czy został trafiony. Znowu pojawia się napastnik z pałką, doskakuje i odskakuje, zamachując się groźnie nad jego głową. Czeką na okazję do ciosu czy chce tylko odwrócić jego uwagę? Ostrzeżony instynktem pochyla się w przeciwną stronę i tnie mieczem przez chłodne, nocne powietrze. Mocne uderzenie, mało brakowało, a straciłby oręż, ale pałka mężczyzny rozlatuje się w drzazgi. Chce spaść konia ostrogami, ale siwek nie daje się okiełznać, dalej tańczy niespokojnie, prawie wyrzucając go z siodła.

Przez chwilę wydaje się, że świat się zatrzymał, nocny obraz już na zawsze wyryje mu się w pamięci: ciemna sosna, świątynia, pobliski las, oblane blaskiem księżyca pola, przez które galopuje jeździec. Prosto w jego kierunku. Grupa mężczyzn pędzi ku niemu. „To już koniec”, myśli. Ale jeździec nie zwraca się przeciw niemu, lecz atakuje pałką jednego z mężczyzn, który próbuje się ratować ucieczką między drzewa. Nadbiegają inni i w tej chwili księżyc zachodzi za chmury. Pokrzykiwania, odgłosy walki, okrzyki bólu, potem oddalający się tupot stóp. Przybysz na koniu zbliża się ku niemu, mówiąc z galijskim akcentem:

- Salve. Mam na imię Feliks.

Kwadrans później stukanie kopyt i głośnie rozmowy obwieszają zbliżanie się większej grupy ludzi. Skrzydła dębowej bramy otwierają się ze skrzypieniem, aby wpuścić nadchodzących na bezpieczny, oświetlony pochodniami dziedziniec. Ktoś zapomniał zamknąć kojec z gęsiami - gęgając i sycząc, ptaki spacerują pomiędzy nogami ludzi.

Juliusz wyszedł z willi, aby powitać nieznanego gościa. Ale już po kilku krokach jego twarz rozjaśnił uśmiech i zapominając o zachowaniu godnej postawy, podbiegł ku nieznanomemu.

- Ulixes, to ty? Merkuremu niech będą dzięki!

- A ja dziękuję Mitrze i twoim ludziom, drogi Juliuszu!

Gospodarz odwrócił się, wskazując na Flawiusza stojącego kilka kroków za nim.

- Podziękowanie należy się przede wszystkim mojemu bratanowi. To on cię wypatrzył!

Chłopiec podszedł bliżej, aby przyjrzeć się przybyszowi. Uli-xes Gabinius Aquila, jak brzmiało jego pełne imię, był wysokim, szczupłym mężczyzną w wieku pięćdziesięciu lat o ostrych rysach twarzy, krzaczastych brwiach, charakterystycznym rzymskim nosie oraz czarnych, krótkich włosach. Miał na sobie ciemny płaszcz z kapturem, pod nim brązową tunikę spiętą czerwonym skórzanym pasem z szeroką klamrą z brązu. Na nogach czarne skórzane trzewiki, a na prawej ręce w świetle pochodni pobłyskiwał złoty sygnet z turkusem. Gdy zamasyżście zsiadł z wierzchowca, przez chwilę podobny był rzeczywiście do drapieżnego ptaka rozkładającego swoje skrzydła. Nie mógł mieć lepszego przydomku niż „aquila”, przemknęło przez myśl Flawiuszowi, który już na zawsze miał zapamiętać tę chwilę jako nocne spotkanie orła. Gdy niezajomy zwrócił się ku niemu, w jego postawie nie było niczego drapieżnego. Spokojny uśmiech mimowolnie ujął młodzieńca.

- Flawiuszu, cieszę się bardzo z poznania ciebie. Nieomal nie doszłoby do niego, gdyby nie twoja spostrzegawczość...

Zrobił krok w jego kierunku, utykając lekko, a chłopiec dojrzał z przerażeniem wilgotną plamę na tkaninie na wysokości uda. Uli-xes zauważył jego spojrzenie.

- Nic groźnego, pewnie jakieś draśnięcie, jeden z napastników zaatakował mnie sztyletem.

- Trzeba ranę zaraz opatrzeć! - krzyknął Juliusz. głosem nieznośnym żadnego sprzeciwu.

Skinął na niewolników, którzy wsparli rannego i poprowadzili ku willi:

- Zaprowadźcie go do letniej jadalni i ułóżcie na ławie. Zaraz przyniosę szarpie.

Pomieszczenie, w którym Ulixes spoczął nieco później, łączyło się ze środkową aulą. Budowniczy willi tęsknił pewnie za rodzimymi Pompejami i przyozdobił małą salę w modnym tam wówczas stylu. Trzy kamienne ławy tak wmurowano wzdłuż ścian, że ich powierzchnie lekko się wznosiły ku wolnemu środkowi. Stał tam mały, również kamienny stół, na którym na gości czekała już karafka z wodą. Światło dawały lampki zawieszane na wysokich stojakach. Ławy pokryto drobno tkanymi narzutami, których czerwony kolor pasował do fresków na ścianach.

Zjawiła się stara służąca. Odsunęła ostrożnie przesiąkniętą krwią tkaninę, pomrukując pod nosem:

- Co wy, mężczyźni, robicie - potrząsnęła głową. - Rana cięta, ale długa i z pewnością bolesna. Oczyszczę ją i opatrzę.

Flawiusz przyglądał się, jak delikatnie jej sprawne ręce moczą szarpie w winie, przemywają skrwawioną skórę, osuszają długie na palec rozcięcie, nakładają liście tamującego krwotok krwawnika i zakładają czyste lniane płótno przed umocowaniem opatrunku pasmem materiału. Matidia знаła się na ziołach i ranach, wyleczyła już niejedną chorobę, a nauczyła się tej sztuki nie od kogo innego, jak tylko od swojej matki.

- Nie potrafię jej zaszyć. Do tego trzeba wezwać z miasta me dyka. Ale jeśli pozwolicie sobie na tydzień odpoczynku, to zagoi się i tak. Przyniosę wam teraz gorącego wina z rozmarynem.

Ulixes spojrział na nią z uśmiechem.

- Dzięki. Odpocznę trochę i skorzystam z gościnności Juliusza. Druzylli oczywiście też, a gdzież się ona podziewa?

Juliusz wzruszył ramionami.

- Znowu wybrała się do Augusta Treverorum kupować buty, odwiedzić przyjaciółki i ondulować włosy. Przybędzie chyba za parę dni. Pewnie jesteś głodny? - tęgi gospodarz podniósł dłoń, aby wezwać niewolnika, gdy gość powstrzymał go.

- Wielkie dzięki. Posiliłem się w gospodzie przy trakcie.

- Odważyłeś się wejść? Do tej spelunki!

- Musiałem przecież zapytać gdzieś o drogę. A kiedy poczułem zapach pieczonego na ogniu...

Pan domu pokiwał w zamyśleniu głową.

- Pewnie właśnie dlatego napadnięto cię w tym ustronnym miejscu. To na pewno nie był przypadek.

- Myślisz, że rabusie to nie byli jacyś obcy?

- Mam nadzieję, że tak - odparł Juliusz. - Ale nie wydaje mi się.

Następnego ranka Ulixes wstał bardzo wcześnie. Zwykle wystarczył mu krótki spoczynek, ale tym razem obudziła go rana. Wyszedł z izby i nie powodując hałasu, przeszedł korytarzem do kuchni. Rozglądał się wokoło, aż z zamyślenia wyrwał go czyjś głos:

- Tak wcześnie jeszcze nic nie podają!

Odwrócił się zaskoczony. Za nim stała kobieta, która wczoraj opatrzyła mu ranę.

- Nie jestem tu z powodu jedzenia, wręcz przeciwnie...

Matidia spojrzała na niego z politowaniem.

- Biedne mieszczuchy uwięzione w ciasnych klatkach! U nas latryna jest nie przy kuchni, tylko koło łaźni.

Udał się we wskazanym kierunku i doszedł do podcieni. Pochylił się przez balustradę, delektując się ciepłym porannym słoń-

ca, gdy usłyszał skrzypnięcie drzwi. Kątem oka dostrzegł Juliusza wychodzącego z sypialni. Kroki tęgiego pana domu odbijały się echem w całej galerii. Oddychając ciężko, podszedł do gościa.

- Jak się czujesz, co z raną?

Ulixes dotknął opatrunku.

- Dobrze. U was pewnie będę mógł zażyć nieco spokoju.

Juliusz powędrował za jego wzrokiem. Na lewo od nich wiatr kołysał w sadzie ciemnozielonymi liśćmi drzew. W trzech rzędach stały wiśnie, morele i brzoskwinie. Jeszcze przed kilkoma tygodniami gałęzie uginały się pod ciężarem czerwonych i żółtych owoców.

- Wszystko to sprowadziliśmy do tego kraju my, Rzymianie - w głosie gospodarza pobrzmiwała nieskrywana duma. - Tak samo jak i winną latorośl, ogrzewane domy z cegieł, szklane szyby, akwedukty, łaźnie... Właściwie wszystko, co czyni życie wartym przeżycia.

- Polubiłeś ten kraj?

Juliusz przytaknął.

- Posiadłość należy do Druzylli, ja jestem tylko zarządcą, bo mój majątek spłonął w Lopodunum. Ale czuję, że zapuściłem tu korzenie tak jak te drzewa.

Ulixes uśmiechnął się lekko, pogrążony w myślach.

- To musi być piękne - mieć miejsce, które nazywa się rodzinnymi stronami.

Juliusz milczał przez chwilę, a potem, udając beztroskę, zaproponował:

- Właśnie idę do łaźni. Chcesz też skorzystać? Tam możemy kontynuować naszą rozmowę.

Ulixes przytaknął. Już zauważył tę niską budowlę. Położona była nieco na uboczu, aby wiatr nie przynosił iskier z ognia na główny budynek, a mimo to łatwo dostępna również zimą. Mężczyźni usiedli w latrynie na ławie z szeregiem otworów, pod którymi umocowano rynnę. Wymienili kilka nieznaczących zdań, potem użyli umoco-

wanych na drążkach gąbek, aby się oczyścić, i splukali nieczystości wodą z wiadra. Na koniec, przed opuszczeniem łaźni, zwilżyli jeszcze twarz i ręce. Juliusz położył dłoń na ramieniu Ulkesa.

- Rozejrzyj się nieco w naszym świecie. Nie jest on wielki ani wspaniały, składa się w głównej mierze z pracy i trzydziestu leug. Poza tym nikt nie wie, że istniejemy.

Przeciągnął ręką po włosach i kontynuował.

- Tak, tu nie jestem radcą miejskim, ale za to odpowiadam za prawie dwa tuziny osób, gospodarstwo i inwentarz. Dlatego wybac, ale na chwilę muszę zajrzeć do obory, dojrzeć maciory, która wczoraj się oprosiła i ma pięcioro prosiąt. Spotkamy się przy śniadaniu.

Ulixes podszedł do stojącej otworem bramy. Robotnicy ruszali w pole, a pogwizdujący pod nosem parobek pędził właśnie łaciate brązowe krowy. Pobrękiwanie dzwonek słyszeć było jeszcze długo, gdy szły powoli drogą, którą on pokonał wczoraj w tak awanturniczy sposób. Naprzeciwko nich pojawił się drobny mężczyzna niosący na ramieniu spory tobołek. Gdy energicznym krokiem dotarł do bramy, spojrzał na Ulixesa podejrzliwym wzrokiem, zapytując z obco brzmiącym akcentem:

- Salve. Z kim mam zaszczyt?

- Ulixes Gabinius Aquila, coeparius, przejazdem! - padła odpowiedź.

Przybysz wyglądał, jakby poczuł znaczną ulgę, wyciągnął rękę:

- Witam, skoro nie jesteście nauczycielem, który takiemu biednemu szarakowi jak ja chciałby zabrać chleb. Bo za tak nędzną za płytę, jaką tu dają za naukę, nawet ten tam pasterz nie przerwałby sobie południowej drzemki, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Guwerner wskazał w kierunku stada krów, a Ulixes już miał go zapytać, dlaczego wobec tego nie pasie bydła, zamiast zajmować się wbijaniem podstaw wiedzy młodzieży mieszkającej na wsi. Zdecydował się jednak potrząsnąć przyjaźnie wyciągniętą ręką.

- A z kim ja mam przyjemność?

- Mam na imię Hermokrates, jestem nauczycielem. Los przygnał mnie do tej odległej prowincji ze słonecznej Syrii i zarabiam na utrzymanie, w rzeczy samej bardzo skromne, wędrując od majątku do majątku - szeroki gest ręki podkreślił jego słowa. - Na szczęście posiadłości dzieli od siebie tylko kilka godzin marszu, więc nauczam przez parę dni, a potem ruszam dalej. W tym czasie ziarno wiedzy ma dość czasu, aby wyschnąć w młodzieńczych głowach, co sprawia, że w następnym tygodniu muszę zaczynać nieomal od początku. Ale - drobny pedagog pochylił się, marszcząc krzaczaste brwi - skoro nie chce się sięgnąć do sakiewki po parę denarów na własnego nauczyciela...

Zdanie zawisło w powietrzu niedokończone, niczym zaproszenie dla słuchacza, aby sam wyobraził sobie skutki takiego postępowania. Chwilę potem Hermokrates zdecydowanym krokiem pomaszerował w stronę kuchni. Uczeń mógł o tej porze nie być jeszcze gotowy na przyjmowanie wiedzy - natomiast jego żołądek domagał się jedzenia.

Nieco później przy śniadaniu spotkali się Juliusz, Ulixes i Flawiusz, a chłopiec z niecierpliwością wyczekiwał okazji do zadania pytania.

- Słyszałem, że nazywają was coeparius. Co to właściwie znaczy?

Ulixes napił się wody.

- Tym łacińskim słowem zwykło się określać w Germanii wędrownych handlarzy. Właściwie oznacza ono coś jak „szachraj”, co pozwala sądzić, że moi koledzy nie zawsze wykazują się rzetelnością.

Flawiusz przyjrzał mu się dokładniej.

- A wy jesteście inni?

- Słuszne pytanie - przyznał Ulixes. - Owszem, próbuję być inny, gdyż wiele podróży i wracam do miejsc, gdzie już raz by-

łem. Od szybkiego zysku bardziej wolę, kiedy klienci cenią sobie moje towary i ceny. Poza tym to także kwestia bezpieczeństwa.

- Zbyt chytry handlarze sporo ryzykują?

- W Cesarstwie i po drugiej stronie granicy, pośród barbarzyńców, obyczaje nie są tak dzikie, ale rabusiów nie brakuje i tutaj, a w leśnych ostępach liczy się tylko to - Ulixes podstawił Fla-wiuszowi pod nos swój nóż, po czym ukroił sobie kromkę chleba i ułożył na niej plastry kielbasy. - Lepiej mieć opiekuna, któremu zależy, żebyś przybył z następną wizytą i podróżował jako gość jednego plemienia, chętnie widziany również u sąsiada. Nie każdy germański wódz ma okazję zaopatrzyć się podczas napadów na rzymskie miasta w szkliwo, wino czy barwione tkaniny.

Gdy Ulixes przeżuwał kęs, Flawiusz zamyślił się, a potem zapytał:

- A czemu podróżujecie teraz w pojedynkę?

- Nie byłem tu już od dłuższego czasu i muszę się najpierw zorientować, na co w tych czasach ludzie są skłonni wysupłać pieniądze z sakiewki.

- A czym handlujecie? - dopytywał się dalej młodzieniec, bo większość potrzebnych na co dzień artykułów wytwarzano w gospodarstwie.

- Rzeczami, których Germanie poszukują: czerwoną terra sigilata, naczyniami ze szkła, klamrami do pasów, tkaninami ze Wschodu, poza tym przyprawami i winem. Wszystkim, co nie jest zabronione.

- Zabronione? Przez kogo?

- Cesarskimi edyktami. Na granicy są kontrole. Na przykład nie wolno wywozić żelaza, pszenicy, soli i osełek.

- Osełki - westchnął Juliusz. - To dlatego musimy utrzymywać tyłu urzędników. Żeby barbarzyńcy, nie mając ostrych mieczy, odstąpili od wojen...

- ...albo z ciężkim sercem rozbijali nam głowy pałkami - burknął Ulixes, odgryzając kolejny kęs.

- A co dostajecie od Germanów? - ciekawość Flawiusza rosła.

- Niejedno. Niektórzy wodzowie plemion mają rzymską mone-
tę, którą w swojej roztropności wcisnęli im nasi wodzowie, gdy nie
mogli pokonać ich w bitwie. Mówi się na to dar przyjaźni, ale można
to nazwać też ceną spokoju. Ja osobiście biorę najchętniej glaesum.

- Co to takiego? - tego słowa młodzieniec jeszcze nie słyszał.

- Lekki, złocisty i przezroczysty kamień, o którym tradycja mówi,
że to łzy Faetona. Ja natomiast przyznaję rację Tacytowi, że to żywica
drzew, ponieważ widać zamknięte w jego wnętrzu owady.

Ulixes sięgnął po kolejny plaster kielbasy i mówił dalej:

- Poza tym Germanie oferują skóry albo jasne włosy niewieście.

- Włosy kobiet? Komu to może być potrzebne? - roześmiał się
chłopiec.

- Widzę, że to ustronie ustrzegło cię przed niejedną ekstrawa-
gancją życia pędzonego przez mieszczuchów! - przyznał rozwese-
lony Ulixes. - Wiele rzymskich kobiet poszukuje ich namiętnie,
gdyż służą do przyozdabiania wyszukanych fryzur, a...

- Nie będziemy teraz zajmować się kwestią kobiet - przerwał
Juliusz. - Widzę, że Hermokrates stoi już w drzwiach.

Guwerner zdawał się tylko czekać na te słowa. Odchrząknął
głośno, pytając następnie z godnością:

- Flawiuszu, jak długo chcesz jeszcze oddawać się bezczynno-
ści? Twój grammaticus jest gotów, aby napić cię u źródeł mądro-
ści, jeśli można tak powiedzieć.

Młodzieniec westchnął, ale niecierpliwy gest ze strony Juliusza
sprawił, że wstał. Przyniósł przybory do pisania i usiadł wraz z nauczy-
cielem w zaułku krużganku. Najpierw musiał powtórzyć kilka trud-
niejszych zadań matematycznych z ostatniego tygodnia i - w przeci-
wieństwie do pesymistycznej oceny Hermokratesa - nie tylko wszyst-

ko zapamiętał, lecz także odrobił zadane ćwiczenia. Rylec z brązu mozolnie stawiał długie kolumny znaków na woskowej tabliczce, następnie nauczyciel ocenił wynik, stwierdzając z zadowoleniem:

- Dobrze, teraz greka.

Stłumione westchnienie wyrwało się z piersi chłopca, ale nie było ucieczki. Płaską końcówką rylca wygładził woskową tabliczkę, po czym powoli zaczął ryć na niej greckie litery. Środa i czwartek były dniami nauki. Z łaciną i rachunkami mógł się jeszcze pogodzić, ale po co miał się uczyć greki, tego nie był w stanie zrozumieć mimo najlepszych chęci.

Ulixes podszedł bliżej, przyglądając się im. Napięta postawa ciała chłopca aż zanadto dobitnie świadczyła o jego niechęci. Gość wrócił pamięcią do swoich lat szkolnych.

- Pocieszę cię, Flawiuszu. I ja za młodu narzekałem na grekę. Ale używa się jej na wschodzie Imperium, a i tutaj wielu ją rozu mie. Jeśli losy zaprowadzą cię kiedyś w dalekie strony, to sam się przekonasz, że obce języki to najbardziej przydatne rzeczy, jakich się można nauczyć.

Flawiusz spojrział na swojego rozmówcę. W świetle dnia ten mężczyzna wydał mu się jeszcze bardziej fascynujący. Jego raczej arystokratyczne maniere i nieco ironiczny, nieprzenikniony sposób bycia nie bardzo pasowały do wędrownego handlarza, nawet jeśli zajmowałby się sprzedażą połączanych kotłów z miedzi czy farbowanych purpurą tkanin.

- Znać grekę? - zapytał.

- Owszem, a podczas moich podróży... Ale o tym opowiem ci chętnie innym razem, gdy już skończysz swoje lekcje.

To powiedziałwszy, odszedł, zaś Flawiusz skupił się na tym, co jego grammaticus zwykł określać mianem „mowy Homera, Sokratesa i Aleksandra”. Skoro tajemniczy gość uznał, że warto znać grekę, to może ta udwórka nie była całkiem daremna.

Kolację Feliks i Matidia przygotowali w triclinium. Podano potrawkę z ziającą w mocno pikantnym słodko-kwaśnym sosie, a do tego oliwki oraz pieczony w gospodarstwie chleb. Cztery łyżki wędrowały raz po raz do dymiącego kociołka, gdyż Ulixes zaproponował, aby zaproszono także Hermokratesa. Nauczyciel zachowywał się niezwykle powściągliwie, co rusz zerkając spod oka na coepa-riusa, aż wreszcie ten zwrócił się do niego.

- Waszą ojczyzną jest Syria?

Nauczyciel energicznie skinął głową.

- Owszem, Dura Europos. To dawna kolonia grecka nad Eufratem.

- A teraz? - zapytał Flawiusz z pełnymi ustami.

- Ruiny, pośród których hula wiatr. Persowie zniszczyli wszystko.

- Armia Szapura? - Juliusz wspomniał jedyne go władcę, którego imię było mu znajome.

- Tak! Niech Baal spali ogniem jego dom, a jego samego niechaj złe duchy rozerwą w powietrzu! - Hermokrates sapnął gniewnie. - Minęło prawie dziesięć lat. Odwiedzałem właśnie moich przyjaciół w Palmirze. To miasto tyran ominął szerokim łukiem i tym sposobem bogowie mnie uratowali, ale perskie hordy wymordowały całą moją rodzinę. Wtedy zdecydowałem się, że wyjadę, i to jak najdalej. Wędrowałem, aż dotarłem do zachodniej części Imperium, gdzie nie muszę się obawiać konkurencji ze strony innych nauczycieli greki.

Juliusz skinął w zamyśleniu głową. Niespokojne czasy, dramatyczne losy.

- A jaka jest Palmira? - zapytał.

Hermokrates wyprostował się dumnie.

- Palmira to miasto słynne ze swego położenia, bogactw oraz źródeł. Jej pola ze wszystkich stron otacza szeroki pas pustyni. Od zawsze oddzielone przez naturę od otaczającego świata, miasto

samo decyduje o swoich losach pomiędzy dwoma wielkimi imperiami Rzymian i Persów - spojrzął na swoich słuchaczy i dodał: -Tak pisze Pliniusz Starszy w piątym tomie swojej *Historii*.

- Dziękuję, umiemy czytać - uśmiechnął się Ulbes. - Nas interesuje bardziej wasze zdanie.

- Moje zdanie? - Hermokrates wsparł się na lewej ręce, sięgnął po kielich z winem i wziął głębszy łyk. - Cud na pustyni. Metropolia pełna nieprzebranych bogactw, i to pośrodku dzikiego pustkowia. Ale karawany dostarczają wszystko: futra i purpurę, perły i szkło, kadzidło i niewolników, błękitne lapis-lazuli i białą kość słoniową. Szlaki handlowe wiodące przez pustynię prowadzą przez Palmirę ze względu na źródła wody. Miasto zgarnia wysokie cła, nie licząc opłat za ochronę karawan. Kupcy są tam bardzo dumni i mają tyle złota, ile my kasztanów.

Przez chwilę panowała cisza, potem Juliusz zapytał:

- Nie powoduje to napaści ze strony sąsiadów?

Hermokrates przytaknął.

- Owszem, ale to nie takie proste. Przed trzema stuleciami pewien rzymski wódz...

- Wydaje mi się, że był to Marek Antoniusz - wtrącił się Ulixes.

- ...jak więc wspomniałem, pewien rzymski wódz chciał złupić miasto. Ale mieszkańcy wraz ze swoim dobytkiem zbiegli na pustynię. Dzisiaj otoczono je wprawdzie niskim murem, ale najlepszą ochroną są bezkresne piaski i palmirscy łucznicy na rącznych dromaderach. - Hermokrates sięgnął do kociołka z potrawką, zaś Flawiusz przyglądał mu się ze zdumieniem. Za napuszoną mową krył się zupełnie ktoś inny. Człowiek z uczuciami, losem i niezwykłymi przeżyciami. Zapalony ciekawością chciał się dowiedzieć czegoś więcej.

- A jak wygląda Palmira?

- Wspaniale - Hermokrates przerwał jedzenie i roztoczył przed oczyma słuchaczy obraz miasta: aleje otoczone kolumnadami z set-

kami posągów z brązu, świątynia o złożonych kapitelach, forum z panującym na nim gwarem,

Gdy Juliusz dał znak do powstania, było już późno, a w głowie Flawiusza kotłowały się obrazy. Usiadł jeszcze na chwilę na swoim łóżku i im dłużej wpatrywał się w płomień świecy, tym bardziej dochodził do przekonania, że jego życie zaczyna się zmieniać.

Dopiero wiele lat później miał się dowiedzieć, co tysiące mil na wschód sprawiło w przerażenie żyjących tam ludzi: zamordowano Odenatusa, króla Palmiry. Na tronie zasiadła Zenobia, wdowa po nim.

Dwa dni później, gdy Hermokrates powędrował dalej, Flawiusz usiadł wraz z Ulixesem na tarasie, próbując składać greckie słowa w proste, *choć* nieco kulawe zdania. *Od strony ogrodu nadszedł* Juliusz i wchodził właśnie po schodach, gdy głos chłopca wyrwał go z zamyślenia.

- Kiedy opowiesz mi, co się stało w piwnicy?

Juliusz podrapał się po głowie.

- Właściwie mam jeszcze coś do policzenia...

- W piwnicy? - przysłuchujący się Ulixes zmarszczył czoło.

- Mój stryj opowiadał mi o zniszczeniu Lopodunum - wyjaśnił Flawiusz.

- Prawie skończyłem, gdy chłopiec przypadkiem zobaczył, jak nadjeżdżasz oświetlony blaskiem księżyca - Juliusz spojrzął na gościa i wzruszył ramionami. - No cóż, może to i lepiej, jeśli będę to miał już za sobą.

Skinął na jednego ze służących, aby przyniósł mu krzesło, a dla wszystkich sok jabłkowy, wyciągnął nogi i zaczął:

- Było to w piwnicy mojej willi w Lopodunum. Germanie napaśli na miasto. Siedziałem w beczce, czując coraz bardziej kręcenie

w nosie. Wreszcie kichnąłem. Stojący obok uciekinier wydał przytłumiony okrzyk, rabuś przyskoczył i zadał cios mieczem. Pierwsze uderzenie chybiło, odcinając szyjkę amfory. Drugie okazało się celne. Rozległ się głośny jęk i odgłos padającego ciała. Germanin nasłuchiwał przez chwilę, potem wciągnął powietrze, odłożył z brzękiem miecz, chwycił pełną jeszcze dolną część amfory i przyłożył do ust. Niemal bez końca słyszałem tylko odgłos bulgotania, potem głośne beknięcia. Napastnik wziął swój oręż i ruszył ku schodom. Pokonał kilka stopni, a potem zagadał coś do siebie w germańskim dialekcie, niezrozumiałym dla mnie, ale znajomym chłopcu, który zawołał coś do niego ukryty w kącie. Odwrócił się, zachwiał się i runął w dół. Gdy stękając ciężko, szukał po omacku miecza na podłodze, w mojej głowie kotłowały się myśli. Jeśli nie będę szybszy, to zabije nas obu!

Juliusz zerknął na trzymany w ręku kubek, łyknął soku, otarł usta i opowiadał dalej:

- Odrzuciłem pokrywę beczki, wstałem i chciałem wyjść, ale antał się przewrócił. Posca wylała się na leżącego rabusia, który parsknął i kaszlał, próbując wesprzeć się na rękach. W dwóch skokach znalazłem się przy nim, pochwyliłem górną część rozbitej amfory i roztrzaskałem mu czaszkę. Padł, nie wydawszy jęku. Wtedy chłopiec zaczął przeraźliwie krzyczeć. Próbowałem go uspokoić, ale bez skutku. Krzyczał dalej, więc wyciągnąłem go z kąta i wymierzyłem mu kilka policzków. Patrzył na mnie wystraszony, pochlipując cicho, a ja, drżąc na całym ciele, usiadłem obok niego. Trwałem tak przez dłuższą chwilę, sparaliżowany strachem. Kim był uciekinier, czy żył jeszcze? Wyciągnąłem przed siebie rękę, obmacując w ciemnościach podłogę, aż natrafiłem na jego ciało, próbując wyczuć puls. Nic, tylko na ręce znana mi bransoleta: Modestus. Przełknąłem ślinę i sięgnąłem ku Germaninowi. I on nie dawał znaku życia. Co teraz? Środek nocy, obok mnie dwoje

zwłok, a do tego płaczące dziecko. Rankiem zjawiają się pozostali napastnicy, aby przetrząsnąć wszystkie zakątki. Mogłem sobie wyobrazić, co mnie wtedy spotka. Spojrzałem na zabitego barbarzyńcę, którego kontury ciała rysowały się w mroku. Nie będzie już potrzebował swojego odzienia, a mnie mogło ono uratować życie. Ostrożnie odwróciłem bezwładne ciało na plecy, aby je rozebrać, ale on, choć martwy, wcale nie ułatwiał mi zadania. Wreszcie udało mi się. Gdy nałożyłem przyodziewek, z trudem powstrzymywałem torsje, gdyż posca i pot cuchnęły nie do wytrzymania. Odrobiną wina z amfory uspokoiłem chłopca, potem sam wziąłem głębszy łyk i obaj wykradliśmy się z domu.

Juliusz wsparł głowę na dłoniach, patrząc nieruchomym wzrokiem przed siebie.

- Niezauważeni przez nikogo dotarliśmy nad rzekę, gdzie była łódka, którą kupiłem potajemnie dwa dni wcześniej. Czekał tam Feliks z zapasami dla nas wszystkich. Szybko odbiliśmy od brzegu i cicho szumiący Neckar poniósł nas przez noc. Dopłynęliśmy nim do Renu, którym po kilku dniach mieliśmy dotrzeć do Mogontiacum. Jeśli coś miało się oprzeć germańskiej nawale, to tylko ta twierdza, gdzie stacjonował legion. I tak też się stało.

Juliusz zamilkł, a Flawiusz ośmielił się zadać mu pytanie.

- Nie chciałeś nigdy wrócić po ukryte brązy z portalu?

Mężczyzna pokręcił głową, wstał i odetchnął głęboko.

- Wybaczcie, proszę, ale mam jeszcze coś do zrobienia.

Flawiusz pochwycił rękę stryja i spoglądając mu w oczy, szepnął cicho „dziękuję”. Chwilę potem zbiegł po schodach, minął bramę i ruszył ku świątyni. Tam odszukał kamień wotywny poświęcony Fortunie, usiadł przed nim na trawie i zamknął oczy.

ROZDZIAŁ 3

DZIEWCZYNA

(267-268 r. po Chr.)

*Rady starców dają światło bez ciepła,
podobnie jak zimowe słońce.*

TERTULIAN

Chłopiec spędził przy świątyni dłuższy czas; wciąż miał w uszach opowieść stryja, tak że nie słyszał tętentu końskich kopyt ani skrzypienia kół wozów toczących się po pobliskim trakcie. Dopiero gdy wszedł pod łuk bramy przed głównym wejściem do willi, dostrzegł dwukołowy wóz podróżny Druzylli. Powstrzymał w sobie chęć pobiegnięcia do domu i rzucenia się jej w ramiona. Przymusił się do zachowania spokoju i wolnym krokiem ruszył ku jadalni, skąd dobiegał gwar rozmów.

Ulixes i Juliusz ułożyli się na triclinium, natomiast Druzylla siedziała na wyplatanej krześle plecami do wejścia. Na posadzce leżały obgryzione kości kuropatw, a w powietrzu unosił się zapach pieczystego.

Flawiusz skłonił się stryjowi, a potem podszedł do stryjenki i położył jej głowę na ramieniu. Ona odwróciła się i przytuliła go do siebie.

- Gdzie byłeś tak długo? Czekaliśmy i czekaliśmy, aż wreszcie musieliśmy zacząć bez ciebie.

Młody człowiek spojrział z zakłopotaniem na wysoką, szczupłą niewiastę.

- Uczyłem się... greki!

Druzylla przyjrzała mu się z uwagą, ściągając brwi.

- Źle się czujesz, jesteś chory?

Juliusz pośpieszył bratankowi z odsieczą.

- Po co to wypytywanie? Czy trzeba być chorym, żeby uczyć się greki?

- To nie w stylu Flawiusza! - zerknęła na ciemne pukle chłopca, a potem uśmiechnęła się. - Przepraszam, nie to miałam na myśli. Cieszę się bardzo. Tylko ten zapach jest dla mnie trochę niezwykły.

Juliusz wskazał na Ulixesa.

- Wydaje mi się, że to jego zasługa.

Druzylla odgarnęła Flawiuszowi z czoła niesforne loki.

- Zawarłeś przyjaźń z naszym gościem? To dobrze.

Młodzieniec poczuł się skrępowany jej gestem, więc podszedł bliżej, wskazując na stół.

- Czy można jeszcze coś zjeść? Jestem głodny jak wilk!

- Oczywiście. Matidia zaraz ci coś poda. Usiądź z nami, Ulixes opowiada właśnie o swojej młodości w Afryce.

Flawiusz udał się wcześniej na spoczynek, lecz nie mógł zasnąć. Był bardzo zmęczony, a jednocześnie tak wzburzony, że niespokojnie przewracał się w łóżku z boku na bok. Za każdym jednak razem, gdy wreszcie zapadał w sen, nawiedzały go koszmary. Wciąż na nowo przeżywał pobyt w piwnicy. W pamięci odżywały coraz to nowe szczegóły, sceny stawały się bardziej plastyczne, jeden obraz łączył się z drugim. Zobaczył siebie u boku stryja błądzącego po mieście skapanym w blasku płomieni, marznącego na łódce płynącej po szerokiej rzece, głodnego, chroniącego się nocą w zaroślach.

Wczesnym rankiem nachyliła się nad nim zatroskana twarz Druzylli, a potem zapadł w ciężki sen. Męczył się tak przez kilka następnych nocy. Zdarzyło się nawet, że gdy w ciągu dnia zasypiał z wyczerpania, stawały przed nim zapomniane wydarzenia,

Jednocześnie też jego wewnętrzna rana zaczęła się goić. Częściowy powrót pamięci sprawił, że przestał się lękać nieznaną przeszłości. Przeżywszy świadomie ten czas i przeszedłszy jedną po drugiej zamknięte dotąd przestrzenie wspomnień, zapanował wreszcie nad swoimi myślami. Stopniowo też przypominał sobie

swój swebski. Najpierw pojedyncze słowa, gdy widział określone przedmioty, potem całe zdania, wreszcie sceny i rozmowy z matką. Gdzie teraz była? Uprawdzili ją Germanie, tylko co potem się z nią stało? A co z jego ojcem, którego prawie wcale już nie pamiętał. Zginął w Syrii czy dostał się do niewoli wraz z cesarzem Walerianem i całą armią? Dręczyła go niepewność, a czasami odczuwał ją nieomal jak fizyczny ból.

Za to coraz bardziej zżywał się z Ulixesem. Zafascynowała go osoba bywałego w świecie coepariusza o nieco ironicznym sposobie bycia, rozległej wiedzy i tajemniczej przeszłości. Kimś takim chciał zostać, a nie jak jego stryj - tęgim, kierowanym poczuciem obowiązku i wątpliwościami zarządcą chlewni i spichrzy.

Ku jego radości Ulixes został na dłużej, włączając się w życie rodziny. Przed południem ćwiczył z Flawiuszem grekę, potem dyskutował z Druzyllą na temat oferty handlowej w różnych miastach, a późnym popołudniem spotykał się z Juliuszem w łaźni na dyspuście filozoficznej. Czasami zamykał się na kilka godzin w pokoju i pisał, a od czasu do czasu wyruszał dokąds konno i wracał dopiero po kilku dniach, choć nigdy nie wspominał, gdzie się udaje i w jakim celu.

Dwie sprawy szczególnie cieszyły chłopca. Jedną z nich była gra żołnierska, którą Ulixes wypakował któregoś dnia. Na planszy liczącej osiem na osiem pól ustawił naprzeciw siebie po dwa szeregi figur.

-Te z przodu to ośmiu ordinari. Poruszają się o jedno pole w przód lub w tył. Za nimi stoi siedmiu vagi. Ci mogą robić krok w dowolnym kierunku. Ta większa figura w środku to bellator. Wolno mu krążyć dowolną liczbę pól w każdą stronę. Zrozumiałeś?

Flawiusz przytaknął, a Ulixes wysunął jednego z ordinari.

- Gramy na zmianę. Celem gry jest zabicie pionków przeciwnika poprzez przeskoczenie ich po skosie. Teraz twoja kolej!

Z początku gra zainteresowała także Juliusza, ale ponieważ ciągle przegrywał, począł znowu szukać towarzysza do swoich ulubionych szachów. Flawiusz natomiast walczył z niezmiennym zapałem i w miarę upływu czasu odbierał Ulixesowi coraz więcej figur.

Z przyjemnością uczestniczył także we wspólnych spacerach. Jako dziecko nie lubił towarzyszyć dorosłym, którzy zawsze zmierzali prosto do celu swej podróży, gdy tymczasem po obu stronach drogi było tyle interesujących rzeczy do odkrycia. Z Ulixesem sprawy miały się inaczej. Przed nim mógł się pochwalić swoimi umiejętnościami, gdyż nieobce były mu pola i lasy, rozpoznawał tropy pozostawione przez zwierzęta i bezbłędnie znajdował najlepsze miejsca, gdzie rosły jadalne grzyby. Czuł satysfakcję, gdy mógł zwabić mieszczucha w jakieś miejsce, opowiadając mu o bogactwie runa leśnego, a potem przyglądać się, jak Ulixes bezradnie błądzi po zaroślach.

- Nigdy nie byliście w młodości w lesie? Zawsze spacerowaliście tylko po ulicach miast?

Mężczyzna wyjrzał zza gałęzi.

- Mów do mnie po imieniu, mały Auguście, ostatecznie przynależę prawie do rodziny.

- Dlaczego mnie tak nazwałeś?

- Nie widziałeś nigdy posągu boskiego cesarza?

Chłopiec pokręcił głową. Ulixes wskazał na dwa niesforne loki krzyżujące się ze sobą na czole Flawiusza.

- August miał takie włosy. A co do twojego pytania, to tam, gdzie dorastałem, nie mieliśmy takich lasów. Za to niedaleko znajdowało się morze, było zawsze ciepło, nigdy nie padał śnieg, a naszą posiadłość otaczały bezkresne zagajniki oliwne i pola pszenicy.

- Musiała być piękna. Gdzie się znajdowała?

- Koło Thugga, jakieś dziewięćdziesiąt leug na północny zachód od Kartaginy. Tam się urodziłem; później mieszkałem w Thy-sydrus.

- Byłeś już w Rzymie? - dopytywał się Flawiusz.
- Tak, pół roku. Ale nie jestem pewien, czy tobie się tam spodoba.
- Dlaczego? Czyż Rzym nie jest pełen cudów? - młodzieniec przyglądał się starszemu towarzyszowi prawie z obawą.

- Oczywiście, żadne inne miasto nie może się z nim mierzyć. Świątynie, teatr, termy, posągi i przepych cesarskiego dworu. A z drugiej strony milion mieszkańców żyjących najczęściej w ciasnych i wysokich domach czynszowych, stłoczonych niczym zwierzęta w klatce.

Flawiusz potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Milion to przecież tysiąc razy tysiąc osób!

Oszołomiony próbował sobie wyobrazić, jak ta nieogarniona ludzka masa każdego dnia je i pije, kłóci się i dochodzi do zgody, zarabia pieniądze i je wydaje, śpi i budzi się, aby od nowa tłoczyć się na ulicach.

Ale któregoś dnia i on będzie po nich kroczył, o tym już wiedział.

Lato było w gospodarstwie najpiękniejszą, ale i najbardziej pracowitą porą roku. Całoroczna praca przynosiła teraz owoce i już wkrótce ludzie mieli się przekonać, co ich czeka w trakcie ciemnych, zimowych miesięcy. Czy będą syci, czy cały wysiłek poszedł na marne i pozostaje tylko wybić zwierzęta albo zadowolić się chlebem z otrąb.

Najwięcej wysiłku kosztowały żniwa. Żłociste kłosa przeżyły się dumnie na wysokich łądych i należało je zebrać, zanim powalą je pierwsze burze. Pomagali wszyscy, gdyż od czasu ostatniej zarazy siły roboczej ubyło, a czas na zbiór był krótki. Robotnicy wyruszeni więc na pola już o brzasku, raz po raz chwytając pęk zboża i machając sierpami, aż wreszcie nie wiedzieli, co bardziej boli: ramiona czy plecy. Również Ulixes zaproponował swoją pomoc, ale Juliusz się nie zgodził.

- Co o nas powiedzą, gdy się rozniesie, że gość musi pracować jak zwykły niewolnik. Poza tym najpewniej odciąłbyś sobie tylko jakąś część ciała, co nikomu do niczego się nie przyda. - Widząc jednak obrażoną minę Ulixa, dodał szybko: - Ale zaraz musimy wyprowadzić w pole nasz vallus, więc przyda się każda silna dłoń.

Ruszyli we dwóch ku szopie z narzędziami. Ulixes słyszał już o tej galijskiej żniwiarce, ale nie widział jeszcze żadnej w akcji. Niewolnicy otworzyli bramę szachulcowej budowli na końcu zabudowań gospodarskich i światło padło na osnutą pajęczynami drewnianą konstrukcję na dwóch szprychowych kołach, podobną do gigantycznych taczek z otwartą skrzynią z przodu, której dolna krawędź zwieszała się nisko nad ziemią i uzbrojona była w szereg wystających noży. Z tyłu znajdowało się coś w rodzaju podwójnego dyszla z rzemieniami dla zwierząt pociągowych. Ulixes pomógł w ostrzeniu kling, czyszczeniu ciężkiej maszyny i przy wytaczaniu jej z szopy. Zaprzęgnięto wołu, który wyciągnął skrzypiący pojazd z dziedzińca. Mężczyźni musieli kilkakrotnie sięgać do szprych, aby podepchnąć vallus w górę lub zahamować go, gdy droga opadała w dół.

Wreszcie osiągnęli równinę z płaskimi polami, gdzie zwierzę pociągowe zostało przepięte, obrócone głową do skrzyni. Po kilku zawołaniach i klepnięciach wół ruszył, pchając żniwiarkę przed sobą. Przy tym obustronnie zaostrzone noże wciskały się niczym palce pomiędzy źdźbła słomy, na wpół zrywając je, na wpół tnąc, podczas gdy idący przodem niewolnik popychał zboże ku skrzyni.

Ulixes przyglądał się z zainteresowaniem, gdy podszedł do niego Flawiusz, ocierając sobie gałganem brud z dłoni. Gość szerokim gestem powiódł wokoło.

- No i co, nie byłoby to coś dla ciebie, taka posiadłość ziemska? Flawiusz zawahał się przez chwilę.

- Gdyby to było moje, to być może. Ale gospodarstwo jest własnością Druzylli, a nawet jeśli pozostanie bezdzietna, to nie chaj bogowie obdarzą ją długim życiem. Nie, ja muszę znaleźć coś własnego.

- O czym myślałeś?

Flawiusz wzruszył ramionami.

- Urzędnik państwowy medyk, mistrz budowlany... Jak się o tym przekonać, skoro nie mam możliwości wytknąć stąd nosa. Na pewno mogłoby to być zajęcie, przy którym zobaczyłbym ka walek świata, tak jak ty - tu spojrzął na starszego mężczyznę. - Czy coeparius nie potrzebuje pomocnika?

Ulixes uśmiechnął się melancholijnie.

- Czasami tak, ale nie wyobrażaj sobie zbyt wiele. Ciągłe wę drówki z miejsca na miejsce, nocowanie w cuchnących gospodach albo pod gołym niebem przy wietrze i niepogodzie, targowanie się ze skąpymi klientami i żądnymi zysku poborcami podatków... Nie, nie polecałbym ci takiego życia.

- Nie miałeś nigdy domu ani żony?

Twarz Ulixesa zdawał się pokrywać cień.

- Owszem, dawno temu. Nie wiem, czy słyszałeś o powstaniu Gordianów przeciwko Maksyminowi Trakowi...

Flawiusz pokręcił głową.

- To już bez mała trzydzieści lat temu. To ojciec i syn, obaj szlachetni mężowie, których obwołano w Afryce cesarzami. Ale Capellianus, namiestnik Numidii, pozostał wierny trakijskiemu ty ranowi i krwawo stłumił ich rewoltę. Mój ojciec brał udział w prze wrocie, więc zamordowano nie tylko jego, lecz także moją matkę i młodą żonę. I syna. Ale nie chciałbym dzisiaj o tym opowiadać, mały Auguście.

Młodzieniec nie nalegał i obaj przyglądali się przez chwilę peł-
nącej po polu żniwarce.

- Muszę teraz pomóc przy wypalaniu cegieł. Pójdiesz ze mną?
Ulixes przytaknął i ruszyli ku dziedzińcowi, nad którym unosił się ku niebu słup czarnego dymu.

* * *

Gdy pierwsze liście zapłonęły kolorami jesieni, nadszedł dzień płacenia dzierżawy. Drobnymi rolnicy całymi gromadami udawali się ze swoich chat ku posiadłości, czekając przy dużym stole ustawionym przez Juliusza na dziedzińcu, gdzie zarządca za pomocą polyptychonu, rejestru składającego się z pół tuzina powleczonych woskiem tabliczek, sprawdzał ich wyliczenia. Zawierał on informacje co do wielkości i żyzności pól, pozwalając ustalić należną opłatę. Ponieważ dzierżawcy najczęściej nie dysponowali gotówką, więc uiszczali należność w naturaliach, a zadaniem Flawiusza było kontrolowanie, co znajduje się w przyniesionych przez nich workach. Kilkakrotnie wyczuł plewy, a jego ambicją było nie pozwolić na żadną próbę oszustwa.

Na końcu kolejki oczekujących ustawił się muskularny mężczyzna w średnim wieku, z różową blizną na głowie, w towarzystwie mniej więcej szesnastoletniej dziewczyny. W gospodarstwie nie było kobiet w jego wieku, więc Flawiusz zerkał nieśmiało w jej stronę, przyglądając się kasztanowym lokom, zadartemu noskowi nad pełnymi ustami o nieco drwiąco opadających kącikach i jędrnym kształtem ciała. Gdy jednak spojrzała na niego, opuścił wzrok, odczuwając jednocześnie zawstydzenie, zmieszanie i pragnienie poznania jej.

Głos Juliusza wyrwał go z rozmarzenia.

- Faustusie, pewnie nic nie przyniosłeś. Czyżby Priap nie za pewnił urodzaju twoim polom, czy też przehulałeś wszystko w go spodzie?

Zagadnięty uśmiechnął się zarozumiale.

- Bez obaw, mam dwa worki orzechów, worek soczewicy, a resztę zapłacę gotówką. Faustyno, przyprowadź wózek i pokaż worki chłopakowi!

Flawiusz poczuł przepęlniającą go dumę, że może wypełniać tak ważne zadanie, i otworzył pierwszy worek orzechów. Wyjął kilka, zważył je w dłoni, widząc jasną chropowatą łupinę, i powąchał ich intensywny aromat - dobry, świeży zbiór.

Faustyna stała przed nim z lewą ręką wspartą na biodrze, kołysząc lekko wystawioną do przodu prawą stopą. Zdawała się przy tym całkowicie zajęta oglądaniem paznokci prawej dłoni.

Zakłopotany Flawiusz już chciał zawiązać worek, gdy przypomniał sobie, że nie skontrolował dolnych warstw. Jego dłoń wśliznęła się głębiej, ujęła kilka orzechów i wyciągnęła je. Były dużo lżejsze, rdzeń musiał wyschnąć lub stoczyło go robactwo. Spojrzał na Faustynę, która zagryzła wargi. Chłopiec zawahał się przez chwilę, po czym schował orzechy do kieszeni i zajął się drugim, dużo większym workiem.

U góry, tak jak w poprzednim, znajdowały się świeże orzechy - ale dalej? Powoli sięgał coraz głębiej, nie spuszczać oczu z dziewczyny. Z każdym ciałem pokonywanym przez jego rękę widać było, że ogarnia ją coraz większy strach, aż wreszcie pochyliła się ku niemu, szepcząc:

- Nic nie mogłam zrobić. To mój ojczym. Jeśli sprawa się wyda, dostanę w domu w skórę.

Flawiusz zastanowił się przez chwilę, po czym wyciągnął rękę. Przy tej ilości worków, jakie gromadzono na zimę w spichrzu, nikt niczego nie zauważy, a nawet jeśli, to nie będzie można ustalić, kto go dostarczył.

- A co z soczewicą?

- Jest w porządku, zaufaj mi, proszę! - Faustyna ledwie zdążyła odszepnąć, gdy rozległ się donośny głos jej ojczyma.

- Co się tak ociągasz, dziewczyno. Myślisz, że zaproszą nas tutaj na kolację?

- To nie jej wina. Nie skończyłem jeszcze kontroli i będziecie musieli trochę poczekać! - odparł Flawiusz, pewny autorytetu swojego urzędu, przesypując przy tym soczewicę przez palce. Kiedy skończy, Faustyna będzie musiała iść, a on nie wiedział nawet, gdzie mógłby ją znowu spotkać.

- Skąd przybyłaś? - zapytał, udając, że sprawdza zawartość wora.

Dziewczyna zaczęła się bawić koralikami swojego naszyjnika.

- Około dwóch leug stąd, nieco na północ od małej świątyni, na skraju lasu leży wioska. Tam mieszkamy: mój ojczym, moja młodsza siostra i ja.

Odwróciła się z westchnieniem i podeszła do Faustusa czekającego obok stołu, na którym piętrzył się stosik brudnych srebrnych monet. Idący za nią Flawiusz wziął kilka z nich do ręki, gdyż w gospodarstwie prawie nikt nie nosił pieniędzy ze sobą. Ale wszystkie monety były równie wytarte: na awersie miały portret cesarza w koronie, czasem kobiece popiersie nad sierpem księżycy. Różniły się tylko rewersem. Młody człowiek ujął monetę w dwa palce i przyjrzał się małej figurce z rogiem obfitości. „Abundantia” - odczytał i sięgnął po następną. „Pax” przeczytał półgłosem, a potem „Concordia”. Gdy usłyszał za sobą kroki, spojrział pytająco na Ulixesa.

- Dobrobyt, pokój, jedność. Czy tak naprawdę jest w Imperium?

Ulixes zaśmiał się.

- Nie, to tylko obietnice władców. Dążą do tego, ale najczęściej tego nie osiągają. Za to my, podwładni, możemy polegać na jednym, mianowicie że nowe pieniądze są gorsze od starych.

Flawiusz znał przyczynę narzekań dorosłych. Od dziesiątków lat sprawujący władzę cesarze, chcąc wypłacić żołd swoim legionistom, coraz bardziej pomniejszali zawartość srebra w bitym pieniądzu. Tym sposobem w obiegu znajdowały się tylko monety z mie-

dzi powleczone cienką warstwą kruszcu, których każdy pozbywał się jak najszybciej, gromadząc starsze egzemplarze. A tymczasem ceny wciąż rosły i rosły.

- Faustyno, musimy iść, zanim się ściemni.

Ulixes i Flawiusz podnieśli wzrok, spoglądając na dzierzawcę, który prawą ręką sięgnął po mały wózek, a lewą pociągnął dziewczynę za sobą. Faustyna odwróciła się tylko na moment, więc chłopiec nie był pewien, czy faktycznie dostrzegł jej dziękczynny uśmiech. Oboje przeszli przez bramę, a on patrzył jeszcze za nimi przez chwilę, jak ich postaci powoli stają się coraz mniejsze. Potem podszedł do niewolników i pomógł im wnieść ostatnie worki do spichrza. Stojąca w rogu dziedzińca trzypiętrowa kamienna budowla przewyższała sąsiadujące z nią szachulcowe budynki. Na parterze, do którego prowadziły okute drzwi, składowano orzechy, suszone owoce oraz amfory z miejscowym winem. Natomiast zboże wynoszono po drabinach na wyższe poziomy, gdzie nie było wilgoci i nie miały dostępu gryzonie. Flawiusz wspiął się na górę, wyglądając ku polom, ale zapadający zmierzch przesłonił już drogę ku wiosce Faustyny.

Przez kilka następnych dni odczuwał niepokój i gdy wracał myślami do dziewczyny, przyglądał się dumnie spacerującym po polach szpakom, które zbijając się w gęste stada, unosiły się w niebo, aby odlecieć na południe.

Flawiusz i Feliks biegli do lasu w ślad za szczekającym psem. Ostatniej nocy do zagrody z gęsiami zakradł się lis i zadusił trzy ptaki, a jednego zaciągnął do swojej nory. Teraz go wytropili i przedzierając się przez gęstwinię oraz potykając o obrośnięte mchem korzenie drzew, coraz bardziej zagłębiali się w mroczne

leśne ostępy. Wkrótce stracili orientację, a kiedy przeszli w bród potok, pies najwidoczniej też zgubił wiatr. Popiskiwał i węszył, biegał bez celu wokoło, potem nagle nadstawił uszu i warcząc, zniknął w krzakach.

Rozległ się piskliwy okrzyk, a gdy obaj chłopcy precyzyjnie przeszli przez zagrządzające im drogę gałęzie, zobaczyli czworonoga pochylonego nad dziewczyną. Leżała na ziemi, chroniąc twarz ręką, a obok z przewróconego kosza wysypały się grzyby. Feliks odciągnął psa, a ona podniosła się nieco, tak że Flawiusz mógł rozpoznać, kogo ma przed sobą.

- Faustyno, co ty tu robisz?!

- O to samo mogłabym i ja zapytać. Mieszkam w pobliżu. Pomóżcie mi wstać, noga mnie boli. Wasz kundel rzucił się na mnie jak wilk.

Flawiusz wyjąkał przeprosiny, a potem pomógł jej przy wstawaniu. Feliks pozbierał rozsypane grzyby, a dziewczyna, wspierając się na Flawiuszu, pokuśtykała po omszałej ściółce. Chłopiec szedł powoli, tak że dopiero po półgodzinie dojrzeli pojawiające się zarysy zabudowań.

Nędza małej wsi zaskoczyła Flawiusza. Takie życie wcale nie odpowiadało romantycznym opisom Horacego Flaccusa, którego czytał podczas swoich lekcji. Rzeczywistość okazała się brzydka, uboga i brudna.

Jednopiętrowe szachulcowe zabudowania o krzywych murach i pokrytych słomą strzechach otaczały mały plac, a wokół nich skupiły się zagrody dla świń, owiec i kur. Muchy oraz cuchnące wyziewy zdradzały bliskość gnojowisk.

Cała trójka ruszyła ku jednemu z domostw, przy czym Flawiusz, podtrzymując dziewczynę, starał się omijać kałuże szlamu oraz zwierzęce odchody.

-Już wróciłam! - zawołała Faustyna, otwierając drzwi.

Zobaczyli pomieszczenie bez okien, starając się najpierw przyzwyczaić wzrok do panującego w nim mroku. W kącie na palenisku płonął ogień, wypełniając chatę bardziej dymem niż ciepłem, co sprawiło, że oczy chłopców zaczęły łzawić i musieli kasłać. Pod ścianą piętrzyły się wszelkiego rodzaju sprzęty, miski i suszone zioła. Cenniejsze zapasy, jak szynki czy worki ze zbożem, wisiały u belki pod sufitem, gdzie nie mogły ich dosięgnąć szczury. Kąt do spania składał się z dwóch prycz z siennikami wypchanymi słomą i derkami do przykrycia. Obok znajdowały się otwarte drzwi prowadzące do obory.

Pośrodku siedziała ośmioletnia dziewczynka o rudych włosach odziana w brązową sukienkę składającą się prawie z samych łąt. Na widok starszej siostry zerwała się uradowana z zydła, obejmując ją chudymi ramionami.

- No, mała, gdzie ojciec? - zapytała Faustyna.

- Jest jeszcze ze świniami w lesie, żeby podtuczyć je żołądziami, ale wkrótce wróci. Tylko uważaj... - dodała szeptem. - Wydaje mi się, że jest w złym humorze, bo wypił, jeszcze przed wyjściem!

Faustyna westchnęła. Cieszyła się, gdy przed trzema laty po śmierci pierwszego męża matka poznała Faustusa. Podobieństwo imion zdawało się być dobrą wróżbą i początkowo mężczyzna bardzo troszczył się o dzieci, robił im zabawki z drewna i kołysał na kolanach. Gdy jednak matka zmarła w położu, a noworodek nie przeżył ciężkiej zimy, Faustus stopniowo zaczął się zmieniać.

Coraz częściej krzyczał na dzieci, rzucał za nimi polanami albo zatopiony w myślach siedział w milczeniu przy ogniu. Gdy kary cielesne wydawały mu się już nie wystarczać, począł w ostatnim czasie grozić, że je sprzeda.

- Wreszcie przestaniecie mnie objadać i zarobię coś na was!

Faustyna wiedziała, że może to zrobić, i obie siostry tuliły się lekliwie do siebie, gdy widziały, że znowu jest w złym nastroju.

- Usiądźcie - zawołała, a Flawiusz ochoczo przyjął zaproszenie.

Feliks ociągał się przez chwilę, a potem usadowił się na klepisku obok psa. Dziewczyna przyniosła gliniany garnek i zaczęła rozdrabniać ziarno. Flawiusz chciał jej pomóc, ale brakowało mu wprawy w wykonywaniu pracy, do której nie przywykł.

- Miejmy nadzieję, że przy jedzeniu jesteś zręczniejszy, bo inaczej któregoś dnia umrzesz z głodu! - przymówiła mu Faustyna, gdy mieszała już śrutę orkiszową z wodą i ziołami.

Młodzieniec spłonął rumieńcem i zmieszany stał obok pieca, podczas gdy jego umysł gorączkowo poszukiwał stosownej odpowiedzi.

- No to jeszcze trochę miodu ze względu na gości - stwierdziła po chwili, biorąc grubo ciosaną drewnianą łyżkę i dodając coś z ciemnego garnuszka.

Potem otarła warząchew z kaszy i podsunęła Flawiuszowi pod nos posmarowany nią palec.

- I co, wystarczająco dobre jak dla przyszłego pana na włościach?

Chłopiec się zawahał, po czym ostrożnie polizał palec, który lekko nacisnął koniuszek jego języka. Wiedział, że uboga ludność odżywia się głównie rozdrobnionym zbożem nazywanym puls, ale nigdy nie musiał jadać czegoś takiego. Było słodkie i nawet smaczne, ale on był za bardzo spięty. Faustyna patrzyła na niego z uśmiechem, gdy z zewnątrz dobiegł odgłos zbliżających się ciężkich kroków. Przez twarz dziewczyny przemknął cień i szybko cofnęła palec.

Popchnięte drzwi odskoczyły ze skrzypieniem i Faustus wkroczył do chaty, otwierając usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale zamilkł na widok obu przybyszów. Gdy rozpoznał chłopca z posiadłości, jego twarz rozciągnęła się w uśmiechu.

- No nie, tacy goście pod naszym dachem... Czemu mamy za wdzięczać ten zaszczyt?

- Nasz pies wystraszył Faustynę. Przewróciła się, więc odprawiliśmy ją do domu. Właśnie zbieraliśmy się do odejścia...

- Nie ma mowy! Faustyno, przynieś wina, bo jeśli nawet zamieszkuje w tej nędznej lepiance... - przy tych słowach pochylił się nieco, aż Flawiusz poczuł jego kwaśny oddech - którą dzielimy z kozami, to przecież wiemy, jak się należy zachować względem młodego panicza! Faustyna, gdzie jest wino? Nie, nie to, przynieś galijskie!

Wylekniiona dziewczyna podała mu amforę. Faustus odbił zamykającą ją pieczęć i szczerze nalał napitku protestującemu Flawiuszowi, oszczędnie dodając przy tym wody.

- Co znaczy: za młody? Wkrótce będziecie mężczyzną. Nie powinno się gardzić radościami darowanymi nam przez bogów, nieprawdaż?

Przy tych słowach mrugnął okiem i przepił do młodzieńca. To zaproszenie do świata mężczyzn schlebiali młodemu człowiekowi, który pociągnął głębiej z kubka.

- To rozumiem, nie ma jak dobry łyk. Dolejmy jeszcze, bo pewnie jesteście spragnieni!

Flawiusz nic nie jadł od rana, więc wkrótce zaszumiało mu w głowie, a tymczasem Faustus bez przerwy go zagadywał.

- Przejmiecie kiedyś całą posiadłość, paniczu. O tym już pewnie od dawna wiecie i orientujecie się, w czym rzecz. Jak tam wypadły żniwa, w spichrzach pełno? A stryj zgromadził pewnie sporo denarów w skrzyni? Oczywiście musi jej dobrze strzec i potrzebuje do tego tak solidnego pomocnika, jakim wy jesteście. No więc jeśli chodzi o mnie, to przechowywałbym pieniądze w piwnicy, a on pewnie też tak robi, nieprawdaż? Może przecież wybuchnąć pożar albo zakradną się niewolnicy. Jak wielu ich macie? Mam nadzieję, że nie śpią zbyt blisko willi, bo to budzi tylko zazdrość, a w naszych czasach nigdy nic nie wiadomo...

Chłopiec starał się odpowiadać na pytania, ale nie mógł się skupić, gdyż wino sprawiło, że wewnątrz chaty zaczęło się kołysać, a nawet oczernione sadzą belki zawirowały mu przed oczyma. Przy tym podobało mu się, że jego rozmówca tak ceni sobie jego zdanie, więc od czasu do czasu spoglądał ku Faustynie. Faustus, którego uwagi to nie umknęło, przysunął się bliżej niego i ściszył głos.

- Ale gospodarstwo to też nie wszystko. Młody człowiek wyruszy pewnie w świat, zobaczy inne miasta, pozna wielu ludzi, mężczyzn i... kobiety.

Im bardziej jednak Flawiuszowi kręciło się w głowie, tym bardziej czuł się pewny siebie. Chcąc się pokazać i z braku własnych przeżyć, zaczął się chwalić dokonaniem Uliksesa. Ale Faustus nie wykazał zbytniego zainteresowania Afryką i powrócił do poprzedniego tematu.

- Takiemu urodziwemu młodzieńcowi... Nie, chciałem powiedzieć: młodemu mężczyźnie jak wam, nie brakuje pewnie miłośnych uniesień...

Flawiusz spojrział na niego osłupiały, a Faustus zachichotał.

- No, wiecie przecież, z niewolnicami...!

Zrobił przy tym obsceniczny, niedwuznaczny gest, poufale klepiąc Flawiusza po ramieniu. Ten zachwiał się na zydłu i nie bardzo wiedział, jak ma się zachować w obecności dziewczyny. Oczywiście orientował się, jeśli chodzi o pewne naturalne procesy, bo przecież wychowywał się w posiadłości, gdzie hodowano bydło, ale u ludzi musiało się to przecież odbywać jakoś inaczej. Jak - tego z braku doświadczenia nie umiał powiedzieć. Odparł więc:

- Oczywiście! - i dał Faustusowi lekkiego kuksańca w bok.

Przyczyną dramatycznego finału stał się niezwykle dla niego stan upojenia, gdyż stracił przy tym równowagę i upadł na plecy. Uderzył głową w kamienne obmurowanie paleniska i pociemniało mu w oczach.

Pierwsze, co zobaczył po otwarciu powiek, to twarz Faustyny. Kasztanowe loki, spoglądające na niego oczy, lekko rozchylone wargi... Musiałby tylko nieco podnieść głowę... Ale poczuł dotkliwy ból i wszystko zakreśliło się wokół niego. Jego dłonie wyczuły na ciemieniu potężnego guza, poza tym nie odniósł żadnych obrażeń. Tylko szumiało mu w uszach bez końca. Dopiero po chwili dotarło do niego, że to przecież *deszcz padający na słomianą* strzechę. We wnętrzu chaty paliło się kilka oliwnych lampek, ale kąty spowijał mrok. Nagle przez wszystkie szczeliny wpadło oślepiające światło i zaraz rozległ się ogłuszający huk gromu.

Flawiusz zerwał się z miejsca, stęknął, a jego wzrok na próżno poszukiwał Feliksa.

- Gdzie mój niewolnik? Straciłem przytomność?

- Tak, cały czas leżałeś nieprzytomny. Gdy zobaczyliśmy nadciągającą nawałnicę, ojciec posłał go do posiadłości. Miał powiadomić twojego stryja, że się źle czujesz i zatrzymaliśmy cię tutaj, żebyś nie musiał błąkać się w niepogodę. Czy dobrze zrobiliśmy?

Młody człowiek przytaknął skinięciem głowy, ale zaraz potem ból wykrzywił mu twarz.

- Oczywiście, wielkie dzięki.¹ - mówił *to nie* bez przekonania, bo rzeczywiście czuł wdzięczność, że nie musi wysłuchiwać wymówek Juliusza i drwin Druzylli. - Umieram z głodu. Zostało może jeszcze trochę kaszy?

- My już jedliśmy, ale została miska dla ciebie. Ojciec poszedł do przyjaciół, często się spotykają i rozmawiają o wszystkim.

Zupełnie jak u nas, pomyślał Flawiusz, wyjadając z wdzięcznością kaszę z naczynia, tyle tylko, że nie tak wygodnie. Gdy skończył, pociągnął łyk wody, a potem ostrożnie ułożył się na prycy. Leżąc, przyglądał się dyskretnie, jak Faustyna szoruje garnki, gdy tymczasem jej młodsza siostra układała się już w kącie do snu. Burza

przycichała powoli, przerwy pomiędzy błyskawicami a grzmotem stawały się coraz dłuższe. Gdy Flawiusz czuł potrzebę bliskości dziewczyny, wydawał jęk i już podchodziła, kładąc mu na czole wilgotną chustę.

Minęła może godzina, gdy w drzwiach pojawił się Faustus, chwiejąc się na nogach, lecz w dobrym nastroju.

- No, jak się czuje nasz gość? Jeszcze raz udało się wam zaoszczędzić obola za usługi Charona na Styksie, co?

Flawiusz wydał przejmujące stęknienie. Na twarzy Faustusa pojawił się natychmiast wyraz zatroskania. Szybko podszedł do chłopca, stwardniałymi palcami dotknął guza na głowie i wydawał się szczerze zmartwiony.

- Wybaczcie, nie chciałem... - wymruczał zmieszany.

Flawiusz, chcąc obrócić wszystko w żart, wskazał na bliznę na jego głowie.

- Wam też udało się przeżyć niejedną cios losu, więc pewnie i ja...

Przerwał wystraszony, gdyż z oblicza mężczyzny zniknął wyraz uprzejmości. Zaraz też z podejrzliwością w głosie zwrócił się do młodego człowieka:

- Co o tym wiecie, co ludzie gadają?

- Nic takiego, pomyślałem sobie tylko, że być może przy kubku wina w męskim towarzystwie...

- Ach tak, to oczywiście byłoby możliwe, ale stało się w lesie przy wycięciu drzew. Tam nie można być dostatecznie ostrożnym... Wystarczy chwila nieuwagi... Ale już późna pora, powinniśmy udać się na spoczynek. To najlepsze lekarstwo na osłabienie ciała!

Flawiusz rozejrzał się wokół, jak gdyby oczekiwał, że zaoferuje mu się izbę gościnną z własnym posłaniem, a następnie wyjął zmieszany:

- Potrzebowałbym...

- Oczywiście. Faustyna, daj mu lampę. Na podwórku przy gnojowisku jest przepierzenie z desek. Nie możecie zabłądzić, tylko nie strąćcie równowagi. Aha, weźcie ze sobą dzbanek z wodą. Sło ma już tam jest.

Chłopiec wstał chwiejnie, wziął naczynie oraz lampę i wyszedł na zewnątrz. Deszcz zamienił się w łagodną mżawkę. Błoto mlaśkało pod jego stopami, a on w duszy przeklinał lisa, dziewczynę, wino, Faustusa i w ogóle wszystko, co sprawiło, że znalazł się w tak oplakanyam stanie.

Gdy wrócił, legowisko już czekało. Z obu pryczy większą przeznaczono dla niego i Faustusa, na mniejszej skuliło się dwoje dziewcząt. Wczołgał się pod derkę, układając na skraju, tak że mógł prawie dotknąć leżącą po sąsiedzku dziewczynę. Zaraz potem na pryczy ułożył się gospodarz, zdmuchnął lampę, ziewnął głośno, naciągnął na siebie zgrzebny koc i prawie natychmiast zaczął głośno chrapać. Pomimo wyczerpania Flawiusz, nieprzywykły do takiego towarzystwa, a już zwłaszcza w łóżku, nie mógł zasnąć.

Również młodsza z dziewcząt spała niespokojnie, mówiąc i płacząc przez sen. Uspokoiła się, gdy Faustyna szturchnęła ją kilkakrotnie. Na skraju swojego legowiska Flawiusz stawał się coraz mniej senny. Jego myśli krążyły wokół leżącej w pobliżu dziewczyny i im bardziej zmuszał się do zaśnięcia, tym większy ogarniał go niepokój. Wreszcie zdobył się na odwagę, uniósł rękę i ostrożnie wyciągnął ją w ciemnościach przed siebie. Najpierw poczuł zgrzebną tkaninę, a potem przykryte nią kształty. To musiało być biodro Faustyny. Jego dłoń przesunęła się powoli ku górze, natafiła na kosmyk włosów. Rozległ się stłumiony okrzyk:

- Czego chcesz?

- Nie mogę zasnąć, daj mi przynajmniej rękę!

Na chwilę zapadła cisza, potem jednak rozległ się szelest derki i Flawiusz poczuł, że coś porusza się w nocnych ciemnościach.

Podniósł rękę, szukając po omacku. Ich palce spotkały się i splotły ze sobą, po czym dłonie opadły ku podłodze.

Początkowo dotyk wzburzył go wewnątrz, tak że jeszcze mniej myślał o zaśnięciu, ale po dłuższej chwili uspokoił się. We śnie marzył, aby być z nią sam na sam, całować ją i czuć ciepło jej ciała. Zerwał się jeszcze wystraszony, gdy Faustus, głośno chrapiąc, przewrócił się na drugi bok, ale zaraz potem udało mu się znowu zasnąć.

Rano był obolały, a na nodze zobaczył mnóstwo czerwonych punktów: ślady po pchłach.

Podczas gdy Faustus ciągle jeszcze spał, Faustyna już zaczęła się krzątać po izbie. W moździerzu rozdrobniła cebulę, kolendrę, czosnek i sól, dodała owczego sera, a potem octu i oliwy. Z masy uformowała kulki, ułożyła je na drewnianym talerzu i ustawiła na stole.

- No i jak tam, obudziłeś się już? Mam nadzieję, że lubisz moretum. Jeśli nie, to masz pecha, bo nic innego nie ma.

Flawiusz wstał, ziewając, i zasiadł do posiłku. Z wdzięcznością wypił podany mu kubek wody, a potem zajął się kulkami z sera.

- Bardzo smaczne, naprawdę znakomite.

Spojrzał ku Faustynie, ale jej twarz nie zdradzała niczego. Zjadł do końca, a na pożegnanie musnął jej policzek wargami. Zanim zdążyła zareagować, był już na zewnątrz. Obejrzał się jeszcze za siebie, ale drzwi pozostały zamknięte. Skręciwszy za następną chatą, ruszył przed siebie tak szybkim krokiem, że do posiadłości dotarł, prawie nie mogąc złapać tchu.

Listopad przyniósł jasne noce i chłodne poranki. Łąki pokrył srebrzysty szron, a nad potokiem wędrowały strzępy mgły. Potem pogoda się zmieniła. Całymi dniami zachodni wiatr pędził chmury

po niebie, zmiatając z drzew ostatnie wyschłe liście, wyjąc wieczorami na rogach zabudowań i strącając z kalenic luźne dachówki. Mieszkańcy majątku zaczęli przygotowywać się do zimy: układano drewno, ryglowano okna, naprawiano ciepły przyodziewek, zarzynano tuczniki i wędzono ich mięso.

Z końcem miesiąca horyzont zaciągnął się ołowianą szarością, a wieczorem spadł pierwszy śnieg. Tylko kilka pomieszczeń na parterze miało hypocaustum, natomiast w pozostałych nie gasły pulsujące ognistą czerwienią misy pełne żarzącego się węgla drzewnego. W ten sposób ogrzewano również dwie izby w narożnych budowlach zamieszkiwane przez Druzyllę i Juliusza. W nich jednak, dzięki oknom zaopatrzonym w szybki oprawione w drewniane ramy, dało się otworzyć okiennice, więc wpadało do nich światło dnia. Któregoś zimowego poranka, gdy lodowaty wiatr wzbijał tumany srebrzystego śniegu, znudzony Flawiusz poprosił stryja o jakąś lekturę.

- Weź sobie Columellę, można się od niego wiele dowiedzieć - odparł pochylony nad rachunkami Juliusz, wskazując na stojącą w kącie szafę. Po krótkich poszukiwaniach młody człowiek znalazł dzieło o uprawie roli, gdy nagle jego spojrzenie padło na zakurzony mały zwój: *Sztuka kochania* Owidiusza Naso. Rozejrzawszy się dyskretnie dokoła, wsunął go pod tunikę i wstrzymując oddech, opuścił izbę. W swoim pokoiku rozwinął obie rolki, ukrył je w rozprawie o rolnictwie i po chwili zapukał do Druzylli.

- Czy mógłbym poćwiczyć u ciebie bezgłośnie czytanie? U mnie jest tak ciemno.

- Oczywiście, usiądź, ale nie przeszkadzaj mi.

Flawiusz przysunął do okna wyplatane krzesło, rozwinął swój zwój i zaczął bezgłośnie wymawiać słowa, aż doszedł do linijek, przy których jego oddech stał się nieco cięższy.

„Gdy już znajdziesz miejsca, których dotyk sprawia kobiecie rozkosz, niechaj wstydlivość nie stanie ci na przeszkodzie w ich pieszczenu - zobaczysz oczy rozpalone migoczącym ogniem niczym słońce odbijające się w zwierciadle wodnej tafli”.

Odłożył tekst, spoglądając na niezwracającą na niego uwagi Druzyllę zajęętą rozrabianiem pudru na małej kamiennej tacy. Przez chwilę miał ochotę zapytać ją, o co właściwie chodzi, ale poczuł wypełzający mu na policzki rumieniec, więc zaraz pochylił się znowu nad zwojem.

„Nie porzucaj ukochanej, spiesząc do celu pod pełnymi żaglami, a i ona niech cię nie wyprzedza. Podążajcie razem ku spełnieniu, bo wtedy rozkosz jest największa, gdy mężczyzna i kobieta wspólnie zlegną zmożeni ogniem namiętności”.

- Kto ma zlec? - usłyszał głos Druzylli i drgnął wystraszony.

Opuściła trzymane w ręku lustro z brązu, spoglądając na niego spod na wpół pokrytych pudrem powiek.

- Zaczęłeś nagle głośno mówić. Co tam takiego czytasz?

- Eeee... dzieło o uprawie roli. To... zboże nie powinno zalegać złożone przez niepogodę.

- Aha, zboże - ciotka przyjrzała mu się, a potem jej twarz znowu przesłoniło zwierciadło, więc nie mógł dostrzec jej uśmiechu.

Czytając dalej, uważał już na to, żeby bezgłośnie poruszać wargami, ale zaraz zaczął też myśleć o tym, jak wiedzie się Faustynie i jej rodzinie. Czy uszczelnwszy wszystkie szpary w ścianach, udało im się ochronić przed zimnem? Czy wystarczą im zgromadzone jesienią zapasy i czym się zajmują, siedząc w pograżonej w półmroku izbie? Kiedy ją znowu zobaczy?

Wreszcie nadeszły Saturnalia, grudniowe święto, będące dla wszystkich mieszkańców majątku swoistym przełomem w zimie.

Każdy z niewolników otrzymał podwójną rację wina, również kobiety, co - jak zwykł się wyrażać stary odźwierny Ursus, stanowiło sprawdzone lekarstwo na zły humor.

Juliusz złożył przy świątyni ofiarę, a potem zaproszono właścicieli sąsiednich majątków. Przybyli chętnie, wymieniając się wzajemnie podarunkami i nie żalując sobie mocnych napitków. Zgodnie z tradycją drugiego dnia w południe Druzylla zaprosiła wszystkich dzierżawców. Juliusz uważał to za zbędne, ale podporządkował się jej woli. Z pomieszczeń dla niewolników przyniesiono do dużej auli ławy i drewniane stoły, podano mięso duszone w pikantnym sosie, domowy chleb, a do tego białe mozelskie wino.

Stojący na tarasie nad kolumnadą Flawiusz przyglądał się szaremu, zimowemu krajobrazowi, a jego wzrok skupiał się na drodze, aż wreszcie dostrzegł dwie znajome postaci. Ruszył ku bramie, powitał przybyłych z udawaną rezerwą, zaprowadził do sali, a potem ciągle trzymał się w pobliżu. Kiedy po jakimś czasie mężczyznom zaszumiało w głowach, posłał do Faustyny jednego z niewolników i poprosił ją, aby podeszła ku drzwiom. Gdy stała przy nich z pytającym spojrzeniem, pochwycił ją ukradkiem za rękę i wyszeptał do ucha.

- Chodź, pokażę ci naszą łaźnię.

Ku jego radości zgodziła się natychmiast i wkrótce znaleźli się przy małej budowli. Flawiusz włożył do zanku wykuty z brązu klucz, podniósł rygiel i wkroczyli do wilgotnego wnętrza.

- Tutaj, gdzie widzisz freski i basen z zimną wodą, to frigidarium, tam jest tepidarium, żeby zażywać odpoczynku, a dalej, gdzie najcieplej, to caldarium z basenem z gorącą wodą.

- To prawie mały pałac i tylko dla was? Ile razy w miesiącu tu przychodzicie?

- W miesiącu? Oczywiście codziennie. Chodź tu, wreszcie jesteśmy sami!

Ujawszy ją za rękę, przyciągnął bliżej, potem objął ramieniem i przytulił do siebie. Czuł miękkość jej piersi, a napięcie jego ciała stało się tak silne, że aż sprawiało ból. Była nieco niższa, więc musiała odchylić nieco głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Zaraz jednak przymknęła powieki, a na jej ustach pojawił się wyzywający uśmiech, jak gdyby chciała powiedzieć: „Odważ się wreszcie”. Pochylił się nad nią i przycisnął swoje usta do jej warg, które okazały się miękkie i wilgotne, a potem rozchyliły się, dając miejsce ruchliwemu językowi, gdy tymczasem jej palce spoczęły na jego biodrach. Przez chwilę się zawahał, zaraz jednak pieszczota mu się spodobała, więc położył dłoń na jędrnym pośladku i przygarnął ją mocniej, gdy tymczasem druga dłoń głaskała jej kark, zatapiając się w gęstych włosach. Stęknęła cicho, przyciskając się do niego, aż prawie stracił równowagę i cofnąwszy się chwiejnie kilka kroków, poczuł za sobą wilgotną marmurową ścianę.

Przez cały czas bawiła się jego językiem, aż wreszcie otworzyła oczy i oddychając ciężko, spojrzała na niego. Również i jemu serce biło jak młotem. Położyła mu lewą dłoń na karku, przyciągnęła znowu jego wargi ku swoim, i teraz to on przymknął powieki, podczas gdy jej prawa dłoń wśliznęła się pod jego tunikę. Przesunęła się pomiędzy udami, aż znalazła to, czego szukała. Zachichotała cicho i zręczne palce zaczęły go obejmować raz delikatniej, raz mocniej, aż wreszcie jego pożądanie stało się tak wielkie, że ani nie chciał, ani nie był w stanie się już opanować.

Przytuleni do siebie stali przez chwilę w caldarium, wyczerpani i zmieszani, próbując dojrzeć swoje twarze w mętym świetle padającym przez szklane tafle w sklepieniu. Faustyna odsunęła Fla-wiuszowi z czoła zlepione potem włosy, uśmiechnęła się i lekko go pocałowała.

- Chodź, musimy już iść, bo inaczej nawet pijani domyśla się czegoś. Poza tym chętnie napiłabym się dzisiaj wina, choć podobno te przyjemności zastrzeżone są jedynie dla mężczyzn!

Flawiusz objął ją ramieniem i ruszyli ku wyjściu. Faustyna umyła ręce i doprowadziła do ładu włosy, on zaś uchylił drzwi, wyjrzał na dziedziniec, ale nie dostrzegł nikogo w świetle zachodzącego zimowego słońca. 'Wymknęli się szybko z łaźni i szli ku głównemu budynkowi, gdzie jedno po drugim zakradli się kolejno do auli z przeciwnych stron.

Hałaśliwa zabawa, kwaśny odór wina, gwar głosów. Niektórzy goście osunęli się już z ławek - Saturnalia okazały się pełnym sukcesem. Faustyna podeszła do ojczyzna spoglądającego na nią pytającym wzrokiem. Na porozumiewawcze skinienie głową wykrzywił w uśmiechu usta i przysunął jej kubek z winem.

Wieczorem większość mężczyzn z trudem utrzymywała się na nogach. W świetle księżyca ruszali w drogę do domu grupkami, żeby żaden się nie potknął i nie zamarzł. Jako jeden z ostatnich potoczył się do drzwi Faustus wspierany przez Faustyne, która też nie była już całkiem trzeźwa. Flawiusz towarzyszył im aż do bramy, a widząc zataczającego się dzierzawcę, posłał wraz z nimi Feliksa, żeby ich odprowadził.

Następnego dnia, po rozegraniu partii gry w żołnierzy, którą nieomal wygrał, Flawiusz usiadł wraz z Ulixesem w kuchni. Przymglądali się Matidii przygotowującej Druzylli specjalny napój, vinum conditum. Wyjaśniła im recepturę, mieszając składniki.

- Mocne czerwone wino rozcieńcza się niewielką ilością wody, potem sładzi miodem, dodaje łyżeczkę szafranu, do tego goździki, drobno posiekane oraz roztarte daktylowe pestki - przełożyła wszystko do garnka i ustawiła go na ogniu. - Teraz zagotowuję

całość, w zależności od potrzeb dodaję nieco żywicy i podaję w au-thepsa, żeby napój pozostał ciepły.

- Co to takiego? - zapytał Ulixes.

Matidia podeszła do półki, biorąc z niej naczynie z brązu, wypłukała je wodą, a potem uniosła do góry.

- Tak tu na to mówią. W środku jest rura, do której wkłada się rozżarzony węgiel drzewny, a tu wlewa się vinum conditum i tym sposobem zawsze można je pić gorące. Chcecie spróbować?

Obaj przytaknęli ochotczo, a gdy mieszanka zadymiała, Matidia - zanim napełniła authepsę i zaniósła ją Druzylli - nalała każdemu do kubka aromatycznie pachnącego napoju. Flawiusz siorbnął ostrożnie gorącego napitku.

- Znakomite — powiedział i po chwili zwrócił się do Ulixesa: - Mogę cię o coś zapytać?

Mężczyzna przytaknął i również skosztował ze swojego kubka.

-Jak... jak ci się podoba Faustyna? - młodzieniec spojrział z boku na swojego starszego przyjaciela.

- Córnka dzierżawcy? - Ulixes przyjrzał mu się z uwagą. -Jędr na piękność. Ale jeśli chcesz wiedzieć, jaka kiedyś będzie, to przyjrzyj się jej matce.

- Nie żyje, Faustyna mieszka z ojczymem. To znaczy myślałem o...

-Jakiej oczekujesz odpowiedzi: szczerzej czy uprzejmej?

Flawiusz zakreślił się niespokojnie na krześle.

- Od ciebie szczerzej, bo nie mam tu nikogo, z kim mógłbym o tym porozmawiać...

Ulixes skinął głową.

- Prawie jej nie znam, ale wydaje mi się wyrachowana. A co do jej ojca, to mam bardzo mieszane odczucia. Zbieraj doświadczenia, bądź ostrożny, a przede wszystkim nie oczekuj zbyt wiele.

Flawiusz, który co innego chciał usłyszeć, przytaknął rozczarowany. Ulixes odstawił swój kubek.

- Ja też chciałem ci coś powiedzieć. Wkrótce wyruszam w drogę.
- Kiedy, dokąd? - zerwał się młody człowiek.
- Muszę znowu pomyśleć o mojej pracy, a także chcę spędzić zbliżające się narodziny Mitry wraz z innymi współwyznawcami, których znajdę tylko w Augusta Treverorum.

- Co to za kult? - Flawiusz słyszał już to imię, ale nie orientował się zbyt w sprawach religii.

- Perski. Mitra to bóg światła, prawa ręka najwyższego bóstwa Ormuzda, który jako bóg dobra prowadzi walkę z Arymanem, panem zła. W dniu 25 grudnia porodziła go w grocie dziewica i mówi się, że jako pierwsi zobaczyli jego chwałę pasterze. Towarzyszyli mu dwaj niosący pochodnie: Cautes jako symbol wschodzącego słońca oraz Cautopates jako symbol zachodzącego słońca.

- A czego dokonał ten Mitra?

- Według tradycji pokonał byka wszechświata, zaniósł do pieczary, gdzie go zasztyletował, i tak stworzył świat.

- Co musi robić wyznawca Mitry? - Flawiusz spojrział na swojego rozmówcę, jak gdyby spodziewał się krwawych rytuałów.

- To kult dla mężczyzn zobowiązujących się wspierać walkę dobra ze złem. Jest siedem stopni wtajemniczenia. Ja jestem lwem, a to czwarty z nich. Bracia spotykają się na rytualnych ucztach, dzieląc ze sobą wino i chleb. Więcej nie mogę ci powiedzieć.

Rozczarowany młodzieniec spuścił wzrok.

- Skoro musisz jechać, to gdzie zamieszkaś w mieście?

- W Augustodunum otrzymałem imię i tessere przyjaciele jednego z przyjaciół. Handluje winem i nazywa się Tercjusz Saturnus. Byłoby mi miło, gdybyś mógł mnie odwiedzić.

Flawiusz miał ochotę, tylko nie bardzo wiedział, jak to zrobić.

Następny dzień przyniósł wiosenne ocieplenie. Ulixes osiadł w wierzchowca, a mieszkańcy posiadłości pożegnali go jak członka

rodziny. Flawiusz chciałby mu jeszcze o wielu rzeczach opowiedzieć, więc ciężko było mu się rozstawać z przyjacielem. Pomachał tylko w ślad za jeźdźcem, aż ten zniknął powoli na horyzoncie. Potem odwrócił się i rozszluszczony kopnął polano. Bez Ulixesa i Faustyny jego życie stawało się szare jak stary śnieg.

>X V <X

Ulixes pocwałował na południowy zachód, aż osiągnął szlak wiodący z Antunnacum do Augusta Treverorum. Tu skończył się spokojny stęp, gdyż na szerokim na dwadzieścia stóp trakcie tłoczyli się wszyscy: spoceni tragarze uginający się pod ciężarem ładunków, przeklinający handlarze popędzający juczne zwierzęta, wędrujące rodziny próbujące głośnymi nawoływaniem zapobiec zagubieniu się w tłumie. Ludzka masa raz po raz przystawała, kiedy wymachujący kijami wieśniacy przepędzali swoje stada, blokując drogę, lub zwalniała przy ciągnących się powoli wozach obładowanych ciężkimi granitowymi blokami. Od czasu do czasu połyskiwały brązowe okucia wozów podróźnych, których zawieszono na skórzanych rzemieniach pomalowane na kolorowo karoce kołysały się dostojnie nad powszechnym rozgardiaszem. Głośnie przekleństwa i krzyki zwiastowały zbliżanie się cesarskiego kuriera, a pospieszny tętent kopyt sprawiał, że wszyscy usuwali się na skraj drogi lub na rozmiękłe pola.

Gdy po trzech godzinach Ulixes dojrzał Mozelę, poczuł dotkliwy głód, więc pozwolił sobie na odpoczynek w Ad Quintam. Rozłożona wzdłuż szlaku wioska składająca się prawie z samych garkuchni dla podróźnych wzięła swoją nazwę od pięciu mil dzielących ją od Augusta Treverorum. Po spożyciu posiłku powędrował ku brzegowi rzeki, aby spojrzeć na dostojnie płynący nurt. Również tam wykorzystywano ciepłe dni i transportowano nią zwłaszcza delikatne towary, jak szkło i amfory, albo takie, któ-

re były zbyt ciężkie lub wielkie, aby je przewozić łądem. W górę rzeki barki holowano, ciągnąc je pod prąd na linach siłą zwierząt lub ludzi. Żegluga w dół rzeki kosztowała mniej wysiłku, lecz głośne pokrzykiwania zdradzały zdenerwowanie sterników chcących utrzymać szybko płynące jednostki pośrodku nurtu i uniknąć przy tym kolizji z podwodnymi skałami, mostami oraz innymi statkami. Ulixes już miał zamiar odejść, gdy zza zakrętu wypłynął śmigły okręt wojenny. Długi rząd wiosel zanurzał się rytmicznie w wodzie w takt wybijanego werbla. Bukszpryt i rufę zdobiła wilcza głowa, a dziób rozcinał fale jak sztylet. Na pokładzie udało mu się dojrzeć ustawione beczki z winem oraz kilku pasażerów, którzy otuleni w ciepłe futra spoglądali na rzekę. Widać było po nich, że ani przez chwilę nie myślą o pracujących pod pokładem niewolnikach, których trudowi zawdzięczają szybką i wygodną podróż w górę Mozeli.

Ulixes wsiadł na swojego wierzchowca i ruszył w dalszą drogę, aż wreszcie po drugiej stronie rzeki pojawiły się kanciaste zarysy muru miejskiego. Ruszył ku mostowi, przymuszając opierającego się konia do wejścia na ciężkie bale. Tu znowu ruch zwolnił, tym razem przed stacją celną, więc zsunął się z siodła i podszedł do balustrady. Dostrzegł starannie wymurowane kamienne filary, pomiędzy którymi przepływała bulgocząca woda, i jako ofiarę dla boga rzeki wrzucił doń drobną miedzianą monetę. Na drugim brzegu musiał najpierw poszukać sobie stajni, gdyż w mieście nie wolno było trzymać zwierząt. Potem ludzka masa wciągnęła go pod potężne sklepienie bramy miejskiej, a po kilku krokach zobaczył po prawej ręce ozdobioną posągami fasadę wielkich term. Tam zagadnął jednego z chłopców i za niewielką opłatą kazał się zaprowadzić do domu swego nieznanego gospodarza. Wprowadzono go do przestronnego przedsionka, gdzie po krótkim oczekiwaniu

otwarły się drzwi i zjawił się mężczyzna o niezwyklej tuszy. Spojrzał nań, po czym zapytał z pogardą:

- Czego chcecie, nie znam was!

- To prawda, ale przekazuję wam pozdrowienia od Tytusa Man-liusa i coś jeszcze!

Przy tych słowach pokazał tłuściochowi połowę małego koziego łba, z satysfakcją przyglądając się nagłej zmianie w jego zachowaniu.

- Przyjaciel mojego przyjaciela z tessera, witam w moim domu! Chłopcy, do roboty. Przygotujcie zaraz izbę i coś do picia. Musicie być spragnieni, skąd przybywacie?

Podczas gdy niewolnicy ruszyli pospiesznie do swoich zajęć, Tercjusz Saturnus sięgnął do jednej z szafek, wyciągnął brakujący pendant brązowej tessery, złożył obie części razem i przyjrzał się z zadowoleniem całości.

- Teraz tworzymy jedność, drogi nieznanu przyjacielu. Witaj w moich progach bez względu na to, co cię sprowadza do tego pięknego miasta. Mój dom i moje wino są do twojej dyspozycji!

- Wielce to uprzejme z twojej strony, drogi Tercjuszu, jednak zatrzymam się tutaj na dłużej, więc wynajmę sobie jakieś lokum. Ale przez pierwsze dni będę bardzo wdzięczny za gościnę.

Gdy jednak po tygodniu Ulixes przeprowadził się do własnej kwatery, pomiędzy obu zewnętrznie tak różnymi od siebie mężczyznami nawiązała się nić sympatii. Spotykali się w łaźni parowej mieszczącej się we wspaniałych termach i dyskutując przyjaźnie, znaleźli wiele wspólnych tematów. Któregoś dnia, gdy pływali właśnie w ogromnym podgrzewanym basenie, jedynym w swoim rodzaju w całym Imperium, Ulixes zdobył się na odwagę.

- Tercjuszu, chciałbym z tobą pomówić otwarcie. Rozłam Cesarstwa pociąga za sobą fatalne skutki, sprawiając, że nasi wrogowie na

Wschodzie coraz bardziej się rozzuchwalają. Dokąd Postumus będzie cesarzem w Kolonii, Galien w Rzymie ma związane ręce. Dlatego przybyłem tutaj, aby znaleźć kogoś, kto byłby na tyle ambitny... Ulixes zawahał się przez chwilę, ale handlarz winem zachęcił go, by kontynuował.

- Mów dalej. Tu nie podsłucha nas żaden cesarski frumentariusz.

- .. i miał powód do usunięcia Postumusa. Ten ktoś powinien mieć na tyle doświadczenia wojskowego, żeby sprawa się powiodła, choć z drugiej strony - nie może być na tyle silny, żeby stanowić później jeszcze większe zagrożenie. Pieniądzy mam dość, a cesarz Galien nie będzie szczędził uznania mścicielom swojego syna. Czego mi brak, to kontaktu z odpowiednimi ludźmi. Nie mogę przecież zacząć rozpytywać się na forum.

Tercjusz obrzucił go badawczym spojrzeniem.

- Wdałeś się w niebezpieczną grę. Dlaczego nie nazywasz się lis, tylko orzeł (aquilla)? - w zamyśleniu plusnął ręką w gorącej wodzie. - Ale żarty na bok, być może będę mógł ci pomóc. Po szukaną przez ciebie osobę opisałbym następująco: albo jakaś obraza zasiała na zawsze nienawiść w jego sercu, albo zżera go głupia ambicja i przecenia sam siebie. Niech się zastanowię.

Tercjusz zanurzył się na chwilę pod wodą, potem przetaił mokre oczy, rozejrzał się wokoło i ściszył głos:

- Przychodzą mi na myśl dwa imiona. Pierwszy nazywa się Ulpius Cornelius Laelianus, piękniś, który zaszedł dość daleko jeszcze za rządów Galiena. Przed kilku laty zapalał namiętą miłością do germańskiej blondynki imieniem Julia Donata, ale Postumus sprzątnął mu ją sprzed nosa. Być może nawet domyślał się tego, gdyż od tego czasu kariera Laelianusa uległa stagnacji. Obecnie jest namiestnikiem Górnej Germanii odpowiedzialnym za zaopatrzenie legionów w żywność, sukno i wino. No tak, tu ręką rękę myje. Zaopatruję go prywatnie po cenach obniżonych, a on

w zamian pozwala mi czasem przewieźć pilne dostawy na okręcie wojennym.

- Wydaje mi się, że widziałem coś takiego, gdy tu przybyłem.

- Dobrze widziałeś, to był jego okręt. Jest teraz w mieście, choć zwykle siedzi w Mogontiacum i marzy o czymś większym.

Handlarz winem zamilkł na chwilę, a potem na jego twarzy pojawił się wyraz powagi. - Drugi to trudniejszy przypadek. Nazywa się, o ile się nie mylę, Caius Marcus Aureliusz Marius. Prawdziwy niedźwiedź, zabija uderzeniem pięści i zanim wstąpił do armii, był płatnerzem. Jest oficerem w Kolonii, natomiast jego poczucie własnej godności graniczy z czcią oddawaną bohaterom. Wręcz pali się do tego, żeby zagrać rolę pogromcy Germanów. Nie znam go osobiście, ale może nadarzy się sposobność poznania go przez jednego z przyjaciół w Kolonii. Poza tym niewykluczone, że znajdziesz jeszcze innych geniuszów do wykonania twojego planu.

- Wielkie dzięki, tych dwóch nadaje się znakomicie. Powiedz mi tylko, skąd wiesz o nich i dlaczego okazałeś gotowość do wspierania mnie?

- A jak myślisz, na czym zarabiam? Na najlepszych winach dla znakomitych klientów. A co oni robią, gdy poda im się w mojej winiarni coś naprawdę dobrego? Wpadają w dobry nastrój i nie żałują sobie napitków. Dolewam im dyskretnie i w końcu nadchodzi ta chwila, gdy chcą się komuś zwierzyć. A kto jest wtedy w pobliżu, ogarnia ich ramieniem i tak dobrze ich rozumie?

Tercjusz wykrzywił twarz w pytającym uśmiechu.

- Zgadza się, nieszkodliwy Tercjusz sprawiający wrażenie pół główka i bardzo im schlebiający. Ten tłuscioch bez politycznych ambicji, zadowolony ze swojego małego interesu z winami. Tylko że mój interes nie jest wcale taki mały, tylko największy w całej Dolnej Germanii i Północnej Galii, nie mówiąc już nawet o tym, żebym był zadowolony! - Tercjusz odetchnął głęboko. Leżąc na

plecach, przepłynął kawałek w gorącej wodzie, potem sapnął i znowu zwrócił się do Ulixesa. - Prawdziwy dochód przynosi import win. Przez dwa stulecia cesarze ograniczali uprawy nad Mozelą. Winogrodnicy italscy doskonale na tym zarabiali, a także i ja jako importer. Natomiast Postumus chce, żeby denary bogaczy pozostały w kraju. Dlatego wspiera tutejszych wieśniaków i ustanowił wysokie cła na falernera i inne wina z Italii i Grecji. Rozumiesz już teraz, dlaczego nie odpowiada mi taki imperator?

Ulixes przytaknął.

- Skontaktuj mnie z Laelianusem. Dam mu do zrozumienia, jak wiele spodziewa się po nim cesarz Galien; że przybędzie ze swoją armią, gdy tylko jego człowiek wystąpi przeciwko Postu-musowi. Najpierw dam mu powąchać złota, a kiedy to nie wystarczy, szepnę mu na ucho, że zwycięscy wodzowie pociągają kobiety.

Przypominając sobie o tym spotkaniu, Ulixes uśmiechał się pod nosem. Jak chciwie przysłuchiwał się Laelianus komplementom schlebającym jego urażonej ambicji i obiecującym zaspokoić palącą go chęć zemsty.

Pozostawał jeszcze niedźwiedź z Kolonii, który zwęszył dopiero przynętę, ale Ulixes wierzył, że da się na nią złapać. Należało jedynie uzbroić się w cierpliwość.

* }V {

W kwietniu Flawiusz miał zamiar złożyć ofiarę. Przygotował ciasto i wino, osiadł kasztanekę podarowaną mu przez stryja z okazji osiągniętej pełnoletności i ruszył w drogę. Krótkie pozdrowienie starego Ursusa, który widząc go, otworzył pospiesznie drugie skrzydło bramy, i już był poza majątkiem. Zaraz też spał wierzchowca ostrogami, galopując przed siebie, aż wiatr pomierz-

wił mu włosy. Słońce świeciło już od kilku dni, ale dopiero dzisiaj można było rozkoszować się jego ciepłem. Na drzewach pokazała się pierwsza zieleń, a z południa powróciły stada szpaków. Piers jeźdźca rozpięły duma i poczucie wolności. Niech inni taplają się w błocie, on wybiera się na zwiedzanie świata. Jako Rzymianin z dobrej rodziny znalazł się na zawsze ponad niewolnikami, barbarzyńcami, rzemieślnikami i wieśniakami pędzącymi nędzny żywot. Przy świątyni zawahał się na chwilę, potem podjął decyzję i skierował kasztanek na drogę w las.

Gdyby mógł poznać przyszłość, jego dobre samopoczucie szybko by przyszło.

W zamieszkiwanym przez dzierżawców przysiółku niezliczone pary oczu spoglądały z drzwi nędznych chat na konia człapiącego niechętnie po rozmiękłym szlaku. Flawiusz dotarł do domostwa Faustyny, zsunął się z siodła, zastukał rzymskim zwyczajem nogą i wszedł do środka. Stojąca przy piecu dziewczyna odwróciła się wystraszona, widząc w drzwiach sylwetkę obcego przybysza. Zaraz jednak na jej ustach ukazał się uśmiech. Odstawiła gliniany garnek i podeszła do gościa.

- Flawiusz, jak miło cię widzieć. Co cię sprowadza?

- Podejdz do drzwi, to zobaczysz! - ujął ją za rękę i pociągnął za sobą.

Nie protestowała, aż wyszli na zewnątrz, a wtedy klasnęła z radością w dłoń:

- Koń, wspaniale! Należy do ciebie?

- Tak, to podarunek od Juliusza. Jestem teraz mężczyzną i sam mogę decydować o swoim życiu.

- Jak to? Zmarł może twój ojciec i pozostawił ci coś w spadku?

- zapytała Faustyna, zdradzając praktyczny zmysł kogoś, kto troszczy się o wyżywienie rodziny.

Flawiusz zamilkł zmieszany. Wcześniej dzieci z sąsiedniej posiadłości naśmiewały się z niego, że nikt nie zna jego rodziców. W efekcie zaprzestano wzajemnych odwiedzin, ale ból tkwił głębiej. Bez finansowego wsparcia w postaci odziedziczonej ojcowizny nie można było myśleć o pokryciu wydatków wiążących się z początkami kariery politycznej. Druzylli, będącej właścicielką majątku, brakowało zrozumienia dla urzędów i zaszczytów, które w jej oczach zaspokajały jedynie męską próżność. Musiał zatem sam zdobyć dla siebie majątek - tylko jak?

Spojrzał na dziewczynę. Wyglądała na zmęczoną i wynędzniałą, jej wesołość wydawała się wymuszona i nie tak swobodna jak zawsze.

- Nie, mój ojciec zginął wraz z armią Waleriana w Syrii. Zie mnie otrzymałby dopiero po zakończeniu służby w legionach. Mam więc jedynie konia i kilka ubrań, ale jestem bez pieniędzy. Może jednak odważysz się odbyć przejażdżkę z ubogim młodzieńcem?

Zerknęła na niego z boku, uśmiechnęła się i odparła:

- Nawet chętnie, tylko nie wiem jak. Nigdy nie siedziałam na koniu...

- To bardzo proste, zaraz ci pokażę. Musisz tylko usiąść za mną i mocno się trzymać. Przynieś jakąś drabinę albo coś podobnego, wtedy łatwiej dostaniesz się na grzbiet konia.

- No dobrze, muszę tylko powiadomić Faustusa! - zawołała dziewczyna, biegnąc w stronę zagrody, gdzie jej ojczym zajęty był czyszczeniem chlewu.

Chwilę później wróciła, niosąc małą drabinę, którą oparła o ścianę domu i ostrożnie na nią weszła. Flawiusz skierował ku niej niespokojnie tańczącą kasztankę, Faustyna pochyliła się do przodu, przytrzymała końskiego zadu, po czym przy pomocy Fla-wiusza wspięła się na grzbiet zwierzęcia. Niepewnie siedziała za nim, trzymając się go kurczowo, podczas gdy wierzchowiec szedł stępą wzdłuż drogi. Jednak już po chwili jej duma zwyciężyła i za-

częła się zachowywać tak, jak gdyby ten sposób podróżowania był najbardziej oczywisty na świecie.

Kędy zostawili już za sobą zabudowania wioski, Flawiusz puścił konia lekkim kłusem. Niezwykły, podrzucający w górę ruch oraz szybkość wprawiły Faustynę w zachwyt, więc jeszcze mocniej przytuliła się do jeźdźcy. Ucisk jej ramion, bliskość twarzy przy szyi, jej zapach, dotyk piersi, a do tego bieg konia - wszystko było nowe i fascynujące. Młodzieniec spróbował dostosować poruszenia swojego ciała do chodu wierzchowca i przeniósł ten rytm na dziewczynę. Ona wyczuła harmonię i uspokoiła się, a tymczasem jemu serce zabiło młotem.

- No, teraz już dużo lepiej - zaśmiała się. - Będąc jeźdźcem, można się czuć niczym bóg. Dokąd mnie zabierasz?

Nad tym Flawiusz właśnie się zastanawiał.

- Tam, gdzie nam się spodoba, gdzie będzie ładnie i nikt nam nie będzie przeszkadzał. Ty pewnie lepiej się orientujesz w okolicy.

- Jedźmy w lewo, na południowym skraju lasu na pewno coś znajdziemy!

Flawiusz skierował kasztankę we wskazanym kierunku i po jakimś czasie dojrzelili małą polankę w lesie, gdzie gęste kępy zeschłej trawy tworzyły miękkie i ciepłe podłoże. Faustyna ześliznęła się na ziemię po końskim zadzie, Flawiusz zsiadł z siodła, przywiązał wierzchowca do drzewa i ujął dziewczynę za rękę. Oboje ruszyli na skraj lasu. Tam odwrócił się do niej, przyciągnął ją do siebie i pocałował. Początkowo z wahaniem, a potem - gdy poczuł, że się nie opiera, coraz gwałtowniej i z rosnącym pożądaniem. Przez chwilę stali tak przytuleni do siebie, gwałtownie oddychając, aż wreszcie osunęli się na nagrzaną słońcem suchą trawę. Początkowo zrywali się na odgłos każdego parsknięcia kasztanki, wkrótce jednak pozbyli się wszelkich obaw i nic nie liczyło się na świecie oprócz ich pragnień. Leżący obok Faustyny Flawiusz pieścił ją

dłonią - najpierw niepewnie, gdyż bał się popełnić jakiś błąd, aż wreszcie ona wzięła jego prawą dłoń i położyła sobie na piersiach. Przez zgrzebne płótno wyczuł twarde brodawki, a potem wsunął rękę pod materiał i zaczął na przemian dotykać jej piersi, pełnych i okrągłych.

Ujął między palce stojące brodawki i ścisnął je lekko, potem odsunął jej suknię, a ona jęknęła cicho, odchyliła w tył głowę i zamknęła oczy. Jego język zatoczył krąg wokół lekko uchylonych warg, powędrował powoli wzdłuż szyi i zatrzymał się dłużej na piersiach. Leżąca na plecach Faustyna wiła się niespokojnie, oddychając gwałtownie. Potem wzięła jego rękę, położyła sobie na brzuchu i rozchyliła uda.

Flawiusz poczuł silne pożądanie, a jednocześnie przepelniało go uczucie bezradności. W żadnym razie nie wolno mu teraz zrobić czegoś niewłaściwego! Ale co należało zrobić, tego nie wiedział. Głaskał więc łagodnie jej brzuch, powoli odważając się schodzić coraz głębiej, tam, gdzie wyczuł miękkość włosów i z pełnego rozkoszy jęku domyślił się, że jego palce są tam mile widziane. Wreszcie znalazł najczulsze miejsce, a gdy go dotknął, zakrzyknęła cicho.

- Chodź, chodź wreszcie!

Pochwyciła go za tunikę i pociągnęła ku sobie. Oboje podciągnęli swoje ubiory, a potem przytulił ją do siebie i znalazł się tam, gdzie miał się znaleźć i gdzie go oczekiwano. Poruszała się pod nim tak gwałtownie, że z trudem znajdował ten sam rytm i wówczas zauważył, że jego podniecenie wzrasta. Jego ciało wiedziało, co należy czynić. Poczul narastającą moc niweczącą cały otaczający go świat. Nic się nie liczyło oprócz jego pożądania rozładowującego się w gwałtownych pchnięciach. Zaraz też przepelniła go pulsująca rozkosz, o jakiej jeszcze nigdy nie marzył, i po kilku beczennych chwilach wybrzmiała w błogim wyczerpaniu.

Długo leżeli przytuleni do siebie, zatopieni we wspomnieniach tego, co przeżyli, a tymczasem rozlegało się stukanie dzięcioła i cień bliskiego lasu zaczął wędrować ku nim. Bez słońca powietrze stawało się chłodne. Rozluźnili uścisk, doprowadzili do porządku swoje ubrania i zakłopotani spojrzeli na siebie. Flawiusz wyciągnął Faustynie z włosów kilka suchych łodyg trawy, i wreszcie ona przerwała milczenie.

- Musimy wracać, bo inaczej czekają mnie kłopoty. Co jeszcze zamierzasz?

- Chcę się udać do świątyni, żeby złożyć Jupiterowi ofiarę, trochę wina i ciasto.

- Daj mi ciasto! Jestem głodna i od tygodni nie miałam niczego porządnego w ustach!

Zakłopotany Flawiusz otworzył worek i podał jej kawałek ciasta. Wyrwała mu go z dłoni, wpakowała sobie do ust i przełknęła szybko miodowy wypiek.

- Daj jeszcze, przecież masz na pewno więcej.

Flawiusz się zawahał, spoglądając na nią niepewnie.

- To miała być moja ofiara. Gdybym wiedział...

- Ach, wy w swojej willi nie macie pojęcia, jak wiedzie się nam, dzierżawcom, albo nie potrafisz myśleć. Twój tłusty stryj przeli cza pieniądze, a tymczasem my w naszych chatach nie wiemy, jak mamy przeżyć zimę. Daj mi to ciasto!

Podał jej jeszcze kawałek, który zniknął w jej ustach równie szybko jak pierwszy. Flawiusz czuł się zakłopotany, gdyż wydawało mu się, że popełnia świętokradztwo względem bóstwa, a poza tym szokowała go jej nieskrywana nienawiść względem jego świata. Powoli zawiązał worek, dosiadł kasztanki i wciągnął Faustynę na jej grzbiet. W milczeniu ruszyli truchtem z powrotem. Przed wioską zatrzymał się i odwrócił ku Faustynie, aby ją ostatni raz pocałować.

Przybywszy ku domostwu, żegnali się z udawaną swobodą, gdy zza rogu pojawił się Faustus, przyglądając im się.

- No, dobrze się zrozumieliście? Flawiusz wie, co mu służy, nie tylko jeśli chodzi o wino. To od razu dostrzegłem. Trzeba sobie użyć, dopóki jest się młodym. Zawsze powtarzam: korzystaj z dnia, a tym bardziej z nocy!

Mężczyzna z blizną na głowie zarechotał, a potem podszedł do zakłopotanego młodego człowieka i wezwawszy go gestem do pochylecia się w siodle, szeptał mu do ucha:

- Za dwanaście aureusów jest twoja. Zamierzałem ją sprzedać, ale chciałem, żeby znalazła się w dobrych rękach. Tobie by się przydała. Umie gotować i szyć, a co się tyczy najważniejszego, to wiesz więcej ode mnie. Zastanów się nad tym - przy tych słowach klepnął kasztankę w zad, aż skoczyła do przodu, żeby potem przejść w zwykły trucht.

Zatopiony w myślach Flawiusz szybko przemierzył krótką drogę do świątyni, przywiązał cugle do drewnianej kolumny podcieśnia, wziął swój worek i wszedł do wnętrza.

Panujący w środku zimowy ziąb wstrząsnął nim, gdy składał ofiarę na ołtarzu. Cofnął się nieco, próbując uwolnić swoje myśli od Faustyny, ale nie bardzo mu się to udawało. Jak powinien postąpić? Jakie ma możliwości, żeby osiągnąć godziwe i przynoszące dochód stanowisko? Gdzie mógłby dowiedzieć się czegoś o losie swoich rodziców? Czy w rzymskim archiwum znalazły się sprawozdania o tym, co stało się z Walerianem i jego armią? Czy ktoś w Lopodunum wiedział coś o jego matce? Czy były tam jeszcze okucia z brązu? Bogom na pewno spodobałoby się, gdyby znowu ozdobiły portal jakiejś świątyni! Powoli z chaosu jego wyobrażeń wyłoniła się jasna decyzja. Podszedł bliżej i spoglądając na rysujący się w półmroku pomalowany na kolorowo posąg Jupitera, wyrzekł z wahaniem:

- Jupiter Optimus Maximus, proszę cię o stanowisko wysokiego urzędnika. W zamian ślubuję ci odnalezienie brązów z fasady i poświęcenie ich twojej świątyni w Augusta Treverorum. Chciałbym także odnaleźć moich rodziców!

Zamilkł na chwilę, ale bóstwo nie dało mu znaku, że przyjęło jego propozycję. Niepewnym krokiem opuścił sanktuarium, odwiązał konia i drżąc na wieczornym chłodzie, ruszył do posiadłości.

ROZDZIAŁ 4

MIASTO NAD MOZELĄ

(268 r. po Chr.)

Byłoby głupotą zżymać się nad światem.

On nie troszczy się o to.

MAREK AURELIUSZ

Flawiusz siedział wraz z Juliuszem i Druzyllą, zapatrzony w płomień oliwnej lampki. Beznamyennie przysłuchiwał się niespiesznej rozmowie dorosłych rozgrywających wieczorną partycjkę szachów.

- .. .odkąd zamieszkaliśmy na wsi, życie stało się nudne.
- Nie stać nas na utrzymywanie domu w mieście.
- Ale ty musiałeś zainwestować ostatnie denary, żeby zamienić to gospodarstwo w twierdzę...

Myśli młodego człowieka odpływają w dal. Znowu rodzinny spór, te same zarzuty wyostrzone ciągłą praktyką.

Przypomniał sobie o łuku otrzymanym ostatniego lata od Juliusza z okazji czternastych urodzin. Do tego kilka tuzinów strzał z żelaznymi grotami oraz napomnienie, żeby nigdy nie celować do ludzi. Z prawdziwie ognistym zapalem zaczął ćwiczyć, mierząc do ustawionej na dziedzińcu tarczy. Najpierw rozlegały się przy tym ostrzegawcze okrzyki niewolników, gdy zabłąkana strzała przecinała z sykiem powietrze, ale wkrótce jego strzały coraz pewniej trafiały czarny punkt w środku celu.

- .. .musimy zarejestrować Flawiusza jako obywatela w Augusta Treverorum. Może natrafimy na jakieś przedstawienie w teatrze.

Flawiusz nadstawił ucha.

- Tylko wtedy, gdy znajdzie się jakiś zamożny mecenas - wes-tchnął Juliusz - bo cesarz już dawno zawiązał sakiewkę.

- Dzisiaj wszystko przejadają żołnierze. Wtedy, przed dwudzie-stoma laty, na tysiąclecie Rzymu, fundatorem był ten Filip Arab.

- To dopiero musiało być widowisko. Tygrysy i słonie, a nawet to monstrum, nazywają je nosorożec, i tak przez całe tygodnie. My na prowincji zobaczyliśmy tylko podstarzałego lwa.

- Nie zrymaj się, Juliuszu, tak już bywa.

Druzylla odwróciła się do Flawiusza, przeciągając dłonią po jego lokach.

- Za to twój ojciec kupił germańską niewolnicę i dlatego mamy ciebie. A w rok później potężny cesarz, ten arabski uzurpator, został wraz z synem zamordowany przez żołnierzy. Tak wiedzie się dzisiaj panującym i nic na to nie możemy poradzić. Idź już spać.

Flawiusz udał się do swojej izby i wśliznął się pod ciepłą derkę. Zamknął oczy, wyobrażając sobie wspaniały jubileusz z festynami, walkami gladiatorów i egzotycznymi zwierzętami wykrwawiającymi się na piasku areny ku radości rzymskiego plebsu. Jak to wszystko musiało rozbrzmiewać: okrzyki tłumów, trąbienie słoni, sapanie byków, ryk lwów, szczekanie psów, gęganie gęsi...

Zrywa się z posłania. Pod jego oknem słychać gęgot przerywana głuchym poszczekiwaniem podwórzowego psa. W domu po-brzmiewają głosy. Musi być wczesny ranek. Nakłada sandały, wciąga na siebie tunikę i wychodzi na ciemny korytarz. Od kamiennej podłogi odbijają się echem ciężkie kroki zdające się dochodzić od wejścia. Na dziedzińcu rozlega się brzęk metalu przy akompaniamencie okrzyków. Flawiusz czuje, jak bije mu serce, i po krótkim wahaniu rusza do kuchni, aby przynieść lampę. Na pryczy w rogu widzi Matidię przecierającą sobie oczy.

- Co się dzieje? - pyta służąca zaspanym głosem.

- Nie wiem. Wezmę światło i pójdę zobaczyć.

Matidia wskazuje ku glinianej lampce na stole. Flawiusz zabiera ją i biegnie do wejścia, osłaniając płomień dłonią.

Drzwi są otwarte, na zewnątrz widać migotliwy blask płomieni. Słomiany dach domu niewolników stoi w ogniu, na dziedzińcu migają cienie postaci, brzęk broni zagłuszą nawoływania. Pośrodku wolnej przestrzeni widzi Juliusza, który zgromadził wokół siebie kilkunastu mieszkańców. Siekierami i pałkami stawiają opór ciemno odzianym napastnikom uzbrojonym w połyskujące w blasku ognia miecze. Na dziedzińcu staje się coraz jaśniej, płomienie przeskakują na pokryty gontem dach szopy z narzędziami. Przez mur przeskakuje właśnie mężczyzna o natartej sadzą twarzy i wraz z drugim kompanem próbują odsunąć zamykający bramę rygiel.

Flawiusza paraliżuje paniczny lęk. Odwraca się i wbiega do domu, myśląc gorączkowo o jakiejś kryjówce, lecz nagle czuje wstyd i narastającą złość. Nie schowa się, będzie walczył jak inni mężczyźni! "^^ciąga spod łóżka łuk oraz strzały i rusza na taras, przykucając w rogu. Wstrzymując oddech, nakłada strzałę i mierzy do mężczyzny próbującego ciosami miecza rozbić zamkniętą kłódkę. Napina cięciwę, lecz zaraz opuszcza łuk. Nigdy nie mierzyć do ludzi! Ale na szczycie muru znowu pojawia się ciemna postać. Flawiusz unosi broń, napina cięciwę, celuje, świst rozcinanego powietrza. Uderzenie, okrzyk, mężczyzna na murze znika. Flawiusz zamiera na chwilę jak ogłuszony, a potem sięga po następną strzałę.

Brzękliwy łomot przy bramie, aż trzech napastników, jeden z nich, uzbrojony w młot, tłucze w kłódkę, która już długo nie wytrzyma. Flawiusz oddycha głęboko i składa się do kolejnego strzału. Kłódnicie naciągniętej cięciwy, świst strzały w ciemnościach. Mężczyzna z okrzykiem bólu wypuszcza młot i chwytą się za ramię. Pozostali dostrzegają łucznika na galerii i ruszają ku schodom. Strzelec sięga po następną strzałę, napina łuk i trafia jednego z rabusiów w nogę, gdy ten wbiega po schodach. Trzeci jest już za blisko na oddanie strzału. Teraz trzeba ratować się ucieczką,

zeby ujść z życiem. Flawiusz biegnie korytarzem, mijając otwarte kuchenne drzwi, za nim słychać ciężkie sapanie napastnika. Nagle domem wstrząsa przenikliwy okrzyk bólu. Chłopiec robi jeszcze kilka kroków, odbija się od ściany i osuwając się, spogląda w tył. Z kuchni bije światło, wycinając w ciemnościach prostokąt, w którym wije się jego prześladowca otoczony żarzącymi się na czerwono punktami. Nad nim stoi Matidia trzymająca w ręku ciężką patelnię z brązu. Napelniwszy ją rozżarzoną węglem drzewnym, ciska go napastnikowi w twarz. Teraz jej broń z głuchym łomotem spada na jego głowę.

- Zwiąż go! - woła Flawiusz.

Podnosi się z trudem, sięga po łuk i kuśtyka znowu w stronę głównego wejścia do willi. Na dziedzińcu brzęk broni miesza się z kakofonią wrzasków, jęków, wycia psa, huku szalejących płomieni i pisku kobiet.

Flawiusz mierzy w kolejny cień próbujący wspiąć się na mur, ale serce bije mu zbyt szybko, ręka drży, jest zbyt wzburzony, więc chybia. Jednak rabusie, słysząc poświstujące wokół nich strzały, zeskakują zaraz w dół. Pozbawieni posiłków napastnicy na dziedzińcu przechodzą do defensywy, coraz więcej obrońców atakuje ich pałkami, a spuszczonego z łańcucha pies zatopił kły w nodze jednego z nich. Choć w beznadziejnym położeniu, nie przestają być niebezpieczni. Ostateczne zwycięstwo nie jest wcale takie pewne, a szalejący pożar grozi zniszczeniem kolejnych zabudowań.

- Otwórzcie bramę i wypędźcie ich na zewnątrz - rozkazuje Juliusz jednemu z niewolników.

Uwolnieni zbóje wybiegają w ciemności nocy niczym pędzeni przez furie.

Mężczyźni, kobiety, niewolnicy i wolni - wszyscy sięgają po wiadra i dzbany, biegną do studni, tworzą łańcuch i próbują opanować ognisty żywioł. Zapalił się także kurnik. Trzy budynki stoją w pło-

mieniach, ich dachy zapadają się z trzaskiem, wznecając wulkany iskier. Z wielkim trudem udaje się zapobiec przerzuceniu się ognia na dalsze części gospodarstwa i uratować duży spichlerz.

Następnego dnia w bladym świetle poranka nad poczerniałymi ruinami unosił się jedynie duszący swąd spalenizny. Gdy Flawiusz padł na posłanie, wiedział już, że właśnie bezpowrotnie zakończyło się jego dzieciństwo.

Na przywracaniu porządku zszedł równo tydzień. Juliusz z troską ocenił szkody i postanowiono, że sprzedadzą zapasy ziarna, kilka świeczników z brązu, mniejsze meble oraz biżuterię Druzylli. Również wzięty do niewoli rzezimieszek, milczący uparcie, przyniesie na targ kilka sztuk złota, których teraz bardzo potrzebowali. Flawiusz miał pojechać wraz ze stryjostwem do Augusta Treverorum i tam wstąpić do terminu. W pośpiechu, jeszcze przed odjazdem ciężko załadowanego wozu, zabrakło mu czasu na odwiedzenie Faustyny. Wieczorem następnego dnia, załatwiwszy już wszystkie sprawunki w mieście, udali się do handlarza winem.

Po krótkim marszu stanęli przed miejską willą, przed której drzwiami umieszczono relief przedstawiający fallusa z napisem: „Uchodź zazdrości!”. Dowiedziawszy się, że przybyli przyjaciele Ulixesa, zjawił się tęgi mężczyzna, a widząc wyraz twarzy młodego człowieka, wybuchnął śmiechem.

-Wypróbowany urok przeciwko zawistnikom. Nie wierzę w niego, ale podobno skutkuje nawet wtedy, gdy się w niego nie wierzy. Jestem Tercjusz, a wy to pewnie Juliusz i Flawiusz, o których już słyszałem. Wejdźcie do mojego skromnego domostwa. Chłopcy, przynieście wina, tylko najlepszego, bo mamy znawcę pośród siebie!

Podczas gdy Feliks ruszył wraz z jednym ze sług do kuchni, pan domu otoczył przybyszów ramionami i wprowadził do pomieszczenia z pomalowanymi na czerwono ścianami i geometrycznymi figurami na posadzce. Jego środek zdobił napis „Salve lucrum -witaj, zysku!”.

- Jedliście już? Jak długo zatrzymacie się w mieście? Co takiego, nie macie czasu? Nawet nie chcę o tym słuszeć! Poślę jednego z niewolników, żeby zatroszczył się o wasz wóz. Jesteście moimi gośćmi, dzisiaj i tak nie uda się wam pokonać drogi powrotnej. Będziemy mieli chwilę, żeby porozmawiać, tak jak przystało na mężczyzn.

- Nie jesteście żonaci? - zapytał Flawiusz.

W spojrzeniu gospodarza łagodny wyrzut mieszał się z kpiącą protekcyjnością.

-Ja? Niech mnie Jupiter broni i zachowa! Dlaczego miałbym zamieniać słodką wolność na jakąś babę, która na końcu powie mi, że jestem za gruby, a z upływem czasu sama będzie się stawała coraz brzydsza i zrędliva, spędzając godziny na nakładaniu szminek? Przyjaciele, już przed stuleciem mądry Lukian powiedział wszystko na ten temat w swoich *Amores*: „Kto widzi niewiasty, jak rankiem wstają z łóżka, ten stwierdzi, że są brzydsze od małp. Dlatego zamykają się starannie w swoich komnatach i nie wystawiają na widok męskich spojrzeń. Stare powiernice i cała gromada służących stoją wokół nich i upiększają ich nieszczęsne twarze wszelkiego rodzaju kosmetykami, najróżniejsze pudry muszą rozjaśnić niepożądaną barwę...”. I tak dalej, ale nie chciałbym was zanudzać takimi prawdami. Choć wydaje mi się, że ty - tu zwrócił się do Flawiusza - jesteś jeszcze zbyt naiwny. Ale z czasem nauczysz się wszystkiego.

Przy tych słowach poklepał po głowie młodego człowieka, który najchętniej odepchnąłby jego rękę, gdyby nie Juliusz, który dyskretnie kopnął go w kostkę.

Kolacja okazała się prawdziwym zadośćuczynieniem, gdyż podano świeże ostrygi, którym Flawiusz przyglądał się najpierw nieufnie, a potem siorbał z coraz większą ochotą. Ponadto wino lało się strumieniami.

W nocy obudziły go głośne jęki przechodzące w głośne krzyki. Podbiegł do sąsiedniego legowiska. Zobaczył na nim przewracającego się z boku na bok Juliusza, wymachującego wokoło rękoma i jękającego pod nosem:

- Do spichrza, szybko, barbarzyńcy nadchodzą.

Gdy wreszcie udało mu się go dobudzić, stryj spojrział na niego błędnym wzrokiem, z trudem wracając do rzeczywistości.

- Majak senny - wymruczał, po czym powoli zapadł w spokojniejszy sen.

Również Flawiusz potrzebował dłuższej chwili na uspokojenie. Teraz już wiedział, dlaczego Juliusz nigdy nie próbował odnaleźć portalu. Powodem był lęk, paniczny lęk.

Następnego ranka, powierzając Flawiusza opiece handlarza winem, Juliusz nie dał niczego po sobie poznać. Pożegnał się powściągliwie i przeżuując kawałek sera, udał się wraz z Feliksem w milczeniu do wozu.

Wracającego z Kolonii Ulixesa oczekiwano za niecały tydzień. W tym czasie Flawiusz mógł zostać pod dachem Tercjusza, przyrzec się jego pracy i poznać miasto.

Po kilku dniach Tercjusz zagadnął go przy kolacji.

- No, mój młody przyjacielu, przez kilka dni rozejrzałeś się nieco. Pewnie spodobało ci się miasto, bo żyje się w nim dobrze, ale powinniśmy pomyśleć o przyszłości. Mógłbym cię zabrać jutro ze sobą i pokazać ci mój interes.

Flawiusz przyzwyczał się wprawdzie do swobodnych wędrówek, ale poczucie obowiązku podpowiedziało mu to samo, podobnie jak i topniejąca gotówka: bez pieniędzy nie ma wolności, bez pracy nie ma pieniędzy. Skinął głową potakująco.

- Do roboty, chłopcy! - na to hasło napięły się mięśnie tragarzy, unosząc w górę lektykę Tercjusza, aby zanieść go do kantoru. Flawiusz biegł swobodnie obok, przysłuchując się grubasowi, który raz po raz przerywał swoje wywody, aby pozdrowić zadzierających nosa odzianych w togi obywateli albo zakutych w skórzane pancerze wojskowych.

-Jak już mówiłem, mam kram przy bramie północnej, kilka winnic na słonecznych stokach oraz gospodarstwo przynoszące niezły dochód. Ale przede wszystkim importuję wino, bo... Życzę pięknego dnia, dekurionie! ...najpełniejszy bukiet ma ciągle jeszcze wino falerneńskie. Przez te nieszczęsne spory pomiędzy imperatorami... Cóż za radość, centurionie! Moja winiarnia oczekuje waszych odwiedzin! ..nie otrzymuję żadnych dostaw z Italii, a jeśli dochodzą, to po horrendalnych cenach.

Grubas pochylił się do przodu, otarł czoło i kark jedwabną chustą i tak ciężko opadł na poduszki oparcia, że tragarze cicho stęknęli.

- Jeśli potrafiłbyś się zaprzyjaźnić z winogrodnictwem i okazał gotowość do zgięcia karku, mógłbyś któregoś dnia zasiąść na mojej posiadłości za stołem, poganiać służących i troszczyć się o to, żeby wino bulgotało w beczkach - spojrzał z ukosa na Flawiusza. - Sądzę, że nadałbyś się do tego, mój chłopcze! Ale... - tu uśmiechnął się znacząco, wskazując na drobne błękitne żyłki przecinające jego wydatny nos - w tym fachu nie wolno dać się doprowadzić do zguby temu, czym napelnia się antały i bukłaki. Oblicza wyczarowane przez wino szybko stają się koszmarami, jeśli zbyt wiele nalewa się do własnego kubka. Ale znowu odszedłem od tematu.

No więc, kiedy winne grona dojrzeją... Wyrazy szacunku, czcigodny retorze, już dawno nie widziałem was w moim kramie. ..przy takich klientach trzeba uważać. Ostatnim razem stargował cenę, obiecując, że przyjdzie ze swoimi uczniami... Na czym to ja skończyłem? Aha, winobranie, od tego się zaczyna. Potem dodatkami czyni się je zdolne do przechowywania i nadaje mu właściwy smak.

- Co się do tego stosuje?

- Różności, mój chłopcze, pewne substancje. Lepiej jest tego nie wiedzieć. Ale przybyliśmy na miejsce, więc pokażę ci najpierw kram i winiarnię, bo jeśli nawet żyję ze sprzedaży hurtowej, to wierz mi, niejeden interes zostaje dobity w szynku!

Podeszli do dwukondygnacyjnej budowli. Kilku mężczyzn pchało z wysiłkiem ciężkie beczki, wtaczając je po rampie do piwnicy. Tercjusz pozdrowił ich łaskawie, a potem przeszli do kwaśno pachnącego pomieszczenia rozciągającego się przez cały parter. Tu mieścił się kram. Za kontuarem piętrzyły się okute żelazem beczki, a nad nimi kołysały się dzbany służące do mieszania napitku z wodą. W prawym rogu widać było dwanaście amfor opakowanych słomą służącą do zabezpieczenia ich przed rozbiciem podczas transportu.

- To - poinformował Tercjusz, wskazując na nie - wyjątkowy delikates: wędzone wino z Massilii.

- Wędzone wino? Macie mnie za głupca?

- Ja, Tercjusz Saturnus, miałbym marnować czas, żeby oszukiwać młodzież? Nie, wino często się wędzi, żeby przyspieszyć proces dojrzewania i niektórzy klienci cenią sobie szczególnie ten smakołyk z południowej Galii. No cóż, kosztuje parę denarów więcej. Ale to nie wszystko, co robi się z winem.

- Co jeszcze się robi?

- Na przykład dodaje się żywicę, gips, mielony marmur, siarkę... Flawiusz przełknął ślinę.

- Bachusie, miej mnie w swojej opiece!

- ...terpentynę, potaż, smołę, ług, krede... Tyle przychodzi mi w tej chwili na myśl. Też tego nie toleruję i zabraniam w mojej winnicy. Ale tutaj nie mamy, niestety, tyle słońca, ile na południu, więc musimy zaokrąglić smak, dodając moszcz lub syrop - Ter-cjusz młasnął językiem.

- A to skąd się bierze? - zapytał Flawiusz z podejrzliwością w głosie.

- To nic wielkiego. Zagotowuje się sok z bardzo dojrzałych winogron, najlepiej w naczyniach z ołowiu, bo wtedy jest słodszy niż w miedzianych, a koncentrat dodaje się potem do wina. Ale nie będziemy się rozwodzić nad szczegółami. Musisz się wiele nauczyć, a najlepiej zacznij od ksiąg rachunkowych, które są na piętrze.

Od tego dnia Flawiusz zaczął regularną pracę w interesie z winami: prowadził księgi, załatwiał korespondencję i doglądał dostaw. O drugiej godzinie po południu, podobnie jak i inni handlarze, kończył ją i mógł wędrować po mieście.

Któregoś dnia, gdy właśnie zamykał drzwi, omal nie został strawiony przez czterech niewolników niosących lektykę. Dyszeli ciężko pod jej ciężarem i nie żalowali wysiłku, ale gdy zatrzymali się przy przecznicy, by przepuścić kilku tragarzy, zza wyszywanych złotem zasłon rozległ się skrzekliwy głos:

- Dalej, leniuchy! Macie zamiar zapuścić tu korzenie?

Flawiusz już się odwracał, kręcąc z dezaprobatą głową, gdy jego spojrzenie padło na młodą niewolnicę czekającą za lektyką. Nie mógł zobaczyć jej twarzy, ale figura, włosy, postawa wydały mu się znajome. Ruszył za konduktem, aż zatrzymał się on przed kramem jubilera i niesiona dama weszła do wnętrza, ^czerpani tragarze przysiedli na ziemi, a młoda niewolnica oparła się ze spuszczoną

głową o otynkowany na biało mur, trzymając w ręku parasol. Flawiusz podszedł bliżej, aż wreszcie ją rozpoznał.

- Faustyna! Co tu robisz?!

Spojrzała na niego z lękiem, przywołując gestem na stronę.

- Co się stało? - młody człowiek patrzył na nią zdumiony.

-Gdzie Faustus?

- Mój ojczym? - uśmiechnęła się gorzko. - Przed kilkoma tygodniami wrócił nocą z jakiejś eskapady, krwawiąc z rany na nodze i przeklinając straszliwie. Musiałam go opatrzyć, powiedział mi, że pogryzł go pies. Gdy dopytywałam się o szczegóły, ryknął na mnie, żebym zamilkła, i upił się do nieprzytomności. Następnego dnia zjawili się dwaj jego kompani. Musiałam wynieść się z chaty, ale podsłuchiwałam.

Dziewczyna spojrzała szybko na zamknięte drzwi kramu, a potem kontynuowała.

- Zorganizowali napad na coś większego, ale nie powiodło im się i jeden z bandy został ujęty. Zaczęli się bać, że może ich zdradzić, i zaczęli myśleć o ucieczce. Mój ojczym pozbył się w panice całego dobytku i zwierząt, bo dom należy do twojego stryja, a potem popędził nas do Augusta Treverorum. - Głos dziewczyny drżał, jak gdyby zaraz chciała wybuchnąć płaczem. - Możesz sobie wyobrazić, ten łotr sprzedał nas na targu niewolników i zniknął. Teraz jestem pedisequa mojej pani. Muszę wszędzie dreptać za nią, w domu rozwiązywać jej sandały i tym podobne. To żona zamożnego handlarza sukni z rodu Sekundów mających około czterech leug stąd swoją willę. Jest... - Faustyna rozejrzała się niespokojnie - psst, musimy kończyć. Bądź wieczorem za trzy dni przy grobowcu Sekundów, bo wtedy przybędzie z odwiedzinami jedna z sąsiadek. A teraz idź już, szybko!

Zanim Flawiusz zdążył zapytać, gdzie się ten grobowiec znajduje, Faustyna już pobiegła i ze spuszczoną głową czekała przy

drzwiach kramu z rozłożonym parasolem. Zakupy przebiegły najwidoczniej po myśli pani, która uśmiechając się kokieteryjnie, wyszła na zewnątrz, gdy tymczasem niewolnica starała się ochronić jej szlachetną bladość przed najmniejszym nawet promieniem słońca. Młoda, urodziwa, lecz mocno uszmkowana dama miała jasno ufarbowane włosy ułożone w wysoką fryzurę, tak jak to było modne w stolicy Imperium. Kłaniając się uniżenie, jubiler niósł za nią paczuszkę i dziękując nieustannie, towarzyszył jej aż do lektyki.

- Do usług, czcigodnej pani, klientka o tak wyszukany smaku jest prawdziwą ozdobą mojego skromnego interesu. Za kilka tygodni oczekuję dostawy szmaragdów i pereł z Indii, znakomity towar. Zrobione z nich nasznicie wprawiłyby w zazdrość nawet samą Afrodytę.

Nadašana piękność raczyła odwrócić głowę, rzucając mu od niechcienia łaskawe spojrzenie, wsiadła do lektyki i nakazała ruszać biegiem. Faustyna zakasała przyodziewek i ruszyła za nią, więc cały orszak szybko zniknął Flawiuszowi z oczu.

Trzeciego dnia Flawiusz zażył w termach masażu, nakazał przeciąć i natłuścić sobie oliwą włosy, a potem ruszył w drogę. Grobowiec Sekundów znali wszyscy, zaraz pierwszy napotkany przechodzień opisał mu drogę. Jego stopy obute w podkute trzewiki zastukały o belki drewnianego mostu na Mozeli. Przystanął przy poręczy. W nurcie znikła miedziana moneta, nie wiadomo przecież, jak daleko mogła sięgać władza bogów rzeki. Skierował się na lewo, idąc wzdłuż nurtu, aż po dwóch godzinach dojrzał wznoszącą się na zboczu ozdobioną orłem kwadratową kolumnę.

Gnany niecierpliwością przyszedł za wcześnie, więc teraz próbował wypełnić czas, przyglądając się płaskorzeźbom umieszczonym na monumencie wysokim na siedemdziesiąt stóp. Pokryte starannie tynkiem i jaskrawo pomalowane przedstawiały sceny

z życia handlarzy suknem, a także kilka wypraw do świata bogów. Dojrzał robotników wiążących bele tkaniny, holujących je na barce albo przewożących wozem. Klient płacił przy kramie, interesanci sprawdzali jakość towaru, zaś kolejny relief ukazywał, jak dzierżawcy przynoszą właścicielom zające, ryby i owoce.

Od południa, ku drodze, uwiecznili się sami Sekundowie. Ostatnie promienie słońca przesuwwały się właśnie po nosach figur, gdy tymczasem reszta wraz z napisami zaczęła pogrążyć się w cieniu. Flawiusz spróbował odczytać napis: „Bogom zmarłych. Publiuszowi Aeliusowi Sekundowi, ich ojcu...”, gdy nagle poczuł na swoim ramieniu czyjaś dłoń.

- No i co, podobają ci się zmarli? Mam nadzieję, że jestem bardziej atrakcyjna niż oni?

Młody człowiek odwrócił się, przyglądając się Faustynie od stóp do głów. Widać było po niej, że służyła w zamożnym domu, gdyż miała na sobie suknię tkaną z delikatnej wełny i choć była niewolnicą, na głowie piętrzyły się jej loki, a oczy miała podmalowane czarnym tuszem.

- Z dnia na dzień podobasz mi się coraz bardziej. Zobacz, co ci przyniosłem.

Podał jej mały srebrny pierścionek, który szybko pochwyciła i nałożyła na palec, ale okazał się nieco za duży, więc zsuwał się.

- Dziękuję, miło z twojej strony...

Zmieszani stali naprzeciw siebie, a potem Flawiusz ujął ją za rękę i zaprowadził na tył monumentu. Tam dziewczyna nachyliła się, aby cmoknąć go w podziękowaniu w policzek, on jednak odszukał jej usta i zaczął je namiętnie całować. Faustyna próbowała się uwolnić, tymczasem Flawiusz przyciągnął ją ku sobie, dał jej poznać swoje pobudzenie i objąwszy jedną ręką, drugą pieścił jej pierś, potem zsunął niżej po tkaninie sukni na brzuch i dalej...

- Nie, nie teraz, nie tutaj!

Unikała, jak mogła jego pożądlivych dotknięć, zrobiła krok do tyłu, aż plecami oparła się o pomnik - mała zgrabna postać na tle dwóch rzędów potworów z morskich głębin. Ruszył ku niej, wsunął dłoń pod jej odzienie, wyczuł ciepłe sutki, przycisnął biodra do jej ciała, podniecenie stało się nie do wytrzymania, jego usta zasypywały jej twarz pocałunkami, jeszcze bliżej, gwałtowne drgnięcie...

- O nie, to boli, przestań!

Puścił ją wystraszony, odsunął się o krok, pytając z zakłopotaniem:

- Co się stało, uderzyłaś się o kamień?

- To nie twoja wina, ale dotknij tylko.

Ujęła jego dłoń, wsunęła pod suknię i ułożyła na pośladku. Na zaokrągleniach, za którymi tak chętnie wodził wzrokiem, rysowały się lekkie nabrzmienia - pręgi po razach.

- Kto to zrobił, kto cię tak potraktował?

- Moja pani - westchnęła Faustyna. - Zawsze, gdy nasz pan nie wezwie jej wieczorem do siebie, uważa, że woli którąś z niewolnic. A wtedy rankiem jest w złym humorze. Najmniejsza pomyłka i już chwyta za bicz. Wczoraj mnie się dostało. Za mocno zawiązałam jej sandały i już mnie dorwała... - odsunęła z twarzy opadły lok. - Powodem mogło być i to, że w ostatnich dniach mój pan spoglądał na mnie życzliwym okiem...

-To straszne! - twarz Flawiusza zdradzała, jak bardzo jest wstrząśnięty. - Karze własnoręcznie swoje niewolnice, to przecież nie przystoi jej stanowi?

- Pochodzi z rodziny wyzwoleńców i uważa, że rodzina Sekundów jej nie uznaje. Najczęściej zachowuje się bardzo wyniośle, ale biada, jeśli straci panowanie nad sobą.

- Nic się nie da zrobić?

Dziewczyna skrzywiła usta.

- Powinieneś był mnie wtedy kupić, gdy mój ojczym ci to zaproponował. Być może sprzedadzą mnie znowu. Ale musiałbyś wyłożyć ze trzydzieści aureusów. To nie biedacy.

- Trzydzieści aureusów - wyjąkał Flawiusz. - Skąd mam wziąć tyle pieniędzy?

- Mógłbyś sprzedać konia, a na resztę wziąć kredyt u jakiegoś lichwiarza?

- Sprzedać konia? Nie, Juliusza trafiłby chyba szlag. To jego podarunek i bardzo go sobie cenię. A lichwiarzom nie wolno dawać pożyczki nikomu, kto nie skończył dwudziestu pięciu lat. A poza tym, jak miałbym spłacić kredyt, z czego byśmy żyli?

Faustyna wzruszyła ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? To ty jesteś mężczyzną!

Sięgnął po jej dłoń.

- Miej trochę cierpliwości. Na razie pracuję w kramie z winami. Uczę się, więc niewiele zarabiam, ale mam pewien plan, który, gdy się powiedzie, przyniesie mi uznanie i majątek.

- Tak? A cóż to za wspaniały plan? I kiedy to będzie?

- Nie mogę ci nic więcej powiedzieć, bo to tajemnica. Potrzebuję pomocy kogoś drugiego, a gdy on wyrazi zgodę i wszystko dobrze pójdzie, to za dwa miesiące jesteśmy z powrotem.

Faustyna obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- A więc po to młody panicz potrzebuje konia? Żeby podróżować jak przystało na jego stan, a tymczasem mnie traktuje się tutaj jak psa! A jeśli ci się nie powiedzie? Niech ten stary pijak, twój stryj, pożyczyci pieniądze!

I znowu to samo, przepaść pomiędzy nimi. Odstąpił krok w tył, spojrzał jej w oczy i zawahał się. Ładna, godna pożądaniam, jego pierwsza miłość, jeśli to rzeczywiście była miłość, gdy ciągle wracało się do niej myślami. I ten jej pretensjonalny, czasami przepelnio-

ny nienawiścią sposób bycia, niecierpliwość, grymas chciwości... i niedająca mu spokoju niepewność.

- Powiedz mi... czy Faustus... jak by to powiedzieć, uczestni czył w napadzie na naszą posiadłość?

- Aha, wreszcie się domyśliłeś? Tak, bo co mieliśmy zrobić? W lecie niedomagał przez kilka tygodni, gdy nie powiodło się z tym głupim jeźdźcem, i został ranny w głowę. Musieliśmy nawet pożyczyć na dzierżawę pieniądze od lichwiarza, więc pomyśleliśmy...

- A więc wiedziałas o planowanej napaści?

- Nie, nie znałam żadnych szczegółów, bo nie chciałam o niczym wiedzieć. On i dwóch sąsiadów przystali do bandy bagaudów włączającej się po okolicy.

- Bagaudów? - Flawiusz nie słyszał o nich.

- To włościanie bez ziemi. Mieli zamiar napaść na jakiś majątek, związać wszystkich, zabrać kosztowności i pieniądze, a potem zniknąć nierozpoznani. Prawie by się udało, tylko że gęsi zdradziły wszystko - Faustyna wyglądała na tak rozczarowaną, że we Flawiu-szu obudziła się złość.

- A teraz mój stryj pijak ma wygrzebać z popiołu pieniądze na wykup ciebie? A mój przyjaciel Ulixes, ten głupi jeździec, też pewnie powinien przyczynić się do wyzwolenia córki rabusia? Nie, pieniądze zdobędę sam, a ty zaczekasz. Jeśli w tym czasie nie będziesz drażnić swojej pani...

Dziewczyna uśmiechnęła się gorzko.

- Wielkie dzięki, nie potrzebuję takich rad. Na pewno znajdzie się inny fatygant, który ma więcej od ubogiego młodzieniaszka.

Flawiusz odsunął się jeszcze dalej.

- Skoro tak się sprawy mają... Czy ty mnie w ogóle kochasz?

- Oczywiście, tylko jak mówi rzymskie przysłowie: gdzie mi dobrze, tam ojczyzna. Daję ci miesiąc i tyle będę czekać. Jeśli do

tego czasu nie wrócisz, to pewnie tak zdecydował los. A teraz idź już, bo moja pani czegoś się domyśli. ^JCystarczy mi jej ostatni napad złości.

Musnęła go przelotnie w policzek, odwróciła się i lekkim krokiem ruszyła ścieżką w górę. Flawiusz patrzył za nią, nie bardzo wiedząc, co myśleć o jej naturze. Powiedziała, że go kocha i że chce czekać. Ale tylko miesiąc, to mało czasu na odszukanie portalu. A co potem?

Już miał się odwrócić, gdy jego spojrzenie padło na coś okrągłego i błyszczącego leżącego na ziemi: srebrny pierścionek.

Schował go i ruszył z powrotem. Nie rejestrował niczego wokół siebie, nie czuł zapachu ziemi ani nie dostrzegł ostatnich promieni słońca nad górami. Powoli zapadał zmierzch, a on szedł pogrążony w myślach, aż wreszcie wchłonęły go światła miasta.

* * *

Jedno z nich zapalił w swojej izbie Ulixes. Jej środek zajmował drewniany stół zasłany kartami papirusu. Ulixes pisał, lecz gdyby ktoś zajrzał mu przez ramię, to jego wątpliwości co do zdrowych zmysłów autora wzrastałyby z każdą linijką. Właśnie wziął nową kartę, zanurzył trzcinę w kałamarzu, napisał „m”, po czym przesunął na skraju stołu drewniane listwy, tak aby wyryte na nich alfabety przesunęły się względem siebie o trzy litery. Następnie ciągle na nie spoglądając, zaczął linię za linią wypełniać płataniną znaków. Zapelniony tekstem arkusz wędrował na stos po lewej stronie, a piszący sięgał po nowy. Tym sposobem strona po stronie pokrywała się zapisem, który komuś niewtajemniczonemu mógłby się wydać produktem chorego umysłu. Chodziło o tajemne pismo Cezara, gdzie używano liter, których znaczenie wynikało z przesunięcia alfabetu o jedno lub kilka miejsc. Ile ich było, ulegało zmianie ze

strony na stronę. Adresata informował o tym ustalony wcześniej i zaznaczony na każdej z nich klucz.

Spisywana relacja była tajna i wielkiej wagi: przedstawiała stosunki w państwie Postumusa i zaadresowano ją do cesarza Galie-na w Rzymie. Brakowało jeszcze sprawozdania o podbitych przez Germanów Ziemiach Dziesięcinnych - Aegri decumates - rubieżach na wschód od Renu sięgających aż do limes, niegdysiejszej granicy Imperium. Wysławszy gotowy raport do stolicy ukryty w amforach z winem, Ulixes miał się tam też udać.

Pisanie było męczące i wymagało pełnej koncentracji, więc na koniec Ulixes przetarł sobie oczy, ziewnął, odsunął krzesło i wstał. Będzie potrzebował jeszcze kilku dni, a potem musi podjąć decyzję. Zostać? Tylko po co? Ruszyć w drogę. Ale dokąd?

Poczuł doskwierającą mu samotność. Przez chwilę pomyślał o tym, żeby pójść do Winnego Krzewu, gospody przy północnej bramie. Przed kilkoma tygodniami trafił tam przypadkiem, a gospodyni rzuciła mu tak przyjazne spojrzenia, że zaczął w kącie, aż ostatni pijaczyna wytoczył się za próg. Przez chwilę spoglądali na siebie, ciemno odziany mężczyzna o orlim wzroku i ruda kobieta ze smutnym uśmiechem, a potem ona otworzyła drzwi do bocznej izby, nie stawiając oporu, gdy ją pochwycił i rzucił na łóżko. Zdawała się rozkoszować gwałtownym sposobem, w jaki ją brał, a potem leżała w milczeniu u jego boku, gładząc jego skórę pokrytą bliznami. Ale przy trzeciej wizycie i ona zaczęła stawiać zwykłe pytania, chcąc się więcej dowiedzieć o jego życiu, a on opowiedział jej stare kłamstwa. Tym razem jednak poczuł się podle, rozzłościł na samego siebie i zaczął unikać gospody.

Ulixes zdmuchnął lampę, zamknął drzwi, zszedł po schodach i wyszedł na opustoszałą ulicę. Ciemność niczym atrament otuliła wszystko i nieomal wpadł na jedną z kolumn wspierających przed-

sionek. Odczekał, aż oczy przyzwyczają się do mroku, i ruszył przed siebie. W jednej z bocznych uliczek dojrzał matowe światło nocnego szynku, obiecujące posiłek, wino, a także niezobowiązujące towarzystwo obcych. Tutaj mógł odgrywać rolę milczącego obserwatora albo przyłączyć się do rozmowy o nadchodzących walkach gladiatorów. Zaraz też podszedł do szynkwasu i zwrócił się do gospodarza:

- Sextarius czerwonego wina, najlepszego, jakie macie!

Zagadnięty, zezowaty brodacz, pospieszył usłużnie ku nowemu gościowi, przetaił brudną szmatą marmurowy blat i postawił na nim żądany napitek. Ulixes wziął głębszy łyk, po czym rozejrzał się po wnętrzu. Przy kilku stołach siedziały grupki mężczyzn, grając w kości, dyskutując zawzięcie lub spożywając w milczeniu późną kolację. Para zakochanych pod ścianą spoglądała sobie w oczy, a w ciemnym kącie dostrzegł pochylone plecy jakiegoś samotnika. Wino powoli rozgrzało mu krew, rozluźniając mięśnie napięte wielogodzinną pracą i budząc apetyt.

- Caupo, macie jeszcze coś dobrego w kociołkach?

- Oczywiście, panie. Moja żona sama gotuje, tylko według przepisów Apicjusza i wcale niedrogo. Gdybyście kiedyś stwierdzili, że wasza majątność spadła poniżej dziesięciu milionów sestercji, to nie musicie z tego powodu zażywać cykuty i możecie dalej przychodzić!

Przy tych słowach zachichotał chytrze, a Ulixes znający opowieść o dobrowolnej śmierci smakosza trapionego lękami o przyszłość uśmiechnął się potakująco.

- Co polecisz?

- No cóż, o tej porze pozostała już tylko pieczeń z jelenia. Nietania, ale za to znakomicie przyrządzona, z czerwonym winem, pieprzem, ziołami, miodem, śliwkami i korzennym sosem. W sam raz dla takiego dostojnego gościa jak wy.

Ulixes zastanawiał się chwilę, a potem wziął dzban z kubkiem i wszedł w głąb izby. Krótkie spojrzenie wokoło - nigdzie nie było wolnej ławy; chcąc nie chcąc, musiał przeszkodzić samotnemu pijaczkowi. Zadumany młody człowiek nie obiecywał wesołego towarzystwa. Podeszedł bliżej, odchrząknął i zapytał:

- "Wybaczcie, mogę się do was przysiąść?"

Gdy Flawiusz dowlókł się wreszcie do miasta, poczuł głód i wyczerpanie. Droga w tamtą stronę, w blasku słońca i w pełnym napięcia oczekiwaniu na spotkanie minęła błyskawicznie, ale przy powrocie stopy wydawały się kleić do traktu. Przeszedł kawałek wzdłuż głównej drogi i skręcił w lewo. Po kilku krokach w ciemności zarysowały się kolumny forum, a przecnicę dalej na bruk padał blask światła. Szynek. Młody człowiek zamówił wino i potrawkę z ryby, potem jeszcze jeden kubek napitku. Alkohol szybko go oszołomił, uwalniając od trosk, a rozlegające się wokoło rozmowy zlewały się w niewyraźne mamrotanie.

- Wybaczcie, mogę się do was przysiąść?"

Zdezorientowany podniósł wzrok i nie mógł uwierzyć własnym oczom:

- Ulixesie, wróciłeś?"

- Tak, wczoraj. Ale co za niespodzianka, bardzo się zmieniłeś! Wyglądasz dużo doroślej.

- I tak się czuję, wiele się wydarzyło.

Przez następną godzinę obaj byli pogrążeni w ożywionej rozmowie. Szynek zwrócił uwagę, że przybysz obojętnie spożywa danie z dziczyzny, słuchając z zainteresowaniem młodego człowieka. Wreszcie ostatni goście zebrali się do wyjścia. Ulixes towarzyszył Flawiuszowi do domu Tercjusza, a potem wrócił do swojej izby. W jednej chwili ustąpiło uczucie beznadziei i osamotnienia,

surowe rysy na twarzy mężczyzny nieco złagodniały. Ułożył się na posłaniu, przykrył derką i zdmuchnął oliwną lampkę. Rozmyślając nad wspólnymi planami, zapadł w sen.

Tydzień później posłaniec przyniósł niepokojące wieści. W Mo-gontiacum podniósł bunt niejaki Laelianus. Gdy nadciągnął Po-stumus, rebelia natychmiast przycichła. Ponieważ władca zwlekał z wydaniem miasta na grabież, został zamordowany przez własnych żołnierzy. Cesarzem kazał się ogłosić w Kolonii Marius, wysoki oficer i niegdysiejszy kowal. Ale i jego spotkał podobny los. Po trzech dniach został zgładzony przez jednego ze współspiskowców - tym samym mieczem, który sam kiedyś wykuł.

Ulixes uśmiechnął się do siebie. Kilka dni później dwóch jeźdźców, prowadząc cztery objuczone konie, opuściło o wschodzie słońca miasto nad Mozela. Ruszyli drogą na wschód, zmierzając do Renu.

ROZDZIAŁ 5

W ZASIĘGU RĘKI

(268 r. poChr.)

*Nie powinno się przywiązywać zbytnej wagi do własnych planów,
gdyż los ma swoje własne idee.*

PETRONIUSZ

S pędzili w siodłach cały dzień, aż wreszcie na drogę padły cienie drzew. Flawiusz pierwszy dostrzegł na równinie szary pas przed nimi, zza którego wystawały zarysy zabudowań. Powszedni widok - od połowy stulecia wszystkie rzymskie osady na pograniczu otaczano solidnymi murami. Po prawej stronie, niecałą leugę przed bramą, wznosiły się ruiny obszernej willi. Z porastających je krzewów jeżyny wyglądały osmalone sadzą otwory okien rozpalone zachodzącym słońcem, jak gdyby ciągle jeszcze trawił je ogień.

Trakt prowadził prosto ku bramie miejskiej, zionącemu szarością przejściu pozbawionemu skrzydeł wieży. Po żelaznych wrze-ciądach pozostały w kamieniu jedynie puste otwory.

Powściągnęli konie, zatrzymali się na chwilę i Ulixes ześliznął się z siodła. Podszedł do jednego z objuczonych zwierząt, rozpakował największy z pakunków i wyciągnął z niego długi miecz w skórzaney pochwie, który kilkoma wprawnymi ruchami przytroczył sobie do pasa.

- Zaczekaj z końmi nieco dalej, Flawiuszu. Najlepiej, żeby cię nie widziano. Rozejrzę się nieco po mieście.

Po chwili zniknął w czeluściach bramy.

Flawiusz stał przez chwilę niezdecydowany, a potem poprowadził konie tam, gdzie na brzegu rzeki rosły garbate wierzby, zanurzając w wodzie witki gałęzi. Młody człowiek zsiadł na sztywnych nogach z siodła, rozluźnił wierzchowcom popręgi i pozwolił im

się napić. Potem usiadł na brzegu, obmywając sobie z ud oleisty pot swojej kasztanki. Rozejrzał się wokoło: na ciemnej korze drzew widniały świeże nacięcia, a na prowadzącej ku bramie drodze trawa była zdeptana. Na niebie wiło się kilka cienkich smug dymu.

Kto mógł żyć w wymarłym mieście?

Zachodzące słońce oblało szczyty wschodniego łańcucha gór ostatnim blaskiem. Rozległ się rechot żab, na jednym z siodel przysiadł cytrynowy motyl, poruszył kilka razy skrzydłami, a potem wznosił się do lotu i zniknął w cieniu łąk. Flawiusz wstał, przywiązał konie i przetań oczy. Oczekiwanie i jednostajny szmer wody sprawiły, że poczuł, jak bardzo jest zmęczony.

I wtedy na jego ramieniu spoczęła czyjaś dłoń.

Ulixes zatrzymał się na chwilę w podcieniu bramy, ale zaraz ruszył dalej. Jego kroki zachrzęściły na rozbitych dachówkach, w dawnej wartowni nad stertą nieczystości brzęczały muchy. Zaraz też spod łuku bramnego zobaczył zrujnowane budynki, ich dziurawe, porośnięte trawą poddasza wznosiły się po obu stronach głównej ulicy. Powoli posuwał się do przodu.

Przystanął na środku przejścia, spojrzął na prawo, potem na lewo, ale wokoło panowała niczym niezmacona cisza. Tuż przed forum ulica się zwężała, rozciągał się nad nią potężny, okopcony luk. Puste otwory w blokach czerwonego piaskowca - również i tutaj plądrujący wytopili żelazne klamry z ołowianych osadzeń. Nigdzie żadnego ruchu. Powoli rozluźnił uchwyt na rękojeści miecza. Gdy doszedł do forum, oddychał już spokojnie.

Tutaj posłyszał pierwszy znak życia w wymarłym mieście: porykiwanie krów. Odgłos dochodził od strony dużej bazyliki i pomimo jawnego kontrastu z okoliczną zabudową, miał w sobie coś uspokajającego. Kilkoma energicznymi krokami Ulixes przemierzył plac

i znalazł się przed wejściem do ruin, Wysoki do bioder, wzniesiony z gruzów murek zagradzał przejście. To, co kiedyś miało się stać westybulą, było teraz otwartym dziedzińcem, na którym stał tużin przeżuwiających spokojnie krów.

Odwrócił się i wtedy dostrzegł trzech mężczyzn, których postaci odcinały się ciemno w świetle wieczora. Długimi krokami zmierzali prosto ku niemu.

■ ■ ■ ■ ■

Na ucieczkę było za późno. Powoli przeszedł wzdłuż ściany, aż doszedł do rogu, gdzie szereg opuszczonych kramów na forum graniczył z bazyliką. Gdyby doszło do walki, tutaj nie mogliby go zaatakować z boku. Od porośniętej mchem ściany oderwał się kawałek tynku i z głuchym stukotem uderzył o ziemię.

Zanim nadchodząca trójka stanęła przed nim, zdążył się im krótko przyjrzeć. Mieli obdarte, w wielu miejscach połatane odzienię. Włosy i brody mieli skołtunione niczym surowa wełna owcza, obuwie stanowiły kawałki derki związane rzemieniami wokół stóp. Dwóch wyglądało na romanizowanych Galów, trzeci na Rzymianina, który przynajmniej od dziesięciu lat nie korzystał z term. Miał siwe włosy i liczył około sześćdziesięciu lat.

- Nie mamy tu zbyt często gości - odezwał się bez pozdrowienia. - Czego tu chcecie?

Mówi zupełnie znośną łaciną, pomyślał Ulixes.

- Salve. Jestem podróżującym coepariusem. Mój pomocnik czeka wraz z końmi przed bramą.

- Dlaczego nie przyprowadziliście go ze sobą?

- Chciałem najpierw zobaczyć, co nas tu czeka.

- Myślicie, że mieszkańcy Lopodunum rozbijają kupcom głowy z powodu paru misek?

Ulixes zmusił się do uśmiechu.

- Wyglądam na takiego, który wierzyłby w takie plotki? - ruchem głowy wskazał ku smudze szarobłękitnego dymu unoszącego się nad dachami.

- Ilu ludzi zamieszkuje jeszcze w mieście?

- Może trzystu, może czterystu - odparł siwowłoso. - Zaledwie co dziesiąty w porównaniu z tym, co było wcześniej. Każdego roku jest ich coraz mniej.

„Wcześniej” - to słowo miało prześladować Ulixesa przez następne dni. Wcześniej spotykano się w ciepłe term, śmiano w teatrze z groteskowych masek pantomimy, siorbano ostrzygi z Morza Północnego. Kramy pękały w szwach od towarów ze wszystkich zakątków Imperium, pomalowane na żółto i czerwono kolumny świątyni wznosiły się ku niebu, brzuchate statki kołysały się w porcie, a mieszczanie z pogardą spoglądali na barbarzyńców, nie lękając się kudłatych, odzianych w zwierzęce skóry band.

Ulixes zerknął na przedramię mówcy, po czym popatrzył mu w oczy.

- Kto tu rządzi? Jest jakiś magistrat?

Trójka spojrzała po sobie z zakłopotaniem, a potem siwowłoso wykonał lekceważący ruch.

- Tu nie ma niczego. Żyje się lepiej niż w lesie, to wszystko. Ale mamy pana, nazywa się Pantacarus.

- Gladiator?

Odpowiedzią było milczące przytaknięcie.

- Tak się zmieniają czasy - stwierdził Ulixes.

Na chwilę zapadło milczenie i plac ożywiało jedynie gruchanie gołębi. Potem przybysz podniósł rękę w geście pozdrowienia.

- Salve. Jestem Ulixes Gabinius Aquila, ale czasami nazywa się mnie Leo (lew).

Rozmówca zamarł na chwilę, dostrzegł już tatuaż na ramieniu Ulixesa i na jego twarzy pojawił się uśmiech. Również i on uniósł dłoń w pozdrowieniu.

- Miles (żołnierz) - pozdrawia lwa. Mam na imię Ytgellius. Tu więcej nie jest potrzebne.

- Doskonale, Vigelliuszu, może moglibyście mi coś doradzić: gdzie znajdę schronienie na dzisiejszą noc?

Siwowłosy potarł nos, spoglądając na Ulixesa z ukosa.

- Już od dawna nie mamy tu mansio. Ale za kilka sestercji coś się znajdzie.

- Nie mamy zbyt wielkich wymagań.

- No to ruszajmy! Tylko najpierw musimy pokazać się Panta-carusowi.

Ulixes nie mógł ukryć zdziwienia.

- Po co, na wszystkich bogów?

- Pantacarus decyduje, komu wolno tu zostać, a komu nie. *Więc* jeśli nie chcecie, żeby strażnicy wyciągnęli was z łoża w środku nocy, to lepiej chodźcie z nami.

Ulixes uświadomił sobie, co mogło się stać. Po złupieniu miasta panujący w nim porządek rozwiął się jak popiół na wietrze. Komu udało się ocalić sakiewkę denarów lub miał posiadłości w Galii, ten ratował się ucieczką za Ren. Nadeszła godzina wyjętych spod prawa i żyjących bez nadziei na poprawę losu. To oni objęli w posiadanie Lopodunum, gdy tylko germańskie hordy znikły za horyzontem. Nie mogło dziwić, że gladiatorowi, komuś, kto nauczył się zabijania i żył z niego, udało się zdobyć władzę.

- No dobrze, zaprowadźcie mnie do niego - zgodził się Ulixes. - Ale zanim zapadnie zmierzch, chcę wrócić po mojego po mocnika.

W tym momencie na bruku rozległ się stukot końskich kopyt. Mężczyźni odwrócili się. W półmroku ujrzeli kilku podrostków prowadzących za uzdy ciężko objuczone konie. Ulixes w jednej chwili rozpoznał swoje zwierzęta. Szybkim krokiem podszedł do grupy, pośrodku której zobaczył Flawiusza, i zapytał pewnym głosem:

- Kto tu dowodzi?

Wystąpił krępy wyrostek liczący około siedemnastu lat. Pociągła, spalona od słońca twarz, skołtuniona ruda grzywa i wąskie, lekko skośne oczy czyniły go podobnym do lisa. Stał na szeroko rozstawionych nogach, lewa ręka wspierała się na biodrze, w prawej trzymał ciężką, sękatą pałkę; pytającemu rzucił tylko jedno słowo:

-Ja!

Ulixes przyglądał mu się uważnie. Prawy policzek przecinała bladą czerwieńią świeża blizna, a obejmująca pałkę dłoń zaciśnięta była tak mocno, że aż na skórze wystąpiły niebieskie żyły. Tego młodego człowieka życie nauczyło tylko jednego: bij się lub zostaniesz pobity. W każdej chwili mogły posypać się ciosy pięści, stal zadzwieczy o pałki. Będą musieli walczyć o swoją własność, którą tamci traktują jak zdobycz.

Zapadła martwa cisza, tylko kasztan parskał, przebijając kopytami. Ulixes ruszył krok do przodu, wyciągając dłoń ku rudowłosemu.

- Dziękuję, że przyprowadziliście moje konie - jego głos brzmiał spokojnie i pewnie. - Martwiłem się już o nie. Zagadałem się trochę z Vigellusem. Jestem wędrownym handlarzem, właśnie mieliśmy iść do Pantacarusu.

Na twarzy młodzieńca o lisiej twarzy pojawił się krzywy uśmiech, gdy Ulixes kontynuował:

- Jak masz na imię? Lubię takich energicznych młodych ludzi!

-Jestem Attonianus - odpowiedział ledwie zrozumiałą mieszanką galijskiego i łaciny. - Ale nazywają mnie Atto, łowca ptaków. Chcecie do Pantacarusu? No to idziemy w tym samym kierunku.

Pochyliwszy się, otworzył bezkształtny, brudny worek. Ulixes zająrzył do środka, w jego nozdrza uderzył nieprzyjemny odór. Zobaczył martwe ptaki, zgięte szyje szarych gęsi i połyskujące zielenią głowy cyranek.

- Pantacarus ma jutro gości! - dodał Attonianus.

Podczas rozmowy Vigellius znikł, wracając z płonąą pochodnią w ręku. W jednej chwili zapadający zmierzch zamienił się w ciemną noc. W migotliwym świetle wydobywającym na chwilę z mroku rozsypujące się w gruz mury i puste otwory okien, łuki bram i krzywe kolumny ruszyli do władcy wymarłego miasta.

Nieco później mała gromada dotarła do dwupiętrowego budynku będącego kiedyś z pewnością niedużym pałacem. Teraz ze ścian odpadał tynk, a w otworach po wybitych szybach znalazły się zwierzęce pecherze. Przed dębowymi okutymi drzwiami drogę zastąpił im strażnik. Płomień oliwnej lampki oświetlił na chwilę wytarty kubrak i pokryty czerwoną rdzą żołnierski hełm.

- Czego chcecie? - warknął głos w ciemnościach.

- Przynosimy ptaki na stół pana - odparł Vigellius. - A to podróżujący coeparius wraz ze swoim pomocnikiem, którzy chcieliby się mu przedstawić.

- Poślij chłopca z ptakami do kuchni! Handlarz niech przyjdzie jutro. Pan jest zajęty!

Przy tych słowach zbrojny mrugnął porozumiewawczo lewym okiem. Vigellius pochwycił Ulbcesa za ramię i pociągnął za sobą.

- Jest z kobietą. To dobrze, bo mamy czas do jutra. Na pewno możecie przenocować w mieście. A teraz rozejrzyjmy się za jakimś legowiskiem dla was - powiedział i po krótkim wahaniu dodał półgłosem: - A co się tyczy Mitry, to przyjaciele spotykają się w południowej części miasta...

Wkrótce znaleźli schronienie u Severyny, przysadzistej wdowy, której surowy sposób bycia zdradzał starorzymską cnotę. Ulkes nie rozumiał ani słowa z jej niezadowolonego pomrukiwania, lecz gdy zdjęła z ognia garnek z zupą z soczewicy i napełniła nią po brzegi dwie miski, obaj przybysze nie mogli wyobrazić sobie niczego lepszego.

- Spójrz, Ulixesie, nasza izba ma drugie drzwi - wyszeptał Fla-wiusz, gdy już zostali sami.

Jego towarzysz uniósł świecę, wędrując spojrzeniem w kierunku wyciągniętej ręki młodzieńca. W tylnym rogu wybielonego wapnem pomieszczenia obok starej szafy stała sterta rozsypujących się skrzyń z piłami, młotkami i obcęgami. Za zakurzonymi rupieciami widniał zarys futryny. Grube deski i solidny zamek pozwalały się domyślać tylnego wyjścia. Jutro sprawdzą, dokąd ono wiedzie, bo dziś kusiło już tylko szerokie wyrko z wypchanym słomą siennikiem. Flawiusz zwinął się w kłębek i nasunął aż na uszy cienką wełnianą derkę. Przyszło mu jeszcze tylko do głowy, że Lopodunum niczym się nie różni od innych miast. Wszystko idzie jak z płatka. Cała reszta to drobiazg.

Kilka dni później miał się przekonać, że stanie się zupełnie inaczej.

■ k Vr -k

Plamka światła przesuwiała się powoli po ścianie, schodząc tym niżej, im wyżej wschodziło słońce, aż wreszcie dotknęła poplamionych rzemieni oplatających drewnianą ramę pryczy. W mroku pojawiła się biała poduszka i spoczywająca na niej głowa o ciemnobrązowych włosach. Flawiusz poczuł we śnie światło i ciepło wschodzącego słońca, więc zaraz się obudził. Przetarł oczy, rozejrzał się po pustym pomieszczeniu, ale natychmiast przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

Lopodunum! Czy pod gruzami ciągle jeszcze spoczywał ukryty skarb, po który już tylokrotnie sięgał w swoich marzeniach?

Nie mógł już dłużej wysiedzieć w ciasnej izdebce rozjaśnianej przez światło wpadające przez wąskie okienka. Pośpiesznie napisał kilka słów na powleczonej woskiem tabliczce, położył wiadomość obok śpiącego Ulixesa i ostrożnie uchylił drzwi. Zza ściany dobiegały ciężkie kroki i pobrząkiwanie garnków. Na palcach przekradł się do drzwi, odsunął cicho rygiel i wyszedł na rześkie powietrze poranka.

Wielokrotnie wędrował w wyobraźni przez opuszczone miasto według narysowanego przez Juliusza planu. Znał położenie ulic, bazyliki, południowego forum wraz z piwnicą ze skarbem. Nie zastanawiając się długo, ruszył uliczką prowadzącą na południe, mijając zrujnowane frontony domów i zagradzające drogę porośniętą trawą hałdy gruzów. Wkrótce znalazł się na szerszej ulicy, po prawej zionął pusty otwór bramy miejskiej. To musiała być zachodnia część decumanus. Idąc wzdłuż niej, powinien dotrzeć do forum.

Flawiusz zdrzął wstrząsany chłodem. Ani jedna stojąca przy głównej alei willa nie miała dachu, a górne gzymsy okien szpecily czarne smugi kopciu. Kolumny wspierające niegdyś poddasza wystawały z gruzów niczym zęby gigantycznego grzebienia. Jedna z nich, wykonana z czerwonego piaskowca, nosiła na sobie płaskorzeźbę przedstawiającą fallusa, ale i ten magiczny symbol nie uchronił domostwa przed zniszczeniem.

Flawiusz maszerował energicznie wzdłuż ulicy, wdychając głęboko do płuc chłodne powietrze poranka. Przed forum po raz pierwszy natknął się na ludzi, dwie kobiety ciągnące za sobą opierającą się łaciatą kozę. Beczenie zwierzęcia odbijało się echem od ścian i słyszał je nawet wtedy, gdy wszedł na szeroką płaszczyznę rynku. Tu spotkał się z porykującym stadem krów pędzonych przez jasnowłosego pastucha. Falująca mieszanina rogów i wilgotnych pysków rozdzieliła się przed nim, otoczyła z obu stron i zamknęła ponownie za nim. Zapach zwierząt przypomniawszy mu cieleta

w posiadłości, gdzie spędził dzieciństwo. Odwrócił się, patrząc za nimi, aż śmigające ogony i kołyszące się zady znikły pod szerokim łukiem.

Skreślił w stronę południowej części cardo, trochę dalej musiało się mieścić forum południowe. Jedynie z wielkim trudem udało mu się utrzymać spokojny krok. Wkrótce pod nogami wyrosły mu gruzy zrujnowanego portyku zdobiącego niegdyś fronton. Wykute na fryzie liście akantów nosiły jeszcze ślady żółtej farby. Dotarł do celu!

Ostrożnie oparł się o nagrzaną od słońca mur i obrzucił dyskretnym spojrzeniem całą okolicę. Nieco dalej na południe przed ciemnym łukiem bramy stała grupka mężczyzn, a poza tym było pusto.

Wszedł na wewnętrzny dziedziniec. Mury poczerniały od sady, a wspierające dach kolumny z piaskowca leżały potraskane na ziemi. Młody człowiek przysiadł na kikucie jednej z nich, rozglądając się wokoło. Dziedziniec świecił wprawdzie pustkami, ale kwitło na nim życie. Śmigające zrecznie jaskółki poprzyklejały gniazda w zakamarkach ruin, drobne krzewy wyrastały ze szczelin pomiędzy kamiennymi płytami, a na słońcu wygrzewał się pręgo-wany rudy kot. Gdy Flawiusz podszedł, zerwał się do ucieczki, głośno miaucząc. Z tyłu ściany wzniesiono z mniejszą starannością niż na frontie, niektóre z nich zawaliły się, rumowiska porastały pokrzywy.

Czując grzejące go w plecy słońce, opuścił dziedziniec, żeby udać się nad rzekę, gdy usłyszał głosy. Na prawo, u wejścia do zrujnowanego pałacu przy drewnianym stole siedziało dwóch zbrojnych. Na blacie zagrzechotały rzucone właśnie kości, a zaraz potem rozległo się przekleństwo i brzęk monety. Flawiusz rozpoznał to miejsce - tu stali wczoraj wieczorem w świetle po-

chodni. Schował się za krzewem wyrastającym zza kawałka muru i ostrożnie się wycofał. Przez zasypane gruzem uliczki wrócił do domu wdowy.

Ulixes siedział w kuchni, spożywając śniadanie. Spojrzał tylko krótko na niego, ale bez słowa jadł dalej. Flawiusz przyciągnął stół i odłamał kawałek ciepłego, pachnącego chleba.

- Mogłem się domyślić, że tak się stanie - mruknął Ulixes.

Flawiusz przytaknął, wkładając pieczywo do ust.

Severina pokręciła głową, a potem na jej pomarszczonej twarzy pojawił się uśmiech i postawiła przed nim jeszcze jeden talerz z serem. Jaki szczupły był ten młodzieniec - dokładnie taki jak jej syn w tym wieku. Dwadzieścia lat temu wywieźli go na wozie wraz z innymi ofiarami zarazy.

Goście podziękowali, wyszli przed dom, przyprowadzili konie i obładowali je pakunkami. Już na głównej ulicy Ulixes zwrócił się do Flawiusza:

- Chciałbym ci jeszcze o czymś wspomnieć...

- Tak? - młody człowiek spojrzał na niego z napięciem.

- To, co tutaj zamierzamy, może nas kosztować głowę. Po czym z naciskiem dodał:

- Próby owej nieroztropnej odwagi, na jaką podobno stać dzi siejszą młodzież, akurat nie są nam potrzebne!

Flawiusz oblał się rumieńcem, jak gdyby go spoliczkowano. Skinął głową na znak, że zrozumiał, a Ulixes uśmiechnął się lekko.

- A teraz powiedz mi, co udało ci się odnaleźć.

Nieco później rozpostarli na forum zgrzebne lniane płachty i rozpoczęli układać na nich swoje towary. Coeparius poprosił Atto i jego towarzyszy, aby w całym mieście rozgłosili wieść o jego przybyciu. Była tylko jedna osoba, której nie spodobało się, że dowiaduje się o obecności obcych w ten właśnie sposób.

Zanim otworzył oczy, spoczywający w wymiętej pościeli mężczyzna przeciągnął muskularne ramiona i ziewnął z rozkoszą. Dobrze mu było tej nocy z tą... jak właściwie miała na imię? Od czasu, gdy został ranny w głowę, nie mógł zapamiętać żadnych imion, choć i tak nie mieliby o czym rozmawiać.

Spał głęboko i spokojnie, ale nie zawsze się tak działo. Dwie noce temu ponownie nawiedził go sen dręczący go od wielu lat.

Znowu leży w piasku areny niezdolny ruszyć się z miejsca. Krew tryska z rozszarpanej nogi, a nad nim majaczy się cień ogromnej bestii. Czuje na twarzy powiew cuchnącego oddechu, widzi zje-żoną szczecinę futra, rozwarły pysk z poźółkłymi kłami. Unosi się i resztką sił wbija niedźwiedzicy w gardziel krótki miecz.

Zwierzę pada na niego, gorący strumień krwi tryska mu w oczy a twarz paraliżuje niewysłowny ból. W uszach słyszy odległy ryk wiwatujących tłumów, a potem spowija go ciemność.

Tu zawsze kończył się koszmar, ale nie rzeczywistość.

Całe dni walczył ze śmiercią w waletudinarium, lazarecie wojskowym. Długie tygodnie przeleżał bezsilnie spowity bandażami, a kiedy wreszcie mógł wstać, zauważył, że wszyscy przyglądają mu się ukradkiem. Kogokolwiek jednak zagadnął, nikt nie spoglądał mu prosto w twarz. Gdy wziął do ręki zwierciadło, z wypolerowanej tarczy z brązu spojrzęło na niego monstrum.

Nigdy nie był piękny, również i wtedy, w dobrych czasach, na arenach Rzymu, Verony, Arelate i Pietas Julia. Nie bez powodu jednak nosił przydomek „marzenie kobiet”. Niewiasty przyglądały mu się bezwstydnie, gdy prawie nagi i z natartymi oliwą muskularni na początku przedstawienia maszerował przed widownią. Nie umiały się oprzeć jego dzikiej męskości: ani galijska niewolnica, w której rudych lokach zanurzył się niczym w morzu, ani żona

tlustego senatora, której po spędzonej z nim godzinie naprawde przydała się lektyka, a także wiele innych. Wiele innych!

A teraz to straszdyło! Lewy policzek pokryty płataniną blizn, zerwana brew nad nim, a pośrodku twarzy coś podobnego raczej do narośli niż ludzkiego nosa. Przeklinając, pokuśtykał, żeby skrócić kark medykowi partaczowi, ale centurion wytłumaczył mu dobitnie, że powinien mu raczej ucałować stopy:

- Ten przeklęty niedźwiedź wyrwał ci prawie połowę twarzy. Prawdziwy cud, że masz jeszcze coś na tym miejscu!

Stało się to przed dziesięcioma laty w Carnuntum. I jeśli nawet pozwolono mu potem łaskawie wziąć udział w kilku kolejnych igrzyskach, to skończyły się jego występy oklaskiwane przez rozochoczoną tłuszcę. Przyłączył się więc do trupy gladiatorów dającej przedstawienia w garnizonach leżących w górnym biegu Dunaju, aż wreszcie dotarli do Quintana. Po nieudanym spektaklu w tamtejszym, wzniesionym z drewna, teatrze trupa się rozpadła. Jemu przez Castra Regina udało się dostać do Lopodunum, jedyne miasta na wschód od Renu mającego amfiteatr.

Jego godzina nadeszła, gdy miasto otoczyli barbarzyńcy i Carus wziął go do swojego oddziału. Wspólnie dowodzili obroną bazyliki, do której udało się schronić kilku setkom mężczyzn, kobiet i dzieci. Dzielnie stawiali opór, aż Alemanowie wreszcie odeszli.

W efekcie ocaleni niczym wystraszone dzieci skupili się wokół niego, muskularnego potwora jednym uderzeniem pięści przetrącającego na oczach wszystkich kark barbarzyńcy. Stał się obrońcą, a potem władcą resztki mieszkańców. Dary, płynące początkowo z wdzięczności, przemieniły się wkrótce w wymuszane siłą daniny, z których dobrze żyli on i jego faworyci.

Ocieżałym krokiem powłókł się do kuchni, usiadł przy stole, rękawem wytłuszczonej tuniki oczyścił kawałek blatu i kazał ku-

charzowi podać sobie śniadanie. Zanurzył właśnie kawałek chleba w zupie, gdy z ulicy dobiegły głośnie wołania. Nadstawił ucha. W rzeczy samej, jakiś handlarz ogłaszał swoje przybycie, a on, Pan-tacarus, nic o tym nie wiedział. Co za bezczelność! Będzie musiał złożyć wizytę temu coepariusowi.

Ulixes zdjął właśnie ostatni pakunek z końskiego grzbietu i postawił go obok pozostałych, a Flawiusz zajął się ustawianiem towarów na kamiennych płytach forum. Czerwone misy sigillata z Tabernae Rhenanae stały obok połyskujących zielonkawych naczyń ze szkła i bel kolorowych tkanin.

Pomiędzy wyrastającymi ze szczelin źdźbłami trawy leżały proste sztylety z rękojeściami z brązu, zalakowane amfory z rybnym sosem oraz woreczki z przyprawami. Szczególnym popytem cieszył się pieprz - był drogi, gdyż sprowadzane z Indii ziarna przeszły przez wiele rąk.

Ulixes wyprostował się, przeciągając spojrzeniem po forum. Tuziny małych podestów noszących kiedyś posągi zasłużonych obywateli zdobiły teraz plac jak okaleczone kikuty, a za nimi zionęły pustką wejścia do zrujnowanych kramów.

Zanim Flawiusz zakończył swoje zajęcie, wokół wystawionych towarów tłoczyło się już kilka tuzinów ludzi. Dwoje dzieci prawie wyróciło jedną z czerwonych mis, i to zanim udało się sprzedać choć jedną sztukę. Ich matka wzięła w dłonie kawałek tkaniny, ale słysząc wymienioną przez Ulixesa cenę, potrząsnęła głową, na co coeparius odpowiedział tym samym, gdy ona wysunęła swoją ofertę. Ostatecznie zdecydowała się na amforę z garum, hiszpańskim sosem rybnym. Nadciągało coraz więcej kupujących i plac nappełnił się gwarem głosów. Flawiusza zdziwił widok pękatych sakiewek, które mieszkańcy wyciągali spod połatanych przyodziewków. Pro-

wadzący skup spekulanci wiosłujący od czasu do czasu pod prąd rzeki pozostawiali w mieście sporo pieniędzy, płacąc za skóry, wędzoną dziczyznę, wosk, gęsie pierze lub suszone grzyby.

Słońce przekroczyło już zenit i gromadki ludzi zbierały się powoli do odejścia, gdy z przeciwnej strony forum ku zgromadzonym ruszyła czwórka mężczyzn odzianych w skórzane kubraki. Trzech dzierżyło oszczepy, czwartemu u pasa zwisał krótki miecz. Pomiędzy upału na głowie miał galowy rzymski hełm, a na twarzy maskę z brązu. Flawiusz przyglądał mu się z ciekawością, aż wreszcie uświadomił sobie lęk stojących wokół mieszkańców.

Osobnik w hełmie stanął na szeroko rozstawionych nogach przed towarami, odchrząknął, a jego głos rozniósł się po całym rynku.

- Kim jesteście i co robicie w moim mieście?

Ulixes wyprostował się spokojnie, a następnie, ostrożnie stawiając obute w sandały stopy pomiędzy rozłożonymi przedmiotami, podszedł do mówcy i rozłożył ramiona.

- Pantacarusie, stary przyjacielu, nie poznajesz mnie? Wte dy w Rzymie, podczas jubileuszu tysiąclecia, gdy pokonałeś lwa, który wcześniej rozszarpał dwóch gladiatorów, przekazywałem ci pozdrowienia od... - Ulixes nachylił się ku przybyszowi, ścisząc głos - no, chyba wiesz, od kogo. Jestem Ulixes Gabinius Aquila, na pewno mnie pamiętasz!

Zasłonięta maską twarz nie odpowiadała.

- Jeszcze tego samego wieczoru podczas przyjęcia powiedziałem do jednego z senatorów, że ten Pantacarus to zuch co się zowie! Ma zadatki na kogoś większego. A kiedy w Augusta Treverorum dowiedziałem się o twoich bohaterskich czynach, których dokonałeś tutaj w Lopodunum, to powiedziałem sobie, Ulixesie, droga jest tego warta, tego człowieka musisz odwiedzić.

Ulixes uśmiechnął się szeroko.

- Wczoraj wieczorem byłeś zajęty. Miło, że wreszcie udało się nam zobaczyć!

Nad placem ciągle jeszcze ciążyła martwa cisza. Jedno z dzieci zaczęło płakać, ale matka szybko zasłoniła mu usta ręką. Wreszcie zakute w hełm oblicze przerwało milczenie.

- Co tak stoicie i się gapicie - zbeształ stojących wokoło, zbitych w ciasną gromadę niczym stado wystraszonych owiec. - Chcę, żeby ten handlarz został dobrze przyjęty!

Następnie, zwróciwszy się do Ulixesa, podniósł dłoń w geście cesarskiego pozdrowienia, a jego łacina zdawała się pochodzić z bardzo dawnych czasów.

- Salve! Wtaj w Lopodunum. Niechaj bogowie cię chronią i strzegą twych dróg. Dobrze jest napotkać w tym morzu ruin kogoś, kto wie, jak wiodło nam się kiedyś w Rzymie! -1 klepnąwszy coepariusa w ramię, dodał: - Wypijmy za to! Jutro wieczorem przybędą do mnie w gości kamraci z Portus - wyciągnięta ręka wskazała na zegar słoneczny na ścianie forum. - Dołącz do nas, porozmawiamy o dobrych czasach. Spodziewam się ciebie o dziewiątej godzinie!

Nie czekając na odpowiedź, poprawił hełm i dał swoim zbrojnym znak do odejścia. Stukanie ich podkutych butów cichło powoli na forum.

Flawiusz przykucnął, żeby spakować pozostałe misy, ale zdobył się na odwagę i z wyrzutem w głosie zwrócił się cicho do Ulixesa:

- Mogłeś mi wcześniej powiedzieć, że znasz tego grubianina. Gdy zjawił się tutaj ze swoimi kompanami, pomyślałem, że dosta niemy łupnia. A tymczasem jesteście starymi przyjaciółmi!

Ulixes spojrzał na niego z uśmiechem.

- Starymi przyjaciółmi? Mitra mi świadkiem, że nigdy nie miałem takich przyjaciół!

- Co takiego? Wobec tego skąd ta znajomość szczegółów z jego życia?

- Oszustwo i pochlebstwa, mój drogi Flawiuszu. W Borbetomagus posłyszałem co nieco o tym okaleczonym osiłku, a dzisiaj rano Severina powtórzyła mi kilka miejscowych plotek. A że pewne niewiasty łązą za gladiatorami aż do koszar, to w Rzymie po wszechnie znana sprawa.

Flawiusz pokiwał głową. Miał wrażenie, że musi się jeszcze sporo nauczyć.

>v * .k

Gdy umieścili już swoje bagaże w domu Severiny i zatroszczyli się o konie, spojrzeli na siebie w milczeniu kierowani tylko jedną myślą. Ulixes wyjął ze skórzanego worka lampę oliwną, odsłonił drugie drzwi i zabrał się do otwierania zamka. Wreszcie wyprostował się i skinął na Flawiusza.

- Wcale nie tak łatwo dało się otworzyć rygiel. Daj mi trochę oliwy, bo inaczej zdradzi nas skrzywienie zawiasów.

Wyszli na wewnętrzne podwórko zasypane kawałkami gruzu, przemierzali kilka sąsiadujących pomieszczeń, gdzie pleśń pozostawiła na ścianach szarozielone liszaje, aż wreszcie wydostali się na uliczkę. Gdy dotarli do południowego forum, zachodnia część pogrążyła się właśnie w cieniu. Ostrożnie stawiając kroki pomiędzy porośniętymi chwastami stertami gruzu, przekradli się do wnętrza ruin, pilnie przypatrując się posadzce. Gdzieś musiało być zejście do piwnicy - chyba że całe sklepienie się zapadło.

- Ulixesie, chodź tu, szybko!

Drżącą ręką młody człowiek wskazał na porośnięte krzewami zagłębienie, z którego wydobywał się zapach stęchlizny. Ulixes dostrzegł resztki schodów wiodących w głąb nieprzeniknionej ciemności. Rozniecił ogień, żeby zapalić lampkę.

-Mogę...?

To nie było pytanie - twarz Flawiusza wyrażała jedno wielkie błaganie. Ulixes musiał się uśmiechnąć.

- Idź przodem. Ja już wyrosłem z poszukiwania przygód, a ktoś musi stać na straży. Tylko bądź ostrożny!

Flawiusz chwycił lampkę i powoli zszedł po stopniach, starając się nie pośliznąć na porastającym je mchu i zbutwiałych liściach. Na dole w twarz uderzył mu jeszcze intensywniejszy zaduch. Zamknął też oczy, żeby szybciej przyzwyczaić się do ciemności.

Dostrzegł długie sklepienie pomieszczenie rozjaśnione świetlną smugą dobiegającą z ukrytego świetlika. Dotkliwa wilgoć sprawiła, że zadrżał. Zrobił krok do przodu i spojrzał na sklepienie, skąd zwieszały się zakurzone pajęczyny i czarne sople. Wdepnął w kałużę, a nieco dalej potknął się i byłby się przewrócił. Nie mógł też powstrzymać cichego okrzyku, a z góry dobiegło go przytłumione pytanie Ulixesa:

- Wszystko w porządku?

- Tak, jak dotąd tak.

W tym momencie sople oderwały się od sklepienia, przemieniając się w stado trzepoczących skrzydłami i popiskujących nietoperzy. Wystraszony Flawiusz zaczął machać wokół rękoma i lampka oliwna wylądowała w kącie, gdzie po krótkim migotaniu zgasła.

Zawrócić? Nie, było jeszcze dostatecznie jasno. Wyciągnąwszy przed siebie ręce, powoli wyszukał drogę, potykając się o spróchniałe kawałki drewna, aż wreszcie poczuł, że posadzka zaczyna się wznosić ku górze. Przyklęknął i pomiędzy palcami wyczuł wilgotną ziemię wymieszaną z gruzem. Tu sklepienie się zawaliło. Czyżby to był koniec jego marzeń? Na czworakach przeczołgał się przez gruzowisko. Nad sobą zobaczył otwór, przez który do tej podziemnej krainy torowało sobie drogę światło zapadającego zmierzchu. Drogę zagrodziły mu zwęglone belki - przecisnął się obok nich,

nie myśląc o czystym przyodziewku. Ostre kanty kamieni rozdarły mu skórę na kolanach, ale nie zważał na to.

Zbocze gruzowiska zaczęło opadać w dół. Flawiusz schodził coraz niżej. Jeśli plan się zgadzał, to wkrótce miała się pojawić ściana, przy której stała skrzynia. Wreszcie nie dało się już zejść głębiej, gruz po części wypełnił piwnicę. Uderzył o coś głową, ręce po omacku wyczuły równe fugi muru.

Ostrożnie przesunął się w lewo i znowu drogę zagroziła mu sterta drewna. Serce zabiło mu mocniej, gdy pod palcami poczuł szorstkie deski wystające z zawaliska na dwie szerokości dłoni. To musiała być skrzynia - spróbował unieść wieko, ale bez powodzenia. Wyczerpany odpoczywał chwilę, gdy z niezmierzonej dali do jego myśli wdarł się czyjś głos.

- Flawiuszu, gdzie się podziewasz?

- Już idę.

Droga powrotna okazała się trudniejsza, gruzowisko jeszcze bardziej strome, belki jeszcze większe, ale wreszcie mu się udało wyjść. Mrugając oczyma i potykając się, wspiał się po schodach, wracając do świata życia, światła i ciepła.

W połowie drogi natknął się na Ulixesa.

- Mitrze niech będą dzięki! Wreszcie jesteś, nawet jeśli wyglądasz jak po odwiedzinach w Hadesie. No i jak, czy... ?

Flawiusz przytaknął milcząco, uśmiechnął się i wskazał ku lochowi.

- Skrzynia stoi za zawaliskiem, przysypana gruzem. To na pewno ona...

Ulixes spoglądał na niego przez chwilę z niedowierzaniem, potem oczy mu zabłyśły, a twarz rozciągnęła się w uśmiechu. Uściskał młodszego towarzysza, potem jak rozbawione dzieci wybiegli na górę. Flawiusz dyszał.

- Ulixesie, mamy brązy!

- Spokojnie, spokojnie, chyba nie chcesz zbudzić całego miasta? To, że je znaleźliśmy, jeszcze wcale nie znaczy, że je mamy. A już na pewno, że nasz skarb jest bezpiecznie ukryty przed Pantacarussem. Zastanówmy się, co możemy zrobić!

Wracając, Flawiusz miał wrażenie, że unosi się w powietrzu. Nie słyszał wymrukiwanych przez Ulixesa uwag, nie czuł poranionych kolan. Jeszcze nigdy nie przeżył czegoś takiego, co wprawiałoby go w euforię, a jednocześnie tak bardzo zmęczyło fizycznie.

W izbie ściągnął z siebie brudne odzienie i wyczerpany padł na legowisko. Ulixes uśmiechnął się, wyciągnął ze swoich pakunków małą amforę wina falernejskiego, po czym przyniósł dzbanek z wodą i dwa kubki.

- Wydaje mi się, że mamy powód do świętowania!

Żaden z nich nie zauważył, że od forum ktoś podążał za nimi jak cień. Przyjrawszy się dłużej domostwu wdowy, postać skryła się w mrokach nocy.

> V W VI

Następnego dnia pojawiło się znacznie więcej klientów. Flawiusz zachwalał towary, demonstrował ociągającym się matronom ozdobione eleganckimi wzorami misy z terra sigillata, podstawiał im pod nos buteleczki z aromatycznymi olejkami albo pokazywał mężczyznom różnorodne kłamry do pasów. Myślami był już jednak przy otwartej skrzyni, wyjmując pierwsze łąby lwów i przeciągając palcami po cyzelowanych powierzchniach. Wczesnym popołudniem, zanim złożyli swoje toboły u Severiny, wyjął z nich dwa niewielkie szpadle. W izbie przeszukał jeszcze stojące w niej skrzynie z narzędziami, wybrał zardzewiałą siekierę i wraz z dwiema lampami spakował wszystko do worka. Zaraz też wykradli się tylnym wyjściem, lecz gdy doszli już do forum, posłyszeli nawoływania Atto.

- Odwróć jego uwagę. Idź przodem i zacznij już, tylko zachowaj ostrożność! - syknął Ulixes. - Postaram się przyjść jak najrychlej. Dziś nie będę ci mógł zbyt wiele pomóc, bo wkrótce muszę zacząć przygotowywać się do przyjęcia. Nie wolno nam zirytować Pantacarus! - odwróciwszy się, ruszył ku rudowłosemu łowcy ptaków, wyciągając ręce i z uśmiechem na twarzy.

Flawiusz popatrzył przez chwilę w ślad za nim i poszedł dalej. Do czego miała być mu potrzebna pomoc? Wystarczyło przecież tylko oderwać wieko skrzyni, wyjąć brązy, przenieść je na schody i wraz z Ulixesem sprowadzić wierzchowce. Spakowanie skarbu w toboły, w których transportowali swoje towary, nie powinno zająć więcej niż godzinę. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to rankiem ruszą w drogę powrotną!

Pośpiesznie zszedł po omszałych schodach. Gnany niecierpliwością zrezygnował z zapalenia lampy, gdyż przez otwór w sklepieniu wpadało dostatecznie dużo światła. Właśnie chciał wyjąć z worka szpadel, gdy usłyszał dobiegający z góry odgłos szybkich kroków. Zamarł, wstrzymując oddech, aż wreszcie nie mógł wytrzymać i ze świstem zaczerpnął powietrza. Cisza. Być może intruz rozglądał się wokół, może znajdzie schody i zejdzie w dół. Czyżby to któryś ze strażników Pantacarus?

Znowu odgłos kroków, tym razem oddalających się i cichnących. W piwnicy coś zaszeleściło, w pobliżu przemknęły szare cienie - szczury. Usłyszał bicie własnego serca, a potem opadło z niego napięcie. Zmusił się do policzenia do dwudziestu i sięgnął po szpadel oraz siekiere. Powoli przemierzył loch, wspiał się na zawalisko, lecz drogę po drugiej stronie zagradzał świeży gruz. Sięgnął ręką, wyjął kawałek i delikatnie opuścił go po drugiej stronie. Potem, posługując się łopata, zaczął torować sobie drogę. Była to prawdziwa męczarnia, ale bez swobodnego dostępu do skrzyni

nie będzie w stanie przenieść jej zawartości do wyjścia. Raz po raz natrafiał na kawałki spalonego drewna przemieszane z kamykami mozaikowej posadzki. Znalazł nawet zaśniedziałą klamrę od pasa, którą po krótkim wahaniu ukrył za pazuchą.

Walcząc z drewnem i gruzem, stracił rachubę czasu. Powoli zapadł zmrok i przez chwilę zastanawiał się, czy nie zawrócić po lampę, ale niecierpliwość popychała go do przodu. Jeszcze kilka brył ziemi i wreszcie łopata zaszurała o deski skrzyni. Wieko nie puszczalo, a pokrytą gruzem przednią ścianę powlekała śliska pleśń. Pochylił się za siekierą, wziął zamach i posłyszał trzask pękającego drewna. Jeszcze kilka uderzeń i z boku pojawił się otwór. Ukląkł i włożył doń rękę. Wewnątrz poczuł rozsypującą się masę, powiało spleśniałym sukniem i wreszcie doszukał się czegoś twardego, porowatego, wygiętego. Mogła to być obręcz, którą - według opisu Juliusza - trzymały w pyskach lwy! Porwany radością przesunął dłoń po gładkiej powierzchni, próbując wyczuć pozostałe części, ale na próżno. Musiał przynieść lampę.

W drodze po nią natknął się znowu na zagradzającą drogę belkę. Przedtem, nie mając cierpliwości, zostawił ją wystającą pionowo z gruzowiska, ale teraz sukces dodał mu skrzydeł i postanowił usunąć ostatnią przeszkodę. Tram zdawał się jednak zrosnięty ze sklepieniem. Flawiusz naciskał na poczerniałe drewno, potrzasał, ciągnął z wszystkich sił. Wreszcie pierwsze poruszenie, bał ustąpił powoli; pochwywszy za górną część, szarpnął go w tył. Głośne szuranie, górna krawędź belki otarła się o sklepienie, pochyliła się i opadła skosem na wykopane przez niego przejście. Młodzieniec również stracił równowagę i stoczył się do niego; wyczerpany, lecz triumfujący. Odpocznie przez chwilę, potem zapali lampę i wróci do skrzyni.

Zmęczenie osłabiło jego czujność, więc nie dosłyszał odgłosów narastającego tarcia i trzasków. Dopiero gdy ze sklepienia spadł

kamień, zerwał się w panice na równe nogi. Niestety, za późno. Coraz więcej gruzu zsypywało się przez lej zapadliska, na twarzy wyładowały mu kępy pokrzyw. Na koniec oberwał się kawałek sufitu i runął na belkę, dociskając ją tak głęboko do gruzowiska, że Flawiusz został zaklinowany jak w potrzasku. Trafiony w głowę kolejną bryłą gruzu, dojrzał tysiące gwiazd, a potem otoczył go mrok.

*k -k ii

Wyszedłszy przed bramę zrujnowanego pałacu, Ulixes otarł pot z czoła. Nie mógł już dłużej wysiedzieć. Towarzystwo pijanych prostaków okazało się trudne do wytrzymania. Ale gdy na chwilę wywołano na stronę Pantacarusa, nieomal fizycznie poczuł zagrażające im niebezpieczeństwo. W chwilę później został zaciągnięty do kąta przez Vigelliusa.

- Niech Mitra was strzeże - wyszeptał siwowłosa. - Atto szpieguje za wami. Czatował do niedawna przed domem wdowy, ale wasz pomocnik zniknął gdzieś bez śladu!

Ulixes zmusił się do zachowania spokoju. Udając oszołomionego nadmiarem wypitego wina, kazał sobie podać latarnię i obiecał gospodarzowi powrócić jutro z wyborem najlepszych towarów. Już na dworze odetchnął świeżym nocnym powietrzem i ruszył ku domostwu Severiny. Zaraz jednak zamarkował utratę równowagi, zatoczył się w ruiny i zaległ na ziemi. Pomimo że trawę pokrywała rosa i rozsiane pośród niej kawałki gruzu wbijały mu się w ciało, nie poruszał się, nasłuchując, aż nabrał pewności, że nikt za nim nie poszedł. Po dłuższej chwili wstał, zasłonił latarnię opończę i jak cień wychylił się na ulicę.

Księżyc w pełni oblewał zrujnowane mury zimnym światłem, więc łatwiej odnajdywał drogę i po kilku minutach znalazł się u wejścia do południowego forum. Opuszczony plac pełen hałd gruzów i kikutów po kolumnach sprawiał nocą zupełnie niereczy-

wiste wrażenie, upodabniając się do dekoracji, jaką przed wieloma laty zobaczył podczas spektaklu w teatrze. *Upadek Troi*, czy jakoś tak, nazywała się ta sztuka, i pewnie zaraz pojawią się bogowie, żeby szeroko gestykulując, zrzucać na siebie nawzajem winę za wyrządzone zło.

Ledwo słyszalny odgłos wyrwał go z zamyślenia. Stał przez chwilę bez ruchu, dopóki się nie przekonał, że się nie myli. I znowu prawie niesłyszalne skrobanie dobiegające gdzieś z dołu. Szybko podszedł do zarośniętego wejścia, odsunął wilgotne gałęzie krzewu i zszedł po schodach. Nadstawił ucha - nic, tylko trzepot skrzydeł niewidocznego nietoperza i regularny puls kropel spadających do kałuży. Ale teraz, wyraźniej, chrobot, szelest ziemi, stęknienie, znowu skrobanie.

Ulixes wydobyl latarnię spod płaszcza i ruszył w kierunku odgłosów. Wkrótce potknął się o pierwszy kamień i zaraz potem stanął przed prawdziwą lawiną. Opadłszy na kolana, zawołał cicho:

- Flawiuszu, to ty?

- Jupiterowi niech będą dzięki. Ulixesie, pomóż mi! Leżę tu zaklinowany i próbuję wykopać się kawałkiem skorupy. Przy wejściu jest worek z lampami i drugi szpadel!

Po godzinie ciężkiej pracy Ulixesowi udało się pochwycić młodego człowieka za nogi i powoli uwolnić z pułapki. Flawiusz jęknął, obmacując głęboką ranę na głowie, ale poza tym nie odniósł obrażeń.

Chwiejąc się na nogach i raz po raz wspierając się na starszym towarzyszu, opowiadał w drodze do domu swoją historię, a potem Ulixes zrelacjonował mu przebieg wieczora u Pantacarusza.

- Zapewniam cię, że Atto od samego początku nabral podejrzeń. Musimy zaraz zniknąć!

- Nie, nie! - Flawiusz kurczowo uczeplił się ramienia Ulixesa.
-Nie możemy teraz zrezygnować. W piwnicy leży nasz skarb!

Jego towarzysz wpadł w złość.

- Niech Mitra oświeci twoją tępotę! Tak, twoje brązy są w zasięgu ręki, ale Pantacarus i jego kompanów, a teraz jeszcze przywaliło je sklepienie. Możesz mi powiedzieć, jak mamy je wydobyć?

Flawiusz przełknął ślinę i milczał, a kiedy przez tylne wejście dostali się do izby, podjął ostatnią próbę.

- Tak, Ulixesie, ale miałeś zamiar wraz ze mną...

- ...popęlnić głupotę i ściągnąć na siebie gniew całej okolicy? Nie, dziękuję, straciłem może włosy na głowie, ale nie rozum. Musimy jak najszybciej wynosić się stąd, i to jeszcze dziś w nocy. Jutro, gdy Pantacarus wytrzeźwieje i zechce mnie zobaczyć, to zada mi przy tej okazji kilka nieprzyjemnych pytań. A wierz mi, potrafi być bardzo nieprzyjemny.

Podczas gdy pakowali swoje toboły, Flawiusz zmagał się z opornymi go na przemian uczuciami przygnębienia i bezsilnej złości. Wiedział, że Ulixes ma rację, ale nie chciał pogrzebać swoich marzeń. Gorączkowo łamał sobie głowę nad jakimś wyjściem -ale bez skutku.

Ulixes przyglądał mu się ze współczuciem, aż wreszcie spoczął na krawędzi pryczy i klepieniem ręki wskazał mu miejsce obok siebie.

- Usiądź na chwilę i zastanówmy się wspólnie. Mógłbym dopomóc ci w przeprawie przez Ren i wróciłbyś z powrotem do Augusta Treverorum.

Flawiusz wyobraził sobie drwiący uśmiech Faustyny i zacisnął pięści.

- W żadnym razie!

- Rozumiem - kiwnął głową Ulixes, kładąc dłoń na ramieniu młodszego towarzysza. - Jesteśmy przyjaciółmi i niechętnie przy-szłoby mi rozstać się z tobą. Jak wiesz, chcę przemierzyć Ziemię Dziesięcinne i stamtąd udać się do Rzymu. Gdy tylko zostanie

pokonany następca Postumusa, Rzym wysłał legiony, żeby je odzyskać, tak jak się to już stało trzydzieści lat temu. Podczas takiej kampanii potrzebni są zwiadowcy znający teren, tacy jak ty. Mógłbyś odzyskać skarb przy pomocy oddziału wojska. Pod zawałonym sklepieniem jest jeszcze bezpieczniejszy niż przedtem! Flawiusz poczuł wstępującą w niego otuchę.

- Naprawdę tak myślisz?

Ulixes przytaknął.

- Oczywiście nie wiemy, jaki los przędą nam Parki, choć ten plan wydaje mi się najlepszy. Tylko zbierajmy się wreszcie do drogi, póki księżyc świeci.

W godzinę później na południowym krańcu cardo przebudził się pies, ziewnął i spojrzał na drogę. W świetle zachodzącego księżyca zobaczył dwóch mężczyzn wyprowadzających z miasta sześć koni. Gdyby był człowiekiem, to zdziwiłby go pewnie widok owiniętych szmatami końskich kopyt. Tymczasem karawana bezgłośnie znikła mu sprzed oczu, a on - wsparłszy łeb na łapach - śnił dalej o ostatnim polowaniu na zające.

Gdy zostawiwszy za sobą południową bramę, przejechali około pół leugi, Flawiusz nie mógł się oprzeć pokusie i odwrócił się w siodle. Nikt ich nie ścigał. Spowite mrokiem nocy miasto spało spokojnie. Pomyślał o spoczywającej w piwnicy skrzyni, od której oddalał go teraz każdy kolejny krok. Uciekał, choć przywłaszczył sobie tylko nędzną klamrę z brązu. Taki okazał się finał, reszta nie miała sensu.

Ale podróż miała być dopiero początkiem.

ROZDZIAŁ 6

NA ZIEMI NICZYJEJ

(268-269 r. po Chr.)

*Kto chce, ten może;
kto nie chce, ten musi.*

SENEKA

Próba dotarcia do celu przed zachodem słońca okazała się walką z czasem. Do zapadnięcia zmroku pozostała niecała godzina. Ulixes i Flawiusz od trzech dni nie zsiadali z siodeł, bardziej uciekając, niż podróżując. Początkowo podążali rzymską drogą wzdłuż Neckar, aż wreszcie u kresu równiny ich zmęczone twarze oświetliło wschodzące słońce. Po obu stronach szlaku z zarośli wyglądały tuziny grobowców, spoglądając na nich zniszczonymi od niepogody oczyma płaskorzeźb, lecz niedawna ojczyzna tych ludzi już nie istniała. Jedyne spoza murów z brunatnego piaskowca niepotrzebnego już nikomu kasztelu wyzierały ruiny domostw. A co z mostem? Ulixes niecierpliwie popędził konia, aż wreszcie osiągnęli rzekę. Pośród siedmioma kamiennymi filarami przeciskał się spokojny nurt. Cud inżynierii budowlanej z bali i desek ocalał z pożogi, dając możliwość bezpiecznej przeprawy.

Dopiero z bliska dostrzegało się widoczne ślady zniszczeń. Niewielka świątynia na środkowym przęśle była zrujnowana, belki poręczy zwieszały się luźno ku wodzie, zaś grube deski tworzące kładkę nosiły na sobie ślady ognia, jak gdyby próbowano puścić cały most z dymem. Zaraz przy brzegu brakowało dwóch dyli, więc widziało się płynącą dołem rzekę. Kasztanka Flawiusza zaparła się kopytami w ziemię, skuliła kark i nie chciała ruszyć ani kroku dalej. Długo musiał głaskać ją po grzywie, szepcząc uspokajająco do ucha, a na koniec wyciągnąć nawet z toból-

ka kawałek chleba, zanim zwierzę ostrożnie ruszyło wreszcie przed siebie.

Potem bezpiecznie przeprowili pozostałe konie. Mijając zrujnowane zabudowania strażnicy beneficjariuszy, droga wznosiła się w kierunku wzgórz, wijąc się przez gęste lasy. Wyczerpani rozbili obozowisko pod rozległymi dębami, przekazali coś, a potem na zmianę spali i czuwali.

Jeszcze dwukrotnie mijali spalone osiedla, ale nie było w nich widać najmniejszego znaku życia. Za to w oddali dostrzegli małe, proste domostwa zdające się składać przede wszystkim z dużych słomianych dachów.

- Pierwsi osadnicy alemańscy - mruknął Ulixes. - Nie pokażemy się, dopóki rzeczywiście nie znajdziemy się poza zasięgiem wpływów Pantacarususa.

Dopiero na trzeci dzień poczuli się bezpiecznie i ruszyli w stronę wieśniaka, który kilka kroków od drogi plewił zarośnięte chwastami pole. Ulixes trącił Flawiusza pod żebro:

- No dalej, pokaż, co potrafisz!

Spod skołtunionych włosów spoglądała na nich para nieufnych oczu. Mężczyzna mocniej ścisnął w rękę motykę, jak gdyby potrzebował jej do obrony. Młody człowiek odchrząknął.

- Witajcie, przybywamy w pokojowych zamiarach. Jak daleko stąd do Bicastrum?

Na dźwięk pierwszych swebskich słów na pomarszczonej, spalonej od słońca twarzy pokazał się uśmiech.

- Witajcie, przybysze. Ta nazwa nic mi nie mówi. Ale pół dnia drogi stąd jest palisada, a dalej wiele kaszteli.

- Palisada? - Flawiusz nie bardzo wiedział, czy dobrze zrozumiał to, co usłyszał.

- Pewnie ma na myśli limes - wyszeptał do niego Ulixes.

Podziękowali rolnikowi i ruszyli dalej.

Wreszcie skończyły się lasy i przed sobą zobaczyli pokryte soczystą zielenią łąki, topole i pastwiska. W dali rysowały się ruiny osady, lecz nad doliną górowały zabudowania kasztelu. Flawiusz przyjrzał się murom zdającym się przeczyć regularnej architekturze rzymskich obozów wojskowych.

- Czyżby architekci nie mogli dojść do porozumienia? Po prawej na zboczu jest przecież jeszcze jeden fort!

- Masz rację. Najpierw wzniesiono większy obóz dla Cohors III Aquitanorum, a więc pięciuset żołnierzy. Nastąpiło to przed około stu laty. Wtedy jeszcze nasze wojska czuły się tu pewnie. Wygodny dostęp do wody był wówczas ważniejszy od bezpiecznej lokalizacji na wzniesieniu.

Ręka Ulixesa wskazała na mury ponad zabudowaniami koszar.

- Później powiększono kasztel o schronienia dla oddziałów pomocniczych rozciągające się na zboczu i osłaniające słabe miejsca, bo już wtedy napaści Germanów stawały się coraz częstsze. Ale rozbudowa i tak na niewiele się zdała.

- Skąd wiesz o tym wszystkim?

- Od Juliusza. Jemu z kolei opowiedział o wszystkim twój ojciec. Stacjonował tutaj, zanim wyruszył z Walerianem na wojnę z Persami.

Ulhtes przyjrzał się w milczeniu zrujnowanej fortyfikacji. Gdy przymknął oczy i zapomniał o chaszczach wyrastających gdzieś niedziele ponad koroną murów, mógł sobie wyobrazić, jak kiedyś wyglądał obóz będący domem dla pół tysiąca legionistów, którzy spędzali tutaj swój żywot przy dźwięku wojskowych fanfar. Pobudka, musztra, czyszczenie broni, gotowanie, marsze zwiadowcze po terenie wroga, prace budowlane przy limes, a potem odpoczynek w łaźni. A wieczorami? Siedzenie z kompaniami w gospodzie w pobliskiej wsi, żeby pożartować z obsługującymi dziewczętami, zabić się przy winie oraz grze w kości i choćby na krótko zapomnieć o czyhającym dniem i nocą zagrożeniu ze Wschodu.

Nikt nie wiedział, co dzieje się w głowach barbarzyńców o jasnym czuprynach, kłaniali się z bezkresnych lasów rozciągających się niczym morze po drugiej stronie limes, gdy tylko bratobójcze walki o władzę lub inne zagrożenia osłabiły rzymską obronę. Szybko zmieniający się cesarze odpierali ataki nacierających hord i prowizorycznie zabezpieczali granicę, lecz każdy najazd pozostawiał po sobie coraz więcej spalonych posiadłości, do których nikt już nie wracał. Aż wreszcie atak przed dziesięcioma laty przełamał obronę, a rebelia Postumusa podzieliła imperium. Najwyższy czas, żeby Cesarstwo zjednoczyło podzielone siły.

Również Flawiusz popadł w zadumę. W tej twierdzy odbywał służbę jego ojciec, pracując jako inżynier i mistrz budowlany stacjonującego oddziału. Młody człowiek nie bardzo wiedział, jakie konkretnie wiązały się z tym zadania. Siłami wyobraźni widział rosnące, zwieńczone blankami mury, wieże i bramy, a w czasach pokoju także spichrze, akwedukty, mosty i termy. Wszystko pod okiem jego ojca, który stojąc na wzgórzu, kierował prowadzonymi pracami. Ale jego twarz? Tu pomimo wszelkich wysiłków brakowało jakichkolwiek wspomnień.

- Wygląda na opuszczony. Co zrobimy? - zapytał wreszcie.

Ulixes przeciągnął dłonią po łysinie. I on nie wypatrzył żadnego śladu życia. Żadnych ludzi, zwierząt ani dymu.

- Poszukajmy jakiegoś schronienia na noc. Może w koszarowych termach. Sklepienia opierają się nawet pochodniom barbarzyńców.

Popędzili wierzchowce dnem doliny, mijając tuziny wysokich kamiennych płyt. W kilku rzędach, pobielone jednolicie wapnem, wystawały z podmokłego gruntu niczym blade ślaniające się na nogach żołnierskie sylwetki, prezentując czerwone lub czarne litery wykutych na nich napisów. Pochyliwszy się, Flawiusz przeczytał: „Wszecmocnemu i najwyższemu Jowiszowi, królowej niebios Ju-nonie oraz bogom miejsca poświęcił Tytus Tacitus, żołnierz 3. le-

gionu italskiego oraz beneficiarius namiestnika miasta..." - resztę skrywał szlam. Kamienie wotywnie legionistów pełniących funkcję strażników dróg.

Wkrótce znaleźli prawie nieuszkodzoną łąźnię. Ułożyli toboły z towarami w przebieralni, napoili konie, a potem związawszy im przednie nogi wypuścili je, aby skubnęły trawy.

Tego wieczora Flawiusz pokazał swojemu starszemu towarzyszowi, jak łapie się ręką pstrągi. Zanim zasiedli przed łąźnią do oprawiania ryb, nabierali drewna i rozniecili ogień. Ulixes wyjął swój sztylet i spojrzał na Flawiusza.

- Nie masz noża?

Młody człowiek pokręcił z zakłopotaniem głową. Ulixes sięgnął do wewnętrznej strony lewej cholewy i z sekretnej kieszonki wyjął jakiś przedmiot wielkości swojego środkowego palca.

Widząc, jak młodzieniec przygląda się bezradnie wyrzeźbionej z kości figurze przedstawiającej czytającą małpę, której grzbiet stanowiło coś w rodzaju żelaznego grzebienia, Ulixes się uśmiechnął.

- To składany nóż. Ostrze zamyka się i otwiera.

Otworzywszy ostrożnie scyzoryk, chłopiec obrócił go w rękę.

- Tu coś napisano po grecku - przyjrząwszy się bliżej, poprawił się: - To przecież łacina. LEGO, czytam.

Jego przyjaciół przytaknął, zaś Flawiusz pokręcił głową.

- Masz dziwne rzeczy.

Ulixes uśmiechnął się szerzej, patrosząc dorodną rybę.

- Dziwne rzeczy mogą czasami przedłużyć życie.

Flawiusz pogładził palcami małą małpkę, po czym bez słowa sięgnął po drugiego pstrąga. Nabiwszy ryby na patyki, usmażyli je nad ogniem, a potem kąpiącymi od tłuszczu palcami zjedli pierwszy ciepły posiłek od wielu dni.

Długo siedzieli przy ognisku, aż wreszcie płomień wygasł i mogli ułożyć się bliżej pulsującego gorącym żaru. Na niebie po-

jawił się sierp pomniejszającego się księżycy, na tle którego śmigaly cienie polujących bezgłośnie nietoperzy. W zaroślach ćwierkały świerszcze, a z kałuż dobiegało kumkanie żab. Ulixes siedział nieruchomo, zatopiony w myślach, natomiast Flawiusz wstawał do czasu do czasu, aby dołożyć do ognia. Wreszcie zdobył się na odwagę i powiedział:

- Ulixesie, niewiele wiem o tobie i twojej przeszłości, gdzie by wałeś i co właściwie robisz.

Wzrok starszego człowieka spoczął na nim.

- No cóż, koleje losu prowadziły mnie po całym imperium. Od Afryki, Galii aż do Rzymu. Bywałem także w Egipcie. Stamtąd też pochodzi ten pierścień ze skarabeuszem.

Podniósł w górę dłoń. Blask płomieni odbił się od złota i błysnął w kamieniu. Chłopiec spojrział na klejnot, a potem w oczy Ulixesa.

- Wspomniałeś kiedyś o synu.

Ulixes potwierdził bez słowa, a potem westchnął głęboko.

- Właściwie nie ma o czym opowiadać. Zostałem ciężko ranny pod Kartaginą, gdy wojska Capellianusa rozbiły armię Gordianów. Gdy tylko mogłem jako tako chodzić, wynająłem najszybszy powóz i ruszyłem do Thysdrus. Ale po naszym domu pozostały jedynie zgliszcza, a moją żonę pogrzebano we wspólnym grobie. Dobrze się stało, że nigdy się nie dowiedziałem, jak zginęła.

Smolna szczapka pękła z trzaskiem, rozsiewając wokół iskry. Ulixes przegarnął żar.

- Marcus, mój czteroletni syn, zniknął bez śladu. Nikt też nie mógł mi nic powiedzieć o jego losach. Nigdy go już potem nie widziałem.

Flawiusz otoczył ramieniem starszego towarzysza i obaj siedzieli w milczeniu, aż płomień przygasł i mogli ułożyć się do snu.

* * *

Ulixes obudził się pierwszy i zaczął przyglądać się popękany marmurowym płytom zdobiącym ściany łaźni. Gdy stracił nieco ostrość widzenia, wydawało mu się, że w zdobiącym je wzorze rozpoznaje dziwne krajobrazy, potwory, a nawet oblicza.

Potrząsnął głową i cicho wstał. Przy wejściu przeciągnął się, ziewnął i rozejrzał wokoło. Przed nim szemrał cicho płynący wartko potok, po lewej rysowały się zabudowania kasztelu. Słychać było śpiew ptaków, a nad doliną unosiły się resztki porannych mgieł. Mieli przed sobą pogodny wczesnoletni dzień. Słyszając za sobą szmer, odwrócił się, ale zobaczył jedynie Flawiusza wyłaniającego się powoli spod sklepienia term.

- Wyspany?

Młodzieniec przytaknął i przetarł sobie oczy. Ulixes otworzył worek z zapasami.

- Mamy ostatni chleb, jeszcze z Lopodunum, i kawałek sera.

Flawiusz dojrzał koni, a potem grzejąc się w promieniach porannego słońca, zjedli śniadanie. Po posiłku ruszyli do pobliskiego kasztelu. Chłopiec bawił się, udając legionistę pełniącego wartę przy na wpół zamurowanej północnej bramie, wspinając się na porośnięte trawą mury i wyobrażając sobie, że jest dowódcą wypatrującym nadciągających hord barbarzyńców. Zamyślony Ulixes przystanął przed wypalonymi zgliszczami szachulcowej budowli, rozgarniając stopą popioły. Zwęglone ziarna - to musiało być granarium - spichrz. Załogi nie udało się wziąć głodem.

Aquila wyszedł przed bramę i idąc wzdłuż fosy, przeciągnął dłoń po pomalowanych na czerwono rugach murów. Nic nie było uszkodzone, żadnych oznak, żeby barbarzyńcy użyli do ataku maszyn oblężniczych.

Pomiędzy zielonymi źdźbłami trawy dojrzał białe patyczki, na które początkowo nie zwrócił uwagi. Ostatecznie jednak zwyciężyła ciekawość, pochylił się i podniósł z ziemi jedną z kości palca. Słońce i wiatr wypolerowały ją do czysta. Czy należała do jakiegoś Alemana, który wspiął się na mur i na górze zobaczył żołnierską twarz chronioną żelaznym hełmem? Cięcie krótkiego rzymskiego miecza, niedowierzające spojrzenie napastnika na kikut ręki i towarzyszący upadkowi w dół przenikliwy krzyk. A co z losem obrońcy? Nikt nigdy się o nim nie dowie.

- Poddaj się, barbarzyńco, stoję tu nad tobą.

Ulixes spojrział ku górze i zobaczył stojącego na blankach Flawiu-sza trzymającego w ręku kij. Upuścił natychmiast swoje znalezisko.

- Zejdź na dół, mały Auguście. Musimy zaraz wyruszyć w drogę, jeśli chcemy jeszcze dziś pocwałować wzdłuż limes!

W niecałą godzinę później konie wspięły się na wzgórze, podążając w stronę wschodzącego słońca. Z jego szczytu dojrzelili szary pas rozciągający się przed nimi w odległości pół leugi. Flawiusz wskazał na mury.

- Czy nie mówiłeś niedawno o palisadzie?

- Owszem, mur napotyka się właściwie tylko w Recji. Tu natomiast zrobiono wyjątek i wzmocniono granicę na tym odcinku. Przyjrzyjmy się umocnieniom!

Po krótkiej przejażdżce dotarli do fortyfikacji. Zarówno na północ, jak i na południe rozciągała się zarośnięta ścieżka, a za nią wysoka na dziesięć stóp ściana. Bezlitośnie przecinała porośniętą trawą pagórki, ciągnąc się prosto jak strzelił, aż po kraniec horyzontu - wycięta w krajobrazie wołą budowniczego, dla której wzniesienia potoki i lasy nie stanowiły żadnej przeszkody. Przystanęli na chwilę w milczeniu, a potem ruszyli na południe. Przy wypalonej kamiennej wieży łuk sklepienia umożliwił przejście na drugą stronę. Spętawszy konie, przeszli przez bramę i wspięli się

na zarośnięty trawą wał. I on ciągnął się bez końca, podobnie jak i wykopana przed nim fosa. Flawiusz pokręcił głową.

- Jaki nakład pracy! Jak można to było kiedykolwiek obsadzić i bronić?

- Limes nigdy nie miała takiego przeznaczenia. Początkowo funkcjonowała jako droga dla patroli strzegących granicy. Później wzniesiono te zapory, które wolno było przekraczać w określonych miejscach, gdzie straż kontrolowała handel - Ulixes wskazał na mur oraz wał. - Dawała ochronę najwyżej przed wypadami niewielkich hord albo złodziejami bydła. Natomiast w razie ataków większych sił stacjonujące na wieżach załogi mogły zaalarmować oddziały znajdujące się w kasztelach.

- Więc dlaczego nie powstrzymała barbarzyńców?

- Spełniała to zadanie przez ponad półtora wieku, aż powoli zaczęto wycofywać stąd żołnierzy. Robili to cesarze, żeby chronić inne granice, a także generałowie, którzy sami mieli zamiar sięgnąć po purpurę.

W milczeniu spoglądali na otaczający ich krajobraz. Ziemia była żyzna po obu stronach potężnej, teraz nikomu niepotrzebnej budowli.

- Spójrz, tam u Germanów, osada!

Ulixes wskazał na cienkie smugi dymu unoszące się ku niebu spoza pobliskiego pagórka. Potem pokiwał głową. Alemanowie zamieszkiwali teraz po obu stronach limes, lecz on jako Rzymianin uważał, że ten kraj przynależy do imperium.

- Ruszajmy dalej, być może uda nam się dotrzeć dzisiaj do Vicus Aurelinanus.

Gdy słońce dotknęło krawędzi horyzontu, mężczyzna w polatanej tunice podszedł do krawędzi galerii i przymknąwszy oczy, delektował się ostatnimi promieniami. Długa, surowa zima za-

kończyła się już kilka księżyców temu, lecz jej chłód ciągle czuł w kościach. Jego ręce objęły poręcz, czując ciepło nagromadzone w nadgryzionych zębem czasu dębowych belkach. Lubił drewno, dawało mu poczucie bezpieczeństwa, przypominało rodzinne strony. Powoli otworzył powieki i spojrzał na swoje dłonie. I one się postarzały, stały się kościste i pokryły się plamami, lecz ciągle były silne i dobrze mu służyły, podobnie jak i dębowe bale.

Ile czasu odsłużył pod znakiem orła? Nie potrafił sobie przypomnieć, ale z pewnością dwadzieścia lat. Widział, jak cesarze wstępują na tron i zostają z niego strąceni, jak centurionowie w błyszczących defiladowych hełmach paradują dumnie po obozie, a po nieszczęśliwie zakończonej potyczce złani krwią lądują w valetudinarium. Tylko on przeżył wszystkich, zarówno tchórzy, jak i bohaterów. Pełnił straż na Renem i nad Dunajem, był w Mo-gontiacum, Argentorate i wraz z innymi kohortami maszerował nad germańską limes, aż wreszcie dostał się do Castra Regina. Cóż to za twierdza! Mury, wieże i bramy z ogromnych kamiennych bloków. Często stawał przed Porta Pretoria, potężną bramą północną. Podwójnym rzędem sklepionych okien spoglądała ponad Dunajem w stronę wroga, dumna i groźna, jak gdyby spod łuku jej bramy ciągle jeszcze mieli ruszać do ataku dzielni legionieści. A teraz stał tutaj, na swojej wieży, zupełnie sam. Po tylu latach służby w legionach przysługiwał mu kawałek ziemi, ale los chciał inaczej.

Stary żołnierz ziewnął i spojrzał ku zachodowi, gdzie słońce pozostawiło po sobie krwistą kurtynę chmur. Jutro spadnie deszcz, ale jemu to nie przeszkadzało. Gontowy dach nie przemakał, zapasów mu nie brakowało. Dobrze mu się żyło. Potarł nos, z którego wystawały kręcone włosy, i obszedł wokoło blanki, aby po raz ostatni rzucić okiem na łąki pokryte kwitnącą koniczyną. Widząc na północy jakiś ruch, przymrużył oczy, aż zaczęły łzawić, lecz nie mógł rozpoznać, kto lub co nadciąga. Wkrótce punkty się zbliżyły

i stały się na tyle duże, że można było dostrzec więcej szczegółów: dwóch jeźdźców z czterema objuczonymi zwierzętami jechało stępą wzdłuż starej ścieżki patrolowej. Sprawiali wrażenie zmęczonych i niegroźnych.

- Silvińus, myślę, że musis2 jeszcze raz opuścić drabinę - mruknął do siebie.

- Ktoś stoi na wieży!

Ulixes zmrugał oczy, lecz w świetle zmierzchu dojrzał jedynie szary zarys konturów. „Chłopak ma sokoli wzrok”, pomyślał i zapytał:

- Tak myślisz?

Biorąc pod uwagę dotychczasowe doświadczenia, było mało prawdopodobne, że napotkają na limes jakichś żołnierzy.

Pięćdziesiąt kroków przed celem zatrzymali się, aby dokładnie przyjrzeć się budowli. Od ścian wysokiej na trzydzieści stóp, niezniszczonej wieży odpadał szary tynk, na nim czerwoną farbą zaznaczono krawędzie fug. Dolna kondygnacja miała niewielkie świetliki, natomiast środkowa wejście, z którego wystawał fragment wciągniętej drabiny. Górne piętro otoczono wystającą galerią z balustradą z masywnych, skrzyżowanych belek, a pośrodku każdej strony muru znajdowało się okno z drewnianymi okiennicami. Wmurowane nad nimi półkoliste kamienne płyty pomalowano na czerwono i był to jedyny element dekoracyjny. Spod płaskiego, wysuniętego dachu przyglądał się im gładko ogolony mężczyzna wspierający się o poręcz. Ulixes skinął w jego kierunku.

- Witajcie, jesteście podróżującymi Rzymianami. Przynależycie do oddziałów strzegących granicy?

Nieznamy pokręcił głową z długimi, siwymi włosami, a potem roześmiał się.

- Pewnie przybywacie z daleka? Żołnierze nie stacjonują na limes już od dłuższego czasu. Czego chcecie?

- Szukamy schronienia na noc - odparł Ulixes. - Mieszka
cie tutaj?

- Owszem - rozmówca przytaknął. - Możecie zapłacić?

Fławiusz zobaczył, jak Ulixes wyciąga swój worek i wytrząsa
z niego na dłoń kilka denarów.

- Możecie zostać - mężczyzna przeciągnął prawą ręką po si-
wych kosmykach. - Konie wprowadźcie do szopy.

Gdy konie zostały nakarmione, a towary znalazły się w wieży,
Ulixes wyciągnął amforę z winem. Silwinus otworzył drzwi spu-
stowe do dolnej kondygnacji, skąd dobiegało gdakanie i gryzący
zaduch łąjna. Wrócił z garścią jajek, usmażył je na patelni i podał
gościom z chlebem własnego wyrobu. Gdy zasiedli w górnej części
wieży, spoglądając przez otwarte okiennice ku spowitym mrokiem
pagórkom, gospodarz zapytał:

- Co was tu sprowadza?

- Jestem coepariusem, zamierzam trochę tu pohandlować
- Ulixes sięgnął łyżką do patelni. - Są w pobliżu jakieś osady czy
wszystko świeci pustką?

- W porównaniu z dawniejszymi czasami okolica jest opuszczona.
W górach, na zachód, i wzdłuż Renu podobno żyją jeszcze Rzymia-
nie, natomiast w kierunku limes z miast zostały jedynie sterty ruin.

Ciemne oczy Silwinusa wpatrywały się w głęb kubka, a potem
siorbnał w zamyśleniu.

- No cóż, z rzadka Rzymianie osiedlają się jeszcze i tutaj, ale
rozproszeni i wraz z Galami oraz nielicznymi Germanami. Ci
ostatni obawiają się tu zamieszkać.

- Ale przecież podbili ten kraj? - zdziwił się Fławiusz.

- No tak, tyle że większość boi się, że legiony wrócą. A może
Rzym zrezygnował z Agri Decumates?

Ulixes zaprzeczył, a następnie zadał nurtujące go pytanie:

- Dlaczego jako Rzymianin zamieszkujecie pośród barbarzyńców?

Silvinus potarł nos, który wyglądał tak, jak gdyby kiedyś trafiła w niego czyjaś pięść.

- Dlaczego nie? Nie ma tu term, gladiatorów, niestety, także wina, to prawda. Ale też nie uciskają nas poborcy podatkowi. Nikt nam nie narzuca, jaki mamy wykonywać zawód. A przede wszystkim - przy tych słowach stary żołnierz spojrzął spod oka na Ulixesa - możemy swobodnie mówić to, co myślimy, nie lękając się, że ktoś o tym doniesie pierwszemu napotkanemu frumentariusowi.

Wstał i przeciągnął się.

- Hoduję pszczoły, tak jak nauczył mnie tego ojciec, zanim wstąpiłem do legionów. Germanie potrzebują patoki, żeby wyrabiać swój miód pitny. Jest znacznie lepszy od piwa, jeśli chce się upić - pochwycił kubek z winem. - Za wolność na ziemi niczyjej! Jest jej dość, jak okiem sięgnąć.

Gdy wypili, Ulixes stwierdził:

- Gdyby wszyscy tak myśleli, imperium by się rozpadło.

- Co mnie obchodzi imperium - Silvinus obtarł sobie wilgotne wargi - z którego nic nie mam?! Niedające mi żadnej ochrony, ale wymagające za to bezwzględnego posłuchu?!

- A co robicie, gdy zjawiają się Alemanowie?

Flawiusz wzdrygnął się na samą myśl.

Weteran zachichotał.

- Zostawiają mnie w spokoju. Nie bronię granicy ani nie gromadzę skarbów. Weź bardzo trudno zdobyć. Kiedyś jakaś banda próbowała. Zrzuciłem na nich jeden z uli. Uciekali, aż się za nimi kurzyło!

Wyobrażając sobie skaczących, biegnących i wymachujących wokoło siebie rękoma wojowników, Flawiusz nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Nie było chyba skuteczniejszej obrony. Doskonale też urządził sobie wieżę. Na parterze trzymał kury dostające się do wnętrza po kładce opartej na jednym ze świetlików.

Pierwsze piętro mieściło kuchnię, obok paleniska stała jego prycza. Z górnej kondygnacji, gdzie obaj mieli spać, rozciągał się rozległy widok na okoliczne wzgórza. Tutaj, jak sam opowiadał, zasiadał bardzo często, naprawiając przyodzievek, robiąc z drewna naczynia czy rozkoszując się otaczającą przyrodą.

Podmuch wiatru wdarł się przez otwarte okno. Obrośnięte zastryglą woskiem świece zamigotały i prawie zgasły. Stary żołnierz wstał z miejsca i zamknął okiennice.

- Uważaj, Silwinusie. Dziś jeszcze będzie burza. Za długo już mieliśmy ładną pogodę - odwrócił się ku gościom. - Wybaczcie, ale dziwacznie się tutaj. Mam tylko siebie do towarzystwa. Zaraz przyniosę wam coś do przykrycia!

W nocy Flawiusza wytrącił ze snu bębniący w dach deszcz i szarpący okiennicami wiatr. Śniła mu się Faustyna, po raz pierwszy od długiego czasu, lecz wydała mu się daleka i tęsknił za nią dużo mniej niż na początku podróży.

Przez chwilę leżał z otwartymi oczyma, rozmyślając o wszystkim, co wydarzyło się aż do przybycia do wieży. Tu żyło się zupełnie znośnie - nie dokuczały nawet pchły. Najwidoczniej Silwinus rzadko miewał gości. Tylko dlaczego stary weteran tak podkreślał, że nie musi obawiać się frumentaries - tu, na tym pustkowiu, z dała od jakiegokolwiek cesarskiego urzędnika?

Z tą myślą zapadł też ponownie w sen.

Piętro niżej przy wolno gasnącym ogniu siedział Silwinus. Jego wzrok mierzył zgromadzone towary, potem wędrował ku wiszącemu na ścianie pokrytemu rdzą mieczowi legionowemu, i ku schodom prowadzącym do zamkniętej kłapy, przez którą wchodziło się na górne piętro. Wreszcie potrząsnął siwą czupryną, jak gdyby chciał się pozbyć natrętnych myśli, i wyciągnął się na swojej pryczy.

Następnego ranka Flawiusz wyczołgał się spod derki, lecz gdy otworzył drzwi na galerię, zobaczył przed sobą białą ścianę. Gęsta mgła spowijała wieżę, przesłaniając wszystko i tłumiąc wszelkie odgłosy. Brązowe belki balustrady oblepiały gęste krople wody, wszystko było wilgotne i śliskie. Ostrożnie zerknął za róg, aby przyjrzeć się pszczołom. Ale nic się nie ruszało. Dopiero gdy podszedł bliżej, dostrzegł kilka owadów pełzających leniwie wokół otworów wejściowych i na próżno próbujących osuszyć mokre skrzydła.

Otworzył klapę w podłodze, aby zejść na dół. Silvinus siedział przy palenisku, w stojącym na nim garnku gotowały się jajka. Młodzieniec pozdrowił go, a potem skierował się do wyjścia, spoglądając na opuszczoną drabinę. W płytkiej, otaczającej wieżę fosie zobaczył kałuże. Wyszedł, zajął do szopy i pogłaskał grzywę kaszanki, która parsknęła, ocierając o niego swoje chrapy. Wyprowadziwszy wszystkie zwierzęta, spętał im przednie kopyta i pozwolił wyjść na pastwisko. Potem ruszył ku limes i po śliskiej trawie wspiął się na wał. Zerwał się chłodny wiatr, rozpędzając mgłę, więc udało mu się dojrzeć prosty szereg zaostzonych u góry drewnianych pali rozciągający się w obie strony i przecinający okolicę niczym gigantyczna piła. „Teraz się wyszczerbiła - pomyślał - i ziemia zrasta się z powrotem”.

W tej chwili kotłujące się strzępy mgły zwarły się ponownie, przesłaniając palisadę, jak gdyby chciały osiągnąć Flawiusza. Chłopiec wzdrygnął się z zimna, podbiegł do wieży i w kilku skokach wspiął się po drabinie. Z górnego piętra schodził właśnie Ulixes. Z pomrukiem zadowolenia usiadł na zydlu i zaczął starannie obierać ze skorupki ugotowane jajko, gdy tymczasem Silvinus wybierał się właśnie do położonego w sąsiedztwie gospodarstwa Alemanów, aby kupić ser i wędzone kiełbasy. Zaspokoiwszy pierwszy głód, Ulixes otarł usta i spojrzał na Flawiusza.

- Powinniśmy się zastanowić, dokąd teraz ruszymy. Jeśli o mnie chodzi, to najchętniej udałbym się wzdłuż limes na południe. Zgodnie z moimi mapami przed końcem palisady a na początku muru w Recji droga skręca ku Grinario. Stamtąd moglibyśmy zejść dalej do Sumelocenna, Arae Flaviae i Brigobanne, pohandlować naszymi towarami i zbadać okolicę.

Ulixes zamilkł na chwilę, a widząc, że chłopiec nie odpowiada, podjął rozpoczęty wątek.

- Potem pojechalibyśmy jeszcze dalej na południe aż do Renu i jeśli most ocalał, to przeprawilibyśmy się na drugi brzeg pod Tenedo. Jeżeli nie będzie mostu ani promu, to będziemy musieli nadłożyć dwa dni drogi na zachód i spróbować znowu pod Augusta Raurica. Tam podobno mieszka Doryphoros, lekarz i przyjaciel Juliusza z dawnych lat.

Ulixes przyjrzał się bacznie Flawiuszowi, który unikał jego wzroku.

- Co się dzieje?

Młodzieniec pokręcił się w zakłopotaniu na zydlu, a potem spojrzał starszemu człowiekowi prosto w twarz.

- Te nazwy nic mi nie mówią. Natomiast wczoraj, gdy Silvinus wspomniał o lęku przed frumentaries, to dziwnie na ciebie popatrzył. Dlaczego?

Ulixes wziął kolejne jajko, rozbił skorupkę o blat stołu i obrał je starannie,

- Tak, to prawda, jestem frumentarius. Ten stary lis ma dobry węch. Moim zajęciem jest szpiegowanie, jeśli o to ci chodzi - przy tych słowach pokazał dłoń z pierścieniem ozdobionym skarabeuszem, na co Flawiuszowi ze zdumienia opadła szczęka. - Posłuchaj, to co robię, nie ma nic wspólnego ze zwykłym szpiclowaniem, jakim zajmują się frumentaries - odgryzł kawałek jajka. - Pracuję dla Galiena, pierwszego ludzkiego cesarza od bardzo dawna, i przeciw Postumusowi i jemu podobnym.

Ulixes wstał, założył dłonie za pas, z którego zwisał krótki miecz, po czym przeszedł kilka kroków po izbie.

- Rozumiesz to?

Flawiusz spojrział na niego sceptycznie. Frumentaries nie cieszyli się dobrą opinią. Niektórzy szantażem wymuszali pieniądze, obiecując zniszczenie przygotowanych raportów, zanim dotrą one przed oblicze władcy.

- Nie jesteś szpicielem, który...

- ..wydaje religijnych fanatyków albo politycznych dysydentów? Albo przyjmuje łapówki? Naprawdę tak o mnie myślisz?

Młodzieniec zawahał się przez chwilę.

- Sam nie wiem. Jaki masz cel, podróżując po tym kraju?

- Taki sam jak w Galii i Germanii. Zbieram informacje i staram się doprowadzić do zjednoczenia podzielonego imperium -odparł Ulixes. - Albo przynajmniej do zapobieżenia dalszemu rozłamowi.

Podszedł do wyjścia, a potem odwrócił się i mruknął.

- Ale w twoim wieku też bym tego nie rozumiał.

Przez chwilę stał bez ruchu, ciemny kontur na tle szarej mgły, i patrzył chłopcu w oczy.

- Też myślałbym tylko o tym, jak szybko się wzbogacić, żeby wieczorem wskoczyć do łóżka z ukochaną.

Flawiusz drgnął zaskoczony, a potem podszedł do starszego towarzysza.

- Wierzę ci. A jak było wcześniej? Służyłeś też takim cesarzom jak Filip Arab?

Ulixes zaprzeczył.

- Nie, wtedy zawiesiłem karierę na gwoździu. Woląłem raczej zostać coepariusem, niż zadawać się z takimi kreaturami.

- Nie żałowałeś?

Ulixes wzruszył ramionami.

- Czasem. Całe dni spędzałem w podróży, nierzadko przemoczone do suchej nitki, a noce w zawoszonych gospodach. Ale byłem wolny, dopóki nie potrzebowałem więcej, niż miałem. Podobnie jak Silvinus.

Spojrzał na chłopca.

- Kto wybrał karierę urzędnika państwowego, ten musi pogodzić się z wieloma niedogodnościami. Nawet ze służbą takim potworom, jak Elagabalus. Ja tego nie potrafię. Wszystko na świecie ma w końcu taką cenę, której nie jest już warto.

Flawiusz przytaknął i zmienił temat.

-Jak szybko musimy ruszać w drogę?

Ulixes spojrzał na niego z kpinią.

- Znudziło ci się spanie pod gołym niebem?

Młodzieniec zaczerwienił się, odwrócił i postawił nogę na drabinie. Ulixes szybko podszedł do niego.

- No już dobrze, nie bierz sobie do serca każdego słowa starego sępa - położył młodzieńcowi rękę na ramieniu. - Zaczekamy, aż się przejaśni, o ile Silvinus pozwoli nam tu zostać. Dzisiaj możemy ruszyć do Vicus Aurelianus i wieczorem wrócić.

Uśmiechnął się do Flawiusza:

- Za dwa, trzy tygodnie będziemy się znowu wylegiwać w gorących termach.

Przewidywania coepariusa miały się jednak okazać płonne.

ie ic it

Dziesięć dni później w południe pięciu jeźdźców opuściło rzymską drogę łączącą Sumelocenna z Grinario, kierując się na wschód. Byli głodni i zmęczeni, ale ich przywódca popędzał ich bez litości. Konie truchtały wzdłuż wąskiej ścieżki wydeptywanej niezliczonymi ludzkimi stopami od niepamiętnych czasów, krętej i nienadającej się do odbywania szybkiej podróży. Na czele oddzia-

łu znajdował się tropiciel, młody człowiek liczący około piętnastu lat, którego bystre oczy oszczędziły im niejednego niebezpieczeństwa i przysporzyły niejednego łupu.

W połowie wysokości wzgórza ścieżka przecinała zbocze, które przed około piętnastu laty kazał wykarczować właściciel położonej niżej rzymskiej willi. Jak się okazało, był to bardzo nierozważny krok, gdyż podczas oberwania chmury lawina błota pogrzebała budowlę. Ale o tym jeźdźcy nie wiedzieli, a jeśli nawet, to wcale się tym nie przejmowali. Dla nich liczyła się otwarta przestrzeń pozwalająca ustrzec się przed zasadzkami.

-Tam, w dole!

Oczy siwowłosego wodza powędrowały za wyciągniętą ręką wskazującą ku leżącej przed nimi dolinie. Z trudem mógł rozpoznać jakikolwiek ruch i w duchu podziwiał ostry wzrok zwiadowcy.

- Co dojrzałeś?

- To mężczyzna niosący coś na ramionach, być może sarnę.

Siwowłosy uśmiechnął się - i padło krótkie „ha”, będące dla jego kompanów oznaką dobrego humoru. Podniósł dłoń i strzelając palcami, zawołał:

-Jazda, przyjrzyjmy mu się bliżej!

Jeźdźcy ostrożnie skierowali wierzchowce w dół zbocza, przebijając się przez zarośla i młodnik, aż wreszcie osiągnęli równinę. Tu, na zarośniętych polach zasypanej willi, mogli się sprawniej poruszać, więc konie wpadły w ręczy galop. Szybko zbliżyli się do nieznanego myśliwego, który właśnie ich dostrzegł. Upuścił swoją zdobycz i przez moment stał niezdecydowany. Jego wierzchowiec paśł się około dwudziestu kroków od nadjeżdżających. Zastanawiał się gorączkowo, czy powinien spróbować do niego dotrzeć.

Ostatecznie podjął inną decyzję. Później długo będzie się zastanawiał, czy to był decydujący o wszystkim błąd, ale w tej chwili jego reakcja była instynktowna. Odwrócił się i biegiem ruszył w stronę

lasu. To wzbudziło w Alemanach odruch myśliwych, spięli konie ostrogami i rzucili się w pościg. Kilkakrotnie przecięli strumień wijący się dnem doliny, w górę tryskały fontanny wody, a spod końskich kopyt wylaływały bryzgi błota.

- To Rzymianin!

Okrzyk tropiciela zagrzewał pozostałych. Z dzikimi okrzykami próbowali przeciąć drogę uciekającemu. Ścigany gnał jak zając, lecz raz po raz potykał się o kępki trawy porastające wilgotną łąkę, ślizgał się na nich i dysząc, pędził dalej. Wreszcie dosięgli go. Podjął jeszcze desperacką próbę wyrwania się z okrążenia, żeby tylko osiągnąć zbawczą krawędź lasu. Alemanowie ruszyli za nim, był tuż przy zaroślach. I wtedy potężnie zbudowany wojownik o rozwianych włosach sięgnął po pałkę, wychylił się z siodła i wymierzył zamaszty cios. Uciekinier zrobił jeszcze krok, osunął się na kolana i padł jak długi twarzą w trawę. Nie słyszał już zwycięskich ryków swoich prześladowców.

Gdy Flawiusz odzyskał przytomność, w jego uszach zabrzmiało „ha”, którego początkowo nie mógł zrozumieć. Leżał na brzuchu, z podbródkiem zagrzebanym w suchych sosnowych igłach. Powoli otworzył oczy, ale przed sobą zobaczył jedynie poszycie lasu. Głowa go bolała, więc przymknął powieki, czekając, aż ustaną fale nacierających go mdłości. Wreszcie zamrugał, próbując rozejrzeć się wokół. Przed sobą dostrzegł mrówczy szlak, po którym zwierzątka wędrowały niezmordowanie bez widocznego celu.

Teraz przywlokły coś ciemno opalizującego - opancerzonego olbrzyma. Każde odnoże chrząszcza ciągnęło kilka mrówek. Kolos przesunął się kawałek, poruszył słabo czułkiem, zaczął się o gałązkę. Jak na komendę przymaszerowało jeszcze więcej owadów. Popychały, pociągały, szarpały swoją zdobyczą, aż wreszcie uwolniły ją i powędrowały wraz z nią do mrowiska.

Kolejne „ha” zmieszane z innymi głosami. Flawiusz stopniowo orientował się w swoim położeniu. Miał skrępowane na plecach ręce i obolałą od uderzenia głowę.

Powróciły wspomnienia z ostatniego tygodnia. Jeszcze przez kilka dni zatrzymali się u Sylvinusa i zanim ruszyli dalej na południe wzdłuż limes, zamienili rzymskie naczynia na sól wydobywaną w pobliżu. W zdumieniu przyglądali się wzniosłym ruinom sześciokątnej wieży - będącej, jak stwierdził Ulixes, punktem pomiarowym - po czym w kolejnym dniu podróży skierowali się ku drodze wiodącej do Grinario. Tam interesy szły dobrze, lecz kwatery okazały się nędzne, stąd też wymarsz i propozycja Flawiusza zapolewania z łukiem. Podczas gdy Ulixes odpoczywał przy trakcie, on chciał wykazać się swoim talentem myśliwskim.

Tymczasem z myśliwego sam stał się zdobywcą. Poczul łaskotanie na twarzy - ciekawska mrówka wdrapała mu się do nosa. Uniósł głowę, potrząsnął nią i musiał kichnąć. Rozmowy siedzących przy ogniu mężczyzn przycichły. Powstał siwowłosy mężczyzna i przykuśtykał bliżej. Potrącił młodego człowieka nogą, pytając w dobrze zrozumiałej łacinie:

- Rzymianinie, co tutaj robisz?

Flawiusz odwrócił głowę, by się przyjrzeć rosłemu mówcy. Jego stopy tkwiły w prostych skórzniach z cholewami, spodnie miał ściśnięte wokół łydek rzemieniami. Pelerynę z grubego lnu spinała klamra rzymskiego oficera, a z pasa zwisał długi miecz z czerwonym kamieniem na rękojeści. Był gładko ogolony, miał haczykowaty nos, a długie, siwe, starannie utrzymane włosy związywał na karku w koński ogon. Ktoś z germańskiej klasy wyższej.

Co powinien odpowiedzieć? Jeśli powie prawdę, horda zawróci i napadnie na Ulixesa. Być może uda mu się ich przekonać, żeby go puścili.

- Rozmawiaj ze mną! Nie rozumiesz łaciny?

Kolejny kopniak, tym razem w brzuch, sprawił, że więzień jęknął.

- Rozumiem, panie. Jestem, eee... należę do oddziału jazdy udającej się z Augusta Vindelicum do Argentorate.

- No, no, a ilu was jest i jakie jest twoje zadanie?

- To posłaniec z dziesięcioma pancernymi, ja jestem tłumaczem. Jeśli się nie zjawię, zaczną mnie szukać!

- Rzymianie nie mówią naszą mową. Jesteś zdrajcą albo kłamcą. Zaraz się o tym przekonamy, ha!

To powiedziawszy, przywódca odwrócił się do swoich towarzyszy przy ognisku i zawołał po swebsku:

- Hej, przynieście tu trochę żaru, nasz Romulus chce nam coś opowiedzieć!

Cała grupa zerwała się na równe nogi i podeszła bliżej. Młody, wysoki wojownik o kręconych jasnych włosach wyciągnął z ogniska żagiew pokrytą w części pulsującą czerwienią.

Zamachnął się nią, aż posypały się skry, i zaraz przyłożył ją więźniowi do twarzy.

Flawiusz poczuł żar oraz swąd przypalanych włosów. Zdesperowany zaczął się rzucać w pętach, aż rzemienie wbiły mu się w nadgarstki. Niezauważenie zza pazuchy wypadła mu w trawę kłamra z Lopodunum.

- Nie, panie, mówię prawdę! - wystękał po swebsku. - Moja matka była germańską niewolnicą.

Siwowłosy przyjrzał mu się uważnie, a potem gestem powstrzymał blondyna.

- Dość! Być może tym razem Rzymianin nie łże - potarł pod bródek, zastanawiając się, czy należy popasać dłużej. - Romulus może mówić prawdę. Nie powinniśmy się narażać i zaraz ruszać. Pakujcie się, dziś w nocy ruszamy ku górze!

Pozostali wydali krótki pomruk niezadowolenia, zaraz jednak wepchnęli sobie do ust resztki mięsa i oporządzili konie. Osiodławszy zwierzęta, wygasili ognisko, przywiązali Flawiusza do grzbietu kasztanki i udali się w drogę.

Nocna podróż przy świetle księżycy okazała się bardzo męcząca. Spętanego Flawiusza smagały po twarzy gałęzie, przed którymi nie mógł się uchylić w ciemnościach. Nawet zaprawieni w trudach Alemanowie czuli zmęczenie i chwiali się w siodłach. W szarym świetle brzasku dnia na równinie przed nimi wyrósł okrągły pagórek otulony porannymi mgłami. Na jego ściętym wierzchołku Flawiusz dostrzegł zarysy domów pokrytych słomą i otoczonych palisadą.

Pół godziny później przez wąską przełęcz od strony wzniesienia jeźdźcy zbliżyli się do osady, która teraz odcinała się ciemnym konturem na tle wschodzącego słońca. Powitało ich głuche szczekanie psów, na spotkanie wybiegli im pierwsi mieszkańcy. Mężczyźni, kobiety, dzieci - tylu Germanów naraz Flawiusz nie widział nawet na rynku niewolników w Augusta Treverorum. Ci nie byli smutni, zgięci pod ciężarem losu, który ich spotkał, lecz dumni i dzicy, a teraz z nieukrywaną ciekawością przyglądali się młodemu Rzymianinowi.

Przez otwór w palisadzie wjechali do wsi, gdyż w rzymskich oczach osada nie zasługiwała na inną nazwę. Parterowe chaty sprawiały wrażenie nowych, lecz miały jeszcze bardziej prymitywną konstrukcję niż schronienia dzierżawców wokół posiadłości Druzylli. Dachy wspierały się na grubych drewnianych belkach, przestrzenie pomiędzy nimi wypełniała trzciniowa plecionka powleczona gliną. Na drodze nie było bruku, jej skrajem człapały gęsi, gromada prosiąt z kwikiem uciekła spod końskich kopyt. Na północno-wschodnim skraju, gdzie pagórek stromo opadał ku dolinie,

wznosiło się większe domostwo, odróżniające się od pozostałych staranniejszym wykonaniem, rzeźbami oraz kolorowymi malunkami. Mężczyźni zatrzymali konie, zeszli z siodła, a dwóch z nich ściągnęło Flawiusza z grzbietu kasztanki. Przez otwarte drzwi wpełnięto go do dużego ciemnego pomieszczenia, za nim wszedł siwowłoso. Machając ogonem, czarnobrazowy wilczur ruszył ku Alemanowi i polizał mu dłoń, dostatnio ubrana, tęgawa kobieta ze spiętymi na karku włosami powitała go ciepłym uśmiechem. On przygarnął ją i wskazał na więźnia.

- Zobacz, kogo przyprowadziłem. Prawdziwego Rzymianina jako niewolnika dla mnie, który kiedyś byłem niewolnikiem Rzymian.

Następne tygodnie okazały się dla Flawiusza bardzo trudne. Przyzwyczajony w domu do rozkazywania, teraz musiał nauczyć się słuchania. Wszędzie bujnie rozkwitała natura, drzewa pokryły się świeżą zielenią, ptaki karmiły piszczące pisklęta. Od szarego świtu aż do zapadnięcia zmierzchu - a dni były teraz długie - młody człowiek słyszał tylko rozkazy: „Romulus, sprzątnij to! Romulus, umyj to! Romulus, gdzie moje buty?”.

Rzetelnie przykładał się do pracy. Czasami siwowłoso dostrzegał to, kiwał z zadowoleniem głową i podawał mu łyk pitnego miodu. Lecz gdy Flawiuszowi coś się nie udawało, pytał szyderczo:

- No, czyżby tak Rzym budowano? - i młody człowiek milczał.

Drwiny okazały się nieszkodliwe aż do dnia, gdy Flawiusz sprzeciwił się sprzedaży swojej kasztanki. Słyszając protesty, siwowłoso roześmiał się tylko, a gdy młodzieniec nie ustawał, wymierzył mu siarczysty policzek. I wcale nie miał to być ostatni policzek.

- Romulus, przynieś miodu!

Przez cały dzień siwowłoso miał zły humor - jak zawsze, gdy dokuczała mu stara rana. Pił wtedy od poranka, jego oczy stawały

się małe, chytre i zaczepne. W takie dni Flawiusz drżał przed każdym poleceniem.

- Nalej do pełna i tylko nie rozlej!

Nalewając napitek, Flawiusz przeklinał w duchu swojego ciemiężcę. Trzymając pełną szklanicę, ruszył przez zasnutą dymem izbę ku dużemu, wyciosanemu z drewnianego pnia krzesłu ozdobionemu zygzakowatymi ornamentami. Patrzył na naczynie i stawiając krok za krokiem, niósł je ostrożnie. Zaraz doniesie. Nagle potknął się i upadł, lecz kurczowo trzymał puchar w górze, nawet gdy rozciągnął się jak długi na podłodze. Miód wylał się, w szklance zostały resztki. Oszołomiony patrzył na nogę siwowłosego, o którą zaczepił stopą.

- Ty rzymski dumniu! - wysyczał starzec. - Tyle razy ci już mówiłem, żebyś uważał!

Podciągnął nogę i wstał z krzesła. Flawiusz wyjąkał:

- Wasza wyciągnięta noga, nie widziałem jej...

- Tak, nie widziałeś? - siwowłosy otarł miód z płaszcza. - Muszę ci mówić, kiedy wyciągam nogę?

- Oczywiście, że nie, tylko...

- Tylko co? - głos Alemana przycichł niepokojąco.

- Nie mogłem widzieć waszej nogi!

Ręce Flawiusza drżały. Siwowłosy stanął przed nim, w jego odechu czuło się kwas.

- Bóle w goleni zawdzięczam wam, Rzymianom. A młodemu paniczowi nie pasuje, gdy chcę się poczuć wygodnie we własnym domu?

- Nie to miałem na myśli!

- A co miałeś na myśli? - dopytywał się siwowłosy z uśmiechem, który napawał Flawiusza złudną pewnością.

- Że nic nie mogłem zrobić. Po prostu się stało.

- Aha, stało się - Aleman przekrzywił głowę. - Tylko ktoś musi być winny. Ty czy ja?

Wzburzony młodzieniec popełnił błąd, za który wkrótce miał boleśnie zapłacić.

- To nie moja wina!

Starzec patrzył na niego wyczekująco, więc Flawiusz zaczerpnął tchu.

- Nijak nie można wam dogodzić. Staram się, jak mogę i zbieram tylko baty!

- Czujesz się niesprawiedliwie traktowany?

Młody człowiek przytaknął.

- Robisz wszystko, jak trzeba i niesprawiedliwie wymierzam ci karę?

Flawiusz odruchowo przytaknął i dopiero wtedy zauważył pułapkę.

- Tak... nie, to znaczy...

- Tak, nie, no to jak w końcu? Dostajesz słusznie baty? - siwowłosy zaśmiał się. - Uważasz, że dobrze zrobiłeś, oblewając mnie miodem?

-Nie, tylko...

- Tu nie ma tylko! - ryknął starzec. - Zrobiłeś wszystko, jak należy i ja jestem winien?

Flawiusz poczuł ogarniającą go wściekłość.

- Skoro sami tak uważacie...

Siwowłosy zamachnął się ręką, Flawiusz odskoczył. Potem jednak ciemiężca się rozmyślił.

Gwizdnął na wilczura, otworzył drzwi i skinął na Flawiusza. Spadł deszcz, lecz teraz niebo pojaśniało i skośne promienie słońca przebijały się przez szare chmury. Ruszyli błotnistą uliczką, młodzieniec trzy kroki za starcem milcząco odpowiadającym na pozdrowienia mieszkańców. Minęli pracujących kowali obrabiających rozżarzone żelazne sztaby, aż stawały się coraz dłuższe i cieńsze, przemieniając się wreszcie w śmiercionośne klingi. Nie

zwrócili uwagi na złotników pochylających się nad naszyjnikami, pierścieniami lub spinkami, ozdabiających je tajemniczymi zawiłymi wzorami oraz krwistymi almadynami. Na końcu uliczki, tuż przed palisadą, cisnęły się chaty mniej cenionych rzemieślników: garbarzy, garncarzy, cieśli oraz koszykarzy. Siwowłosy pchnął drzwi, gestem nakazując Flawiuszowi, aby zaczekał w przedsionku, po czym wszedł do niskiego, krytego słomą wnętrza.

„Po co tu przyszedł? Dlaczego się nie odzywa? Jakie ma zamiary względem mnie?”

Już wkrótce Flawiusz miał się wszystkiego dowiedzieć.

Gdy oczy przywykły mu do słabego światła, dostrzegł łysego, krępego mężczyznę siedzącego na niskim zydłu, trzymającego przed sobą niedokończony wiklinowy kosz, z którego wystawały wzmacniające go rozporki. Siwowłosy starzec burknął coś i wskazał na wyjście. Koszykarz zaśmiał się i podszedł wraz z nim do leżącego w kącie pęku wiklinowych gałązek. Od drzwi widać było jedynie plecy obu Alemanów, gestykulujących, pochylających się i podnoszących witki, aż wreszcie siwowłosy pokuśtykał do drzwi z jedną z nich, długą jak noga i grubą jak palec. Flawiusz obejrzał ją, dostrzegł też kpiący uśmiech swojego dręczyciela nakazującego mu iść przodem. Teraz siwowłosy miał dobry humor, gdyż z nim ruszyli dalej, przystanął, aby zamienić kilka słów z kowalem i pozdrowić jowialnie przygarbioną zielarkę. Słyszając za sobą świst, młodzieniec odwrócił się szybko, lecz kij wskazywał tylko na domostwo z rzeźbionymi narożnikami.

Gdy dotarli do wejścia, Flawiusz miał gęsią skórkę. Wszedł pierwszy, za nim pies oraz starzec, który zatrzasnął drzwi i ruszył ku niemu. Chłopiec próbował się odsunąć, lecz lewa ręka siwowłosego pochwyciła go za nadgarstek i pociągnęła do tyłu, tam gdzie kończyła się izba i rozpoczynała prowadząca do gospo-

darstwa się. Pociągając za sobą Flawiusza, starzec kopniakiem otworzył drzwi i wciągnął go do stajni, gdzie w boksach parskąły dwa konie.

Siwowłosy popchnął go, aż zatoczył się na środek pomieszczenia, a potem zaczął szukać czegoś w kącie. Wkrótce był z powrotem, trzymając skórzany rzemień.

- Przejdź dalej i rozbieraj się! - prawa ręka z różgą wskazała na słup podtrzymujący kalenicę.

Flawiusz w milczeniu pokręcił głową, z czoła grubymi kroplami ściekał mu pot. Siwowłosy zachichotał złowieszczo, a potem rozkazał.

- Wilk, bierz go.

Pies powstał, oblizał pysk i warknął na niewolnika, który szybko rozpiął pas, zaraz jednak zamarł, aby gorączkowo rozejrzeć się wokoło.

- No, dalej! - posłyszał zniechęcony głos. - Wiem, na ile mogę sobie pozwolić. Co do wilka, nie byłbym taki pewny.

Niczym we śnie Flawiusz rozpiął sprzączkę, zdjął tunikę i upuścił ją na klepisko. Drżał, nie bardzo wiedząc, czy z zimna, czy z lęku. Mężczyzna pochwycił jego dłonie i związał je za słupem. Chłopiec stał przyciśnięty do drewna piersią i policzkiem. Posłyszał odgłos kroków i kątem oka dostrzegł, jak starzec się zamierza. Całe ciało spięło się w skurczu, oczekując tego, co miało nadejść, wstrzymał oddech.

Kłaśnięcie i zaraz potem uczucie, jak gdyby pośludki sparzyło mu gorące żelazo. Drgnął, zaciskając zęby, a świat wokół niego pograżył się w odmęcie dojmującego bólu. Bezsilnie szarpnął więzami, czując, jak ociera się o chropowatą powierzchnię drewnianego słupa, i wypuścił powietrze z płuc. Kolejne świśnięcie różgi, druga smuga ognia przecięła jego skórę. Stęknął, przysięgając sobie jednocześnie, że nie wyda ani jednego jęku. Wkrótce jednak

za każdym kolejnym uderzeniem kolana ugiwały się pod nim coraz bardziej, a ciało pragnęło wykrzyczeć doznawany ból.

Później Flawiusz nie był w stanie sobie przypomnieć, jak długo trwała chłosta. Wydawało się, że całą wieczność, choć dwa tuziny razów szybko się skończyły. Siwowłosy otarł sobie pot z czoła, rzucił różgę w ką, odwiązał skazańca i ciężkim krokiem wyszedł ze stajni. Młody człowiek osunął się na klepisko i załkał cicho. Kary cielesne uważał dotąd za oczywiste - ale dla innych -przestępców, ubogich lub niewolników; nigdy dla Rzymianina, takiego jak on. Stracił wiarę we własną nienaruszalność. Nagle przypomniała mu się Faustyna i jego rada, żeby nie prowokowała swojej pani.

Wreszcie udało mu się pozbierać. Szczękając zębami, nałożył tunikę i powłókł się na swoje legowisko znajdujące się zaraz przy wejściu do izby mieszkalnej. Rzucił się na prycze, czekając, aż ustąpi pulsujący ból. Słyszcząc zbliżające się kroki, odwrócił się na bok, lękając się powrotu ciemnicy. Ale zobaczył tylko żonę swojego pana, która pochyliła się nad nim nieśmiało, podając mu kubek i płaską glinianą miseczkę, w której połyskiwała jakaś maść, którą ostrożnie nałożył na zranione miejsca. Początkowo czuł gorąco, lecz potem ból stawał się mniej dokuczliwy. W kubku znajdowało się wino, słodkie i mocne. Po krótkim wahaniu wypił je łączywie i pogрузzył się w błogim oszołomieniu.

Kobieta pogłaskała go po głowie, wstała i zamknęła za sobą drzwi, a on tymczasem opadł na swój siennik. Wyczerpany próbował zapomnieć o trudach dnia, chowając się niczym ślimak w skorupie swoich wspomnień. W ciepłe letnie wieczory siedział znowu na tarasie, odbywał konne przejażdżki po ścierniskach, zimą biegał z gorącej łaźni do domu, a w marcu wraz ze wszystkimi mieszkańcami posiadłości świętował nadejście wiosny. Powoli zapadł w sen. Tym gorsze miało się okazać przebudzenie.

Odtąd Fławiusz żył w ciągłym lęku przed humorami siwowłosego. Starał się, jak tylko mógł, lecz najczęściej był tak spięty, że z tego powodu przytrafiały mu się błędy. Najczęściej starzec wymierzał mu policzek lub patrzył groźnie w stronę stojącej w kącie różgi. Czasem jednak musiał iść z nim do stajni. Choć siwowłosey poprzestawał najczęściej na kilku razach, które dawało się wytrzymać, wstrzymując oddech, to Fławiusz nigdy nie zapomniał bólu pierwszej kary.

Często rozmyślał o ucieczce, lecz kiedy żona gospodarza opowiedziała mu, jak ostatniego roku zbiegłego niewolnika ściagała psami cała wioska i dopadłszy go, utopiła w bagnie, zarzucił ten pomysł. Fizyczna praca na wietrze i przy niepogodzie zahartowała go, barki mu się rozrosły, a bicepsy zaokrągliły pod opaloną skórą. Na szczęście gospodarz często wyjeżdżał, więc Fławiusz nauczył się korzystać z tych cennych chwil wytchnienia. Jeśli jego żona dawała mu wolne, chętnie stawał przy palisadzie, spoglądając na okolicę, czyli morze zielonych czubków drzew. W sąsiedztwie rzymskich osiedli lasy już dawno wykarczowano, zużywając je na paliwo do term lub ogrzewania podłogowego. Germanie natomiast cenili leśne knieje, gdyż lubili wsłuchiwać się w ich poszum oraz przebywać w ich tajemniczym półmroku. Czciłi swoich bogów, składając ofiary pod sękatymi dębami, a nie w kamiennych świątyniach, jak Rzymianie.

Gdy jednak wieczorem w domostwie rozlegało się znowu znajome „ha” siwowłosego, powracał paralizujący lęk i Fławiusz wiedział, że w końcu coś się wydarzy.

Któregoś dusznego letniego dnia starał się, jak mógł, żeby wypełnić wszystkie polecenia i o niczym nie zapomnieć, gdyż dzień wcześniej starzec zaciągnął go znowu do stajni. Dziś chciał zrobić wszystko, jak tego oczekiwano, żeby tylko nie dać pretekstu swoje-

mu panu, który pogrążony w ponurych myślach siedział na swoim krześle. Nogi ułożył na płaskim wyścielonym futrem lisa taborecie, a na kolanach miał miecz ozdobiony krwistym kamieniem.

Wyciągnąwszy go z pochwy, spojrział na plamę rdzy, a ten widok przeraził Flawiusza.

- To ma być według ciebie wypolerowana klinga?

Ciemne oczy starca o pomarszczonej twarzy wbijały się w młodego człowieka. „Dlaczego mnie tak nienawidzi?“, pomyślał zdesperowany Flawiusz.

- Nie, tej plamy nie zauważyłem.

- Nie zauważyłeś? Idź i przyniesź różgę!

Młodego człowieka ogarnęła bezsilna złość. Tylko nie znowu chłosta! Opanował się jednak, pytając spokojnym głosem:

- Mógłbym go najpierw zobaczyć? Nie wiem, jak to się stało.

Siwowłosy zawahał się na moment, ale podał mu miecz. Flawiusz wziął go, rzucił nań okiem, a potem pochwyciwszy broń za rękojeść, przystawił jej ostrze do szyi prześladowcy.

- Jeśli macie zamiar jeszcze raz mnie wychłostać, to lepiej mnie od razu zabijcie. Inaczej ja zabiję was - wydyszał.

Aleman patrzył na niego oniemiały. Oddychał ciężko, a potem wy stękał:

- Czyżby Wotan pozbawił cię rozumu?

Flawiusz nie zdradzał, jak bardzo jest wzburzony.

- W posiadłości mojego stryja nie traktowano tak żadnego nie wolnika. Nie zniosę tego życia, więc wybierajcie!

Stary człowiek spróbował wstać, klinga drasnęła skórę i mała kropla krwi kapnęła z szyi na pierś. Opadł z powrotem i popatrzył na miecz.

Młody człowiek przyjrzał się pomarszczonej twarzy, haczykowatemu nosowi, kłującym oczom, w których wydawało mu się, że dostrzega strach, i ogarnęła go dzika żądza. Pchnąć, zobaczyć, jak

ostrze zatapia się w szyi, tryska czerwona krew, słyszeć śmiertelne rżenie, wreszcie zemsta, bez względu na to, co nastąpi później...

Ale nie mógł.

Głos siwowłosego wyrwał go z zamyślenia.

- Nie bądź głupcem, bo wylądujesz na bagnach.

- Być może - wysyczał Flawiusz. - Ale wy już tego nie zobaczycie.

Spojrzeni sobie w oczy, młodzieniec z mieczem i starzec, który nagle się roześmiał.

- Masz rację, Romulusie - mężczyzna skrzywił się. - Ha, tego bym się po tobie nie spodziewał. Jednak jesteś w połowie Germaninem!

Flawiusz spojrzał na niego oszołomiony.

- Dlaczego mnie nienawidzicie, co wam zrobiłem?

- No, dalej, odłóż miecz, opowiem ci o wszystkim - siwowłose odzyskał panowanie nad sobą. - Daję słowo, że będziesz traktowany inaczej!

Młody człowiek nie dowierzał.

- Przysięgacie na Wotana i wszystko, co dla was święte?

- Przysięgam.

- I na honor waszego rodu? Aleman

spojrzał niechętnie, ale ustąpił.

- Jeśli chcesz, to i na to.

Flawiusz odłożył powoli oręż, zadając sobie pytanie, czy może wierzyć swojemu prześladowcy, który teraz wyprostował się i wskazał na zydeł.

- Przynies mi miodu i usiądź. To działo się ponad trzy dziesiątki lat temu...

Siwowłose opowiedział, jak w młodych latach wziął udział w pierwszym wielkim ataku, który niczym orkan uderzył na limes. Wspomnienia dawnych wydarzeń jeszcze dzisiaj wywoływały na jego twarzy melancholijny uśmiech.

- Gdy zdobyliśmy mur w miejscu, gdzie stała wspaniała wieża, wybiliśmy wszystkich strażników i splądrowaliśmy ich kwatery. Wtedy mój brat, wskazując ku górze, w kierunku niszy po wewnętrznej stronie portalu, zawołał, że tam stoi jeszcze jeden Rzymianin. Zaraz też jeden z naszych łuczników wypuścił strzałę, która z brzękiem odbiła się od figury. Wszyscy wybuchli śmiechem, gdyż był to wizerunek cesarza. Jeden z naszych wziął kawałek liny i po kilku próbach zarzucił ją na wyciągniętą rękę posągu z brązu. Pociągnęliśmy za sznur, aż runął wraz z cokołem, rozbijając się na kilka części. Czekanami i pałkami dokończyliśmy dzieła zniszczenia. Tak, tak, wtedy byliśmy dziką bandą...

Potem na twarzy starego człowieka pojawiła się gorycz, gdy opowiadał o wyprawach odwetowych cesarza Maksymina Traka, podczas których podpalano germańskie wioski, zaś mieszkańców, których udało się wyłapać, uprowadzano w niewolę. Jego brat i on sam dostali się do szkoły gladiatorów. Tam wyszkolono ich w sztuce walki, aby dla uciechy tłumów występowali przeciwko innym wojownikom lub dzikim zwierzętom. Jemu udało się przeżyć i po szczególnie krwawej potyczce uwolniono go z okaleczoną nogą. Jego brat miał mniej szczęścia. Nieco wcześniej upadł podczas venatio, walki ze zwierzętami, lew rozerwał mu ramię, a potem bestia rozszarpała jego tors i wykrwawił się na śmierć przy entuzjastycznych wiwatach widzów.

- Dlatego, Romulusie, nienawidzę twojego ludu. Każdego z was!

Przez następne tygodnie siwowłosa panował nad sobą, lecz wkrótce w jego oczach znowu pojawiły się złe błyski i Flawiusz poczuł, jak ciężko przychodzi mu dochować danego słowa.

Kobieta nachyliła się i jej mocne dłonie zanurzyły się w drewnianym cebrze. Wyciągnęła z niego jasnobrązową tunikę, przyjrzała się krytycznie kilku ciemniejszym miejscom i ponownie natarła je

mydłem. Kolejne szorowanie w lodowatej źródlanej wodzie, barwiącej błękitem jej palce. Wreszcie wyjęła ociekający przyrodziwek, wycisnęła go i zawiesiła na stojaku z gałęzi. Ciepłe sierpniowe słońce wysuszy wkrótce tkaninę. Wszystko miało być gotowe, gdy wieczorem zjawi się jej mąż.

Z cichym westchnieniem wyprostowała się, odgarnęła z czoła kosmyk jasnych włosów i rozprostowała w słońcu zdrętwiałe dłonie, aby przywrócić w nich czucie. Czuła nadchodzącą starość; skończyła trzydziesty rok życia, nie była już więc młoda, choć dała życie tylko trojgu, nie czworgu potomstwa.

Z drewnianej rury dalej tryskała do cebra woda, przelała się i piana popłynęła po podłodze ku odpływowi. Wodociąg był jednym z ważnych powodów, dla których przed kilku laty osiedlili się w tym miejscu. Mała łaźnia została wprawdzie zniszczona, lecz przynajmniej nie musiała za każdym razem schodzić do bagnistej doliny, żeby umyć naczynie w potoku lub zaczerpnąć wody.

Placz dziecka wyrwał ją z zamyślenia. Jej najmłodszy, wodzący dla zabawy palcem po wodzie, włożył go do buzi i najwidoczniej mydło mu nie posmakowało.

Wzięła go na ręce i podała pierś. Malec ssał zadowolony, wyciągając rączki ku naszyjnikowi matki. Wszystkie jej dzieci lubiły tę muszlę o mieniącym się zielenią wnętrzu, podarowaną jej przez pierwszego męża. Przywieziono ją, jak opowiedział handlarz, z dalekiego kraju na południu, oblewanego bezkresną słoną wodą. Nie umiała sobie tego wyobrazić, lecz - być może - jej mąż stanął później nad jej brzegiem podczas wyprawy, na którą wezwał go jego cesarz. W każdym razie amulet sprawił, że miała lekkie porody i zdrowe dzieci.

Przeszła kawałek i znalazła się przy chacie wzniesionej w stylu alemańskim. Oblepiona gliną wiklinowa plecionka tworzyła ściany, drewniane pale wspierały dach, zaś wokół słomianej kalenicy bez

przerwy rozlegał się szum os. Obok stał kwadratowy spichrz, którego podłoga wznosiła się kilka stóp nad ziemią. Tym sposobem zapasy chronione były przed wilgocią, szcurami i myszami.

Nogą pchnęła niskie, zawieszane na skórzanych zawiasach drzwi i pochyłona weszła do wnętrza. W środku bawiło się dwoje starszych dzieci, zaś Gunhilda, jej szwagierka, siedziała przy krosnach. Ułożyła niemowlę w wyścielonym futrami koszu, który tak lubiło, po czym wzięła wielki, wielokrotnie łatany miedziany kocioł, napełniła go w łaźni wodą i zawiesiła na łańcuchu nad ogniem. Wrzuciła do niego zioła, cebulę, czosnek oraz grzyby, a także kilka kawałków suszonego mięsa. Jej mążonek miał spożyć solidny posiłek, gorący, smaczny i przywracający siły po długiej podróży do ich samotnej doliny.

Przygotowanie wszystkiego zajęło kilka godzin, więc gdy wreszcie skończyła i na stole stały drewniane miski oraz dzban z wodą, odetchnęła z ulgą.

- Idę wyjrzeć na drogę. Uważaj na dzieci, Gunhildo!

Młoda jasnowłosa dziewczyna licząca około siedemnastu lat przytaknęła w milczeniu. Przy spichrzu kobieta skręciła, wchodząc na wąską, otoczoną kolumnami galerię łączącą kiedyś łaźnię z głównym budynkiem. Jak wszędzie, tak i tutaj brakowało dachu. Części drewnianych konstrukcji, które nie padły ofiarą płomieni, wykorzystali później osadnicy do budowy swoich domostw. Ruszyła nią na południe, aż doszła do dwupiętrowego narożnika głównego gmachu i przez otwór drzwiowy weszła w ruiny. Z góry pomiędzy oczernionymi sadzą ścianami prześwitywał błękit nieba. Nie spuszczać oczu z wąskiej ścieżki, przeszła przez zarośnięte pokrzywami gruzowisko i znalazła się na podłużnym, zwróconym ku południowi tarasie. Lubiała to miejsce i zaraz po ukończeniu budowy drewnianej chaty postarała się, aby je uprzątnięto. Przy słonecznej pogodzie i kiedy tylko

miała chwilę wytchnienia, siadała tu na zydlu, spoglądając przez łuki nad kolumnami na dolinę, jak niegdyś rzymscy właściciele domostwa.

Przyłożyła dłoń do czoła, spoglądając na prawo, gdzie słońce zbliżało się już do szczytów gór, potem na lewo. Stamtąd musiał przyjechać, jeśli nic się nie stało. „Wrócę za pięć, najpóźniej sześć dni”, powiedział. Był dobrym człowiekiem, nieco porywczym i zardosnym, lecz godnym zaufania, a dzisiaj mijał szósty dzień.

Początkowo prawie nie zauważyła ruchu, potem jednak zerwała się z miejsca i spojrzała w dół. Jeźdźca znała, lecz kto biegł koło niego? Ani ubiór, ani chód nie wydawały się jej znajome.

Ruszyła do domu, postawiła na stole jeszcze jedną miskę, a słysząc zbliżające się odgłosy końskich kopyt, wyszła znów na zewnątrz. Jej mąż wyglądał na zmęczonego, wąsy i brodę miał zwichrzone, a włosy w nieładzie.

- Witaj w domu! Jak podróż?

Dopiero teraz jej spojrzenie padło na jego towarzysza i zawahała się. Młody człowiek był smukły, miał szczupłe biodra i muskularne ramiona. Ciemne włosy i obdarty ubiór pozwalały domyślać się w nim Rzymianina, czemu jednak przeczyła jasna skóra i błękitne oczy spoglądające z oblicza pokrytego młodzieńczym zarostem. Sprawiał wrażenie wyczerpanego i utykał lekko, gdy skłonił się w milczeniu.

Gundomadus odparł:

- Dzięki, wszystko poszło dobrze, ale o tym później.

Zeskoczywszy z siodła, wskazał na nieznanego.

- To Romulus, rzymski niewolnik, którego tanio nabyłem. Fuscinus widzi coraz gorzej, więc przyda się nam para mocnych rąk. Poza tym od dawna szukamy kogoś, kto porządnie nauczy naszych chłopców łaciny. Biga, co się dzieje?

- Nic, Gundomadusie - oderwała spojrzenie od niewolnika. - W dzień panowała duchota i miałam dużo pracy. Wejdz, posiłek jest na stole.

Flawiusz musiał przyzwyczać się do wszystkiego, co było inne niż u siwowłosego. Tu, w jednej dużej izbie, pośrodku której nieustannie dymiło palenisko, mieszkała cała rodzina. Brakowało toczonych stołów oraz krzeseł, zamiast tego korzystano z prostych wyciosanych z pni zydli. Za stół służyły ułożone na kozłach deski. Pod ścianami stały półki, a na nich piętrzyły się drewniana zastawa, zapasy, garnki z ciemnej gliny oraz narzędzia.

Trzy skrzynie na przyodziewek uzupełniały umeblowanie, do tego kilka ław, na których układano się na spoczynek. Z wyjątkiem Flawiusza, gdyż jego miejsce było w oborze zajmującej tylną część domostwa. Tu, oddzielone od części mieszkalnej jedynie cienką ścianką, mieściło się schronienie dla zwierząt: czterech kosmatych prosiąt, siwka, sześciu owiec i kur. Początkowo przeszkadzał mu ich odór oraz nieustające brzęczenie much, ale wkrótce przyzwyczaił się, pocieszając się myślą, że będzie mu ciepło w zimie.

Dzień wypełniała mu praca, lecz los dzielił wraz ze wszystkimi innymi mieszkańcami. Każdy pracował na miarę własnych sił, nawet stary, niewidzący na jedno oko Fuscinus, który popadł w niewolę jeszcze za czasów rzymskich właścicieli. Zbierał chrust, kroił suszone owoce i pilnował ognia. Któregoś razu Flawiusz wziął go na bok, by się dowiedzieć czegoś o dziejach willi.

- Czy Alemanowie wzięli ją szturmem? Nie, opuszczono ją, czasy były coraz gorsze. Bogowie nie darzyli ziemi płodnością. Lasy wykarczowano aż do tego wielkiego dębu, a pola w dolinie zabagniły się. Do tego ataki na granicy. Za każdym razem hordy nadciągały coraz bliżej.

Pochylny wiekiem starzec spojrział na ruiny.

- Przestali też przybywać podróżni korzystający z noclegu.

Któregoś dnia nasz pan odziedziczył spory majątek koło Augusta Raurica po południowej stronie Renu. Nie zastanawiając się długo, spakował wszystko i opuścił willę. Mnie wyzwolił krótko przedtem, ale zostałem. Nie przesadza się starych drzew, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Flawiusz przytaknął bez słowa.

- No tak, pan miał dobre przeczucie. Parę lat później zjawiła się gromada Swebów. Ależ się wściekali, gdy zobaczyli, że wszystko jest puste! Wyrwali wszystkie części z żelaza i podpalili zabudowania. Swój gniew wyładowali też na posągu Jowisza. Potem znikli bez śladu. Niezadługo po nich osiedlił się tu Gundomadus wraz ze swoją żoną. Wzniesli drewnianą chatę, a potem przyszły na świat dzieci. Młoda wdowa zamieszkuje tutaj dopiero od kilku miesięcy.

- Kto, Gunhilda?

- Aha, o tym pewnie nie wiesz. Jej mężem był młodszy brat Gundomadusa. Spadł na polowaniu ze skały i połamał sobie wszystkie kości. Biedaczka, od ślubu minęły zaledwie cztery miesiące i już została wdową! Przygarnęli ją tutaj, bo nie ma rodziny. Być może Gundomadus myśli o lewiracie.

- Co to takiego? - Flawiusz znał ten termin, ale nigdy nie miał odwagi zapytać o szczegóły.

- To właściwie coś dla młodszego brata. Musi ożenić się z wdową po starszym. Tym sposobem kobieta pozostaje w rodzine, a wraz z nią majątek.

Fuscinus zachichotał, mrugając porozumiewawczo jedynym okiem, a potem obaj wzięli się do pracy.

Nocami, leżąc na słomie, Flawiusz rozmyślał niekiedy o jasnowłosej dziewczynie, lecz czas spędzony u siwowłosego nauczył go,

że niewolnik nie ma żadnych praw. A już na pewno żadnego promyka nadziei.

Pomimo to pracował chętnie w pobliżu dziewczyny, prosząc przy drobniejszych rzeczach o radę i przyglądając się ukradkiem, jak pracuje przy krosnach, zszywa na ciepłe derki skórki zajęcze lub pomaga Bidze w gotowaniu. Okazywała mu życzliwość, nie dając odczuć, że nie przynależy do rodziny, tylko jest niewolnikiem.

W ciepły wrześniowy dzień Flawiusz przygotowywał spichlerz na zimę. Naprawił już słomiany dach i nakładał właśnie świeżą glinę na ściany, gdy usłyszał jej głos.

- Mogę ci na chwilę przeszkodzić?

Flawiusz skinął głową, zszedł z drabiny i nadgarstkiem otarł sobie spocone czoło.

- Co się stało?

- Ty przecież umiesz mówić po łacinie. Nie mógłbyś mnie nauczyć?

Flawiusz nie bardzo wiedział, co na to odpowiedzieć.

- Owszem, tylko po co?

Zmieszana dziewczyna wbiła wzrok w ziemię.

- Wszyscy tutaj coś rozumieją, tylko ja nie pojmuję ani słowa.

Nie chcę być jak niemowa...

- Nie wyglądasz jak niemowa, z twoją urodą! - Flawiusz przyłożył sobie rękę do ust.

To zdanie wyrwało mu się zupełnie bezwolnie i nie bardzo pasowało do niewolnika. Ale dziewczyna nie wyglądała na rozgniewaną, lecz uśmiechnęła się promiennie.

- A więc zgadzasz się? Kiedy możemy zacząć?

- Sam nie wiem. Potrzebujemy czasu i spokoju. Powinnaś zapytać Gundomadusa o zgodę.

- Zaraz to zrobię! - zerwała się i kiwający głową Flawiusz zobaczył tylko, jak powiewające za nią, związane w koński ogon włosy

znikają w głębi chaty. Nabrał garść gliny i chlapnął nią na wiklinową plecionkę. Nigdy jeszcze nie uczył nikogo i nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać, lecz myśl o regularnym przebywaniu z Gunhildą przyprowadzała go o gwałtowniejsze bicie serca.

Ale w ciągu następnych dni nic się nie wydarzyło.

Późna jesień okazała się tego roku bardzo ciepła. Pod drzewami, których liście zabarwiły się już kolorami tęczy, rosły dorodne grzyby. Młody człowiek stał się członkiem rodziny, czasami zapominał nawet, że jest niewolnikiem. Dano mu nawet luk i strzały - początkowo, gdy opowiadał o swojej celności, z kpiącym niedowierzaniem. Gdy jednak przyniósł pierwszą sarnę, pozwolono mu zachować broń i odtąd regularnie chadzał na łowy.

Dziś ustrzelił młodego jelonka i dumnie przemaszerował z nim koło Gunhildy krojącej grzyby, żeby wysuszyć je na słońcu.

Skinęła na niego.

- Dziś wieczorem?

- Dziś wieczorem co?

- Nauka łaciny, czy nie masz czasu?

- Oczywiście - Gundomadus wyruszył wraz ze swoimi ziomkami na polowanie na dziki, więc mógł wcześniej zakończyć pracę.

Wieczorem przyszła ze świecą i zydłem do obory i z oczekiwaniami w oczach usiadła naprzeciw niego.

- No to zaczynamy!

Flawiusz odchrząknął. Wymyślił system pozwalający mu na przedłużenie nauki.

- Myślę, że najpierw powinnaś nauczyć się słów. Przejdziemy po kolei wszystkie litery. Zaczniemy od A, potem będzie B i tak dalej. Zgadzasz się?

Gunhilda przytaknęła.

- Skoro tak uważasz. A jeśli kiedyś będę mogła wyświadczyć ci przysługę...

Młody człowiek przerwał jej szybko.

- To dla mnie znakomita rozrywka.

Jaka to miała być rozrywka, tego nie mógł się domyślać, gdyż musieli najpierw dojść do litery C.

* * *

W listopadzie zrobiło się zimno, spadł pierwszy śnieg i wkrótce wszyscy opuszczali domostwo jedynie po to, żeby udać się na łowy albo żeby przynieść wodę lub drewno do podsycenia ognia. Zasiadali kręgiem wokół ogniska. Kobiety latały przyodziewek, opowiadając dzieciom historie o elfach i trollach, gnomach strzegących skarbów w jaskiniach lub o duchach zamieszkujących w starych, spróchniałych drzewach. Mężczyźni naprawiali broń, wycinali z drewna łyżki, zaś Gundomadus opowiadał czasami o swoich przygodach, gdy był jeszcze rzymskim najemnikiem. Gunhilda przychodziła na naukę, lecz tylko podczas nieobecności gospodarza. Słuchała uważnie i była pilną uczennicą.

Dnie stały się krótsze, zapasy zaczęły się kurczyć i coraz częściej Flawiusz głodny zakopywał się w słomie. Nocami wiatr wył wokół narożników chaty, nawiewał śnieg na ściany i szumiąc, przedzierał się przez chaszczę pokrywające góry niczym szara wilcza skóra. Wszyscy z utęsknieniem wyczekiwali nadejścia wiosny.

Wreszcie śniegi stopniały i gdy nadeszły pierwsze cieplejsze dni, z brunatnej ziemi wystrzeliły kępki białogłowych przebiśniegów.

- Romulusie, dziś możesz wcześniej zakończyć pracę. Gundomadus pojechał gdzieś konno, a Biga nie ma nic przeciwko temu, żebyśmy zajęli się teraz nauką łaciny.

Opuścił topór, ocierając pot z czoła. Wichura powaliła w lasku spróchniały wiąz, który należało porąbać na opał, gdyż innych drzew nie wolno było ruszyć.

- No dobrze, idziemy do gospodarstwa?

Gunhiłda obdarzyła go uśmiechem.

- Po co, tu, na skraju lasu też jest dobrze. Usiądź tutaj!
Flawiusz nie protestował. Odłożył topór i z lekkim westchnieniem usiadł naprzeciw niej na miękkiej leśnej ściółce.

- Co dzisiaj przerabiamy?

- Literę C!

Dziewczyna spojrzała na niego wyczekująco. Oczy otoczyła ciemną obwódką, szesane do tyłu włosy upięła rzemieniem i kościaną szpilką. Jasnobrazową suknię ozdabiała zapinka z brązu, na której połyskiwały jeszcze resztki złota.

- No więc „dom” to po łacinie *casa*, a „pies” - *canis*.

Gunhiłda powtórzyła, a Flawiusz wyliczał dalej:

- „Róg” to *cornu*.

- Łatwe do zapamiętania. Czy tak idzie dalej?

Flawiusz też się zdziwił, gdyż nigdy się nad tym nie zastanawiał.

- Zobaczymy, muszę pomyśleć.

Odruchowo zerwał źdźbło trawy, spojrzał na nie i kontynuował.

- „Źdźbło” to *culmus*, „sto” to *centum*.

Dziewczyna powtórzyła za nim. Podniósł oczy i jego wzrok przykuł widok, jaki zobaczył. Gunhiłda rozpuściła koński ogon i kaskada jasnych włosów spływała po jej szyi. Serce zabiło mu młotem, z trudem mógł zebrać myśli.

Mruknął jeszcze:

- „Jeleń” to *cerom* - i zamilkł.

Wreszcie udało mu się oderwać od niej oczy.

- Powtórz, co mieliśmy dotychczas!

Zapamiętała każde słowo. Przyłożyła dłoń do czoła i uśmiechnęła się.

- Wszystko jest tu, w rozumie. Jak na to mówicie?

- *Cerebrum* - wykrztusił z siebie, a potem wskazał na jej głowę.

- „Głowa” to *caput*.

- Podobają ci się kobiety z cerebrum, jeśli mają nie tylko urodziwą *caput*?

Patrząc na niego z ukosa, przeciągała dłonią po szyi.

Flawiusz przytaknął.

- Tak, lubię - w ustach odczuwał niezdolność suchości. - Twoja szyja...

- Co z nią? - znowu ten ruch dłoni wzdłuż szyi.

- „Szyja” to *collum* - wyjąkał.

Pogładziła się dłonią po ramieniu, znowu się uśmiechnęła i przysunęła bliżej.

- Jak nazywa się skóra?

Przy tych słowach nie mógł się powstrzymać. Czubki jego palców ostrożnie dotknęły ogorzałej od słońca ręki.

- „Skóra” to *cutis*... Lubię twoją skórę. - Na chwilę sparaliżował go strach, że może ją złościć jego dotyk, lecz ona zaśmiała się dźwięcznie, spojrzała mu głęboko w oczy i rozchyliła nieco swoją suknię.

- Ciepło tutaj, nie uważasz?

Flawiusz znowu skinął głową, wiodąc spojrzeniem za jej ręką, która zbliżyła się powoli, przesunęła po jego tunice, dotykając miejsca, gdzie znajdowało się serce. Kolejne spojrzenie.

- Serce mocno ci bije... Jak wy, Rzymianie, mówicie na serce? Z trudem łapał oddech.

- *Cor*, po łacinie mówi się *cor*.

Flawiusz uniósł się nieco, ukląkł przed nią, po czym ujął lewą ręką jej dłoń. Prawą przesunął ostrożnie po jej palcach, jak gdyby były z puchu mogącego odlecieć przy najmniejszym tchnieniu. Pozwoliła mu na to, przyciągając niepostrzeżenie jego rękę do siebie, aż jego dłonie znalazły się przed jej piersią. Ujęła jego dłoń i powoli powiodła ją ku miejscu rozpięcia sukni, gdzie słońce ogrzewało skórę. Flawiusz wstrzymał oddech, gdy ułożyła jego dłoń na swojej piersi, gdy poczuł

szybkie bicie serca i wypukłość sutka. Uwolnił dłoń, pogładził jej skórę, wiodąc ręką po szyi, ujął ją za kark i przyciągnął do siebie, podczas gdy ona pochyliła się ku niemu. Potem wszystko potoczyło się jak lawina, ogarnęła go ramionami i ich wargi spotkały się.

Pocałunek zdawał się trwać całą wieczność. Flawiusz delektował się nim. Wreszcie, bez tchu, rozluźnili uścisk, spoglądając sobie w oczy. On z młodzieńczym zarostem i bujną czupryną i ona o długich jasnych włosach, której błękitne oczy zdawały się uśmiechać. Usiedli obok siebie na leśnym runie, a on chciał włożyć dłoń pod jej suknię. Ujęła ją, ułożyła na swojej piersi i ukąsiwszy w płatek ucha, wyszeptwała:

- Nie tak szybko, jesteś zbyt niecierpliwy...

Ułożyli się i całowali, raz po raz przesuwając badawczo dłonie po ciele partnera. Czuli swoje wyczekiwanie, kosztowali je, wzmagali, bawili się nim, aż wreszcie Flawiusz nie mógł już dłużej wytrzymać. Przewrócił ją na wznak, ułożył się na niej, przycisnął do niej uda, aby dać jej poznać swoją gotowość, i wsparłszy się na łokciach, spojrzał na nią.

-Jesteś piękna, cudowna, chcę cię...

Uśmiechnęła się, odsuwając go nieco od siebie.

-Ja ciebie też, tylko...

Zamknął jej usta pocałunkiem, jego dłoń przesunęła się po jej ciele i teraz nie protestowała. Jego drżące ręce podniosły jej suknię, wszedł w nią i poczuł, że jest oczekiwany. Poruszała biodrami w rytm jego pchnięć, aż spełnił się i znieruchomiał.

Długo leżał na niej bez ruchu, dopóki nie ustał łomot serca i nie wrócił mu oddech. Gdy jednak chciał już wstać, wyszeptwała cicho:

- Zostań - i przytrzymała go ramionami. - To było miłe, ale chcę więcej.

Widząc zdziwienie na jego twarzy, zaśmiała się dźwięcznie.

- Pierwszy raz był dla ciebie. Ale mamy jeszcze czas. Czas na coś więcej. Pokażę ci, jak się obcuje z kobietą, jak się ją uszczęśliwia. To moja lekcja, warta co najmniej tyle, co łacina!

Nie zważając na to, że chce coś powiedzieć, zamknęła mu usta gwałtownymi pocałunkami. Objęła go, a potem jej ręce powędrowały wzdłuż jego ciała. Gdy dotknęła jego pośladków, poczuł, że napięcie powraca.

Kilka tygodni później Flawiusz wrócił z dwoma zajęciami, które złapały się w zastawione przez niego sidła.

- Gdzie Biga?

- Siedzi na tarasie i łąta trzewiki.

Młodzieniec mrugnął porozumiewawczo do Gunhildy i zamachał zdobyczą. Kilkoma krokami przemierzył ruiny i wyszedł na taras. Przy zachodnim narożniku siedziała na słońcu Biga, mając wokół siebie kawałki skóry i podarte obuwie. Flawiusz podszedł do niej, cienie kolumn przemykały po jego twarzy. Jasno, ciemno, jasno, ciemno - jak letniego wieczoru, przed tyloma laty, przed rokiem...

Gdy zbliżył się do niej, zauważył, że rozchyliła u góry swoją suknię, aby jak najwięcej skorzystać ze słonecznego ciepła. Spoglądała ku dolinie. Na szyi miała skórzany rzemyk, a na nim coś wisiało. Zaciekawiony podszedł bliżej, gdy odwróciła głowę.

- Co takiego, Romulusie?

- Złowiłem dwa zające - podniósł dwa nieruchome kształty, a ona obrzuciła go tym zamyślnym spojrzeniem, które widział u niej już nieraz.

- Zanieś je do chaty. Później sprawimy je i wypatroszymy.

Flawiusz nie ruszył się z miejsca. Spojrzała na niego. Zazwyczaj spuszczał uniżenie oczy, jak przystało na niewolnika, teraz jednak patrzył na jej szyję.

- O co chodzi? - dotknęła rzemyka, na którym wisiał amulet. - Coś nie w porządku?

Potrząsnął w milczeniu głową, patrząc na nią pytająco, w mieszanym, niepewnie. Odchrząknął.

- Zawieszka. Mógłbym ją zobaczyć?

- Oczywiście, czemu nie - wyciągnęła do niego amulet, na ile pozwalała długość rzemyka. Flawiusz spojrział na muszlę, której wnętrze mieniło się wszystkimi kolorami tęczy.

- Wcześniej dręczył mnie koszmarny sen, wciąż ten sam - zająknął się na chwilę, ale zaraz mówił dalej. - Byłem dzieckiem i wyciągałem rękę do takiej właśnie muszli wiszącej na szyi kobiety. Potem musiałem zejść do piwnicy. Tam działy się straszne rzeczy - głos się mu załamał. - Naprawdę nazywam się Flawiusz. Ta kobieta to moja matka. Potem nigdy jej więcej nie spotkałem. Wychowali mnie stryj Juliusz i ciotka Druzylla.

Biga wstała powoli. Igła z brzękiem spadła na płyty posadzki, w jej ślad poszedł trzewik.

Flawiusz dostrzegł, że jej oczy napęłniły się łzami, a wargi drżały. Wyciągnęła ku niemu ramiona i w jednej chwili pojął, kogo ma przed sobą.

-Jesteś...

Przytaknęła, więc podszedł krok bliżej i przytulił ją. Ona objęła go i przygarnęła do siebie.

- Mój synu. Często zastanawiałam się, czy to ty. Nie było cię pomiędzy uprowadzonymi z Lopodunum, więc pomyślałam, że się mylę.

- Dlaczego nazywają cię Biga?

- Nazwał mnie tak mój najstarszy, to znaczy: z moich tutaj szych dzieci. Nie umiał wymówić „Brygida” i tak już zostało.

Nagle odsunęła go od siebie.

- Co robisz? - zapytał zdziwiony.

- Musimy zachować ostrożność. Nikt nie może nas zobaczyć.

Flawiusz wyciągnął ku niej rękę.

- Dlaczego?

- Ponieważ Gundomadus nie może się o tobie dowiedzieć!

Flawiusz potrzebował dłuższej chwili, aby pojąć te słowa.

- Nie wie, że istnieję.

Jego matka przytaknęła.

- Wtedy, gdy Germanie zabrali mnie do niewoli, skłamałam, żeby ochronić ciebie i Juliusza ukrywających się w piwnicy. Pytali mnie, czy mam rodzinę i zaprzeczyłam - odgarnęła z twarzy jasny kosmyk włosów. - Przeplakałam niezliczone noce, błagając bogów, żeby was nie znaleźli. To było straszne...

Głos Bigi zagłuszył szloch.

- Wyrzuciłam cię z moich myśli, gdyż i tak miałam cię już nigdy nie zobaczyć. Potem Gundomadus kupił mnie na targu niewolników. Jako dziewczęcę. Mężczyźni są tak łatwowierni - spuściwszy wzrok, mówiła dalej. - Jest bardzo zazdrosny. Jeśli się dowie, że go oszukałam, zacznie szaleć, obje mnie, a w tobie zacznie widzieć rywala własnego potomstwa!

Flawiusz czuł się zraniony, zmieszany i upokorzony, lecz Biga zdawała się tego nie dostrzegać.

- Chodź, mój synu, usiądź tu. Mamy sobie tak wiele do opowiedzenia.

Flawiusz przysiadł na krawędzi muru tyłem do doliny i gdy wiosenne słońce grzało go w plecy, jękając się, zaczął opowiadać o swoim życiu, o swoich lękach, nadziejach, opuszczeniu i tęsknocie.

Kiedy cienie wydłużyły się już znacznie, Biga spakowała rozłożone kawałki skór, a słysząc dochodzący od chaty męski głos, drgnęła niespokojnie.

- Gundomadus woła. Musimy iść.

Następne dni, gdy tylko to było możliwe, Flawiusz starał się spędzać z matką. Biga opowiedziała mu o sobie i swoim klanie, który stał się również jego klanem. O zwyczajach i dotkliwej nędzy. O surowym klimacie na Północy, gdzie ziemia wydawała jedynie skąpe plony, niewystarczające do nasycenia coraz bardziej wygłodzonych gąb. O tym, jak rozeszły się wieści o bogactwie Południa, o ciepłe lata, kiedy dojrzewające owoce stają się soczyste i słodkie, a nie małe i kwaśne opadają z szarpanych wiatrem drzew. Jak coraz większe gromady ruszały w drogę, opuszczając swoje siedziby na brzegu bursztynowego morza, domy i groby przodków, aby w długim marszu osiągnąć wymarzony cel.

Któregoś dnia, gdy znowu zasiedli na tarasie, Flawiusz zdobył się na odwagę.

- Opowiedz mi, proszę, o moim ojcu.

Biga pogładziła go po głowie.

- Był dobrym człowiekiem - podeszła do obmurowania kolumnady i spojrzała w dolinę. - Był bardzo silny i umiał mrużyć jak niedźwiedź. Lubiłam wspierać głowę na jego piersi i słuchać jego głosu, nawet jeśli nie rozumiałam wszystkiego, co do mnie mówi.

- Gdzie cię... hm, spotkał?

- Powiedz po prostu: kupił - odwróciła się. - Na targu niewolników w Mogontiacum. Stałam tam, półnaga i zmarznięta z tabliczką na szyi. Wypisano na niej cenę i moje zalety. Nie wiem, co handlarz ludzkim towarem napisał na niej. W każdym razie, gdy Primus mnie zobaczył, zaraz wcisnął mu do ręki sztuki złota - uśmiechnęła się. - Nie targując się, tak po prostu.

Kobieta zamilkła na chwilę, a potem ze smutkiem w głosie opowiadała dalej:

- Spędzaliśmy razem niewiele czasu. Musiał wiele pracować, lu biano go. Smakosz, bardzo hojny, często zaglądał do gospody ze swoimi kompanami. Czasami, gdy późno wracał, opowiadając z za-

pałem o swoich budowlach, które mnie w ogóle nie interesowały, miałam ochotę płakać - wyciągnęła zawieszkę spod sukni. - Ale lubiłam być jego żoną. Zanim musiał wyruszyć z cesarzem na Wschód, kupił dwie muszle jako amulety. Jedną dla mnie, drugą dla siebie. Flawiusz wziął amulet do ręki.

- Czy wyróżniał się czymś szczególnym?

Spojrzenie matki powędrowało w dal.

- Był czułym, dobrym ojcem. Czasami zabierał cię ze sobą i trzymając cię nad świeżo ułożonymi dachówkami, opuszczał cię ostrożnie, aż w glinie odcisnęły się twoje stopy. Tak bardzo ci się to podobało, że pewnie niejeden dach w Bicastrum nosi odcisk twoich nóg.

Po krótkim namyśle dodała jeszcze:

- Właściwie posługiwał się lewą ręką, ale równie dobrze pracowało mu się prawą.

W Vc Ve

Na drzewach pojawiły się delikatne, zielone listki, pierwsze ciepłe wiosenne wieczory zwabiły mieszkańców chaty na taras pod portykiem i Flawiusz zaczął przyzwyczajać się do życia pośród Ale-manów. Życie było proste i znojne, ale jasne i przewidywalne, uzależnione od pór roku, a nie od poborców podatkowych czy cesarzy, których imion prawie się nie znało. Pracował całymi dniami, gdyż musiał pomagać Gundomadusowi. Aleman zamierzał oczyścić z chwastów i młodych drzew większą powierzchnię zarośniętych pól willi i zacząć je uprawiać. Wykopując korzenie czy też znosząc chrust, miał czas do rozmyślań. Czasami marzył o tym, aby pojąć Gunhildę za żonę i pozostać z Germanami na zawsze. Gdyby tylko jeszcze mógł odzyskać wolność!

Po zachodniej stronie rzymskiej posiadłości pomiędzy powywracanymi kamieniami wotywnymi znajdowały się ruiny małej świątyni-

ni. Chciał prosić o pomoc, ale nie wiedział, czy władza rzymskich bóstw rozciągała się na Germanię. Ustawił jednak statuetkę Jowisza i potajemnie składał przed nią ofiary. Potem zaś wyruszał do lasu ze świętym dębem i powtarzał całą ceremonię - tym razem ku czci Wotana. Za każdym razem prosił o znak co do swojego losu, jak powinien postąpić.

Gdy zaś go otrzymał, okazał się on zupełnie inny, niż się spodziewał.

Gundomadus wyruszył wczesnym rankiem i wrócił po południu, ale nie sam. Gładko wygolony mężczyzna miał jasne włosy, barczyste ramiona, nosił odzienie z wyprawionej skóry i trzymał się w siodle, jak gdyby cały świat należał tylko do niego. Nie spojrzał nawet na Flawiusza ubranego w połataną tunikę i zanim zsiadł z konia, przyjaznym uśmiechem i lekkim ukłonem pozdrowił Gunhildę, po czym wraz z Gundomadusem zniknął we wnętrzu chaty.

Flawiusz popatrzył za nim i upuścił przyniesioną właśnie wiązkę wiklinowych gałązek. Spojrzał pytająco na Gunhildę, która wzruszyła ramionami i znowu zajęła się wyplataniem kosza. Opanował go niejasny niepokój. Pobiegnął z powrotem na łąki i zaczął wyrwać porastające je krzaki, jak gdyby były śmiertelnymi wrogami, aż wreszcie pokaleczył do krwi ręce i zapadł zmierzch. Gdy wrócił do osady, młody Aleman jeszcze nie wyjechał. Pozostał także cały następny dzień. Gdy wreszcie wyruszył, Brygida skinęła na syna, aby poszedł za nią. W ruinach łaźni, piorąc bieliznę, wyszeptwała do niego:

- Musisz teraz bardzo uważać.
- O co chodzi? - zapytał z niewinną miną.
- Myślisz, że jestem ślepa? - wycisnęła sztukę prania. - Naprawdę sądzisz, że nie zauważyłam, co się dzieje pomiędzy tobą i Gunhildą?

Flawiusz pochylił się za cebrem, aby ukryć płonąca rumieńcem twarz, i chwycił do ręki mokrą chustę. Matka mówiła dalej:

- Gundomadus obiecał ją młodszemu synowi wodza. Po upływie księżyca mają się odbyć gody.

Młodzieniec natychmiast się wyprostował.

- Nie! Ona jest moja!

Brygida uśmiechnęła się do niego smutnie.

- Mój biedny chłopcze - strząsnęła wodę z ramion. - Gunhildą nie jest twoja. Jesteś... no cóż, lubi cię bardzo. Ale niewolnik to nie mąż.

Miał wrażenie, że stoi na moście, którego belki zaczynają się rozpadać i z hukiem spadają w przepaść. Upuścił bez słowa mokrą chustę do cebra. Dalej, jak najdalej stąd. Wreszcie dotarł do miejsca, gdzie po raz pierwszy kochali się z Gunhildą. Długo siedział tam pogrążony w myślach, a gdy wreszcie wstał, wiedział już, co robi.

Z pomocą Brygidy zaczął potajemnie gromadzić zapasy: suszone mięso i grzyby, ser, mąkę. Do tego sprzęt do rozniecania ognia, rzemień, mały dzban, nóż oraz worek, żeby pomieścić wszystko. Gunhildą dalej okazywała mu życzliwość, lecz nie doszło więcej do spotkania sam na sam. Zżerała go zazdrość, zwłaszcza że któregoś dnia zobaczył na jej szyi coś ciemnobrązowego.

- Co tam masz? - zapytał z udawaną obojętnością.

- Podarunek - wyciągnęła spod sukni naszyjnik z bursztynu.

-Lubię glaesum.

Flawiusz nie odpowiedział. Wyciągnął topór i zaczął rąbać drewno, aż rozboleły go barki. Przy każdym uderzeniu wyobrażał sobie, że rozłupuje głowę młodszemu synowi wodza.

Tydzień później Gundomadus ponownie wyruszył w drogę. Miało go nie być do popołudnia następnego dnia, gdyż wraz z drugą rodziną mieli omówić szczegóły nadchodzących godów. Tej nocy Flawiusz namówił Gunhildę, aby spotkała się z nim ostatni raz. Wahala się, lecz wreszcie wykradli się na łąkę poniżej ruin. Po krótkim naleganiu oddała mu się, bez słowa i z taką gwałtownością, jak gdyby nie miało być jutra. Wyczerpani opadli na jelenią skórę, którą ona przyniosła. Flawiusz wyszeptał:

- Gunhildo, nie możesz wyjść za niego!

Zakręciła na palcu jeden ze swoich loków.

- Ale to zrobię. Ma dwadzieścia dwie wiosny, jest poważanym synem wodza. I mnie kocha.

Flawiusz oniemiał.

- Ja przecież też cię kocham. A ty go kochasz?

Zawahała się.

- Nie, jeszcze nie. Ale będę. Poza tym muszę być posłuszna.

- Nie musisz. Przygotowałem wszystko do ucieczki!

Posłyszawszy odgłos, odwrócił się, spoglądając ku ruinom willi. Lecz było to tylko pohukiwanie sowy, której cień nadszcigał ku narożnej budowli. Lecąca sowa - prawdziwie dobry omen!

Księżyc ukrył się za chmurami, ciemności spowiły ślady zniszczeń. Przez chwilę wydawało mu się, że w ciemnych otworach okien pojawia się światło. Zaraz stanie się jaśniejsze, pozwalając zajrzeć do przytulnie urządzonego wnętrza. Ale było to tylko złudzenie i tęsknota za ojczystymi stronami ścisnęła mu gardło.

- Ucieknijmy razem!

- To niemożliwe, Flawiuszu. Dany nam czas był podarunkiem od bogów. Tylko że nie przeznaczyli nas dla siebie.

- Nie kochasz mnie?

- Owszem, tylko...

Młodzieniec ujął jej rękę.

- Wobec tego chodź ze mną!

- Dokąd? Do obcego Rzymskiego Cesarstwa? Do waszych otoczonych murami miast z prostymi drogami, kamiennymi kolumnami, zadzierającymi nosa urzędnikami? Przecież oni gardzą takimi nędzaczami jak my! - dziewczyna uśmiechnęła się smutno. - Chciałabym mieć własne gospodarstwo. Ze zwierzętami, w otoczeniu łąk, pól, lasu. Przydałby mi się własny wierzchowiec... Ale u was, Rzymian, potrzeba na to wszystko dużo, dużo sztuk złota, których nie mamy

Oboje milczeli dłuższą chwilę. Flawiusz wiedział, że ma rację. Poglaskała go po policzku.

- Gundomadus wróci jutro po południu. Jeśli wyruszysz wczesnie, zauważy twoją nieobecność dopiero wieczorem, a to pozwoli ci zdobyć znaczną przewagę. Przed godami zabraknie mu też czasu na dłuższy pościg za tobą.

Flawiusz drgnął. Gunhilda pochyliła się nad nim.

- Zaczekaj, chcę ci coś dać.

Sięgnęła dłonią tam, gdzie zwinięte razem leżały jej rzeczy. Wreszcie znalazła, czego szukała, i włożyła to Flawiuszowi w dłoń, zamykając ją swoją dłonią. Poczuli mały, chłodny przedmiot.

- Twoja spinka z brązu, Gunhildo?

- Tak, tego dnia, kiedy przybyłeś do nas, znalazłam ją przy przewróconych kamieniach bogów. Niech ci przyniesie szczęście, to przecież twoi bogowie. Są na niej jakieś litery, ale ja nie potrafię ich odczytać. Idź już, musisz na jutro nabrać sił.

Objął ją i pocałował.

- Dzięki. Jutro wyruszę w drogę, ale jeszcze nie teraz.

Następnego dnia przyjrzał się spince. Tworzyły ją litery P oraz L i nosiła napis: „Si me amas” - jeśli byś mnie kochał. Flawiusz przez dłuższy czas przyglądał się złoconemu kawałkowi brązu, zastanawiając się, czy bogowie chcieli mu przekazać jakieś przesłanie.

Gdy spakował swój worek, chciał się pocałunkiem pożegnać z Gunhildą, ale ona odwróciła głowę, podając mu w milczeniu rękę. Rozczarowany poszedł do Bigi i przytulił matkę, która spojrzała na niego, przelykając łzy.

- Ruszaj i niechaj chroni cię Merkury. Zrobiłam je dla ciebie.

Podala mu parę porządnych trzewików.

-Jesteś dorosłym mężczyzną i musisz iść swoją drogą. Masz jeszcze kilka denarów. Odwróć uwagę Fascinusa, żeby nie zobaczył, w którym kierunku wyruszasz.

Flawiusz włożył obuwie i zacisnął rzemienie, aż cholewki opięły mu łydki. Potem ujął dłoń matki. Była szorstka i ciepła, poczuł też lekkie drżenie. Gdy spojrzał jej w twarz, zauważył, że na błękitne oczy padł cień, sprawiając, że przyciemniały się jak lustro wody po deszczu.

Spędzony u Alemanów rok nauczył go oszczędzania sił. Długimi krokami pokonywał milę za milą. Wędrował wzdłuż doliny ku zachodowi, a gdy nowe buty zaczęły go obcierać, poszukał liści bylicy, żeby obłożyć nimi bolące miejsca. Dotarłszy do starej drogi rzymskiej prowadzącej z Sumelocenna do Arae Flaviae, rozejrzał się w obie strony, czy nie nadchodzi ktoś, kto mógłby później go wydać. Ale porośnięta trawą wstęga traktu świeciła pustkami, a gdy sierp księżyca oświetlił czubki drzew, poczuł się tak zmęczony, że ułożył się na spoczynek na kępach mchu. Przeżuł nieco sera ze świeżym chlebem, który wtknęła mu Biga, i zwinął się w derkę. Wsłuchując się w leśne odgłosy, zobaczył twarz matki, oproszone siwizną jasne włosy spadające na lewe oko i głębokie zmarszczki po obu stronach ust. Potem obraz zniknął wyparty wspomnieniem Gunhildy i poczuł narastający smutek, a jednocześnie rozczarowanie. Miał uczucie, że jest kimś, do kogo się nikt nie przyznaje, i wiedział, że nie może zostać.

Po kilku dniach wędrowki za ruinami Brigobanne zobaczył zabudowania jakiegoś gospodarstwa. Odważył się podejść do ka-

miennego domostwa i poprosić o chleb. Ciemnowłosy wieśniak spojrział na niego zdumiony.

- Dokąd zmierzasz w pojedynkę?

Mówił po swebsku z rzymskim akcentem, ale Flawiuszowi zabrakło odwagi, żeby wyznać mu prawdę.

- Chcę odwiedzić przyjaciela, który służy w legionach w Augusta Raurica. Mam zamiar iść dalej do Tenedo...

- Nie rób tego! Słyszałem, że na południe stąd grasuje banda sprzedająca bezbronnych podróżnych Rzymianom.

- Co mi radzisz?

- Zawróć i przy ruinach rusz wzdłuż ścieżki w kierunku zachodu słońca. Po niecałym dniu wędrówki dojdiesz do dużego jeziora. Zostaw je po prawej stronie i przejdź kawałek wzdłuż uchodzącego do niego strumienia. Uważaj tylko, żebyś nie wpadł w bagna - chłop znał drogę w powietrzu. - Po prawej dojrzysz wysoką górę. Idź dalej ścieżką w kierunku popołudniowego słońca, a dotrzesz do szerokiej rzeki. Niech cię Wotan ochrania!

Flawiusz podziękował i ruszył wskazaną drogą aż do jeziora położonego w rozległej dolinie. Tu pozwolił sobie na odpoczynek i zarzucił wędkę w kryształowo czystej wodzie, w której na wyciągnięcie ręki widziało się błyskające łuski, powiewające płetwy i okrągłe ciemne oczy pływających ryb. Wieczorem, gdy siedział na brzegu, smażąc zdobycz na ogniu, wodna tafla błyszczała przed nim niczym wypolerowany metal, a w niej odbijały się okoliczne szczyty.

Następnego dnia niebo pokryło się chmurami, podmuchy wiatru wzburzyły jezioro, które w jednej chwili nabrało ponurej ołowianej barwy. Tym łatwiej przyszło mu wyruszyć w dalszą drogę. Wkrótce zachmurzenie sprawiło, że nie mógł orientować się według położenia słońca i o zmierzchu, człapiąc prosto przed sie-

bie, nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje. Kolejnego ranka nie było inaczej, szlak stał się wąską dróżką wiodącą pomiędzy spowitymi mgłą szczytami. Gdy wreszcie doszedł do jakiegoś strumienia, woda płynęła w kierunku jego wędrówki, zamiast przeciwnie - musiał przekroczyć wododział. Wieczorem zaczął padać deszcz, najpierw pojedyncze krople, a potem całe potoki, jak gdyby niebiosy chciały go utopić niczym małego kota. Zmusił się jednak do dalszej wędrówki, choć za każdym krokiem w skórzanym trzewiku chłupotała woda. Gdyby tylko miał swoją galijską pelerynę z kapturem! Trząsał się z zimna, zęby mu szczękały, każdy krok był męczarnią. Tylko gdzie znaleźć schronienie na noc? Od wielu dni nie napotkał żadnej ludzkiej osady.

Zmierzchało już, gdy droga stała się szersza, a kiedy podniósł wzrok, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Strzępy mgły przeciągały przez dolinę i deszcz pogarszał widoczność, lecz na zboczu góry niewątpliwie rozciągały się zabudowania jakiegoś miasta. Podeszedł bliżej i w świetle dalekiej błyskawicy udało mu się dostrzec opuszczone domy oraz ruiny górującej nad nimi świątyni. Ale cóż to za budynek rozciągał się poniżej sanktuarium? Ulixes, dysponujący przewodnikami z cesarskich archiwów, wspomniawszy kiedyś o dwóch miastach położonych o kilka leug na wschód od Renu. Odkrywszy tam gorące źródła, Rzymianie wzniesli nad nimi wspaniałe termy. Przez półtora wieku udawali się do nich wszyscy, od prostego legionisty aż do cesarza, aby szukać ulgi w chorobach.

Wyczerpany ruszył w lodowatych strugach deszczu ku wyniosłej budowli wyrastającej przed nim w ostatnim blasku dnia. Jaśniejsza błyskawica wydobyla z ciemności dwa potężne złączone ze sobą frontony. Na fasadzie widać było zarys łuków potężnego sklepienia oraz wielkie, składające się z wielu szyb okna. Z obu stron przylegały nieco niższe boczne skrzydła. Cała konstrukcja wydawała się nienaruszona.

Odszukał wejście, po omacku wszedł do wnętrza i po odgłosie kroków domyślił się, że znajduje się w wysokiej sali. Słyszał plusk wody, ogarniała go duszna wilgoć, musiał ostrożnie stąpać, żeby nie pośliznąć się na zbutwiałych liściach. Za oknami rozbłysła kolejna błyskawica, zalewając wszystko migotliwym światłem. Flawiusz zobaczył wysoką na czterdzieści stóp, sklepioną aulę, której ściany pokrywały pasy kolorowych malowideł. Pośrodku dymił duży, kwadratowy basen - gorące źródło! Grzmot dudnił w pomieszczeniu, odbijając się w nim wielokrotnym echem.

Nie zastanawiając się długo, ściągnął z siebie odzienie i wszedł do wody. Jakaż to ulga, ciepło, woda ogarniająca miękko jego wyczerpane ciało, niosąca go, pieszcząca bolące mięśnie, usuwająca skurcze i brud. Kilkoma pociągnięciami rąk osiągnął środek basenu, zanurzył się, parskając, wynurzył, płynął dalej na plecach - i wydał z siebie okrzyk, gdy zimny strumień trysnął mu w twarz. Zachłysnął się, rzucił w bok, lecz to tylko deszczówka kapiąca z nieszczęlnego dachu.

Kolejne zanurzenie. Delektował się długo niedoznanym luksusem, wreszcie podpłynął do brzegu i palcami stóp ostrożnie odszukał pokryte szlamem marmurowe stopnie. Miał właśnie zamiar wyjść z basenu, gdy błysk cichnącej burzy rozjaśnił wnętrze term. Tam leżał jego przyodziewek.

Ale czy nie pochyła się nad nim jakiś ciemny kontur? Zamarł w bezruchu, serce biło mu jak młotem, ale uspokoił się. Kto niby miałby tu być?! To z pewnością tylko złudzenie. Zmęczony i wyczerpany widział już chyba zjawy. Lecz nabrał ostrożności, podszedł bliżej, zatrzymał się i nadstawił ucha.

Migoczący błysk na horyzoncie i zobaczył postać z wyciągniętymi ramionami. ^JCfydał okrzyk, zjawy kroczyła ku niemu, więc zrobił unik, zachwiał się i wpadł do wody. Kilka silnych pociągnięć i znów był na środku, ale i tam doszedł go głos. Jęczący, krzyczący,

wydający strzępy słów, stękający. Wreszcie umilkł. Wokół basenu słychać było tylko szuranie czyichś kroków.

Duch? Żołądek Flawiusza ścisnął strach. Czy w maju w rzymskich domach nie praktykowało się odczyniania uroków rzucanych przez złe duchy, larvae? A opowiadanie Pliniusza o nawiedzonym domu w Atenach... ? Co zrobiłby Ulixes?

„Neptunie, jeśli mi pomożesz, złożę ci w ofierze najcenniejszą rzecz, jaką posiadam”.

Wyszeptał przyrzeczenie i uspokoił się. Istota poruszała się w ciemnościach niczym nietoperz, ale zdawała się unikać wody. Nawet jeśli nie był to duch, tylko człowiek, musiał być sposób na pokonanie go.

Pozwolił się unosić wodzie, zastanawiał się, obmyślał plan.

Powoli podплыł do brzegu basenu, sięgnął obiema rękami po szlam i rzucił go garściami przed siebie. Zbliżyły się szeleszczące kroki, zatrzymały się. Nabrał następną garść szlamu i cisnął nią tam, gdzie podejrzewał, że znajduje się przeciwnik. Usłyszał bulgoczące pokaszływanie, trafił, wiedział już, gdzie stoi zjawa. Wyskoczył z wody, sięgnął do przodu, chwycił tkaninę, rzucił się półobrotem w tył, pociągnął za sobą zaatakowanego, ściągnął pod siebie, wciskając pod wodę.

Rozpoczęła się zaciekle walka. Istota była silna, kościstymi palcami próbowała pochwycić Flawiusza za gardło, ale on był w swoim żywiole, a ponadto opanowała go nieogarniona wściekłość. Przypomniawszy sobie o otrzymanych od siwowłosego razach, o wszystkich upokorzeniach i rozczarowaniach zaznanych w ostatnim roku. Koniec, nigdy więcej, od nikogo więcej! Z całych sił raz po raz zatapiał zjawę, pozwalając jej się wynurzyć tylko na chwilę dla zaczerpnięcia oddechu. Zanurzał ją znowu, aż wreszcie nie poczuł żadnego oporu. Na koniec zaciągnął bezwładne ciało na brzeg, związał je rzemieniem i wyczerpany osunął się na posadzkę.

Minęło pół godziny, gdy wreszcie odzyskał siły na tyle, żeby wstać i odszukać swoje odzienie. Próbował wyjąć z niego wodę, ale na próżno. Zbyt mokro było także na rozniecenie ognia, więc zjadł resztki chleba. Siedział w milczeniu, chciał się ruszyć i przyrzec skrepowanemu wrogowi, lecz opadły mu powieki i zapadł w głęboki sen.

Następnego poranka obudził się wystraszony, wstał, przyjrzał się więźniowi. Ciało leżało bezwładnie w tej samej pozycji, jak w nocy. Flawiusz obrócił je. Starszy człowiek z siwymi, zmierzwionymi włosami i brodą. Sztywne rysy twarzy, ani śladu życia. Przyjrzał się oczom i ogarnął go lęk. Mętne, martwe źrenice, najwidoczniej jakiś ślepiec, być może chory na umyśle. A teraz nie żyje.

Był tak oszołomiony, że musiał usiąść na zbutwiałych liściach pokrywających kamienną podłogę. Przez jedno z wielkich okien wpadał blask słońca, malując na ścianie ciemną kratę kwater. Pośrodku sklepionego pomieszczenia rozciągała się wzburzona podmuchem wiatru powierzchnia wody. Tam stoczył walkę, pokonał napastnika, zabił go. Dlaczego mężczyzna go zaatakował? Żeby go obrabować? Chciał przepędzić intruza ze swojego terenu? A może po prostu dlatego, że był szalony?

Nagle przeszło go straszliwe podejrzenie: czy ślepiec chciał go w ogóle zaatakować?

Długo siedział targany to wyrzutami, to znowu usprawiedliwieniami swojego działania. Po raz pierwszy zabił człowieka i nie wiedział, że drzemie w nim taka siła.

Wreszcie potrząsnął głową, aby rozproszyć dręczące go myśli, i podszedł do swojego worka. Wyciągnął kawałek rozmiękłego sera. Zjadł go, po czym ruszył zbadać miejsce swoich nocnych zmagania. Przejście prowadziło do drugiego pomieszczenia, gdzie znajdował się następny basen, lecz ściana uniemożliwiała dalsze poruszanie

się, choć budowla była zbyt wielka, aby tu się kończyć. Wrócił do wejścia, przeszedł na zewnątrz ku drugiej stronie - i stanął zdumiony przed dokładną kopią tego, co właśnie widział. Termy składały się z dwóch identycznych, lecz oddzielonych od siebie części.

Wrócił, zaciągnął zwłoki do zagłębienia i zasypał je, a potem spakował swój worek. Nagle o posadzkę zadzwonił metal: spinka Gunhildy, najcenniejsze, co miał. Długo się wahał, spoglądając po raz ostatni na złożone litery, a na koniec ozdoba poleciała szerokim łukiem ku środkowi basenu.

Wyszedł na zewnątrz. Rozpogodziło się, pomiędzy chmurami ukazało się poranne słońce. Postanowił ruszyć na południe drogą po wschodniej stronie Renu, aż dotrze do mostu pod Augusta Raurica. Tam mieszkał lekarz, przyjaciel jego stryja. Dwa, być może trzy dni marszu i znajdzie się u celu. Nareszcie.

ROZDZIAŁ 7

WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ DO RZYMU

(269-271 r. po Chr.)

*Im wyżej sięgam, tym
bardziej się staram.*

MAKSYMIN TRAK

Sokół bezgłośnie żeglował w podniebnych przestworzach, z dołu postrzegany jedynie jako ciemny punkt na błękitnie nieba, lecz jego bystre oczy widziały wszystko, szukały łupu, gołębi lub tłustych szurów harcujących nocą przy ludzkich siedzibach, gdzie buszują po stertach piętrzących się odpadów. W ciągu dnia z ciemnych kryjówek wystają jedynie ich czarne, guzikowate oczy. Wtedy miastem rządzą ludzie.

Leży ono na południe od wielkiej rzeki, na skraju płaskowyżu. Pokryte czerwoną dachówką kalenice stoją w ciasnych szeregach poprzedzielane wysypanymi szutrem uliczkami. Mieszkańcy mówią na nie *insulae* i *via*, a gdyby ktoś mógł zobaczyć okolicę z lotu ptaka, to z dumą wskazałby na reprezentacyjne budowle. Na południowo-zachodnim skraju miasta wznosi się owal amfiteatru, na północ od niego *nymphaeum* z gorącymi źródłami, w centrum zaś widać zwalistą bryłę teatru zwróconą ku świątyni, na tyłach której rozciąga się forum.

Miastu brak jakichkolwiek fortyfikacji, jest całkowicie bezbronne. Z południowej strony dwa odcinki muru gubią się w polach, przypominając zdeformowane skrzydła niezdolnego do lotu ptaka. Próba ufortyfikowania przewidzianego do zasiedlenia obszaru została wkrótce zarzucona. Gdy w kasie były pieniądze, nie zagrażało niebezpieczeństwo. Natomiast gdy stawało się ono coraz bardziej realne, zabrakło niezbędnych finansów. Mieszkańcy odwracali wzrok, kiedy na północ od rzeki zaczęły się pojawiać dymy pożarów, i zamknęli uszy przed doniesieniami z lasów Germanii. Szko-

dy po trzęsieniu ziemi oraz napaści wroga zostały usunięte. Aby zaś zapewnić sobie pomyślność w przyszłości, składano bogom ofiary. Sokół wypatrzył ofiarę - gołębia nad teatrem. Spadł jak błyskawica, zatapiając pazury w jego grzbiecie. Krótka walka i zaatakowany ptak zwisał bezwładnie w jego szponach. Spomiędzy piór wyciekło jedynie kilka kropel krwi, rozpoczynając wędrówkę ku ziemi. Machając dostojnie skrzydłami, drapieżnik ruszył do swojego gniazda.

- Na Jowisza, co to ma znaczyć?! - siedzący w teatrze mężczyzna spojrzął na czerwoną plamę na śnieżnobiałej todze. - Tego żartownisia, który spryskał mnie farbą, każe solidnie wychłostać!

Niewolnik pochylił się nad tkaniną, pociągnął nosem i szepnął:

- Myślę, panie, że to krew!

Mężczyzna w todze zamilkł - to zły omen. Ale nie chciał się ośmieszyć pomiędzy innymi dostojnikami miasta, których składane krzesła z brązu otaczały jego siedzisko. Ponownie zwrócił uwagę na spektakl, którego był mecenasem. Za to otrzymał przecież honorowe miejsce, w pierwszym rzędzie orchestry, półkolistym wycięciu rozciągającym się pomiędzy widownią i właściwą sceną. Ze swojego miejsca doskonale widział jej pozbawiony ozdób tył, którego otwartą środkową część flankowały z prawej i lewej smukłe kolumny. Tym sposobem spojrzenie jest skierowane ku świątyni odległej o mniej więcej sto kroków, królującej na podeście ze schodów.

Teatr mieści około ośmiu tysięcy widzów i dziś zapelni się po brzegi. Wciąż napływają ludzkie masy, na widowisko wybrała się cała okolica. Słudzy obnosili między rzędami ogromne kosze, rozdając z nich słodkie wypieki. W tylnych rzędach panował tłok, tłumy przepychały się i kłóciły, natomiast z przodu zamożna elita kroczyła dostojnie na swoje miejsca. Wykute na stopniach imiona właścicieli sprawiały, że woźni rzadko musieli przepędzać z nich

niezorientowanych gapiów. Jedną z górnych sekcji zarezerwowano dla kobiet. To mądra decyzja, gdyż teatr nie dysponuje velum, zasłoną przeciwsłoneczną, więc większość pań rozłożyła parasole, choć przesłaniają one widok innym. Teraz bogacz wstał z miejsca i podszedł ku krawędzi orchestry. Na to czekali opłaceni klakierzy. „Niech żyje czcigodny dobroczyńca!” - wrzeszczeli, ile sił w płucach, a ich okrzyki rozchodziły się niczym fala pośród słoczonej widowni. „Wiwat, Avitus, obrońca miasta!” Tłumy zerwały się z miejsc, bijąc brawa: „Dziękujemy ci, o źródło dobroczynności!”.

Wyróżniony honorami dostojnik udał się na swoje miejsce, dając znak w kierunku sceny. Zapadła cisza, ostatni spóźnialscy przekradali się schyleni na wolne miejsca. Nagle mecenas kolejny raz odczuł ból w pęcherzu, który dokuczał mu już od dłuższego czasu. Skinieniem ręki wezwał niewolnika, aby dyskretnie podstawił mu naczynie, po czym odetchnął z ulgą.

Chór i muzycy przemierzali scenę, ustawiając się na tle kulis. Rozbrzmiała głośna fanfara, a po niej delikatnie wygrywana melodia uniosła się niczym zwiewny szal nad rzędami widzów. Zaczął zawodzić flet, potem dołączyły gitara i tamburyn. Rozpoczęło się przedstawienie.

Nosiło tytuł *Uparty Zeus* i niezbyt delikatnie obchodziło się z greckim światem bogów, tyle udało się dowiedzieć fundatorowi podczas rozmowy z odtwórcą głównej roli oraz autorem. Ale taka właśnie jest pantomima, rodzaj sztuki bezceremonialnie rozprawiającej się ze słabostkami bogów i bohaterów. Wykorzystuje się też czcigodne greckie tragedie, a nawet sceny z historii Rzymu, redukując je do punktów kulminacyjnych i przyprawiając erotycznymi aluzjami. Przy tym wszystko zależy od głównego aktora odtwarzającego większość ról - w masce, milcząc, jedynie za pomocą tańca i gestów. Tym sposobem akcję sztuki może zrozumieć także zróżnicowana publika przygranicznej prowincji. Dodatkowo chór streszcza akcję, wykonu-

jąc przy tym znaną pieśń *Wesołe jest życie bogów*, której podzieleni na głosy gapie wtórują z ostatnich rzędów.

- Ludzie drodzy, Avitusie, to śpiewaliśmy jeszcze w czasach bujnej młodości!

Zagadnięty spojrział w bok na przysadzistego legionistę, który nawet w teatrze nie zdjął wypolerowanego pancerza. Jako komendant małego, stacjonującego w mieście oddziału przywiązywał wielką wagę do bojowego wyglądu, któremu przeczył ciężki zapach syryjskiego olejku unoszący się nad jego głową.

- Owszem, centurionie, ale dziś zobaczymy też parę niespodzianek.

- A więc to prawda, co ludzie mówili, że wystąpi nie tylko słynny Theoros, lecz także...

Avitus przytaknął. Theoros był atrakcją, która zafascynowała takie miasta, jak Lugdunum czy Aventicum. Domagał się za to wprawdzie niemałej fortuny, lecz i tak koszty były mniejsze niż w wypadku inscenizacji polowania na dzikie zwierzęta czy walki gladiatorów. Ponadto miała wystąpić jego partnerka nosząca wiele obiecujący pseudonim artystyczny Messalina. Wieść o tym - pomimo braku zapowiedzi - rozeszła się wszędzie lotem błyskawicy. Ale prawdziwy atut udało się Avitusowi zachować w tajemnicy.

Rozległy się gromkie brawa, gdy Theoros pojawił się na tle otwartej środkowej części sceny, tanecznym krokiem posuwając się ku przodowi i pozdrawiając publiczność. Był to bardzo przystojny mężczyzna, szczupły, giętki, doskonale zdający sobie sprawę ze swojej urody. W szczególniejszy sposób pozdrawiał damy, pośród których powstało zamieszanie, potem szerokim gestem odrzucił szeroką białą pelerynę, a zdobiące ją klejnoty skrzyły się tęczowo w blasku słońca.

Kilka płynnych kroków i znalazł się za sceną, gdzie pomocnik podał mu kobiecą maskę, i w jednej chwili aktor przemienił się

w Here, małżonkę Zeusa. Rozzłoszczona czeka na spóźniającego się znowu małżonka, grozi i gestykuluje. Do tego orkiestra zain-tonowała ponurą melodię przerywaną trelem fletu wzmagającym się do histerycznego popiskiwania. Kolejna zmiana maski, teraz Theoros stał się samym Zeusem, który podпиты i w dobrym hu-morze wrócił do domu, gdzie oczekuje go zazdrosna małżonka. Całe jego ciało wyrażało świadomą winy obronę, krok po kroku cofał się, zaklinającymi gestami wzywając widzów na świadków swojej niewinności.

Avitus pochylił się do przodu, niewolnik szybko podsunał mu naczynie. Następnej części przedstawienia chory nie był w stanie śledzić. Wreszcie ból odrobinę zelżał, zlany potem uniósł się nieco, otepiałe zmysły zarejestrowały aplauz widowni. Na scenie Zeus pod postacią byka wprowadzał Europę, która miała na sobie coraz mniej odzienia, aż wreszcie w kostiumie zrodzonej z piany Wenus oddała się bogu. Nieruchome maski aktorów jaskrawo kontrasto-wały z ich ciałami, które niczym węże splatały się ze sobą. Gesty stały się coraz bardziej jednoznaczne, rozległy się coraz bardziej obsceniczne i zachęcające okrzyki widzów.

Nawet siedzący obok centurion zerwał się z siedzenia, porusza-jąc w przód i w tył biodrami, gdy Theoros chwycił Messalinę, usta-wił ją bokiem przed sobą i powoli przeciągał rękoma wzdłuż jej ciała. Prawa rozpoczęła od szyi, przesunęła się na piersi, zatrzymała na chwilę, a następnie zesła ku brzuchowi. Lewa pieściła kark, przeszła na plecy, po czym dotknęła pośladków. Na koniec dłonie mężczyzny powędrowały jeszcze niżej, kobieta wydała okrzyk roz-koszy, partner uniósł ją i niczym trofeum zniósł ze sceny.

Publiczność klaskała, wydawała okrzyki, cały teatr wrzał. Mu-zykom z trudem udało się zwrócić na siebie uwagę. Swój występ zaczął chór, powoli powracał spokój, a wyczerpany Avitus opadł na

siedzenie. Jego wzrok skierował się w stronę luki w tylnej ścianie sceny, ku świątyni, której żłobione frontony kolumn oświetlało popołudniowe słońce, a następnie powędrował ku prawej krawędzi. Tak, tam w górze pojawił się jakiś ruch, widać było białą plamę. Wszystko odbywało się zgodnie z planem. Zamknął na chwilę oczy i odetchnął z ulgą.

Gdy otworzył powieki, przedstawienie zbliżało się ku końcowi. Głośne fanfary obwieściły ostatni akt. Ikar rzucił wyzwanie Zeusowi: również on, śmiertelnik, chce latać tak jak bogowie. Ubrany w odzienie z puchu, mając u ramion ogromne skrzydła z łabędzich piór, zajął miejsce na najwyższym punkcie muru ograniczającego scenę. Wahał się, zrobił krok, na widowni rozległy się szepty, napięcie rosło. Stojący na scenie Zeus wzywał go gestami, lecz wszyscy patrzyli tylko na nieznanego śmiałka. Ciągłe jeszcze stał, pomruki stawały się głośniejsze, słychać było pierwsze gwizdy.

Mężczyzna stojący przy prawej krawędzi muru zawołał coś, a potem ruszył ku Ikarowi. Ten zaczął machać skrzydłami i skoczył w pustkę. Gwałtowny trzepot prawie niehamujący upadku, ciało przekoziółkowało i spadło na krawędź sceny. Siedzącym w pobliżu wydawało się, że słyszeli trzask pękających kości, ale być może skrzypiały jedynie drewniane deski podłogi. Zbliżył się Zeus, opuszczając teatralnym gestem prawy kciuk, a potem Theoros ściągnął maskę. Wykonał obrót, odchylił ciało do tyłu, aż głowa dotknęła sceny, po czym się wyprostował i skłonił głęboko przed publiką, która powstawszy z miejsc, wiwatowała bez końca. Grzmiący aplauz wstrząsnął murami teatru.

- Znakomity, ten Theoros jest po prostu znakomity!

Centurion znowu zerwał się z miejsca i sięgnął do sakiewki po monetę, którą rzucił aktorowi. Potem zwrócił się do Avitusa.

- Kim był ten Ikar i jak się wam udało nakłonić go do latania?

Wargi Avitusa rozciągnęły się w uśmiechu, ale oczy pozostały zimne.

- To skazany na śmierć rabuś. Zapytałem go, czy chce to zrobić, i

- I co, zgodził się?

- No cóż, początkowo nie bardzo chciał oswoić się z tą rolą.

- To 2rozumiałe - odparł ze śmiechem żołnierz. - A co potem?

- Przyznałem mu rację i powiedziałem, że doskonale nadaje się do odegrania głównej roli w następnej sztuce Laureolusa.

Centurion zmarszczył brwi.

- Co to takiego?

- On też chciał się tego dowiedzieć - przyznał Avitus. - To sztuka, w której na koniec krzyżuje się herszta rozbójników. Wtedy nieomal błagał mnie, żeby mógł zagrać Ikarą!

Centurion zarechotał.

- Taktycznie genialne, drogi Avitusie! Ten dzień zaskarbił wam z pewnością uznanie wszystkich mieszkańców, z wyjątkiem jednego...

Głową wskazał w kierunku sceny. Avitus zbierał się już do odejścia, gdy posłyszał rżenie. Ikar dalej leżał w niezmienionej pozycji, lecz otworzył oczy i wpatrywał się w niego. Dostojnik przystanął i zwrócił się do żołnierza.

- Macie sztylet?

- Oczywiście. Tylko zaraz chcę go mieć z powrotem! - zawołał opancerzony legionista do niewolnika, któremu Avitus wręczył broń. Niewolnik podciągnął się na owłosionych rękach na scenę i pochylił nad rannym, spoglądając mu w twarz. Oczy Ikarą zdały się niemo błagać, wargi próbowały wymówić jakieś słowa. Niewolnik zawahał się, a potem zadał cios. Sztylet znikł w piersi na wysokości serca, czerwona jak mak plama rozlała się na białym ubiorze. Sługa otarł ociekającą krwią klingę o pióra, zeskoczył ze sceny i podał sztylet swojemu panu.

- Uważaj, ośle!

Szkarłatna kropla spadła na białą togę Avitusa, który podając broń centurionowi, jednocześnie próbował wymierzyć niewolnikowi kopniaka. Nagle poczuł straszliwy ból w pęcherzu, wydał jęk i zwinęty osunął się na posadzkę.

-Wezwijcie medyka, być może Doryphoros jest w teatrze, szybko - wystękał.

Niewolnik ruszył na scenę, nakazał trębaczowi zagrać fanfarę, po czym krzyknął do zmierzającej ku wyjściom ludzkiej masie.

- Czy jest tu Doryphoros? Mój pan ma atak bóleści. Doryphoros proszony o podejście do orchestry!

Krępy mężczyzna nadstawił ucha, odwrócił się i pociągając za sobą pomocnika, przecisnął się przez tłum. Obaj pochylili się nad postępującym Avitusem. Ręce medyka odsunęły odzienie chorego, badając podbrzusze. Jego towarzysz, młody człowiek o ciemnych włosach, z lokiem na czole, jasnej skórze i błękitnych oczach, otworzył skórzaną torbę, wyciągając z niej szkatułkę z kilkoma przegródkami. Choremu został podany zielony proszek rozpuszczony w winie, a potem medyk wydał polecenia:

- Flawiuszu, trzeba się nim zaraz zająć. Postaraj się o nosze i każ go zanieść do infirmerii!

Pomocnik oddalił się, zaś stojący wokół Avitusa zakłopotani ludzie zaczęli odchodzić jeden po drugim.

Doryphoros wykonywał zawód, który nieodłącznie wiązał się z krojeniem. Nic przesadził jednak, gdy podczas pierwszej rozmowy z I Li uszem zaznaczył, że nie potrzebuje właściwie pomocników i niewiele może mu zapłacić. W rzeczywistości medycznego rzemiosła uczyło się u niego ni mniej, ni więcej tylko siedmiu młodych ludzi. Flawiusz podejrzewał, że do dwóch z nich medyk żywi

coś więcej niż tylko zawodowe zainteresowanie, lecz zachowywał się zawsze bardzo powściągliwie.

Doskonałym źródłem wszelkich domowych plotek okazał się Olus, którego Doryphoros zgarnął kiedyś z ulicy i zatrzymał jako „złotą rączkę”, gdyż bez narzekania wykonywał wszelkie roboty. Przsadzisty Gal żywił względem pana pełne szacunku oddanie.

-Wiesz, Flawiuszu, mistrz zawsze cieszył się dobrą sławą. Wcześniej miał więcej uczniów, tylko któregoś razu pewien bogaty pacjent sprzeciwił się, co ja mówię, dostał prawie ataku szału tylko dlatego, że na jego operację przyszło piętnastu studentów. A było co oglądać, jak mistrz rozpilował mu głowę; przyglądałem się od drzwi. Najpierw rozcięcie skóry, o tak - przy tych słowach Olus wykonał gest, jak gdyby chciał poderznąć wołu gardło. - Potem podniósł płat skóry i przystawił tę ząbkowaną z przodu rurę z brązu. W pogotowiu leżał już łuk, wiesz który, ten rozkładany, też z brązu, z naciągniętą cięciwą. Założył cięciwę na rurę, a potem raz, dwa, w tył, w przód i rura zakreśliła się jak szalona. Bogacz nie miał nawet czasu, żeby zacząć krzyczeć z bólu, a już mistrz trzymał w ręku kawałek kości czaszki. Wziął skalpel, wyciął coś, co nie powinno tam być, nie bardzo mogłem zobaczyć, co to było, ale chory wyzdrowiał.

Flawiusz początkowo wzdragał się, ale wkrótce przywykł do asystowania przy zabiegach. Przytrzymywał operowanych pacjentów, ścierał krew, urynę i wymiociny, rozdrabniał zioła i ucierał maści, zmieniał opatrunki. Ponieważ w mieście nie było valetudinarium, zabiegi chirurgiczne przeprowadzano również w domu medyka. Młody adept potrzebował dłuższego czasu, aby przyzwyczać się do widoku tryskającej krwi i spoglądania z zawodową trzeźwością na uwolnione od tkanki kości, ścięgna czy narządy wewnętrzne. Czasami zamykał oczy, lecz nie mógł zamknąć uszu. Krzyki pacjentów, gdy skalpel lekarza nacinał ciało, i gwałtowne drgania zdra-

działy aż nadto wyraźnie, jak bardzo cierpią. Niewiele pomagało też wino, które podawano im przed zabiegiem, więc Flawiusz po każdej operacji był równie wyczerpany jak chorzy. Z czasem przywykł do wszystkiego, rozumiejąc krótkie wyjaśnienia wymrukiwane przez Doryphorosa w czasie pracy:

- Nacięcie skóry.
- Usunięcie zgorzelałej tkanki.
- Czysto aż do kości.
- Ostrożnie podwiązać tętnicę.
- Odsunąć tkankę.
- Cięcie piłą.

Najpóźniej w tym momencie wrzask pacjenta zagłuszał wszystko.

Oszłamiający okazał się bezlik posiadanych przez Doryphorosa narzędzi z brązu. Po każdym użyciu Flawiusz musiał je umyć i wypolerować na połysk, zanim zostały schowane w wyściełanej szkatule. Najchętniej brał do ręki vaginalspeculum, mechaniczne cudo z precyzyjnie wykonaną śrubą służące do badania otworów ciała. Była też „łyżka Dioklesa”, taśmowy instrument z dwoma hakami do wyciągania grotów strzał. Wygiętych w kształt litery „S” kleszczy do ran o dokładnie wyprofilowanych szczękach używano do usuwania resztek kości. Żelazne ostrza skalpeli okazywały się tak ostre, że najmniejsze dotknięcie rozcinało głęboko naskórek. Do tego dochodziły hakowate lewary do kości, frezy do czaszki wraz z łukami do cięcia, jak również różne przecinaki, nożyce, tarniki do kości, haki do ran, igły, sondy, cewniki, bańki i żegadła do wypalania ran, zatrzymywania krwawień oraz usuwania brodawek.

„Czego nie uzdrowi lekarstwo, to uleczy żelazo; czego nie może uleczyć żelazo, to uzdrowi ogień; czego zaś ogień uzdrowić nie jest w stanie, to musi zostać uznane za nieuleczalne!” Te słowa Hipo-kratesa wciąż na nowo wstrząsały Flawiuszem. Gdy jednak chory

- Hmm, nie możecie spożywać większych ilości wina, bo to napelni pęcherz. Korzeń mandragory właśnie mi się skończył, ale miałbym jeszcze specjalność z Rzymu, resztkę opium. Tylko że ma swoją cenę.

- Ile, powiedzcie, ile za wszystko razem?

Medyk zamilkł na chwilę, jak gdyby musiał w myśli przeprowadzić obliczenie, a następnie pochylił się nad chorym i wyszeptał mu coś do ucha. Avitus zamarł, natomiast medyk wyprostował się z pełnym współczucia wzruszeniem ramion. Zaraz jednak pacjent wy stękał:

- Tak, cóż innego mi pozostało. Dajcie tę przeklętą miksturę!

Na znak Doryphorosa jeden z uczniów udał się do sąsiedniego pomieszczenia, przynosząc skrzyneczkę z lekarstwami, szklane naczynie oraz dzbanek wina. Medyk włożył zawartość jednej z przegródek do szklanicy, dodał wina i wymieszał wszystko. Potem kazał wypić mieszankę pacjentowi, a gdy jego reakcje dowiodły, że znieczulenie działa, zabrał się do dzieła. Tym razem mógł spokojnie pracować, gdyż chory stękał jedynie od czasu do czasu, wzdrygał się ociężale, lecz najwidoczniej nie był niczego świadomy. Zafascynowany Flawiusz przyglądał się, jak ostre żelazo rozcina skórę, odsłaniając pęcherz, a sonda wydobywa zeń dwa kamienie. Na koniec, zanim operowany został przeniesiony do specjalnego pomieszczenia, gdzie miał spędzić kilka dni pod ciągłą obserwacją, cięcie zostało zdezynfekowane winem, zszyte i opatrzone. Wprawdzie Avitus jęczał i narzekał, gdyż początkowo każde oddawanie moczu wiązało się z bólem, lecz rana zagoiła się bez komplikacji.

Gdy po dwóch tygodniach przybył posłaniec, medyk rozprosił się, wając w rękę ciężki skórzany worek, i po chwili namysłu wręczył każdemu z asystujących przy operacji błyszczącego aureusa. Flawiusz, który nigdy nie miał złotej monety, zważył ją w dłoni i przyjrzał się portretowi. Walerian, grubo ciosana głowa

ozdobiona laurowym wieńcem, na rewersie również jego wizerunek, jak podaje rękę swojemu synowi Galienowi. Teraz i on nie żyje, pomyślał, a co stało się z jego ojcem i jego legionami?

Tej nocy spał niespokojnie, dręczony koszmarami. W palących promieniach słońca stał na skraju doliny, a w jej zagłębieniu widział pracujących ludzi. Spętani łańcuchami obrabiali ogromne kamienne bloki. Pilnujący ich nadzorca chodził wokół, karcąc pejcem każdego, kto zbyt wolno pracował lub prosił o wodę. W pewnej chwili zobaczył mężczyznę i od razu wiedział: to ojciec. Starszy i pochylony zalegał z robotą, a tymczasem strażnik nadchodził coraz bliżej. Flawiusz krzychał ze zbocza, żeby go zatrzymać, lecz jego głos nie sięgał dna doliny. Krzychał coraz głośniejsze, aż wreszcie przebudził się zlany zimnym potem.

Długo nie mógł potem zasnąć i wtedy przysięgał sobie, że dowie się, co się stało z jego rodzicem. Aureus miał być pierwszym krokiem do zdobycia środków na sfinansowanie podróży.

Mijały dni, łącząc się w tygodnie, a potem w miesiące. Jesienią pojawiły się gromady brunatnych jaskółek brzegówek i świergocząc, siadały na koronach drzew, po czym niby na tajemny sygnał podrywały się w powietrze. Ich lot prowadził na południe, dokąd ciągnęło również Flawiusza. Lecz jego sakiewka nie była jeszcze pełna, a wiedza zbyt skąpa. Tym sposobem nauka stała się dla niego prawdziwą namiętnością, której podporządkował wszystko - wieczory w tawernie w towarzystwie innych uczniów, a także randki z dziewczętami z gospody rzucającymi mu zachęcające spojrzenia.

Większość wolnego czasu poświęcał lekturze zwojów przechowywanych przez Doryphorosa w dużej szafie. Ponad sto starannie posegregowanych dzieł z zakresu medycyny, architektury, techniki,

retoryki, dialektyki i filozofii spoczywało na drewnianych półkach. Takiej biblioteki nie miał nikt inny w mieście. Flawiusz rozpoczął od Hipokratesa, przerobił medyczne kompendia Celsusa, Rufusa, Galena i Dioskuridesa, a nawet zajął się sennikiem autorstwa Artemidora. Z czystej ciekawości przerzucił też pisma Soranosa z Efezu na temat leczenia kobiet, położnictwa oraz antykoncepcji.

Z czasem studium stało się bardzo żmudne, gdyż wiele tekstów skopiowano, przepisując je niezbyt starannie z greckiego oryginału.

Znacznie bardziej zajmujące okazały się godziny wykładów wypełniające dni, kiedy nie przyjmowano pacjentów. W sali ozdobionej mozaiką z gladiatorem stało osiem krzeseł, a Doryphoros, krążąc wokół, prowadził wykład, a także sprawdzał stan wiedzy swoich uczniów, więc wszyscy przysłuchiwali się z uwagą.

- Ostatnim razem mówiłem o leczeniu ran winem oraz miodem. A czego używa się na zropienia? Ty, tak, ciebie mam na myśli! - wyciągnięty palec wskazał na ucznia siedzącego obok Flawiusza.

- W tym wypadku pomagają kozłek, mirra i kadzidło. Przygotowanie...

- Dobrze, to wystarczy. Krwawienia lub narośle leczy się jak?

- Uderzeniem miedzianego młotka, najlepiej z grubych gwoździ z warsztatów cypryjskich. Mam opisać sposób przygotowania?

- Nie, mój drogi, wydaje mi się, że zapoznałeś się z Dioskuridesem. A jak się postępuje, aby sprowokować wymioty? Tego chciałbym się dowiedzieć od ciebie, Flawiuszu.

- Jako środek wymiotny podaje się ciemiernik, który...

- Dziękuję, wystarczy. A jeśli mamy do czynienia z pacjentem cierpiącym na przeciwne dolegliwości, co wtedy pomaiM, Se-kundusie?

- Przy zaparciach, a także przy gorączce, epilepsji czy żółtaczce, doskonale sprawdza się okład. Miesza się wodnisty kleik jęczmienny z olejem i sodą, przykładana pacjentowi na brzuch i...

Podczas gdy uczeń opisywał sposób zastosowania, medyk spacerował pomiędzy krzesłami, przysłuchiwał się uważnie, zadawał pytania lub kładł rękę na ramieniu kolejnego adepta, który musiał dokończyć rozpoczęte zdanie.

Od czasu do czasu pod koniec wykładu Doryphoros koncentrował się na swoim ulubionym temacie, zasadach zachowania zdrowia.

- Wiem doskonale, moi drodzy, że mówiąc o zapobieganiu chorobom, podobny jestem do nieroztropnego adwokata, który godzi spierające się strony, zanim jeszcze powstanie spór mogący przynieść wymierne korzyści. Ale nie sądźcie zbyt pochopnie.

Z wzniesionym ku górze palcem lekarz spojrział wokoło.

- Po pierwsze, reguły mogą się przydać wam samym, gdyż choć ry medyk jest nędną rekomendacją własnych umiejętności - Doryphoros ściągnął wargi, ukazując dwa rzędy niepokalanie białych zębów. - Najlepszą reklamą dla lekarza są jego uśmiech oraz świeży oddech. Co więc można zrobić, aby zachować zęby?

Flawiusz uniósł rękę.

- Czyścić je drewnianym lub dutką pióra.

- Dobrze. Co poza tym? - lekarz wskazał na Sekundusa drapiącego się po głowie.

- Catullus przekazuje relację o Hiszpanie imieniem Egnatius, który podobno wybielił zęby uryną.

- Brrr! - Doryphoros wzdrygnął się. - Zdradzę wam coś lepszego. Moją receptę, którą otrzymałem w Rzymie od Albinoumisa, mojego przyjaciela z Egiptu.

Medyk kolejny raz zademonstrował dumnie swoje zęby, wskazał na nie palcem i ściszył głos.

- Codziennie czyszczyć je pastą z jednej drachmy soli, dwóch drachm mięty, drachmy suszonych liści irysu oraz dwudziestu

ziaren pieprzu. Wszystkie składniki rozdrabnia się w moździerz i miesza ze sobą. Zapamiętajcie to sobie! Uczniowie potwierdzili skinieniem głowy.

- Na czym to stanęliśmy? - Doryphoros zmarszczył czoło w na myśle. - A tak, zdrowie. Co jest najwyższym celem, intratnym stanowiskiem? Bycie lekarzem przybocznym wysoko postawionego pana! Jeśli zachowacie go przy zdrowiu, będzie was hojnie wynagradzał i nie będziecie mieli zbyt wiele pracy!

Tryumfującym wzrokiem spojrzął na obecnych, czy rzeczywiście wszyscy pojęli tę mądrość, a następnie kontynuował swój wywód:

- Ostatnim razem mówiliśmy o napojach oraz oszukańczych dekottach przyrządzanych z soku winnych gron, tego daru Bachusa. O wędzonym winie z Massili, cenionym przez niejednego - przy tych słowach przesunął surowym wzrokiem po słuchaczach - które zupełnie słusznie Martialis nazywa „straszliwą trucizną”. Przedstawię wam na ten temat cytat z Columelli, któremu tylko mogę zawtórować.

Przy tych słowach wzięł do ręki zwój i po krótkim poszukiwaniu zaczął czytać:

- „Każdy gatunek wina dający się przechowywać bez dodatków uważam za najlepszy i wydaje mi się, że nie powinno się dodawać niczego, co zmieniałoby naturalny smak, gdyż najlepsze jest za wsze to, co pozostaje sobą w istocie”.

Doryphoros nie zauważył, że pochwalny pomruk jego uczniów jest tylko pozorny, gdyż w rzeczywistości młodzi ludzie lubili słodzone syropem wina.

- Uważajcie, zaraz będzie się rozwodził na swój ulubiony temat, o ołowianych rurach - wyszeptał Sekundus tak głośno, że medyk prawie usłyszał, gdyż odwrócił właśnie głowę w jego kierunku.

- Kolejną radę z mojej strony niektórzy z was pewnie już słyszeli, chodzi o przestrożę przed wodą z ołowianych naczyń. Rów-

niez i tutaj mogę się odwołać do autorytetu, gdybyście nie chcieli mi wierzyć. Witruwiusz pisze... - wyciągnął zwój i palcem wiodł wzdłuż linijek, aż znalazł szukane miejsce. - Mówi: „Woda z gli-nianych rur jest zdrowsza od doprowadzanej ołowianymi, gdyż ołów wydaje się szkodliwy dla zdrowia, ponieważ powstaje zeń biel ołowiowa, która szkodzi ludzkiemu ciału. Skoro więc to, co z niego powstaje, jest szkodliwe, to z pewnością samo nie jest też użyteczne dla zdrowia”. I nieco dalej zauważa: „Stąd nie powinno się doprowadzać wody rurami z ołowiu, jeśli chce się mieć korzyść dla zdrowia wodę”. No i macie!

- Skoro my, medycy, nie wtrącamy się do budowy mostów, to dla czego musimy wysłuchiwać porad zdrowotnych jakiegoś mistrza budowlanego - westchnął jeden z uczniów, podczas gdy Doryphoros zwinął dzieło Witruwiusza i ruszył ku drzwiom.

iv w ><

Jednym z tych, którzy bardziej cenili opinię medyka niż jego uczniowie, był Avitus. Przed pięcioma laty, po utracie Recji na rzecz cesarza w Rzymie, Postumus polecił mu udać się do Augusta Raurica. Avitus miał w imieniu uzurpatora sprawować pieczę nad tą widetą, które to zadanie spełniał również za panowania jego następców - Wiktoryna i Tetrykusa. Z Augusta Treverorum rozpadającym się królestwem rebeliantów rządzący słabi cesarze, gdyż odpadły oden Hiszpania oraz południowa Galia. Urzędnik zastanawiał się, czy nie roztropniej byłoby zmienić front i zapewnić o lojalności cesarza w Rzymie, zwłaszcza teraz, gdy na tronie nie zasiadał już mściwy Galien, ale powstrzymywała go myśl o tym, jaki los spotkał Augustodunum. Ufne w siłę swoich murów i pomoc z Rzymu galijskie miasto wszczęło rewoltę, lecz po siedmiu miesiącach zostało zdobyte przez wojska Tetrykusa. Avitus zaś tak wyreżyserował przedstawienie w teatrze,

aby umocnić swoją pozycję pośród mieszkańców. Przebąkiwano jednak, że dysponuje i innymi środkami, aby pokazać swoją władzę, a zarazem napełnić własną kiesę. Jak daleko był gotów się przy tym posunąć, o tym Flawiusz miał się dowiedzieć przez przypadek.

Od czasu operacji Avitus przyjmował codziennie jakieś lekarstwo. Flawiusz, dostarczający mu je najczęściej, dowiadywał się o jego skład, lecz jedyną odpowiedzią był pobłażliwy uśmiech.

- Powiadają, że medicina interna jest nauką o nieznanym i nieuleczalnych chorobach, więc lepiej tam nie zaglądać!

Odtąd prawie każdego dnia przemierzał krótką drogę do willi Avitusa. Jesienią, gdy wiatr pędził ulicami opadłe liście, zimą, gdy śnieg skrzypiał mu pod stopami, i wiosną, człapiąc przez błoto. Dziś intensywny deszcz przemienił uliczki w małe potoki, które należało pokonać, przeskakując z jednego kamienia na drugi. Niewolnik wpuścił go do środka, wskazując bez słowa w kierunku tylnej części domostwa. Gdy zbliżył się do prywatnych apartamentów, posłyszał głośną rozmowę, więc stąpając na palcach, podszedł jeszcze bliżej. Toczył się tam spór pomiędzy Avitusem, którego głos poznał natychmiast, i drugim męskim głosem: początkowo słuźalczyk i pokornym, a potem nieomal groźącym.

- Panie, kiedy otrzymamy naszą należność?

-Już tyle razy wam mówiłem: pogorszyliście jakość stopu i sami się obsłużyliście. Nic się wam nie należy!

- Proszę, panie, miejcie wzgląd na to, że czasy są ciężkie i że mam sześcioro dzieci...

- Przed miesiącem było ich tylko pięcioro. Czyżby twoja połówica znowu wydała na świat potomstwo?

- Ale chcieliście przecież...

- Żebyście zastąpili srebro cyną? Nigdy, Merkury mi świadkiem!

Przerwa. Drugi głos, teraz tonem wyrzutu:

- Srebra, które mieliśmy na monety, było zbyt mało. Wcześniej cesarze jeszcze tak nie oszukiwali, było w nich srebro. A wy, panie, chcieliście, żebyśmy podrobili takie monety. Ludzie mieli je chętnie przyjmować, gdyż wierzyli, że mają swoją wartość. Tak jednak nie mogło się stać, gdyż po prostu nam go nie daliście.

- Ale to nie powód, powtarzam ci to po raz ostatni, żeby przywłaszczyć sobie, to co było, łotrze!

Cisza, odgłos niespokojnego oddechu, potem trzy kroki. Krzyk Avitusa:

- Nie zbliżaj się! Zawołam niewolników i batami każę cię przepędzić z domu!

Głośny śmiech.

- Chcecie mi grozić? Rozpowiemy wtedy wszystko w mieście, że to wy zarządziliście dodanie cyny. Chętnie braliście pieniądze i płaciliście nimi. Sami jesteście oszustem!

Milczenie, a potem pojednawczy głos Avitusa:

- Nie powinniśmy się spierać. Rób swoją robotę i przyjdź jutro wieczorem, na pewno dojdziemy do porozumienia. Teraz już idź i każ sobie w kuchni podać wina.

Flawiuszowi serce biło młotem, gdy na czubkach palców wycofywał się spod drzwi. Ukryty za kotarą odczekał, aż umilkną kroki fałszerza, a potem głośno stąpając, ruszył wzdłuż korytarza.

-Wybaczcie, prefekcie, niestety, przychodzę nieco później. Medyk musiał jeszcze operować, zanim przystąpił do przygotowania lekarstwa.

Avitus przyjrzał się szklanej fiolece i jednym haustem wypił miksturę.

- Aaach - machnął ręką. - Możesz odejść.

Flawiusz wziął naczynko i opuścił willę. Pomyślał: teraz tylko zachować spokój, nie biec, niczego po sobie nie pokazać. Oby tylko rozmówca Avitusa nie opuścił jeszcze kuchni.

Zerknął za róg, tak, stał jeszcze przy tylnym wejściu, rozmawiając z jednym z niewolników, właśnie miał zamiar ruszyć w drogę. Choć zapadła już noc, Flawiusz trzymał się na dystans, lecz szedł za mężczyzną jak lis za swoją ofiarą. Przeszli kwartał domów, skręt, minęli teatr, w prawo - znaleźli się na północnym skraju miasta, które od ostatniego trzęsienia ziemi po części zostało opuszczone. Podejrzane elementy zagnieździły się w ruinach, do tego kilka warsztatów rzemieślniczych. Mężczyzna podszedł do drzwi zrujnowanego domu, odsunął rygiel i rozejrzał się wokoło. Flawiusz stopił się z cieniem rzucanym przez podcień sąsiedniego domostwa, niewidoczny dzięki ciemnobrązowej tunice. Chwila napięcia, a potem mężczyzna otworzył drzwi i zniknął we wnętrzu.

Flawiusz potrzebował dłuższej chwili, aby uspokoić oddech. Kilka szybkich kroków w kierunku wejścia. Nadstawił ucha, wewnątrz panowała cisza. Nacisnął na drzwi, ustąpiły, odsłaniając ciemną sień. Przez moment mrugał powiekami, aż wreszcie rozpoznał zarys następnych drzwi. Za nimi ciągnął się korytarz, na końcu zaś było większe pomieszczenie, rozjaśnione migoczącymi płomieniami i przepełnione gwarem głosów. Przyciśnięty do ściany, zajrzał do wnętrza. Znajdowało się w nim pięciu mężczyzn, jeden z nich to gość Avitusa. Pod stojącym tygłem płonął ogień, obok leżał porzucony mieszek. W niszach ściennych płonęły lampy oliwne, na niskim drewnianym stole połyskiwały bryłki metalu i coś, co wyglądało jak gliniane walki. Więcej nie dało się zobaczyć, ale słychać było rozmowę.

- Wydaje ci się, że możemy zaufać temu łotrowi?

- Szkoda, że nie mogłeś zobaczyć, jaki zrobił się uprzejmy, jak mu pogroziłem. Nawet zaproponował mi wino.

- Pewnie się wystraszył, dusigrosz jeden. A co będzie, jeśli nie dotrzyma słowa?

- Rozpowiemy o wszystkim w całym mieście!

- To nie przysporzy nam ani denara.

Milczenie, słychać było jedynie trzask ognia. Jeden z mężczyzn chwycił za mieszek, nacisnął nań, strumień powietrza podsycał płomień.

- Racja. Odlejemy tyle monet, ile mamy metalu i form. Zatrzymamy je i oddamy mu, kiedy nam zapłaci.

- Zgoda. Bierzmy się do roboty!

Falszerze zabrali się do dzieła. Jeden wrzucił bryłki metalu do tygla, drugi dokładał do paleniska węgla drzewnego, trzeci zaczął poruszać mieszkiem, rozpalając żar do białości. Gdy wreszcie metal stał się płynny, dwaj pozostali pochwycili tygiel w drewniane imadło, nachylając się nad rozłożonymi na stole walkami, i cienki strumień stopu zaczął wylewać się do form. Kolejny łądunek surowca, kilka garści węgla drzewnego, tryskające w górę iskry. Przywódca grupy rozłożył gliniane formy, szczypcami wyjął z nich odlane monety, przyjrzał się im, unosząc je do światła, po czym z brzękiem wylądowały na ciemnej szali.

Flawiusz zobaczył wystarczająco dużo i wyciągając przed siebie ręce, ruszył do wyjścia, gdy nagle zmroziło mu krew w żyłach. Usłyszał poszeptywania, skradające się kroki, w ostatniej chwili udało mu się wcisnąć w ciemną niszę. Stąpając na palcach, nadciągnęło pięciu zbrojnych, a za nimi znajoma postać: Avitus! Dotarli do kryjówki. Okrzyk, łomot. Falszerze bronili się niczym okrażone wilki, ale nie byli w stanie dorównać zaprawionym w walce żołnierzom. Postękiwania, dwóch mężczyzn rzuciło stół w kierunku napastników, przygniatając jednego z nich do ściany. Ale już dopadli

ich pozostali, tnąc bezlitośnie mieczami. Wreszcie wśród szczęku broni rozległ się głos Avitusa.

- Stać, wystarczy. Przynieście worki i zapakujcie w nie zwłoki. I wszystko inne, również formy. W kącie jest jeszcze cała sterta.

Jeden z legionistów z silnym barbarzyńskim akcentem zapytał:

- Co z tym zrobić?

- Na końcu ulicy są ruiny łaźni, a przy niej studnia. Wrzucicie tam wszystko.

Na chwilę zapadła cisza, słychać było jedynie stukot i szurania.

- Tak nie można. Musieć złożyć ofiarę naszym bogom.

- Co musicie? Czy Jowisz zupełnie pozbawił was rozumu?

- Nie Jupiter, Wotan. Musieć złożyć ofiarę, bo prześladować nas duchy zmarłych. Straszliwe duchy, panie.

- Tak, i czego się domagają, żeby was wypuścić ze swoich szpon?

- Ofiary ze zwierząt, najlepiej koń lub inne zwierzę.

- I co jeszcze, może chcielibyście jeszcze słonia?

- Nasz bóg nie znać słonia. Krowa, owca dobra.

Znowu milczenie, wreszcie burkliwy głos Avitusa:

- Niech będzie. Znam rzeźnika, który dzisiaj ubił konia. Pójdę do niego i załatwię dla was to, co się da. A na zewnątrz włóczy się jakiś beżpański pies. Zwabcie go i też ukatrupcie. Potem zasypcie studnię gruzem z łaźni. Dogadaliśmy się?

- Tak, panie.

Flawiusz czuł, jak strach ścisną mu gardło, i przeklinał swoją ciekawość. To mordercy, którzy nie cofną się przed kolejnym zabójstwem. Musi uciekać, zanim zaczną przeszukiwać sąsiednie izby! Ostrożnie wykradł się do sieni, nikt nie spoglądał w jego kierunku. Kilka kroków i już był przy drzwiach. Otwierał je powoli i już był prawie na zewnątrz, gdy nagle poczuł uchwyt czyjejś ręki. Fiolka na lekarstwa roztrzaskała się na bruku.

Wiele lat później, gdy wracało wspomnienie tej chwili, Flawiusz dziwił się bardzo, jak szybko pracuje umysł w obliczu niebezpieczeństwa. Najpierw przeklął własną głupotę - oczywiście że należało się spodziewać strażnika przy drzwiach, ale nie mógł on robić zbytniego hałasu ani zawołać swoich współpracowników. Szarpnął więc za trzymające go ramię, aż korpus przeciwnika pochylił się do przodu, a potem kolaniem uderzył go w szyję. Stęknienie, uchwyt zelżał, był wolny. Spędzony pośród Alemanów rok zahartował go, zaczerpnął więc powietrza i ruszył biegiem. Napięcie ustało, zaraz będzie po wszystkim. Ale gdy skręcił za róg, poczuł, że nie docenił strażnika. Kątem oka dojrzał cień podążający jego śladem. Biegł pograżonymi w nocnych ciemnościach ulicami w kierunku forum w nadziei, że tam nie będzie tropiony. Ale znów się przeliczył. Szeroki plac świecił pustkami, a w uszach zabrzmiało mu posapywanie prześladowcy. Szybkie spojrzenie przed siebie: po prawej rysowały się kontury świątyni Romy i Augusta, po lewej w świetle księżycy wznosiły się kolumnady bazyliki.

Zobaczył otwarte drzwi - nie zastanawiając się długo, Flawiusz ruszył ku nim, wbiegł do wnętrza i zamknął ciężkie skrzydła za sobą. Jego prześladowca uderzył barkiem drzwi, z głuchą zacieklnością zaczęli mierzyć swoje siły, aż wreszcie przeciwnik zaczął brać górę. Cał po calu brama zaczęła się uchylać, więc Flawiusz odskoczył i zniknął w ciemnościach, zaś jego przeciwnik wtoczył się do nawy. Młody człowiek tylko jeden raz miał okazję być w tym budynku i niejasno przypominał sobie układ wnętrza: otaczający je szereg kolumn - poza tym nic, co mogłoby dać schronienie. Ale czy na pewno - pośrodku ściany, naprzeciwko wejścia mieściło się boczne pomieszczenie z półkolistą curią, gdzie na spadzisto idących z góry rzędach miejsc zasiadali uczestniczący w posiedze-

niach radcy miejscy. Powoli ściągnął buty i przekradł się ku tylnej ścianie. Po omacku prześliznął się pomiędzy kolumnami, znalazł wejście i stawiając ostrożnie krok za krokiem, ruszył w górę audytorium. Tam usiadł na zimnych płytach posadzki, nałożył trzewiki i próbował uspokoić oddech, chociaż serce biło mu gwałtownie i wydawało mu się, że jego łomot słychać w całej bazyllice.

Dzwoniąca w uszach cisza. Nadstawił ucha - szuranie stóp, znowu cisza. Klik, teraz w nawie coś spadło, stłumione przekleństwo i znowu żadnego odgłosu. Już miał nadzieję, że przeciwnik zrezygnował, gdy poczuł obecność drugiego człowieka. Nie umiał powiedzieć, co to było - szelest, wyziew ciała, ruch powietrza, poruszenie w ciemnościach, ale coś było. Powoli wstał, przeniósł ciężar ciała na jedną stopę i wsparł się o ścianę napięty niczym cięciwa łuku. Teraz coś się zbliżyło. Wydało mu się, że widzi skradający się po stopniach kontur. Z pewnością przyzwyczajone do ciemności oczy drugiego również wypatrywały za nim. Unikając gwałtownych ruchów, podniósł prawą nogę - sapanie, szybkie stąpanie po schodach. Flawiusz z całej siły wymierzył nogą cios, trafiając coś miękkiego - brzuch, twarz, szyję, nic nie dało się dostrzec. Trzask, okrzyk, ciemna masa odsuwa się od niego, upada, coś dźwięczy, słychać jęk. Flawiusz odskoczył w bok, zbiegł po stopniach, ruszył przez nawę do drzwi i już był na zewnątrz. Spieszył się, choć nikt go nie ścigał. Wreszcie załomotał do domostwa Doryphorosa. W drzwiach ukazała się zdumiona księżycowata twarz Olusa. Nie tracąc czasu na wyjaśnienia, Flawiusz odtrącił go i zasunął za sobą rygiel.

Początkowo nie chciał się zwierzać medykwowi, lecz Olus przekonał go.

- Mistrz jest mądry i będzie wiedział, co począć - w głosie Olusa, gdy się zdenerwował, słyszało się galijskie seplenienie, z którego często naśmiewali się Rzymianie.

Doryphoros siedział na łożu, trzymając w lewej ręce alabastrowy flakonik, z którego na prawą dłoń skapywała oleista esencja. Ciężki aromat róż i lawendy przepełniał całą sypialnię.

- Zachorował jakiś bogacz, napadli na nas barbarzyńcy czy też wybuchła zaraza, że tak późną porą wpadacie jak burza?

- Mistrzu, Flawiusz o mało co... nie postradał życia!

Medyk kazał sobie opowiedzieć o wszystkim, a w tym czasie starannie nakładał sobie olejek na twarz i wcierał go lekkimi ruchami palców. Zadał też kilka pytań, po czym pogrzył się w myślach, jak gdyby nie dostrzegając zniecierpliwienia przestępujących z nogi na nogę Olusa i Flawiusza.

- Jeśli nikt nie zobaczył cię w świetle, Flawiuszu, to nie ma się czego obawiać... Zbrojny nie zna cię i pewnie wziął cię za jednego z fałszerzy. Ale wspomniałeś, że rozbiłeś fiolkę na lekarstwa?

Flawiusz przytaknął.

- Wtedy wszystko zależy od tego, czy twój prześladowca przy pomni sobie o tym i powiadomi Avitusa. A on potrafi dodać dwa do dwóch i każe cię zabić.

- Nie możemy powiadomić rady miejskiej?

Doryphoros spojrział na niego z politowaniem.

- Jak myślisz, komu uwierzą: wpływowemu Avitusowi czy tobie, nikomu nieznanemu zbiegowi? Na koniec zostaniesz jeszcze oskarżony o współudział, bo czego szukałeś w tym miejscu? Nie, musimy zachować ostrożność.

Medyk zamilkł, jedynie jego czujne oczy zdradzały, że nad czymś się zastanawia.

- Jutro pójdę razem z tobą do Avitusa, żeby odwrócić jego uwagę. Potem Sekundus będzie zanosił mu lekarstwo, a ty w miarę możliwości nie opuszczaj domu. Jeśli będziesz dokądsz szedł, to Olus niepostrzeżenie będzie ci towarzyszył, żeby sprawdzić, czy nikt cię nie śledzi.

Flawiuszowi wydały się te zalecenia nieco przesadzone, ale wkrótce przekonał się o ich zasadności. Avitus spoglądał na niego niczym wąż, z niezwykłą rubasnością dowiadywał się o jego zwyczaje, dokąd udaje się po pracy, jak podobają mu się termy, a nawet czy ma może jaką „urodziwą przyjaciółkę”. A kiedy pewnego dnia Olus wspomniał o żebraku, który natychmiast ruszył za Flawiuszem, gdy ten wyszedł z domu, Doryphoros wezwał obu do siebie.

- Tak dłużej być nie może, Flawiuszu, bo któregoś dnia cię dopadną. Avitus to wpływowy człowiek i mój najlepszy pacjent. Nie jestem w stanie ochronić cię przed nim.

Flawiusz chciał coś powiedzieć, ale medyk nakazał mu gestem milczenie.

- Przykro mi, lecz musisz zniknąć z terenu jego wpływów. Idź do Rzymu, teraz purpurę przywdział tam niejaki Aurelian.

Doryphoros podszedł do stołu i przerzucił leżące na nim zwoje.

-Wiem, że to zły czas na podróże, bo podobno Germanie wdarli się do Górnej Italii, ale miałbym pewne zlecenie...

- A co ja mam zrobić? - zapytał Olus.

Obaj zwrócili się ku niemu.

- Ten podejrzany żebrak o mało mnie dzisiaj nie dorwał. Odwrócił się i ruszył w moją stronę, więc schroniłem się w jatkę Ni-niusa. Ja czekałem wewnątrz, a on na zewnątrz. Na szczęście udało mi się wyjść z jednym z klientów!

- A więc tak długo byłeś u rzeźnika?

- Mistrzu, chodziło o moje życie! Nie mam zamiaru czekać tutaj, aż mnie dopadną. Ruszam z Flawiuszem do Rzymu!

Zdobywszy się raz na odwagę, Gal ogłuchł na jakiegokolwiek argumenty. Wreszcie Doryphoros dał za wygraną.

- Olus jest wolnym człowiekiem. Chcesz go zabrać ze sobą? Flawiusz przytaknął, więc lekarz sięgnął po kartę papirusu.

- Dobrze więc. Już od dawna szukam kogoś, komu mógłbym powierzyć moje zamówienie. Mój przyjaciel Abinoumis, egipski kupiec handlujący w Rzymie, ma najlepsze opium. Moglibyście też zabrać kilka listów. Zapłacę za podróż, jeśli załatwicie to dla mnie!

Medyk przyglądał się tej dziwnej parze: liczący osiemnaście lat urodziwy Flawiusz o smukłej, muskularnej figurze, ciemnych włosach i błękitnych oczach - za którym coraz bardziej oglądały się kobiety, a obok niego o osiem lat starszy Olus, przysadzisty, o jasnej cerze, rzadkiej brodzie i rudawych lokach, łatwo ulegający ekscytacji, lecz niezwykle sprytny i zaradny, a także dochowujący niezłomnie wierności temu, komu zaufał. Obaj skinęli do siebie na znak porozumienia, zaś Doryphoros wstał, kładąc każdemu rękę na ramieniu.

- Wobec tego ruszajcie razem i niech Merkury ma was w swojej opiece. Dostaniecie ode mnie dwa muły, trochę pieniędzy na drogę - wystarczy, jeśli będziecie oszczędni, a do tego listę z moim zamówieniem oraz osiem sztuk złota dla handlarza. On wie, co ma zrobić, żeby przesłać mi towar.

Medyk zamyślił się na chwilę, a potem dodał:

- Avitusowi dam do zrozumienia, że za dwa dni Flawiusz musi się udać do Basillii w pewnej pilnej sprawie. Wy możecie ruszyć w przeciwnym kierunku, a ja poskarżę się później na okazaną mi niewdzięczność!

Dwa dni później kilku zbrojnych już od rana czatowało w zaroślach. Wyszukali odosobnione miejsce powyżej drogi do Basillii, przyglądając się każdemu z podróżnych. Ale słońce minęło zenit i zeszło na zachód, a tymczasem mrówki wciskały im się pod skórzane pancerze, języki przyschły do gardeł, a członki zdrętwiały od siedzenia na skwarze. Gdy ukazał się księżyc, złorzeczając, ruszyli z powrotem. Natomiast Flawiusz i Olus spali już o tym czasie w gospodzie pod Yindonissą, która była pierwszym postojem w drodze do Rzymu.

Przez pięć wieków miasto połykało swoje otoczenie, niepowstrzymanie wchłaniając wioski, miasta, prowincje, całe krainy. Teraz stało się głową kręgu ziemi rozciągającego się od Szkocji do Egiptu, od Armenii do Mauretanii. Ogromną, postarzałą głową, której niezliczonymi żyłami dostarczano pokarm. Szlaki dróg ciągnęły się przez równiny i pagórki, przecinały doliny i rzeki po szeroko rozpiętych mostach, obok których wznosiły się niekończące się szeregi wiodących po łukach akweduktów. Ludzi, drewno, cegły, brąz, ołów, mięso, owoce, wino, pszenicę, wodę - moloch zasytał wszystko. Aby przeżyć, potrzebował nieprzeliczonych ilości, wypływając za to odpady, brudną wodę i dym wiszący nad miastem niczym ciemna kurtyna.

Flawiusz i Olus jechali na mułach. Podróż przez wstrząsaną walkami Górną Italię mocno dała im się we znaki. Trwożliwe wieści, jakoby barbarzyńcy pokonali Aureliana pod Placentią, zastały ich w Weronie. Musieli więc zostać i pomagać przy budowie murów miejskich.

Dopiero na wiadomość o zwycięstwie cesarza nad Germanami odważyli się ruszyć dalej. Teraz zaś wraz z rzeką ludzi przeciskających się, pchających, biegnących, jadących wierzchem łub w powozach zbliżali się do stolicy. W żółwym tempie, gdyż niezliczone wozy wyładowane cegłą, wapnem i drewnem ciągnęły Via Aurelia również w tym kierunku.

Im byli bliżej, tym gęstsza stawała się zabudowa. Na pagórkach górowały wille, prawdziwe pałace z wysokimi łukami sklepień i w otoczeniu niezliczonych kolumn, z ogrodami pełnymi starannie przyciętych ozdobnych roślin. Wzdłuż dróg w dolinach skupiły się natomiast tawerny i chaty rzemieślników utrzymujących się z usług dla podróżnych.

Wreszcie ukazały się wzgórza Rzymu zwieńczone świątyniami zdającymi się unosić w chmurach - mieszance mgły i dymu wiszącej stale nad miastem i barwiącej twarze mieszkańców niezdrowym kolorytem, z którego byli znani. Flawiusz zatrzymał się, aby kontemplować przez chwilę widok, ale od razu z tyłu rozległ się wrzask woźnicy kierującego wozem wyładowanym po brzegi cegłą, ciągniętym przez cztery woły:

- Ruszaj się, odpoczywać możesz w gospodzie!

Flawiusz już miał ostro odpowiedzieć, ale ugryzł się w język. Popędziwszy muła trzymaną w ręku witką, odwrócił się, wołając:

- Po co tyle tych cegieł, czyżby cesarz potrzebował nowego pałacu?

- Rzym ma dość pałaców, prowincjuszu. Aurelian buduje wokół miasta nowe mury!

Młody człowiek umilkł zaskoczony. Nawet stolica nie czuła się bezpieczna, skoro niczym pierwsze lepsze miasto na prowincji musiała skrywać się za osłoną umocnień.

Już wkrótce stało się widoczne, z jakim pośpiechem wznosi się ogromną budowlę. Fundamenty przecinały swobodnie ogrody lub małe domostwa, wykorzystując ściany gotowych budynków. W jednym miejscu obaj dostrzegli, jak w ściennej niszy znikają zalepiane gliną posągi, zanim wszystko pochłonał mur. Nieco dalej robotnicy wyłamywali płyty grobowe i ładowali je na wozy. Flawiusz był oburzony.

- Co znaczy to bezprawie, co stanie się z tymi kamieniami?

- Będą przykrywami ustępowymi w wieżach fortecznych, chłopcze. Rozkaz cesarza!

W milczeniu ruszyli dalej, zaś Olus podjechał bliżej Flawiusza, aby go nieco rozweselić.

- Być może ten Aurelian jest tylko ostrożny albo myśli tak jak Filip.

- Jak cesarz podczas uroczystości tysiąclecia Rzymu?

- Nie, nie ten - Olus wznosił ręce. - Filip, wytwórca trumien w Augusta Raurica! Na ścianie swojego warsztatu umieścił napis: „Kupujcie na czas trumny! Lepiej mieć i nie potrzebować, niż potrzebować i nie mieć!”.

Flawiusz musiał się rozeźmiać i klepnął w ramię Olusa, który spojrzał na niego z zadowoleniem. Przejechali jeszcze kawałek, aż wreszcie mogli sprzedać muły na targu zwierząt.

Potem, obładowani pakunkami, poprosili o wskazanie miejsca, gdzie droga prowadziła do miasta przez przyszłą bramę.

ii ->c ii

Nad głowami ludzkiej masy wznosiło się ogromne koło. Gdy podeszli bliżej, poruszyło się, skrzypiąc, i wtedy zobaczyli biegnących w jego wnętrzu niewolników, którzy je napędzali. Przed kołem ku niebu wznosiły się dwie belki stykające się ze sobą i zakończone blokiem. Zwisła zeń gruba na ramię lina, a na niej duże żelazne kleszcze trzymające kamienny blok. Obrót koła zawinął linę wokół jego osi, blok poszybował powoli do góry, a belki zatrzeszczały, więc Olus odciągnął towarzysza na stronę, odczekując, dopóki dźwig nie złoży swojego ciężaru na kikucie wznoszonej wieży.

Gdy chcieli właśnie precyzyjnie się obok placu budowy, posłyszeli podniesione głosy. Dwóch mężczyzn stanęło naprzeciw siebie: niski, tęgi z brodą i tyczkowaty z łysiną. Obaj wykrzykiwali do siebie, wreszcie grubas popchnął chudzielca, aż tamten zatoczył się na stertę piasku. Natychmiast z obu stron zbiegli się robotnicy i zbiwszy się w dwie grupy, zaczęli się nawzajem obrzucać wyzwiskami.

- Co tu się dzieje? - zapytał Flawiusz wędrownego sprzedawcę owoców stojącego obok ze skrzynką pełną dojrzałych jabłek.

- Spór pomiędzy rzeźnikami i stolarzami.

- Z jakiego powodu, na Jowisza?!

Handlarz wskazał na ziejącą w fortyfikacji lukę.

- Tu spotykają się odcinki obu cechów. Mury mają być gotowe jak najszybciej, ale w Rzymie nie ma tylu murarzy. Dlatego Aurelian zobowiązał wszystkie collegia. Każde musi zbudować wyznaczone odcinek, oczywiście pod nadzorem mistrza budowlanego. Tu pewnie toczy się spór, kto odpowiada za ostatni kawałek.

Podczas gdy Flawiusz przeżuwał jeszcze w myślach tę nowinę, zjawił się mężczyzna w nieskalanie białej tunice, podniesionym głosem udzielił reprimendy zwaśnionym kogutom i okutą srebrem laską wskazał na niedokończoną budowę, na co robotnicy ze spuszczoneymi głowami ruszyli ku cebrom z zaprawą.

- Dokąd właściwie zmierzamy? - zapytał zdezorientowany Olus, gdy popychani przez ludzką cizbę ruszyli wreszcie dalej.

Flawiusz wydobyl z worka kawałek glinianej skorupy z wrytym przez Doryphorosa adresem handlarza Aureliusza Abinoumisa, u którego mieli zrobić dla niego zakupy.

- To gdzieś po południowej stronie Awentynu. Może ktoś będzie wiedział, jak się tam dostać.

Zniknął na chwilę w tłumie, a po chwili wrócił w towarzystwie obdartego, energicznie gestykującego chłopca.

- Twierdzi, że nigdy sami tam nie trafimy, bo nie ma tablic z nazwami ulic. Zaprowadzi nas, jeśli dostanie sestera. To gdzieś pomiędzy XII i I dzielnicą.

- A to dopiero wyzyskiwacz! Gdzie teraz jesteśmy?

- W XIV - na Zatybrzu. Musimy dostać się na drugą stronę rzeki!

Zaraz też przeżyli najbardziej skomplikowaną, najciekawszą i najwspanialszą wędrowkę swojego życia. Najpierw musieli przemierzyć cuchnący kwartał zamieszkiwany przez garbarzy,

warzelników kleju, sukienników oraz innych drobnych rzemieślników. Przed Tybrem ich przewodnik zatrzymał się przed jedną z garbarni, wskazując na otwartą beczkę, z której wydobywał się ostry odór.

- Ostatnia okazja, żeby bezpłatnie ulżyć pęcherzowi. Garbarze potrzebują moczu, a skorzystanie z toalet kosztuje najczęściej asa.

- Zaoszczędzimy nieco! - zawołał Olus i już jego strumyk za-pluskał w naczyniu.

Gdy przeszli przez most Sublicjusza, znaleźli się w świecie cudów, na których widok ze zdumienia opadły im szczęki. Gdyby nie ciągłe napominania przewodnika, najpewniej porozbijaliby sobie głowy o narożniki, przewrócili ulicznego balwierza lub padli ofiarą grasujących rzezimieszków. Dreptali cierpliwie wzdłuż ciągnących się bez końca podcieni Circus Maximus i wyciągali szyje, żeby choć okiem rzucić na smukłe kolumny pałacu cesarskiego na Pa-latynie. Za owalem Circus chłopiec skręcił w prawo, w dużą prostą ulicę. Flawiusz spojrział jeszcze wstecz. Przez wejście, wspaniale ozdobione niczym łuk tryumfalny, mógł dostrzec Spina, środkową część toru wyścigowego zastawioną obeliskami, posągami oraz trofeami wojennymi.

- Ilu widzów mieści Circus? - zagadnął przeciskającego się do przodu przewodnika.

- Nikt nie wie dokładnie, ale 250 tysięcy na pewno.

Oszołomiony Flawiusz przeliczył w myślach: więcej niż dziesięciokrotna liczba ludności Augusta Raurica! Przez dłuższą chwilę kroczyli wzdłuż ulicy, aż wreszcie po prawej stronie pojawiła się fasada składająca się z dwóch ustawionych jedna na drugiej galerii niezliczonej ilości łuków.

- Znowu jakiś cyrk?

- Nie, to tylko zewnętrzne portyki term Antonina. Zaraz będziemy na miejscu, to tu, za rogiem.

Wreszcie stanęli przed okutym brązem portalem trzypiętrowej kamienicy. Flawiusz wynagrodził chłopca, po czym zastukał w bramę kołatką, aż z wnętrza gromko odpowiedziało echo.

Następne dni obaj prowincjusze przeżyli jak we śnie. Aureliusz Abinoumis patrzył na nich początkowo krzywym okiem, lecz gdy Flawiusz przekazał mu zapieczętowany list Doryphorosa i zadzwonił ośmioma sztukami złota, handlarz zmienił się nie do poznania.

- Opium z nawożonych szlamem pól nad Nilem? Lepszego towaru jak u mnie nie znajdziecie nigdzie!

Korpulentny Egipcjanin o tłustych, ciemnych włosach zatarł z zadowoleniem dłoń. Wskazawszy gościom izbę i zatroszczywszy się, aby przyniesiono im z kuchni nieco zimnej pieczeni, poprosił ich na balkon na trzecim piętrze.

- Rzym leży u waszych stóp! Jakie macie plany?

- Poszukuję przyjaciela, Ulixesa Gabinusa Aquila. Przed trzema laty przygotowywał sprawozdanie dla cesarza Galiena i zamierzał udać się do Rzymu.

Aureliusz Abinoumis pokręcił głową i lekko cmoknął.

- Niech mnie Ozyrys ma w swojej opiece, to pachnie polityką! To publiczna tajemnica, że również Aurelian maczał w tym palce, gdy cesarza Galiena wraz z żoną wyprawiono do krainy cieni. Jego zwolenników nie wytracono, ale... Pewnie rozumiesz, co mam na myśli.

Flawiusz pojął tylko, że powinien zachować ostrożność.

Najpierw wraz z Olusem zwiedzili miasto. Z podziwem przyglądali się wysmukłym łukom akweduktu Klaudiusza zaopatrującym w wodę pałace cesarskie na Palatynie. W niemym zdumieniu stanęli przed kolistą bryłą amfiteatru Flawiusza, po czym powędrowali ku Forum, czytając niezliczone grafitti oraz przyglądając się malunkom pokrywającym każdy wolny kawałek muru. Były to

prywatne przesłania oraz deklaracje miłosne pod adresem nieznanym osób, a przede wszystkim zapowiedzi następnym spektakli wypisane wielkimi literami w najlepiej widocznych miejscach, po to tylko, żeby w kilka dni później zamalować je następną kolumną malarską. Im jednak więcej widzieli, tym bardziej obojętnieli: łuki tryumfalne, posągi, kolumny, teatry, akwedukty, termy, targi i wcięż świątynie, świątynie i świątynie - w którymś momencie wszystko zaczynało wyglądać tak samo i jedyne, co się liczyło, to bolące stopy. Z zazdrością przyglądali się lektykom bogaczy noszonym przez spoconych tragarzy przepychających się przez masy cisnących się, nawoływających, spieszących i niosących pakunki ludzi.

- Mówiłeś, że ilu ludzi zamieszkuje w mieście?

- Nie wiem dokładnie, ale podobno około miliona.

Olus zamilkł. Ta niesłychana liczba przekraczała granice jego wyobraźni.

- Tylko gdzie oni wszyscy mieszkają? Przecież tu naokoło widać tylko same świątynie.

- W wysokich do ośmiu pięter kamienicach czynszowych. Nasz przewodnik opowiedział mi po drodze, że są ich tu całe tysiące.

Znowu padły liczby przyprawiające Olusa o zawrót głowy. Ludzie mieszkający w niezliczonych wieżach - szaleńcy! W tym przekonaniu utwierdzili się jeszcze, gdy wdrapali się po wąskich drewnianych schodach, aby odwiedzić pewną ubogą rodzinę zamieszkującą na szóstym piętrze w dwóch izbach pod samym dachem - jak opowiadali, latem dusząc się z gorąca, zimą marznąc, dręczeni hałasem współmieszkańców oraz gwarem dobiegającym z ulicy. Żeby przynieść wody, trzeba było pokonać sześć pięter w dół i znowu z powrotem. Podobnie dla wypróżnienia naczyń nocnych do beczek przed domem - jeśli od razu nie ulegli pokusie, żeby wylać ich zawartość prosto z okna na ulicę... Ponadto zatroskane spojrzenia na rysy pęknięć w murach lub swąd spaleni-

zny, możliwy zwiastun ognia - całkowicie uzasadnione, biorąc pod uwagę częste zawalenia się budynków czy wybuchające tu i tam pożary, w których mieszkańcy górnych kondygnacji nie mieli najmniejszych szans na ratunek.

Rzym był nieogarnionym luksusem, nagromadzonym przez stulecia przepychem przemieszanym z nędzą setek tysięcy żebraków walczących codziennie o przeżycie. Wczesnym rankiem ustawiały się całe kolejki zaspanych klientów chcących złożyć uszanowanie zamożnemu patronowi i otrzymać w zamian kilka miedziaków. Za to ich dobrodziej oczekiwał, aby towarzyszyli mu podczas publicznych wystąpień, głosowali na niego i nie szczędzili owacji. Inni potrzebujący, trzymając w ręku tessery, stawali przed państwowymi punktami wydawania zboża lub tłoczyli się przed piekarniami, aby od razu odebrać zapomogę pod postacią chleba.

Rzym - kamienny labirynt z pół tysiącem studni, z których dzień i noc tryskała bezpłatnie kryształowo czysta woda. Sprowadzana z dała przez tuziny mil barwiła zielenią ogrody bogaczy i omywała półkoliste latryny na narożach ulic, gdzie na marmurowych siedzeniach spotykano się na towarzyskich ploteczkach. Docierała także do term, w których każdy mógł zażyć gorącej kąpieli w marmurowym basenie w otoczeniu mozaik i posągów. Wreszcie wodny strumień znikał w przepastnych czeluściach podziemnych sklepień kanałów kloacalnych odprowadzających go jako cuchnące ścieki w kierunku Tybru. Rzym - miasto przedstawień w cyrku i w teatrze oferujących swoje spektakle prawie co drugi dzień. Egzekucje, wyścigi rydwanów, walki gladiatorów lub pantomima - nigdy nie brakowało rozrywki, okrutnej lub komicznej.

Rzym to także porzucane nocą na stopniach świątyń, placach lub przy kolumnie na targu warzywnym pokryte jeszcze krwią noworodki, najczęściej płci żeńskiej, których płacz stopniowo zamie-

rał, jeśli nie zainteresował się nimi jakiś litościwy przechodzień lub handlarz niewolników.

A poza tym hałas! Odkąd cesarz zabronił w ciągu dnia wjeżdzać wozom do miasta, mogły się one poruszać tylko nocą. Lecz gdy tylko zamilkł turkot kół ostatniego z nich, już handlarze zaczęli na cały głos zachwalać swoje towary, a kowale obrabiać rozgrzane do czerwoności żelazo. Do tego rozbrzmiewały okrzyki z prywatnie prowadzonych szkół mieszczących się w portykach forów lub innych publicznych budowlach.

* * *

Trzeciego dnia pobytu Flawiusz i Olus wyruszyli w drogę już o wschodzie słońca, aby jeszcze przed upałem i największym tłokiem osiągnąć północną część miasta. Po prawej zostawili górę łuków teatru Flawiusza, a po lewej kolumnadę frontonu świątyni Wenus. Przed nimi piętrzyły się zabudowania Subury. Nagle z porannej ocieężałości wyrwał ich czyjś krzyk. Olus pobiegł w stronę jednego z portyków. Wzburzony wskazał ręką, wołając:

- Tam, przy... świątyni, zobacz!

Flawiusz natychmiast znalazł się przy nim. W cieniu kolumn na niskich taboretach siedział tuzin dzieciaków, trzymając na kolanach tabliczki i rylce. Z szeroko rozwartymi ze strachu oczyma patrzyły na jednego z chłopców zwisającego z pleców innego ze współuczniów, podczas gdy kolejny przytrzymywał jego stopy. Białe pośladki nieszczęśnika przecinały czerwone pasma pręg. Stojący obok nauczyciel trzymaną w rękę różgą energicznie wymierzał karę. Ciało skręcało się w bezsilnym bólu. Ostatnie uderzenie, okrzyk, pedagog opuścił różgę. Skinięcie ręką, winowajca doprowadził do porządku przyodziewek i kuśtykając, dotarł na swoje miejsce.

- O czym to ja mówiłem? Powtarzajcie za mną... - posłyszeli monotonny głos kontynuujący przerwana lekcję.

Flawiusz i Olus z zakłopotaniem wmieszali się w cisnący się na ulicy tłum niewolników, lichwiarzy, golibrodów, piekarzy, nędzarzy, matron i dzieci.

- Jak to dobrze, że nigdy nie uczęszczałem do szkoły - westchnął Olus.

- A ja dzięki składam wszelkim bogom za naukę u mojego gubernera - mruknął Flawiusz, przypominając sobie czas spędzony pod dachem siwowłosego.

Droga przez Suburę stanowiła prawdziwy egzamin nawet dla miłośników Rzymu. Uliczki, najczęściej nie szersze niż na dziesięć stóp, zastawiały jeszcze dodatkowo kramy rzeźników, piekarzy lub nawet garkuchnie. U góry powiewało wywieszzone na balkonach pranie, zaś same balkony wystawały tak daleko, że w dole nawet w ciągu dnia panowały ciemności. Cała okolica cuchnęła - uryną, potem, gnijącymi owocami, starym łojem i kwaśnym winem, w zależności od tego, przez jaki rynsztok właśnie się przechodziło lub skąd zawiął wiatr. Raz za razem wyciągali ku nim swoje miseczki żebracy, szynkarze zapraszali do podejrzanych spelunek, a ladacznice uśmiechały się zalotnie. Jedna z nich, farbowana blondynka, próbowała nawet wciągnąć Olusa do domu, w którego otwartych oknach rysowały się w półmroku nagie kobiece postaci.

Wreszcie udało im się wyrwać z Hadesu i osiągnęli okolice Vicus Sandaliarius, centrum, gdzie mieściły się księgarnie. Tu być może, jak twierdził Abinoumis, mogli natrafić na jakiś ślad Aaquilii, gdyż pomimo początkowej niechęci Egipcjanin rozpuścił wici, zasięgnął języka u licznych klientów i wreszcie czegoś się dowiedział.

- Flawiuszu, wydaje mi się, że mam dla ciebie pomysły wieści. Idź do księgarza Tryfona. Pamięta on pewnego bibliofila, który pasuje do twojego opisu!

Tym sposobem z bolącymi nogami znaleźli się w uliczce zdającej się składać z samych księgarni. Ta, której poszukiwali, okazała się jedną z największych i nosiła szyld: „Księgarnia Tryfon. Rzadkie manuskrypty o obcych krajach po łacinie, grecku i egipsku”. Pod nim nieco mniejszymi literami napisano: „Również skup oraz szybkie kopiowanie”. Odrzwia od góry do dołu pokrywały tabliczki z tytułem oraz imieniem autora dostępnych dzieł. Przy wejściu, z którego dochodził zapach szafranu oraz drzewa cedrowego, stał kosz z kilkoma postrzępionymi zwojami, zaś umieszczony obok napis głosił: „Za pół ceny!”.

Flawiusz wszedł do środka, biorąc do ręki czerwony wałek wystający ze środka jednego ze zwojów. Zwieszał się z niego niewielki kawałek pergaminu, a na nim pięknie wykaligrafowanymi literami widniał zakurzony tytuł: Lukian z Samosaty, *Prawdziwa historia*.

- Oryginalne dzieło. Widać, że macie dobry gust, panie.

Młody człowiek odwrócił się w stronę, skąd dochodził głos o obcym akcencie. Należał on do mężczyzny w podeszłym wieku, o rzadkich, kasztanowych włosach i krzaczastych brwiach, otulonego w białą, połataną w kilku miejscach togę.

- Jak sami z pewnością wiecie, tytuł nieco zwodzi, gdyż chodzi o opowiadanie o podróży na Księżyc. Kiedy jeden ze statków mija Słupy Herkulesa, zostaje porwany przez potężną burzę i uniesiony ku chmurom. Po siedmiu dniach tułaczki ląduje na Księżycu, gdzie podobne do ludzi bajeczne stworzenia posiadające trzygłowych sępów wiodą jego załogę przed króla, który chce wydać wielką bitwę Słońcu... - widząc osłupiałe oblicze Flawiusza, księgarz przerwał swoje opowiadanie i uniósł ręce. - No cóż, produkt wybujałej fantazji, przed setką lat prawdziwa sensacja. Dziś gusty się zmieniły, niestety. Dlatego mogę wam go odstąpić za przystępną cenę.

Przybysz czym prędzej odłożył zwój.

- Wielkie dzięki, ale na własną bibliotekę brakuje mi pieniędzy. Przybywam od Abinoumisa, który twierdzi, że możecie mi pomóc w poszukiwaniu jednego z przyjaciół.

- Egipcjanin was przysłał? Roztropny, dobry kupiec, wszystko może załatwić. Opium, perły, jedwab...

Przy tym wymawiał słowa tak miękko, że prawie czuło się dotyk delikatnej tkaniny na skórze.

- Był u mnie ten człowiek, którego szukacie. Starszy, szczupły, o łysej czaszce z wianuszkami włosów na głowie.

- Kiedy to było?

- Być może trzy miesiące temu, być może nieco dawniej. W moim wieku czas szybko mija. Zjawił się w mojej księgarni, pytając o książki o Persji i Indiach.

- Czy coś kupił?

- Nie, wszystko, co mu zaproponowałem, już znał. Również locję Nearchosa, admirała Aleksandra Wielkiego. A także tajemny raport Kartagińczyka Hanno z podróży wokół Afryki. Dziwne to...

- Wobec tego musi dysponować obszerną biblioteką?

- Być może, młody człowieku. A może pracuje w jakiejś bibliotece.

- Kto dysponuje w Rzymie biblioteką?

- Wielu, nie jesteśmy tu na prowincji. Nie licząc term, mamy w Rzymie dwa tuziny publicznych bibliotek, a ponadto każdy dorobkiewicz chce się zaopatrzyć w dzieła klasyków. Ale postawcie pytanie inaczej.

Flawiusz spojrział na niego niepewnie.

- Inaczej, to znaczy jak?

- Zapytajcie o cel. Kto wydaje spore sumy na rzadkie pisma, ten musi mieć ku temu jakiś powód.

- Być może kolekcjonuje opowiadania o podróżach?

- Być może. Ale on nie wyglądał na takiego. To nie jest bogaty, znudzony dziwak. To ktoś, kto czegoś szuka.

Flawiusz potarł ręką czoło.

- Ale czego i po co? Pomóżcie mi, proszę, nie pojmuję tego.

Na twarzy starszego człowieka pojawił się wyraz troski.

- Chodzi o handel, młody człowieku, o cały majątek wydawany na kadzidło, pieprz, perły, jedwab i tym podobne. Przed dwoma stuleciami Pliniusz skarżył się, że luksus i kobiety będą nas co roku kosztowały sto milionów sestercji - milion sztuk złota! To było dawno temu, ale wciąż jeszcze wykrwawiamy się, wciąż nasze pieniądze wędrują na Wschód. A widzieliście już bogate Rzymianki w wyszywanych perłami pantoflach? Odziane w bezwstydne suknie z jedwabiu, ukazujące więcej, niż skrywające, czy widzieliście to?

Zmarszczył krzaczaste brwi, a jego koścista dłoń wskazała na zakurzony zwój wysoko na półce.

- Już cesarz Tyberiusz mówił: „Kobiety marnotrawią nasze pieniądze na fatałaszkach od obcych przybłędów!”, i miał rację. A wiecie, ile kosztuje jedwab?

Flawiusz zaprzeczył.

- Jest na wagę złota! Taka cena napycha sakiewki pośredników oraz skarbiec króla Szapura w Persji. Tuczymy naszych najgorszych wrogów. Co więc powinniśmy zrobić?

Księgarz przekrzywił głowę, wskazując palcem na Olusa, który się odwrócił, myśląc, że chodzi o kogoś stojącego za nim.

- Powinniśmy sami zająć się handlem!

- Właśnie tak, młody człowieku. Wcześniej też tak było... Ale teraz... nie, powiedziałem już chyba za dużo.

Starszy człowiek odwrócił się, zabierając się do porządkowania zwojów w dalszej części księgarni. Flawiusz zawołał do niego:

- Dlaczego za dużo? Pomóżcie nam!

Księgarz odwrócił głowę.

- Niby po co? Gdy idzie o pieniądze i politykę, należy zachować ostrożność. Nie chcę, żeby zaczęto mówić, że zakłócam interesy wpływowych ludzi - zamilkł na chwilę, lecz widząc rozczarowaną minę Flawiusza, dodał jeszcze: - Podejdźcie bliżej, wymienię wam kilku większych handlarzy, możecie u nich popytać.

Flawiusz pochylił się, a starzec wymruczał coś pod nosem. Potem młody człowiek powtórzył półgłosem imiona i wyprostował się.

- Wielkie dzięki. Bardzo nam pomogliście. Macie jeszcze ja kąś radę?

Księgarz milczał. Dopiero gdy przybysze stali już w drzwiach, odchrząknął i ledwo słyszalnym szeptem doradził:

- Być może moglibyście zapytać w Tabularium.

- W archiwum państwowym?

- Zgadza się. Mieści się po północnej stronie Forum na Kapitolu. A jeśli byście się rozmyślili, to mógłbym wam odstąpić *Prawdziwą historię* po naprawdę przystępnej cenie.

Trzy dni później stanęli na Forum, spoglądając na podłużną budowlę ze strzelistymi oknami. Rozpytywanie po bibliotekach nie przyniosło skutku, również żaden inny księgarz nie słyszał o poszukiwanym. Za którymś razem wydało im się, że trafili na jakiś ślad, gdy handlarz Firmus zainteresował się ich sprawą i wciągnął w dłuższą rozmowę. Na koniec jednak i on podprowadził ich do drzwi, ale nie udzielił żadnej pomocy. Tabularium było dla nich ostatnią deską ratunku.

Weszli na prowadzące na Kapitol schody i znaleźli się przed szerokim portalem. Mieli ze sobą list Abinoumisa, który rzekomo należało doręczyć. Flawiusz był już przygotowany na przeczący ruch głowy strażnika i nie dowierzał własnych uszom, kiedy ten odparł:

- Aąquila? Na końcu korytarza w prawo, w sekcji greckiej.

Młody człowiek patrzył na niego zdumiony, ale zaraz otrząsnął się, pochwycił Olusa za ramię i obaj pobiegli wzdłuż ogromnego wysoko sklepionego korytarza. Tupot ich nóg odbijał się echem od marmurowej posadzki. Ze spowitych w półmroku nisz przyglądały się im posągi, a kilku mężczyzn - najwidoczniej urzędników - trzymających pod pachą sterty zwojów spojrzało za nimi ze zgorzeleniem. Doszli do końca i po prawej stronie dojrzelili drzwi. Otwarli je i znaleźli się w podłużnym pomieszczeniu, którego środek zajmował duży drewniany stół. Pokrywały go zwoje pism, zaś w pobliżu stały kandelabry z brązu z trzema zawieszonymi na łańcuszkach lampkami oliwnymi. Na końcu siedział zajęty lekturą mężczyzna. Podniósł głowę, spojrzął na przybyszów i wstając, rozłożył ramiona:

- Flawiuszu!

- Ulixesie!

Objęli się w serdecznym uścisku. Nie zastanawiając się nawet, co robi, Flawiusz uniósł starego przyjaciela do góry. Ulixes zaśmiał się.

- Ostatnim razem to ja robiłem tak z tobą!

- Od ostatniego razu minęły już trzy lata! - odparł Flawiusz, nie mogąc z emocji prawie złapać tchu, a potem jego wzrok padł na Olusa czekającego obok stołu. Przedstawił ich sobie, a potem usiedli razem i zaczął opowiadać o swoich przeżyciach, odkąd dostał się w niewolę do Alemanów. Gdy zamilkł, Ulixes patrzył na niego dłuższą chwilę, po czym westchnął.

- Tak właśnie sobie pomyślałem. Dwa dni cię szukałem, aż wreszcie znalazłem wygasłe ognisko, ślady kopyt... Wtedy dałem za wygraną i ruszyłem na wschód. W Augusta Yndelicum miałem zamiar pozostać dłużej, ale gdy dowiedziałem się o śmierci Galie-na, zostawiłem wszystko i pospieszyłem do Rzymu. Udało mi się na szczęście przechwycić mój raport wysłany do imperatora jeszcze z Augusta Treverorum. Zadedykowałem go nowemu władcy, który

nie okazał wprawdzie większego zainteresowania, ale za to zlecił mi pracę w archiwum.

- Brzmi to tak, jak gdybyś nie był zadowolony.

-1 tak było, dopóki przed trzema miesiącami nie otrzymałem zlecenia od cesarza Aureliana.

- Widziałeś się z nim osobiście?

- Niestety nie, ale Konstancjusz Calpurnius Beryllus, nadzorujący cesarską administrację, wezwał mnie do siebie. To wyzwoleńiec, bardzo wpływowy człowiek, który służył już wielu cesarzom. Aurelian oczekuje przybycia delegacji z Indii.

- Gdzie leży ten kraj?

- Na wschód od Persji. Stamtąd pochodzą perły, pawie, a przede wszystkim pieprz. Aurelian chce wiedzieć, czy można pominąć chciwych pośredników perskich. Dlatego mam sporządzić dla niego tajny raport na temat wszystkiego, co znajdę w archiwum o handlu z krajami Wschodu.

Flawiusz spojrział na stół: kałamarze, karty papirusu oraz sięgające sufitu półki wypełnione zwojami.

- Masz dużo pracy. Nie potrzebujesz pomocnika?

Ulixes zaprzeczył.

- Moje wynagrodzenie nie wystarcza na opłacenie kogoś, kto dobrze zna grekę i byłby godny zaufania.

Flawiusz przyjrzał się przyjacielowi.

- A gdyby ten ktoś nie za dobrze znał grekę, ale za to byłby skromny i godny zaufania?

Ulixes milczał zaskoczony, a potem na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Masz na myśli siebie? Jeśli chodzi o mnie, to chętnie, jeśli nie boisz się kurzu.

- A co ze mną? - zapytał Olus.

Flawiusz odwrócił się do niego i podniósł lekko w górę brwi.

- Co miałyby robić w bibliotece ktoś, kto nie potrafi czytać?
- E tam! - Gał spojrział na niego pochmurnym wzrokiem, odwrócił się, ale zaraz się roześmiał.

Od tego dnia Flawiusz rozpoczął pracę w Tabularium. Pomagał wydobywać zakurzone zwoje z niezliczonych drewnianych półek, drżał wraz z Ulixesem, gdy papirus okazywał się tak kruchy, że musieli go najpierw oddać do kopisty, i łamał sobie głowę nad odczytaniem zabrudzonych lub niezrozumiałych fragmentów. Przede wszystkim jednak zdumiewał go ogrom wiedzy, jaką udało się zebrać w ciągu ostatnich siedmiuset pięćdziesięciu lat i o jakiej nie miał pojęcia prawie nikt spoza biblioteki.

Były to starożytne mapy świata autorstwa Ephorosa, Dikaiar-chosa, Hekataiosa i Erasthenaesa sięgające od [^]fysp Cynowych aż po Indie, niezwykle sprawozdanie Kartagińczyka Henno żeglującego tak długo wzdłuż zachodniego brzegu Afryki na południe, aż słońce zaczęło wschodzić nie po jego lewej, lecz po prawej ręce. Flawiusz zmierzył się także z dziennikiem pokładowym perskiego admirała Skylaxa, który wyruszył z Indii aż po Morze Czerwone i relacjonował spotkania ze straszliwymi potworami. Dwa wieki później Nearchos, admirał Aleksandra Wielkiego, powtórzył po części tę podróż, a następnie pożeglował w górę Eufratu aż do Babilonu. Przez wiele wieczorów Flawiusz siedział dłużej tylko po to, aby zagłębić się w opisach podróży Herodota, robić notatki z nauki o ziemi Pomponiusza Meli oraz ksiąg o siedmiu cudach świata Filona i Kalimachosa z Aleksandrii. Robiąc zapiski, przebadał wywody Strabona i Pliniusza, a szukając szczegółów na temat krajów Wschodu Słońca, przewertował nawet Pauzanasza i Heliodora. Tylko raz wydawało mu się, że dał się nabrać na bajkę, gdy mianowicie natknął się na wyliczenia związane z obwodem Ziemi.

- Ulixesie, czy to może być prawda?

Szczupły mężczyzna odłożył pióro i spojrzał ku niemu.

- Co takiego?

- Tu napisano, że Ziemia ma być kulą i Erastotenes z Cyreny wyliczył jej obwód na 250 tysięcy stadiów.

- Myślisz o pomiarach dyrektora biblioteki w Aleksandrii sprzed pięciuset lat? Co w nich dziwnego?

- Przecież Ziemia jest płaska!

- Skąd to wiesz? Flawiusz oniemiał na chwilę.

- To przecież widać.

- Twoje spojrzenie sięga jedynie horyzontu, tylko czy to czegoś dowodzi? Ze Ziemia jest ogromną kulą, twierdzili już Platon, He-raklit, Pitagoras i Archimedes.

- A jak ten Egipcjanin określił jej obwód? Czyżby obszedł ją wokoło?

- Żartujesz sobie? Nie, na północy i na południu, gdy słońce stało w zenicie, zmierzył cień rzucany przez pionowo ustawione pręty jednakowej długości. Gdyby Ziemia miała być płaska, to cienie musiałyby być jednakowe, a takie nie były. Ponieważ znał odległość dzielącą oba miejsca pomiaru oraz długość prętów, mógł z różnicy cieni wyliczyć krzywiznę kuli ziemskiej, na której one stały.

Flawiusz przemyślał całą sprawę i doszedł do wniosku, że to możliwe, a następnie poświęcił się dalszemu przeglądaniu zwojów.

Gdy po kilku tygodniach ukończył swoje opracowanie, ułożył zapisane karty na stole Uliksa.

- A tobie czego udało się dowiedzieć o naszych relacjach z krajiną pawi?

Ulixes wskazał na leżący przed nim rozwinięty zwój.

- Wiele wskazówek, ale mało konkretów. Nicolaus z Damaszku, Horacy Flaccus i Strabon piszą, jakoby August kilkakrotnie

miał przyjmować delegacje z Indii, a on sam wspomina o tym w swoim *Sprawozdaniu*, które wszędzie na jego rozkaz wykuto na murach. U Plutarcha jest dziwny cytat. Opisuje trzech posłańców mających podobno ze sobą dziwne dary: człowieka bez ramion, żółwia rzeczno, gigantyczną kuropatwę, węże oraz szalonego świętego, który wciąż na nowo chciał się sam spalić.

- Nie na wiele się to przyda.

- Zgadza się. Tylko że półtora wieku później Annaeus Florus odnotowuje, że do Augusta przybyło także inne indyjskie poselstwo, przywożąc słonie, kamienie szlachetne i perły. Natomiast cytat z dzieła Pliniusza Starszego, w którym wspomina się o czterech poselstwach króla Taprobane do cesarza Klaudiusza, wyszukałeś ty sam.

- Właśnie miałem o to zapytać. Gdzie właściwie leży to Taprobane?

- To wyspa na południe od Indii. Ptolemeusz opisuje ją w swoim *Wstępie do geografii*, ale to już ponad sto lat temu - Ulixes wskazał na jeden ze zwojów.

- Również Trajan, Hadrian i Antonin Pius gościli podobno przybyszów z Indii, potem wskazówki stają się coraz rzadsze. Ostatnią znalazłem z czasów panowania Elagabalusa, ale ten potwór wykazywał zainteresowanie jedynie swoimi perwersjami.

-I to wszystko?

- Nie, i chwała za to Merkuremu! Mam jeszcze dwa, bardzo cenne, źródła.

Ulixes wskazał na większą i mniejszą rolę, którą też zaraz rozwinął.

- Niestety, ten grecki kapitan pozostaje nieznan, lecz to, co napisał, powstało mniej więcej przed dwustu laty.

Flawiusz przyciągnął zwój ku sobie i przeczytał tytuł.

- *Periplus Morza Erytrejskiego*. Co to takiego?

- Locja kapitana opisująca drogę morską z Egiptu od portu Myos Hormos aż ku wschodnim wybrzeżom Indii. Tu na przykład odnotowano mniej pochlebne opinie na temat Arabii, zresztą przeczytaj sam!

Flawiusz podążył wzrokiem za palcem przyjaciela, starając się odcyfrować stare greckie pismo.

- „Kraj zamieszkują dwulicowi łotrzykowie żyjący w wioskach lub wędrownych osadach, pładrujący statki zbliżające się nadto do brzegu, a rozbiteków sprzedający w niewolę”. Brzmi odstraszająco. Dlaczego nie omija się szerokim łukiem tej okolicy?

- Ponieważ to szlak morski do Indii, nieco dalej na południe, prowadzący do krainy, skąd pochodzi kadzidło, którego zapach czujesz w każdej rzymskiej świątyni. O tutaj: „Kraj ten jest górzysty i niedostępny, spowity nieprzeniknionymi chmurami i pełen drzew dostarczających kadzidła. Drzewa te nie są szczególnie wysokie ani o grubym pniu. Kadzidło przylega w kroplach do ich kory, podobnie jak drzewa w Egipcie wydzielają gumę. Niewolnicy królewscy oraz skazańcy zbierają je...”

- ...i sprzedają nam, co trzeba wspomnieć, po wysokiej cenie. Gdyby tylko Rzym mógł się go wyrzec... - westchnął Ulixes.

-A może jeszcze i jedwabiu - dodał Flawiusz. - Co mówi o nim *Peñplus*?

- Niewiele, tyle tylko że na Wschodzie znajduje się ojczyzna pokojowych ludzi o płaskich obliczach, którzy go wytwarzają.

- A jak to robią?

- To ich tajemnica. Wergiliusz pisze, że jedwabne nici rosną na drzewach, ale czy to prawda, tego nikt nie wie.

- Dlaczego żaden Rzymianin nie wyruszy do tej krainy, żeby się tego dowiedzieć? - oczy Flawiusza zabłyśły.

Ulixes uśmiechnął się. Pochyliwszy się nad stołem, sięgnął po małą postrzępioną rolkę.

- Tak też się stało mniej więcej sto lat temu. Rzymski kupiec żeglował coraz dalej na Wschód, aż wreszcie dotarł do kraju nazywanego Chinami. Miał ze sobą jako dary kość słoniową, szylkret, a przede wszystkim róg jednorożca, co do którego tamtejsi mieszkańcy wierzą, że leczy słabość męskich lędźwi - Ulixes zachichotał. - Ale albo róg nie zadziałał, albo autochtonów rozczarowały dary przybysza, gdyż nasz Rzymianin, którego imienia historia nie zachowała, podał się dumnie za posła cesarza Antonina Piusa. W każdym razie ani nie zbadał tajemnicy wyrobu jedwabiu, ani też nie założył faktorii handlowej w Indiach.

- Rzymska faktoria handlowa w Indiach?

- Owszem, na wschodnim wybrzeżu utrzymywano przez długi czas bazę wojskową. Periplus i Ptolomeusz wspominają o mieście nazywanym Podouke Emporion. Ale już od dawna nie docierają stamtąd żadne wieści, a imperium ma dość innych trosk.

Flawiusz wziął do ręki relację o podróży do krainy jedwabiu, przeczytał kilka linijek koślawego pisma, po czym odłożył manuskrypt.

- A co z drugim źródłem, o którym mówiłeś wcześniej?

Ulixes przyciągnął większy zwój.

- Pomóż mi uprzętnąć stół. Będziemy potrzebowali więcej miejsca.

Flawiusz odniósł pozostałe manuskrypty na półki, a Ulixes przysunął bliżej krawędzi blatu stojaki z lampkami oliwnymi. Jednym z nich przycisnął początek zwoju, a następnie ostrożnie go rozwinął. W efekcie stół pokrył długi na dwadzieścia stóp rysunek, na którym Flawiusz początkowo nie umiał rozpoznać niczego poza liniami i nazwami.

- Co to ma przedstawiać?

- Mapę znanego świata - od Brytanii do Indii.

Ulixes przesunął palcem po płataninie nazw, a następnie wskazał krąg z figurą.

- Rzym, centrum świata. Tu widzisz wybrzeża Italii - palec po wędrował dalej. - A tu leży Afryka, moja ojczyzna.

- Tak blisko? Żeby tam dotrzeć, wystarczy dzień żeglugi! Starszy człowiek spojrział na młodszego towarzysza, a po tem odparł:

- Niestety, to tylko tak wygląda. Autor tej mapy chciał stworzyć narzędzie pomocne w podróżach po lądzie. Widzisz te cienkie linie pomiędzy miastami?

Flawiusz przytaknął.

- Umieszczone przy nich liczby oznaczają odległości. Żeby za oszczędzić miejsca, przedstawił nieinteresujące go morze w postaci wąskiego pasa. Ale zobacz, tu...

Ulixes obszedł stół, podchodząc do końca zwoju, gdzie przyklejono drewniany wałek.

- Ta kraina z wieloma rzekami to właśnie Indie. Poniżej leży wyspa Taprobane. Zobaczmy, co tam przedstawiono. Niestety, pi smo jest nieco za małe dla moich starych oczu.

Ulixes poszedł do szafy i za chwilę powrócił z przezroczystą szklaną kulą wypełnioną wodą. Flawiusz spojrział na niego pytająco, gdy zobaczył, że przyjaciel stawia ją na papirusie i wskazuje palcem.

- Spójrz teraz!

Początkowo młody człowiek miał trudności z dostrzeżeniem czegokolwiek, ale nagle zauważył, że napisy powiększyły się kilkakrotnie.

- Ale... to jakieś czary! Jaki demon tam siedzi?

- Żaden, o takim działaniu kuli przeczytałem u Seneki i zamówiłem podobną u jednego z najlepszych dmuchaczy szkła w Rzymie. Przyjrzyjmy się teraz opisom.

Przez chwilę trwali pochyleni nad mapą, aż wreszcie Flawiusz wskazał jedno miejsce:

- Wydaje mi się, że tu jest rzymska świątynia.
- Gdzie?
- Przy prawej krawędzi mapy.

Ulixes przesunął kulę we wskazane miejsce.

- W rzeczy samej! Przy miejscowości Muziris widnieje adnotacja „Templum Augusti”.

Przez dłuższą chwilę studiowali pilnie mapę, a pióro Ulixesa skrzypiało na papirusowej karcie, notując wskazówki dla niewolnika mającego skopiować tę część manuskryptu. Spojrzenie Flawiusza powędrowało w lewo ku nazwom miast o obcych, tajemniczych nazwach: Persepolis, Babilon, Ktezyfon, Heliopolis, Palmira.

W zamyśleniu wpatrywał się w mapę, aż wreszcie zdobył się na odwagę.

- Ulixesie, mogę o coś zapytać?
- Oczywiście, pytaj.
- Czy w archiwum są jakieś raporty na temat tego, co się stało w Persji z cesarzem Walerianem i jego armią?

Ulixes pokiwał głową.

- Zapomniałem o tym. Przecież twój ojciec uczestniczył w tej kampanii.

Wsparłszy głowę na rękę, zapałzył się w kulę, w której odbijały się zniekształcone linie przedstawiające rzekę Indus.

- Za cesarza Galiena wszystkie sprawozdania objęto tajemnicą państwową, gdyż wszyscy wiedzieli, że nie przedsięwziął żadnych kroków, aby wykupić własnego ojca i jego legiony. Aurelianus nie ma żadnego powodu, żeby coś ukrywać. Kiedy skończymy nasz dokument, poproszę o zgodę na podjęcie poszukiwań w tajnej części archiwum.

Flawiusz przełknął ślinę, skinął głową i ponownie zajął się swoją pracą.

Olus pierwszy zwrócił uwagę na obcego.

Odkąd wyprowadzili się od Abinoumisa, mieszkał z Flawiu-szem w jednej izbie odstąpionej im przez Ulixesa. W ciągu dnia przygotowywał śniadanie, troszczył się o gospodarstwo domowe, sprzątał, kupował olej do lamp, a także starał się, aby w zapasie było kilka amfor z winem. Czasem, gdy udało mu się wcześniej skończyć pracę, wychodził naprzeciw Flawiuszowi i Ulbcesowi pod Tabularium.

Któregoś dnia przyjaciele się spóźniali, więc miał dużo czasu, aby przyjrzeć się otoczeniu i wtedy go dojrzał. Mężczyznę w wieku około trzydziestu lat, o ciemnej karnacji i zrośniętych nad nosem brwiach, wpatrującego się w wejście do archiwum. Gdzieś go już kiedyś widział, ale nie mógł sobie przypomnieć. Kiedy wreszcie Flawiusz i Ulixes pojawili się przed portalem, nie zaprzętał sobie nim dłużej głowy. Dopiero dużo później miał sobie przypomnieć, gdzie po raz pierwszy spotkał dziwnego przybysza: u kupca Firmusa.

- Nareszcie! Dlaczego dzisiaj trwało to tak długo?

Rozweselony Ulixes spojrzął na krępego Gala zdającego się za dać od niego usprawiedliwienia.

- Dziś był ważny dzień, jeśli chodzi o nasze sprawozdanie dla cesarza Aureliana. Otrzymałem gotowe karty kodeksu na temat krajów Wschodu, przejrzałem je i oddałem do zszycia.

W tej chwili podeszło do nich zebrzące dziecko idące za nimi od Tabularium i pociągnąwszy Ulixesa za połę tuniki, wyciągnęło ku niemu rączkę. Olus próbował przepędzić małego brudasa, ale dziecko nie odchodziło, lecz ponownie ruszyło ich śladem. Olus zwrócił się do Ulixesa.

- Zszyć? Po co?

- Kodeks składa się z pojedynczych kart zszytych razem z jednej strony.

Olus pojął zasadę, ale nie cel.

- Dlaczego w tej formie, a nie jako zwój? Czy to coś nowego?

- Zgadza się, teraz to coraz bardziej popularne, a jeśli chodzi o nasze zestawienie - lepsze, gdyż cesarz może zajrzeć do poszczególnych rozdziałów, nie rozwijając przy tym całego dokumentu.

To przemówiło do Olusa.

- Mamy zatem powód do świętowania! Za rogiem jest popina, gdzie podają znakomitą pieczeń wieprzową...

Ulixes nie mógł się powstrzymać od śmiechu i klepnął Olusa w ramię.

- Z całym szacunkiem dla twojej troski o nasze samopoczucie, ale posilimy się raczej w Drzewie Oliwnym koło nas. Wkrótce się ściemni.

Olus przytaknął. Wiedział doskonale, że po zapadnięciu zmroku ciemne uliczki Rzymu stawały się niebezpieczne. Wylewane nieczystości, bezwzględni woźnice, a także ordynarni pijacy stanowili stosunkowo niewielkie zagrożenie. O wiele niebezpieczniejsze były bandy rzezimieszków grasujące po całych dzielnicach.

Po drodze mały żebrak zniknął.

Flawiusz zastukał kołatką z brązu i cofnął się o krok. Wczoraj wieczorem otrzymali kodeks oprawiony w najdelikatniejszy pergamin i dzisiaj ruszyli ku Kwirynałowi, aby przedstawić swoją pracę Konstancjuszowi Calpurniusowi Beryllusowi.

- Dlaczego wyzwoleniec zarządza cesarską administracją? - wyszeptał młody człowiek, gdy stanęli przed portalem ozdobionym dwiema kolumnami.

- Dla senatorów albo rycerzy nie jest to zajęcie godne ich stanu. Ale teraz, proszę, żadnych pytań.

Drzwi otwarto, a w nich ukazał się czarny jak smoła niewolnik o grubych wargach oraz kędzierzawych włosach, spoglądając na nich pytająco. Ulixes zwrócił się do niego.

- Jestem Ulixes Gabinius Aquila, a to mój pomocnik Flawiusz.

Przynosimy sprawozdanie!

Murzyn bez słowa zaprosił ich gestem do środka. Zamknął drzwi, a następnie poprowadził ich w milczeniu przez dwa pomieszczenia, aż wreszcie znaleźli się w większej sali, gdzie pośrodku ustawiono trójnogi stół z drewna różanego.

Oszołomiony Flawiusz rozglądał się wokoło, gdyż takiego wystroju jeszcze nie widział. Ściany pokrywały kolumny, zwieńczenia i łuki kierujące wzrok ku szerokiemu krajobrazowi. Pasterze wiedli stada owiec, po jeziorze płynęły łodzie, rolnicy zbierali owoce, a w małym lasku Pan uganiał się za nimfami. Wszystko jednak było złudzeniem: architektura, figury, natura. Najchętniej chciałoby się wejść w tę idyllę, choćby tylko po to, aby uniknąć zabrudzonej posadzki, której jasną mozaikę pokrywały resztki jedzenia. Obok szczypiec homarów leżały tam czereśnie, skorupy ślimaków, obgryzione kości, szkielety ryb, orzechy i liście sałaty. Lecz przy dokładniejszym przyjrzeniu się i to stanowiło iluzję przedstawioną przez artystę za pomocą drobnych kamyczków tak precyzyjnie, że sprawiało wrażenie pozostałości po ucztach. Zafascynowany Ulixes nie mógł oderwać oczu od posadzki.

- Znakomita praca, nieprawdaż? W tym celu sprowadziłem z Pergamonu mistrza mozaiki!

Flawiusz i Ulixes podnieśli wzrok. W drzwiach stał wysoki, mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna odziany w długie, sięgające do kostek pallium. Żółty, podobny do płaszcza ubiór miał jako jedyną ozdobę błękitny pas przytrzymywany na ramionach dwiema złotymi spinkami. Z szerokiej twarzy wystawał ogromny haczykowaty nos, zaś rysujący się drugi podbródek ła-

godził energiczne rysy oblicza otoczonego krótko ściętymi, siwymi włosami.

- Podczas pewnego przyjęcia jeden z gości, niedowidzący nie co, stawiał ostrożnie kroki pomiędzy resztkami, aby nie pobrudzić swoich cennych skórzanych sandałów. Wyglądał przy tym jak bocian na bagnach - Konstancjusz uśmiechnął się. - Ale nie zjawiliście się tutaj, żeby podziwiać moje ekstrawagancje. Gdzie kodeks?

Ulixes podszedł do stołu, otworzył teczkę z czerwonej cielejcej skóry i wyciągnął z niej płaski, prostokątny przedmiot. Ułożył go na wypolerowanym jak lustro blacie i otworzył pierwszą stronę.

- *O krajach Wschodzącego Słońca* - przeczytał gospodarz półgłosem, a następnie pochylił się nad tekstem, poczynając przewracać strony pokryte szpaltą po szpalcie starannie wykaligrafowanymi literami, pomiędzy którymi znajdowały się ryciny miast, ludzi, zwierząt, roślin, a także mapy. Wydawało się, że zatopił się całkowicie w lekturze, aż wreszcie wyprostował się, zamykając książkę.

- Gratuluję, świetna robota! Nigdy bym nie pomyślał, że w naszym archiwum kryje się tyle wiedzy. Z pewnością bardzo przyda się cesarzowi,

Konstancjusz obrzucił swoich gości badawczym wzrokiem, a Flawiusz poczuł, że naprzeciwko nich stoi ktoś, kto ma coś do powiedzenia. Ten człowiek wspiał się po szczeblach kariery, potrafiąc przy tym dzięki pilności, roztropności i lojalności zachować swoje stanowisko pod władzą zmieniających się cesarzy.

- Pozwólcie za mną, mam z wami coś ważnego do omówienia.

Pan domu wziął kodeks, wsunął go do teczki i ruszył ku namalowanemu na ścianie drzwiom. Okazały się prawdziwe, więc gospodarz otworzył je, a obaj goście przeszli za nim do wymalowanego na biało gabinetu. Konstancjusz zajął miejsce w bogato zdobionym krześle z brązu za długim na dziesięć stóp stołem i zaklaskał w dłonie. Natychmiast pojawił się Maur i na dany przez pana znak

przyniósł dwa krzesła, po czym zajął miejsce w kącie. Konstancjusz zauważył pytające spojrzenie Ulixesa.

- Bez obaw, jest absolutnie godny zaufania. Poza tym nie po trafi pisać ani mówić, gdyż wycięto mu język.

Zszokowany Flawiusz przyjrzał się ukradkiem niewolnikowi, a potem obrzucił spojrzeniem pozbawioną wszelkich ozdób pracownię. Ścianę za plecami gości aż po sam sufit zajmowały zapełnione zwojami półki; z przeciwnej strony, za gospodarzem, przez duże okno wpadało światło. Kwadratowe szyby przewyższały wszystkie wyroby szklarskie, jakie młody człowiek dotąd widział. Były tak przezroczyste, że widziało się przez nie rośliny zdobiące znajdujący się za nimi wewnętrzny dziedziniec.

- Wezwałem was, gdyż miałbym pewne zadanie. Szczególnie za danie, do którego poszukuję kogoś odpowiedzialnego, znającego Wschód, a także niemacającego palców w politycznych gierkach toczących się w stolicy.

Konstancjusz wziął do ręki połączany rylec, obrócił go w palcach, po czym położył obok pokrytej woskiem tabliczki.

- Mówiąc szczerze, to niebezpieczna misja. Jest tak trudna, że może was nawet kosztować życie - urzędnik spojrział Ulixesowi prosto w oczy. - Jeśli się powiedzie, to cesarz hojnie was wynagrodzi. Gra toczy się o wysoką stawkę, idzie o wojnę lub pokój z Zenobią, królową Palmiry!

Ve it it

Konstancjusz umilkł. Przez chwilę słyszało się jedynie plusk wody i świergot harcujących w ogrodzie wróbli. Flawiusz spojrzął na Ulixesa, którego kąciki warg nieco zadrgały, zanim przyjaciel odezwał się spokojnym głosem:

- W rzeczy samej to odpowiedzialna misja. Dlaczego właśnie ja?

- To dobre pytanie. Ale przecież zasłużyliśmy sobie na coś. Przynieś nam schłodzonego fałernera! - polecił gospodarz.

Murzyn zniknął. Po chwili wrócił z trzema kubkami oraz dużą misą wypełnioną czymś białym, z czego wystawała smukła srebrna amfora. Flawiusz ujął swój kubek, przyglądając się kunsztownie wykonanym ozdobom. Pod wieńcem z kwiatów przedstawiono w różnych pozach dwa stojące przy stole szkielety, zdające się o coś spierać. Konstancjusz dostrzegł zaciekawienie młodzieńca i uśmiechnął się.

- Filozofowie Zenon i Epikur kłócą się o ciastko. To być może trochę dziwaczne, lecz pomaga wyobrazić sobie przelotność ludzkich trosk.

Ujawszy amforę, nappełnił kubki, a Flawiusz dostrzegł, że z ornamentów ścieka topiący się śnieg.

- Śnieg w środku lata? - wyrwało mu się mimowolnie.

- To mój mały luksus. Mam głęboką piwnicę, którą polecam napęlniać zimą lodem i śniegiem z Apeninów. Ale teraz wypijmy za wasze dzieło!

Flawiusz przyłożył puchar do ust i skosztował wina, tak słodkiego, ciężkiego i chłodnego, jakiego jeszcze wcześniej nigdy nie pił. Usiadłszy wygodniej, przysłuchiwał się rozmowie.

- Dlaczego wybrałem właśnie was, a nie jakiegoś znanego senatora? No cóż, są ku temu trzy powody. W kwestii Palmiry zdania w senacie są podzielone. Jedni chcą się koniecznie porozumieć z Zenobią i tym nie ufa Aurelian. Drudzy prą do wojny, tym z kolei nie uwierzy Zenobia. Palmira ma wszędzie swoich szpiegów.

Ulixes, kręcąc głową, zwrócił się do gospodarza:

- Wojna z Palmirą? Czy król Odenatus nie był sprzymierzeńcem Rzymu? Czy to nie on po klęsce Waleriana zaatakował armię Szapura, zdobył harem i zmusił szacha do odwrotu!

- Owszem, ale ta wierność wobec Rzymu ożyła dopiero wtedy, gdy Szapur szorstko odrzucił jego ofertę zawarcia przymierza -

Konstancjusz wykrzywił wargi w gorzkim uśmiechu. - Od zamordowania Odenatusa przed czterema laty w imieniu niepełnoletniego syna Waballata władzę sprawuje wdowa po nim - Zenobia. W tym czasie zagarnęła nasze prowincje w Małej Azji, Syrii, Palestynie i Egipcie. Z powodu najazdu Gotów na Bałkany cesarz Klaudiusz miał związane ręce. Aurelianus też nie mógł wiele zdziałać, gdyż musiał przeciwstawić się Germanom. Za tę pobłażliwość ta żądna władzy kobieta źle się odpłaciła. Spójrzcie...

Urzędnik dworski wziął leżącą na stole monetę, podając ją Uli-xesowi. Ten przyjrzał się wytartemu krążkowi.

- Podwójny denar z portretem naszego cesarza Aureliana. Co w nim takiego interesującego?

- Rewers, czy raczej drugi awers!

Ulixes odwrócił monetę i ku swojemu zaskoczeniu dostrzegł drugi portret władcy z zębata koroną na głowie.

- IM C VHABALATHUS AUG - odczytał. - Cesarz Vabala-tus. To wyzwanie, którego Rzym nie powinien tolerować!

- W rzeczy samej! - westchnął Konstancjusz. - Poza tym dotarło do mnie, jakoby w Egipcie Zenobia miała zastąpić rzymską walutę przez stare ptolomejskie drachmy oraz odlane według starych wzorów monety z brązu. Ma się za drugą Kleopatę i zmierza do zerwania stosunków z Rzymem.

Ulixes z brzękiem odłożył monetę na stół.

- A jaka jest w tym wszystkim nasza rola?

- Przedstawicie jej propozycję cesarza. Jeśli zrezygnuje z tytułu augusta i wyda nam swojego zdradzieckiego doradcę Kasju-sza Longinusa... to wówczas Aurelianus uzna jej syna jako cezara, współrządcę. Do tego dochodzą jeszcze inne szczegóły, ale ta kwestia jest najważniejsza.

Ulixes pokiwał głową.

- Z jakiego powodu cesarz wychodzi z tak daleko idącą propozycją?

- Ponieważ na północ od Dunaju, w Dacji, znowu coś się dzieje. Jeśli Aurelian będzie musiał wyruszyć na Wschód, to stracimy prowincję z kopalniami złota.

- Zenobia też pewnie o tym wie. A jeśli odmówi? Przecież już i tak posunęła się bardzo daleko.

Konstancjusz wzruszył ramionami.

- Nie pozostanie mu nic innego, jak wyruszyć do Syrii i zaatakować. Dlatego zabezpiecza Imperium przed atakami Germanów i gromadzi legiony. W tym wypadku nie było oczywiście żadnej oferty, gdyż cesarz zostałby skompromitowany. Z tego powodu w Palmirze nie może się pokazać żadne oficjalne poselstwo. Poza tym jest jeszcze trzeci powód przemawiający za waszą misją.

- Jeszcze jeden? Czy to nie za wiele zaszczytów? - Ulixes wietrzył pochlebstwa.

Konstancjusz uśmiechnął się lekko.

- Skądże znowu! Zasięgnąłem o was języka i znalazłem raport do cesarza Galiena... - Uniesiona w górę ręka nakazała Ulixesowi milczeć. - Korzystam z moich źródeł, żeby mieć pewność, iż wy bieram właściwych ludzi. Nie żywię niechęci do zmarłego cesarza, dla którego przeznaczone były te informacje. Zainteresowało mnie jedynie, że doskonale wypełniliście zleconą wam misję. Aurelian studiuje właśnie wasze sprawozdanie, gdyż po Palmirze chce się zająć rebeliantami w Galii. Myślę, że stopniowo zaczynacie rozu mieć. Jeszcze nieco wina?

Ulixes przytaknął bez słowa, a gospodarz napełnił kielich z oszronionej amfory

- Mam więc podczas podróży szpiegować dla cesarza?

- Pst, pst, pst - Konstancjusz spojrzał na niego z wyrzutem. - Po co wymawiać tak brzydkie słowa? Powiedzmy inaczej: miejcie oczy

i uszy otwarte, a jeśli coś wyda się wam godne uwagi, zapiszcie i prześlijcie cesarzowi. Odnosi się to oczywiście również i do tego przebiegu wypadków, gdyby Zenobia okazała się głucha na wszelkie argumenty. Ulixes zwlekał z odpowiedzią. Jeśli ta część ich misji zostanie rozszyfrowana, to ich życie nie będzie warte ziarnka piasku z Pustyni Syryjskiej. Przełknął łyk wina.

- W całej okolicy roi się wręcz od oddziałów palmirskich. Jak mamy przesłać wiadomość dla Aureliana?

- Też się nad tym długo zastanawiałem - dworski luminarz zatarł ręce. - Ale znalazłem rozwiązanie: weźmiecie gołębia pocztowego z Heliopolis. Część tamtejszych kapłanów jest życzliwa Rzymowi. Oni już przekażą waszą wiadomość. A jak - o to się nie martwicie!

- A jak rozpoznają mnie kapłani?

- Po zdaniu, które odczytane w przód i w tył będzie miało ten sam sens.

- Palindrom jako hasło? - Ulixes potarł ręką łysinę.

Wszystko zdawało się dobrze przemyślane, choć był jeszcze jeden punkt.

- Mam podróżować sam?

- Oczywiście, że nie. To byłoby zbyt niebezpieczne. Pomyślałem o małej grupie kupców. Fuscus, nasz największy rzymski armator, zaoferował już miejsce na jednym ze swoich statków. Pozostali podróżni nie będą oczywiście wiedzieć o waszym zadaniu.

- A co z moim przyjacielem Flawiuszem?

- Może ruszyć z wami. Zna się na handlu?

- Co nieco, a poza tym przez prawie dwa lata studiował medycynę.

Konstancjusz okazał zadowolenie.

- Doskonały kamuflaż, jeśli ten młody człowiek potrafi wiarygodnie obchodzić się z bańkami i maściami.

Flawiusz opanował złość i powiedział:

- Miałbym pewną prośbę. Swego czasu wraz z wojskiem Waleriana dostał się do niewoli również mój ojciec. Czy w archiwum są jakieś dokumenty dotyczące losu tych żołnierzy?

Gospodarz zaprzeczył.

- Nie, Galien rozkazał zniszczyć wszystkie.

Widząc jednak rozczarowanie na twarzy Flawiusza, dodał z zadowoleniem:

- Ale mnie się udało zlecić wykonanie w tajemnicy kilku odpi sów. To chyba zwój 83!

Skinął na Maura, który odwróciwszy się, po krótkich poszukiwaniach wyciągnął z górnej półki skórzany futerał.

- Tylko do lektury, zadnych notatek. Możecie zająć się lekturą w perystylu, a Ulixes i ja omówimy jeszcze szczegóły całego przed sięwzięcia.

Flawiusz wstał z miejsca, podziękował, skłoniwszy się milcząco, i ruszył ku drzwiom, aby usiąść na ławce pod kolumnadą. Cały wewnętrzny dziedziniec zajmowała sadzawka, a z niej wystawały niewielkie łukowate wysepki porośnięte krótko przyciętą roślinnością. Otaczający ją zewnętrzny kanał zaopatrzono w rurę z niezliczonymi dyszami, z których tryskały wysokie strumienie wody. Flawiusz wydobyl manuskrypt z futerału i rozwinął go, po czym zagłębił się w lekturze.

* * *

- Koniec jazdy, moi panowie. Ostia, plac korporacji.

Flawiusz, Ulixes i Olus wyjrżeli z okna powozu, który wraz ze specjalnym pozwoleniem, umożliwiającym im podróżowanie w ciągu dnia po ulicach miasta, otrzymali od Konstancjusza. Przed nimi rozciągał się przestronny plac, ozdobiony portykiem, który z trzech stron otaczały niskie domy, zaś czwartą zajmował gmach teatru.

Pośrodku wznosiły się mury świątyni Ceres. Wszędzie tłoczyli się ludzie: tragarze, skrybowie, celnicy, handlarze ryb, rybacy oraz wędrowni sprzedawcy amuletów. Było to prawdziwe morze głów i odgłosów, a w powietrzu unosił się zapach soli i potu.

- Gdzie znajdziemy biuro Fuscusa? - zapytał Flawiusz woźnicę.

- Zwróćcie uwagę na mozaiki przed portykiem. Jeśli dojrzycie pomiędzy nimi przedstawiającą dwa statki, delfina i latarnię portową, to stoicie przed nim!

Cała trójka podziękowała chórem, wyciągnęła z pojazdu swoje worki, po czym pomaszerowała przez plac, spoglądając pod nogi. Wreszcie znaleźli poszukiwany obraz i stanąwszy przy wejściu, zajrzeli przez otwarte okiennice. W środku przy zbitym z grubych bali stole siedział łysy mężczyzna pochylony nad zwojem papirusu. Niecierpliwym tonem wydawał polecenia wchodzącym i wychodzącym sługom, w międzyczasie dyktował pisarzowi kilka zdań, a jego palec wędrował wzdłuż długiej listy.

Ulixes przekroczył próg i odchrząknął, na co łysy podniósł wzrok. Obwisłe wąsy czyniły go podobnym do morsa, a chrypliwy głos miał fenicki akcent:

- Czego chcecie? Nie potrzebuję marynarzy, nie mam miejsca dla pasażerów!

-Jestem Ulixes...

-I co z tego? Nawet sam Odyseusz będzie musiał obejść się smakiem, gdy „Fortuna Redux” wyruszy pojutrze w morze.

- My nie, bo zapłaciliśmy za przewóz do Fenicji.

Ulixes położył na stole papirusową kartę.

- Tu jest potwierdzenie!

Mors sięgnął ku niej, wlepił w nią wzrok, a potem na jego twarzy pojawił się jakby cień szacunku.

- W kabinie na rufie. Pewnie szlachetni panowie.

- Oczywiście! - potwierdził Olus.

- Jesteście kapitanem statku? - zasięgnął informacji Ulixes.

- Na Neptuna, to ja! Wszyscy na pokładzie podlegają moim rozkazom. Usiądźcie, to dowiedzie się tego, co konieczne.

Gestem wskazał chybliwą ławkę, na której usiadła trójka przyszlých pasażerów.

- Odbijamy pojutrze, piętnastego września, z nastaniem przy pływu o świcie. Miejsce spotkania Portus, wewnętrzny akwen, po łudniowa keja. Punktualnie, statek nie czeka. Dzielicie kabinę na rufie wraz z pozostałymi pięcioma kupcami, którzy również udają się do Berytos. Pozostali pasażerowie śpią w namiotach na pokładzie. Ale to nie wasze zmartwienie. - Mors podniósł nieco wzrok, po czym mówił dalej: - „Fortuna Redux” to żaglowiec o ładowności dwudziestu tysięcy modii. Na pokładzie obowiązuje rodyjskie prawo morskie, miejcie to na uwadze, jeśli chodzi o bagaż. Woda jest gratis, wino za opłatą. O pozostałe wyżywienie musicie za troszczyć się sami. Kabinę na rufie wyposażono w mały murowany piec. Wolno z niego korzystać tylko przy małej fali, bo chyba nie macie zamiaru zginąć na morzu od ognia. Żeglujemy również nocą i zawijamy do Neapolis, a potem na Kretę i Cypr. Podróż trwa trzy tygodnie. Pytania?

Cała trójka pokręciła głowami. Kapitan wstał z miejsca.

- Niechaj Neptun zachowa was przed chorobą morską! A nas wszystkich przed burzami, wirami, skałami, ogniem, zarazą, góckimi piratami i... - tu spojrzął kpiąco na Olusa gapiącego się na niego z otwartymi ustami - ... i oczywiście przed potworami morskimi, mój panie, bo prawie bym o nich zapomniał. Jeśli chodzi o dobre jedzenie i spokojny sen, to polecam gospodę U Siedmiu Mędrców niedaleko stąd. Jutro powinniście udać się do Portus, poczynić zakupy i tam przenocować. Powodzenia!

Godzinę później trzech podróżników złożyło swoje worki w jednej z izb wskazanej im gospody i zasiadło w przestronnej sali. Na pociemniałym od starości blacie ich stołu całe generacje gości wyryły swoje imiona, rozlały oliwę z lamp, zupe i pozostawiły plamy po czerwonym winie. Teraz to przed nimi stał dzban wymieszanego z wodą napitku, trzy kubki, a do tego jako przekąska miseczka z oliwkami, gdyż duszonego w sosie tuńczyka właśnie przygotowano.

Flawiusz wziął oliwkę, wypluł pestkę na posadzkę i rozejrzał się wokoło. Na każdym stole płonęły lampki, w pomieszczeniu tłoczyły się ogorzale od słońca, muskularne postaci wykrzykujące do siebie we wszystkich językach świata, gdy tymczasem obsługujące dziewczki przeciskały swoje kształtne biodra pomiędzy zydlami. Jego spojrzenie powędrowało ku freskom na ścianie, od których gospoda brała swoją nazwę: siedmiu godnych filozofów, każdy dysponujący dobrą radą. Ale nieznany artysta chciał rozbawić swoich gości, nie pouczać, gdyż słynni uczeni zostali przedstawieni, siedząc na latrynie. Młody człowiek przyjrzał się następnemu mędrcom, odczytując w migotliwym świetle: „W wypadku zatwardzenia Tales zaleca nieco wysiłku”.

Poczerwieniał, ale w tym momencie Ulixes sięgnął po swój kubek i przepił do pozostałych.

- Za naszą podróż i... - zawahał się przez chwilę - ...i za to, żeby Flawiusz znalazł to, czego szuka!

Młody człowiek uśmiechnął się zakłopotany, wypił łyk i podniósł wzrok. Przez chwilę jego spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem ciemnoskórego mężczyzny o zrosniętych brwiach, który oparty o jedną z kolumn rozmawiał z innym gościem zwróconym do Flawiusza plecami. Za chwilę jednak nieznajomy odwrócił się i zniknął w tłumie.

Dwa dni później trzech rozzochranych od wiatru mężczyzn znalazło się w wewnętrznym akwenu Portus. Na trzypiętrowej latarni płonął jeszcze nocny ogień, lecz od stojącego na szczycie pozłacanego posągu Neptuna odbijały się pierwsze promienie wschodzącego słońca. W powietrzu unosił się zapach zdechłych ryb, słonej wody i gorącej smoły. Przed nimi w szarym świetle poranka kołysały się tuziny statków przycumowanych dziobami do kei. Panowało tam wielkie ożywienie: na małych piecykach kucharze piekli świeżo złowione raki, cieśle okrętowi z długimi piłami na plecach spieszyli do pracy, a z wnętrza jednego ze statków wysuwał się niekończący się szereg sztauerów, każdy z amforą wina na ramieniu. Obok drewniany żuraw opuszczał do ładowni innej jednostki owinięty w słomę i obity deskami marmurowy posąg, czemu towarzyszyły gwałtowne okrzyki i gestykulacje załogi. Kilkadziesiąt kroków dalej wybrzuszał się wyciągnięty na brzeg kadłub małego żaglowca otoczony chybottliwymi ognikami uszczelniających naprawiających gorącą smołą uszkodzone miejsca.

Ulixes, Flawiusz i Olus drżeli z emocji. Wczoraj zaopatrzyli się w żywność: peklowaną wieprzowinę, suchary, orzechy, suszone owoce oraz ser i wraz z pakunkami przenieśli się na pokład. Statek okazał się łatwy do znalezienia: mając sto stóp długości, był jednym z największych, a jego maszt bezanem oraz prostokątnym topslem przewyższał inne jednostki. Na dziobie miał jeszcze żagiel rozprzowy. Ich płachty wzmocnione dodatkowo skórzanymi pasami przywiązano do rei. Zafascynowana trójka przyglądała się z podziwem płątaninie konopnych lin, rolek i wielokrążków. Na pokładzie przykryte płachtami stały szalupy. Na burcie z przodu czerwonymi literami wymalowano na czarnym tle nazwę: „Fortuna Redux”. Tam również, podobnie jak na rufie, zwieszały się dwie kotwice.

Przy akompaniamencie wrzeszczących mew obeszli sześciokątny akwen, przyglądając się niezliczonym statkom. Szczególnie spodobały im się szybkie liburny dysponujące zarówno żaglem rozprzowym, jak i dużym trójkątnym żaglem łańskim, a także na wypadek ciszy również wiosłami.

U końca ogromnego basenu, tam gdzie rozpoczynał się kanał do Tybru, drogę zamykał drewniany płot z wąską bramką.

- Przejście wzbronione. Teren wojskowy!

Ulixes podał wartownikowi zwinięty papirus.

- Pozwolenie od Konstancjusza. Mam się przyjrzeć nowemu statkowi.

Żołnierz złamał pieczęć i zanim przepuścił przybysza, zapoznał się z treścią pisma. Gdy jednak Flawiusz i Olus chcieli pospieszyć za nim, drogę zastawiła im lanca.

- O was nic tu nie napisano!

Daremne okazały się wszelkie prośby - Ulixes musiał iść dalej sam. Wkrótce też znalazł się przed dziwną konstrukcją: statkiem bez wioślarzy, za to z obu stron zaopatrzonym w wielkie koła. Drepzące w ich wnętrzu wkoła woły napędzały przylegające koła zębate, a te z kolei poruszały klaszczącymi o wodę kołami łopatkowymi napędzającymi jednostkę.

- Kto, na Neptuna, wymyślił coś takiego?! - zapytał Ulbes sta rego, brodatego marynarza.

- Jakiś szaleniec z marynarki wojennej. Podobno można się nim poruszać nawet w wąskich kanałach. Nowomodna zabawka, nic z tego nigdy nie będzie.

Splunął na ziemię, odwrócił się i zniknął. Ulixes przyglądał się przez chwilę kołom łopatkowym, a potem wrócił do towarzyszy.

- Dlaczego nie mogliśmy ci towarzyszyć? - dopytywał się Flawiusz.

- Nowa technika okrętowa, ściśle tajne. Za zdradę barbarzyńcom grozi kara śmierci!

Olus pokręcił głową.

Ostatnią noc spędzili w portowej knajpie, a potem nie mogąc już dłużej znieść oczekiwania, udali się w stronę statku. Zbyt wcześnie, jak się okazało, gdyż przyływ kończył się dopiero godzinę po wschodzie słońca. Flawiusz wszedł na pokład, prosząc o wyjaśnienie funkcjonowania pompy zęzowej, gdy tymczasem Ulixes spacerował po kei, obserwując poziom wody.

- Mogę o coś zapytać?

Starszy człowiek spojrzał na puciołowatego Gala pociągającego go za rękaw tuniki.

- Chętnie, jeśli tylko zdołam odpowiedzieć na twoje pytanie.

- Przedwczoraj, ten kapitan statku... co miał na myśli, mówiąc o potworach morskich?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Osobiście nie spotkałem żadnego podczas moich podróży. Ale słyszy się o gigantycznych ośmiornicach otaczających swoimi ramionami całe statki i wciągających je w głębiny. A za Słupami Herkulesa żyje podobno potężny wodnik o zielonych włosach, wielkich kłach i skrzelach, który...

- Na Neptuna! Musimy naprawdę płynąć tym statkiem?

- Potrafisz latać? Czy może wolisz biegać? A może chcesz zostać?

- W żadnym razie! Muszę przecież uważać na Flawiusza.

Ulixes nie mógł ukryć uśmiechu. Olus spojrzał na niego rozszuszczony, odwrócił się na pięcie i pomaszerował w drugą stronę. Ale gniew szybko mu przeszedł, a kiedy spojrzał przez ramię, zmarł z przerażenia.

- Ulbcesie, nad tobą!

Głowa starego wojownika wystrzeliła ku górze. Skok, głośny plusk i już pływał w basenie portowym, gdy tymczasem w miejscu, gdzie przed chwilą stał, spadła z łomotem długa na dwadzieścia stóp belka.

Marynarze szybko rzucili mu linę i wyciągnęli z brudnej wody. Z zimna i strachu drżał na całym ciele, gdy nadszedł dźwigowy, wijąc się jak węgorz.

- Nie pojmuję, jak to się mogło stać. Proszę, nie zgłaszajcie tego straży portowej. Chwytak zawsze trzymał, a ja tylko na chwilę...

Ściągając z ramienia pęczek wodorostów, Ulixes odburknął:

- No, jeszcze raz mi się udało. Nie mieszajmy do tego straży portowej. Nasz statek zaraz odpływa.

Spojrzał ku „Fortuna Redux”. Do prawej strony rufy, tam gdzie zanurzało się w wodę wiosło sterowe, przybijała właśnie łódź mająca wyholować statek z portu. Objął ramieniem Olusa.

- Dzięki. A ja, stary dureń, nie potraktowałem poważnie twojej uwagi. Chodźmy na pokład, zaczyna się nasza podróż.

Spoglądająca spod zrośniętych brwi para oczu przypatrywała się wydarzeniom na kei. Powędrowała też zaraz w ślad za szczupłym starszym człowiekiem pozostawiającym za sobą mokry ślad na kamiennych płytach, aż on i towarzyszący mu korpulentny rudzielec doszli do burty. Wkrótce potem ku żaglowcowi ruszył ciemnoskóry podróżny w towarzystwie tragarza niosącego jego pakunki.

ROZDZIAŁ 8

KRÓLOWA PUSTYNI

(271-272 r. po Chr.)

*Jeśli jesteś roztropny,
to łącz jedno z drugim:
ufaj nie bez zwątpienia
i żyw wątpliwości nie bez nadziei.*

SENEKA

Lodowaty wiatr dął od strony gór, jak gdyby chciał przegnać ludzi po równinie niczym suche liście, najpierw z powrotem do brzegów, a potem dalej w głąb morza. Nastąpiła dopiero połowa października, lecz wczesne opady śniegu przyoblekły w biel górskie szczyty. Niczym ogromne namioty wznosiły się po obu stronach płaskowyżu ku popołudniowemu niebu. Oglądane z bliska zielone kleksy na brunatnych zboczach przemieniły się w szeroko rozgałęzione cedry - resztki rozległych lasów, jakie - według opowiadań Uliksa - porastały niegdyś tę górzystą krainę.

Flawiusz pomyślał o namiotach na pokładzie statku. Już kiedy minęli Neapolis, wiatr stał się zbyt silny, więc pozostali pasażerowie również zeszli pod pokład. Któregoś razu wdał się w rozmowę z medykiem z Cezarei na temat zwichniętych członków i ruszył za nim po schodni do wnętrza. Tego widoku nigdy już pewnie nie zapomni. Z ciemności, które ledwo rozświetlało kilka lampek palących się chwiejnym migotliwym płomieniem, spoglądały na niego wynędzniałe oblicza. Wszędzie piętrzyły się paki ładunku, a pomiędzy nimi siedzieli lub leżeli podróżni. Cuchnęło niedomytymi ciałami, fekaliami i wymiocinami, kobiety obrzucały się wyzwiskami, a na koniec wybuchła bójka pomiędzy Galami i Egipcjanami. Flawiusz pożegnał się najszybciej, jak tylko na to pozwalała grzeczność i wspiąwszy się po drabinie, dziękował wszystkim bogom za miejsce w kabinie na rufie - stanowiące jedyną przyjemność podczas całego rejsu.

Za Kretą Fortuna Redux dostała się w szpony pierwszych jeziennych szkwałów gnących maszty i szarpących żaglami, podczas

gdy wzburzone odmęty przewalały się przez dziób, wprawiając w skrzywienie deski pokładu, jak gdyby cały statek miał zaraz rozpaść się na kawałki. Co do Ulixesa, to wydawało się, że nic sobie nie robi z morskich żywołów, gdyż jadł niewiele i poruszał się kołyszącym krokiem po chwiejącym się pokładzie. Natomiast Flawiusz i Olus zwieszani na relingu oddawali Neptunowi w ofierze zawartość swoich żołądków. Któregoś poranka zza horyzontu wysunęły się błękitnoszare zbocza wybrzeża fenickiego. Gdy wieczorem zakotwiczyli w rozświetlonym Berytos, Olus zakasał tunikę wokół kościstych bioder i biegiem ruszył po trapie na brzeg - tylko po to, aby się przekonać, że teraz i stały łód kołysze się pod nogami!

Gdy tylko znaleźli się w mieście, Ulixes wymruczał coś o jakimś ślubie zobowiązującym go po szczęśliwie odbytym rejsie do natychmiastowego złożenia ofiary w wielkiej świątyni boga Baala. Słyszac to, pozostali kupcy pokiwali tylko głowami i sami wyruszyli na północ, aby nabyć farbowaną purpurą wełnianą tkaninę. Mieli się z nimi spotkać w Byblos i stamtąd już razem kontynuować wędrowkę w kierunku Palmiry.

Tak więc Ulixes, Flawiusz i Olus, kiwając się na swoich mułach, ruszyli wraz z długą kolumną innych pielgrzymów ku Heliopolis. Powoli na równinie wyrosły portyki świątyni wsparte na gigantycznych kolumnach, przy których domy wyglądały jak dziecinne zabawki.

Po długich poszukiwaniach znaleźli izbę i miejsce dla swoich zwierząt na wschodnim skraju miasta, zaraz w pobliżu źródła. Wszystkie gościńce pękały w szwach, a na każdym rogu ulicy wydzierali się handlarze, zachwalając sprzedawane figurki bóstwa. Tu stał stół pełen statuetek z brązu w połączonych kapturach, tam widać było całe szeregi glinianych Baalów, wszystkie ukoronowane wieńcem z kłosów oraz z gwiazdami na płaszczach. Zaciekawiony Olus sięgnął po jedną z nich i natychmiast jak spod ziemi wyrósł obok niego handlarz, zasypując Gala lawiną niezrozumiałych słów.

Rudowłosy przybysz odpowiedział po łacinie, na co kupiec wzruszył jedynie ramionami, a kiedy Olus próbował porozumieć się z nim w swoim ojczystym języku, sprzedawca, nie namyślając się długo, wyrwał mu z rąk mały talizman i postawił z powrotem na kramie.

- Po jakimu tu rozmawiają? - zapytał Olus Ulixesa. - W Be-rytos łacinę słyszało się na każdym rogu.

- Berytos jest już od dawna rzymską kolonią i siedzibą jednej z największych szkół prawa w Cesarstwie. Ale poza stolicą ludność posługuje się aramejskim, greckim, a czasem arabskim.

- Ani trochę nie pojmują łaciny ani galijskiego, choćby nawet tyle? - rudzielec rozstawił nieco kciuk i palec wskazujący.

- Prości ludzie na pewno nie. Urzędnicy i wojskowi znają łacinę, ale galijski jest tutaj zupełnie bezużyteczny - stwierdził Ulixes, rozglądając się wokoło. - Mógłbyś się poduczyć nieco aramejskie-go, którego ani Flawiusz, ani ja nie znamy.

- E tam! - Olus nie miał na to najmniejszej ochoty.

Na statku czuł się nieco pewniej, gdyż część marynarzy pochodziła z Galii. Trącenie w bok wyrwało go z zamyślenia. Tłum w uliczce jeszcze zgęstniał, wszyscy przepychali się w jednym kierunku. Ulixes zwrócił się do jednego z wymieniających pieniądze bankierów zasiadających pod ścianą:

- Co się dzieje, dokąd oni spieszą?

- Nie wiecie tego, cudzoziemcze? Dziś wieczorem w świątyni Baala składa się ofiarę z byka. Dlatego taki tłok!

Ulixes ujął obu przyjaciół pod rękę.

- Chodźcie, to już pewnie niedaleko!

Słońce zaszło za górskimi szczytami, gdy przed nimi na tle wieczornego nieba wyrosły kontury świątyni. Tętniąca gwarem tysięcy głosów ludzka ciżba rozlała się po placu przed świątynią, zgęstniała przed oświetlonym pochodniami wejściem, po czym ruszyła

powoli w górę po dwustu schodach prowadzących ku propylejom. Strzeliste kolumny, które z trudem mogłoby objąć dwóch dorosłych mężczyzn, wspierały trójkątny fronton ozdobiony pośrodku łukiem. Czerwony, gruboziarnisty egipski granit wypolerowały dołem tysiące rąk, w górze zaś ich złożone głowice połyskiwały w mroku niczym gniazda egzotycznych ptaków. W niszach tylnej ściany przedsionka znajdowały się posągi, które migoczące światło zdawało się budzić do drżącego życia, lecz nikt nie zwracał na nie uwagi, gdyż ścisk stawał się coraz większy. Teraz wszyscy musieli przecisnąć się przez trzy położone obok siebie portale, jednak Ulixes, Flawiusz i Olus mieli przy tym szczęście. Tłum przepchnął ich przez środkowe przejście na sześciokątny, otoczony kolumnami podwórzec. Mieli chwilę na zacerpnięcie tchu, ale zaraz poczuli na plecach ciężar spoconych ciał innych pielgrzymów. Następne zwięzienie, dalsze trzy portale i wreszcie mogli odetchnąć. Ludzki żywioł wylał się na kolejny przestronny dziedziniec, na którego skraju stał szpaler żołnierzy w spiczastych hełmach i z pochodniami w ręku. Po prawej i lewej stronie znajdowały się sadzawki, a pomiędzy nimi niczym czarna bryła przyczał się ołtarz ofiarny. Lecz nawet jego kanciaste zarysy wydawały się niczym w porównaniu z ogromem stojącej na drugim planie świątyni. Podobnej budowli Flawiusz jeszcze nie widział i już nigdy w życiu miał nie zobaczyć: nie zdając sobie z tego sprawy, znalazł się przed najpotężniejszą rzymską świątynią w całym Imperium. Wszystko tu miało gigantyczne rozmiary: gzyms dachu, widziany z dołu jako pas ozdobiony lwimi głowami, czy kolumny - żeby je objąć, potrzebnych było czterech dorosłych mężczyzn.

Gwar ludzkiej cizby narastał, raz po raz rozlegały się głośniejsze okrzyki. „Baal, Baal” - trzech cudzoziemców nie było w stanie więcej zrozumieć, ale fanatyczny zapal był obcy im, Rzymianom,

przyzwyczajonym do pełnych dostojęstwa, uroczystych ceremonii świątynnych. Tu natomiast wydawało się, że każdy z zanoszących modły na własną rękę chciał się rozmówić z Baalem, panem błyskawic i burz. Jego wyznawcy stłoczyli się na dziedzińcu, jedynie pośrodku pozostawało wąskie przejście. Flawiusza gniótł w plecy brzuch stojącego za nim grubasa, czuł gorący oddech zionący czosnkiem, a tymczasem jego własny podbródek wbijał się w ramię pielgrzyma przed nim.

Ciemności nocy przeciął grzmot trąb. Na ołtarz weszło czterech mężczyzn trzymających w rękę żagwie. Niczym za podmuchem wiatru lud ze wzniesionymi dłońmi osunął się na kolana. Mężczyźni podeszli do rogów, pochylili pochodnie, z ciemności wyłoniły się zarysy płaskich czar z brązu. Przez chwilę zdawały się pochłaniać światło, lecz zaraz pojawił się ogień - cztery wysokie, dymiące płomienie buchały ku niebu, a w nos Flawiusza uderzył gryzący odór.

- To pewnie mieszanka perskiej nafty, oliwy z oliwek i kilku tajemnych dodatków kapłańskich - szepnął Ulixes, dostrzegając pytający wzrok młodego przyjaciela.

Ponownie nad głowami skulonych ludzi rozbrzmiał ryk rogów. W jednej chwili zgromadzone tysiące pogrążyły się w milczeniu, słychać było jedynie żalosne zawodzenie fletów. Na ołtarzu ubrany na biało kapłan całymi garściami rzucał kadzidło na rozżarzone węgle, aż kłęby ciężkiego aromatycznego dymu zasnuły powietrze nad placem. Głośne sapnięcie, głowy wszystkich odwróciły się. Czterech młodych mężczyzn w krótkich, przewiązanych w pasie tunikach, z trójką nożami przy pasach, podprowadziło białego byka. W ciszy słychać było jedynie klaskanie ich sandałów i postukiwanie kopyt zwierzęcia. Przy ołtarzu jeden ze sług zdjął z jego grzbietu purpurową narzutę, odwiązał łagodnymi ruchami od rogów sznury modlitewne oraz kolorowe wstęgi, gdy tymczasem

inny gładził jego pysk. Trzeci podał mu jakiś smakołyk, a czwarty dokonał rytualnego obmycia winem. Wszystkie czynności wykonywane były niespiesznie, uroczystie i spokojnie, aby nie spłoszyć zwierzęcia, które w razie oporu nie będzie mogło być wybrane na ofiarę.

Ale byk stał spokojnie, nie zważając na mężczyznę, który niczym cień pojawił się obok niego, z dręczącą powolnością uniósł młot, po czym jak błyskawica opuścił go na rogaty łeb. Trzask pękających kości, głuche stęknienie, zwierzę zachwiało się i upadło na ziemię. Doscoczyło do niego dwóch sług i sięgnąwszy po noże, poderżnęli mu gardło. Z rozciętej tętnicy wytrysnęła fontanna krwi, tysiące gardeł wykrzykiwało „Baal”, zaś posługacze odwrócili nieruchomiejące zwierzę na grzbiet. Zjawił się wysoki dostojnik o gęstych ciemnych włosach w wyszywanym złotem płaszczu, przyglądając się bezradnie leżącej ofierze, a potem gestem przywołał następnego sługę. Ten ukląkł i pewnym ruchem rozciął brzuch drgającego jeszcze byka. Kapłan zbliżył się ponownie i pochylił nad płataniną wnętrzości. Długie, wnikliwie spojrzanie, po czym wyprostował się i wzniosłszy ramiona, zawołał coś niezrozumiałego do tłumu. Odpowiedzią były tysięczne wiwaty. Baal okazał się łaskawy i przyjął ofiarę!

Trzej słudzy zanieśli krwawe wnętrzości na ołtarz, ku palącemu się tam ogniowi. Ofiara dla bóstwa wylądowała z sykiem na żarze, a powietrze napełnił swąd spalonego mięsa. W dole tuzin niewolników pociągnął martwego byka po kamiennych płytach dziedzińca. Jego mięsem nasycą się wyznawcy podczas uczty. Po chwili uprzątnięto krew, ciemne plamy zasypano świeżym piaskiem, przygotowując wszystko do złożenia następnej ofiary.

Kapłan jeszcze dwukrotnie powtórzył cały rytuał, a towarzyszył mu jeszcze głośniejszy aplauz, gdyż za każdym razem oznajmiał, że bóstwo jest przychylne.

Ulixes pochylił się ku stojącemu obok niego mężczyźnie, szepcząc mu do ucha:

- Kim jest składający ofiarę?

Zapytany spojrział na niego zdumiony.

- Przybyliście pewnie z dalekich stron. To Bassianus, najwyższy kapłan.

Rzymianin zawahał się przez chwilę, jak gdyby nie wiedział, czy może zapytać o coś jeszcze.

- "Wybaczcie moją niewiedzę, ale w rzeczy samej, przybyłem z daleka z powodu złożonego ślubu. Jak mógłbym mu przedstawić moją sprawę?

- Zagadnijcie go, gdy podejdzie do wyjścia. Po udanej ofercie jest najczęściej w dobrym humorze.

- Dzięki i niech Baal ma was w swojej opiece!

- Was też, cudzoziemcze.

Nieco później Ulixes wraz ze swoimi towarzyszami zajął miejsce przed środkowym portalem prowadzącym z wewnętrznego dziedzińca na sześciokątny podwórzec. Gdy w towarzystwie czterech sług niosących pochodnie pojawił się najwyższy kapłan, Aquila upadł przed nim na kolana, zawodząc jak chory błagający o uzdrowienie. Dostojnik przystanął, pochylając się, a Rzymianin wyszeptał mu do ucha:

- *In girum imus nocte et consumimur igni* (Przewracamy się nie spokojnie nocą trawieni ogniem).

Na pociągłej, niczym wykutej z kamienia, twarzy kapłana nie pojawiły się żadne emocje. Oznajmił tylko obojętnym głosem:

- Bądźcie jutro w południe przy wejściu do świątyni Astarte.

Tam wam udzielą pomocy.

To powiedziawszy, wyprostował się i w chwilę później zniknął w cieniu kolumn.

- Jeśli nadal będziecie tak postępować, łaskawa pani, to nigdy nie znajdziecie sobie męża!

Arabski akcent starszej kobiety nadawał jej głosowi nieco gardłowe brzmienie, podczas gdy ozdobione tatuażami z czerwonej henny ręce wystukiwały rytm na bębunku. Gdy tak mówiła, wokół jej ust błąkał się uśmiech, a obwiedzione ciemną kreską oczy promieniowały ciepłem.

Stojąca przed nią dziewczyna nie zważała na jej słowa. Były jej znajome niczym cykanie świerszczy albo poszum wiatru i rozbrzmiewały w uszach, odkąd przed kilkoma laty jej ciało zaczęło się zmieniać. Widząc krew, początkowo myślała ze strachem, że zapadła na jakąś chorobę, ale jej stara piastunka orzekła z uśmiechem:

- Aqmat, stałaś się kobietą i wkrótce zjawi się jakiś młodzieniec, aby zabrać cię pod swój dach!

- Ale ja nie chcę, żeby mnie zabierano. Nie życzę sobie rozkazującej mi teściowej. Mam zamiar zostać tutaj i przewodzić karawanom, tak jak mój ojciec!

Przy tym z jej szmaragdowych oczu sypały się skry, tupiała nogą i odrzucała dumnie głowę do tyłu, aż długie loki w kolorze starego złota zaczynały fruwać w powietrzu. Wtedy stara służka uśmiechnęła się tylko, lecz teraz, spoglądając na swoją podopieczną, coraz częściej się o nią martwiła. Dziewczyna osiągnęła wiek szesnastu lat, a jej upór nie malał. Rówieśnice wyszywały piękne chusty, przyglądały się uważnie gotującym niewolnicom, spędzały całe godziny przed lustrem i plotkowały o młodych mężczyznach spacerujących dumnie w wyszywanych złotem ubiorach, a Aqmat tymczasem dosiadała swojego wielbłąda niczym wojownik, z upodobaniem spędzała noce przy ogniskach na pustyni i prawie nie było dnia, żeby w rodzinnym domu nie uprawiała gimnastyki.

Właśnie poruszała się w rytm uderzeń tamburyna, nieomal naga, jedynie z przepaską na piersiach oraz biodrach i spiętymi na karku włosami. W dłoniach trzymała dwa ciężarki do skoków, wymachując nimi na bok, do góry, przed siebie i w tył, aż na jej czole pojawiły się krople potu.

- Piękna dziewczyna, ale zbyt szczupła. Mniej gimnastyki, a za to pełniejsze pośladki i piersi. To się podoba mężczyznom, a nie amazonka. Z takim wyglądem to może weźmie cię do swojej armii Bathzabbai, ale nie zaden zalotnik z Tadmor! - westchnęła piastunka.

- Z tych wyszywanych perlami worów pieniędzy nie chcę ani jednego! - Aqmat wysapała odpowiedź, gdyż tak intensywnie jak dzisiaj jeszcze nigdy nie ćwiczyła. - Po kąpieli przygotuj mi strój do jazdy i powiedz w stajniach, żeby osiodłano Szamasza. Chcę potem udać się na przejażdżkę, i to sama! Nie mam zamiaru pozbywać się najpierw trzech natrętnych adoratorów, tak jak ostatnim razem!

Starsza kobieta pokręciła głową. Przecież miała dobre zamiary. Pomiędzy stu tysiącami mieszkańców Tadmor musiało przecież być dość młodych mężczyzn ze szlachetnych rodzin. Ale nie, żaden nie pasował. Dlatego zaledwie wczoraj złożyła Allat niewielką ofiarę, prosząc boginię o zmiękczenie serca nielitościwej dziewoi.

Flawiusz uniósł się na siodle, próbując wypatrzeć, co kryje się za zakrętem drogi. Trakt przeciskał się pomiędzy górami, których zbocza pokrywały kępy suchej trawy i osypujące się czarne kamienie, przypominającymi garby brunatnych wielbłądów, jakie coraz częściej napotykali w drodze na Wschód. W przemierzanych od kilku dni okolicach nie było wody, gdyż przez niezliczone lata jej źródła do cna wypalone zostały przez bezlitosne upały.

- ...i zgadnij, ile ślimaków potrzeba na tę ilość barwnika purpurowego?

Chudy jak szczapa handlarz jadący obok niego na mule objął swój mały palec prawej ręki w ten sposób, że widziało się jedynie ostatni paliczek z paznokciem. Flawiusz westchnął. Coś odpychało go od tego człowieka o zimnych oczach błyszczących niczym dwie srebrne monety, gdy zaczynał opowiadać o interesach. A robił to prawie bez przerwy! Na statku złożony niemocą leżał przynajmniej z pozieleniałym obliczem w kącie kabiny, ale na lądzie siły mu wróciły i przyczepił się do młodego Rzymianina niczym rzep do psiego ogona.

- Około dziesięciu tysięcy, mówiliście mi o tym już wczoraj i przedwczoraj...

- No właśnie. Zbiera się ślimaki, wyciąga ze skorup, wycina gruczoły z barwnikiem, po czym gotuje się je przez całe dnie w roztworze soli. To cuchnie...

- ...jak zepsuta ryba - Flawiusz znał już te narzekania.

- Zgadza się. A kiedy już mięso oddzieli się od gruczołów, wywar się filtruje i można rozpocząć proces farbowania wełny. Rozumiecie teraz, jak nasi bogaci klienci w Rzymie mogą narzekać, że purpura jest zbyt droga?

Flawiusz doskonale to pojmował, gdyż wiedział o uzyskiwanych przez handlarzy profitach, lecz nie bardzo się tym przejmował. Milczał, patrząc przed siebie, gdzie droga szerokim łukiem skręcała w lewo. Nagle jego człapiący dotąd spokojnie mul wydał nozdrza, zastrzygł uszami i przyspieszył kroku.

Młody człowiek uniósł się w siodle, spojrzął ku horyzontowi, zmrużył oczy, a potem odwróciwszy się, zawołał do towarzyszy:

- Palmira! Widzę palmy Palmiry!

Kilkaset kroków dalej, zanim trakt zaczął opadać w dół, przewodnik karawany zatrzymał na chwilę grupę. Dziesięciu jeźdźców patrzyło z góry na rozciągającą się przed nimi brunatną równinę, pośrodku której kołysało się na wietrze morze zielonych czubków

palm. Zaraz jednak spojrzenia wszystkich przyciągnęło miasto rozciągające się na lewo od drzew aż do podnóża gór.

- Co to takiego, po prawej stronie miasta, przy zagajniku pal mowym?

Flawiusz wskazał na mur podzielony pilastrami i wnękami okiennymi, sponad którego wystawał dach ozdobiony zębatymi blankami.

- To pośrodku to górna część świątyni Baala. Mur broni świętego okręgu, który wy, Grecy, nazywacie temenos. W środku otacza go kolumnada.

Dla prowadzącego karawanę szczupłego mężczyzny o haczykowatym nosie i ogorzałej twarzy wszyscy obcy z krainy zachodzącego słońca byli Grekami, gdyż znał tylko ten język. Zdawało się, że na widok swojego ojczystego miasta urósł nawet nieco z dumy, a kiedy wyczuł napiętą uwagę podróżnych, kontynuował:

- Widzicie ten wielki łuk na lewo od świątyni? Wzniesiono go z okazji odwiedzin cesarza Hadriana. Od tego miejsca obramowa na kolumnadą aleja przecina całe miasto.

Wyciągnięty palec lewej ręki wskazał na szereg kolumn ciągnący się prawie aż do górskich zboczy, po czym skierował się w inną stronę.

- Ta półkolistą budowla w pobliżu łuku Hadriana to teatr, obok położone jest forum, a z tyłu, gdzie krzyżują się drogi, widzicie tetrapylon.

Przewodnik wskazał na wysoko wznoszące się konstrukcje składające się z kilku elementów, lecz nawet bystrooki Flawiusz nie mógł dostrzec szczegółów. Powędrował więc wzrokiem po labiryncie domostw, najczęściej glinianych kostek z niewielkimi okienkami i płaskimi dachami, obramowanym długim murem miejskim. Fortyfikacja wspinała się nawet na zachodnie zbocza i obejmowała

kilka dziwacznych kamiennych wież, które skupiły się nieco dalej w kilka grup, jak gdyby obawiając się, że muszą same przetrwać na pozbawionym wody pustkowiu.

Również Ulbces przyglądał się miastu i murom, wiedząc dobrze, że jego potęga zasadza się nie na umocnieniach, lecz na bogactwie, położeniu na pustyni oraz cieszących się zasłużoną sławą palmirskich łucznikach.

Rozmyślenia przerwało mu gruchanie gołębia, przypominając o spotkaniu z Bassianusem w Baalbek. Arcykapłan czekał na niego w przedsionku świątyni Astarte, mniejszej z dwu budowli sakralnych, mającej tak potężne skrzydła bramy, że dałoby się przez nie wnieść stojące drzewo. Milczącym gestem zaprosił Ulixesa do wnętrza rozświetlonego płomieniami mnóstwa lampek oliwnych, błyszczących niczym gwiazdy na nocnym niebie. Naprzeciwko wejścia królował pod baldachimem posąg bogini, a ściany ozdabiały dwa ciągi położonych piętrowo nisz. Więcej nie dało się dostrzec. Bassianus zachowywał początkowo ostrożny dystans i dopiero kiedy przekonał się, że ma przed sobą wysłannika Rzymu, przeszedł do relacjonowania sytuacji w okupowanej Syrii.

Aquila słuchał z uwagą, aż do chwili, gdy kapłan dał mu znak, by poszedł za nim. W sąsiednim budynku gruchała niezliczona liczba gołębi, zaś Bassianus wybrał jednego z nich i zamkniętego w klatce wręczył Ulixesowi. Tym sposobem ukryty ptak podróżował przez syryjski step, od wielu dni kołysząc się na grzbiecie jednego z jucznych wierzchowców, a pewnie niezbędne okazałyby się skomplikowane wyjaśnienia pełne mistycznych sugestii, aby wytłumaczyć jego obecność pozostałym kupcom.

Ulixes wrócił do rzeczywistości, gdy przewodnik dzielił swojego muła trzciną po pęcinach i cała grupa ruszyła dalej. Po drodze Syryjczyk wskazał na małą grotę obok drogi.

- Tutaj znajduje się źródło Efqa, bez którego całe to piękno uschłoby z pragnienia.

Wzbity kopytami zwierząt pył poniósł się ku karawanie rozłożonej obozem przy wodopoju. Zawinięte w brązowe sukno, ściągnięte sznurami pakunki z towarami piętrzyły się pomiędzy spiczastymi namiotami, a przy płonących przed nimi ogniskach przykucnęli ciemnoskórzy mężczyźni. Na skraju obozowiska przysiadły wielbłądy, których owłosione głowy z mięsistymi chrapami i dumnie spoglądającymi oczami wodziły za przeciągającymi jeźdźcami.

Nieco dalej znaleźli się przy bramie podobnej do rzymskiego łuku tryumfalnego. Przejechali pod jego środkowym przesłem, podczas gdy tragarze i robotnicy pchający wózki przeciskali się przez dwa niższe boczne przejścia. Za nią trakt przechodził w owalny plac otoczony kolumnami z wysuniętymi podestami, z których na zmęczonych przybyszów spoglądały naturalnej wielkości posągi z brązu. Flawiusz zwrócił się do przewodnika:

- Co to za pałac?

Przez pomarszczone oblicze mężczyzny przemknął lekki uśmiech.

- To, młodzieńcze - ręka zatoczyła krąg - to po prostu Brama Damasceńska będąca wejściem do miasta.

Młody człowiek milczał. Ten przepych przewyższał nawet pełne przesady opowiadania, jakimi jego syryjski grammaticus obudził w nim tęsknotę za dalekimi krajami.

Zatopiony w myślach został całkowicie zaskoczony przez kolejne wydarzenia.

Werbel kopyt, przed nim niewyraźny żółty zarys, a na nim cień jakiejś postaci. Jego mul spłoszył się, szarpnął i zerwał w bok. Jeździec stracił równowagę i runął w proch, koziółkując w tył. Uderzenie okazało się tak mocne, że na chwilę stracił przytomność.

Tuż przed bramą amazonka zatrzymała wielbłąda i ostrymi okrzykami zawróciła go, przyglądając się gromadce ciekawskich zebranych wokół zakurzonego rozbitka.

Kłęczący przy Flawiuszu Ulixes usłyszał dobiegające z góry zadane po grecku pytanie.

- Czyżby ten nieszczęśnik spadł z muła?

Aquila podniósł wzrok i zobaczył młodą kobietę o dzikiej urodzie i dumnym obliczu. Kilka kosmyków upiętych wysoko rudawych włosów opadło jej na policzki, a marszczona suknia miała prosty krój, lecz była ze szlachetnej błękitnej tkaniny. W tonie jego odpowiedzi słyszało się sarkazm.

- Ależ skąd! On zawsze tak zsiada.

Głośnie chichoty dowiodły, że większość gapiów rozumie grekę.

W tej chwili Flawiusz odzyskał przytomność. Oszołomiony otworzył oczy, widząc, kto okazał się sprawcą jego upadku. Gdy ból i odurzenie minęły, poczuł względem Palmiry głęboką niechęć.

→| |←

Ogień ofiarny już dawno wygasł i aromat spalonego mięsa jeszcze tylko od czasu do czasu zawiewał od strony ołtarza. Całe tuziny pochodni oświetlały masywne triclinium, na którym zajęli miejsce goście honorowi. W większości mężczyźni, pomiędzy nimi kilka kobiet, wszyscy w cennych szatach - cennych nawet dla tego miasta, w którym bogactwo stało się tak codzienne, że nawet odziany w łachmany żebrak zwracał większą uwagę niż zamożni w swych kapiących od złota strojach.

Przed każdym z gości ustawiono okrągły stolik ze srebrnymi nakryciami, a jedynie pośrodku w migotliwym świetle błyszczowało złoto ozdobione błękitnym lapis-lazuli i wysadzone purpurowymi rubinami. Nikt jednak na to nie zważał, gdyż oczy wszystkich zwrócone były na kobietę w wieku około trzydziestu lat wżno-

szącą właśnie napełniony winem kielich. Pochyliła się do przodu, pomijając młodego mężczyznę o spiczastym nosie siedzącego po jej prawicy, a przyciągając za to ku sobie spojrzenie kanciastego żołnierza zasiadającego jedno miejsce dalej.

- Generale Zabdas, ofiary wypadły pomyślnie. ^Cypijmy za szczęśliwy przebieg kampanii egipskiej i za pomyślną przyszłość!

Jej prawie męski głos uciszył wszystkie rozmowy. Nadbiegł pokornie skulony niewolnik, aby ponownie napełnić władczyni puchar, gdy tymczasem obecni powstałi z miejsc, szeleszcząc brokatem tkanin.

- Spełniłem jedynie mój obowiązek, Bathzabbai, bo komuż należy się korona Egiptu, jeśli nie wam, drugiej Kleopatrze! - za grzmiał głos żołnierza.

W przeciwieństwie do ciemnoskórej kobiety siedzącej prosto po rytualnej uczcie i niezliczonych szklanicach wina, z trudem utrzymywał się na nogach. Uniósł kielich i zataczając się lekko, przyłożył go do ust, zaś królowa uśmiechnęła się, ukazując dwa rzędy perłowych zębów, i zwróciła się do młodego człowieka siedzącego obok niej, skubiącego rzadką bródkę.

- Waballacie, wypij z nami. Idzie także o twoje panowanie!

Młodzieniec spojrział na nią zaskoczony, po czym pochwycił swój puchar i tak nerwowo podniósł go ze stolika, że czerwone wino splamiło mu togę.

Bathzabbai wypięła łyk, a potem niechętnym wzrokiem spojrzała w drugą stronę, tam gdzie w ciemnościach rysowały się kolumny wielkiej świątyni Baala. Na dachu żarzył się ogień ofiarny, z którego ku bezchmurnemu niebu unosił się słup kadzidlanego dymu, a na tle usianego gwiazdami nieba odznaczały się ostre krawędzie spadzistych blanków. Opuściła oczy, napotykając pytający wzrok siwowłosego mężczyzny po lewej stronie.

- Nic takiego, Longinusie. Jedynie ciężar władzy ciąży w nie które dni bardziej niż zwykle. A także i niepewność, która z dróg jest właściwa.

Zagadnięty gość przeczesał palcami kędzierzawą brodę.

- Trapicie się, że cesarz Aurelian, przemierzywszy prowincje naddunajskie, maszeruje dalej na wschód?

Kobieta przytaknęła.

- Jak nam doniesiono, pokonał Gotów, a także minął już zajęta przez wrogów Dację. Być może odważyliśmy się na zbyt wiele.

Starszy człowiek wyprostował się i przyjmując godną postawę, wyrecytował melodyjnym głosem:

- „Na to odparł jej Zeus gromowładny: jakaż to mowa pły nie z warg twoich...”

Rozmówczyni gestem nakazała mu milczenie.

- Moja żywa biblioteka, tak przecież mówią o was, Longinusie? Wiem, że znacie Homera, a także wiele innych czcigodnych pism. Tylko że to mi teraz nie pomoże. Co dotąd okazywało się słuszne, wcale nie musi być takie jutro.

- W rzeczy samej, moja królowo, w rzeczy samej. I to właśnie odnosi się do Rzymu. Imperium jest niczym potężne plemię trawione obecnie zarazą zepsucia. Podczas gdy cesarze skaczą sobie wzajemnie do gardeł, barbarzyńcy bez przeszkód plądrują jedno miasto za drugim - mówca gestykulował żywo, a jego oddech przyspieszył. - Od trzech stuleci rzymskie legiony panoszą się we wszystkich krainach wokół Morza Śródziemnego. Dopóki ich poborcy podatków domagali się srebra w umiarkowanych ilościach, a my mieliśmy za to ochronę, dopóty mogło tak być. Ale teraz zdzierają z nas ostatnią koszulę, i co z tego mamy? - Longinus spojrział na władczynię. - Nic, dosłownie nic! Gdzie byli Rzymianie, gdy filozofowie, tacy jak ja, musieli uciekać z Aten przed He-rulami? Gdzie były legiony, gdy ci barbarzyńcy podpalili Partenon?

Gdzie byli ci władcy świata? Pławili się w ciepłych termach, obże-
rali na wystawnych ucztach, zażywali uciech w alkowach!

Jego podniesiony głos zwrócił uwagę wszystkich. Pod krokami
zbliżającego się Zabdasa zazgrzytał piasek. Generał nosił partyjskie
pludry z szerokimi ozdobnymi lampasami oraz czerwone kamasze
z wysokimi cholewami. Wierzchnie okrycie miał krótkie, zaś cało-
ści ubioru dopełniał ciepły płaszcz.

- Nie potrafię pięknie przemawiać, to wie każdy z was. Moja
mowa jest innego rodzaju. Ale powiadam wam - żołnierz spojrzął
na obecnych jak wódz na swoje wojska - powiadam wam, że nasz
żywy Museion ma rację.

Tu uderzył pięścią prawej dłoni w otwartą lewą dłoń i zawołał:

- Rzym upada. Nadszedł czas nowej potęgi!

Królowa wzięła resztkę chleba z rytualnej uczy i rozkruszyła go
w palcach.

- Miłujecie rzemiosło wojenne, Zabdasie, walkę, zwycięstwo
i łupy, jęki rannych i zapach krwi wsiąkającej w piach. A jeśli nie
odniesiemy zwycięstwa, to co wtedy?

Jej wzrok powędrował ku generałowi.

- Wolalabym uniknąć zerwania stosunków z Rzymem.

- Ale tego da się uniknąć, moja królowo! - głos Longinusa za-
brzmiał nadzwyczaj spokojnie.

- Waballat jest rzymskim senatorem, synem króla, który prze-
pędził Szapura i uratował dla imperium prowincje na Wschodzie.
Ma większe prawa do tronu niż ktokolwiek inny. A kim naprzeciw
niego jest ten Aurelian?

Pytające spojrzenie wokoło.

- Jeden z wielu z całej bandy cesarzy i uzurpatorów, którzy
w ostatniej dekadzie objęli władzę. Walerian? Zginął w Persji. Ma-
krian i Kwietus? Zamordowani. Salonin? Zamordowany. Galien?

Zamordowany. Postumus, Mariusz, Laelian, Wiktoryn? Wszyscy zgładzeni. Klaudiusz? Na odmianę zmarł na dżumę. Jego brat Kwintyllus? Sam odebrał sobie życie. I tego karierowicza z prowincji naddunajskich miałby spotkać inny los? Uwierzy w *to* ktoś? Głos Greka drżał, gdy szerokim gestem zdawał się domagać od słuchaczy potwierdzenia swoich słów. Na koniec dodał jeszcze:

- Mówię wam, Rzym może się cieszyć, jeśli Waballat, senator, sięgnie po berło. Zgnuszniali Rzymianie będą nas całować po sto pach i bić nam pokłony.

To powiedziawszy, zwrócił się do sąsiada po lewej stronie.

- Niechaj nasz arcykapłan opowie swój sen!

Zagadnięty wykonał obronny gest, lecz królowa spojrzała na niego, wbijając weń nieprzeniknione, ciemne oczy.

- Sen, Haddudanie, dotyczący naszego państwa czy mnie?

Odpowiedzią było milczące przytaknięcie.

- Nie zwlekajcie. O czym śniliście i co zobaczyliście? Kapłan wstał, zgarniając dłonią z tuniki okruszki chleba, które zaczepiły się na złotych nitkach. Potem ułożył długi, spadający mu z ramion płaszcz spięty złotą spinką. Zanim rozpoczął przemowę, głośno odchrząknął.

- Stało się to ostatniej nocy, gdy zobaczyłem miasto Rzym. Stopnie świątyń, łuki akweduktów, dachy domów - wszędzie ustawili się ludzie, klejąc się do każdego występu muru niczym muchy. Wpatrywali się w długą procesję przeciągającą przez ulice. Nie mogłem rozpoznać szczegółów, ale wszyscy zdawali się wiwatować, być może do miasta wjeżdżał nowy cesarz.

- A co to ma wspólnego ze mną? - w głosie władczyni słychać było zniecierpliwienie.

- Wydawało mi się, że niczym orzeł szybuję nad miastem i nagle w dole ujrzałem w procesji Waballata i was, Bathzabbai.

- I jak wyglądałam, miałam na sobie królewskie szaty, ozdoby?

Kapłan zamyślił się przez chwilę.

- Wyglądaliście jak królowa.

- Czy to możliwe, że był to tryumfalny wjazd do Rzymu?

Haddudan zdawał się zastanawiać, aż wreszcie odparł.

- Tak, to możliwe, lecz nie wyglądaliście na szczęśliwą.

Królowa uśmiechnęła się, poprawiając purpurowy płaszcz.

- My, władcy, nigdy nie zaznajemy szczęścia, gdyż nasze troski rosną wraz z królestwem.

Zaraz też zwróciła się do swoich gości.

- To dobre zakończenie uczty ofiarnej, więc rozejdźmy się. Za nim to jednak nastąpi, powiem wam, kto urządzi następny pochód tryumfalny w Rzymie!

Skupiły się na niej oczy wszystkich, gdy szerokim gestem ujęła skraj płaszcza, krocząc ku wyjściu ze świątyni. Tam odwróciła się jeszcze.

-Ja! Bo któż inny?

Haddudan spoglądał za nią w zamyśleniu, gdy nagle poczuł na ramieniu dotyk czyjejś dłoni.

-Ach, to ty, Orodese, mój przyjacielu. Przynajmniej jeden, który nie ma manii wielkości.

- Ostrożnie - zagadnięty położył palec na ustach. - Tam dalej stoją Longinus, Zabdas i Zabbaeus.

Kapłan zerknął przez ramię.

-Wspaniała kolekcja fanatycznych wrogów Rzymu. Wychowawca księcia, generał i prefekt miasta. A kim jest ten czwarty? Nie widziałem jeszcze tego chudzielca.

Orodes wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że to jeden z kupców, który przybył wczoraj z małą karawaną.

Haddudan nie umiał ukryć zdziwienia.

- I zaraz spotyka się z najwyższymi dostojnikami miasta pod czas świętej uczty? To mi pachnie jakąś intrygą.

Orodes przytaknął, spoglądając w kierunku pozostałych mężczyzn.

- I mnie się tak wydaje. Czy mamy już jakieś wieści z Rzymu? Kapłan zaprzeczył.

- Jeszcze nie, ale spodziewam się przybycia tajnego agenta.

- Wobec tego ruszajmy, robi się chłodno.

Pomimo późnej pory ludzka ciżba tłoczyła się na skraju oświetlonej pochodniami, ozdobionej kolumnadą alei. Choć każde zwycięstwo powiększało wpływy Palmiry, to jednak królowa pokazywała się coraz rzadziej w stolicy. Również Ulixes, Olus i Flawiusz dowiedzieli się od swojego szynkarza, że po uczcie w świątyni Zenobia powróci do swojego pałacu, więc nie chcieli przegapić tak wspaniałego widowiska. Okazało się jednak, że przybyli zbyt późno, więc nie pozostawało im nic innego, jak tylko wyciągać szyje koło Łuku Hadriana, żeby cokolwiek zobaczyć. W tym momencie usłyszeli głośne rzenie, a od strony świątyni Baala zaczął się zbliżać dwukołowy powóz ciągnięty przez parę siwych rumaków. Stała w nim kobieta trzymająca w prawej ręce cugle, a lewą pozdrawiająca zgromadzonych poddanych. Flawiuszowi udało się dostrzec jedynie rozpuszczone włosy o ciężkich lokach, przyozdobione wysadzonymi perłami diademem. W chwilę później stracił ją z oczu. Postać ubrana w powiewający, purpurowy płaszcz, sprawiający o zmierzchu wrażenie czarnego, zaczęła szybko maleć i tylko unoszący się w powietrzu kurz świadczył, że faktycznie widzieli Zenobię.

50 V e i c

Gdy ucichł turkot kół, ciżba ludzka zaczęła się rozchodzić. Uli-xes wraz z Flawiuszem i Olusem wrócili do gospody, gdzie nad wejściem greckimi literami napisano „Pandocheion”.

- „Dla wszystkich” - mruknął zamyślony Aqula. - Przyjazna na zwa, więc ufajmy, że i my, Rzymianie, będziemy tu chętnie widziani.

Flawiusz spojrział na niego, ale zapadające ciemności sprawiły, że nie dostrzegł wyrazu jego twarzy.

- Skąd te wątpliwości?

- Nie wiem. Tyle tylko, że wydaje mi się, iż odniesione zwycięstwa uderzyły Palmireńczykom do głowy. Ale nie dyskutujmy o tym na podwórku, tylko wyjdźmy na górę - Aqula wskazał na prowadzące ku górze schody.

Cała trójka wyszła na taras, skąd zaczęli przyglądać się zabudowaniom miasta wyglądającym jak ciemne kryształy pod usianym gwiazdami niebem. Tylko gdzieś tam pobłyskiwało w oknach światło, a w sąsiadujących budynkach widzieli mieszkańców skupionych przy płonącej lampie. Cykały świerszcze, a gdzieś w pobliżu ktoś najwidoczniej uczył się grać na flecie, gdyż melodia urywała się wciąż w tym samym miejscu.

Ulixes zagał rozmowę.

- Dziś mieliśmy czas, aby obejrzeć ulice i place Palmiry. Ale nie po to przebyliśmy tysiące mil. Moja misja ma na celu przekonanie Zenobii, by ustąpiła, co jest zadaniem trudnym, a być może niewykonalnym - zamilkł na chwilę, po czym usiadł na występie muru. - Gdyby jednak miało dojść do wojny, to musimy zdobyć jak najwięcej informacji o mieście, zapasach, możliwościach obrony, chęci mieszkańców do walki, sile wojsk.

- Zacznijmy już jutro, choćby i od samego rana!

Aqula uśmiechnął się, gdyż wiedział, jak niechętnie opuszcza Olus wygodne łóżce.

- Doceniam twoją ofiarność, ale od wczesnej pory ważniejszy jest dobry plan. Nie ma sensu, żebyśmy w trójkę robili zamieszanie. Powinniśmy raczej działać w pojedynkę, a przede wszystkim nie zwracać uwagi jako Rzymianie albo ich poplecznicy.

Obaj młodszy rozmówcy przytaknęli.

-Ja złożę wizytę Haddudanowi, kapłanowi poleconemu mi przez arcykapłana z Baalbek. Ty, Flawiuszu, podasz się za lekarza chcącego na Wschodzie pogłębić swoją wiedzę. A ty, Olusie, z otwartymi oczyma powłóczysz się dyskretnie po mieście i spróbujesz nawiązać znajomości z prostymi ludźmi.

- Ale przecież nie rozumiem ani słowa!

- To wprawdzie utrudnia zadanie, ale nie jest niemożliwe. Wielu potrafi tutaj choć kilka słów po łacinie. Tym sposobem nie zostaniesz wzięty za rzymskiego szpiega. Jeśli tylko znajdziesz sobie zajęcie, to dowiesz się niejednego, a przy tym uda ci się poduczyc tutejszej mowy.

Olus zastanowił się przez chwilę, a potem wyraził zgodę.

- Dobrze, że tyle potrafię. Gotować, piec, doić krowy, łowić ryby...

Ulixes przerwał mu gestem.

- No i sam widzisz.

Niestety, nie mógł przewidzieć, jakie skutki pociągnie za sobą ten zapal.

Następnego dnia, wystawiając twarz ku grzejącemu słońcu, Ulixes ruszył wzdłuż otoczonej kolumnadą promenady do obwarowanego murem czworoboku świątyni Baala. Nad jej wejściem wznosiły się dwie wieże, zaś stopnie przed nimi wiodły na krążanek zwieńczony płaskim dachem. Wszedł w cień środkowej pary kolumn złączonych strzelistym łukiem i zwrócił się do strażnika:

- Gdzie znajdę Septymusa Haddudana, kapłana?

Odpowiedzią było dumne spojrzenie.

- Dzisiaj nie przyjmuje żadnych petentów.

Aquila podszedł krok bliżej, uśmiechnął się łagodnie do wartownika, a potem nakazując mu gestem pochylić się, wyszeptał mu do ucha:

- Rozumiem to, mój synu. Tylko że nie stoi przed tobą pentent, ale... - przy tych słowach warknął groźnie na żołnierza, aż ten odskoczył wystraszony - ktoś, kogo Haddudan oczekuje. Jestem posłańcem arcykapłana Bassianusa!

Strażnik gapił się na Ulixesa z otwartymi ustami, aż wreszcie doszedł do siebie i zniknął w bocznych drzwiach. Wrócił kilka minut później, dając Ulixesowi znak, aby ruszył za nim.

Aquila przemierzył szeroki, otoczony kolumnami dziedziniec, pośrodku którego wznosiła się świątynia. Oślepiający blask słońca sprawił, że dostrzegł postać stojącą w cieniu strzelistej fasady, dopiero gdy znalazł się u podnóża szerokich schodów.

Mężczyzna zrobił kilka kroków do przodu. Miał na głowie czerwoną frygijską czapkę, do tego długi płaszcz z czerwonym lampasem, a pod nim zieloną tunikę. Na nogach miał długie bordowe spodnie, których nogawki sięgały aż do czarnych trzewików

Ulixes podniósł wzrok.

- Przybywam z daleka w poszukiwaniu mądrości!

Kapłan z uśmiechem rozłożył ręce, odpowiadając po łacinie cytatem Seneki.

- „Kto szuka mądrości, jest mędrcom; kto myśli, że ją znalazł, jest głupcem”. Witajcie.

Rzymianin ruszył po schodach, a Haddudan poprowadził go ku mrocznej, przestronnej sali.

Olus błąkał się początkowo po uliczkach miasta, aż wreszcie na głównej ulicy ciężko obciążony wielbłąd przycisnął go do jednej z kolumn, tak że potem czuł zapach zwierzęcia na odzieniu jeszcze przez całe godziny. Pędzony ciekawością ruszył za karawaną ku agorze, prostokątnemu placowi, gdzie rozładowywano i clono towary. Zagadnął jej przewodnika o oliwkowej skórce i miał szczęście. Mężczyzna w białym kaftanie znał łacinę i właśnie szukał

robotników do rozładowania worów z kadzidłem. Gdy Olus pracował kilka godzin na palącym słońcu, zapytał go:

- Skąd pochodzisz?

Spocony rudzielec spojrział na niego z wyższością.

- Jestem prawdziwym Galem. Mówi wam to coś?

Mężczyzna przecząco pokręcił głową.

-W Eudaimonie, moim mieście, nie znamy takiego ludu. Gdzie żyjecie?

Olus zrobił nieokreślony ruch w kierunku gór, za którymi co wieczór zachodziło słońce.

- Daleko stąd. Po drugiej stronie morza.

Mężczyzna przekrzywił głowę.

- Coś w rodzaju Rzymianina?

Olus przypomniał sobie ostrzeżenie Ulixesa, aby nie dać się rozpoznać jako rzymski szpieg, i zmarszczył czoło.

- Rzymianin? To określenie jest dla nas obrażą!

Jego rozmówca uniósł usprawiedliwiająco dłoń.

- Nie miałem zamiaru nikogo obrażać. Nie lubisz Rzymian, dobrze. A jak z Grekami?

Tu Galowi przyszedł do głowy ich gospodarz, który wczoraj z wielkim patosem podał im swoją specjalność, „kurczaka Priama”. Na jego widok Ulixes stwierdził, że na krótko przed śmiercią głodową padł ofiarą pożaru, jaki strawił Troję. Potrząsnął z obrzydzeniem głową.

- Banda zarozumiałych pyskaczy, to powszechnie wiadomo!

Ciemnoskóry skinął głową w zamyśleniu, jak gdyby sam również doszedł do tego smutnego wniosku. Przy następnym pytaniu Olus odważył się wkroczyć na nieznany teren.

- Arabowie? Najgorsi ze wszystkich! Łotry, rzezimieszki! Sięgnięcie do worka ze skorpionami to przy tym zabawka!

Zaczął robić porozumiewawcze miny, więc nie zauważył pełnego niechęci grymasu, jaki przez chwilę pojawił się na obliczu jego

rozmówcy. Wreszcie odważył się zadać pytanie leżące mu na sercu przez cały dzień.

- Mówicie tutejszym językiem, tym ara... majskim?
- Owszem, a dlaczego?
- Nauczyłbym się chętnie paru zdań. Żeby umieć coś odpowiedzieć, gdy mnie ktoś kiedyś zapyta.

Przewodnik karawany uśmiechnął się lekko.

- Teraz, zaraz? Jako zapłata za twoją pracę?

Olus zawahał się przez chwilę, ale szybko przytaknął.

- Tak, teraz, zaraz!

Flawiusz ruszył najpierw do dzielnicy bazarów. Schodził z drogi spoconym tragarzom, przyglądał się nosicielom wody z błyszczącymi miedzianymi naczyniami na plecach i przysłuchiwał niezrozumiałym nawoływaniom zachęcającym klientelę do skorzystania z ich usług. W jednej z uliczek nad małymi paleniskami pocili się kowale, w następnej nad belami zielonej i błękitnej tkaniny zasiadali blawatnicy, a nieco dalej na miedzianych misach wystawiono żółte, brązowe i czerwone przyprawy, pachniało cynamonem, pieprzem, kolendra i szafranem.

Dotarłszy do głównej alei, skręcił na wschód, aż znalazł się przed tetrapylonem wznoszącym się pośrodku traktu. Na czterech podestach wznosiły się grupy czterech kolumn z egipskiego granitu zwieńczone niewielkim kamiennym zadaszaniem. Spod nich na tłoczący się zewsząd tłum spoglądały posągi nieco większe rozmiarami od naturalnych. Flawiusz ruszył wraz z innymi, aż po drugiej stronie ciżba zatrzymała się znowu. Po południowej stronie przed siódmą kolumną ustawiono wielokrażek, a pod rytmiczną komendą dozorczy robotnicy windowali na podest połączaną statuetkę kobiety. Świeżo wykuty napis informował po palmireńsku i grecku, kogo przedstawia. „Zenobia” przeczytał młody Rzymia-

nin i już chciał ruszyć dalej, gdy w panującym gwarze posłyszał grecką mowę.

- ...Tadmor to przyszłość. Czy wiesz, przyjacielu, co przypomi na mi Rzym?

Flawiusz nadstawił uszu; wiedział, że Tadmor oznacza Palmirę, a Bathzabbai to Zenobia.

- Martwego perskiego słońca bojowego, którego podczas kampanii Odenatusa widziałem pod Ktezyfonem. Od wielu dni leżał na słońcu, więc był niezwykle wzdęty. Gdy nasz dowódca zatopił w nim swój oszczep, z wnętrza wydobył się straszliwy smród, a całe ścierwo zaraz zapadło się w sobie!

Nieznany rozmówca zaśmiał się głośno.

- Trafne porównanie! Nawet sam Aurelian nic nie będzie mógł zmienić. Wiesz z czego żartują w zaułkach Aleksandrii?

- Jakiś dowcip? Opowiadaj!

- Jaka jest różnica pomiędzy Aurelianem i bogiem?

- Nie wiem.

- To proste, bóg nie uważa się za Aureliana!

Głośny rechot, a potem głośy się oddaliły. Zniechęcony Flawiusz ruszył dalej. Mimo swego bogactwa miasto go odpychało. Było gorące i zakurzone, głośne i zadufane w sobie, obce i wrogie.

* * *

W południe jego nastrój nie uległ poprawie. Zanim ruszył ku teatrowi, w którego opuszczonym półkolu drżało gorące powietrze, poczuł burczenie w brzuchu. Kupił więc kawałek chleba i garść daktyli. Potem usiadł w cieniu przejścia pomiędzy sceną a widownią i głowa opadła mu na piersi, lecz gdy się obudził, czuł się cały obolały. W Rzymie Palmira nęciła egzotyka, lecz gdy pomyślał o swoim ślubowaniu, najchętniej natychmiast wybrałby się w dalszą drogę. Na Wschód, do Persji, tam, gdzie jego ojciec musiał

wieść życie niewolnika. Każda godzina w tym klejnocie pustyni była czasem straconym.

Wkrótce jednak miał zmienić zdanie.

Wystraszyło go szczekanie psa odbijające się echem po widowni teatru. Jazgot narastał, mieszając się z warkotem, przy czym wydawało się, że brzmi on niczym wołanie o pomoc.

Flawiusz wstał i po kilku krokach zobaczył zbite kłębowisko łaciatych korpusów, łap i wyszczerzonych zębów przewracające się w kurzu. Nie zastanawiając się długo, podbiegł bliżej, krzycząc i wymachując rękoma, aż dwa większe osobniki odskoczyły na bok, pozostawiając popiskującego szczeniaka. Ukłękawszy, zobaczył, że z rany na tylnej łapie leje się krew. Pochylił się nad zwierzęciem, które warcząc, szczyrzyło zęby. Gdy jednak przemówił do niego powoli i spokojnie, psiak nabrał ufności. W efekcie mógł nawet obejrzeć zabrudzoną ranę. Poczochrał swojego pacjenta i pogłaskał po pysku, czując, jak ciepły język liże jego dłoń, a potem podniósł psa z ziemi, żeby zanieść go na pobliską agorę.

Przy wejściu minął posąg Septymiusza Sewera. Ktoś zamalował jego oczy czerwoną farbą. Ale było mu to obojętne, gdyż miał pilniejszą sprawę do załatwienia niż zajmowanie się sprofanowanym wizerunkiem cesarza. Za miedziaka kupił kubek wina, po czym wyszukał wolny kącik w pobliżu sterty zwiniętych w bele tkanin, gdzie mógł ułożyć psa. Ostrożnie oczyścił ranę, szczeniak cicho popiskiwał, czuło się, że serce mocno mu bije ze strachu. Wstał, rozejrzał się wokoło i po grecku zwrócił się do kobiety siedzącej na tkaninach tyłem do niego.

- Wybaczcie, miałibycie kawałek płótna dla mnie?

Gdy się odwróciła, odniósł wrażenie, że widział już gdzieś tę twarz o śmiałych łukach brwi, drwiących ustach i miedzianych włosach. Spojrzała na psa, pochyliła się, wyszukała oderwany pas tka-

niny i podała mu. Uważnie przyglądała się, jak przemywa winem zranienie i przewiązuje je resztką płótna.

Gdy podniósł wzrok, napotkał spojrzenie szmaragdowych oczu.

- Dzięki za pomoc!

- To dobrze, że zatroszczyliście się o psa - odparła na to. - Tutaj zdobyłoby się na to bardzo niewiele.

-Wielka szkoda. Lubię zwierzęta - pogłaskała zakurzoną sierść. - Jako dziecko miałem króliki, a potem konia. Dziewczyna przyjrzała mu się uważniej.

- Greka to nie wasz język ojczysty. Jesteście Rzymianinem?

Flawiusz wyprostował się dumnie.

- Tak, a wy?

- Pochodzę z Palmiry. Czekam na ojca, do niego należy ten je dwab - wskazała na czerwone i zielone bele tkaniny. - Wszyscy handlarze muszą tutaj oclić swoje towary, z tyłu jest tablica z taryfami.

Palcem wskazała w kierunku, z którego Flawiusz nadszedł. Młody człowiek obrzucił spojrzeniem rozległy plac, gestykulujących kupców, pękate brzuchy beczek z winem, zwoje białego bawełnianego płótna, stosy emaliowanych na zielono mis. Wszystko sprawdzano i wyceniano pod okiem posągów spoglądających na panujący rozgardiasz ze swoich cokołów.

- Kogo przedstawiają te posągi z brązu, waszych królów? - za pytał wreszcie swoją rozmówczynię, wskazując ku północnej stronie rynku.

Dziewczyna zachichotała.

- Skądże, wcześniej byliśmy republiką. To dostojnicy, a tam - jej palec powędrował ku zachodowi - tam stoją generałowie. Nieco dalej są przewodnicy karawan, a za nami senatorowie.

Rozbawiony Flawiusz pokręcił głową. Najwidoczniej pół miasta wystawiło sobie pomniki. Podniósł psa z ziemi, spoglądając niezdecydowanie na swoją rozmówczynię.

- Miło było z wami rozmawiać.

- Tak - odparła na to.

Na chwilę zapadło milczenie. Potem on się uśmiechnął.

- Mam na imię Flawiusz, a wy?

- Aqmat - usłyszał w odpowiedzi.

Kolejna chwila milczenia i wreszcie:

- Do zobaczenia, Aqmat.

Ruszył przez plac z psem na rękę. Słońce za jego plecami zeszło już niżej, upał zelżał, więc nagle poczuł, że chce bliżej poznać miasto.

Gdy zapadł zmierzch, wyczerpany, lecz w dobrym nastroju udał się do tetrapylonu, umówionego miejsca spotkania. Olus siedział już na jego stopniach, machając doń ręką.

- No i jak ci się powiodło? Co to takiego?

- Miałem dobry dzień - odrzekł Flawiusz. - A tego psa zna lażłem.

Olus podrapał szczeniaka za uchem.

- Jak się wabi?

Młody człowiek potarł dłonią podbródek.

- Nie mam pojęcia! Jak brzmiałoby „Junior”? Jest najmłodszy spośród nas.

Gal przytaknął i zaraz zaczął opowiadać o swoich przeżyciach. Niedługo potem zobaczyli Ulixesa przeciskającego się przez tłum.

- Rozmowa z Haddudanem nieco się przedłużyła. Wszystko w porządku?

Obaj przytaknęli.

- Mam dobre wieści. Wyprowadzamy się z gospody. Kapłan chce gościć mnie pod swoim dachem, a wy zamieszkacie u Orodessa, kup ca trzymającego naszą stronę. Chodźmy, zanim zapadnie zmrok.

W niecałą godzinę później w towarzystwie dwóch tragarzy znaleźli się w północnej części miasta. Służący wprowadził ich do środka, gdzie mieli zaczekać w wysokiej sali o ścianach ozdobionych kolo-

rowymi ornamentami. Na wysokości około dziesięciu stóp nad wy-szlifowaną marmurową podłogą pomieszczenie obiegał sztukateryjny gzyms, a z niego na gości spoglądały kobiece twarze, męskie głowy i maski teatralne. W głębi korytarza rysowały się kolumny atrium.

- Witajcie w moim domu!

Przybysze dojrzeli mniej więcej czterdziestoletniego mężczyznę o posiwiałych, zaczesanych z czoła kręconych włosach, wygolonej twarzy o ciemnym zarostem i zakończonych ostro wąsach.

Ulixes skłonił głowę.

- Dziękuję za gościnę. Jestem Ulixes Gabinius Aquila, a to moi towarzysze, Flawiusz i Olus.

Gospodarz odziany w biały płaszcz spięty złotą klamrą na lewym ramieniu spojrzął na obu młodzieńców, a potem wskazał boczne drzwi.

- Zgłoszono mi wasze przybycie. Pewnie jesteście zmęczeni. Izbę już przygotowano, a kolacja czeka.

Dwaj niewolnicy zajęli się pakunkami, a trzeci ostrożnie wziął psa z rąk Flawiusza, po czym ruszyli za panem domu do jadalni.

Podłużne pomieszczenie rozświetlał szereg lamp oliwnych umieszczonych przy ścianie, a i na dużym stole migotał tuzin płomieni. Dzięki temu mogli dostrzec siedzące przy nim dwie kobiety. Obie miały na sobie purpurowe, marszczone suknie, a ciemnozłote włosy spięte w wysokie fryzury z przedziałkiem pośrodku głowy i ozdobione złotą wstęgą. Sądząc po podobieństwie, musiały to być matka i córka. Imię dziewczyny Flawiusz już znał i nagle wiedział już także, gdzie zobaczył ją po raz pierwszy: przed dwoma dniami, gdy przy Bramie Damasceńskiej wylądował w kurzu.

Pan domu przedstawił kobiety, a potem młody Rzymianin przysłuchiwał się uprzejmie rozmowie pomiędzy Orodeselem i Ulixesem dotyczącej zagmatwanej sytuacji politycznej. Z zamy-

ślenia wyrwały go dopiero słowa gospodarza na temat osobistych losów.

- ...tak więc moi rodzice musieli ratować się ucieczką z perskiej stolicy, Ktezyfonu, gdy sasanidyjscy uzurpatorzy zgładzili ostatniego króla Partów. Urodziłem się kilka lat później w Palmirze, a podczas podróży handlowej do Galacji bogowie sprawili, że w Ankyrze napotkałem Chiomarę.

Ciemnoskóry mężczyzna uśmiechnął się w zamyśleniu do żony, która odpowiedziała spojrzeniem pełnym ciepła.

- Od dziewiętnastu lat jesteśmy szczęśliwym małżeństwem, nasz syn Adadiabos studiuje prawo w Berytos, a Aqmat najchętniej objęłaby po mnie godność synodiarchy.

- To coś ważnego? - zapytał Olus, nie zastanawiając się zbyt długo, gdyż mocne wino uderzyło mu do głowy. Aqmat zachichotała, zamieniając z matką kilka słów w języku niezrozumiałym dla pozostałych gości. Jedynie Olus zmieszał się przez chwilę.

Orodes odparł uprzejmie:

- To przewodnik karawan, które udają się na Wschód. Aqmat towarzyszyła mi już kilkakrotnie aż nad Euftrat, a tej wiosny dotarła wraz ze mną do Charax.

Po tej uwadze rozmowa skierowała się na inne tematy, a kiedy wreszcie zostali sami w swojej izbie, Olus ziewnął, rozbierając się do snu.

- Tutejsza mowa wcale nie jest taka trudna. Dzisiaj na agorze pewien kupiec z Eudaimonu nauczył mnie kilku zdań. I wyobraź sobie, Flawiuszu, miałem wrażenie, że zrozumiałem, co podczas kolacji Aqmat powiedziała do swojej matki.

Flawiusz nie bardzo chciał w to uwierzyć.

- Po tak krótkim czasie? Nie wydaje mi się to możliwe. A co powiedziała?

Olus zająknął się.

- No cóż, nnnie jestem pewien. Bbbyć może też się mylę. Ale jego towarzysz nie dawał za wygraną.
- No, dalej, o co chodziło?
- Pppowiedziała coś takiego: „Zdumiewające, jakie to głowy kapuściane zamieszkują w Galii”. Tylko o co jej chodziło?
Flawiusz wybuchnął śmiechem.
- Ja też nie bardzo rozumiem. Wydaje mi się jednak, że musisz nieco więcej liźnąć aramejskiego, żeby rozumieć tubylców. A teraz chodźmy już spać.

>V n Vr

O spoczynku nie myślało natomiast dwóch innych mężczyzn siedzących pół mili dalej na dziedzińcu jednego z domostw. Ostatni goście właśnie się pożegnali, niewolnicy uprząтали resztki uczt, muzycy pakowali swoje instrumenty, a egipskie tancerki otulały się w długie czarne płaszcze, aby zniknąć w ciemnościach spowitych mrokiem uliczek.

- Zabbaeusie, musimy działać!

Zagadnięty mężczyzna siedział w milczeniu, wspierając głowę na rękach. Wreszcie wyprostował się, przytakując krótkim skinieniem głowy.

- Czy to rzeczywiście aż tak pilne? Teraz przeprowadził się do Haddudana.

Oczy jego rozmówcy nie zdradzały żadnych emocji.

- To wprawdzie utrudnia całą sprawę, ale nie jest niemożliwe. Nie możemy pozwolić, żeby spotkał się z Zenobią.

Zabbaeus pokręcił głową.

- Tak szybko mu się to nie uda. Królowa udaje się jutro do Antiochii, bo tam spotykają się wszyscy namiestnicy prowincji - przez chwilę mierzył wzrokiem drugiego mężczyznę, zwracającego uwagę chudością, i sięgającego właśnie po puchar z winem. - W jaki

sposób doszłście do tego, że z jego strony może nam grozić jakieś niebezpieczeństwo ?

Chudzielec łyknął trunku, a na jego obliczu pokazał się uśmiech zadowolenia.

- Mógłbym teraz powiedzieć, że moim szpiegom nic nie umknie, ale pomógł mi przypadek. Któregoś wieczora gościłem u Firmusa, bratanka naszego dobrego przyjaciela z Seleucji.

Zabbaeus przytaknął.

-I dalej?

- No więc delektowaliśmy się właśnie smakowitą przystawką z duszonych języków paw, gdy zjawił się jakiś prowincjusz obcho dzący najwidoczniej wszystkie biblioteki w Rzymie w poszukiwaniu niejakiego Aquili - rozmówca znalazł jeszcze na stole daktylę i włożył sobie jednego do ust. - Firmus wziął tego młodego człowieka na spytki i dowiedział się, że ten Aquila chciał przejrzeć książki o krajach Wschodu, a szczególnie interesował się szlakiem handlowym do Indii.

Zabbaeus drgnął zaskoczony.

- To doprowadziłoby nas do ruiny. Konkurencja na morzu to ostatnia rzecz, jakiej nam trzeba, bo wojna Odenatusa z Persją już dość nadwreżyła nam sakiewki.

Wstał z miejsca, przeszedł kilka kroków po atrium, po czym wsparł się o jedną z kolumn.

- Tylko skąd miałyby wyruszyć rzymskie statki ku Wschodowi? Kanał Trajana Nilem do Clysmy, egipskie porty Myos Hormos i Berenike - to wszystko kontroluje teraz Palmira!

Chudzielec przytaknął znowu.

- Mnie to również nie dawało spokoju i dlatego kazałem śledzić chłopaka, aż znalazł tego Aquilę w Tabularium. Sztuka złota do odpowiedniej ręki i już mój szpieg dowiedział się wszystkiego na temat sporządzanego sprawozdania.

Pochyliwszy się, dodał:

- Wyobraźcie sobie tylko: przeznaczone było dla samego cesarza!

Zabbaeus zasyczał.

- Dla Aureliana. A to znaczyłoby...

Rozmówca przytaknął.

- Właśnie tak. Aurelian planuje odzyskanie dla Imperium prowincji na Wschodzie. Pertraktacjami, fortelem lub siłą, kto to wie. Aquila ma najwidoczniej rozmówić się z naszą królową.

- A wtedy mamy znowu na karku rzymskie legiony.

Zabbaeus spojrzął na nocne niebo.

- Niezbyt miła perspektywa. Jakie kroki podjęliście?

- Znalazłem sobie miejsce na statku i próbowałem usunąć z drogi tego Aquilę. Drewniana belka miała mu roztrzaskać głowę... ale ostrzegł go jego służący. Natomiast w czasie rejsu byłem sam i do tego zapadłem na chorobę morską. Zabrakło mi sił. Ale tu na miejscu możemy działać.

- Zgadzam się, tylko ostrożnie - Zabbaeus ściszył głos. - Dokąd oficjalnie nie prowadzimy z Rzymem wojny, moje imię nie może w żadnym razie być kojarzone z jakimś zabójstwem.

Chudzielec odparł:

- Rozumiem. Potrzebowałbym kilku zaufanych ludzi.

- Znam dwóch, to wystarczy. Możliwie jak najmniej świadków.

Oni już zajmą się tym Aquilą, a przy okazji i jego pomocnikiem.

Zabbaeus przyjaźnie otoczył gościa ramieniem.

- Zaplanujcie coś i przyjdźcie pojutrze o tej samej porze. Otrzymacie zapłatę za wasze usługi. Dobrej nocy.

Trzy dni później Flawiusz sznurował właśnie sandały, wybierając się na agorę, gdy zjawił się służący z woskową tabliczką. Rozła-mawszy pieczęć, przeczytał wiadomość: „Przyjdź w południe do

wieży grobowej Elahbel. Bądź sam i nie powiadamaj nikogo. Chodzi o naszą misję. Ulixes".

- Kto ją przyniósł? - zapytał go.

- Nieznany posłaniec. Ale już poszedł.

Flawiusz przyglądał się przez chwilę pismu, a potem złożył tabliczkę. "Wychodząc, napotkał Aqmat i pozdrowiwszy ją, zapytał mimochodem:

- Gdzie właściwie leży wieża grobowa Elahbel?

Dziewczyna spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Na zachód od miasta, w dolinie grobów. To ostatnia wysoka wieża. W fasadzie ma sklepioną niszę i po tym można ją rozpoznać. Potrzebujesz kogoś, kto zaprowadziłby cię do niej?

- Nie trzeba. Chciałem się tylko dowiedzieć.

Gwizdnął na Juniora, który przykuśtykał, poszczekując radośnie. Rana zablizniała się szybko, a młody pies nie odstępował go na krok. W nocy sypiał w rogu posłania, a w czasie posiłków siedział pod stołem, składając pysk na sandałach Flawiusza.

Skierowali się na główny trakt i skręcili w kierunku zachodnim, aż dotarli do świątyni z grobowcem w rzymskim stylu wzniesionym przez ród Zenobii. Potem ruszyli na południe i opuścili miasto przez Bramę Damasceńską. Flawiusz z troską spojrzał na niebo. Błękit ostatnich dni ustąpił miejsca ciężkiej szarości, chmury zakryły słońce i zerwał się chłodny wiatr, pędząc tumany kurzu wzdłuż suchej doliny, do której właśnie weszli. Oczy zaczęły mu łzawić i począł się zastanawiać, co mogło skłonić Ulixesa do wybrania tak odległego miejsca na spotkanie. Czyżby mieli wspólnie zbadać tę część okolicy czy może był jeszcze jakiś inny powód?

Przybył nieco wcześniej, więc miał czas, aby spokojnie przyjrzeć się kwadratowym budowlom zdobiącym dolinę na podobieństwo milczących strażników. Były ich całe tuziny, a Orodes wspominał, że na kilku poziomach mieści się w nich do trzystu grobowców.

Dotarli do końca doliny, zobaczyli poszukiwaną wieżę. Wokoło panowała cisza. Przysiadł więc na kamiennym bloku, podrapał Juniora za uszami i czekał. Po niedługim czasie zobaczył krępa postać spieszącą drogą, którą właśnie pokonał. Widząc go, Ulixes ucieszył się, lecz wkrótce twarz mu spoważniała.

- Co się stało, Flawiuszu, dlaczego wyznaczyłeś mi tutaj spotkanie?

- Skąd ta myśl?! To przecież ty chciałeś, żebyśmy się spotkali!

Spojrzeli na siebie, a potem Ulixes chwycił młodszego towarzysza za ramię i pociągnął go ku wejściu z wieży. Potrzęsnał ciężkimi wrotami, lecz bez skutku.

- A niech to Hades pochłonie!

W tym momencie również i Flawiusz dostrzegł mężczyznę zmierzającego ku nim po zboczu. Rzut oka w prawo, spojrzenie na lewo - stamtąd także nadchodziły ciemne postaci. Ulixes sięgnął pod płaszcz, wyciągając krótki miecz.

- Umiesz się z nim obchodzić?

Flawiusz pokręcił przecząco głową.

- Niestety...

- Żadnych wyjaśnień. Jeśli przeżyjemy tę przygodę, to cię na ucę. A teraz zbieraj kamienie.

Młody człowiek zabrał się do dzieła i wkrótce zgromadził spory stos skalnych odłamków wielkości pięści, gdy tymczasem trzej mężczyźni zbliżali się ku nim biegiem. Ulixes rozejrzał się wokół, a potem podał towarzyszowi sztylet oraz niewielki woreczek.

- Boisz się?

Flawiusz przytaknął.

- To normalne. Ukryj sztylet. W woreczku jest zmielony pieprz. Najpierw zaprosz nim przeciwnikowi oczy, a potem użyj noża. Cios zadaje się z góry, żeby nie dało się odepchnąć broni. Wszystko jasne?

Kolejne skinięcie głową i zaraz obaj sięgnęli po kamienne pociski. Gdy napastnicy podeszli na dziesięć kroków, Junior podniósł się, warcząc. Mężczyzna w środku był niezwykle chudy, zaś dwaj pozostali kanciaci i odziani w skórzane kolety. Wszyscy mieli maski, a w rękach długie sztylety. Chudzielec wystąpił krok naprzód, a Rzymianie unieśli dłonie z kamieniami. Mężczyzna odchrząknął.

- Nie musicie się obawiać, nie jesteśmy zabójcami,

- Czy to powód do świętowania? - w głosie Ulixesa nie słyszało się żadnych emocji.

- Być może. Oddajcie pieniądze i kosztowności, a zostaniecie przy życiu - głos chudego brzmiał łagodnie, a na cienkich wargach błąkał mu się uśmiech. Dopiero teraz dotarło do Flawiusza, że mówił po łacinie bez żadnego akcentu.

- Nic nie mamy - poinformował go Aąquila. - Nic, co opłacałoby się zabrać.

- Pozwólcie, że sami to ocenimy. Mnie na przykład podoba się wasz pierścień - chudzielec to wcielona uprzejmość. - Połóżcie się na ziemi. Przeszukamy was, weźmiemy, co uznamy za stosowne, zwiążemy was i znikniemy.

- I to wszystko? - Ulixes nie bardzo chciał w to uwierzyć.

- Oczywiście. Zaufajcie nam - w głosie napastnika pobrzmiwała kpina.

- No dobrze, nie mamy pewnie innego wyboru.

Flawiusz spojrział na starszego z niedowierzaniem, a Aąquila kontynuował:

- Ale będziemy stali, bo nie zwykłem płaszczyć się przed nikim.

Czy też boicie się dwóch nieuzbrojonych cywilów?

Krótkie wahanie, po czym chudzielec skinął głową.

- Niech będzie. Odrzućcie tylko kamienie.

Pocisk Ulixesa wyładował u stóp przywódcy. Gdy mężczyźni odskoczyli, Aąquila szepnął do młodszego towarzysza:

- Zaczekaj na mój sygnał.

Lekkie skinięcie głową, i on również upuścił kamień. Chudzielec dał znak swoim kompanom, którzy ruszyli ku wieży. Ulixes uniósł ręce, Flawiusz poszedł za jego przykładem, w zaciśniętych dłoniach chowając zmielony pieprz. Zwaliste postaci zbliżały się. Pięć, cztery, trzy, dwa kroki.

- Teraz!

Dwie dłonie wyskoczyły naprzód, dwa małe szare obłoki skryły twarze skrytobójców, którzy jęcząc, zrobili dwa chwiejne kroki w tył. Ulixes sięgnął po miecz i skoczył do przodu. Flawiusz także wyciągnął sztylet, gdy napastnik całym ciężarem rzucił się na niego. Błysnęła stal sztyletu, lecz oczy mu łzawy i oślepiiony nie trafił w cel, zaś zaatakowany wbił mu swoją broń w ramię. Napastnik upuścił oręż, zamachując się drugą ręką. Cios pięścią trafił Flawiusza prosto w prawy policzek; skóra pękła, połała się krew, ale on nie odczuwał żadnego bólu, jedynie dziwą zawziętość. Kolejne pchnięcie sztyletem, lecz skórzany kolet nie daje się tak łatwo przebić. Przeciwnik złapał go za dłoń, wykręcił ją i nóż wypadł Rzymianinowi z ręki. Flawiusz rzucił się do tyłu, rabuś potknął się i musiał zwolnić uścisk. Młodzieniec także stracił równowagę, uderzył plecami o mur wieży, osunął się na ziemię, ale udało mu się pochwycić kamień.

Nad sobą ujrzał wykrzywione grymasem oblicze, a także wyciągnięte ręce chcące go chwycić za gardło. Uderzył pociskiem pomiędzy oczy. Rzęzenie, z nosa została jedynie krwawa miazga, męczyzna zakrył twarz dłońmi i kulił się z bólu.

Po lewej stronie bardziej przeczuł, niż zobaczył jakiś ruch: chudzielec! Flawiuszowi udało się jeszcze pochwycić leżący na piasku sztylet wroga i stanąć na nogi, a już' zaatakował go następny napastnik, wymierzając pchnięcia. Robiąc unik, uskoczył w bok, lecz i jego cios chybił celu.

- Dostanę cię, mój mały, wypruję z ciebie flaki - wysyczał z wściekłością herszt skrytobójców i ponowił atak.

Flawiusz poczuł uderzenie w bok, ale żadnego bólu, gdy nagle jego przeciwnik zaczął wyć. Rozwścieczony Junior zwiślał mu u łydki, zębami wbił się aż do kości. Wykorzystał szansę, gdy chudzielec pochylił się odruchowo, i z całej siły wbił mu sztylet w bark. Okrzyk, zaraz niczym echo drugi, i Ulixes z ociekającym krwią mieczem w dłoni spojrział na skurczonego chudego. Odwrócił się i błyskawicznie odparł natarcie zbója z rozbitym nosem. Świszczące cięcie, i na ziemię opadła obca ręka dzierżąca jeszcze śmiertcionośną stal, wrzask nie z tego świata, a potem klinga Aąuili zatopiła się w szyi napastnika. Głuche rżenie, łomot upadku, martwe ciało opadło na piach.

Młody człowiek spojrział na ciężko oddychającego Ulixesa, najwidoczniej wyczerpanego walką.

- Bez twoich pomysłów...

- Z czasem człowiek się uczy. Również i rzeczy mogących przedłużyć życie.

Głośny jęk. Aąuila zwrócił się ku chudzielcowi i ściągnął mu maskę z twarzy.

- Patrzcie tylko, nasz kupiec z Rzymu! Kto cię nasłał?

Leżący na ziemi ranny stękał, ale milczał. Ulixes przystawił mu miecz do piersi.

- Mów, bo nie mam zamiaru tracić czasu!

- Zgnij w Hadesie! - głos chudzielca kipiał nienawiścią.

Rzymianin zwlekał przez chwilę, potem zaś wymruczał: „Niech będzie”, i całym ciężarem ciała opadł na miecz. Klinga wbiła się w pierś zabójcy, kilka drgnięć i ciało znieruchomiało. Flawiusz z przerażeniem patrzył na przyjaciela.

- Musiałeś zabić bezbronnego?

- Nie miałem wyboru. Ten podejrzany kupiec ma tutaj sprzy mierzeńców i to o znacznych wpływach. Zostawiając go przy życiu, narobiliśmy sobie kłopotów. Być może czekałaby nas publiczna rozprawa - wskazał na zwłoki trzech skrytobójców. - A może my ślisz, że któryś z nich by nas oszczędził?

Młodzieniec pokręcił przecząco głową.

- Co teraz?

- Teraz usiądźmy, odpocznijmy nieco i zastanówmy się nad sytuacją!

V* Ve V†

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, a tymczasem podmuchy wiatru pędziły doliną tumany kurzu. Tętent kopyt usłyszeli, dopiero gdy zaszczekał Junior i dromader znalazł się prawie przed nimi. Zerwali się na równe nogi, wystraszeni i zdumieni, po czym zobaczyli, że na wielbłądzie siedzi otulona zawojem kobieta. Ostrym głosem kazała zwierzęciu uklęknąć, zsiadła i odwinęła chustę z twarzy.

- Aqmat, co ty tutaj robisz?! - Flawiusz nie krył zaskoczenia.

Dziewczyna przyjrzała się obu Rzymianom, a potem trzem zabitym.

- Byłam na przejażdżce i spotkałam ojca. Wracał właśnie od Haddudana i wspomniał, że nie mógł spotkać się z Ulkesem, gdyż z powodu wiadomości od Flawiusza właśnie wyszedł. Wtedy przypomniałam sobie pytanie o wieżę Elahbel i postanowiłam tutaj zajrzeć.

- Ale to było niebezpieczne! - Flawiusz poczuł się współodpowiedzialny za jej decyzję.

- Owszem, ciekawe tylko dla kogo?

Aqmat wyciągnęła spod sukni nóż.

- Trafiam nim na dziesięć kroków!

Ulixes wyraził swoje uznanie.

- Przydałabyś się nam nieco wcześniej. A teraz, zanim zastanowimy się, co z nimi zrobić, zajrzyjmy, co nasi niespodziewani goście mają w kieszeniach.

Podszedł do jednego z odzianych w skórzane kubraki najemników, a tymczasem Flawiusz zajął się martwym kupcem. Znalazł ciężki skórzany mieszek, który zatknął sobie za pas, wziął swój sztylet i podniósł się. Ulixes zaś przyglądał się sporemu zarzewiałemu kluczowi.

- Do czego mógłby służyć?

Aąmat zważyła go w dłoni i podeszła do wieży. Pasował do zamka, lecz Flawiusz musiał użyć całej swojej siły, aby go otworzyć.

Drzwi z grubych bali otwarły się ze skrzypieniem, pozwalając zajrzeć do mrocznego wnętrza. Weszli do środka. Pomieszczenie było wysokie, ściany aż po sufit pokrywały małe rzeźbione płyty, z których na intruzów spoglądały zakurzone głowy. Aąmat wyszeptała:

- To wszystko groby. Piętro po piętrze. Tu są schody na górę.

Młody człowiek spojrział w tamtą stronę, a potem ruszył po zaspanych piaskiem stopniach. Na górnej kondygnacji światło padało przez niewielki otwór okienny, więc dojrzał podobną izbę jak na parterze, tyle że niższą i nie tak bogato ozdobioną. Pod ścianami stały dwie płyty, a nad nimi ziały otwory dwóch prostokątnych nisz, w których widać było białe czaszki oraz resztki struchlałych tkanin.

- Wejdźcie na górę, tu są otwarte groby!

Pospieszne kroki, za chwilę Ulixes i Aąmat znaleźli się przy nim.

- Dziwne - mruknęła dziewczyna. - W tej wieży już od stulecia nie pochowano nikogo. Kto miałby...

Ulixes odchrząknął, uśmiechając się lekko. Palcem wskazał na Flawiusza, a potem na siebie.

- Miejsce na spotkanie zostało sprytnie wybrane. Tu nikt nie znalazłby naszych ciał. Teraz już wiemy, co zrobić z naszymi gośćmi na dole.

Gdy wyszli na zewnątrz, na piasek spadły pierwsze krople ciężkiego deszczu. Aquila wyraził swoje zadowolenie:

- Nie mogło być lepiej, woda zatrze wszystkie ślady. A teraz bierzmy się do dzieła!

Godzinę później umieścili zwłoki napastników w dwóch niszach, zakryli otwory płytami, a szczeliny zatarli szlamem i zamknęli drzwi. Zanim ruszyli w drogę powrotną, Ulixes po krótkim wahaniu ukrył klucz za pobliskim głazem.

Lało jak z cebra. Aqmat z psem na rękę jechała na dromaderze, a Flawiusz zauważył, że pomimo niepogody nie poganiała wielbłąda, aby być wcześniej w domu.

Przybywszy na miejsce, zrzucili mokre odzienie i wytarli się do sucha, zaś służący opatrzyli ranę Flawiusza. Zaraz też spotkali się w jadalni, gdzie piecyk z rozżarzonego węgla drzewnym promieniował błogim ciepłem. Na zewnątrz niebo ciągle jeszcze przesyłały żółtawe błyskawice, a do cysterny pośrodku atrium z szumem wlewała się woda.

Orodes wyszedł z domu, lecz Aqmat i jej matka Chiomara dotrzymały towarzystwa gościom opowiadającym o swoich przeżyciach. Lekko ranny w twarz i bok Flawiusz, z grubymi opatrunkami, wyciągnął się na wygodnym łóżu. Po chwili wstał, spoglądając na Aqmat.

- Jeszcze nigdy nie spotkałem takiej dziewczyny jak ty!

Odpowiedziała uśmiechem.

- Dzięki. My Galaci jesteśmy dzielnym narodem, a szczególnie kobiety - mówiąc to, wskazała na swoją matkę.

- Chiomara to imię małżonki jednego z naszych królów pokonanego w dawnych czasach przez Rzym. Wzięta do niewoli przez centuriona, została przez niego zhańbiona. Zabiwszy swojego gwałciciela, wróciła do męża, mówiąc, że lepiej będzie, jeśli przy życiu pozostanie tylko jeden, który ją posiadał.

Flawiusz spojrział niepewnym wzrokiem na matkę dziewczyny, a ta uśmiechnęła się zmieszana.

- Aqmat, nie strasz naszych gości swoimi opowieściami.

- A co, mówię może nieprawdę? Naszych przodków nazywano najwaleczniejszym narodem w Azji, składającym ludzi w ofierze i pijącym wino z czaszek wrogów!

- "Wystarczy! - Chiomara przywołała córkę do porządku. - Może kiedyś tak było. Teraz my, Galaci, od stuleci żyjemy w pokoju i zajmujemy się hodowlą owiec. Przy czerwieni nie myślimy już o krwi, lecz o kolorze mszyc kermesowych, którymi handlujemy.

Głuchy huk gromu sprawił, że wszyscy drgnęli. Chiomara zapytała:

- Czy podczas podróży odwiedziliście Pergamon?

Ulixes zaprzeczył.

- Niestety nie, nasz statek zawiął do Berytos.

- Szkoda, bo tam moglibyście zobaczyć słynny ołtarz oraz przedstawioną na nim walkę bogów z gigantami. Jako modele gigantów pozowaliśmy my, Galaci.

- Skąd właściwie pochodzi wasz lud? - dopytywał się Aquila, sięgając po kielich z winem.

- Nie mam pojęcia - odparła Chiomara. - Strabon pisze, że oddzieliliśmy się od jednego ze szczepów w południowej Galii. Ale po upływie pięciu wieków któż by o tym pamiętał?

- A gdzie podziewa się Olus? - wtrącił się zatroskany Flawiusz.

- Zwykle o tej porze był już od dawna w domu!

Niestety, żaden ze służących nie wiedział, co się stało z rudowłosym Galem.

Gdy deszcz przemienił się w lekką mżawkę, a na niebie przez szare chmury przebiło się słońce, Ulixes podniósł się z miejsca. W tej samej też chwili zebrani posłyszeli głosy i kroki, po czym otwarto drzwi.

Do izby wtoczył się Olus. Tunikę miał brudną i podartą, a lewe **oko** zapuchnięte. Za nim ukazała się tęga niewiasta licząca około **trzy**« dziesiętu lat, lecz tak mocno uszmkowana, że trudno było właściwie ocenić jej wiek. Ręką, na której pobrzękiwało kilka złotych bransolet, popchnęła Gala na środek. Łamaną łacinę uzupełniała greką.

- Ja Habibathe z piekarni. Wasz przyjaciel kłótnia. Duży krzyk, dużo ludzi, dużo... - wykonała kilka gestów demonstrujących walkę na pięści, a Ulixes zapytał:

- Olusie, kogo wprowadziłeś w irytację?

Zagadnięty spojrział na niego tak błagalnym wzrokiem, że Aqu-ili nie pozostawało nic innego, jak się uśmiechnąć.

- Opowiedz, co się właściwie stało.

Tęgawy Gal otarł sobie rękawem nos.

- Byłem... w południe w jednym z kramów z tkaninami przy głównym trakcie. Chciałem kupić sobie... hm, cieplejsze okrycie, ze względu na pogodę. Kupiec nie znał łaciny, a ja pomyślałem sobie, że to dobra okazja do wypróbowania mojego aramezyj-skiego...

- Aramejskiego - poprawił go skonsternowany Ulixes.

- Pokazałem na jeden z płaszczy, zapytałem „ile”, on odpowiedział coś, czego nie rozumiałem, a potem położył na ladzie pięć sztuk srebra.

- A ty obrzuciłeś go pewnie obelgami? - Flawiusz mówił tak, jak gdyby był obecny przy tej scenie.

- Nnnie, chciałem się tylko potargować. Wziąłem dwie monety i powiedziałem: „Jestem wprawdzie cudzoziemcem, ale znam się na cenach”. Zęby nie myślał, że pozwolę się oszukać!

- Powtórz dokładnie, co mu powiedziałeś - zaproponowała Chiomara.

Olus z dumą wyklepał wyuczone zdanie, a potem zapadła cisza. Chiomara pokręciła głową.

- To znaczy dosłownie: „Twoje ceny cuchną niczym łajno stu parszywych psów”. Co się stało potem?

- Kupiec wrzasnął na mnie, ale ja nie rozumiałem dlaczego. Powiedziałem mu wtedy: „Jestem dumnym Galem i oczekuję, żeby traktowano mnie z uprzejmością”. Na to on zawahał się przez chwilę, uśmiechnął się, sięgnął ku polepie i rzucił mi łajno na głowę.

Olus przeciągnął dłonią po włosach, wydobył z nich kilka grudek i zmieszany upuścił je na posadzkę.

- A jak brzmiało to w wersji oryginalnej? - zasugerował Ulixes.

Olus skinął głową i znowu wypowiedział zdanie, starając się o poprawną wymowę. Aqmat i Chiomara wybuchły głośnym śmiechem, a potem dziewczyna wyjąkała:

- Zrobił tylko to, czego sam chciałeś. Poinformowałeś go: „Jestem galijskim wieprzem i chcę, żeby obrzucono mnie wielbłądzim łajnem”. Ale moje uznanie, twoja wymowa jest znakomita.

Rudowłosa Gal wbił oczy w podłogę, jak gdyby chciał schować się w myśnię dziurę. Flawiusz trącił go w bok.

- Opowiadaj, co działo się dalej?

- Oburzyło mnie to, ale zareagowałem spokojnie: „Co to ma znaczyć? Czy matka nie nauczyła się szacunku dla obcych?”. To chyba było właściwe, czyż nie?

- Oczywiście, że nie, jeśli tak rzeczywiście powiedziałeś -w głosie Chiomary pobrzmiwały wątpliwości.

Ulixes oparł się wygodniej.

- No to jesteśmy ciekawi.

Olus wyjąkał coś, ale potem nabrał śmiałości i zaczął mówić. Gdy skończył, ciszę przerwał hałaśliwy rechot Habibathes. Chiomara stała z zaczerwienioną twarzą obok Aqmat zasłaniającej sobie usta dłonią. Ulixes wstał i podszedł bliżej.

-1 co to było? Coś obraźliwego?

Chiomara potwierdziła.

- Można tak powiedzieć. W obrailiwy sposób rozprawił się z przodkami swojego rozmówcy.

Aąmat parsknęła głośno i wybiegła z izby, a tymczasem jej matka kontynuowała niechętnie:

- Dokładnie rzecz biorąc, z żeńską linią rodu, i to trzy pokolenia wstecz. Ze szczególnym podkreśleniem... hm, obcowania ze zwierzętami. Proszę, oszczędźcie mi szczegółów.

Aąwila ze zmarszczonym czołem zbliżył się do tęgiego Gala, który cofnął się nieco, kuląc się niczym ślimak w skorupie.

- Chciałem tylko, myślałem...

Nagle kąciki ust Ulixesa zadrgały, a całym jego ciałem wstrząsnął paroksyzm śmiechu gwałtowny niczym trzęsienie ziemi. Na koniec wyjąkał:

- I za to oberwałeś w oko, tak?

Gał wyprostował się z dumą.

- To wyczerpało moją cierpliwość! Machnąłem pięścią i tak dostał w nos, że wylądował na ziemi. Tylko że ten tchórz tak się darł, że zaraz zbiegł się tłum ludzi i wszyscy mnie zaczepiali. Próbowałem jakoś dogadać się z nimi po dobroci i powie działem...

- Lepiej już nic nie mów w obecności niewiast!

Ulixes wskazał ku Aąmat, która właśnie wróciła.

Olus podjął swoją relację.

- No cóż, postanowiłem zrezygnować z kupna płaszcza i...

- I wtedy usłyszałam krzyki i tupot nóg - Habibathe wysunęła się do przodu, kładąc rękę na ramieniu Gala. - Ten mężczyzna potrafi biegać jak zając.

-Ja? Nigdy! Być może trochę przyspieszyłem kroku - Olus odzyskał rezon.

- Jak zając wzdłuż traktu - potwierdziła piekarka. - Za nim tłum *wygrażający* pięściami. Otwieram drzwi, mężczyzna do środka, mówię: „Tak się nie traktuje gości. Koniec dyskusji!”. Ludzie pomruczeć, ale iść do domu.

Głośnie stęknienie zwróciło uwagę wszystkich. Flawiusz zwiijał się na swoim posłaniu, lecz gdy Aqmat podeszła do niego, zobaczyła, że twarz ma uśmiechniętą.

- Wybaczcie, ale nie mogłem dłużej wytrzymać i spadł mi opa trunek.

Dziewczyna zastąpiła zakrwawione płótno nową chustą, a Chio-mara poprosiła gości o pozostanie i kazała podać wino. Matka zamieniła z córką kilka zdań, zaś Olus opowiedział całą historię swojej nauki języka.

- Był z Eudaimonu? To południowa Arabia. Na przyszłość zachowaj ostrożność w wyrażaniu sądów na temat nieznanych ludów - Ulbes zachował dobry humor. - A także w doborze nauczycieli języka.

-Ja nauczyć mowy, Olus pomóc mi w piekarni! - głos Habi-bathe nie znosił sprzeciwu. -Jutro wschód słońca, Olus u mnie!

- Ale, ale... ja... - Gal łapał powietrze jak wyciągnięta z wody ryba, lecz piekarka nie spuszczała z tonu.

- Ty powiedzieć, że umieć piec. Ja pomóc ci, ty pomóc mi. Ty wdzięczny mężczyzna czy...?

Gdy Ulixes i Habibathe pożegnali się, a Flawiusz wyciągnął się na łóżku w swojej izbie, poczuł, że pod poduszką leży coś twardego; sakiewka kupca, którą ukrył tam po powrocie, a potem o niej zapomniał. Olus wyszedł właśnie do latryny, więc ostrożnie odwiązał skórzany mieszek i wytrząsnął jego zawartość na dłoń: złote monety. Oszołomiony naliczył trzydzieści aureusów. Mały majątek. Ale okazało się, że to jeszcze nie wszystko.

- Słyszac kroki nadchodzacego Olusa, schowal pieniadze.
- Flawiuszu, skad wlasciwie pochodzi matka Aqmat?
 - Jest Galatka. To jakis szczep galijski z okolicy Ankyry, tak przynajmniej dzisiaj mowili. A co?
- Olus gwizdnal cicho.
- To dlatego moge ja zrozumiec. To galijski, nie ara... no wiesz juz sam... Jak myslisz, co córka powiedziala dzis do matki?
- Flawiusz pokrecil glowa.
- Nie mam pojecia.
- Szeroki usmiech rozjasnil twarz Gala.
- Powiedziala: „Nie chce wychodzic za maz, ale jak juz, to podobalby mi sie ktos taki jak Flawiusz. Jest odwazny i nie taki zarozumialy jak ci tutejsi!
- Olus przekrzywi! glowe.
- No i co, przydal sie na cos moj galijski w Syrii, czyz nie?
- Jego rozmowca ziewnal.
- Bardzo sie przydal, tylko ze mam inne plany niz ozenek w Palmirze. Po krótkiej przerwie dodal jeszcze.
- Chociaz nie powiem, spodobala mi sie. Nadstawiaj ucha i nie zdradzaj, ze rozumiesz ich mowe.
- Mozesz na mnie polegac.

v. w. ■:

Nastepne miesiace minely spokojnie. Znikniecie chudzielca nie pociagnelo za soba zadnych konsekwencji - byc moze dlatego, ze wtajemniczony przez Ulixesa Haddudan rozpuscil pogloske, jakoby ostatnio widziano go w Antiochii wsiadajacego na poklad statku.

Olus pracowal w piekarni Habibathe, podzwaniat zarobionymi denarami i coraz czesciej nocowal pod jej dachem, zeby, jak mowil, rankiem zjawiac sie na czas w pracy. Ulixes udal sie natomiast do

Aleksandrii, wrócił, po czym sporządził tajny raport i przesłał go pocztą gołębią.

Kiedy tylko było to możliwe, Flawiusz odwiedzał Aquilę, aby, jak to mu zostało obiecane, pobierać nauki w sztuce walki mieczem. Młodemu człowiekowi nie brakowało zajęć, gdyż znalazł egipskiego lekarza, któremu asystował przy pracy, jeśli akurat nie zajmowały go obowiązki w kantorze Orodessa. To sprawiało mu największą przyjemność, gdyż wówczas mógł przebywać w pobliżu Aqmat. Również i ona wydawała się darzyć go sympatią, lecz nie okazywała niczego więcej.

Nadeszły zimne grudniowe deszcze, a w styczniu podróżni z Aelia Capitolina donieśli, że spadło tam na stopę śniegu. W lutym ociepliło się nieco, zaś z końcem marca nagie pagórki wokół Palmiry okryły się z dnia na dzień zielenią i czerwonymi makami. W chwilach wolnych od pracy Flawiusz włóczył się po okolicy z Juniorem i rozmyślał o Aqmat, czując rozterkę pomiędzy coraz bardziej angażującym go uczuciem a złożonym ślubem.

Któregoś dnia Ulixes zaprosił go do siebie.

- Flawiuszu, muszę stąd zniknąć. Moje wysiłki przekonania Zenobii spełzły na niczym. Zabdas i Longinus uniemożliwili mi dostęp do niej. Haddudan przekazał jej mój list, ale i on pozostał bez odpowiedzi.

Ulixes podniósł głowę, a młodzieniec zauważył z troską głębokie zmarszczki na jego czole.

- Nie poddawaj się. Może jeszcze się opamięta.

Aquila pokręcił głową.

- Za późno. Sytuacja coraz bardziej się zaostrza. Aurelian jest już daleko na wschód od Byzantium, a Ankyra, w której stacja nowała palmyreńska załoga, otworzyła przed nim bramy. Zenobia musi się zdecydować.

Flawiusz zamyślił się przez chwilę.

- Hołd albo całkowite zerwanie z Rzymem?

Jego przyjaciel przytaknął.

- Nienawidzący imperium Longinus osiągnął swój cel. Zenobia wykonała krok naprzód. Teraz przebywa w Antiochii, gdzie na jej polecenie bije się dla niej i Waballata monety z tytułem augustus.

- To oznacza wojnę - młody człowiek zastanawiał się, czy on i Aqmat zostaną wrogami. - A co mówią generałowie, jakie jest zdanie Zabdasa?

- Niech Mitra go oświeci! - zawołał Ulixes. - Ale nie mam zbyt wielkich nadziei. Ten człowiek żyje dla walki. Obecnie koncentruje wojska w Tyanie i nie myśli o niczym więcej. - Ulixes podszedł do stołu.

- Ale nie dlatego zaprosiłem cię do siebie. Zobacz, co podano dzisiaj dla mnie, anonimowo oczywiście.

Wręczył Flawiuszowi kawałek papirusu, na którym koślawymi literami napisano: „Pomyśl o szpiegu Hanipala!”. Flawiusz zmarszczył brwi.

- Co cię łączy z Hannibalem?

- Więcej, niż ci się wydaje. Gdy podczas drugiej wojny punic-kiej złapano w Rzymie kartagińskiego szpiega, jako ostrzeżenie dla innych odrąbano mu dłonie - Ulixes uśmiechnął się gorzko. - Nie mam pojęcia, czy przypadkiem nie przejęto gołębia z moją wiadomością. W każdym razie niechętnie widziałbym rozstanie się z niektórymi częściami ciała.

Młody człowiek odłożył papirus na blat stołu.

- Fatalnie - powiedział i usiadłszy, dodał: - Co masz zamiar zrobić?

- Jak już mówiłem, zniknę. A kiedy atmosfera stanie się jeszcze bardziej napięta, ty powinienes zrobić podobnie. Każdy Rzymianin będzie uważany za wroga.

Flawiusz spojrział na niego z lękiem.

- Jakie masz plany?

- W tym roku skończę sześćdziesiąty rok życia. Jeśli Aurelian otrzymał moje sprawozdanie, jeśli je wykorzystał i docenił, to gdy zbiorę wszystkie moje oszczędności, mogę spełnić swoje marzenie.

- Nic mi o tym nie mówiłeś. Co to za marzenie?

Ulixes wstał z krzesła i wyrzwał przez okno.

- Mała willa w Kartaginie. Na północnym skraju miasta, na skałach, wysoko nad morzem. Takim morzem, które jest tak błękitne jak on - tu wskazał na skarabeusza na swoim pierścieniu.

-W willi mam bibliotekę, a wieczorami zasiadam pod kolumnami na tarasie. Czytam Senekę, wacham słone powietrze, słucham szumu morza, krzyków mew, oglądam zachody słońca, a czasami myślę, że odwiedzi mnie młody przyjaciel. Ale on ma, być może, lepsze plany co do spędzenia wolnego czasu.

Flawiusz miał łzy w oczach, gdy podszedł do Ulixesa, obejmując go w długim uścisku. Ciężko przychodziło mu się rozstać z przyjacielem.

- Przyjadę. Na pewno. Teraz nie mogę stąd wyjechać. Nie spełniło się jeszcze mojego marzenie.

- Chcesz odnaleźć ojca?

Zarumieniony młodzieniec pokręcił głową.

- Aqmat? - Ulixes zrozumiał wszystko. - Dla takiej kobiety warto. Wyruszcie razem, zanim będzie za późno.

Flawiusz przytaknął w milczeniu i otworzył drzwi.

- Niech Mitra ma w opiece twoją drogę.

- Również i twoją, mały Auguście - uśmiechnął się smutno Aqula. - I wierz mi: Zenobia nie docenia Aureliana. Nie bez przyczyny nazywają go „Ręką na mieczu”. Nad wspaniałościami Palmiry zawisł cień śmierci. Bądź zdrow.

Flawiusz zamknął za sobą drzwi. Następnego dnia jego przyjaciel zniknął bez śladu.

Na smutek nie miał czasu, gdyż nieoczekiwanie nadarzyła mu się okazja przebywania z Aqmat.

Dwa dni drogi na zachód od miasta Palmireńczycy spiętrzyli wodę za pomocą tamy wysokiej na sześćdziesiąt stóp i ze sztucznego jeziora nawadniali okoliczne pola. Dzierżawiący je rolnicy poróżnili się ze sobą, a ponieważ Orodes z powodu posiedzenia senatu Palmiry nie mógł sam tam pojechać, posłał swoją córkę w towarzystwie Flawiusza oraz dwóch uzbrojonych pachołków. Po początkowych niepowodzeniach przy wsiadaniu na dromadera oraz lekkich atakach mdłości młody Rzymianin z przyjemnością cwałował obok dziewczyny przez pagórkowatą okolicę. Wodził wzrokiem po ciemnych skałach ustępujących raz po raz kępom zielonej trawy, lecz jego spojrzenie wciąż na nowo wędrowało ku Aqmat, lustrując gęste, wysoko upięte włosy, prosty nos, lekko wygięte brwi nad szmaragdowymi oczyma, namiętne, często uśmiechnięte usta. Do tego pod fałdami sukni poruszenia jej szczupłego, giętkiego ciała, na które udało mu się kiedyś podczas uprawianych przez nią ćwiczeń rzucić ukradkiem okiem i którego widoku nie mógł już zapomnieć.

Na miejscu Aqmat wysłuchiwała zwaśnionych stron; napotkawszy sprzeczności, wypytała o szczegóły i w ciągu dwóch godzin doprowadziła do zgody. Flawiusz nie rozumiał wprawdzie języka, ale widział jej zachowanie, mimikę, przemyślany sposób postępowania i serce ścisnęło mu się na myśl, że kiedyś mogłaby należeć do kogoś innego.

Na powrót do domu było już za późno, więc postanowili przemocować w domu jednego z dzierżawców, a po kolacji odbyć spacer brzegiem jeziora. Zatrzymali się, gdy dotarli do miejsca, gdzie

kończyło się ono w łożysku suchego strumienia. Ogromna tafla rozpościerała się przed nimi niczym srebrne lustro, jedynie lekko marszczona powiewem wiatru. Za nimi cykały świerszcze, a obok przespacerował dumnie bocian szukający żeru.

- Lubię to miejsce - odezwała się Aqmat po chwili - choć jest niczym w porównaniu z morzem, które widziałam ostatniego roku koło Charax.

- Ja też lubię morze - zawtórował jej Flawiusz pomimo swej niechęci, gdyż przypomniał sobie rejs na „Fortuna Redux”.

- Być może zobaczą je wkrótce znowu, bo ojciec zamierza wysłać karawanę w dół Eufratu.

- Kiedy to nastąpi? - zaniepokoił się Flawiusz.

- Bogowie raczą wiedzieć. Gdy dostaniemy nowe towary, gdy w Mezopotamii ustaną burze piaskowe, gdy ojciec dowie się, że droga jest bezpieczna. Dużo tego „gdy”.

- Mógłbym wyruszyć wraz z nią? Trafiam z łuku na sto stóp i umiem władać mieczem.

Aqmat spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się.

- Wiem, że potrafisz walczyć.

- Nie tylko walczyć, lecz także kochać! - wyrwało mu się bez zastanowienia. - Początkowo nie bardzo cię lubiłem. Wtedy, gdy przy Bramie Damasceńskiej wylądowałem w prochu. Ale to się zmieniło.

- A, to byłeś ty?! - odeszła krok w tył. - Przykro mi, nie byłam pewna i dlatego zachowałam się wyniośle.

Flawiusz wyciągnął ku niej dłoń.

- To nie ma teraz znaczenia. Kocham cię i nie chcę już żyć bez ciebie - spojrzał na nią i zaraz mówił dalej, gwałtownie i z lękiem, żeby mu nie przerwała. - Wem, nie jestem stąd ani nie jestem kupcem.

- Nonsens! — Aqmat ujęła go za rękę. - Bogaci Palmireńczycy są mi obojętni. Nie o to chodzi. Tylko... nie chciałabym się jeszcze wiązać. Nie potrafię.

Młody człowiek skinął głową. Z podsłuchanych przez Olusa fragmentów rozmów wiedział niejedno o jej uczuciach.

-Ale przecież podobam ci się! Nie musisz przecież od razu podejmować decyzji. Pomóż mi tylko i powiedz, czy mogłabyś sobie wyobrazić...

- Tak - uśmiechnęła się do niego. - Byłoby to możliwe. Ale daj mi czas. Niektóre sprawy muszą dojrzeć.

Ogarnął ją ramionami, czując zapach jej włosów i szybki oddech, a potem, zanim położył jej swoją głowę na ramieniu, ujął jej twarz w swoje ręce i delikatnie pocałował w policzek.

Całą wieczność później rozstali się. Aqmat spojrzała na niego zmieszana.

- Wyrusz ze mną wzdłuż Eufratu. Bądź przy mnie. Pomóż mi, ale nie nalegaj.

Flawiusz przełknął ślinę, oczy mu zwilgotniały. Ona to dostrzegła i tym razem to ona dała mu całusa.

V f i c i t

Nadszedł kwiecień i w południe słońce ostro już świeciło, gdy garncarz się przewrócił.

Przez cały dzień jego stopy nieustannie napędzwały koło, a glina mlaskała między palcami, formując się w kubki, misy i dzbany. Przy tym jego myśli krążyły wokół potrzeb i sporów we wspólnocie, więc kiedy wstał, przeoczył śliską brunatną bryłkę. Upadając, próbował jeszcze chwycić się stołu, lecz uderzył głową w jego krawędź i pociemniało mu w oczach.

Gdy jego syn Menachem wrócił ze szkoły talmudycznej do domu i ze szlochem pochylił się nad ciałem, zauważył, że pierś

ojca unosi się i opada pod kaftanem. Po krótkim zastanowieniu pobiegł na rynek.

- Potrzebuję medyka, czy jest tu jakiś medyk?

Odezwał się młody człowiek z dwoma krzyżującymi mu się na czole lokami, kupujący właśnie od handlarza butelkę najlepszej syryjskiej żywicy balsamicznej zmieszanej z olejem.

- Jestem medykiem, co się stało?

Ruszyli przez labirynt uliczek, aż znaleźli się przy małym domku zbudowanym z suszonych na słońcu glinianych cegieł. Flawiusz pochylił się nad mężczyzną z długimi pejsami, które wiły się na polepie. Otworzywszy oczy, garncarz jęknął:

- Moja noga.

Na szczęście, jak młody medyk stwierdził po badaniu, nie było to złamanie, tylko zwichnięcie. Natarł kostkę oraz opuchliznę maścią, nałożył chłodzący opatrunek, a potem pomógł kontuzjowanemu ułożyć się na pryczy.

Powodowany ciekawością rozglądał się dyskretnie wokoło, a tymczasem ojciec rozmawiał po aramejsku z synem. Na stojących pod ścianą półkach leżały pisma, przez otwarte drzwi widziało się wnętrze warsztatu, a na podwórku swoje gałęzie rozpościerało drzewo granatowe. Wreszcie zdobył się na odwagę i wskazał na zwoje papirusu.

- Co wy, garncarz, robicie z tymi pismami? Potraficie czytać?

Zagadnięty uniósł się z trudem, opuszczając zabandażowaną stopę.

- Wasze ręce są bardziej doświadczone niż rozum, młody czło wieku. Nie każdy prosty rzemieślnik nie umie czytać. Ale żeby oddać wam sprawiedliwość, powiem, że jestem rabinem.

Flawiusz zastanawiał się przez chwilę.

- A kto to taki?

- Rabin służy wspólnocie żydowskiej jako nauczyciel w sprawach religii, doradca, sędzia. Ale nie wynosząc się nad innych,

tylko wykonując także swój zawód i opiekując się własną rodziną, aby znać troski bliźnich - skinął na syna. - Menachemie, przynieś nam dzbanek wody.

Ponownie zwrócił się do swojego gościa.

- Mój ukochany, najmłodszy. Jego imię oznacza „Pocieszyciel”. Czy słyszeliście kiedyś coś o Żydach?

- Niewiele - wyznał młody lekarz.

Doryphoros miał pacjenta noszącego na palcu pierścień z brązu przedstawiający siedmioramienny świecznik, o którym przebąkano, że jest Żydem zwolnionym z obowiązku składania ofiary cesarzowi, ale poza tym nic więcej.

- Ucząc się, musiałem czytać Tacyta i przypominam sobie, że w swoim dziele na temat Judei napisał coś, co bardzo mi się wtedy spodobało.

- Cóż takiego?

- Że Żydzi zwykli nie pracować w siódmym dniu tygodnia, gdyż dzień ten przyniósł im kres niewoli oraz wyjście z Egiptu. Ta bezczynność tak im się potem spodobała, że poświęcili jej każdy siódmy rok. Zgadza się?

Flawiusz poczuł dumę, że tyle zachował w pamięci, lecz jego rozmówca uśmiechnął się gorzko.

- Rok bezczynności? Ale ile zrozumienia można się właściwie spodziewać po Rzymianach? Imperium nigdy nam nie wybaczyło, że nasz naród jak jeden mąż zerwał się przed dwoma stuleciami do wojny, gdy cesarz Neron oznajmił, że chce, aby na dziedzińcu naszej świątyni ustawiono jego posąg wykuty w marmurze.

Wrócił Menachem, nalewając ojcu i Flawiuszowi do kubków chłodnej źródlanej wody.

W oczach rabina widać było smutek, gdy mówił dalej:

- Za to my, Żydzi, nie zapomnieliśmy nigdy, że rzymscy legioniści spalili naszą świątynię. Podobno w Rzymie znajduje się pomnik, na którym przedstawiono, jak grabią menorę, nasz siedmio-ramienny świecznik.

- Łuk tryumfalny Tytusa - odpowiedział Flawiusz. - Ale Rzymianie dali podbitym narodom również wiele dobrego.

- Tak myślicie? - zapytał garncarz. - Mówicie jak rabbi Jehuda, syn nawróconego, który - jak przekazują nasze pisma - powiedział: „Jakże piękne są dzieła tego narodu. Mają rynki, mosty i termy”. Na to rabbi Symeon ben Jochai odparł: „Wzniesli je wszystkie jedynie dla swoich własnych potrzeb; rynki dla ladacznic, łaźnie, aby zażywać w nich przyjemności, mosty, by ściągać cła”. Wolność jest cenniejsza niż mosty i łaźnie!

Flawiusz przełknął gorzką pigułkę i wrócił do poprzedniego tematu.

- A co z dniem odpoczynku? Nam, Rzymianom, obcy jest zwyczaj próżnowania jeden dzień w tygodniu.

- Jesteście Rzymianinem, nie Grekiem? - zdziwił się rabin. -Ale co tam, pomogliście mi przecież. Nie próżnujemy, tylko święcimy szabat. Bo Pan stworzył niebo i ziemię w ciągu sześciu dni, a siódmego odpoczął. Dlatego też Jego prawo nakazuje: „Sześć dni będziecie pracować, a siódmy macie święcić. Kto tego dnia pracuje, powinien umrzeć”. Tak zostało napisane w Torze.

- A jeśli ktoś będzie pracował? - zapytał zaniepokojony Flawiusz.

- Stanie się z nim, jak z mężczyzną, który podczas wyjścia dzieci Izraela zbierał w szabat drewno na pustyni. W Torze czytamy: „Pan rzekł do Mojżesza: człowiek ten ma ponieść śmierć, cała wspólnota niech go ukamieniuje przed obozem. Lud wyprowadził go przed obóz i kamienował, aż umarł”.

Głos rabina nawet nie drgnął, co bardziej wytrąciło Flawiusza z równowagi niż religijna zawziętość.

- Ale to przecież okrutne! Dlaczego prawo znaczy dla was tak wiele, rabbi?

- Mam na imię Samuel. Ponieważ to nasza ojczyzna. Wypędzono nas z ojczystrych stron i rozproszono po całym świecie, lecz wszędzie, gdzie są Żydzi, łączy ich prawo. A tak szczerze mówią, młody Rzymianinie...

- Jestem Flawiusz.

- Mówiąc więc szczerze, Flawiuszu, czy to lepsze, gdy na arenie rzuca się ludzi dzikim zwierzętom na pożarcie tylko dlatego, żeby zabawić znudzoną publiczność?

Medyk zamyślił się, ale nie znajdował odpowiedzi.

- Macie jeszcze dużo takich praw?

Rabbi Samuel uśmiechnął się.

- Setki. Czego nie powinniśmy spożywać, jak mamy składać ofiary, że nie mamy obcinać włosów na głowie ani tworzyć żadnych wizerunków. Oprócz Tory jest jeszcze Miszna.

- A to co znowu, jeszcze jeden kodeks prawa? - westchnął Flawiusz, który stracił już orientację

Ale rabbi zachował spokój.

- Zgadza się. Skoro w Torze napisano, że w szabat nie wolno pracować, to jak prosty człowiek ma wiedzieć, co należy uważać za pracę? A skoro nie wie, to jak może żyć według prawa? Zasiadają więc razem najmądrzejsi rabini, dyskutują nad możliwymi przypadkami, przemyślują decyzje wcześniejszych pokoleń i wykładają, co jest pracą. Rozumiecie?

Flawiusz zrozumiał procedurę, ale nie wymuszoną wręcz wierność przepisowi. Zajął więc miejsce na zydlu przyniesionym przez Menachema.

- Nasi bogowie żądają ofiar, ale nie dyktują nam, jak mamy żyć. Macie dziwnego Pana.

- Nie nasza to rzecz osądzać Jego drogi - to zabrzmiało niczym wyrzut. - Życie jest trudne, ale być może wyzwoli nas wkrótce Mesjasz. Lecz kiedy czytam, że zanim przyjdzie, musi być jeszcze gorzej, to zgadzam się czasem z rabbi Jochananem, który orzekł: „Niech przyjdzie, ja nie chcę go oglądać!”. Zwłaszcza gdy pomyślę o moich dzieciach.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, wreszcie Flawiusz powiedział:

- To pewnie będziecie się cieszyć, jeśli Zenobia wyruszy przeciwko Rzymowi?

Samuel pokiwał głową.

- Z jednej strony tak. Tu, w Palmirze, jest nas wielu, cieszy my się szacunkiem i mamy piękną synagogę. Gdy udałem się do Zenobii, aby prosić o łaskę dla naszego brata w wierze Zeira ben Hinena zakutego w kajdany z powodu fałszywego oskarżenia, wysłuchała mnie i poleciła go uwolnić. W Egipcie kazała nawet odbudować zniszczony dom modlitwy - rabbi łyknął wody.

- Z drugiej strony jej ród nienawidzi wielu moich ziomków. Nie zapomnieliśmy, jak dziesięć lat temu podczas kampanii przeciwko Szapurowi Odenat zniszczył centrum naszych pobożnych studiów w Nehardei i wysiedlił wielu Żydów. A w Palestynie wielu moich pobratymców uskarża się na ucisk gorszy od rzymskiego. Gdy medyk myślał już, że rabbi skończył, ten dodał:

- Myślę, że Pan zniszczy któregoś dnia Palmirę, gdyż rabbi Yohanan bar Napaha zapowiedział kiedyś: „Szczęśliwy, kto przeżyje upadek Palmiry”. A rabbi Kahana z Babilonu przekazał, że dzień upadku Palmiry będzie dla Żydów świętem - zwróciwszy się ku Flawiuszowi, popatrzył mu prosto w oczy. - Dlaczego wy, młody Rzymianin, znaleźliście się tutaj?

Ciemne oczy na pomarszczonym obliczu zdawały się przenikać wszystko.

- Nie przybyłem do Palmiry, żeby tu pozostać - wyjąkał Flawiusz, który poczuł się jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku. - Ciągnie mnie dalej na Wschód, do Babilonu, ku pałacom, do wiszących ogrodów, opisywanych przez Herodota. Chciałbym zobaczyć to miasto, które Aleksander chciał uczynić stolicą swego mocarstwa.

Rabbi zaśmiał się głośno.

- Z tego powodu tak daleka podróż? Wielki Aleksander od sześciu wieków spoczywa w ziemi. Od tego czasu na Babilonie, wielkiej nierządnicy, która zniszczyła Jerozolimę, a nas zaciągnęła nad Eufrat, dopełnia się przekleństwo naszych proroków.

Kolejne miasto mające ulec zniszczeniu, pomyślał Flawiusz.

- Zakładam, że stało się to dość dawno i również tego nie za pomnieliście?

Samuel przytaknął w zamyśleniu.

- To prawda, niczego nie zapominamy. To nasz balast, a także nasza siła.

Taka zawziętość wywodząca się z wydarzeń ginących w mroku dziejów wydała się Rzymianinowi nieco dziwaczna, lecz zapytał uprzejmie:

- A co mówią wasi prorocy?

- U Izajasza czytamy: „Babilon, perła królestw, stanie się jak Sodom i Gomora, gdy ją Bóg wywróci. Nie będzie nigdy więcej zamieszkały ani zaludniony z pokolenia na pokolenie. Dziki zwierz tam mieć będzie swe leże, sowy napełnią ich domy, strusie się tam zagnieżdżą i kozły będą harcować. Szakale nawoływać się będą w ich pałacach i hieny, wyjąc w ich przepysznych gmachach”. I tak wygląda Babilon dzisiaj: spustoszony i opuszczony. No więc, czego naprawdę szukacie?

Znowu przenikliwe spojrzenie, lecz Flawiusz poczuł kryjącą się w jego oczach mądrość, więc postanowił zaufać garnarczowi.

- Poszukuję mojego ojca. Był z wojskiem Waleriana pod Edesą. Nie znam jego losów, ale śniłem, że żyje jeszcze w Persji i po trzebuje mojej pomocy.

Spojrzenie rabina w jednej chwili nabrało ciepła i ukazało się w nim zrozumienie.

- Wobec tego pozwólcie mi pobłogosławić waszą podróż, młody Rzymianinie. Nie wiedząc o tym, postępujecie słusznie, gdyż wypełniacie jedno z naszych dziesięciorga przykazań.

- Jakie przykazanie?

- Czcij ojca swego i matkę swoją, tak jak nakazał ci Pan, twój Bóg.

Rabin wskazał mu gestem, aby podszedł bliżej, położył dłonie na głowie i wymruczał kilka zdań w swoim języku. Potem zapytał:

- Powiedzcie mi, młody lekarzu, gdzie chcecie szukać? Co w ogóle wiecie o losach waszego ojca?

Tu trafił w czułe miejsce.

- Niewiele. W Rzymie odnalazłem dokument wspominający list grupy rzymskich oficerów. Prosilili cesarza o wykupienie ich z niewoli w mieście Gundeszapur. Podpisał się także jakiś Primus, ale to częste imię.

- Gundeszapur na południowo-wschodnim krańcu Mezopotamii - zatopiony w myślach Samuel pogładził się po brodzie. -Oczekuję gościa z tamtych stron. Nie znam go, bo żyje nas tam wielu, ale Żyd zawsze jest mile widziany u Żydów. Zapytam go, czy wie coś o wziętych do niewoli Rzymianach.

Rabbi położył Flawiuszowi dłoń na ramieniu.

- Przyjdźcie znowu, kiedy tylko zechcecie. Mój dom stoi dla was otworem!

Zaraz następnego dnia, gdy Flawiusz przyszedł zmienić opatrunek na zwichniętej kostce, poznał żonę Samuela Miriam oraz pozostałą czwórkę dorosłych dzieci. Wkrótce czuł się tak dobrze

w tej obcej rodzinie, że zjawiał się w odwiedziny, nawet gdy Samuel już dawno wyzdrowiał, bo Aqmat na kilka tygodni wyjechała do Berytos, żeby zobaczyć się z bratem.

Za każdym razem, gdy gimnastykował swój umysł w dysputach z uczonym mężem, ponosił porażkę - i to nie zbliżając się przy tym ani trochę do poznania dziwnego Boga, któremu tak zależało na tym, aby jego lud nie krzesał w szabat ognia i nigdy nie gotował mięsa w mleku.

Po trzech tygodniach, kiedy już prawie stracił nadzieję, zobaczył siedzącego pod kwitnącym drzewem granatowym przybysza z Gundeszapur. Był to starszy człowiek o siwej brodzie, mówiący jedynie po persku i aramejsku, a także mocno gestykulujący. Samuel słuchał długo, po czym streścił jego słowa Flawiuszowi.

- Rabbi Mosze mówi, że w Gundeszapur żyje wielu rzymskich rzemieślników. Znał mistrza budowlanego, postawnego mężczyznę o imieniu Primus, którego na kilka dni przed jego wyjazdem przeniesiono do Veh-Szapur. Tam, w górskiej okolicy, Szapur wznosi miasto i chce ukończyć jego budowę jeszcze przed śmiercią, a jest bardzo chory - Samuel długo spoglądał Flawiuszowi w oczy, a potem szepnął: - Idźcie do Veh-Szapur, to moja rada. Modlę się o powodzenie waszej podróży. Macie przed sobą ciężką drogę.

ROZDZIAŁ 9

KRÓLESTWO ZBROJNYCH JEŹDŹCÓW

(272-273 r. po Chr.)

Byłem wszystkim - a przecież nic to nie dało.

SEPTYMIUSZ SEWER

Początek maja. Zlany potem jeździec minął bramę, lecz w skwarze południa nikt nie zwrócił na niego uwagi. Krótco potem, ni stąd, ni zowąd, po agorze rozeszła się wieść, rozlewając się wzdłuż głównej arterii miasta, wsiąkając w wąskie uliczki, docierając do domostw, mroząc ludziom ciała i umysły: Tyana zdobyta zdradą, wojska palmireńskie w odwrocie, zagrożona Antiochia.

Nad Palmirą zawisło przecucie nadchodzącego nieszczęścia.

Tego samego wieczora Orodes poprosił Flawiusza, by przyszedł do jego pracowni. Kupiec kręcił nerwowo końcówki swoich spiczastych wąsów.

- Usiądź - poprosił, i spoglądając na gościa, zapytał. - Słyszałeś już?

Młody człowiek przytaknął.

- Byłoby mi przykro, gdybyśmy teraz znaleźli się po przeciwnych stronach.

Orodes zaprzeczył.

- Oczywiście, że tak się nie stanie. Od zawsze uważałem walkę z Rzymem za głupotę - spojrzenie oczu spod zaczesanych na czoło loków powędrowało ku leżącym na stole zwojom papirusu. - "Wy rocznie zapowiadają nieszczęście. "Wojna krwawo się skończy, tu, w Palmirze. Być może szybciej, niż się niektórym wydaje.

Na chwilę zapadło milczenie, zakłócanie jedynie odgłosami rozmów służby dobiegającymi z korytarza. Gospodarz zerwał się z krzesła i zaczął nerwowo spacerować tam i z powrotem.

- Gdyby zaczęły się walki o miasto, Aqmat nie może tu zostać. Zorganizuję karawanę do Charax. Będzie to ładunek dla dziesięciu dromaderów. Purpurowe tkaniny, wino, wszystko, co osiąga tam dobre ceny - przystanął, a Flawiusz zadał sobie w duchu pytanie, czego Palmireńczyk może od niego oczekiwać.

- Chętnie bym się dołączył - mruknął wreszcie.

Orodes zabębnił palcami o drewniany blat stołu. Na koniec wydusił z siebie:

- Jeśli Aqmat zechce, to masz moją zgodę - spojrzał na Rzy mianina, jak gdyby się żegnali. - Ona poprowadzi karawanę.

Flawiusz zwlekał dwa dni, zanim zapytał dziewczynę. Spojrzała na niego i nic nie mówiąc, skinęła głową.

Dla Olusa podjęcie decyzji okazało się trudniejsze. Gdy siedzieli na stopniach tetrapylonu i Flawiusz wtajemniczał go w swoje plany, gapił się przed siebie.

- Właściwie wiecie mi się jak nigdy dotąd. Habibathe szaleje za mną - złożył ręce na brzuchu. - Gdyby tylko nie była taka tęga.

Młody człowiek z trudem skrył uśmiech, widząc wałki sadła wylewające się przyjacielowi znad bioder.

- Czy coś w tym złego? Zamożne kobiety mają skłonności do pokaźnej tuszy.

Olus podrapał się po rudawej brodzie.

- No tak, denarów jej nie brakuje.

- To zostań z nią! Poradzę sobie sam.

Gal spojrzał na niego z ukosa.

- Nie jestem ci już potrzebny?

Flawiusz otoczył go ramieniem.

- Oczywiście, będzie mi ciebie brakowało. Ale twoje szczęście jest ważniejsze.

- Moje szczęście - burknął Olus. - Jak można być szczęśliwym z kimś, kto stale nazywa cię „zającem”?

Jego przyjaciel wzruszył ramionami.

- Wszystko w życiu ma swoją cenę, jak zwykł mawiać Ulixes...

- ...której nie jest już warte, zapomniałeś dodać - dokończył ponuro rudzielec. - Nie mam zamiaru wysłuchiwać ciągle pouczeń, jak należy wyrabiać ciasto albo nosić tunikę.

- Może to się zmieni? Bądź mężczyzną i uderz pięścią w stół!
-padła propozycja.

- Eee tam! Wszystkiego już próbowałem.

Olus udanie naśladował skrzekliwy głos piekarki:

- Ty niewdzięczny mężczyzna!

Flawiusz roześmiał się, a za chwilę zawtórował mu Olus.

- Co postanawiasz?

- Jadę z tobą - Gal ściszył głos. - Tylko ani słowa, bo inaczej zamknę mnie jeszcze w piwnicy z mąką!

Gdy jednak dziesięć dni później stanęli przed migoczącą wstęgą Eufratu, Olus wpadł w panikę.

- I czymś takim mamy płynąć? - wyciągniętą ręką wskazywał na okrągłe konstrukcje, które ładowano właśnie na brzegu. Składały się one z drewnianych wręg obciążonych skórą i przypominały wyglądem odwrócone do góry parasole. Rozbawiona Aqmat objaśniła:

- Oczywiście, bo czym innym? Nie mamy tu prawie drewna, a na całej rzece nie ma innych łodzi.

Olus cofnął się o krok.

- A jeśli przyplyną i wbiją zęby?

Flawiusz zmarszczył czoło.

- Kto wbija zęby?

Olus obiema dłońmi objął czoło.

- Zaraz sobie przypomnę. Ulixes o nich opowiadał. Są w Egipcie, wszędzie - wreszcie twarz mu się rozjaśniła. - Krokodyle!

- Krokodyle? Tu ich nie ma - oznajmiła Aqmat, ale Olus nic mógł się uspokoić.

- Skąd wiesz?

- Płynęłam już tędy i nigdy nie widziałam żadnego. Sternicy też nie.

- A jeśli się gdzieś ukrywają?

- To ty miałaś rację, a my nie i zostaniesz ugryziony - zniecierpliwiony Flawiusz wrzucił worek ze swoimi drobiazgami do jednej z łodzi. - Zdecyduj się: krokodyle albo Habibathe.

- Krokodyle - odburknął Gal.

Kilka godzin później leniwie toczącym się nurtem płynął tuzin łodzi. W każdej było miejsce dla muła wraz z ładunkiem, do tego sternik oraz poganiacz, którzy nią kierowali. Aqmat uparła się, że zabierze Szamasza, więc i Flawiusz mógł załadować swojego dromadera, a pozostałe wielbłądy odprowadzono do Palmiry.

Powoli mijali żółte pola zbóż poprzecinane kępami szerokolistnych bananowców i kołyszących się na wietrze palm daktylowych. Początkowo towarzyszyła im brunatna skarpa, za którą skrywała się pustynia. Sternik wskazał na bliskie skały i błyszczące na nich pod błękitnym niebem opuszczone ruiny, jak gdyby wmurowano w nie drogocenne kamienie. „Dura Europos”. Mężczyzna wypowiedział te słowa zupełnie obojętnie, natomiast Flawiusz zdrygnął się nieco na ten widok i poklepał machinalnie łeb Juniora, zanim myślami powrócił do Aqmat. Raz po raz zerkał na nią kątem oka: jak energicznie wydaje polecenia sternikom, z przymkniętymi oczyma drzemie na słońcu, pluskając dłonią w wodzie, jak wskazuje na sitowie oświetlone światłem zachodu, przysłuchuje się mu, gdy opowiada o swojej młodości nad Mozela oraz złożonym ślubie, uśmiecha się spod chusty noszonej jako ochrona przed słońcem, a także na koniec każdego dnia spogląda mu w oczy i życzy dobrej

nocy. Wszystkie te chwile zapadały mu głęboko w pamięć, budząc coraz głębsze pragnienie pozostania z nią na zawsze.

Dla pozostałych podróżnych rejs przebiegał bardzo monotoniem. Nawet Olus, zrywający się początkowo na widok każdego cienia w wodzie, uspokoił się wreszcie. Po zapadnięciu zmroku przybijali do brzegu i rozkładali obozowisko lub udawali się do wiosek składających się z kilku glinianych chat, przed którymi bawiły się hordy równie brudnych, jak wesołych dzieci.

Stało się to trzeciego dnia. Olus leżał w łodzi, wspierając głowę o szczeciniastą pęcinę muła rytmicznie unoszącą się w górę i w dół. Gdy dojrzał obłok, był on tylko cieniem na niebie, lecz zaraz pociemniał, aż wreszcie przesłonił słońce. W tej samej chwili posłyszał szum i coś podrapało go w głowę. Sięgnąwszy do czoła, wrzasnął, chwytając długiego na palec, brunatnego owada energicznie wymachującego odnóżami. Z odrazą wyrzucił go za burtę, lecz po chwili miał w czuprynie trzy następne, tuzin spacerował po jego tunice, a całe setki wirowały w powietrzu. Zerwał się z miejsca, wymachując rękoma i krzycząc na sterników, lecz ci niewzruszeni zmierzali spokojnie ku brzegowi. Gdy przycumowano łodzi, wszyscy wyskoczyli na ląd, poczynając jak obłąkani tłuc gałęziami lub mokrymi chustami latającą szarańczę. Owadów musiały być setki tysięcy, gdyż minęło kilka godzin, zanim przeciągnęła cała chmara, a po jej przejściu wszystkie rośliny okazały się pozbawionymi liści szkieletami. Za to sternicy mieli kilka pełnych koszów, w których ciągle coś szeleściło, zaś ich zawartość wylądowała wieczorem na żarze. Olus nieufnie nadgryzł pierwszego owada, a potem jego oblicze rozjaśnił błogi uśmiech.

Dwa tygodnie później Aqmat wskazała w dal, gdzie na zasnutej mgłą równinie pojawiły się zarysy ciągnących się bez końca murów i wież.

Flawiusz osłonił oczy dłonią, aby rozpoznać coś w blasku słońca. Niebem przeciągały białe czaple i pokrzykiwały łyski, lecz w łodziach panowało milczenie, zamilkli nawet rozgadani zwykle sternicy. Prąd niósł ich ku miastu, powoli brunatne mury wyrosły do tytanicznych rozmiarów. Gdy minęli zwieńczoną ruinami grupę pagórków po lewej stronie rzeki, Aqmat wskazała na kilka glinianych domostw.

- Babil, dzisiejsze miasto.

- To wszystko? A gdzie reszta? - pomimo ostrzeżenia rabiego Samuela Flawiusz odczuł rozczarowanie nieomal cielesnie. - A co leży za murami nad rzeką?

- Ruiny, pola, kilka chat. Miasto jest szkieletem rozpadającym się pod swoim pancerzem. Nic więcej nie pozostało z Babilani, Bramy Bogów.

Skinęła na sterników i okrągłe łodzie skierowały się w lewo, gdzie w wysokim na pięćdziesiąt stóp murze otwierało się przejście. To, co kiedyś było małym portem, skurczyło się do wielkości porośniętego trzciną stawu otoczonego glinianymi lepiankami. Kilku ciemnoskórych mężczyzn wynurzyło się z cienia domostw, rozpoczynając pogawędkę z przybyszami. Poganiacze mułów wyprowadzili zwierzęta na ląd, aby objuczyć je pakunkami z towarem.

- Zostaniemy dwa dni. Kilka łodzi wymaga naprawy, a poza tym potrzebujemy nowych zapasów - zamieniła kilka słów ze sternikami. - Mamy szczęście, jutro w Babil odbywa się mały targ.

Powiew wiatru przyniósł odgłos regularnego skrzypienia. Flawiusz ruszył w tamtą stronę i wkrótce znalazł się przed wołem wyciągającym na zbitą z desek pochylnię napełnioną wodą skórzany wór przywiązany na grubej linie. U góry lina zwieszała się z rolki wywołującej posłyszany odgłos. Woda wylewała się do kanału, a pusty bukłak powracał powoli tą samą drogą. Siedzący w cieniu drzewa morwowego chłopiec odpędzający od siebie muchy suchym palmo-

wym liściem roześmiał się, wskazując na wołu i zawołał coś niezrozumiałego. Flawiusz wznosił ręce w geście bezradności, a potem podszedł do resztek masywnych, ceglanych murów. Tu woda zwilżała małe poletka, na których w brązowej ziemi posadzono rzędy krzewów bawełny. Spojrzał na nie w zamyśleniu. Czy to tutaj Aleksander Macedoński dokonywał przeglądu swoich wojsk? Czy tutaj snuł plany nowych wypraw? Czy tu marzył w duchu o postawieniu stopy na wzgórzu Byrsa w Kartaginie i na Kapitolu w Rzymie?

Zawrócił do portu. Wsiadłszy na wielbłądy, ruszyli na północ. Po drodze minęli kilka ciągniętych przez woły wozów toczących się na trzeszczących drewnianych kołach.

-Agur - zawołała Aqmat, wskazując na ich ładunek. - Tak nazywają tutaj wypalane cegły wyłamywane z ruin. Podobno już Macedończycy wzniesli z nich Seleucję, a po nich Persowie swoją stolicę Ktezyfon.

Dopiero teraz młody człowiek zwrócił uwagę na wiele szczerb w wysokich murach i pracowicie krzątających się przy nich ludzi.

Czy któregoś dnia również Rzym przemieni się w kamieniołom? Zarośnięte chaszczami pałace i świątynie, ruiny akweduktów wyrastające pośrodku ogrodów i pól otoczone bezsensownie nie-broniącym niczego murem.

W Babil wynajęli domostwo pozwalające pomieścić towary oraz zwierzęta, po czym od tubylców kupili młode jagnię. Jeden z poganiaczy zniknął na chwilę za rogiem. Krótkie beczenie i zaraz wrócił z martwą tuszą, którą oprawił i upiekł na ogniu z wysuszonego nawozu.

Po posiłku Flawiusz i Aqmat wspięli się na wieńczącą pagórek ruinę. W świetle wieczora rozciągnęła się przed nimi zamglona równina, a pośrodku niej szare nurty Eufratu przecinały prostokąt murów szeroki na prawie dwie mile.

- Tam znajdowało się centrum miasta - wskazała dziewczyna. - W rzece widać jeszcze kikuty kolumn kamiennego mostu, a z przodu, te ogromne ruiny, to podobno był pałac królewski.

Wzruszywszy ramionami, dodała jeszcze:

- Tak przynajmniej powiedzieli mi ludzie mieszkający w małej wiosce nieco dalej na południu. Bo przecież wszystko od dawna leży już w gruzach.

Flawiusz przytaknął milcząco i otoczył ją ramieniem, a tymczasem z niziny wypełzły fioletowe cienie i pochłonęły zrujnowane miasto. Cieszył się, że zobaczy Babilon, lecz gdy po trzech tygodniach został z nią wreszcie sam na sam, liczyło się tylko to. Przygarnął ją do siebie, czując, jak miękkie i delikatne jest jej ciało, jak się do niego przytula, ufa mu i składa głowę na jego ramieniu. Siedział długo, nie ruszając się, nie chcąc zakłócić czaru chwili. Dopiero gdy zapadł zmrok i dziewczyna wzdrygnęła się z zimna, pomógł jej wstać i przez chwilę stali milcząco naprzeciw siebie. Wreszcie objął jej twarz dłońmi i przyciągnął jej usta do swoich. Ociągała się nieco, lecz odwzajemniła pocałunek. Gdy jednak chciał ją objąć mocniejszym uściskiem, wyrwała mu się i pobięła ku migoczącym światłom Babilu.

Następnego dnia mały rynek wypełnił tłum ludzi. Z odległego tylko o dwa dni drogi położonego nad Tygrysem Ktezyfonu dotarło kilka karawan, a ponadto około stu jeźdźców ze szczerpu Tanuków. Przybyli z Hira, położonego w pobliżu ojczystego miasta, lecz milczeli pytani o cel swojej podróży. Arabowie przedstawiali wspaniały widok, pokazując sztukę jazdy na szybkich jak wiatr dromaderach, gdy w pełnym galopie odwracali się, szyjąc do tarczy z luków.

W tym samym czasie starszy rodu, brodaty mężczyzna o haczykowatym nosie, oglądał sterty towarów na rynku, aż wreszcie doszedł do kramu Aqmat. Lecz ani syryjskie szklanice, ani fenickie

tkaniny nie znalazły uznania w jego oczach. Nawet na baryłki z winem rzucił tylko przelotnie okiem. Miał już odejść, lecz zawahał się, odchrząknął, po czym zagadnął Flawiusza w niezrozumiałym dlań języku.

Aqmat pokręciła głową i odpowiadając po arabsku, wskazała na Flawiusza, natomiast do niego wyszeptwała po łacinie:

- Cena wynosi cztery drachmy za baryłkę. Musisz się z nim potargować.

Flawiusz wystarczająco często przyglądał się, jak w Palmirze spierano się o ceny, lecz teraz poczuł się niepewnie.

- Myślisz, że to dobry pomysł? - zapytał cicho.

Aqmat przytaknęła.

- W wypadku ludów pustyni lepiej, gdy przemawia mężczyzna. Zachwalaj, ile się da, to część reguł gry.

- No dobrze - rozłożywszy ramiona, przemówił po grecku. - Wszystko do waszej dyspozycji, szlachetny panie.

Klient obrzucił go taksującym spojrzeniem, postukując w jedną z beczek.

- Naprawdę macie zamiar wlec dalej te baryłki? Być może mój pan, wielki Amr Ibn-Abi uniży się i kupi jedną z nich.

- To wino dojrzewało na żyznych równinach wokół Damaszku - odparł na to Flawiusz. - Namiestnik z Charax wygląda go z utęsknieniem niczym pustynia deszczu.

- Namiestnik? Każe wam pościnać głowy, gdy od tego octu ścierpną mu zęby!

Flawiusz opanował ogarniające go zniecierpliwienie.

- Przyjacielu, przemawia przez was niewiedza. Spróbujcie - to mówiąc, podał obcemu kubek. Tanuk wziął łyk, mlasnął, siorbnął jeszcze raz i oddał resztę.

- Być może namiestnik zadowolony będzie tuzinem batów. Natomiast mój pan, słynący z łagodności, oferuje wam drachmę za baryłkę.

- Wasz pan słynie z dobrego smaku, a jego wspaniałomyślność wysławiają nawet na wybrzeżach Fenicji - zaoponował Flawiusz. - Nie będzie brukał swojego imienia ceną mniejszą od dziesięciu drachm.

Aqmat otworzyła usta, lecz młody człowiek nie zwracał na nią uwagi, gdyż wąsaty Tanuk zdawał się szukać gorączkowo stosownych słów.

- Dziesięć drachm? Cóż za chciwość! Słońce pustyni wypaliło wam rozum, a piasek wypełnił czaszkę. Dwie drachmy i nawet wtedy muszę się lękać o swoją głowę.

Flawiusz uniósł amforę.

- Dwie drachmy? Za tę cenę przepłukujcie sobie gardło wodą z Eufratu, krwio pijco z sakiewką skurczoną niczym daktyl z roku waszych urodzin. Jeśli zgodzę się na osiem drachm, mam w uszach krzyk moich pięciorga głodnych dzieci!

- Osem drachm - wystękał Arab w tonie najgłębszej desperacji. Po czym pochyliwszy się, westchnął: - Mój pan to z gruntu dobrodziej człowiek i tylko dlatego ośmielam się dać trzy drachmy za baryłkę.

- Trzy nędzne sztuki srebra za wino ogniste niczym krew białego byka ofiarnego? - Flawiusz przygwoździł kupującego wzrokiem. - Siedem drachm i nie wspominajcie o tej cenie nikomu, bo inaczej pozostali kupcy poderzną mi gardło.

- Młody cudzoziemcze, już od dawna nie musiałem wysłuchiwać podobnych bredni - senior rodu przeciągnął palcem po nosie. - Ale ze względu na waszą urodziwą małżonkę mój pan okazuje gotowość do zapłacenia czterech drachm.

Targi trwały jeszcze dłuższą chwilę, aż wreszcie Aqmat zakończyła licytację i Flawiusz sprzedał pięć baryłek po cztery i pół drachmy za każdą. Również Tanuk zdawał się zadowolony z trans-

akcji, gdyż klepnął go z uznaniem w ramię i zaprosił do obozowiska. Na miejscu wręczył mu łuk.

- Pokażcie, czy ze strzałami potraficie się obchodzić równie zrecznie jak ze słowami!

Pierwsze pociski chybiały i przypatrujący się gapie znakomicie się bawili. Na koniec jednak Flawiusz na pięćdziesiąt stóp trafił między dwie trzciny, po czym odkupił od wścawca pomrukującego pod nosem wyrazy uznania łuk oraz kołczan ze strzałami. W tej samej chwili wystąpił sam wódz, młody żylasty Beduin o orlim spojrzeniu i bliźnie na lewym policzku.

- Jestem Amr Ibn-Adi z rodu Lachmidów - oznajmił w znośnie brzmiącej grece. - Czy zechcielibyście być dziś wieczorem moim gościem? Wasza małżonka oczywiście również!

Tym sposobem zasiedli wieczorem w dużym otwartym namiocie na jedwabnych poduszkach, mając przed sobą migoczące płomień ognia, nad którym do niedawna opiekano przyprawione ziołami jagnię. Po wymianie uprzejmości i opróżnieniu kilku kielichów wina rozmowa przeszła na temat polityki. Aamat przybrała swój najbardziej urokliwy uśmiech i spojrzała na Amra.

- Dlaczego tu przybyliście z tyloma wojownikami? Po co rusza cie w górę Eufratu?

Zagadnięty wódz wsunął do ust kandyzowanego w miodzie daktyla i przeżuł go wolno, wsłuchując się w cykanie świerszcza.

- Wiatr doniósł nam, że królowa Bathzabbai została pobita pod Antiochią. Gazela umknęła do Emesy, ciągnąc za sobą depczące jej po piętach rzymskie wilki - beknął z zadowoleniem. - Podczas marszu do Tadmor będą potrzebowali naszej pomocy.

Jego ręka sięgnęła po kielich z winem.

- Pustynia jest okrutna, gdy w gardle sucho, a duże wojsko łatwo można doprowadzić do zguby.

Amr zapatrzył się w ogień, a w świetle płomieni rysy jego twarzy nabrały twardości.

- Zaniemógł także perski słoń, gdyż złożony chorobą Szapur nie opuszcza pałacu. Tadmor czy Ktezyfon. Jesteśmy jak wiatr - dzisiaj tu, jutro tam.

Widząc przerażenie na twarzy Aqmat, Flawiusz nie umiał się cieszyć wieścią o zwycięstwie Rzymu. Wkrótce pożegnali się i tego wieczoru wzięła go do swojej izby, gdzie przytulona wkrótce zasnęła. On natomiast długo nie mógł zmrużyć oka, gdyż bliskość jej ciała drażniła mu zmysły. Ale zmęczony zapadł w końcu w sen.

Dziewczyna obudziła się wczesnym rankiem. Wyszła przed domostwo i wsparta o glinianą ścianę długo wpatrywała się w usiane tysiącami gwiazd nocne niebo, a potem wróciła do dusznego wnętrza.

iV *k ir

Następnego dnia dosiedli dromaderów. Olus kłusował za nimi na mule, a Junior, szczekając, zataczał wokół szerokie koła. Wzdłuż nadbrzeżnego muru ruszyli na południe i po około mili droga doprowadziła ich pomiędzy dwa wysokie mury zwieńczone lekko wystającymi wieżami. Ich ściany wyłożono turkusowymi ceglami, a na ich tle odcinały się sylwetki żółtobrązowych lwów kroczące ku nim z wyszczerzonymi zębami. Przed wysokim łukiem u końca drogi Flawiusz zsiadł z wielbłąda, aby przyjrzeć się szeregom żółtych i białych byków oraz pokrytym łuskami bajecznym smokom zdobiącym zewnętrzną ścianę oraz środek pokrytej błękitnymi flizami bramy. Dotknął ręką gładkich kafli, przeciągnął dłonią po lekko wypukłych sylwetkach zwierząt, musnął palcami szpony i pazury potworów oraz poroża byków.

- Tyle bezsensownego trudu! - Olus pokręcił głową.
- Dlaczego, nie podoba ci się? - zapytała Aqmat.

- Owszem, wspaniałe, tylko na nic się to nie przydało, a teraz obróciło się w stertę gruzów - Gal szerokim gestem wskazał na otaczające ich ruiny.

- Oluś - westchnął Flawiusz, pokazując palcem na wieże spustoszonego pałacu. - Miejmy nadzieję, że król tego nie usłyszał, bo pewnie byłby zmartwiony i najprawdopodobniej według starego zwyczaju dla polepszenia sobie humoru kazałby najpierw obedrzeć cię ze skóry. Dla rozrywki własnej, nie twojej.

- Eee tam! - Oluś klepnął muła, aby potruczał dalej.

Flawiusz uśmiechnął się, wsiadł na siodło i ruszył za Aqmat, aż po pół mili wskazała na prawo. Skręcili i po chwili znaleźli się przy kwadratowym gruzowisku, z którego zewnętrznej strony uzbrojeni w spiczaste kilofy mężczyźni wydobywali starannie wykonane cegły.

- To podobno resztki wielkiej wieży, tak powiedziano mi zeszłego roku! - wyjaśniła Aqmat.

Flawiusz nakazał dromaderowi przykłęknąć, gdyż chciał dokładniej przyjrzeć się ruinom. Wnętrze kikuta wieży składało się z wysuszonych na słońcu glinianych cegieł. Wszystkie siedem poziomów oddzielono od siebie ciemną warstwą, która przy bliższych oględzinach okazała się sitowiem impregnowanym w smole. Podeszedł jeden z pracujących i pociągnawszy Rzymianina za rękaw tuniki, pokazywał mu coś na dłoni. Był to mały, przewiercony kamienny walec, ozdobiony wygrawerowanym na zewnątrz portretem lwa, który stojąc, rozszarpywał byka. Robotnik zbierał nieco wilgotnej gliny i odbił w niej kamień, tak że walka króla zwierząt i śmierć byka utworzyły jeden ciąg. Wcisnąwszy Flawiuszowi kamień do ręki: powiedział kilka niezrozumiałych słów. Aqmat przetłumaczyła.

- To pieczęć cylindryczna. Chce za nią drachmę.

Choć młody Rzymianin pokręcił głową, mężczyzna nie ustępował, aż wreszcie po bogatych w gestykulację negocjacjach dobito

targu. Flawiusz już chciał dosiąść wielbłąda, gdy chłop ponownie go przywołał, wyciągając coś spod poły zakurzonego odzienia. Był to okrągły, wypukły przedmiot wielkości dłoni - z kryształu górskiego, pośrodku grubszy i cieńszy przy brzegach. Młody człowiek wziął soczewkę do ręki, ale nie widząc ornamentów, wzruszył obojętnie ramionami i oddał ją z powrotem. Robotnik pochylał się ku ziemi, zebrał nieco suchej trawy i przytrzymał nad nią kryształ. Słońce stało już wysoko na niebie i nagle pośrodku łożyczek pokazał się brązowy punkt, a po nim płomyki ognia. Mężczyzna wskazał z dumą na ogień, a potem wyciągnąwszy soczewkę w kierunku Flawiusza powiedział coś, co Aqmat przetłumaczyła jako „dziesięć drachm”.

Młody Rzymianin chętnie by ją kupił, lecz miał w pamięci czekającą ich jeszcze długą drogę, kiedy to pieniądze z pewnością się przydadzą. Pokręcił więc głową, dając dromaderowi znak do wstania. Gdy zwierzę wsparło się na tylnych nogach, pochylając się do przodu, zastanowił się raz jeszcze, czy nie powinien jednak kupić dziwnego kryształu, ale zaraz wielbłąd stanął równo, ruszając za wierzchowcem Aqmat. Przez dłuższą chwilę słyszał jeszcze niezrozumiałe okrzyki robotnika, ale nie odwrócił się. Skierowali się na wschód, wspinając się na brunatny pagórek.

- Z przodu! - wyciągnięta ręka Aqmat wskazała półkoliste za głębienie.

Dziewczynę ucieszył zdziwiony ton w głosie Flawiusza:

- To przecież teatr!

Skinęła zadowolona, że udało się jej odnaleźć to miejsce po upływie roku. Przywiązali dromadery do karłowatego drzewa wyrastającego z ruin zabudowań kulis, a potem usiedli na rozsypujących się stopniach widowni.

Olus przestąpił z nogi na nogę.

- Pójdę rozejrzeć się po okolicy, może uda mi się znaleźć takie wypolerowane szkło - oznajmił i gwizdnąwszy na Juniora, zniknął za ścianą z glinianych cegieł.

Flawiusz otoczył dziewczynę ramieniem. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, lecz gdy Olus nie wracał, przytulił ją do siebie. Aqmat przeciągnęła mu ręką po włosach, a on pogładził ją po karku i uśmiechnął się. Dziewczyna pocałowała go szybko i zaraz wstała, otrzepując kurz z jasnobrązowej sukni. Upięła kilka niesformych kosmyków, założyła ręce za plecami, zaczerpnęła powietrza do płuc, ale nic nie mówiła. Młodzieniec czuł jej niepewność. Bał się, że powie teraz coś niewłaściwego i wtedy rozległ się jej głos.

- Może sprawdzimy, czy w tym teatrze rozumie się każde słowo? Tak jak u nas w Palmirze albo u was w Rzymie?

Przytaknęła, a Aqmat ruszyła po stopniach do góry, aż wreszcie stała się małym konturem na tle nieba.

Flawiusz podszedł ku środkowi orkiestry, krocząc pomiędzy kępkami suchej trawy. Odchrząknął, lecz w głowie miał pustkę. Co mógłby powiedzieć?

Dziewczyna przysiadła na stopniu, tak że z dołu prawie jej nie było widać.

- Słyszysz mnie? - zawołał ku górze, na co w odpowiedzi rozbrzmiało dźwięczne „tak”.

Poprawił sobie tunikę, wykonał gest aktora pozdrawiającego publiczność, w głowie wirowało mu od natłoku myśli.

Owidiusz! Przecież napisał coś na temat teatru w swojej *Sztuce kochania*. Tylko jaki był początek, żeby tylko się nie pomylić!

„Na łowy ruszaj szczególnie w teatru owalu. Znajdziesz więcej, niż pragniesz, uwierz memu słowu.

Tam jest, co miłujesz, czym zabawisz myśli:
Co raz dotkniesz, tym długo cieszyć się będziesz..."

Jego głos przebrzmiał w pustej widowni, a potem usłyszał śmiech Aqmat i zobaczył ją schodzącą ostrożnie po zasypanych gruzem schodach.

- Znakomicie! Powinieneś tu częściej występować, być może wtedy Babilon zaludniłby się na nowo!

- Nie chcesz, żebym towarzyszył ci do Charax? - zapytał cicho, czując, że uśmiech zastyga mu na twarzy.

Spojrzała na niego, oblewając się rumieńcem.

- Nie, nie to miałam na myśli.

- A co? - ujął ją za rękę.

- Nic, nic, to tylko żart.

Przez chwilę trwali w bezruchu.

- Czy wiesz, Flawiuszu, że znaczysz dla mnie bardzo wiele? - zamilkła znowu.

- A ja cię kocham! - przygarnął ją także drugą ręką. - Co się stało? Oswobodziła dłoń z jego uścisku, a potem złożyła ręce, poruszając nimi niespokojnie.

- Poprzedniej nocy nie mogłam zasnąć. Ty chrapałeś, a ja rozmyślałam.

- O czym?

Coś niczym żelazna pięść ścisnęło go w żołądku.

- Czy wyrządziłem ci jakąś krzywdę?

- Nie, od czasu naszego spotkania nad jeziorem byłeś delikatny, cierpliwy i wyrozumiały. Kobieta nie może oczekiwać niczego więcej.

Flawiusz patrzył na nią tępym wzrokiem.

- Wobec tego wszystko jest w porządku, nieprawdaż?

- Nic nie jest w porządku! - krzyknęła. - Nie ma przyszłości.

Zasłoniwszy twarz rękoma, zaczęła cicho łkać. Przytulił ją do siebie.

- Usiądźmy i porozmawiajmy o wszystkim.

Gdy przytaknęła i usiadła obok niego, zobaczył, jak łzy spływają jej po policzkach.

- Co nie ma przyszłości?

Otarła twarz grzbietem dłoni.

- Nasza miłość.

Młody człowiek poczuł, że ucisk w jego żołądku jak gdyby nieco zelżał.

- Aqmat, nikt nie może nas rozdzielić, jeśli się kochamy!

Uśmiechnęła się, ale w jej oczach pozostał smutek.

- Wszystko nas dzieli. Jesteś Rzymianinem, wasza armia maszeruje ku naszemu miastu. Po zakończeniu podróży ruszysz dalej do Persji, żeby dopełnić swojego ślubu - spojrzała na niego i westchnęła. - A ja muszę wracać, być może z nową karawaną. Ojciec dał mi zapieczętowany list ze wskazówkami, który mam otworzyć w Charax. Nie zdobędę się na bycie twoją nałożnicą tylko przez kilka dni.

Flawiusz siedział w milczeniu, wspierając głowę na rękach. Przeciągnęła dłonią po jego włosach, bawiąc się dwoma lokami zwijającymi się mu na czole, po czym położyła mu głowę na ramieniu.

- Przeżyjmy te dni jak dobrzy przyjaciele. Możemy nimi zawsze pozostać, w myślach i wspomnieniach, nawet jeśli nasze drogi się rozejdą.

- Nie! - młody człowiek wyprostował się energicznie. - Nie chcę być dalekim wspomnieniem, blaknącym powoli, podczas gdy ty będziesz leżeć w ramionach innego.

Wstał i ujął ją za rękę. Podniosła się z ociąganiem. Spojrzał w zielone oczy, tak zielone jak cedry Libanu i palmy nad Eufratem. Jakże daleko zawiodły go koleje losu tylko po to, aby postawić przed taką decyzją.

Głos załamywał mu się co chwila, każde słowo przychodziło z trudem.

- Nic nie jest tak ważne w moim życiu jak ty. Nawet mój ślub -gardło mu się ścisnęło, lecz mówił dalej.

- Czy posągi w świątyniach są czymś więcej niż tylko malowanym kamieniem, tego nie wiem. Ale ty jesteś moim życiem, bez ciebie wszystko jest pustką. Czy chcesz zostać moją żoną, jeśli okażę gotowość pójścia za tobą, dokąd tylko los nas zawiedzie?

Wpatrywała się w niego długo, a potem przytaknęła.

- Tak, chcę.

Flawiusz ogarnął ją ramionami, odszukał usta i pocałowali się z taką żarliwością, jak gdyby narodzili się na nowo.

Wreszcie rozluźnili uścisk i Aqmat odgarnęła z czoła kosmyk włosów.

- W Babil nie ma nikogo, przed kim zawarlibyśmy umowę czyniącą nas mężem i żoną. Ale możemy się zaręczyć - przez chwilę trwała w zamyśleniu, a potem jej twarz rozpogodziła się nieco. - Czy mógłbyś powtórzyć coś za mną? To stare przyrzeczenie mojego ludu.

Młodzieniec wyraził zgodę i powtórzył uroczyste słowa wymawiane przez dziewczynę:

- Chcemy dochować wierności albo niechaj niebiosa runą i nas zdruzgoczą, ziemia się otworzy i nas pochłonie, morze wystąpi z brzegów i nas zatopi.

Potem wziął walcowatą pieczęć i włożył jej do ręki.

- To mój podarunek. Nie mam nic więcej.

Tym sposobem złączyli swoje losy przysięgą składaną kiedyś Aleksandrowi przez żołnierzy celtyckich. Władcy, który ostatnie dni swego życia spędził w Babilonie, metropolii mającej stać się stolicą świata, umarł wraz z nim.

W połowie czerwca dotarli do porośniętych trzcina bagnisk w dolnym biegu Eufratu, a ostatnią noc przed dotarciem do Charax spędzili w ubogiej wiosce. Jej chatki skupiały się na małych, błotnistych wysepkach wystających na szerokość dłoni nad pokrytą sitowiem powierzchnię wody. Również i schronienie dla gości skonstruowano z grubych nagiętych pęków trzciny tworzących długą salę. Przedziały pomiędzy pękami, krótsze ściany budowli oraz podłogę stanowiły wyplatane maty, poszarzałe od starości, tam gdzie dym spalanego bawolego nawozu nie zabarwił ich na brunatno.

Flawiusz, Aqmat oraz Olus usadowili się przy wejściu. Junior został przywiązany żeby nie zgubił się w morzu sitowia. Ze złożonym na łapach łbem spoglądał tęsknie za nurkującymi kaczkami i gęsiami, wciąż na nowo okazywał też niepokój, gdy z głośnym sapaniem na powierzchni wody pojawiał się rogaty pysk bawołu wodnego, Wysoko w przestworzach szybowało stado łysek, żaby wygrywały wieczorny koncert, a chmary komarów tańczyły zacięcie w blasku zachodzącego słońca. Nad ziemią wisiało nieruchomo wilgotne, gorące powietrze.

- W ciągu dnia przypieka nas słońce, a w nocy dusimy się na parze - Olus otarł pot z czoła, spoglądając na siedzącą naprzeciw parę. - Czuję się jak w piecu w piekarni Habibathe. Tylko że tam nie dokuczały przynajmniej komary.

Flawiusz uśmiechnął się z przymusem.

- Wkrótce i to już będzie za nami - i zwracając się do Aqmat, zapytał: -Jak wyglądają nasze plany na jutro?

- W Charax mężczyźni przetransportują nam towary do miasta. Sprzedadzą drewno z łodzi, załadują skórę na muły i ruszą w górę rzeki na północ - Aqmat nałożyła sobie jeszcze nieco ryżu z rybą. -A my zamienimy nasze ładunki na srebrne drachmy.

Flawiusz zastanowił się przez chwilę.

- Wyposażysz kolejną karawanę i będziemy musieli wracać?

- Być może, ale nie wiem jeszcze, co zaplanował ojciec. Wszystkiego dowiem się z listu.

Oboje pograżyli się w milczeniu, gdy tymczasem na wodzie rozległo się głośnie kwakanie konkurujących ze sobą kaczorów. Nagle Aqmat wstała, znikając w ciemnym wnętrzu chaty.

- Co się dzieje? - zawołał za nią Flawiusz.

Dziewczyna wróciła po chwili, niosąc w ręku złożoną papirusową kartę.

- Przeczytam go teraz, jesteście przecież prawie na miejscu.

Złamała pieczęć i zaczęła wodzić wzrokiem po linijkach pisma.

Młody człowiek wstał i zajrzał jej przez ramię, na co ona uśmiechnęła się i podała mu list. Zobaczywszy palmireńskie pismo, Flawiusz powiódł palcem od lewej do prawej, próbując coś odczytać. Aqmat odebrała mu papirus ze śmiechem.

- Piszemy od prawej do lewej, nie zauważyłeś tego?

Młody Rzymianin odburknął coś niechętnie, a potem spojrzał na nią.

- No, powiedz wreszcie, czego się dowiedziałas.

Ucałowała go, po czym podniosła list niczym dekret królewski.

- Ojciec pisze, eee... no więc sprawy osobiste lepiej pominię - opuściła rękopis. - Ponadto karawana należy do mnie. To podsta wa własnego interesu lub jeśli zechcę - znów pocałowała Flawiusza - moje wiano. W każdym razie powinnam się trzymać z dala od Palmiry, dopóki trwa wojna z Rzymem.

Flawiusz nie bardzo rozumiał. -To znaczy...

- Tak! Jestem wolna! - Aqmat zamachała rękopisem niczym sztandarem. - Mogę ci towarzyszyć.

Młodzieniec dalej nie dawał wiary.

- Nawet do Persji?

- Wszędzie, dokąd tylko nas los zaprowadzi! - zauważyła, jak Flawiusz głęboko nabiera tchu. - Wiem przecież, z jakiego powodu przewędrowałeś połowę świata. Ruszajmy do Persji. To w połowie także mój kraj, choć nigdy tam nie byłam.

Flawiusz otoczył ramieniem Aqmat. Czuł wdzięczność za wszystko, co wydarzyło się w jego życiu przez ostatnie pięć lat, nawet jeśli często nie był zadowolony ze swojego losu. Gdyby wówczas udało mu się wydobyć brązy świątynne z Lopodunum, zostałby drobnym urzędnikiem w Augusta Treverorum i ożeniłby się z Faustyną lub jeszcze kimś innym. Nigdy też nie spotkałby tej wspaniałej kobiety znaczącej dla niego więcej niż wszystkie skarby Imperium

- Zakładając, że rabbi Samuel się nie mylił, powinniśmy rozpocząć poszukiwania w Veh-Szapur. Tylko jak się dostać na wyżynę perską?

- Nie bardzo wiem - zastanowiła się dziewczyna. - Nie dotarłam nigdy dalej niż do Charax. Następny jest Pharat, miasto portowe, z którego wyruszają statki do Indii. Jeśli szczęście nam dopisze, to znajdziemy żaglowiec zawijający do Riv-Ardaszir na półwyspie Mesambria. Stamtąd trakt powinien prowadzić ku góróm.

- A co z potworami morskimi? Aqmat
spojrzała na Olusa, unosząc brwi.

- Żeglowanie jest konieczne, życie nie!

- Kto mówił takie bzdury? - wyrwało się Galowi.

- Wasz wielki wódz Pompejusz, przed trzystu laty - zachichotała dziewczyna.

- Rzymianin, nie Gal - poprawił Olus. - I co mu z tego? Nie ma już go na tym świecie!

- Skorzystamy ze statku - zdecydował Flawiusz. - Gdy tylko uda nam się sprzedać towary Aqmat.

Cztery tygodnie później długa karawana dromaderów i mułów przemierzała nocne ciemności. Za nimi leżała sucha równina, a przed nimi wznosiły się niebotyczne górskie szczyty. Jasny talerz księżycy w pełni oblewał zimnym blaskiem poprzecinaną rozpadlinami okolicę. Strone zbocza coraz ciaśniej zamykały horyzont, a spadające z nich jezory piargów sięgały aż do podnóży. Dzięki światłu srebrnej tarczy karawana mogła poruszać się nocą i tym sposobem unikać morderczego słońca przemieniającego równinę w ciągu dnia w rozpalony piec. Czas południowego skwaru przesypiano w cieniu namiotów lub pod palmami, budząc się do życia dopiero z nastaniem zmierzchu. Przez dolinę przeszedł podmuch cuchnącego siarką wiatru.

- Tak mniej więcej wyobrażam sobie Hades - zawołał Flawiusz do Aqmat.

Dziewczyna zwróciła się ku niemu, kiwnęła czułym gestem i zaraz dopasowała się do kołyszącego chodu Szamasza.

W godzinę później stanęli u stóp skalnej ściany zdającej się wspierać o rozgwieżdżone niebo. Choć wydawało się, że to koniec drogi, przewodnicy gardłowymi komendami popędzili zwierzęta i cała karawana rozpoczęła wspinaczkę wąską ścieżką. Raz po raz spod kopyt wielbłądów odrywały się kamienie, tocząc się w dół przy akompaniamencie ostrzegających okrzyków jadących wyżej. Po dwóch godzinach osiągnęli wreszcie wyżynę, ciesząc się świeżą bryzą niosącą nieco ochłody. W bladym świetle poranka pojawiła się przed nimi wioska, pokryte słomą lepianki pośrodku wysuszonych rzysk. "Wymoszczona słomą chata, przygotowana przez wieśniaków za kilka drobnych monet, wydała im się prawdziwym pałacem i wszyscy zapadli w ciężki sen.

Po dniu odpoczynku wyruszyli w dalszą podróż. W suchej wysokogórskiej krainie poruszali się rankiem i wieczorem, żar południa zmuszał ich do poszukiwania schronienia w cieniu. Droga

prowadziła przez zięjące szczelinami góry, obok stromych skalnych ścian, wzdłuż bystrych rzek wyczarowujących pasy świeżej zieleni pomiędzy nagimi głazami. Od czasu do czasu widywali nomadów wypasających stada kóz, mężczyzn o ogorzałych od słońca i wiatru twarzach oraz kobiety w kolorowych ubiorach przykucające na podobieństwo kwiatów przed czarnymi namiotami z filcu. Wiązki kolorowej wełnianej przędzy suszyły się na wietrze, by zaraz zostać splecione w dywany o zagadkowych, niekończących się wzorach.

Gdy karawana zbliżyła się na tyle do Veh-Szapur, że mogli dojrzeć cytadelę na wschodnich zboczach miasta, Flawiusza kolejny raz opanowało uczucie niepewności. Czy wspomniany przez rabiego Mosze Primus mógł być jego ojcem? Czy król rzeczywiście przeniósł go tutaj? Czy więźniom wolno się było żenić? Co będzie, jeśli założył rodzinę i daleki syn będzie mu zupełnie obcy? Lecz jeśli nawet miałyby się okazać co innego, to jak go uwolnić i podjąć wraz z nim ucieczkę? Wszystkie te sprawy nie przestawały trapić go od Palmiry.

Gdy minęli bramę „Pięknego miasta Szapura”, Flawiusz rozważył już wszystko i zdecydował, że raczej zrezygnuje ze swojego marzenia, niż narazi swoje szczęście z Aqmat. Na to jednak, co miało się wydarzyć, nie mógł być przygotowany.

Veh-Szapur było nowym miastem. W jego zabudowie przeważały kilkupiętrowe domy o płaskich dachach wzniesione z glinianych cegieł. Na przecinających się pod kątem prostym ulicach tłoczyli się niosący narzędzia rzemieślnicy, przechodzili zamożni Persowie w szerokich spodniach, wysadzanych perłami pasach i turbanach na głowie, a od czasu do czasu w tłumie pojawiały się białe burnusy Arabów. Flawiusz znalazł gospodę, gdzie mogli zostawić również swoje zwierzęta, po czym pozwolili się nieść ludzkiej ciżbie, wy-

ciągając szyje przed dwiema kolumnami wznoszącymi się za posągami naturalnej wielkości - „oczywiście Szapura” - jak na rzucone pytanie odpowiedział im spieszący do pracy cieśla. Na wielu budowach mieszano zaprawę, młotki stukały o kamienie, a w powietrzu rozbrzmiewały perski, arabski, grecki i łacina. Wszyscy robotnicy wyglądali na dobrze odżywionych, choć musieli ciężko pracować. Nigdzie też, jak spodziewał się młody Rzymianin, nie napotykało się zakutych w łańcuchy niewolników.

Gdy dojrzeli murarza wznoszącego hypocaustum, tak charakterystyczne dla rzymskich zabudowań, Olus nie mógł dłużej zapanować nad ciekawością.

- Wybacz, czy jesteś Rzymianinem?

Krępy człowiek o łysej czaszce wyprostował się, spoglądając z niechęcią na pytającego.

- Co cię obchodzi, kim kiedyś byłem? Teraz jestem sługą króla - ściszył głos: - Dam ci dobrą radę: nie wypytuj się o Rzymian. A widząc lęk w oczach rudzielca, dodał nieco bardziej przyjaznym tonem: - Nazywa się nas ansharig, cudzoziemcami. Ale to znaczy to samo, co niewolnik. Pytaj o takich, a napotkasz wielu, którzy kiedyś maszerowali pod orłami.

Flawiusz podszedł bliżej.

- Wybaczcie, a gdybym szukał tylko jednego ansharig o imieniu Primus, co byście doradzili?

Murarz odłożył kielnię, ocierając sobie dłonie o wyplamioną wapnem tunikę.

- Imię nic mi nie mówi. Jest nas kilka tysięcy. Większość już od dziesięciu lat. Przekrzywiwszy głowę, zmrużył oczy.

- Po co te pytania?

- Jestem medykiem - odparł na to dumnie młodzieniec - i leczyłem w Gundeszapur tego człowieka. Podobno jest tutaj.

Łysogłowy podrapał się za uchem.

- Trudna sprawa, panie. Jest dużo nowo przybyłych ze wszystkich miast. Apasay żąda coraz więcej. Do budowy muru miejskiego, mostu, świątyni Anahity, sanktuarium ognia. Ten Apasay to namiestnik. Popędza wszystkich, żeby ukończyć miasto - uśmiechnął się. - Pewnie marzy mu się tiara, chce zasiąść do stołu wraz z królem.

- Czy Szapur mocno zapadł na zdrowiu? - dopytywała się Aqmat.

- Pssst! - mężczyzna pochylił się. - Brat słońca i księżycy jest niedysponowany. Tak poszeptują pałacowi eunuchowie. Na ulicy niczego nie słuchajcie ani nie mówcie, jeśli nie chcecie wylądować w Gilkard.

To powiedziawszy, odwrócił się i zniknął za załomem muru.

Aqmat dała znak Flawiuszowi i Olusowi, aby podążyli za nią.

- Mówił o zamku zapomnienia, tak tutaj nazywają więzienie.

Dokąd teraz?

Ruszyli za kilkoma osłami obciążonymi ciężkimi workami, przeciskającymi się przez tłum. Młodzieniec podjął decyzję:

- Rozglądnijmy się na budowach, na które w ostatnim czasie sprowadzono nowych rzemieślników.

Gdy wyszli przed bramę północną, rozpostarło się przed nimi prawie wyschłe koryto rzeczne, a za ich plecami wyrosły półkoliste wieże muru miejskiego. Wypytywali murarzy na rusztowaniach, nakładających lśniącobiały gips na kamienne złomy, ale na próżno. Zagadywali malarzy zdobiących fortyfikację purpurowymi i błękitnymi ornamentami - nikt nie znał Primusa. Ruszyli ku rzece, ale i tam robotnicy rozłożyli bezradnie ręce.

Z bolącymi nogami wrócili do gospody. Następne dni również nie przyniosły spodziewanego sukcesu. Napotkali układaczy mozaik i tkaczy jedwabiu zabranych przez Szapura z Antiochii, rozmawiali z rzemieślnikami służącymi niegdyś w legionach i słysząc o Primusie, więźniowie kilkakrotnie kiwali głowami, lecz ciągle

mieli na myśli kogoś innego. Flawiusz powoli oswajał się z myślą, że jego ślub kazał mu wprawdzie przejechać pół świata, lecz nie zbliżył go do celu. Nocą, gdy leżał przytulony do Aqmat, coraz częściej godził się z myślą, że trzeba będzie dać za wygraną, lecz ona nie ustępowała.

- Nie poddawaj się, może jutro się uda - szepnęła mu do ucha wieczorem, gdy już ułożyli się na spoczynek.

Flawiusz pogładził jej włosy.

- Jesteśmy tu od tygodnia i nie mamy niczego, co mogłoby nam pomóc. Może zginął pod Edessą, zmarł w niewoli lub został wywieziony w inny region królestwa. Nie możemy przecież szukać aż po granicę indyjską.

- Oczywiście, że nie. Tydzień to za mało, jak na tak duże miasto. Jeśli przybył tu niedawno, to wiedzą o tym jedynie nieliczni.

Aqmat wsparła się na łokciu.

- Nie dowiadaliśmy się jeszcze przy pałacu ani w świątyni, a także nie byliśmy przy mostach poza miastem,

Ucałowała go w policzek.

- Odpocznijmy teraz. Jutro spróbujemy przy świątyni.

Flawiusz już miał zdmuchnąć płomień lampy, gdy rozbrzmiało pukanie do drzwi.

- Kto tam?

- To ja, Olus. Otwórzcie, natrafiłem na ślad!

Gdy następnego poranka Flawiusz dotarł do domostwa, zamiast pełnego napięcia oczekiwania ogarnęło go zmęczenie. Przez całą noc przewracał się niespokojnie na posłaniu. Dopiero gdy na horyzoncie pojawił się blask jutrzeńki, zamknęły mu się oczy i zapadł w krótką drzemkę. Teraz stał przed zielonymi drzwiami w wytynkowanym na jasnobrązowo murze, czuł chłodny poranny

wiatr i przysłuchiwał się odgłosom budzącego się miasta. Podeszedł bliżej i zapukał. Cisza. Zaćwierkał niewidzialny ptak, z domu naprzeciwko słyhać było kobiece głosy, w oddali rozległ się ryk osła wyrażający niechęć do nowego dnia pracy.

Ponowne pukanie. W środku zaszurały czyjeś stopy, drzwi zostały uchylone i pojawił się w nich młody człowiek w jasnożółtych pludrach przecierający zaspane oczy.

- Czy mieszka tutaj Primus, mistrz budowlany anshariganów? - zapytał Flawiusz po grecku.

Pers odrzucił z twarzy kosmyk włosów.

- Mój panie, pierwszy mistrz budowlany, powołany przez króla królów, nie przyjmuje tak wcześnie nikogo.

- Owszem. Powiedz mu, że jego syn chce z nim mówić!

Służący skrzywił się nieco, spoglądając nieufnie na natręta.

- Jego syn?

Flawiusz przytaknął i wymienił swoje imię. Sługa polecił mu czekać w sieni, a sam zniknął w półmroku domu. Otworzył odległe drzwi, a w przejściu rozbrzmiały niewyraźne głosy.

- Chodźcie!

Przybysz ruszył za szafranowymi pludrami do długiego pomieszczenia z wysoko umieszczonymi oknami. We wnętrzu, w promieniach porannego słońca tańczyły w powietrzu drobiny kurzu, a jego blask rysował jasne prostokąty na posadzce i dużym, ciemnym stole założonym papirusowymi zwojami. Stojącego za nim mężczyznę Flawiusz dostrzegł, dopiero gdy ten się poruszył. Liczył około czterdziestu lat, nie miał brody, nosił krótko obcięte, przetykane siwymi kosmykami włosy, a na skroni odcinała się mu różowa blizna. Ubrany był w brązową tunikę i sandały, zaś kciuki zatknął za skórzany pas.

- Co to za historia z synem?

Młody człowiek poczuł się tak, jak gdyby wymierzono mu policzek. Ociągając się, podeszedł nieco bliżej.

- Jesteście Primus, mistrz budowlany w legionach cesarza Wariana, stacjonujący przed dwoma dziesiątkami lat w Bicastrum? Mężczyzna o wąskich wargach przytaknął.

- To ja!

- Żonaty z Germanką Brygidą i mający brata o imieniu Juliusz? Gospodarz skinął głową i opuścił ręce, spoglądając nieufnie na gościa.

- Czy Juliusz też tu jest?

- Nie, ale żyje. Udało mu się uciec, gdy Germanie napadli na miasto i porwali moją matkę.

- Jakie miasto? - krzaczaste brwi ściągnęły się pytająco.

- Lopodunum - wyjaśnił Flawiusz. - Tam przecież zostawiliście Brygidę. Nie przypominacie sobie niczego?

Jego rozmówca zawahał się, a prawa dłoń dotknęła blizny.

- Pamięć mnie czasem zawodzi - podszedł do stołu, wziął zeń jeden ze zwojów i zaraz odłożył go z powrotem. - Oczywiście, przypominam sobie.

- Czy wobec tego jesteście Primus Verecundus, mój ojciec?

Lekko pochyłony mężczyzna stanął na chwilę w bezruchu, a ostre fałdy ciągnące się od nosa ku kącikom ust zdawały się jeszcze głębiej odcinać na jego obliczu. Kolejna chwila wahania, po czym podał Flawiuszowi prawicę.

- Tak, to ja. Witam w Veh-Szapur - na poważnym obliczu pokazał się uśmiech. - Jak mnie odnalazłeś? Żyję nieco w odosobnieniu.

- Przez przypadek. Któryś wieczora Olus zagadnął w ta-wernie...

- Olus z Gundeszapur? - głowa gospodarza poderwała się w górę.

- Nie, nasz galijski służący, towarzyszący mi od dawna.

Primus wskazał na stojący przed stołem zydel.

- Usiądź, masz z pewnością wiele do opowiedzenia.

Przez następną godzinę Flawiusz mówił bez przerwy, wyrzucając z siebie wszystko i dopiero pytania Primusa wprowadziły porządek w jego myślach, pomagając opowiedzieć całą historię. Zrelacjonował życie na gospodarstwie nad Mozela, wspominał o nieudanej próbie wydobycia skarbu, niewoli u Germanów, spotkaniu z Brygidą, ucieczce do Augusta Raurica i dalej do Rzymu oraz podróży z Ulkesem do Palmiry, o Olusie i swojej małżonce Aąmat, towarzyszących mu do Veh-Szapur.

Primus zmarszczył czoło.

- Mam nadzieję, że nikt o tym nie wie i zachowaliście ostrożność. Flawiusz, któremu ze zmęczenia opadła na koniec głowa, wyprostował się.

- Co masz na myśli?

- Niedawno przybył posłaniec z Ktezyfonu. Aurelian pokonał Pałmireńczyków pod Emesą i zdobył skarby Zenobii. Po klęsce królowa wraz z resztkami wojsk zbiegła do Palmiry. Egipt uznał ponownie rzymską zwierzchność, a imperator kontynuuje marsz na Wschód.

Primus obrzucił Flawiusza zamyślonym spojrzeniem.

- Zmożony niemocą Szapur leży w pałacu. Człowiekiem sprawującym obecnie władzę w państwie jest Kartir, nienawidzący wszystkiego, co obce. Kto wie, jak długo będziemy mieli pokój.

- Kartir, kto to taki?

- To magusz, tak zwie się tutaj kapłanów odpowiedzialnych za kult boga Ormuzda i jego świętego ognia. Sam Kartir cieszy się wielkim uznaniem i nosi tytuł herpat, kapłana ognia. Dopóki Szapur pozostaje przy życiu, ma związane ręce, lecz pod rządami słabego następcy - kto wie, jak postąpi z innowiercami.

Primus spojrział badawczo na młodego człowieka.

- Nie jesteś chyba chrześcijaninem ani manichejczykiem?

Flawiusz pokręcił głową.

- Kto to taki ten manichejczyk?

Primus machnął lekceważąco ręką.

- Ktoś, kto jak Szapur wierzy w Maniego i jego nową religię światła. To ciebie nie dotyczy. Ale chodzi nie tylko o religię. Mam nadzieję, że wasz cesarz nie wykorzysta słabości Szapura, żeby zaatakować Ktezyfon. - Ściszył głos.

- Kto wie, że jesteś Rzymianinem?

Młody człowiek zastanowił się, a następnie odrzekł:

- O ile wiem, nikt. Przybyłem z żoną i służącym wraz z karawaną, nie zwracając niczyjej uwagi.

- Znakomicie. A kiedy musisz wracać? - gospodarz przyjrzał mu się z ukosa.

- Nie wiąże mnie żaden termin. Jestem tutaj ze względu na ciebie. Chciałem cię...

- Psst - Primus ostrzegawczo przytknął palec do ust. - Ściany mogą mieć uszy. Zobaczmy się jutro.

Flawiusz stał chwilę niezdecydowany, a potem podszedł do ojca, obejmując go w niemy uścisku.

Starszy człowiek poklepał go po ramieniu.

- Cieszę się, że przybyłeś. Mamy sobie jeszcze wiele do opowiedzenia. Ale teraz musisz już iść, żeby nikt nie zwrócił na ciebie uwagi.

Młodzieniec poczuł skurcz w gardle, ale ruszył ku drzwiom. Wychodząc, odwrócił się, pytając:

- Masz jeszcze tę muszlę na rzemyku?

Primus spojrzał na niego przez ramię.

- Jaką muszlę?

- Jedną część podarowałeś Brygidzie, drugą zachowałeś dla siebie. Tak przynajmniej mi opowiedziała.

Gospodarz ze zmarszczonym czołem podszedł do wyjścia, zawołał coś w niezrozumiałym języku, a potem zwrócił się do syna:

- No tak, muszla. Musi gdzieś być. Jestem tu dopiero od kilku tygodni i w nawale pracy nie zdążyłem wszystkiego wypakować.

Słyszac kroki za plecami, Flawiusz odwrócił* się. Zobaczył prawdziwego olbrzyma odzianego w ciemnobrązowe pludry oraz obszerny płaszcz, lekko pochylonego, o krótko ściętych włosach i kanciastej szczęce.

Przybysz wymruczał coś pod nosem, zaś Primus wydał mu kilka poleceń, a następnie odesłał skinięciem ręki.

- To Gundaffar, kurdyjski brygadzysta, zabrałem go ze sobą z Gundeszapur. Jest mi ślepo oddany i silny jak wół. Wybacz, ale muszę iść na budowę.

Młodzieniec odczekał chwilę, lecz gdy Primus związał swoje pergaminy, zapytał:

- Kiedy się znów spotkamy?

- Gdybyś wiedział, ile mam pracy - mistrz budowlany wznosił ręce. - Na szczęście jutro po południu wszyscy mają wolne. Asp-bed, głównodowodzący jazdą pancerną, organizuje turniej. Spotkajmy się przy dwóch kolumnach i pójdźmy nań razem.

- Bardzo chętnie.

Flawiusz ucieszył się, lecz gdy wyszedł za próg, opanował go dziwny niepokój.

Popychając się w niemiłosiernym ścisku, wielki tłum wypływał za miasto, udając się na równinę, gdzie na gliniastym gruncie ubito arenę na zawody jeździeckie. Po zachodniej stronie wznosiła się drewniana konstrukcja z wystającą lożą ozdobioną złotymi ornamentami. Okrywająca ją jedwabna zasłona poruszała się lekko przy popołudniowym wietrze, lecz w środku nie było nikogo. Na podwyższeniach po obu stronach zgromadzili się dworacy z prostokątnie przyciętymi brodami oraz długimi fryzurami wypływają-

cymi spod kolorowych, przygiętych ku przodowi czepców. Primus, który zawiesił sobie na szyi kolorową muszlę, wynajął ławkę stojącą zaraz obok barierki, więc mieli dobry widok.

Po krótkiej chwili umilkły szmery rozmów, gdy przy akompaniamencie głuchych uderzeń w bęben dwóch mężczyzn otworło kratę po węższej stronie placu. Przy łoskocie werbli na arenie pojawiło się dwóch jeźdźców. Flawiusz i Olus jeszcze nigdy takich nie widzieli: ciała zawodników tkwiły w żelaznych pancerzach, zaś ramiona i ręce chroniły kolczugi. Okrągłe hełmy wzmocnione zostały z przodu przez stalowy grzebień wystający ku dołowi i dający osłonę na nos. Policzki oraz szyję otaczała przymocowana do hełmu zbroja łańcuszkowa. Z pasów zwisały im miecze w szerokich, połączanych pochwach, zaś w lewej ręce rycerze dzierżyli tarcze. Największą uwagę zwracały jednak długie, zawieszane po lewej stronie łba końskiego lance trzymane przez jeźdźców w prawej dłoni. Potężne zwierzęta poruszały się ciężko pod pancerzami z metalowych płytek przedstawiającymi znaki właściciela: bajeczne potwory konkurowały z lwami, słoniami lub fantastycznymi wzorami.

Wojownicy skierowali swoje wierzchowce na skraj pola, defilując przed oczyma widzów po każdej stronie. Następnie zgromadzili się w dwóch grupach na przeciwległych, węższych stronach, a stojący na trybunie herold rozpoczął odczytywanie długiej listy imion.

- Dlaczego walczą ze sobą? - zapytał szeptem Flawiusz. - Są ze sobą zwaśnieni?

- Nie, to nie jest walka na śmierć i życie, tak jak pomiędzy gladiatorami - Primus wskazał na jednego z rycerzy. - Lance są z przodu stepione. Chodzi tylko i wyłącznie o sławę, należy wysadzić przeciwnika z siodła.

Herold zakończył odczytywanie listy, ponownie rozbrzmiały werble, początkowo powoli, a potem coraz szybciej, i z każdej grupy wyłoniono po jednym zawodniku. Potężne wierzchowce

z tętentem kopyt runęły ku sobie, kolorowe chusty walczących za-furkotały na wietrze, a lance niczym gigantyczne żądła wysunęły się w kierunku przeciwnika. Potem wszystko odbywało się bardzo szybko, sylwetki zdawały się zlewać ze sobą, uderzenie, głuchy łomot i już po placu kłusował koń bez jeźdźca, zaś sam rycerz zwijał się na arenie z bólu. Przy grzmiącym aplauzie zebranych zwycięzca z uniesioną w górę lancą objeżdżał szranki, wzniecony kurz opadał powoli, a kilku mężczyzn podbiegało do pokonanego, aby podniósłszy go, pomóc mu zejść z placu.

Stało się to podczas drugiego pojedynku.

Zderzenie okazało się szczególnie mocne. Niczym uderzony potężną pięścią pokonany wyleciał z siodła. Ale i zwycięzca nie mógł w nim prosto usiedzieć. Złamana lanca opadła bezsilnie w dół, zaś niekierowany koń truchtał bez celu po turniejowej arenie. Flawiusz zobaczył, jak jeździec opuścił głowę, zgubił tarczę, a następnie lancę, aż wreszcie osunął się bokiem z wierzchowca. Powiewający peleryną mężczyzna podbiegł do niego, pochylił się nad leżącym, a po chwili zawołał coś w kierunku widowni.

Aqmat dała znak ręką, po czym trąciła Flawiusza.

- Wzywa medyka!

Jej mąż ociągał się nieco, wstał, lecz na ramieniu poczuł uchwyt ręki Primusa.

- Nie, mój chłopcze, nie idź tam. To zbyt niebezpieczne!

Flawiusz spoglądał przez chwilę na zatroskane oblicze, lecz wyrwał się, wdrapał się na barierę, zeskoczył na arenę i po chwili był przy leżącym jeźdźcu.

Mężczyzna leżał nieruchomo, gdy jednak medyk go odwrócił, wydał cichy jęk. Flawiusz gestem nakazał słudze, aby pomógł mu rozpiąć zbroję. Powieki rannego drgały, wydawało się, że zwichnęła bark prawej ręki. Badając klatkę piersiową, młody człowiek do-

tknął lewej strony ciała, na co mężczyzna syknął, a jego paznokcie wbiły się z bólu w dłonie.

- Powiedz słudze, że jego pan ma złamanych kilka żeber i zwichnięty prawy bark - zwrócił się Flawiusz do towarzyszącej mu Aqmat. - Nastawię mu je, ale musimy go ułożyć wyżej i odsłonić tors.

Aqmat przetłumaczyła, służący pobiegł na skraj placu i z pomocą Olusa przyniósł jedną z ławek. W tym czasie Flawiusz uwolnił korpus mężczyzny, sługa ułożył na ławce swoją pelerynę i we trzech ułożyli na niej rycerza.

Spojrzenia wszystkich skoncentrowały się na młodym medyku, który gorączkowo przywoływał w pamięci nastawianie stawów według Hipokratesa. Nie mógł pozwolić sobie na błąd w obecności tylu świadków. Jako pomocnik wykonywał podobne zabiegi pod kierownictwem Doryphorosa, ale od tego czasu minęły cztery długie lata.

Ustawić się przy prawym boku pacjenta, zdjąć prawy but, ująć rękę rannego, ostrożnie oprzeć piętę pod jego pachą i pociągnąć, powoli, lecz silnie, kręcąc nią lekko w prawo, a następnie w lewo, ostrożnie, ostrożnie...

Z lekkim chrupnięciem zagłuszonym przez okrzyk bólu kość wskoczyła do panewki, po czym ranny, oddychając gwałtownie, spoczął spokojnie i z zamkniętymi oczyma pozwolił na dalsze badanie. Słyszając obok siebie energiczne kroki, Flawiusz podniósł wzrok i dostrzegł stojącego obok, dostatnio ubranego przybysza gwałtownie doń przemawiającego.

- To medyk z miasta - przetłumaczyła Aqmat - chce się zająć pacjentem.

W tej chwili ranny otworzył oczy i widząc medyka, wystękał kilka słów. Aqmat udzieliła mu odpowiedzi, a potem wraz z Flawiuszem ruszyli ku krawędzi placu. Dotarłszy do Primusa, dziewczyna oznajmiła:

- To azdad imieniem Ardavan, arystokrata z Veh-Szapur. Po dziękował ci i dowiadywał się o twoje imię.

Rozpromieniony Olus klepnął Flawiusza w ramię, zaś Primus pokiwał jedynie w milczeniu głową. Gdy po zakończeniu turnieju dotarli do bramy miejskiej, zachodzące słońce oświetliło na wschodzie nagie górskie zbocza, zaś zwieńczające ich szczyty białe mury cytadeli zapaliły się niczym czerwona korona.

|||e oV ic

Przez następne dni Primus nie miał czasu.

- Akwedukt w świątyni Anahity nie działa jak należy - mruknął przy pożegnaniu. - A do tego jeszcze muszę nadzorować prace w pieczarze Szapura.

- Gdzie ta pieczara?

- W dolinie rzeki na wschód od miasta, w odległości parasan-gi, to cztery rzymskie mile. Potem trzeba się jeszcze wspinać na skalną ścianę około tysiąca stóp w górę, i to w tym upale! - już sama myśl o trudach zdawała się wyciskać budowniczemu pot na czoło. - Szapur chce, żeby później pochowano go nie w Kte-zyfonie, lecz tam, w pobliżu jego miasta. Gdybyśmy tylko mieli więcej czasu!

Flawiusz natomiast miał dużo czasu, zadowolony i szczęśliwy spędzał go z Aqmat. Gdy na chwilę zostawali sami, całowali się, a Flawiusz znalazł u jubilera złoty łańcuszek z błękitnymi perłami z lapis-lazuli jako podarunek ślubny. Jego małżonka przytuliła go, odmawiając przyjęcia łańcuszka grzecznie, lecz zdecydowanie.

- Dziękuję ci, kocham cię i za to. Ale teraz nie chcę żadnych ozdób, ^starczy mi pieczęć, którą podarowałeś mi w Babilonie. Później, gdy będziemy bezpieczni, chętnie. Zatrzymaj swoje aureusy, przydadzą się nam jeszcze.

Spacerowali po mieście, wyruszyli na przejażdżki po okolicy a któregoś razu wybrali się na pobliskie wzgórze, skąd przepędziła ich gromada dziko gestykułujących stróżów.

- Powinam była o tym wiedzieć - stwierdziła zmieszana Aąmat, wskazując na cyprysy porastające zakątek niczym milczący strażnicy. - Tutaj zaratusztrianie, jak wy, Rzymianie, nazywacie wy znawców Ormuzda, przynoszą swoich zmarłych, aby wystawionym w skalnych zagłębieniach zwłokom sępy oczyściły ciało do kości.

Flawiusz wzdrygnął się.

- Po co to?

- Uważają za święte cztery żywioły: ogień, wodę, powietrze i ziemię, więc nie chcą ich zanieczyszczać truchłami zmarłych. Nie mogą ich spalić ani pogrzebać, dokąd jest na nich ciało.

Mając chwilę spokoju, młody człowiek obmyślał plany wspólnej ucieczki, uwzględniał możliwe niebezpieczeństwa, a także zastanawiał się, jak rozpocząć z ojcem ten gorący temat. Lecz nie miał ku temu okazji, gdyż podczas krótkich spotkań budowniczy sprawiał wrażenie nieobecnego, narzekał tylko na nawał pracy i brak czasu. Od turnieju minęły cztery dni, gdy Flawiusz, Aąmat oraz Olus spotkali się wieczorem w najlepszej tawernie w mieście. Ponieważ niechętnie widziano tam psy, Junior musiał zostać w gospodzie.

- Poza tym nie powinien tyle jeść - wyjaśnił Gal, sięgając po drugą porcję dziczyzny stanowiącą specjalność lokalu.

- Zakładam, że odnosi się to tylko do psa - zażartowała Aąmat, spoglądając na jego tuszę.

- Oczywiście, chyba że ty boisz się, że przytyjesz? - Olus zlustrował jej szczupłą sylwetkę, wsuwając przy tym do ust ociekający tłuszczem kawał mięsa.

Droga powrotna prowadziła ich przez uliczki promieniujące jeszcze upałem dnia. Przed domami, gwarząc, zasiedli na zydłach brodaci mężczyźni, w domach zaś rozbrzmiewały głosy kobiet i nawoływania dzieci. Nieco dalej doszli do kwadratowej budowli

z kopułą. Otwarty po każdej stronie łuk pozwalał zajrzeć do wnętrza. Aqmat wskazała na migoczący ogień.

- Widzisz ten ołtarz pośrodku?

Flawiusz przytaknął.

- Ogień, który na nim płonie, jest święty. Ten kapłan - Aqmat skinęła głową w kierunku mężczyzny zbliżającego się do paleniska - to jeden z maguszy. Strzegą go dzień i noc, dokładając drewna aloesowego i szarej żywicy, troszcząc się, aby nigdy nie zgasł. To byłoby wielkie nieszczęście.

Flawiusz objął ją w pól.

- Wiecznie żyjący ogień. To piękna myśl. - W blasku płomienia jego twarz promieniowała takim szczęściem, że Olus zwlekał i najchętniej by milczał, tak jak w poprzednich dniach. Ale zdobył się na odwagę.

- Mogę cię o coś zapytać? Całkiem szczerze?

Młody Rzymianin przytaknął.

- O co chodzi?

- Nie bardzo wiem, jak ci to powiedzieć, ale ten Primus wydaje mi się jakiś dziwny.

Wreszcie ciężar spadł mu z serca i Gal spojrział w napięciu na przyjaciela. Natomiast Flawiusza pytanie dotknęło bardziej, niż chciał się do tego przyznać.

- Czasem i ja tak myślałem. Oczekiwałem więcej ciepła, więcej radości. Ale minęło dużo czasu. Nie każdy cieszy się gościem z przeszłości.

- Jesteś pewien, że to twój rodzic? Wcale nie jest do ciebie podobny! - wtrąciła się Aqmat.

Flawiusz ceniący zwykle jej otwartość zareagował szorstko.

- Chcesz powiedzieć, że moja matka jako niewolnica miała jakiegoś kochanka?

- Nie - ucałowała go w policzek. - Nie to miałam na myśli.

- A co? Zastanawiałaś się kiedyś nad tym, co przeszedł?
Próbując go udobruchać, Aqmat pogłaskała go po włosach.
- Na pewno masz rację. Wracajmy do gospody.

Na miejscu oczekiwała ich niespodzianka. Gospodarz wręczył im duży, przykryty wiekiem kosz.

- Przyniesiono go dziś wieczorem, krótko po tym, jak Ołus wyszedł z gospody.

- Od kogo? - zapytał Flawiusz, choć się domyślał.

- W ciemnościach nie udało mi się rozpoznać posłańca. Powiedział, że to od Ardavana.

- To ten rycerz! - zawołała Aqmat. - Zajrzyjmy, co jest w środku.

Wnieśli podarunek do izby zamieszkiwanej przez małżonków i kiedy dziewczyna zajęła się rozwiązywaniem sznura owiniętego wokół kosza, Ołus ruszył do swojej izdebki, aby napić Juniora. Gdy wrócił, młodzi ludzie zajęci byli wykładaniem na stół wędzonych ryb, czerwonych jabłek granatu, pierników z pistacjami i soczystych kielbas.

- To chyba byłoby wszystko - sapnęła zadowolona Aqmat, odstawiając wiklinową plecionkę.

Flawiusz wziął do ręki lampę oliwną i oświetlił blat.

- Pewnie wydaje mu się, że musi nas ocalić przed śmiercią głodową!

- Nawet jeśli tak jeszcze nie jest... - Ołus łakomym wzrokiem wpatrywał się w górę łakoci. - ...kawałek piernika... odrobinę!

Młody człowiek roześmiał się.

- Weź, ile chcesz. Wystarczy nam na cały tydzień.

Gal odłamał cały róg i wsunął go sobie do ust. Przeżuwając z namaszczeniem w drodze do drzwi, powiedział:

- Doskonale. Skosztujcie.

Aqmat odmówiła, Flawiusz także.

-Jutro chętnie. Dziś jesteśmy syci. Dobrej nocy.

Zamknawszy drzwi, zbliżył się od tyłu do żony.

- Na tym świecie są jeszcze inne rozkosze.

Opuściła wzrok.

- Tak? Jakież to?

- To, co robimy od pobytu w Babilonie.

Otulił ją ramionami, ujął obiema rękami piersi, przycisnął lekko jej ciało do siebie i zaczął wargami pieścić kark. Przez chwilę stała spokojnie, a potem sięgnęła za siebie, ogarniając jego talię. Oddech Flawiusza przyspieszył, jego język nie przerywał pieszczot. Aqmat jęknęła cicho i poruszyła biodrami, czując jego napięcie. Rozwiązana suknia spłynęła na podłogę, a on ponownie ujął jej sutki i potarł twarde brodawki, a potem jego dłonie sięgnęły niżej, zatrzymały się na brzuchu, pogłaskały go, po czym cał po calu ruszyły dalej, między uda.

Dziewczyna drgnęła i odwróciła się powoli, nie odrywając swojego ciała od jego. Założyła mu ręce na karku i przyciągnęła jego usta do swoich. Musnęła językiem wargi, a potem przedarła się pomiędzy nimi, zwierając się z mężem w namiętym pocałunku. Przesunęła dłońmi po jego plecach, przytuliła, zwolniła uścisk, znów go wzmocniła, poruszyła biodrami, po czym jej pieszczota skupiła się na jego męskości. Jej dłonie ruszyły dalej, tak samo jak i jego. Ciężko oddychając, stali naprzeciw siebie, aż napięcie stało się nie do wytrzymania. Wreszcie powoli, krok po kroku Flawiusz pociągnął ją w stronę posłania, podczas gdy ona uwalniała go od tuniki. Oboje byli nadzy, gdy Aqmat poczuła w zgięciach kolan krawędź posłania. Osunęła się powoli do tyłu, przyciągnęła go do siebie i pozwoliła posiąść.

Minęło około godziny. Coś wyrwało Flawiusza z otchłani snu. Posłyszał drapanie we drzwi, i jeszcze raz, wreszcie ciche skomlenie. Odkrył ostrożnie okrywający ich pled i wsłuchał się w spokój-

ny oddech Aqmat. Lampa paliła się nadal, dobrze, że jej nie zgasił. Powoli nałożył tunikę i sandały, wziął lampę i ruszył do wyjścia. Ponowne drapanie. Sięgnął po sztylet i starając się nie robić hałasu, odsunął powoli rygiel. Głośniejsze skomlenie. Gdy otworzył drzwi, do nóg przypadł mu Junior.

- Co się dzieje, jesteś głodny? - Flawiusz poklepał psa, chwycił go za dolną szczękę i popatrzył w brązowe ślepia. - Dlaczego nie jesteś z Olusem?

Junior zapiszczał ponownie, a potem odwróciwszy się, pobiegł w głąb ciemnego korytarza. Po chwili wahania Flawiusz ruszył jego śladem. Kilka kroków, półotwarte wejście, w migoczącym świetle pies obwąchał skuloną postać. Twarzy na kamiennej posadzce nie dało się rozpoznać, ale za to leżącą sylwetkę tak. Przez próg wystawała wyciągnięta ręka. Młody człowiek chwycił ją, palce leżącego zacisnęły się. Odwracając się, Olus stęknął głośno.

Z ust ciekła mu ślina, okrągłe ciało drżało w kolejnym skurczu, słychać było odgłos dławienia.

Flawiusz chwycił go pod ramiona, podniósł i pociągnął do izby, po czym ułożył na posłaniu.

- Masz gorączkę?

Dotknął jego czoła, lecz nie wyczuł temperatury. Również przy badaniu brzucha Olus nie odczuwał żadnego bólu, jedynie straszliwe nudności.

- Zjadłeś wczoraj za dużo? - chory pokręcił głową i ponownie stęknął. - Nie, tylko coś pali mnie w żołądku... jak ogień.

- Olusie, nie mam pojęcia, co ci dolega - Flawiusz zastanowił się przez chwilę. - Być może jedzenie było nieświeże. Pomóż mi cię odwrócić, przyniosę środek wymiotny!

Gdy już ułożył Gala na boku i zapalił lampę, ruszył z powrotem do swojej izby, po czym otworzył skórzaną torbę lekarską. Woreczek z proszkiem! Nałożył szczyptę do kubka, nalał wody

z dzbanka i wymieszał. Wzdrygnął się, słysząc dobiegające spod stołu głośne mlaskanie

- Junior, co ty wyrabiasz?!

Wsadziwszy pysk do kosza, pies porwał jedną z kielbas. Fla-wiusz ruszył ku niemu, lecz złodziejaszek, warcząc, jednym susem wyskoczył na korytarz.

- Co to za hałasy? - Aqmat otworzyła zaspane oczy.

- Olusowi zaszkoziło jedzenie. Dam mu środek wymiotny, zaraz wracam — i już ruszył do wyjścia.

Wsparłszy chorego, podał mu miksturę, a także przyniósł naczynie nocne. Czekając, aż środek zacznie działać, podniósł lampę, rozglądając się wokoło.

- No, Junior, smakowało? - uśmiechnął się do leżącego w kącie psa oblizującego sobie pysk.

Wreszcie Olus zaczął wymiotować i Flawiusz musiał się nim zająć. Po dłuższej chwili żołądek się opróżnił i wyczerpany pacjent opadł na posłanie.

- Dziękuję, teraz mi lepiej.

Flawiusz przeciągnął mu dłonią po czole, ziewnął i dziękując w myśli Eskulapowi za pomoc, chciał wreszcie położyć się na spoczynek. Usłyszawszy jednak rżenie, pochylił się znowu nad przyjacielem. Ale ten oddychał spokojnie. Znowu rżenie i cichy skowyt. Flawiusz uniósł lampę i wtedy zobaczył Juniora.

Jednym skokiem znalazł się przy psie. Z pyska ciekła mu piana, język zwisał bezwładnie, dyszał i próbował się podnieść. Skowyczenie narastało, Junior skulił się, wstał, ale łapy ugięły się pod nim. Medyk ukląkł i wziął go na ręce.

- Mój mały, co z tobą?

Zwierzęciem wstrząsały skurcze, dławilo się i wyło. Dopiero teraz Flawiusz doznał olśnienia. Położył psa na polepie, zerwał się i pobiegł korytarzem do sypialni. Szarpnięciem otworzył drzwi i zamarł.

Stojąca przy stole Aqmat trzymała przy ustach łyżkę pełną czerwonych jagód granatu.

Doskoczywszy do niej, szarpnął jej rękę, krzycząc:

- Wypluj, to trucizna!

••• -v- •••

Aqmat nie skosztowała jeszcze owocu. Flawiusz ponownie przygotował środek wymiotny i podsunął Juniorowi, lecz pies nie chciał przełykać gorzkiego lekarstwa. Pomimo kilku prób musiał bezradnie patrzeć, jak mikstura wycieka z utrzymanego ku górze pyska. Z sekundy na sekundę zwierzę słabło coraz bardziej. Wkrótce nie mogło poruszyć łapami, oddech stał się cięższy, zaczęły mu migotać powieki. Flawiusz przyłożył dłoń do serca, pracowało nieregularnie, zatrzymało się na chwilę, uderzyło znowu. Na koniec Junior rozwarł z trudem ślepią, chropowaty język polizał dłoń opiekuna, mały brązowy korpus naprężył się i znieruchomiał.

Jak długo siedział przy martwym przyjacielu, tego Flawiusz nie wiedział, lecz gdy zaczęły wracać pierwsze ptaki, wstał i ze zwieszonymi ramionami wrócił do Aqmat. Spojrzała na niego pytająco, a kiedy w milczeniu pokręcił głową, objęła go,

- Zajrzałam raz do was, ale mnie nie zauważyłeś.

Oczy męża lśniły wilgocią, więc pogłaskała go łagodnie po twarzy.

- Jego śmierć uratowała nam życie.

Flawiusz przytaknął.

- Bogom niech będą dzięki, że Olus zjadł tylko trochę piernika.

- Jak myślisz, co to za trucizna? Jej mąż wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Ale skoro pomimo pełnego żołądka działa tak skutecznie, musi to być coś bardzo jadowitego. Ważniejszą kwestią jest pytanie, kto nastaje na nasze życie.

Aqmat zmarszczyła czoło.

- Rycerz; na pewno nie.
- Mnie też się tak wydaje. Nie ma powodu.
- A jeśli nawet, to nie byłby na tyle nieroztropny, aby dokonywać podstępnego zamachu pod własnym imieniem. Nawet na cudzoziemcach - otoczyła Flawiusza ramieniem. - Połóż się, wyglądasz na zupełnie wyczerpanego.

Młody człowiek zamyślił się na chwilę.

- Zapytam Primusa. On z pewnością lepiej się orientuje w perskich intrygach niż my.

Gdy następnego dnia wieczorem zapukał do ojca, mistrz budowlany wzdrygnął się.

- Synu, co się stało? Przybywasz z Hadesu?
- Niedużo brakowało - Flawiusz opowiedział historię ostatnich dwudziestu czterech godzin. - Jak ci się wydaje, kto się nas tak obawia lub tak nienawidzi, że chce nas zgładzić?

Primus potarł czoło.

- Jest wiele możliwości. W mieście roi się od fanatyków nienawidzących nas, Rzymian.

- Ale od razu zabójstwo? - młodzieniec nie dowierzał. - Sprawca musiał wiedzieć, że znamy Ardavana. Podczas turnieju dostatecznie blisko znajdowało się nas tylko czworo, do tego sługa i perski medyk.

- Medyk? - Primus zmarszczył czoło. - Oczywiście. Poczul się dotknięty na honorze. Mówiłem ci przecież, żebyś się nie wtrącał.

-Ale to niedorzeczne! - syn dalej upierał się przy swoim. -Z takiego powodu nikogo się nie morduje.

- Skoro wiesz lepiej, to po co mnie pytasz? - głowa mistrza budowlanego uniosła się dumnie. - Czemu nie zjesz po prostu pozostałych kiełbas i nie cieszysz się ładnym dniem?

- Ojczy, proszę...

- Widzisz teraz, mój synu, że miałem rację!

- Tak, tak, miałeś - Flawiusz przytaknął, ale bez przekonania.

Aby zmienić temat, podszedł do stołu, na którym leżał papiirusowy zwój ze szkicem architektonicznym. Rysunek przedstawiał fasadę budowli z kopułą oraz trzema łukami, których krzywizny miały większą średnicę niż pionowe ściany, tworząc formę podkowy.

- Cóż to za dziwadło?

- Łuki? Zobaczyłem je w Legio w Hiszpanii. Tobie też się podobają? Niestety, nikt w imperium ich nie chce - Primus uśmiechnął się lekko. - Ale tutejsi Persowie cenią je. To plan świątyni ognia!

Zamyślony Flawiusz wpatrywał się w papiirus.

- Dlaczego w Legio? Kiedy byłeś w Hiszpanii?

Primus spojrział na niego, ale zwlekał z odpowiedzią.

- Wybacz, oczywiście nigdy tam nie byłem. Skopiowałem to z wzornika jednego z przyjaciół. Żeby mi uwierzono, że potrafię coś takiego zbudować, rozumiesz - mrugnął porozumiewawczo do syna. - Głupie przyzwyczajenie, moja próżność. Nie zdradzisz mnie chyba, mój chłopcze?

Flawiusz zaprzeczył.

- Oczywiście, że nie.

Czując jego rozczarowanie, Primus podszedł do młodego człowieka, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Chcesz zobaczyć, nad czym pracuję?

Młodzieniec zgodził się z uśmiechem.

- Naturalnie, choć słabo znam się na architekturze.

- Nie szkodzi. Wyjaśnię ci wszystko. Przyjdź jutro wczesnym rankiem do świątyni Anahity. Pokażę ci ją, a potem na mułach wybierzemy się do doliny. Szemrze w niej chłodny potok, a nieco dalej rozciąga się cienisty las. Zobaczysz płaskorzeźby naskalne oraz grootę, którą Szapur przygotował dla siebie. Czegoś takiego nie ma w całym imperium!

- Bardzo chętnie. Mogę zabrać Aqmat?

Ojciec nie bardzo chciał się zgodzić.

- Lepiej nie. Wiesz, że to królewskie budowle. Poza tym ktoś powinien zostać z Olusem.

Po krótkim wahaniu dodał jeszcze:

- Najlepiej zrobisz, nie mówiąc nikomu o naszej wyprawie. Ni komu! Nie chcemy przecież znowu kłopotów.

Flawiusz z uśmiechem przyznał mu rację, lecz był to wymuszony uśmiech.

- Oczywiście, jedź z nim. Spędzacie tak mało czasu razem - Aqmat złożyła głowę na ramieniu Flawiusza. - Weź tylko ze sobą łuk, może upolujesz coś po drodze. Od przedwczoraj strach ściska mi gardło przy każdym kęsie wkładanym do ust. Dziki zając nie może być przynajmniej zatruty.

Flawiusz spotkał ojca przy wejściu do świątyni. Primus rzucił okiem na jego broń, lecz nic nie powiedział. Przez wyłożony kamieniem korytarz zeszli do świątyni, której belkowane drewniane sklepienie wspierało się na głowach byków.

- Anahita to bogini wody - rodzic wskazał na ciemny kanał - dlatego świątynia ma cysternę.

Flawiusz pochylił się, słuchając odgłosu kapania. Mistrz budowlany westchnął:

- Doprowadzenie wody nie funkcjonuje jak trzeba, świątynia wysycha.

- Czy nie jesteś specjalistą w tym względzie?

- Owszem, ale nie możemy znaleźć żadnej usterki. Kartir traci powoli cierpliwość.

Flawiusz wdrygnął się.

- Chodźmy stąd. Może przy okazji wyjaśnisz mi, co jest istotą funkcjonowania akweduktu.

- Oczywiście. Ruszajmy.

zszedłszy na ciepło słońca, dosiedli mułów i opuścili **miaitti** przez bramę wschodnią. Przejechali kawałek wzdłuż biegu niewielkiej rzeczki, przemieszczając się pod prąd i po krótkiej **jeździe** Primus ściągnął wodze swojego zwierzęcia, wskazując na przeciwną stronę doliny.

- Widzisz tę płaskorzeźbę? To Szapura, ostatnia i największa!

Flawiusz spojrział we wskazanym kierunku. Cienistą skalną **ścianę** pokrywało pięć rzędów kolorowych, uporządkowanych jedna nad drugą, kolorowych figur. Po lewej stronie skupiała się lekko uzbrojona kawaleria, z prawej nadszali piechurzy, aby przedstawionemu na środku, siedzącemu w siodle władcy złożyć u stóp łupy, między innymi słońia. U dołu wykuto szereg rzymskich jeńców.

- Król królów jako zwycięzca nad trzema rzymskimi cesarzami - wyjaśnił Primus. - Leżący pod kopytami jego wierzchowca to Gordian, Filip klęczy, zaś Walerian prowadzony jest w kajdanach.

Obaj przyglądali się płaskorzeźbie, brunatnym korpusom koni, białym płaszczom wojowników, czerwonym kitom na hełmach.

- Tak mają wszyscy pamiętać Szapura - zauważył mistrz buzdowlany z lekką ironią w głosie. - A nie jako wodza, który zwyciężył dzięki zdradzie, a podczas odwrotu stracił swój harem wraz ze zdobyczą wojenną!

- Co się stało z Walerianem? - zapytał Flawiusz.

Primus wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ruszajmy dalej, zanim nastanie upał. Po naszej stronie nie możesz jeszcze dwukrotnie podziwiać bohaterskiego Szapura.

Dolina rozszerzała się stopniowo i po dobrej godzinie Primus wskazał na ciemny otwór zięjący w skalnej ścianie.

- To grota, którą król polecił przygotować jako miejsce na swój pochówek.

Flawiusz przyjrzał się piargowi, z którego wyrastało zbocze.

- Potrzebujemy godziny, żeby tam dotrzeć?

Ojciec przytaknął.

- Ale warto, widok jest naprawdę niezwykły.

Gdy zdyszani i spoceni dotarli na miejsce, Flawiusz musiał mu przyznać rację. Spojrzeniem ogarniał niekończący się łańcuch brunatnych szczytów górskich wijących się pod nimi niczym fale zakrzepłego w kamień morza. W dolinie przez zieloną plamę lasu przewijała się mała rzeczka, rozsiane po okolicy domostwa wyglądały na opuszczone.

- Dlaczego nikt nie pracuje? - zaciekawiał się młody człowiek.

- Nowe zalecenie Kartira. Chciałby, żeby grób królewski znajdował się koło jego głównego sanktuarium. Leży ono w odległości kilku dni drogi, w pobliżu ruin nazywanych „Sto kolumn” - wyjaśnił Primus. - Obejrzyjmy grotę.

Minąwszy oświetlone słońcem wejście, stanęli niespodziewanie przed ogromną figurą drzemiącą groźnie w półmroku. Złączona ze sklepieniem i z posadzką przedstawiała stojącego mężczyznę z prawą dłonią wspartą na rękojeści miecza. Długie loki wypływały spod rozłożystej korony, władcze oblicze z lekko falującą brodą spoglądało nieruchomo w dal.

- Szapur? - Flawiusz bardziej stwierdził, niż zapytał, zdejmując z ramienia łuk i opierając go wraz ze strzałami o posąg.

Primus potwierdził.

- Gładkie płaszczyzny na ścianach przeznaczono na płasko-rzeźby bądź epigrafy jego dokonań. Tyle tylko, że na razie nikt nie wie, co ma być dalej - podniósłszy kawałek węgla drzewnego z jednego z palenisk, podszedł do ściany.

- Chciałeś, żebym ci wytłumaczył, jak się buduje akwedukty.

Flawiusz zawahał się. Z groty dochodził chłodny powiew przypominający mu o lochach w Lopodunum. I o piwnicy z jego nocnego koszmaru z czasów dzieciństwa.

- Co się stało? - Primus skinął na niego nadpaloną trzaską. - Co chciałbyś wiedzieć?

- Czy zawsze trzeba wznosić most nad doliną tylko po to, żeby przeprowadzić wodę z jednej strony na drugą?

Flawiusz podszedł kilka kroków do przodu i zatrzymał się. Mistrz budowlany przyglądał mu się przez chwilę.

- Prawdziwie mój syn, ciągle głodny wiedzy. Ale to dobre pytanie. Są dwie możliwości.

Naszkićował przekrój doliny, a następnie wskazał na lewą stronę.

- Z góry dochodzi woda mająca po prawej płynąć dalej. Wznosimy most - prawa ręka narysowała szereg łuków. - Woda przepływa nim otwartą rynną o równomiernej spadzistości. Potrzeba sporo zaprawy i kamieni, ale konstrukcja jest prosta. Jasne?

Flawiusz przytaknął, wspierając podbródek na dłoni. Przyglądał się każdemu ruchowi.

- Inna możliwość wygląda następująco - Primus skinął na niego kolejny raz. - Podejdź bliżej, będziesz lepiej widział.

Flawiusz z ociąganiem postąpił krok naprzód, a ojciec naszkicował kolejny przekrój doliny.

- Wznosi się krótki wysoki łuk, sprowadza wodę pionową rurą w dół, a następnie pod ciśnieniem prowadzi przez dolinę i wypycha na drugiej stronie ku górze.

Flawiusz przyglądał się drugiemu rysunkowi. W jego głowie myśli formowały się w pytanie, możliwość, cień podejrzenia. Zmusił się do zachowania spokoju.

- W tym wypadku potrzeba mniej wysokich łuków. Dlaczego nie postępuje się tak zawsze?

- O to właśnie chodzi - Primus pokiwał głową z uznaniem. - Przy drugim rozwiązaniu woda płynie pod ciśnieniem i łatwo rozrywa gliniane rury, przede wszystkim w narożnikach, które muszą być

z kamienia. Poza tym tutaj, w najgłębszym miejscu, osadza się szlam i bardzo trudno się go usuwa - zaznaczył odpowiedni fragment wodociągu. - Ale są takie akwedukty, widziałem podobny w Aspendos. Tylko w Germanii ich nie ma. Wiesz dlaczego?

Flawiusz zatopił się w myślach. Już miał odpowiedź, a teraz zgubił wątek. Spojrzał pytająco na Primusa.

- Co dlaczego?

- Dlaczego w Germanii nie wznosi się wodociągów ciśnieniowych. Nie słuchasz mnie?

- Jak najbardziej, ale to wszystko jest dla mnie nowe. Pewnie ze względu na mrozy.

- Zgadza się - Primus podszedł do niego. - Uważałeś na to, co mówiłem. No, chodź, chcę ci coś jeszcze pokazać.

Lewa ręka budowniczego wskazała do tyłu, na ciemną przepaść, prawa zbliżyła do Flawiusza. „Muszę zyskać na czasie. Coś się nie zgadza, tylko co? Zaraz będę wiedział, tylko żeby mnie na chwilę zostawił w spokoju, tylko na jedną chwilę. Muszę o coś zapytać...” - myślał gorączkowo Flawiusz.

- Ojczy, ta blizna na twojej głowie. Czy to rana z bitwy pod Edessą?

Primus okazał zaskoczenie.

- Dlaczego pytasz?

- Ponieważ... - Flawiusz namyślał się pospiesznie - ponieważ wygląda tak, jak gdyby mogła być śmiertelna. Czy to dzieło perskich żołnierzy?

- Nie - zaprzeczył mistrz budowlany. - To wypadek przy pracy. Co się z tobą dzieje?

- Niezbyt dobrze się czuję. Słońce, wspinaczka... Jest tu jakaś woda?

- Trochę dalej, w grotcie. Chodź za mną! - ręka znowu zbliżyła się do niego.

Flawiusz wpatrzył się w nią. Tak, to było to. Dłoń z czarnymi od węgla drzewnego palcami. Prawa ręka. Serce zabiło mu tak mocno, że aż wydało mu się, iż ojciec to usłyszy.

- Mógłbyś... umiałbyś wykonać szkic również drugą, to znaczy lewą ręką? Słyszałem, że budowniczowie muszą to umieć.

Siwowłosy mężczyzna okazał zniecierpliwienie.

- Nie, nie potrafię. Kto naopowiadał ci takich bzdur?

Flawiusz zadrżał.

- Ty... nie jesteś Primusem! - jego słowa odbiły się echem w grocie. - Nie wiem, kim jesteś, ale nie moim ojcem! - podniósł głos do krzyku. - Mój ojciec był leworęczny.

W jednej chwili mistrz budowlany porzucił przyjazny ton, nierzeczywiście maskę. Twarz wykrzywił mu grymas. Teraz był to tylko stary, siwy i rozwścieczony człowiek.

- Ty rzymski szczurze - wysyczał. - Wlokłeś się przez pół świata, żeby mi wszystko zrujnować? - podszedł do młodzieńca, który odsuwał się krok po kroku. - Czy prosiłem cię, żebyś tu węszył? Czy nie ostrzegałem cię?

Flawiusz odruchowo przytaknął, gdy jego ramię napotkało coś twardego. Posąg! Odwrócił się bokiem, a wówczas napastnik skoczył ku niemu, w jego rękę błysnął sztylet. Młodzieniec chciał zrobić unik, lecz poczuł cios na lewym barku. Upadając, uderzył głową o kamień. Na wpół ogłuszony osunął się na ziemię, czując chropowatą powierzchnię ocierającą mu policzek. A potem stracił przytomność.

Budowniczy przyjrzał się nieruchomemu ciału, po czym podszedł bliżej. Martwy? Powoli wznosił zakrwawiony sztylet. Stop, coś się działo!

Przyłożywszy dłoń do lewego ucha, nasłuchiwał. Nic. Odwrócił się do przodowi, w stronę wejścia do pieczary. Czy stamtąd dobiegały głosy? Przecież jeszcze dzisiaj polecił wszystkim robotnikom

trzymać się z dala od budowy! Pochylony podkradł się kilka kroków w kierunku światła i przyczaił do skoku, rysując się ciemnym konturem na tle wylotu grotu. Tym sposobem nie zauważył, co się działo za jego plecami.

Nie dostrzegł, jak cień u stóp posągu poruszył się nieco, chwylie nie wsparł się, opadł na ziemię, odszukał łuk, znów się podniósł, pochwycił strzałę i nałożył ją na cięciwę. Nie widział skrzywionej bólem twarzy za napinającym powoli orężem, aż drżące ramię ranego prawie opadło z sił i dłoń wypuściła pocisk.

Za to poczuł uderzenie, gdy ostry grot wbił się od tyłu w jego udo, a potem poderwał go przejmujący ból. Zachwiał się, stracił równowagę i przewrócił się, wbijając strzałę głębiej, aż jej szpic pojawił się po drugiej stronie.

Zwijał się w boleściach, gdy nadbiegła ku niemu gromada dostojników i kapłanów.

Unosząc się pomiędzy rzeczywistością i napadami gorączkowych majaków, Flawiusz czuł pulsujący ból, słyszał odgłosy rozmów i widział pochylającą się nad nim twarz Aqmat.

Gdy po raz pierwszy odzyskał na dłużej przytomność, leżał na słomianej macie. Jego palce powędrowały po wilgotnych kamieniach ściany, przesunęły się po piersi, czując grube zwoje opatrunku i szorstką derkę okrycia. Gdzie się znalazł?

Zobaczył ciemne pomieszczenie rozjaśnione skąpym światłem dobiegającym z wysoko położonego okna. Obok jego legowiska stał prosty gliniany dzbanek na wodę. W tle widać było okute żelazem dyle - zamknięte drzwi. Czyżby umieszczono go w Gilgard, jak nazywano tutaj więzienie?

Zawołał, najpierw słabo, potem pomimo pulsującego bólu głęśniej, aż wreszcie zgrzytnął rygiel i odrzwia się otwarły. Do środ-

ka wszedł brodaty strażnik w skórzanym pancerzu, zatrzymał się i zapytał o coś po persku. Flawiusz odpowiedział po grecku, lecz żołnierz pokręcił tylko głową i wyszedł. Nieco później pograżony w drzemce więzień posłyszał ponownie odgłos odsuwanej rygli i ciche kroki.

- Flawiuszu! - w celi zabrzmiał głos Aqmat. - Jak się czujesz?

Otworzył oczy i spojrzał w jej twarz, widząc zatroskane oczy i zbliżające się wargi, które wycisnęły pocałunek na jego policzku.

- Dokuczają mi bóle. Dlaczego jestem w tej dziurze?

- Ponieważ cię oskarżono - odgarnęła mu włosy z czoła. - Chciałeś podstępnie zgładzić Primusa. Dlaczego to zrobiłeś?

Z pomocą żony Flawiusz uniósł się nieco, po czym opowiedział jej całą historię.

- Ten człowiek nie jest moim ojcem, odgrywa jedynie jego rolę. Bał się, że go wydam, i dlatego chciał mnie zabić - zamilkł na chwilę. - Gdy nie powiodła się próba otrucia.

- Wierzę ci. Tylko co z sędziami? - Aqmat wyglądała na przygnębioną. - Jutro ma się odbyć rozprawa. Budowniczy to tylko niewolnik, ale ważny dla króla. Dlatego Kartir, arcykapłan, chce tego procesu.

- Jak długo możesz zostać? - każde słowo bolało go, jak gdyby w ranie obracano sztylet.

- Myślę, że z pół godziny. Przekupiłam strażnika - Aqmat uśmiechnęła się. - Nie marnujmy czasu.

Następnego ranka zjawili się dwóch osiłków i załadowawszy Flawiusza na nosze kołyszającym krokiem ponieśli go przez miasto. Rozprawa miała się odbyć w miejscu publicznym, pod wielkimi, łagodnie kołyszającymi się na wietrze płachtami płótna, przez które słońce docierało jedynie jako matowy okrąg. Usiadłszy na wyściełanym taborecie, z satysfakcją przyglądał się, jak mistrz budowlany

ociężale unosi się ze swoich mar, aby z wyciągniętą do przodu, usztywnioną nogą również zająć swoje miejsce. Za każdym z pod-sądnych stanął wartownik w okrągłym hełmie z lancą w dłoni.

Na drewnianej trybunie przed nimi w bogato rzeźbionych krzesłach zasiadło grono luminary miejskich. W środku usadowił się niepozorny mężczyzna o twarzy uczonego, w zielonym turbanie na głowie, a jego czujne oczy bacznie lustrowały całe otoczenie. Po jego lewej ręce siedział przysadzisty wuzurg, dostojnik o długiej, czarnej, lekko kręconej brodzie. Miejsce po prawej pozostało wolne. Wartownicy ustawili się kołem, a spoza ich pleców wyglądały głowy ciekawskich gapiów. Przez chwilę Flawiusz widział zmar-twioną twarz Aqmat, a potem na podium wszedł czarno odziany mężczyzna w purpurowej, przygiętej ku przodowi czapce i zajął wolne krzesło.

Na to jak na komendę powstał grubas, poprawił pas wysadzany szlachetnymi kamieniami i odchrząknął.

- Jestem Apasay Jako namiestnik reprezentuję króla. Nasz dadvar, sędzia, poprowadzi obrady po grecku, gdyż występuje przeciw sobie dwóch ansharigan - urzędnik spojrzął wokoło. - Za szczyca nas obecność herpata Kartira, naszego arcykapłana. Jego znajomość przekazanych przez tradycję praw i zwyczajów często już okazywała się bezcenna. Niniejszym w imieniu króla królów otwieram obrady sądu.

Apasay usiadł, zaś dadvar polecił mistrzowi budowlanemu, aby przedstawił swoją skargę.

- A kiedy zyskał już moje zaufanie - zakończył fałszywy Pri mus - zamierzał podstępnie zgładzić mnie w jaskini. Zaplanował ten zamach i dlatego wziął ze sobą łuk i strzały.

Oskarżający z trudem trzymał się na nogach i głośno jęknął.

- Strzał był tak mocny, że pocisk przebił moje udo i powalił mnie na ziemię. Medyk jest moim świadkiem!

Wystąpił łysogłowy medyk i potwierdził diagnozę. Po tym udzielono głosu Flawiuszowi, który przedstawił swoją wersję wydarzeń, kończąc słowami:

- Ten człowiek miał powód, aby mnie zabić. Podaje się za kogoś, kim nie jest, dlatego próbował nas otruć i zaatakował mnie sztyletem. Strzeliłem do niego w obronie własnej, ostatkiem sił. Strzała przebiła udo, dopiero gdy się przewrócił.

- Macie świadków, że to budowniczy posłał truciznę? - zapytał davdar.

Młody człowiek zaprzeczył.

- Nie, ale czy mógł to być ktoś inny?

- Podejrzenia nie są dowodami - zgnął go sędzia. - Przejdźmy do wydarzeń w jaskini.

Zwrócił się do mistrza budowlanego.

- Skoro sami zostaliście ranni, to jak udało się wam zadać tak ciężką ranę temu młodemu silnemu człowiekowi?

- Leżałem na ziemi, gdy zbliżył się, żeby mnie dobić. Wtedy zadałem cios nożem - twarz Primusa skrzywiła się z bólu.

Sędzia w zamyśleniu pokiwał głową.

- To możliwe. Tylko dlaczego miałyby to zrobić?

- Nie mam pojęcia - mistrz budowlany przetarł spocone czoło.
- Może to Rzymianie nie chcą, żebym budował dla króla królów?

- Posyłać mordercę po dwunastu latach niewoli? Mordercą, który oficjalnie przybywa wraz ze swoją żoną? - davdar pokręcił głową. - To już relacja tego młodego człowieka wydaje mi się bardziej godna wiary. Naprawdę jesteście mistrz budowlany Primus? A może powinniśmy posłać do Gundeszapur, żeby wyjaśnić całą sprawę?

W tym momencie do rozmowy wtrącił się Kartir, a na dźwięk jego słów wszystko zdawało się zamierać niczym ścięte mrozem.

- Bóg Zurvan nie stworzył czasu po to, aby marnować go na spór dwóch ansharigan. Zgodnie ze świętym zwyczajem naszych przodków o sprawie niechaj zadecyduje sąd bogów!

Tłum zaszemrał, a dadvar mruknął półgłosem:

- Wyrok boży, znakomicie!

Kartir spojrział na milczących więźniów, a na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech.

- Ponieważ obaj są ranni, nie mogą walczyć ze sobą albo jedy nie na języki. A jeden z nich jest jadowity niczym skorpion. Dlatego też zarządzam... - czarno odziany kapłan spojrział na zebranych, którzy zdawali się wstrzymywać oddechy - sąd boży przez ołów. Jeśli któryś z nich do południa nie przyzna się do kłamstwa, to jeszcze dzisiaj obu zostanie wlany do ust roztopiony metal.

Kartir wznosił obie ręce do nieba.

- Niewinnego, jak przekazują stare pisma, Ormuzd zachowa od wszelkiej szkody. Zaś winnego, za złe czyny, słowa i myśli, przez całą wieczność ściągają będą piekielne psy Arymana!

Kapłan usiadł, a sędzia zawyrokował:

- Niechaj się tak stanie. Dziś o trzeciej godzinie po południu, w tym miejscu. Odprowadzić więźniów.

Następne godziny były najdłuższymi w życiu Flawiusza. Nie mógł się z nikim zobaczyć ani uporządkować swoich myśli. Jeśli przyzna się do winy, zostanie skazany za usiłowanie morderstwa. Na jaką karę? I do tego zatryumfuje fałszywy Primus! Ktoś, kto być może zgładził jego ojca, żeby zająć jego miejsce! Obstawaj przy niewinności? Jak ma wierzyć w sprawiedliwość perskiego boga Ormuzda? Czego będzie chciał od niego? Wysłucha go, jeśli zawołam: Ormuzdzie, zachowaj mnie od ołowiu? Zasyczy tylko jak żegadio na ranie, jeśli się to stanie? Kilka chwil udręki, a potem niemoc i śmierć? A gdyby uznał się za winnego...

Ciężkie kroki, drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. Przyszli, żeby go *zabrać*. Kątem oka zobaczył drugie nosze, na których niesiono budowniczego. Najchętniej zaczepiłby się o każdy dom, przytrzymał każdego człowieka na ulicy, wbił paznokcie w bruk, żeby tylko zyskać na czasie. Skręcili za róg, dotarli na miejsce. Usunięto płótna i popołudniowe słońce rzucało skośne promienie na płaskie dachy domów, z których przyglądali się ciekawi wydarzenia mieszkańcy. Więźniowie zostali doprowadzeni do drewnianego rusztowania i doń przywiązani. Głowy przypasano im do desek i lekko odchyłono w tył, w usta włożono kliny. Spoglądając w dół, Flawiusz ujrzał palące się w pobliżu ognisko. Nad żarem na łańcuchu zwieszał się żelazny kocioł. Za nim powoli na trybunach swoje miejsca zaczęli zajmować dygnitarze miejscy. Dostrzegł głowy zgromadzonego tłumu. Gdzieś tam musiała być Aąmat, ale nie mógł jej dojrzeć.

Pojękiwanie obok niego, oderwane słowa, głos budowniczego, zimny pot.

Drzewce lanc uderzyły trzykrotnie w bruk. Głośne rozmowy przemieniły się w głuchy pomruk. Swoje miejsca zajęli Kartir, Apa-say i dadvar. Sędzia uniósł rękę, nakazując ciszę, zaś obok kotła stanęło dwóch strażników z chochlami w rękach.

- Zgodnie ze zwyczajem pytam po raz kolejny: czy kłamca chce się przyznać i wziąć na siebie sprawiedliwą karę za swój czyn?

Spojrzenie wokoło. Milczenie. Dłoń opadła. Kaci zanurzyli chochle w kotle, zamieszali, zaczerpnęli i ruszyli ku skazańcom.

Flawiusz spojrzał ku niebu, widząc błękit przecięty białymi smugami chmur, cień jastrzębia czatującego na nieświadomą niczego ofiarę. Nad twarzą zabrzczała mu mucha, usiadła na pokrytym potem czole i ruszyła w kierunku nosa. Odgłos zbliżających się kroków. Paznokcie wbijały mu się w skórę dłoni. Dyszał, zagryzł

kłn, ujrzał ciemno połyskującą chochlę, poczuł zapach gorącego metalu, zamknął oczy...

Przez głowę przelatywały mu strzępy obrazów: pociągła twarz Ulisesa, powiewająca grzywa kasztanki, spróchniała skrzynia w piwnicy, smutne oczy matki, tłumy w Rzymie, morska piana zalewająca „Fortunę Redux”, kolumnada w Palmirze, Aqmat w Babilonie, Aqmat, Aqmat...

- Nieee... przyznaję się, skłamałem!

Placem wstrząsnął skrzek budowniczego. Flawiusz otworzył *oczy, zobaczył strażnika z chochlą w uniesionej ręce*, usłyszał szloch obok siebie. Sędzia wstał z miejsca, w jego głosie nie słyhać było żadnych emocji.

- Czy było tak, jak powiedział ten Flawiusz? Czy usiłowaliście go zabić?

- Tak, tak. Inaczej wszystko bym stracił - jęczał skazaniec.

- Rozwiążcie więźniów i wyjmijcie im kliny, żeby można ich było zrozumieć - rozkazał *dadvar*. - Kim wobec tego jesteście?

- Jestem Galeriusz, pomocnik mistrza budowlanego. Gdy Primus został wezwany do Veh-Szapur, zabrał mnie ze sobą. Ale w drodze, kilka dni przed dotarciem na miejsce, wybrał się na przejażdżkę, zupełnie sam... - mężczyzna odetchnął ciężko i zaraz kontynuował. - Wrócił jak odmieniony. Podobno napotkał szczep nomadów, a do mnie powiedział: „Galeriuszu, zostawiam wszystko. Zaczynam nowe życie, w górach, z młodą kobietą. Pośród pasterzy jestem wolny, nie chcę już dłużej być niewolnikiem”. Wtedy wpadłem na ten pomysł. - Zgromadzeni zaczęli gorączkowo po-szeptywać między sobą.

- Cisza! - rozkazał sędzia. - Mówcie dalej.

- Po naradzie zdecydowaliśmy zamienić się rolami. Ja jako Primus miałem się udać do Veh-Szapur i tam donieść, że mój pomocnik uciekł. Kogoś takiego mniej zaciekle się będzie poszukiwało

niż królewskiego budowniczego. On miałby swoją wolność, a ja wysokie stanowisko.

Galeriusz zamilkł, po czym zacinając się, mówił dalej:

- Zawsze byłem w jego cieniu. On odnosił sukcesy, a ja... ja przecież potrafię nie mniej od niego, tak przynajmniej sobie wma wiałem. Aż zjawił się ten młody człowiek niczym posłaniec bogini zemsty Nemezis, żeby mnie zniszczyć.

Dadvar zwrócił się do siedzącego obok Apasaya. Zamienili kilka słów, a następnie sędzia ogłosił:

- Nasz namiestnik potwierdza tę historię. Przez całe dni przeszukiwano doliny i wybrzeże w poszukiwaniu zbiegłego Rzymianina. Niestety, na próżno. Odprowadźcie Galeriusza, o jego losie zadecydujemy później. Uwolnijcie też tego młodzieńca!

W tym momencie przez szpaler straży przedarła się szczupła dziewczęca postać, przebiegła przez plac i objęła siedzącego szeptem Flawiusza.

- Aqmat - wymamrotał młody człowiek - jesteś. Teraz wszystko będzie dobrze.

- Tak. Już po wszystkim.

IV IV "k

- Dokąd mnie zabieracie? - zdziwił się Flawiusz, gdy czterech tragarzy przeniosło go do lektyki i delikatnie uniosło ją do góry.

- Nie kłopotz się o nic - Aqmat pogłaskała męża po głowie. - Gdy cię uwięziono, znalazłam Ardavana. Rycerz zażywa jeszcze odpoczynku, ale czuje się znacznie lepiej i nas zaprasza.

Po krótkim marszu dotarli do najelegantszej dzielnicy miasta. Tu ulica przebiegała wzdłuż długich, wysokich murów, spoza których wyglądały jedynie czubki drzew oraz mansardy kilkupiętrowych domów. Zatrzymali się przed jednym z portali. Gdy zapukali, otwarto obite spiżem drzwi i znaleźli się w prawdziwej oazie: był

to ogród przedzielony na cztery części dwoma ciekami wodnymi, pełen żółtych kwiatów oraz krzaków o dużych liściach. Pomiedzy nimi z dumnie zadartymi głowami spacerowały pawie, zdając się dziobać plamy słońca przedzierające się przez ciemnozielony dach utworzony z gałęzi morw. Flawiusz uniósł się nieco.

- Zostajemy tutaj?

- Zostajemy - uśmiechnęła się Aqmat. - Dopóki nie wyzdrowiejesz. W pałacu Ardavana przygotowano dla ciebie komnatę. Dla nas.

Tragarze ruszyli ku fasadzie z dwoma rzędami wąskich okien. Pomiedzy nimi na wysokość dwóch pięter wznosił się łuk, tworząc zakrytą sklepieniem, cienistą i otwartą ku zieleni niszę, gdzie ustawiono wygodną pryczę. Gdy go posadzono, Flawiusz dostrzegł nisze ścienne obramowane kolumnkami i zwieńczone u góry lukami. Błękitną płaszczyznę sklepienia zdobiły wijące się, pomalowane na zielono sztukaterie, sprawiające wrażenie, jakby przebywało się w wielkiej, wyłożonej dywanami altanie. Spoczywał tam młody mężczyzna, wsparty o górę żółtych i zielonych jedwabnych poduszek. Jego korpus spowijał wełniany pled z wyszywanymi bajkowymi istotami.

Mężczyzna uniósł głowę, a jego oblicze z kręconą brodą i długimi lokami rozjaśniła radość.

- Witam w moim domu. Jest wasz, jak długo będę miał za szczyt goszczenia was w nim.

Zdumiony Rzymianin stwierdził, że gospodarz mówi po grecku bez najmniejszego akcentu.

-Jesteśmy wam wdzięczni i chętnie pozostaniemy, aż odzyskam siły potrzebne do podróży. Nie mógłbym życzyć sobie piękniejszego otoczenia dla rekonwalescencji niż ten ogród - od-

parł gość z pełnym podziwu spojrzeniem, które nie uszło uwagi Ardavana.

- Persja to kraj ogrodów; coś takiego nazywamy pairi daeza, to znaczy „otoczone murami”. Ale przede wszystkim - przy tych słowach gospodarz skinał na jednego ze służących - potrzebujecie pomocy medyka.

Wkrótce na kamieniach rozległo się stukanie sandałów i pojawił się godnie wyglądający starszy człowiek ubrany w pludry i bogato haftowany serdak. Odsłonił pierś Flawiusza, usunął ostrożnie posklejane krwią szarpie, a widząc przebarwienia na krawędziach rany, pokręcił głową. Owinąwszy palce czystym płótnem, odsunął brzegi rany, po czym powiedział coś w swoim języku.

- Dużo ropy, to mu się nie podoba - przetłumaczyła Aqmat.

Jej mąż okazał zdziwienie.

- Ale Galen twierdzi, że ropienie rany jest naturalnym procesem oczyszczania i jest pożądane.

Gdy Aqmat przełożyła wypowiedź Flawiusza, medyk energicznie zaprzeczył, wypowiadając kilka słów niebędących z pewnością pochwałą medyka cesarza Marka Aureliusza, pochwycił skalpel i podał choremu kawałek grubej skóry.

- Będzie bolało - orzekła Aqmat, chwytając dłoń męża. - Za gryź wargi, bo chce oczyścić ranę.

Kwadrans później wydający się całą wiecznością zlany potem Flawiusz opadł na posłanie. Medyk przemył ranę czerwonym winem, a następnie nałożył żółtą maść.

- Co to za lekarstwo? - zapytał powodowany zawodową ciekawością i wzdrygnął się, słysząc, że głównym składnikiem specyfiku jest pleśń.

- Zeskrobują ją ze starych skórzanych uprząży noszonych przez muły. Tradycyjna receptura z jego rodzinnych stron.

Słuchający rozmowy Ardavan roześmiał się głośno.

- Ja też początkowo biłem się z myślami. Lecz kiedy wyleczył mnie z ostrego zapalenia gardła, wdmuchując mi do krtani zieloną pleśń z chleba, po prostu mu ufam!

Wzdychając głęboko, chory opadł na pryczę, składając swój los w ręce władających krainą bogów i uzbrajając się w cierpliwość.

Spotkała go przyjemna niespodzianka. Nie widział dotąd, aby jakakolwiek rana tak szybko się goiła.

Kilka dni później siedział w towarzystwie Ardavana, a przed nimi stała srebrna misa z liliowymi figami i purpurowymi owocami granatu. Niepewna przyszłość perskiego mocarstwa przygnębiała młodego arystokratę.

- Wkrótce Szapur umrze. Był dobrym władcą, tolerancyjnym, otwartym na wszystko, żądnym wiedzy i wykształconym. Jego synowie są słabi, a Kartir czeka tylko, żeby przejąć władzę.

Gdy Ardavan delektował się smakiem soczystej figi, Flawiusz zastanawiał się nad tym, jak różnie postrzega się sprawujących władzę. W Dura Europos lub Antiochii ocena króla królów wypadłaby zupełnie inaczej.

- Kartir to fanatyk obstający jedynie przy swojej religii. Mam srebrną zastawę, ponieważ jest piękna - rycerz wskazał na błyszczącą misę ozdobioną wizerunkiem jeźdźca celującego z luku do przyczajonego lwa. - Natomiast Kartir spożywa posiłki z metalu, ponieważ gliniane naczynia są dla niego profanacją żywiołu ziemi. Jeśli tylko będzie mógł, to usunie wszelkie inne wyznania. Niena widzi zwolenników Maniego, takich jak ja, a także wyznawców Buddy, Żydów i chrześcijan. Poleje się krew, wiele krwi.

Widząc zmarszczki na zatroskanym obliczu rycerza, Flawiusz uświadomił sobie boleśnie, że wkrótce będą musieli opuścić oazę ciszy i spokoju.

Ten dzień nadszedł szybciej, niż się spodziewano.

Po tygodniu, gdy młody Rzymianin po raz pierwszy spacerował po Veh-Szapur w towarzystwie Olusa, w wąskiej uliczce znaleźli się nagle naprzeciw ciemnej postaci. Zatrzymali się, a Flawiusz gorączkowo zastanawiał się, gdzie mógł już spotkać tego kolosa, który teraz szedł prosto na nich. Nagle oświeciło go.

- To Gundaffar, kurdyjski służący Galeriusza!

- Zbierajmy się. Bohaterów możemy odgrywać kiedy indziej -wymruczał Olus, odwracając się na pięcie.

Ale było za późno, mężczyzna stał już przed nimi.

Młody człowiek spojrział na niego, a jednocześnie ukradkiem sięgnął po sztylet, lecz olbrzym pokazał otwarte dłonie, potrząsnął nimi i jękając się, zaczął o czymś mówić. Flawiusz nic nie rozumiał, dopóki nie padło znane mu słowo.

Pedar.

Ponieważ Aqmat porozumiewała się po persku, nie zadał sobie trudu, aby nauczyć się tego języka. W pamięci pozostało mu jedynie parę okrucichów, wyrazy podobne do ojczystej łaciny. Jednym z nich było właśnie słowo pedar, ojciec.

Kurd kilkakrotnie powtórzył słowo i wskazał na wschód, ku dolinie rzeki z płaskorzeźbami. Flawiusz nie bardzo wiedział, co zrobić, ale potem gestem polecił mu, aby zaczekał, i ruszył do domostwa Ardavana. Powiedział o wszystkim Aqmat, która dla bezpieczeństwa ukryła pod suknią nóż, po czym zabrali cztery muły, spotkali się z Kurdem i wyruszyli w drogę. Gundaffar nie odpowiadał na żadne pytania, uśmiechał się jedynie tajemniczo, gestami nakazując, aby podążali za nim.

Po około półgodzinie dotarli do samotnej chaty ukrytej na górskim zboczach pomiędzy skałami. Zsiedli z wierzchowców, a ich przewodnik otworzył niskie drzwi. Kto zamieszkiwał na tym od-
ludziu?

Gdy oczy przywykły im do ciemności, dostrzegli męczyznę spoczywającego w kącie na słomie. Gdy się poruszył, zabrzączał łańcuch i Flawiusz spojrział w brodate oblicze. Padły słowa:

- U pedare tan ast. To twój ojciec.

Te słowa młody człowiek rozumiał bez tłumaczenia. Ukłął na słomie, spoglądając w oczy nieprzywykłe do światła, lecz gardło miał tak ściśnięte, że nie mógł wydać z siebie nawet jednego dźwięku.

- Przysyła was Galeriusz? - głos brzmiał chrypliwie i należał do kogoś, kto długo nic nie mówił. - Kim jesteście?

- Ostatni raz widzieliśmy się przed szesnastoma laty - Flawiusz wyciągnął drżące ramiona: - Jestem waszym synem.

Zabrzączał łańcuch, gdy mężczyzna wyprostował się.

- Kpicie ze mnie?

Młody człowiek pokręcił powoli głową, ujmując ręce więźnia. Były to spracowane, silne dłonie z wyrośniętymi, po części połamanymi paznokciami.

- Ojczy, to ja, Flawiusz. Przypomnij sobie Bicastrum, Brygidę, Juliusza, Lopodunum...

Brodacz skinął nieznacznie.

- Znajome nazwy. Pochodzą z innego życia. To było tak dawno. Sam już nie wiem, co jest rzeczywistością, a co snem - powoli przyciągnął syna do siebie. - Niech ci się przyjrzę. Tak, to ty. Jesteś do niej podobny. Skóra, oczy.

Spracowana dłoń pogłaskała szczupłą twarz młodego człowieka, musnęła włosy, a potem ojciec przytulił go do siebie i załkał bezgłośnie.

- Modliłem się do Boga, żeby pozwolił mi zobaczyć Brygidę lub ciebie, zanim umrę. Ale nie żywiłem wielkich nadziei.

Flawiusz objął rękoma muskularny korpus, chowając twarz w długiej brodzie. Aqmat skinęła na Gundaffara i Olusa, po czym

cała trójka, stąpając na palcach, wyszła na zewnątrz. Zostawili otwarte drzwi i usiedli przy ścianie. Zacinając się, Kurd rozpoczął swoją relację, a Aqmat słuchała go w napięciu.

Godzinę później wracali z powrotem, zaś Aqmat powtórzyła mężowi to, czego się dowiedziała. Podczas podróży do Veh-Sza-pur, gdy Primus napotkał nomadów, wspominając, że byłoby dobrze wędrować wraz z nimi przez góry, w Galeriuszu zakiełkowała pewna myśl. Dał swojemu słudze polecenie, aby na dzień przed przybyciem do celu spędził nocą budowniczego i uwięził go w opuszczonej chacie. Gundaffar musiał przynosić mu codziennie wodę i pożywienie, a któregoś dnia otrzymał polecenie zabrania muszli noszonej przez niego na szyi. Po ujęciu Galeriusza Kurd dalej robił to, co mu polecono, aż wreszcie zabrakło mu pieniędzy. Po długich przemyśleniach postanowił odszukać Flawiusza.

- Galeriusz nie mógł się zdecydować, co ma ze mną począć - przytaknął budowniczemu. - Przy pracach budowlanych występowało wiele problemów, z którymi nie umiał sobie poradzić. Przede wszystkim sprawa wody w świątyni musiała go kosztować sporo bezsennych nocy.

Primus uśmiechnął się.

- Dozowałem mu moją wiedzę w małych porcjach. Dopóki mnie potrzebował, mogłem się czuć bezpieczny. Ale tylko Bóg wie, co stałoby się potem.

- Zamordowałby cię. Nas przecież chciał otruć - oznajmił Flawiusz.

Jego ojciec zamyślił się.

- Niewykłuczone. Skoro posunął się tak daleko, nie miał już innego wyboru. Nigdy bym nie pomyślał, że mógłby zostać mordercą.

Młody człowiek zmarszczył czoło.

- Nie żywisz względem niego urazy?

Primus pokręcił głową.

- Stracił wszystko. Musiał uciekać z Hiszpanii, gdy zawalił się akwedukt budowany pod jego kierownictwem. Wtedy zgłosił się do legionów syryjskich, a całą resztę już znasz. Mistrz budowlany zamilkł, a potem uśmiechnął się do syna.

- Poza tym Chrystus nakazuje: miłujcie waszych nieprzyjaciół. Moja jest pomsta, mówi Pan.

Flawiusz zdziwił się mocno.

- Zostałeś chrześcijaninem?

Brodaty mężczyzna potwierdził.

- Pomiędzy wieloma mieszkańcami uprowadzonymi przez Schapura z Antiochii znalazł się biskup Demetriusz. Głosił naukę Chrystusa w Gundeszapur, a jego następcą Azdaq robi to z nie mniejszym zapalem. Odnalazłem spokój.

Cała czwórka jechała w milczeniu, aż wreszcie Flawiusz odchrząknął.

- Wracaj z nami do domu. Nawet jeśli przestano cię poszukiwać, to każde spotkanie na ulicy, każde słowo w gospodzie, każdy ciekawski służący może oznaczać kres wolności. W Rzymie lub nad Mozela mógłbyś żyć bez lęku.

Primus zaśmiał się, lecz w jego śmiechu pobrzmiwała gorycz.

- Bez lęku? Walerian prześladowuje chrześcijan, a tu nikt mnie nie nagabuje.

- Na razie - zgodził się Flawiusz - tylko że jeśli do władzy dojdzie Kartir, to w Persji skończy się tolerancja. W Imperium Rzymskim, gdy Galien został samowładcą, anulował wszystkie edykty i zwrócił chrześcijanom ich majątności. Cesarz Aurelian też ich nie prześladowuje. Wracaj z nami.

Primus skrzywił się nieco, ale przyznał mu słusność.

- Pewnie masz rację. Tylko uciekać przez pustynie Persji, miast, góry, bez pieniędzy, bez pomocy...

- Nie musisz się o to martwić - Flawiusz nachylił się ku ojcu. - Odłożyłem co nieco w sakiewce, a poza tym znamy perskiego do stojnika, któremu możemy zaufać.

Gdy dotarli do miasta, zapadła noc. Przed domostwem Ardava-na młody Rzymianin sięgnął po sztylet i rozpruł szew swojego pasa. Tam od czasu, gdy pracował dla Doryphorosa w Augusta Raurica, ukrywał swoją pierwszą złotą monetę, aureusa z wizerunkiem cesarza Waleriana.

Wcisnął go Kurdowi w stwardniałą dłoń, podziękował i wraz z przyjaciółmi wszedł pod portal. Gundaffar obmacał pieniądź, podrzucił go, pochwycił znowu i zniknął w labiryncie uliczek.

- A wiecie, co stało się z Walerianem?

Ardavan spojrział na Flawiusza i wzruszył ramionami.

- Jest wiele sprzecznych wieści.

- Biskup Azdaq opowiedział nam, że prowadzano go na złotym łańcuchu - wtrącił się Primus. - Tak Bóg pokarał go za prześladowanie naszych wspólnot. Po śmierci Szapur kazał go obedrzeć ze skóry, wypchać ją i wystawić w jakiejś świątyni. Ale gdzie to miało być, tego i biskup nie wiedział.

Ardavan spojrział z udręką do swojego pucharu z chłodzonym sokiem z pomarańczy.

- Słyszysz takie pogłoski, ale nie daję im wiary. Gdy przed wiekami lata widziałem więźnia, żył jako gość, a nie niewolnik. Oczywiście, od czasu do czasu musiał pomóc królowi królów zasiać w siodle - rycerz upił napoju. - Podobno Galien miał nie odpowiedzieć, gdy Szapur zaproponował mu wykupienie ojca. O ile dobrze znam całą sprawę, to kazał nawet zabalsamować jego zwłoki i odesłać do rzymskiej granicy. Żeby nie musiał leżeć w obcej ziemi.

Flawiusz przyjrzał się obu mężczyznom. Tu znowu pojawiła się sprzeczność. Im bardziej oddalone w czasie wydarzenia, tym bardziej

prawda zdawała się rozpadać na tysiąc fragmentów, aż wreszcie każdy zachowywał tylko swój własny, strzegąc go zazdrośnie.

Z ogrodu dobiegło cykanie świerszczy, a także odgłos lekkich kroków. Aąmat wkroczyła do iwanu, jak nazywano duże otwarte pomieszczenie, i spojrzała na zebranych.

- Podjęliście już jakąś decyzję?

Jej mąż potwierdził:

- Zgadza się.

Ardavan wskazał na wolne krzesło i młoda kobieta zajęła miejsce.

- Powinniście wyruszyć jak najszybciej, dopóki wszyscy tylko wyczekują śmierci Szapura.

Primus zaśmiał się rubasznie.

- I wyobraź sobie, co Flawiusz wymyślił...

Tej samej nocy w odległości dwóch tysięcy mil kobieta ubrana w brunatną pelerynę z kapturem zasiadła na dromaderze, aby ratować się ucieczką. Wraz z tuzinem najwierniejszych popleczników zwiadła rzymskie strażę zabawiającą się przy ogniskach grą w kości. Ostatnie spojrzenie wstecz i ruszyli galopem na wschód.

Gdy dwa dni później dotarła do doliny rzeki i twierdzy noszącej jej imię, świeża właśnie jutrzienka. Odetchnęła głęboko, spoglądając na błyszczącą wstęgę wody. Wreszcie! Na Eufracie kończy się władza Rzymu, po drugiej stronie panuje król Szapur, który nie odmówi jej pomocy.

Nie mogła wiedzieć, że król królów wyzionał ducha poprzedniej nocy.

Z przeciwległego brzegu zbliżyła się okrągła, płaska łódź o wręgowej konstrukcji, jakie służyły do transportu ludzi, towarów i zwierząt. Jeźdźcy machaniem rąk i okrzykami przynaglili do pośpiechu przewoźników, którzy zmagając się z silnym prądem, bardzo powoli posuwali się do przodu.

Gdy kobieta dała znak swoim towarzyszom, aby ostrożnie skierowali wielbłądy w dół zbocza, rozległ się tętent kopyt i wszyscy spojrzeli za siebie. Z wielką szybkością zbliżał się do nich obłok kurzu.

- Rzymska jazda!

Popędzane dromadery przyspieszyły kroku i wpadły w nurty rzeki. Za nimi rozlała się fala lekkobrojnych jeźdźców i ruszając po stromiźnie, wpadła pomiędzy uciekających. Kilka brzęknięć mieczy, ranni jęcząc, spadli z siodeł, prysnęła czerwona od krwi woda.

Kobieta dotarła do łodzi i wdrapała się do środka. Gdy chwycając się, wstała, z ramion osunęła się jej brunatna peleryna z kapturem. Na wietrze powiewała purpurowa szata, a na czarnych włosach błysnął złoty diadem. Dwaj jeźdźcy przedarli się przez sięgającą piersi końskich wodę i chwycili ją za ręce.

- Zenobio, jesteś więźniem Rzymu!

Tego samego dnia mieszkańcy Palmiry z gałązkami oliwnymi w dłoniach wstąpili na pospiesznie usypane wały, aby pod wodzą Haddudana prosić Aureliana o litość.

Cesarz oszczędził miasto. Zarekwirował skarby świątynne, pozostawił kontyngent sześciuset łuczników, a potem wyruszył do Emesy. Tam odprawił sąd nad przywódcami rebelii, a ponieważ Zenobia przypisała całą winę swoim doradcom, skazał na śmierć Longinusa, Zabdasa oraz kilku innych. Królowa oraz jej syn Wa-ballat muszą wraz z nim wyruszyć do stolicy Imperium.

Dwa miesiące później. Szczyty górskie wokół pokrytych słomą kamiennych chat już pobielwały. Stary królewski szlak wił się przez brunatną dolinę. W połowie października niewielu podróżnych odważyło się wyruszać w drogę poza granicę. Żołnierze zabijali czas, opowiadając sobie dowcipy i przechwalając się. Słyszac niesiony przez wiatr tętent kopyt, unieśli głowy. Na ich obliczach po-

jawily się zdziwienie i odraza. Zatrzymało się przed nimi czworo podróżnych, lecz oczy wszystkich skierowały się na barczystego mężczyznę, którego kończyny spowijały białe, poplamione ropą bandaże. Chorobą dotknięta była także połowa brodatego oblicza, gdyż spod przepaski wyglądało tylko jedno oko.

- Dokąd zmierzacie? - warknął na nich dowódca.

- Przez Sardes do asklepionu w Pergamonie. Szukamy pomocy dla naszego trędowatego.

Ledwie młody mężczyzna z dwoma lokami na czole skończył mówić, żołnierze już odskoczyli. Ich komendant przesłonił sobie twarz skrajem płaszcza, nakazując, żeby wynieśli się czym prędzej.

- Zabierajcie się i zarażcie możliwie jak najwięcej Rzymian!

Pilnujący granicy strażnicy odetchnęli z ulgą, gdy podróżujący zniknęli za zakrętem drogi.

Godzinę później i cztery mile dalej pasterz pasący owce obserwował dziwną scenę. Dwa dromadery przystanęły przy trakcie, a obok nich dwa muły. Kobieta i dwóch mężczyzn zbliżyli się do chorego zdejmującego z siebie opatrunki. Lecz zamiast mu w tym przeszkadzać, rzucili się na niego, prześcigając się w zdzieraniu szarpi. Gdy już bandaże znalazły się na ziemi, wszyscy zaczęli dziki taniec. Potrząsając głową, wieśniak popędził owce do zagrody, starając się szerokim łukiem ominąć dziwnych przybyszów.

Wiosną następnego roku pustynna metropolia ponownie się zbuntowała. Pod wodzą Apsaeusa wycięto rzymską załogę, ogłoszono miasto wolnym, a na tron wstąpił krewniak Zenobii.

Pospiesznymi marszami Aurelian powrócił, pokonał Palmirę i spustoszył ją.

W tym samym czasie Flawiusz, Aąmat, Primus i Olus weszli na pokład jednego z pierwszych statków żeglujących z Efezu do Rzymu.

ROZDZIAŁ 10

NIEZWYCIĘŻONE SŁOŃCE

(273-275 r. po Chr.)

*W życiu zawsze musi się mieć wzgląd na innych
- w śmierci już nie.*

SENEKA

Na północy Rzymu, w szóstej dzielnicy, wznosiła się trzypiętrowa miejska willa. Przyciągała wzrok wielu, lecz nie z powodu zdobiących portal marmurowych płaskorzeźb, dużych przeszklonych okien czy drzwi ze szlachetnego drewna obitych spizem. Tym, co podziwiała większość gości, było górne piętro składające się z dużej, otwartej płaszczyzny, której dach zdawał się unosić na kolumnach z zielonego granitu. W centrum wyłożonego terakotą tarasu stał okrągły, trójnogi stół, a na nim model świątyni. Przy balustradzie ustawiono szafę na książki, z której wystawały papiirusowe zwoje, a zaraz obok składane krzesło z brązu. Zasiadał na nim mężczyzna z wianuszkiem siwych włosów na głowie trzymający przed sobą rękopis i czytający go półgłosem, a od czasu do czasu przeciągający palcem po liniijkach tekstu. Wreszcie przerwał lekturę, aby przetrzeć oczy. Wstał, podszedł do północnej strony domu, wsparł się o balustradę i spojrzał w głąb małego ogrodu prawie całkowicie wypełnionego białymi pękami kwiatów kwitnącej wiśni. Jego zamyślane spojrzenie powędrowało ku cyprysom wystającym na podobieństwo uniesionych w ostrzeżeniu palców z sąsiadującej posesji Salustiusza.

Na czerwonych płytach posadzki rozległo się kłapanie sandałów jednego ze służących. Mężczyzna wyprostował się, ukazując twarz z orlim nosem.

- Panie, przybyli goście. Trzej mężczyźni i kobieta - młody sługa nie mógł ukryć podziwu: - Bardzo urodziwa dama!

- Wobec tego - gospodarz się uśmiechnął - wprowadź ich tutaj!

Kilka chwil później na schodach rozbrzmiały kroki. Pan domu odwrócił się, a jego brodate oblicze rozjaśniło radosne zaskoczenie.

- Flawiuszu!

Ulixes uściśnął przyjaciela, a potem pochwycił za ramiona, aby mu się przyjrzeć. Jego twarz nabrała ostrzejszych rysów, stała się bardziej męska, prawy policzek przecinała niewielka blizna. Lecz oba krzyżujące się na czole loki dalej nadawały jego twarzy wyraz bez troski.

Młody człowiek także się uśmiechnął, choć zaskoczył go zmieniony wygląd starszego. Jak zwykle miał na sobie ciemnobrązową tunikę, podobnie jak o zmierzchu orła, gdy przed sześcioma laty przybył do posiadłości. Twarz pokryły mu zmarszczki, a siwe włosy stały się jeszcze rzadsze. Chodził nieco pochylony, a tylko czujne oczy błyszczały mu dawnym blaskiem.

- Czy bogowie mogli zgotować staremu człowiekowi większą radość jak ponowne spotkanie z młodymi przyjaciółmi!

- Co znaczy staremu, nie widzę tu takiego! - Aqmat podeszła do Aquli, podając mu dłoń.

- Wielkie dzięki za komplement. Miło mi go słyszeć, nawet jeśli lustro mówi mi coś innego.

Z podziwem spojrzął na szczupłą kobietę, prawie tak wysoką jak Flawiusz. Na bujnych ciemnych włosach połyskiwały delikatne złote ogniki, a z twarzy o jasnej cerze, długich łukach brwi i prostym nosie spoglądały śmiało szmaragdowe oczy. Błękitna wełniana suknia spływała luźno wokół jej kibici, lecz ruchy miała sprężyste niczym pustynny drapieznik. Ulixes oderwał wreszcie od niej wzrok i pozdrowił Olusa, a następnie pytająco zerknął na ostatniego gościa, muskularnego mężczyznę z ciemną brodą, pełnymi wargami i pogodnymi oczyma.

-A to jest...?

- Mój ojciec Primus!

Ulixes oniemiał na chwilę, a potem wymruczał:

- W rzeczy samej, dopiąłeś swego! A ja uważałem twoje plany za mrzonkę. Moje uznanie, mały Auguście - skłonił się Flawiuszowi i Primusowi. - Niechaj dalej wolno mi będzie korzystać z tej poufałości z dawnych czasów.

Primus przytaknął.

- Tak wiele o was słyszałem, że mógłbym napisać waszą biografię. Tylko o tej willi mój syn nie wspomniał ani słowem.

- Niektóre sprawy obróciły się na lepsze, odkąd swego czasu w pośpiechu opuściłem Palmirę - wyjaśnił Ulixes. - Ale usiądźcie. Krzesła dla moich gości i dobrze schłodzonego wina falerneńskiego!

Gdy przyniesiono już to, czego zażądał, Flawiusz wspierany przez Aqmat, Primusa i Olusa opowiedział o tym, co się wydarzyło, od kiedy się rozstali. Na koniec w jego spojrzeniu pojawiło się pytanie.

- A co z tobą? Widać, że Aurelian uhonorował twoją pracę!

Pan domu przytaknął.

- Można tak powiedzieć, choć to wszystko nie stanowi mojej własności. Ale zanim zacznę opowiadać... Pewnie jesteście głodni?

- I to jak! - słowa Olusa zabrzmiały z taką energią, że wszyscy się zaśmiali.

Ulixes dał znak i wkrótce służący przynieśli stół, a na nim ustawili dymiącą misę.

- Najlepsze szparagi - wyjaśnił Aquila. - Prosto z Rawenny!

Primus się poczęstował, a Aqmat, ociągając się nieco, przyglądała się, jak Flawiusz wkłada warzywo do ust. Zaraz też spróbowała sama, lecz zachciało się jej tak śmiać, że prawie nie mogła jeść dalej. Mąż przyglądał się jej zmieszany, odchrząknął głośno i zagadnął Ulixesa:

- Miałeś nam opowiedzieć, jak wszedłeś w posiadanie tego domu.

- Kiedy cesarz przebywa w Rzymie, woli spędzać czas raczej w ogrodach Salustiusza niż na Palatynie. Dlatego oddał tę willę do mojej dyspozycji, abym natychmiast zjawił się u niego, gdy mnie potrzebuje.

W głosie Flawiusza zabrzmiało uznanie.

- Potrzebuje ciebie?

- Przypominasz sobie moją relację o galijskiej rebelii?

Młody człowiek skinął głową.

- Kiedy Wschód ponownie znalazł się pod kontrolą Rzymu, Au-relian chce się uporać także z uzurpatorami na Zachodzie. Obecnie rolę cesarza odgrywa w Augusta Treverorum niejaki Tetrykus, lecz władza topnieje mu w palcach. Najpóźniej za rok ma nastąpić koniec tej błazenady, a ja - przy tych słowach na twarzy Ulixesa pojawił się uśmiech zadowolenia - ponoszę odpowiedzialność za to, aby wszystko dokładnie zaplanowano i połało się możliwie jak najmniej rzymskiej krwi.

- To wspaniale! - Aqmät przyjrzała mu się z podziwem. - A potem, za rok, jeśli los okaże się wam przychylny?

- Jeśli cesarzowi uda się osiągnąć cel i zjednoczyć Imperium -Ulixes przyglądał brodę - wówczas biedny frumentarius - tu rzucił pełne rozbawienia spojrzenie na Flawiusza - stanie się zamożnym senatorem.

- Ty senatorem? - brwi Flawiusza powędrowały ku górze. -Nosisz już nawet stosowną brodę. Tylko czy nie opowiadałeś mi, że wolałbyś raczej żyć ubogo, lecz być niezależnym, niż trzymać się jakiegoś stołka?

Na twarzy Ulixesa pojawił się smutny uśmiech.

- Tak powiedziałem, a także że wszystko ma cenę, której nie jest już warte. Tylko, drogi chłopcze, łatwiej się mówi, że chce się sypiać w zapchlonym łożu, niż rzeczywiście w nim leżeć. Przede wszystkim, gdy jest się starym. Ale to nie jest najistotniejsze.

Ulixes zbliżył się do obmurowania, gestem zachęcając Flawiusza, aby poszedł w jego ślady. Przed nimi rozciągała się mozaika jasnoczerwonych dachów i ciemne doliny ulic, z których dobiegały niezliczone odgłosy.

- Widzisz to miasto? Zawsze je kochałem i brzydziłem się nim. Lecz gdy ono upadnie, my upadniemy wraz z nim. Nasz świat zniknie z powierzchni ziemi, bo dojdzie do walk, zniszczenia i okrucieństw - odwrócił się, oparł o jedną z kolumn i wznosił dłonie. - Tak, wiem, Marek Aureliusz nigdy nie skazałby żołnierza na okrutną śmierć z powodu zdrady małżeńskiej. Ale od tamtej pory nad Imperium przeszło stulecie barbarzyństwa. Aurelianus jest, niestety, tego rodzaju władcą, jakiego dziś potrzebujemy.

Primus z powątpiewaniem pokiwał głową.

- Walerian znalazł go jako odważnego generała jazdy. Ale sam po wiedział kiedyś o nim: „Posuwa się za daleko, jest nieubłagany”. Czy rzeczywiście musi sprawować tak surowe rządy?

Ulixes wzruszył ramionami.

- Czy musi? Nie, nie musi. Ale taki jest, a Rzym za każdy dzień jego rządów powinien składać dziękczynienia bóstwu Słońca.

- Naszemu syryjskiemu bóstwu Słońca? - zapytała Aqmat.

Aquila potwierdził.

- To nowy bóg Imperium, któremu przypisuje ono swoje zwycięstwa. Wznosi dla niego dużą świątynię obok mauzoleum Augusta.

- Tę? - dopytywał się Primus, po czym podszedł do stołu i przyjrzał się gipsowemu modelowi. - Zostaliście budowniczym?

- Niech mnie Mitra zachowa! - zaprzeczył Ulixes. - Przy mojej znajomości rzeczy już dawno przygniotłaby mnie jakaś kolumna. Odpowiadam jedynie za finanse oraz za to, aby do 25 grudnia następnego roku wszystko wykonano.

- Do narodzin boga Słońca?

- Tak, Aqmat. Właśnie tego dnia cesarz zamierza złożyć wielką ofiarę za pomyślność Imperium - Ulixes podrapał się po głowie. - Co do mnie, to można zabijać byki również dla Jowisza, Mitry czy Chrystusa, jeśli to tylko pomoże. Ale Aurelian widzi to inaczej.

- Chrystusowi nie składa się ofiar w naturze, tylko żyje się w duchu Jego nauczania.

Głos Primusa brzmiał zarówno przyjaźnie, jak i zdecydowanie.

Ulixes obrzucił go podejrzliwym wzrokiem.

- Jesteście chrześcijaninem?

Mistrz budowlany nie krył swoich przekonań.

- Tak. Przyjąłem wiarę w Persji.

- Jeśli już musicie, to pozostanie przy niej, ale nie obnoście się z tym. Odkąd niektórzy z waszych współwyznawców cieszą się z napadów Gotów na Kapadocję, a inni publicznie twierdzą, że zniszczenie Rzymu przez barbarzyńców byłoby sprawiedliwą karą... - Ulixes spojrzął spod ściągniętych brwi - to chyba rozumiecie, że cesarz żywi pewne zastrzeżenia co do tej sekty.

- Wiem o tym. A przecież chętnie zostalibyśmy dobrymi rzymskimi obywatelami. Chrystus powiedział: „Oddajcie cesarzowi to, co cesarza, a Bogu to, co Boga”. Tylko że od czasów Nerona żyjemy w ciągłym lęku przed cesarskim despotyzmem, prześladowaniami i śmiercią. Primus wsparł się jedną ręką o okrągły stolik, lecz zdawał się nie widzieć świątyni z pomalowanymi na żółto kolumnami, błękitnymi kapitelami i jasnoczerwonym dachem. - Gdy Tyber zatapia miasto, Nil nie zalewa pól, niebo się nie porusza, ziemia się trzęsie, gdy panuje zaraza, zawsze wtedy od razu słychać okrzyki: chrześcijanie dla lwów - te słowa wymruczał, jak gdyby mówił do siebie samego, a potem podniósł oczy i dostrzegł pytające spojrzenia pozostałych. - Tak napisał nasz uczony Tertulian już przed ponad stuleciem...

Słysząc było gorczyz w jego głosie, lecz w tej chwili pod jego ciężarem stół zaczął się obracać, tak że mistrz budowlany nieomal upadł, ^prostował się zdziwiony, stuknął w model z masywnego gipsu, a następnie pochylił się, aby zajrzeć pod blat.

- Czego szukacie? - nie pojmował Ulixes.

- Osi. Tak ciężka konstrukcja może się obracać tylko wtedy, gdy w środku wspiera się na osi, a takiej tu nie widzę.

Primus zdawał się niezwykle zaafetowany, natomiast Ulixes, wdzięczny za odejście od spraw religii, skinął na Olusa i Flawiusza.

- Owszem, jest to możliwe, jeśli mianowicie... - przy tych słowach czterech mężczyzn obserwowanych przez zaintrygowaną Aquat uniosło górny blat wraz z modelem i ustawiło go na podłodze. - ...ustawi się ją na kulach!

Aquila wskazała na resztę stolika składającą się z solidnej podstawy oraz pośredniej płyty, ze środka której wystawał krótki metalowy trzpień. Jednak najważniejsze były otwory na krawędzi. W nich stolarz umocował kulki ze spiżu, osadzone na małych skierowanych ku środkowi mebla osiach, mogących się kręcić.

- Czegoś takiego jeszcze nie widziałem - Primus był pod wrażeniem.

- Stara, zapomniana konstrukcja z czasów Kaliguli. Natknąłem się na nią w archiwach - Ulixes zdawał się delektować podziwem budowniczego.

- Ale teraz porozmawiajmy raczej o waszych planach. Pozostając w Rzymie, możecie zamieszkać u mnie. Dom ma osiem komnat.

Cała czwórka z wdzięcznością przyjęła zaproszenie, gdyż czynsze w stolicy były wysokie, a trzydzieści aureusów Flawiusza rozplynęło się podczas podróży niczym wosk na ogniu.

Kilka dni później Ulixes stał na tarasie, spoglądając znowu na ogród z kwitnącą wiśnią o sztyletowatych liściach. Słuchał ostrze-

gawczego gwizdu kosa, który zbudował swoje gniazdo w rozwidleniu gałęzi. Na jego ustach ukazał się uśmiech, gdy zobaczył kota prześlizgującego się wzdłuż muru niczym złodziej przyłapany na gorącym uczynku. Posłyszał za sobą kroki. Flawiusz zbliżył się do balustrady, zaś Ulixes wskazał w dół.

- Przydałby się nam taki ptak w życiu. Ostrzegaliby nas przed drapieżnikami.

Flawiusz przyjrzał mu się zdziwiony, a potem posłyszał następnego kosa gwizdzącego głośno w ogrodzie Salustiusza i położył dłoń na ramieniu siwowłosego mężczyzny.

- Przez dłuższy czas byłeś kimś takim dla mnie. Dopóki nie nauczyłem się latać.

Starszy człowiek przytaknął.

- Co masz zamiar robić?

Gdy młody człowiek zwlekał z odpowiedzią, dodał:

- Pytam, czy chcesz kontynuować naukę jako medyk? Dobry uczeń Eskulapa ma zawsze pełną sakiewkę.

Flawiusz pokręcił głową.

- Długo nad tym myślałem, ale nie z powodu pieniędzy. Choć jest rzeczą wspaniałą leczyć ludzi, to jednak często bywa się bezradnym, mogąc jedynie stawiać bańki i błagać bogów - przypomniał sobie własną ropiejącą ranę w Veh-Szapur.

- Nawet nauki wielkiego Galiena są czasami warte nie więcej niż utarte ropuchy znachorek - zamilkł na chwilę, a potem spojrzal starszemu mężczyźnie w oczy. - Rozumiem, dlaczego możesz służyć temu cesarzowi walczącemu o sprawy Imperium. To zadanie i dla mnie!

Ulixes położył mu dłoń na ramieniu i uśmiechnął się.

- Chętnie będę znowu z tobą współpracował. Jeśli przyłożysz się do nauki, to w przeciągu roku zdobędziesz wiedzę potrzebną cesarskiemu urzędnikowi.

Odwrócił się, wsparł łokcie na obmurowaniu, a jego spojrzenie powędrowało w dal.

- Gdy tylko budowa świątyni boga Słońca dobiegnie końca, żadna siła nie zatrzyma mnie w Rzymie. Wsiadam na następny statek do Kartaginy, buduję moją willę na skale, czytam i słucham szumu morza.

* * *

- Już jutro? - Flawiusz nie mógł ukryć zaskoczenia.

- Tak, jutro przed południem - mężczyzna w todze ozdobionej purpurowym pasem pchnął model świątyni, a ten obrócił się powoli. - Mamy raniem znaleźć się na Palatynie. Aurelian przyjmie nas w pałacu Domicjana. Musimy zaczekać przed Aula Regia, aż nas zawezwie.

Minęło sporo czasu, odkąd Flawiusz po raz pierwszy znalazł się na tarasie. Czerwone owoce przygięły gałęzie czereśni ku ziemi, potem miasto stękało w letnich upałach, aż wreszcie jesienne deszcze wymiotły kurz i nieczystości z rzymskich ulic. Listopadowe deszcze dzwoniły o okna, a krótko po Saturnaliach na dachach pojawiła się cienka warstwa śniegu. A potem znowu dni stały się dłuższe, kos wyśpiewywał swoje trele, a czereśnia przybrała się w białą suknię z kwieciami. Gdy wszyscy najedli się do syta jej słodkich owoców i z końcem sierpnia ustały dni kanikuły, wyczerpany Ulixes mógł wreszcie odpocząć. Jego praca dobiegła końca. Czas tajnych pism na papirusach, szepczących posłańców i długich nocy nad mapami należał do przeszłości.

Podczas szybkiej kampanii Aurelian odzyskał galijską część Imperium. I to nie przelewając wiele krwi, gdyż zanim doszło do decydującej bitwy na Polach Katalaunijskich, uzurpator Tetrykus zdjął purpurę i wyniósł się cichaczem. Nie z lęku przed nieprzyjacielem, lecz przed własnymi, niezadowolonymi oddziałami. Nie

miał zamiaru podzielić losu wielu dowódców i w obliczu przeważających sił wroga zostać zamordowany przez legionistów. W tajnych rokowaniach zgodził się złożyć swój los, jak i los swojego syna, w ręce Aureliana.

Również w domu Ulixesa czas nie stał w miejscu. Olus zaczął terminować u znanego kuchmistrza, a w wolnych chwilach fascynował się tajemniczym światem liter. Działo się to pod kierownictwem Aqmat, która dopatrywała gospodarstwa domowego, starając się wypełniać obowiązki rzymskiej małżonki, gdyż Flawiusz i ona znaleźli wreszcie w stolicy okazję do zawarcia umowy ślubnej.

Primus został mianowany nadzorcą wznoszonej świątyni boga Słońca. „Budowle nie mają wiary”, zwykł mawiać, troszcząc się o szybkie postępy robót i doglądając starannego wykonania wszelkich prac. Wieczorami, gdy mógł z synem wypić kubek wina, otwierali się powoli na siebie. Mając świadomość, że właściwie są sobie obcy, małymi krokami osiągnęli wreszcie zażyłość niedaną im przez los. Do Flawiusza dotarło, jak bardzo poszukiwania zaginionego ojca były w rzeczywistości szukaniem własnego „ja”, jak bardzo odległa, zagadkowa postać wciągnęła go w przygodę, bez której nie stałby się takim mężczyzną, jakim był.

Dzięki Ulixesowi poznał pracę urzędnika cesarskiego, a także zajmował się systemem Cyclerona, ćwicząc się w zapamiętywaniu wielości spraw i przyporządkowując je do wymaganych komnat. Do tego dochodziła nauka umiejętności niezbędnych w urządach publicznych - od retoryki po tachyografię. Od trzech miesięcy piastował stanowisko urzędnika cesarskiego, lecz nagle poczuł się jak uczeń przed egzaminem, gdy go powiadomiono, że jutro zostanie przedstawiony Lucjuszowi Domicjuszowi Aurelianowi. Surowemu władcy i bogu, jak go nazywano.

- Vir clarissimus Ulixes Gabinius Aquila w towarzystwie urzędnika Flawiusza Verecundusa.

Dwie straszliwie wolno wlokące się godziny czekali w małej bazylice, przysiadając na ławie, przyglądając się kolumnom z żółtego numidyjskiego marmuru, wstając, by pospacerować bez celu po lśniącej jak lustro kamiennej posadzce w białe kwadraty i czerwone elipsy, i na każdy dźwięk zrywając się z miejsca. Wreszcie otwały się drzwi pomiędzy dumnie spoglądającymi przed siebie pretorianami, strażą przyboczną cesarza. Miody oficer wprowadził przybyszów do wnętrza i jego głos zabrzmiał w Aula Regia.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli, zdawało się przeznaczone dla tytanów. Zwykły śmiertelnik mógł wyjść na pięciopiętrową kamienicę czynszową i wyciągnąwszy rękę, nie dotknąłby jeszcze drewnianego kasetonowego sufitu. Zaraz pod nim przez umieszczone wokoło okna wpadało światło, rozświetlając zimny przepych sali. Posadzka, ściany, pilastry oraz obramowane kolumnienkami niszami z posągami - wszystko wykonano z białego, żółtego, czerwonego i zielonego marmuru.

Sala znajdująca się za stojącym przy przejściu do atrium prawie sześćdziesięcioletnim mężczyzną świeciła pustkami. Był wysokiego wzrostu, atletycznie zbudowany i przystojny. Miał charakterystyczną głowę z krótko przyciętą brodą. Pod wyszywanym złotem i wysadzonym szlachetnymi kamieniami odzieniem nosił buty z czerwonej skóry z sięgającymi po kolano cholewami. Kiedy skłonili się do ziemi, Flawiusz jak zakłęty począł się wpatrywać w tę mieszaninę siły i niedostępności. Ulixes zdał krótką relację ze wspólnych przeżyć i wykonanej razem pracy.

- A zatem - zapytał metalicznym głosem cesarz - co mogę dla was zrobić?

- Powierzyć mu zadanie, które pozwoli na rozwijanie dalszych zdolności mogących później przydać się Imperium - Ulixes wska-

zał na młodszego towarzysza, któremu na czole ukazały się krople potu.

Aurelian przyglądał mu się przez chwilę.

- Jakie macie zainteresowania, co robiliście przed wstąpieniem na służbę państwa?

- Po ucieczce z niewoli u Alemanów przez dwa lata praktykowałem u greckiego medyka.

Zmarszczki na czole cesarza pogłębiły się jeszcze, a Flawiusz poczuł, że powiedział coś niewłaściwego. Aurelian odwrócił się, spoglądając ku fontannie na wewnętrznym dziedzińcu, lecz jego głos słyszało się pomimo szemrzącej wody.

- O greckich medykach Katon powiedział już wszystko. Jeszcze nigdy nie mianowałem żadnego pigularza. Na wszelkie dolegliwości najlepszy jest post!

- Również na złamaną nogę albo ranę po mieczu?

Flawiusz posłyszał własne słowa i najchętniej ugryzłby się w język, ale cesarz stał dalej w milczeniu, nieruchomy zarys na jasnym tle przejścia, zdając się całkowicie pogrążony kontemplacją fontanny. Szukając pomocy, Flawiusz spojrział na Ulixesa, który bez słowa podniósł brwi. Wreszcie władca się odwrócił i szerokimi krokami starego kawalerzysty ruszył ku śmiałkowi, mierząc go taksującym spojrzeniem. Młody człowiek musiał zebrać całą odwagę, aby nie spuścić oczu, i udało mu się. Przytłumione odgłosy docierały z bazyliki, poza tym panowała martwa cisza, gdy cesarz i podwładny mierzyli się wzrokiem.

Nagle w sali rozbrzmiał śmiech.

- Dobra odpowiedź. I do tego odważna, to mi się podoba! - Aurelian klepnął Flawiusza w ramię. - W Augusta Treverorum są jeszcze trudności. Faustyn, oporny generał Tetrykusa, nie chce się poddać. Ale to zostanie załatwione i wtedy przyda mi się tam od-

ważny, jak i godny zaufania curator ze specjalnymi pełnomocnictwami, znający okolicę.

Imperator zwrócił się do Ulixesa:

- Pozwólcie ze mną na słowo do atrium. Mam dla was zadanie.

Obaj zniknęli pod krużgankiem, zaś Flawiusz miał wrażenie, że nogi ma z wosku. Oparł policzek o chłodną marmurową ścianę, przyglądając się żyłkowaniu czerwonego kamienia, i wziął kilka głębszych oddechów. Kwadrans później wrócili, Ulixes skłonił się przed cesarzem, a Flawiusz poszedł w jego ślady.

Aurelian odesłał ich gestem ręki.

- Zostaniecie powiadomieni, gdy zapadnie decyzja co do stanowiska w Augusta Treverorum. Postarajcie się, żeby mój sekretarz przydzielił wam dobre miejsca w Circus Maximus na okoliczność mojego tryumfu w następnym miesiącu.

Obaj petenci skłonili się ponownie i opuścili aulę. Flawiusz czuł się tak oszołomiony, że idąc do lektyk, nie zwrócił uwagi na milczącego Ulixesa.

W domu zapytał:

- Wiesz, co miał cesarz na myśli, powołując się na Katona?

Ulixes przytaknął, udał się do swojej biblioteki i po krótkich poszukiwaniach wrócił ze zwojem, wręczając go przyjacielowi.

- To u Pliniusza w 29. tomie jego *Historii naturalnej*. Niestety, nie pisze zbyt pochlebnie o Grekach.

Wskazał na odpowiednie miejsce, odwrócił się i ruszył do swoich zajęć, a Flawiusz zagłębił się w lekturze: „Są niegodziwym, a także niedającym się poprawić narodem, i wierz mi, jak gdyby była to wyrocznia wieszczą: jeśli kiedykolwiek lud ten zapozna nas ze swoją nauką, to wszystko zniszczy: a jeszcze bardziej, gdy pošle nam swoich medyków. Sprzysięgli się oni, że swoją sztuką leczenia wyniszczą wszystkich barbarzyńców. A do tego jeszcze czynią to tylko

za pieniądze, aby zdobyć sobie zaufanie i tym skuteczniej działać. Również nas przezywają barbarzyńcami i tym wyrażeniem rzucają na nas jeszcze ohydniejszą obelgę niż pozostali nierozumni brodacze. Tym samym zakazuję ci wszelkich znajomości z medykami".

Niezauważenie do komnaty weszła Aqmat, a widząc czytającego Flawiusza, chrząknęła dyskretnie.

- I co tam nowego?

Flawiusz podniósł wzrok, opuszczając zwój.

- Doskonale. Cesarz zaproponował mi stanowisko curatora w Augusta Treverorum!

- To dobra wiadomość. Jestem z ciebie dumna! - pocałowała go w policzek i wyszeptła: - Ja też chcę ci o czymś powiedzieć.

- O czym? - zapytał, w myślach ciągle jeszcze będąc przy audiencji.

- Już drugi raz czekam na coś, co zwykle zdarza się co miesiąc.

- Myślisz?

- Tak, jestem nawet pewna.

Jej mąż wydał okrzyk radości, pochwyił ją wpół i zakręcił wkoło.

sv it i<

We wrześniu znowu nastały upały. Zrobiło się tak gorąco, jak gdyby w murach Wiecznego Miasta ciągle jeszcze gościła kanikuła. Już od rana wszyscy ocierali sobie pot z czoła, zaś w południe oblegali szynkwasy w knajpach, żeby całymi litrami wlewać w siebie wino rozcieńczone wodą. Nikt jednak, kogo akurat nie złożyła choroba, nie był dzieckiem lub niewolnikiem, nie miał zamiaru zrezygnować z widowiska. Od tygodni temat rozmów dotyczył tylko jednego: tryumfu cesarza.

Rankiem na Polu Marsowym uformował się pochód i w ślimaczym tempie ruszył naprzód z towarzyszeniem wiwatów nieprzeliczonych gapiów. Zbudowane z tej okazji drewniane trybuny

trzeszczały pod ich ciężarem, a także balkony, okna, przedsionki świątyń, a nawet akwedukty czerniły się od ludzi lepiących się niczym muchy do każdego występu muru.

W Circus Maximus widzowie mieli wygodniej, zwłaszcza jeśli łaskawość władcy pozwoliła im zająć dogodne miejsce. Pomędzy nimi znalazł się także pięćdziesięcioletni mężczyzna z lekko już posiwiałymi na skroniach ciemnymi włosami. Bogato wyszywana toga skrywała ciężkie ciało, a niespokojnie rozbiegane oczy lustrowały całe otoczenie. Kołysał się na krześle w przód i w tył, rzucając jedynie przelotne spojrzenia na korowód, którego czoło osiągnęło właśnie mały portal na północnym krańcu olbrzymiej budowli.

Na przedzie kroczyli muskularni tragarze niosący na wymoszczonych naramiennikach drągi, do których przymocowane były potężne kufry wypełnione łupami: posągami bogów, kosztownościami, bronią, złotymi wieńcami. Dalej toczyły się większe platformy z jednym lub dwoma więźniami. Przykuci do kolumn lub drzew symbolizowali podbite ludy. Jasne, kasztanowe lub rude głowy ze zmierzwionymi brodami i obcymi oczyma rzucały na widzów niespokojne spojrzenia. Ci zaś, poszeptując między sobą, wskazywali na potężne ciała rysujące się pod skórą zwierząt lub lnianymi tkaninami, mające wkrótce zostać rozerwane przez dzikie zwierzęta. Sarmaci, Goci, Galowie, Swebowie, Frankowie, Wandalowie, Alanowie - mężczyzna w todzie przyjrzał się niesionym szyldom, ziewnął i znudzony opadł na miejsce.

Nagle wszyscy usłyszeli dźwięk przypominający grzmot trąby. Szary kolos przeciskał się pod portalem, za nim kolejny, aż wreszcie wzdłuż bieżni kroczyło dwadzieścia bogato przystrojonych słoni. Za nimi prowadzono przykute łańcuchami lwy, pilnowane przez poganiaczy z pejcami i długimi żelaznymi ościeniami, a także dzikie osły i wielbłądy. Największe zdumienie wzbudziły jednak dwie żyrafy, których głowy kołyszące się na długich szyjach zdawały się

wdzięcznie skłaniać ku widzom. Tłumy wiwatowały głośno, powiewając białymi chustkami do ocierania potu, które na rozkaz cesarza wspaniałomyślnie rozdano z tej okazji, co sprawiało wrażenie, jak gdyby chmary mew zrywały się do lotu.

. Avitus przypomniał sobie własną młodość i pierwszy raz, gdy wraz ze swoim ojcem, na jego statku, wyruszył z Kolonii. Zmierzali do Brytanii, więc kiedy wypłynęli na Morze Północne, otoczyły ich stada rozkrzyczanych białych ptaków. Żaglowcem kołysało mocno i poczuł się niedobrze. Wtedy ojciec, którego znał na co dzień jako surowego, niedostępnego kupca, otoczył go ramieniem, a on przez chwilę poczuł się szczęśliwy. Ale to było dawno temu. Otrząsnął się szybko ze wspomnień i spojrzął w dół.

Przejeżdżały właśnie trzy zdobyczne rydwany, każdy ciągnięty przez parę siwków. Błyszczały złote i srebrne okucia, a szlachetne kamienie na kołach zataczały świetliste kręgi. Tuszczka natomiast wytrzeszczała oczy ku niesionej dalej tablicy zapowiadającej ośmiuset gladiatorów. Kołysząca się masa półnagich, naoliwionych ciał: Trakowie z małymi tarczami, nagolennikami i hełmami o szerokich okapach, retiarii z sieciami i trójzębami, z połyskującymi na lewym ramieniu ochraniaczami niczym skrzydłami owadów. I zaraz ich przeciwnicy, secutores, uzbrojeni w prostokątną legionową tarczę, gładki hełm i miecz. Horda wojowników wyciągająca ręce w pozdrowieniu, witana entuzjastycznie przez mężczyzn, oglądana z ciekawością przez kobiety. Avitus popatrzył z pogardą - cóż za krótka sława. W tydzień później połowa z nich wykrwawi się na piasku areny.

Nie przeczuwał, jak niewiele czasu miało pozostać jemu samemu.

Nagle szum przycichł, półgłosem wypowiedane uwagi zaczęły milknąć, aż wreszcie zdawało się, że wszyscy przestali oddychać. Zgromadzeni patrzyli w jedno miejsce. Sto tysięcy osób siedziało w takiej ciszy, że słyszało się skrzywienie wielkich na wysokość człowieka kół, gdy nadjechał cesarz w swoim rydwanie ciągnie-

tym przez cztery jelenie. Nieruchome, pomalowane minią ołowiwą oblicze podobne było do twarzy posagu Jowisza na Kapitolu. Ubrany był w purpurową togę wyszywaną w złote palmy, lewa dłoń imperatora obejmowała zwieńczone orłem berło z kości słoniowej, w prawej ze starym żelaznym pierścieniem dzierżył gałązkę wawrzynu. Stojący za nim niewolnik powiewał nad jego głową złotym wieńcem dębowym, pomrukując coś. Jeśli nawet widzowie dostrzegali jedynie ruch warg, to wszyscy znali słowa formuły mającej ustrzec tryumfatora przed zarozumiałością:

- Spójrz za siebie i pamiętaj, że jesteś tylko człowiekiem!

Avitus usiadł wygodniej, a na jego twarzy ukazał się uśmiech zadowolenia. Na czas udało mu się zmienić front! Gdy upadało państwo Tetrykusa, to on wznosił w Augusta Raurica sztandary Rzymu. Potajemnie przekupieni przez niego najemnicy ruszyli do boju z żołnierzami garnizonu, którzy jeszcze trzymali stronę uzurpatora. A że na skutek walk obrócono w perzynę połowę miasta - no cóż, przykre, lecz konieczne. Za to nadarzyła się okazja usunięcia z drogi kilku niewygodnych ludzi. Jak tego Doryphoro-sa, który swego czasu wycisnął z niego tyle sztuk złota, wiedział coś o sprawie z fałszerzami i pozwolił umknąć temu młodziakowi. I którego już nie potrzebował, gdyż wkrótce wystarczyło pstryknąć palcami i już miało się na usługach najlepszych medyków stolicy.

Jego siepacze wyważyli drzwi, zastając Greka wraz z kochasiem w łożu. Widok godny bogów! Klaskanie nagich stóp Eskulapowego ucznia, a za nim łoskot podkutych trzewików żołnierzy. Musieli ścigać medyka przez całe mieszkanie, aż wreszcie dorwali go w jadalni. Z czcigodnego pana życia i śmierci zrobiła się drżąca istota, z mokrymi od potu włosami. Świst klingi miecza przecinający powietrze, trafiony w szyję Grek upadł na posadzkę, a jego krew zbrukała kolorową mozaikę. Avitus już miał dać rozkaz do pod-

palenia domostwa, gdy nagle zobaczył coś w jednej ze stojących przy ścianie szaf. Spiżową głowę lwa wraz z łapami, z której tylnej części wystawał żelazny hak. Prefekt z uśmiechem zadowolenia sięgnął po ciężkie znaleźisko. Doryphoros był członkiem kolegium kapłańskiego, a tym dało się otworzyć drzwi świątyni! Avitus skinął na swoich żołdaków i kiedy płomienie wżerały się w belki sufitu, jego oddział stał już przed strzelistymi kolumnami. W blasku nocnych pożarów obladowali się bogatymi wotami, zaś niepotrzebny nikomu klucz wylądował z brzękiem na kamiennej posadzce.

Na jego ramieniu wsparła się czyjaś dłoń, spojrzał w twarz długo wyczekiwanego sługi.

- Udało ci się czegoś dowiedzieć?

Przybysz przytaknął.

- Tak, to jest...

- Nie tutaj - wysyczał Avitus - i nie teraz. Zaraz go przyprowadzą!

Zerknęli ku bieżni cyrku. Poganiacze zwierząt z pękami różg poprowadzili otoczony liktorami pojazd cesarza ku prawej stronie, zaś od lewej zbliżała się gromada odzianych w zwierzęce skóry, długowłosych istot.

- Czy to nie kobiety? - zdumiał się pan. - Możesz przeczytać, co tam napisano?

- Gockie amazonki ujęte podczas bitwy!

- Dobrze, po nich kolej na niego.

Avitus pochylił się do przodu, spoglądając w lewo. Tak, stamtąd nadchodził. Tetrykus w purpurowym płaszczu, jasnożółtej tunicy i galijskich spodniach, a obok niego jego syn. Dostojnik nie potrzebował napisu, aby rozpoznać uzurpatora, choć widział go tylko raz. Wtedy płaszczył się przed nim w unizonych pokłonach, a teraz siedział jako gość cesarza niezwycięzonego Słońca, spoglądając z góry na swego dawnego władcę.

Jak szybko obraca się koło Fortuny, przekonała się także idąca w dalszej kolejności kobieta. Nawet bez napisu tłumy wiedziały, kogo mają przed sobą: Zenobię, niegdyś królową Palmiry. Widzowie poszeptowali między sobą, podziwiając zarówno jej urodę, jak i kosztowności. Na skroniach miała trzy diademy, a jej ciało pokrywał pancerz z połyskujących naszyjników i wysadzanych klejnotami broszek. Na ramionach miała niezliczone bransolety, zaś na nadgarstkach i kostkach u nóg pobrzękiwały cienkie złote łańcuchy. Gdy się zbliżyła, siedzący w pierwszych rzędach mogli dostrzec pełną napięcia, oblaną potem twarz. Ale trzymała się dumnie, uśmiechając się raz po raz do towarzyszącego jej Waballata.

W milczeniu spoglądano na nią, prawie nikt nie zwracał uwagi na następną grupę zapowiadaną jako dostojnicy z Palmiry i Egiptu. Również Avitus nie zaszczycił więźniów ani jednym spojrzeniem, lecz gestem nakazał słudze, aby poszedł za nim. W niszy pod schodami powiedział tylko jedno słowo:

-Kto?

- Człowiek, który nakazał was szpiegować, to senator Ulixes Gabinius Aquila.

- Na Plutona, senator? - Avitus wciągnął ze świstem powietrze przez zęby. - Dlaczego depcze mi po piętach?

Sługa zawahał się przez chwilę.

- Nie tylko za wami - tu spojrzał z wyczekiwaniem na swojego pana, a ten wcisnął mu monetę do ręki. - Dobrze się spisałeś. No, jazda, mów!

- Jako przewodniczący powołanej przez cesarza komisji anty-korupcyjnej może sprawdzić każdego, kto wyda mu się podejrzany.

Avitus zaklął w duchu, ale zmusił się do uśmiechu.

- A któż to znowu taki?

Jego towarzysz wskazał na dół, gdzie mieściła się łoża zarezerwowana dla senatorów.

- Tam siedzi. Ten chudy na skraju, z siwymi włosami. Avitus spojrział w kierunku wyciągniętej ręki, a potem mruknął:
 - Jego towarzysze to chyba nie senatorowie?
 - Oczywiście, że nie - sługa czuł się dumny ze swojej wiedzy.
- Tego tęgiego rudzielca nie znam. Ale ten muskularny z brodą to niejaki Primus Verecundus, a obok niego siedzą jego syn Flawiusz Verecundus i jego żona.
- Flawiusz Verecundus - powtórzył Avitus, miał bowiem dobrą pamięć do imion. - ^JCfydaje mi się, że znam go z Augusta Raurica. A w Lopodunum też już spotkałem jakiegoś Verecundusa.
- Dwa miasta, z których nie potrzebował żadnych świadków. Żadnych wtajemniczonych mogących powiadomić cesarza o sprawach, które lepiej, żeby popadły w zapomnienie. Przez chwilę siedział zatopiony w myślach, a tymczasem po bieżni przeciągały oddziały wziętych do niewoli jeńców.
- Ruszamy - powiedział wreszcie do służącego. - Na pewno znasz na Suburze chętnych do pomocy ludzi.

Gdyby nie uczta, wszystko byłoby inaczej.

Po wizycie w termach Trajana Olus zaprosił swoich przyjaciół na kolację do pobliskiej knajpy, gdzie od kwartału pracował jako kucharz. Przyprawione miodem młode wino wprawiło wszystkich w dobry nastrój. Gdy już siedzieli w bocznej izbie wokół wyszorowanego piaskiem dębowego stołu, na którym dymiła misa ślimaków, Ulixes uniósł dłoń.

- Drodzy przyjaciele, dzisiaj wypada szczególnie dzień!
- Niby dlaczego, zostałeś może konsulem? - zażartował Flawiusz.
- Nie, kimś ważniejszym - senator ściszył głos. - Podczas audycji, gdy cesarz chciał rozmawiać w atrium tylko ze mną, pamiętasz? Młody urzędnik przytaknął.

- Aurelian zlecił mi wówczas zadanie, które najchętniej bym odrzucił.

Dwie pary oczu spojrzały na niego pytająco.

- Z godnych zaufania mężów miałem stworzyć komisję do sprawdzenia postępowania najważniejszych luminarzy w odzyskanych galijskich prowincjach.

- Tropiciele korupcji, o których poszeptuje się na Forum? - dopytywał się Primus.

Ulixes potwierdził.

- A dlaczego nie chcieliście się tym zająć?

- Ponieważ wreszcie mógłbym żyć w spokoju. Nie dążę już do niczego więcej, a teraz tęsknię tylko za tym, żeby zostawić za sobą całe bagno polityki. Marzę o tym, żeby zasiąść na tarasie na skałach Kartaginy, podziwiać zachód słońca i słuchać szumu morza.

- Rozumiem - orzekł Primus. - Ale nie odmawia się proście cesarza.

- Raczej nie - Ulixes łyknął wina. - Można ją tylko szybko i skutecznie wypełnić.

- I udało ci się coś osiągnąć?

- Owszem, dzięki twoim informacjom.

- Moim? Nic mi o tym nie wiadomo - Flawiusz poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

Aquila położył mu uspokajająco dłoń na ramieniu.

- Bez obaw, to nikt, na kim mogłoby nam zależeć!

- Znam go? Nie każ nam dłużej czekać!

- Trochę cierpliwości! - senator się uśmiechnął. - Juliusz wspominał mi o prefekcie Avitusie, któremu tylko z trudem wymknąłeś się później w Augusta Raurica.

Flawiusz przytaknął.

- To prawdziwa żmija, z którą nie chciałbym mieć zaszczytu ponownego spotkania.

Ulixes pokręcił głową.

- Wyobraź sobie, że mam w tym względzie inne zdanie!

I pochyliwszy się nad stołem, wyrzucił z siebie słowa niczym zbrojnych do walki:

- To sprawa precedensowa, jego los da do myślenia wszystkim krwiopijcom żerującym na Imperium.

Młody urzędnik pokręcił głową.

- I o co chcesz go oskarżyć? Ze tchórzliwie uciekł z Lopo-dunum? - Małym zgiętym nożykiem sięgnął w głąb skorupy ślimaka. - Albo o zabicie fałszerzy? Aurelian znacznie skuteczniej rozprawił się ze zbuntowanymi mennicznymi. Tu przecież dzień w dzień pływają trupy w Cloaca maxima!

Senator odparł:

- Zgadza się. Tylko moje śledztwo ustaliło coś więcej. Brudne sprawy. Defraudacja na urzędzie. Przekupstwo. Współudział w splądrowaniu świątyni. A nawet zabójstwo. Nabił na dwuzębny widelec małego brunatnego ślimaka.

- Mam rybę na haku. Od dzisiejszego południa akt oskarżenia leży przed cesarzem.

Mięczak zniknął w ustach, a Ulixes mlasnął ze smakiem.

- Chciałbym zobaczyć jego minę, gdy pretorianie załomotają do jego drzwi. A cesarz musiałby być naprawdę w łagodnym usposobieniu, żeby oszczędzić mu miecza. Tylko kiedy Aurelian jest w takim usposobieniu?

Płomień oliwnej lampy zamigotał, wywabiając z kątów cienie, a w izbie powiało grozą. Gdy zabrzmiały kroki, Flawiusz i jego ojciec milczeli. W drzwiach pojawiła się Aqmat z niewielkim zawiniątkiem w ręku. Jej mąż spojrzał na nią: modnie zakrecone włosy, lekkie piegi, czujne oczy, a do tego ciągle wprawiający go w zachwyt uśmiech. Nie mógł rozpoznać zarysów jej ciała pod odzieniem, ale znał każdy

jego cał, wszystkie zaokrąglenia, które w ostatnim czasie nieco się powiększyły. Przepelniony dumą wstał, przytulając ją.

- Znalazłaś na Forum coś, co ci się spodobało?

Zaprzeczyła.

- Tamtejsi złotnicy to coś dla zamożnych matron albo senatorów - młoda kobieta przysiadła się do mężczyzn, podając zawiątko Ulixesowi. - Jubiler Sykstus podał to dla ciebie. Pokażesz nam, co jest w środku?

Senator zwlekał przez chwilę, a potem otworzył paczuszkę, wyciągając oprawiony w złoto, płaski szklany wisiorek. Milcząc, podał jej owalny klejnot.

- Nie do wiary, to podobieństwo! - Aqmat uniosła miniaturę w górę.

Na ciemnym tle ze złotego krążka spoglądała twarz Ulixesa. Oddano każdą zmarszczkę, każdy włos, z ramion spływała mu toga ozdobiona purpurowym pasem

- W waszym wieku człowiek staje się jeszcze bardziej urodziwy, w moim już nie. Chciałem pozostawić po sobie pamiątkę - Aquila wyglądał tak, jak gdyby chciał prosić o zrozumienie.

Aqmat i Flawiusz przytaknęli zmieszani. Ich uwagi nie uszło, że wizerunek przedstawia starszego człowieka z gęstą, ciemną czupryną.

Z ulgą zajęli się dopiero co podanym następnym daniem: młodymi orzesznicami podduszonymi z kolendra i cebulą, w sosie z mleka, miodu, pieprzu i oregano. Przez chwilę rozlegał się jedynie brzęk sztućców.

- Te pyszności rozplływają się na języku - Primus otarł sobie usta. - Co jeszcze nas czeka?

Olus stanął obok stołu, zakładając z tyłu ręce.

- Dalej zakosztujemy słynnej wątróbki wieprzowej według przepisu Apicjusza. A u mnie... - tu Gal podniósł znacząco w górę

palec - możecie być pewni, że prosięta nie tylko tuczy się figami, lecz także przed zarżnięciem dostają do picia słodki moszcz!

Budowniczy wydał okrzyk zachwyty i wyczekująco pogłaskał się po brzuchu. Pomimo obciążenia związanego z pracą przy budowie świątyni boga Słońca przytył w ostatnim roku, zaś Flawiuszowi jego wygląd przypominał czasem osobę Juliusza. Tylko że jego ojciec delektował się życiem bez wyrzutów sumienia i prawniczych usprawiedliwień stryja.

Wątroba okazała się rzeczywiście znakomita i wkrótce wszyscy byli najedzeni. Ulixes zamówił kolejny dzban wina, a potem Olus podał ciasto migdałowe z miodem, a także zafundował gościom kolejną amforę, którą podzielili się Ulixes z Primusem. Flawiusz otoczył ramieniem Aqmat, kładąc drugą rękę na jej łonie. Wciąż na nowo próbował wyczuć rosnące w niej życie, choć wiedział, że jeszcze na to za wcześnie. Jego żona siedziała z przymkniętymi oczyma, wspierając głowę na jego ramieniu.

Gdy wreszcie opuścili gospodę, na niebie połyskiwały jeszcze pierzaste chmury rozświetlone blaskiem ostatnich promieni słońca, lecz głębokie wąwozy ulic pograżyły się już w mroku. Ulixes wsparł się na chwilę o mur, aby z zamkniętymi oczyma zaczerpnąć do płuc chłodniejszego powietrza, gdy Flawiusz trącił go w bok.

- Gdzie nasi służący i tragarze z lektykami?

Senator zamrugał oczyma, rozglądając się wokoło, ale nikogo nie było widać.

- Nie mam pojęcia! Mieli wolne do zmierzchu, potem mieli tu na nas czekać.

Flawiusz spojrział na ciemny bruk. Coś nie dawało mu spokoju. Objął Aqmat w pasie.

- Bez nich lepiej się nie ruszać, bo przed nami jest kilka niebezpiecznych zaułków.

Ulixes przyznał mu rację.

- Idźmy na Pałatyn. Tam zawsze pretorianie siedzą przy grze w kości i paru z nich może nam towarzyszyć.

Aqmat wzięła od Olusa latarnię i ruszyli w drogę, lecz insulę dalej posłyszeli brzęk broni. Flawiusz odwrócił się i wydało mu się, że nieco dalej widzi kilka ciemnych postaci. Pochwycił żonę za rękę.

- Ścigają nas. Możesz biec?

Ona przytaknęła.

Ruszyli biegiem. Chybotliwe światło latarni obudziło do życia kamienne płyty, wrywało z ciemności ściany pokryte koślawymi literami i przesuwano się po drewnianych okiennicach zamkniętych kramów. Za nimi rozległy się wołania, lecz oni uważali tylko na to, żeby się nie pośliznąć.

-A niech to!

Biegący przodem Primus zatrzymał się, wskazując na koniec ulicy. W świetle wschodzącego księżycy dostrzegł ciemne postaci zmierzające w ich stronę.

- Otoczyli nas!

Przez chwilę panowało milczenie, napastnicy zbliżali się.

- Tu jeszcze jest światło! - usłyszeli szept Aqmat.

Przez szczelinę pomiędzy dylami drzwi przenikał nikły blask. Kobieta przemknęła ku nim, zaczynając dyskretnie pukać.

- Proszę, otwórzcie!

Nic.

Aqmat wzmacza stukanie, zaczynając głośniejsze wołać.

- Otwórzcie, szybko. Ścigają nas!

Odgłos kroków, zgrzyt zamka. Drzwi otwarły się na szczelinę. Na ulicę padł jasny promień, stukot podkutych butów był coraz bliżej. ^JCfychudzona dziecięca twarz wpatrywała się w ciemności. Ulixes odsunął chłopca, wpadli do środka, zasuważąc rygle.

W pomieszczeniu stał dębowy stół, na nim lampa oliwna, w kącie legowisko, wzdłuż ścian półki pełne zielonego szkliwa. Dzieciak wpatrywał się w purpurowy pas na todzie Aąiüfi.

- Senator?

- Tak, a na zewnątrz rabusie!

W drzwi załomotała pięść, za nią kilka innych. Z zawiasów odpadło kilka kawałków zaprawy.

Na dany przez Flawiusza znak mężczyźni ustawili ciężki stół przed drzwiami. Chłopiec przyglądał im się lękliwie.

- Każde rozbite szkło mój pan...

- ...będzie miał przeze mnie zapłacone.

Ulixes wskazał na tylną ścianę.

- Jest tam jakieś wyjście?

Przeczący ruch głową.

- Nie, tylko piwnica z towarem.

Za moment jednak młody dozorca przypomniał coś sobie.

- Z niej można dojść do wielu innych grot. Wczołgałem się tam kiedyś i wyszedłem zupełnie gdzie indziej. Ale wszędzie pełno nie czystości. To nie miejsce dla senatorów.

- Lepiej być brudnym niż martwym! Ulixes wskazał na lampę.

- Dalej, którą?

Chłopiec podbiegł ku tyłowi i otworzył drzwi. Przemierzyli za-tęchłą izbę, na końcu której powiewała pogryziona przez mole zasłona.

- Za nią, tylko musicie się przeczłgać!

Od wejścia dobiegł odgłos uderzeń i trzask pękającego drewna. Ich przewodnik zniknął w rogu, za nim ruszyli Flawiusz, potem Aqmat z latarnią, a za Primusem w cuchnący uryną otwór wcisnął się Ulixes.

Posuwali się przez sale tak zasypane gruzem, że szli zgięci w pół. Migotliwe światło latarni oświetliło malunki na suficie: wojownik żegnający się z żoną, i już wszystko ogarnęła wieczna noc. Uciekinierzy wędrowali dalej, wydawało się prawie, że pochłonał ich labirynt, jak gdyby z każdego ciemnego rogu sięgały ku nim dłonie nieznanych budowniczych tego zasypanego pałacu.

Wielokątna sala zwieńczona kopułą, a w niej popiskujące nietoperze. Przez moment mogli odetchnąć, lecz już za chwilę usłyszeli wołania ścigających. Dalej, ciągle dalej, przez długą salę, na której błękitnym sklepieniu zgromadziły się morskie potwory, gryfy, centaury, lwie głowy, delfiny i latające konie. Krótkie spojrzenie i już musieli zmierzać na kolanach, plecami ocierali się o sufit, wydawało się, że nie ma dalszej drogi. Chłopiec i Flawiusz odsunęli na bok blok gruzu, aż otwór stał się wystarczająco duży. Po kątach rozpierzchły się szczury. Wreszcie wyższa komnata. Spod pajęczyn połyskiwał matowo złożony pułap, okrągłe i kwadratowe sztukiaterie otaczały ciemne od pleśni malowidła.

- Ten sufit...

Primus uniósł się, wpatrując się w górę.

- Musimy być w Złotym Domu Nerona!

- Ojczy, proszę! - Flawiusz rzucił okiem przez ramię.

Ulixes syknął:

-Dalej!

Popchnął budowniczego, sam zrobił krok, lecz nastąpił na togę, potknął się i upadł. Silny ból przeszył mu prawą kostkę.

- Moja noga!

Primus odwrócił się, położył rękę senatora na swoim ramieniu i wsparł go. Lecz utykali noga za nogą, a za nimi już zbliżały się głosy i kroki. Zmusili się do pośpiechu. Flawiusz i Aqmat byli kawalek przed nimi, już przecisnęli się przez następne wysokie na dwie stopy przejście, gdy spojrzeli za siebie.

- Ulixesie, co się stało?
- Zraniłem się w nogę. Już dalej nie mogę.
- Musisz!

W głosie Flawiusza słysząc było jednocześnie rozkaz i prośbę.

- Chodź!

Primus przeczołgał się pierwszy i pociągnął za sobą Aquilę, gdy pierwsi prześladowcy wpadli do sali ze złoconym sklepieniem. Obdarci, muskularne postaci, z zakurzonymi brodami, sztyletami przy pasach, dwóch trzymało oliwne lampy. W tle widać było cień, inni w milczeniu ustąpili mu miejsca. Ich wódz trzymał się w mroku, tylko jego głos przeciął powietrze.

- Poddajcie się, senatorze. Wiem, że utknęliście za tym wyłomem!

Flawiusz, Primus i Ulixes spoglądali w milczeniu przez niski otwór.

- Nie mamy zamiaru wyrządzać wam krzywdy. Spędzicie tylko kilka dni w odosobnionym miejscu. Jak to trafnie określił Horacy Flakkus? „Szczęśliwy ten, kto nie musi zajmować się prozą życia!”

Cień zamilkł, nasłuchiwał, jeden z jego ludzi uczynił krok naprzód, ale został zatrzymany, gdy zza ściany dobiegł głos Ulixesa.

- Gdzie moi służący?

- Wystarczyła krótka wiadomość i posłuchali - znowu chwila ciszy. - Teraz czekają przy termach Antonina, przed tawerną „Pod Żółtym Osłem”. Czy to nie wspaniałe?

Gulgoczący chichot.

- Nic im się nie stało, podobnie jak i wam się nie stanie, gdy tylko dostanę sakiewkę złota. To niewielka strata dla kogoś takiego, jak wy. Za to podczas następnego przyjęcia będziecie mogli się pochwalić przed innymi interesującą historią!

Ulixes odchrząknął.

- Oczytany złoczyńca, i to z poczuciem humoru. Rzadko spotyka się takich w dzisiejszych czasach!

- Czuję, że się rozumiemy - głos wabił. - Poddajcie się, oczywiście wszyscy, a zapewniam was, że moi ludzie obejdą się z wami uprzejmie, nawet z damą.

- Zastanowimy się nad tą propozycją - głos Flawiusza brzmiał niepewnie.

- Ależ oczywiście. Tylko proszę nie za długo, bo inaczej moi towarzysze staną się niecierpliwi, zniknie z trudem wpojone im dobre wychowanie, dojdą do głosu zwierzęce instynkty, a wówczas nawet ja będę bezsilny, zupełnie bezsilny.

Cała trójka wycofała się, aż dotarli do chłopca i Aqmat. Flawiusz szepnął:

- Nie ufaj mu. Znam ten głos. To Avitus!

- Na Jowisza! - Ulixes spojrział w światło latarni. - Jemu nie chodzi o parę sztuk złota. Musicie uciekać, a ja go zatrzymam.

- To nie wchodzi w rachubę. Zostajemy razem!

- Nie oczekiwałem od ciebie niczego innego - Ulixes położył dłoń na ramieniu przyjaciela. - Ale masz jakąś broń? Ja pod togą noszę ze sobą gladius, nawet jeśli coś takiego zabronione jest w mieście. Kto tylko przetknie głowę - przy tych słowach wskazał na otwór - ten pożegnał się z życiem.

- Pomimo wszystko zostanę z tobą!

- Nie, Flawiuszu, nie zgadzam się. To ja podrażniłem tę hienę - Ulixes sięgnął po miecz. - Jeśli ich tutaj nie zatrzymam, tobie też nie uda się tego dokonać. Pomyśl tylko, co zrobią z Aqmat, zanim poderzną nam gardła.

Po chwili ciężkiego milczenia Primus otoczył ramieniem syna.

- Ma, niestety, rację. Jest tu jeszcze jakieś inne przejście?

Młody dozorca zaprzeczył.

- Wszystkie zasypane. Wyjście jest kawałek dalej.

- Wobec tego ruszajcie i sprowadźcie pomoc. To rozkaz!

Głos Ulixa wykluczał sprzeciw, ale na to wystąpiła Aqmat z małym sztyletem w ręku.

- Dajcie mi okazję dorwania ich herszta. W rzucaniu nożem wysłałem nieco w wprawę, ale warto spróbować...

- I co postanowiła rada mędrców? - rozbrzmiał głos z wysokiej sali.

Ulixes przywołał Aqmat i oboje przykucnęli przy wyłomie.

- Zdecydowaliśmy się - zawołał senator. - Przy tym swój głos wyraziła również nasza dama.

- Kobiety i ich opinie niewiele są warte, możesz mi wierzyć - westchnął Avitus. - Ale proszę bardzo, zakończmy sprawę. O co chodzi?

- Oto!

Aqmat zamachnęła się, lecz ręką zaczepiła o wystający kamień. Sztylet ze świstem przeciął ciemności, ale tylko musnął złoczyńcę. Głośny okrzyk, napastnicy niczym szczury rozpierzchli się, szukając kryjówek.

Ulixes przycałił się przy otworze, ostrze miecza połyskiwało na jego kolanie.

- Doskonale, nie odważą się tak szybko na jakikolwiek ruch. - Gestem przywołał Flawiusza, podając mu zawiniątko z miniaturą.

- Zęby strażnicy ci uwierzyli. To niespodzianka dla ciebie - uśmiechnął się lekko. - Ruszajcie. Ciekaw jestem, kto się odważy pierwszy.

Blask latarni zniknął w głębi korytarza, a wraz z nim również uśmiech z twarzy starego człowieka czekającego w świetle lampki oliwnej przy wyłomie w murze.

Skuci łańcuchami więźniowie prawie nie spali poprzedniej nocy. Ale lepszej już nie doczekają, gdyż wóz, na którym siedzieli, transportował ich na egzekucję. Tak wczesnym rankiem prawie

nikt nie zważał na pojazd z ludzkim ładunkiem. Skazani złoczyńcy w drodze do amfiteatru Flawiusza stali się w tych dniach tak powszechnym widokiem, że ani kowal nie przerywał kucia, ani krawiec szycia, ani piekarz zagniatania ciasta. Tylko próżniaki włóczące się bez celu zastanawiały się, jaki rodzaj śmierci przewidziano jako południową rozrywkę.

Przed wozem wyrosły wzniesione jeden na drugim łuki amfiteatru. Miał być gorący dzień, więc marynarze z Misenum zajmowali się zawieszaniem żagli przeciwsłonecznych na masztach umieszczonych w kamiennych kołach u szczytu budowli.

- Złazić! - zgrzytliwy głos spod czerwonej kity na hełmie był znudzony rutyną.

Podeszli dwaj nubijscy niewolnicy z ciężkimi biczami, kiwając na skazańców. Zadzwończyła łańcuchy, mężczyźni powstali i wysiedli na sztywnych nogach. Żołnierz prowadzący zwierzęta pociągowe zasalutował.

- Melduję czteremastu przestępców w pełnej liczbie przybyłych na egzekucję! - otworzył złożoną woskową tabliczkę.

- Dwóch podpalaczy, czterech rzezimieszków, trzech oszustów recydywistów oraz pięć mieszanych przypadków, wszystko - od morderstwa po defraudację.

Podał tabliczkę dowódcy, który zsunął z czoła hełm, patrząc niechętnie na koślawe pismo.

- Znowu to co zwykle: toga molesta, ukrzyżowanie, odcięcie dłoni, dekapitacja, ad bestias - wzruszył ramionami. - Ale to nie mój problem, tylko że publiczność znudzi się, jeśli tym na górze nie przyjdzie do głowy coś nowego.

- Toga molesta, nie, nie! - jeden z podpalaczy szarpnął swoje łańcuchy, próbując bezskutecznie uwolnić głowę z zapiętej na szyi obręczy.

Jedno skinięcie dowódcy i już bicze Nubijczyków cięży wychudzone ciało, pozostawiając krwawe pręgi na skórze. Kilka ciosów trafiło również sąsiadów nieszczęśnika, którzy dołączyli do ogólnego lamentu, aż wreszcie padł rozkaz do zaprzestania.

- Koniec, nie chcę tu żadnych ekscesów. Niech oszczędzają głosy na później. Do lochu z nimi!

Przekazał tabliczkę niskiemu wartownikowi o grubym nosie, który wezwał dwóch żołnierzy. Jeden pochwyił przedni koniec łańcucha i ruszył przed siebie, drugi stanowił straż tylną, natomiast czarni siepacze biegli obok, wymachując groźnie swoimi batogami.

Najpierw ucichły jęki podpalacza, potem szurgotanie stóp, a na koniec pobrząkiwanie długiego łańcucha, gdy cały oddział zniknął pod ciemnym łukiem bramy. Pozostał jedynie cienki sznur kropel krwi spadłych na kurz, ale i one zostaną wkrótce rozdeptane przez sandały gapiów spieszących, aby zająć najlepsze miejsca.

- Owszem, pójdę! - Flawiusz miał podkrążone oczy. - Chcę ze msty. Chcę widzieć, jak temu łotrowi wymierzają karę.

Aqmat wzruszyła ramionami.

- Ja zostaję tutaj. Nienawiść jest straszna, ale rób, co uważasz za słuszne, nawet jeśli moim zdaniem lepiej by było, żebyś tego nie oglądał.

- Idę z tobą - Primus otoczył ramieniem syna.

- \>Cydawało mi się, że wy, chrześcijanie, pogardzacie areną -powiedziała młoda kobieta.

-Jako przyjemnością, owszem. Ale ja nie idę tam dla przyjemności.

Kwadrans później ojciec i syn wsiedli do lektyk, aby zanieśiono ich do amfiteatru Flawiusza. Obaj czuli się wyczerpani, a każde kołysanie przywracało na pamięć to, co się stało.

Również wspomnienie przedostatniej nocy.

Wydostali się na zewnątrz przez ciasny otwór, przemyli twarze spadła na twarz rosą i nabrali głęboko do płuc świeżego powietrza. Potem pobiegli na Palatyn, gdzie opowiedzieli straży o całym zdarzeniu. Strażnik słuchał ich historii z uniesionymi brwiami, lecz gdy wziął do ręki miniaturę, z której spoglądała brodata twarz w todzie z purpurowym pasem, natychmiast wydał stosowne rozkazy.

Aqmat pozostała w strażnicy, a mężczyźni pognali z powrotem, jak gdyby ścigały ich furie. Flawiusz poprowadził tuzin pretorianów ku dziurze w ogrodzie, a Primus i chłopiec powiedli swoją grupę do kramu ze szkliwem. Rozbite drzwi wisiały krzywo na zawiasach, nie zobaczyli też nikogo. Dwaj żołnierze z wyciągniętymi mieczami stanęli przy wejściu, reszta, mrużąc niechętnie, ruszyła do podziemi. Primusowi wydawało się, że minęła cała wieczność, odkąd po raz pierwszy przemierzał zatechłe wnętrza. Obawiał się, że przybędą za późno. W świetle latarni pretorianie przeczesywali każdy kąt, a budowniczy miał czas, aby przyjrzeć się malowidłom. Teraz rozpoznał w wojowniku przeznaczonego na śmierć Hektora żegnającego się z żoną Andromachą, a nieco dalej dostrzegł Parysa z porwaną Heleną.

Złoty Dom Nerona - dla każdego budowniczego kwintesencja największego przepychu. Czy gdzieś tutaj znajdowała się komnata, w której cesarz spędzał noce ze swoją małżonką Poppeą, a potem brzemienną uśmiercił kopnięciem w brzuch? Lata narastającego obłędu, kiedy rewolty wstrząsały Imperium, aż wreszcie opuszczony przez wszystkich, tak potężny niegdyś władca, wbił sobie podczas ucieczki nóż w gardło. Pół wieku później, chcąc wznieść na tym miejscu swoje termy, Trajan kazał zasypać uszkodzony przez pożar pałac.

W ciemnościach rozbrzmiał okrzyk, pretorianie otoczyli skrytobójców z Subury w komnacie z kopułą. Brzęk mieczy, okrzyki i jęki wypełniły sklepienie, w którym nietoperze śmigają jak czarne

cienie. Gdy walka dobiegła końca i Primus przyjrzał się zabitym lub wijącym się w więzach przestępcom, brakowało najważniejszego: Avitusa.

Mistrz budowlany wskazał ku ciemnościom.

- Musimy iść dalej! Pewnie jest tam gdzieś w środku!

Przedostali się do błękitnej galerii, aż wreszcie żółte światło latarni wypełniło salę ze złotą powałą. Jeden z żołnierzy dał znak.

- Spójrzcie na to!

Primus podszedł bliżej. Przy ścianie piętrzył się świeży gruz, obok ział wyłom. Przeszli na drugą stronę, spoglądając przez otwór do sąsiedniego pomieszczenia. Czy nie tutaj zostawili Ulixesa? Ale wszędzie było pusto, dopiero w następnej komnacie dostrzegli mężczyznę. Siedział skulony w kącie, był tęgi, miał brudną, pokrwawioną tunikę i ciężko oddychał. Gęste, zmierzwione włosy opadały mu na twarz, a oczy pod ciężkimi powiekami mrugały oślepienie światłem. Gdy żołnierze w milczeniu podeszli bliżej, skulił się jeszcze bardziej, ukazując im dłoń ze złotym pierścieniem. W tym momencie Primus domyślił się, co się stało. Podszedł do mężczyzny, spojrzał na niego i splunął mu w twarz.

Flawiusz przypomniał sobie, jak żołnierze przeszukiwali kolejne sale, nie napotykając żadnego z napastników. Wreszcie nie mógł już dłużej wytrzymać, przywołał do siebie dwóch pretorianów i wyruszył wraz z nimi dalej. W małej sali, której ściany ozdabiały listwy z ornamentami oraz wizerunki latających ptaków, odnalazł Ulixesa.

Podbiegł do leżącej na ziemi postaci, zobaczył czerwień na to-dze niebędącą senatorską purpurą i przykląkł obok rannego.

- Ulixesie, nie, nie wolno ci umierać!

Skinał na jednego z żołnierzy.

- Szybko, sprowadźcie medyka!

A potem lekko uderzył nieprzytomnego w oba policzki.

- Obudź się, wróciłem, uratujemy cię, nadchodzi pomoc.

Sięgnął po przegub ręki przyjaciela, lecz jego własne, bijące serce nie pozwoliło wyczuć niczego. Skinął ku drugiemu żołnierzowi, by podał mu sztylet. Przetarł ostrze, przytykając metal do otwartych ust leżącego. Pretorianin pochylił się także, podniósł migoczącą latarnię - tutaj, lekkie zamglenie. Flawiusz ponownie oczyścił klingę, znowu tchnienie wilgoci.

- Jeszcze oddycha. Szybko, pomóżcie mi odsłonić jego tors.

Gdy jednak zobaczył muskularną, poznaczoną bliznami klatkę piersiową, stracił nadzieję. Przyjaciel krwawił z pięciu ran, dwie pełne były purpurowej piany.

- Przebite płuco - mruknął Flawiusz. - Spróbujemy ułożyć go nieco wyżej.

Potem usiadł, trzymając dłoń przyjaciela i czekając. Żołnierz wsparł się w półmroku o mur, gapiąc się niepewnie w nicość.

- Gdzie ten medyk?

- Pójdę zobaczyć - pretorianin z ulgą zerwał się z miejsca, jego kroki odbijały się echem w komnacie, zostali sami.

Minęła cała wieczność, gdy ranny stęknął, wydał bulgoczący odgłos, zadrgały mu powieki i otworzył oczy.

- Gdzie jestem? Co się stało?

- Jesteśmy jeszcze w Złotym Domu. Zostałeś ranny, ale zaraz przybędzie medyk - Flawiusz przełknął ślinę. - Będiesz znów zdrowy. Całkiem zdrowy. ^Jfybudujesz swoją wille w Kartaginie, a ja odwiedzę cię z Aqmat.

- Udało się wam uciec? - w głosie zabrzmiała ulga.

- Tak, twoja odwaga uratowała wszystkich. W jaki sposób cię dorwali?

-Kopiąc...

Młody człowiek nachylił się nieco.

- Jak, kopiąc?

- Zaczęli... - Ulixes zakaszłał - wybijać... drugi wyłom. Powlokłem się dalej, aż tutaj...

- Nic nie mów, to cię za bardzo wyczerpuje. Gdzie się podzie-wa ten medyk?

Z ust Ulixesa wydobywał się już tylko szept.

- Nie trudźcie medyka, nie potrzebuję go już.

- Nie, nie wolno ci umierać! - krzyknął Flawiusz.

Ulixes ledwo zauważalnie pokręcił głową.

- Dobrze przeżyłem ten czas z tobą, mały Augustcie. Piękny i trudny - ranny zamknął oczy.

W tej chwili zachrząścił gruz i zapach różanego olejku stłumił nieco chłodną wilgoć stęchlizny. Stał przed nimi uczeń Eskulapa z torbą w rękę, a za nim kilku żołnierzy z pochodniami. Pochylił się nad Aquilą, potrząsnął z troską głową, po czym orzekł:

- Nie wygląda to dobrze, płuco przebite.

- To już wiemy od godziny! - w głosie Flawiusza pobrzmiwało rozgoryczenie. - Co teraz?

Mężczyzna zastanowił się, sięgnął do swojej torby i wyciągnął skalpel. Młody urzędnik spojrzał na niego niedowierzająco.

- Co chcecie zrobić?

- Upuścić krwi, przeciwko złym sokom.

Flawiusz ścisnął rękojeść sztyletu i wyprostował się.

- Wykrwawiającemu się? Jazda stąd, bo inaczej sami zakosztujecie tej kuracji!

Pospieszne kroki umilkły w mrokach, powoli też rozwiął się aromat róż. Ulixes otwarł oczy, uśmiechając się matowo.

- To było dobre. Twoje miejsce nie jest wśród znachorów - zakaszłał znowu, dając znak Flawiuszowi, aby się nieco zbliżył.

- Pamiętasz je jeszcze, wersety pożegnalne Hadriana?

- Które wersety? - Flawiusz miał łzy w oczach.

- Te, które cytowałem podczas burzy, wtedy na „Fortuna Redux”.

- Mam je...?
- Tak. I dzięki... za wszystko.

Flawiusz usiadł obok przyjaciela, ujął jego dłonie i przeraził się ich chłodem. Potem jego głos zabrzmiał cicho w komnacie. „Duszo, czule tchnienie, Gościu i towarzyszu mojego ciała. Już się unosisz

Ku królestwu bladych, chłodnych cieni.
Zabawy ze mną i moimi przyjaciółmi
Minęły..."

Zobaczył, że oczy przyjaciela spoglądają w pustkę. Zamknął je łagodnie, a potem opadłszy na nieruchome ciało, zaniósł się niepowstrzymanym szlochem.

W lochu pod amfiteatrem Flawiusza rozbrzmiewał szloch więźnia. Suchy skurecz wstrząsał ciałem podpalacza. Pozostali mężczyźni siedzieli na słomie jak sparaliżowani. Nie chcieli myśleć o tym, jak wiele minęło z ostatnich w ich życiu cennych godzin. Strażnicy połuźnili nieco łańcuch, więc od czasu do czasu któryś z nich unosił głowę, gdy do celi dobiegał ryk lwa lub oklaski wiwatującego pięćdziesięcioletniego tłumu.

Ile razy będą mogli jeszcze odetchnąć, zanim zostaną wyciągnięci na zewnątrz? Tysiąc razy? Jeszcze sto czy tylko dziesięć? Teraz, te kroki - czy to żołnierze w towarzystwie wymierzających chłostę Nubijczyków? Wszyscy skulili się pod ścianą jak owce przed wilkiem.

Tylko tęgi mężczyzna w pokrzwawionej tunice z wyszywanej bawełny siedział z przodu przy kracie. Wyglądał na korytarz, a widząc nadchodzącego niskiego wartownika, skinął na niego, aby się zbliżył.

- Dowódcu, znacie wyroki, nieprawdaż?

Strażnik nie widział powodu, aby wyprowadzać go z błędu co do jego szarzy, więc milcząco przytaknął.

- Ile ścieg przewidziano? Jestem wśród kandydatów? - wyszeptał więzień.

- Nie martw się, dowiesz się na czas!

Mężczyzna przy kracie machnął niecierpliwie prawą dłonią, na której błyszczał złoty pierścień.

- Proszę was tylko o tę małą przysługę. Naprawdę!

Strażnik podrapał się po głowie.

- Wiem tylko o jednym.

- Kto jest na nie skazany? Ja? - więzień podciągnął się na sztabach kraty. - Jestem Avitus!

Jego rozmówca spojrział na złoty pierścień, a potem jego twarz wykrzywił grymas.

- Być może tak, być może nie.

Avitus przyczepił się do kraty, aż pobieleły mu knykcie dłoni.

- Przecież należą do honestiores! Ścina się ich mieczem, a nie rzuca bestiom. To jakieś nieporozumienie!

Krępy dozorca zachichotał.

- Tak, tak. Tu mamy tylko same pomyłki sądowe. Podpalacze - wskazał na dwóch skulonych pod ścianą mężczyzn - oczywiście niewinni. Dom spłonął, bo uderzył weń piorun. Ci zbroje - jego ręka powędrowała dalej - niewinne baranki. Podróżni zmarli na uwiad starczy - wyprostował się i splunął na klepisko. - Tak tu jest, rok w rok. Ale to nie moja sprawa.

Avitus zmusił się do uśmiechu.

- Oczywiście, macie rację. Tylko że w moim wypadku na stała się pomyłka. To się zdarza, bo urzędnicy są przepracowani. W pośpiechu można pomylić imiona. Wy natomiast możecie to skorygować!

Dozorca spojrział na niego nieufnie.

- Ja? Niby dlaczego?

- Ponieważ macie poczucie sprawiedliwości. Wiem o tym - Avitus ściszył głos - a także, ponieważ dostaniecie coś za to!

Strażnik zawahał się i schylił głowę, lustrując pierścień ciasno siedzący na mięsistym palcu.

- Czyli mam pójść do wartowni, wziąć tabliczkę z wyrokami...

- Tak, a następnie skreślić mój i zastąpić go innym!

Mężczyzna pokiwał głową.

- Jeśli liczba będzie się zgadzała, to czemu nie. Mam na myśli rodzaje kary śmierci. Publiczności to przecież obojętne, kto jak zdycha - kolejna chwila zastanowienia, aż wreszcie padło: - No to dawaj!

Pochwycił dłoń, aby zdjąć pierścień, ale bez skutku. Ścisnął mocniej, aż Avitus zagryzł wargi. Gdy palce dozorca zacisnęły się na metalu, rzucił się do tyłu. Zerwany pierścień pozostawił krwawą ranę, więc więzień, jęcząc, szybko wsunął zraniony palec do ust, a tymczasem strażnik przyglądał się zdobyczy.

- Co z wyrokiem? - wydusił wreszcie z siebie Avitus.

- Wszystko w swoim czasie - uspokoił go strażnik, wycierając złoto w poplamioną tunikę.

Avitus osunął się po kracie, siadając na słomie.

Nie trwało długo i grzmiące brawa oznajmiły koniec porannych walk zwierząt oraz początek przerwy południowej. Nadszedł czas na egzekucje. Pośród skazańców zapanował niepokój, gdy na korytarzu rozbrzmiały ciężkie kroki. Zamek otworzył się z głośnym zgrzytem i dwaj żołnierze wkroczyli do celi, zaś u jej wejścia zajął miejsce Nubijczyk. Niski strażnik zerknął przez kratę i odczytał imiona czterech rzezimieszków, którzy skuleni wysliznęli się na zewnątrz, jak gdyby belki krzyży już im ciążyły

na barkach. Dozorcy popchnęli ich przejściem, a za nimi pokuśtykał starszy człowiek z młotkiem za pasem oraz koszem pełnym gwoździ.

Pół godziny później eskorta zjawiała się znowu. Odczytano w celi imiona dwóch podpalaczy, a ponieważ nie mieli zamiaru się podnieść, do lochu wszedł Nubijczyk wraz ze zbrojnymi.

- Proszę, błagam, nie toga molesta - szeptał skazaniec.

- Jakie przestępstwo, taka kara.

Strażnik przed kratą skinął na Murzyna, który kilkakrotnie świsnął batogiem. Żołnierze porwali skulonych przestępców, żeby zawlec ich do sąsiedniej celi, gdzie nałożono im workowate ubiory. Kulawiec przyniósł kubek pełen płynnej smoły, natarł leżących na podłodze podpalaczy i zaraz powleczono ich dalej w towarzystwie kata z pochodnią. Wkrótce do więzienia dotarły krzyki, najpierw coraz głośniejsze, potem zaczęły przycichać, aż wreszcie umilkły.

Avitus zatykał sobie uszy, więc nie słyszał kroków, aż zatrzymały się przed nim.

- Teraz ty. I wy także - niski dozorca odczytał jeszcze cztery imiona. - Cieszcie się na spotkanie z panterami, bo one też cieszą się na nie!

Dawny prefekt nie dowierzał własnym uszom.

- Ale... ale, myślałem... Ty łotrze! Mój pierścień!

Wąż bicia owinał się wokół jego ciała, więc skulił się z bólu. Żołnierze zdarli z niego tunikę, śmiejąc się z żalosego wyglądu jego męskości i obwisłego brzucha. Podnieśli go, przywiązując do pala umieszczonego na małej podstawie na kółkach. Nad jego głową przybito tablicę, na której dużymi literami napisano jego imię, a pod spodem „Defraudacja, przekupstwo, zabójstwo”.

Popiskując kołami, strażnicy przetoczyli go wzdłuż korytarza, aż dotarli do szybu, przy którym stali niewolnicy obsługujący ko-

łowrót. Dozorcy wtoczyli wózek na drewnianą platformę, w górze otwarto klapę i do szybu wpadło jasne światło dnia. Winda powoli zaczęła się unosić ku górze.

Flawiusz wymyślał sobie w duchu za własną nieroztropność. Aby uniknąć ciasnych uliczek Subury, gdzie niosący lektykę tragarze nie postąpiliby kroku naprzód bez wymachujących kijami niewolników, wybrali drogę przez Forum - zwykle puste południową porą - i tam właśnie natknęli się na kondukt pogrzebowy. Żałobnicy z profesjonalnie smutnymi minami przenosili powoli mary ze zmarłym, którym w długim szeregu towarzyszyły portrety przodków oraz kondukt członków rodziny ubranych w odświętne stroje. Młody człowiek wystawił głowę z lektyki i przyglądając się niechętnie krewnym kroczącym z kamiennymi twarzami i dręczącą powolnością, bębnił niecierpliwie palcami o poręcz siedzenia. Hałasu żałobnej muzyki nie dało się wręcz wytrzymać, nie mówiąc o zawodzeniu zawodowych płaczków wymachujących rękoma i rwących sobie włosy. Kiedy spektakl dobiegł wreszcie końca, popędził tragarzy do biegu, tak że do północnego wejścia amfiteatru Flawiusza dotarli złani potem. Oby tylko nie przybyli za późno.

Wyskoczył z lektyki i porwawszy Primusa, popędził ku strzelistym arkadom. Ani jednym spojrzeniem nie zaszczycił kolorowych jak tęcza sztukaterii, wymalowanych postaci bogów, bohaterów z rzymskiej historii i uskrzydłonych Wiktorii. Chciał jak najszybciej dostać się do mrocznego wnętrza, przemierzyć ciemne schody oraz niekończące się korytarze i dostać się do jasnej przestrzeni vomitorium. Ciężko oddychając, wyszedł wraz z posapującym Primusem spod łuku i zaraz znaleźli się pośród pięćdziesięciu tysięcy widzów. Rozejrzeli się wokoło, a znalazłszy dwa wolne miejsca, usiedli.

Egzekucje już trwały. Z ustawionych na arenie krzyży zwisały cztery wykręcone postaci, a niewolnicy znosili właśnie dwa zwęglone tłumoki przykute łańcuchami do pali. Flawiusz dotknął ramienia siedzącego obok niego przysadzistego mężczyzny wpychającego sobie co rusz do ust miodowe ciasteczka.

- Wybaczcie, co było dotychczas?

- Niewiele straciliście - grubas przeżuł i przełknął słodkości. - Krzyżowanie uważam zasadniczo za nudne - powiedział tonem znawcy, a ręka ze spizowym pierścieniem strzepnęła okruszki z tuniki. - Podpalacze nie byli najgorsi, ale teraz nadeszła kolej na pantery, to pewnie będzie się działo nieco więcej!

Skonsternowany Flawiusz spojrział na ogromny owal, z którego usuwano właśnie ostatnie ślady ognia. Niewolnicy podbiegli następnie do ciężkiej kłapy w arenie i otworzyli ją, pochylając się nad szybem. Powoli niczym wynoszona czarodziejską ręką pojawiła się platforma, a na niej niewielki wózek z palem, do którego przywiązano skazańca.

- Tam, to on! - syn trącił ojca, wskazując na białe ciało zwisające w pętach. - Nienawidzę go, ale tego nie chciałbym oglądać! Myślałem, że zostanie ścięty!

Primus wzruszył ramionami.

- Zapytaj cesarza. Nie znam się na tym.

Młody człowiek patrzył w dół, gdzie obsługa areny odtran-sportowywała właśnie więźnia. Zaraz też ruszyli z powrotem do szybu, skąd wyrastała głowa następnego złooczyńcy. Gdy wreszcie obok siebie znalazło się pięć ruchomych podstaw, niewolnicy pobiegli do ocembrowania areny, zatrzaszkując za sobą niewielkie drzwi. Posypana piaskiem płaszczyzna rozciągała się spowita ciszą, zupełnie bez życia, aż wreszcie na skraju, z zapadni wysunęło się coś ciemnego.

- Pantera! - to słowo zebrani podawali sobie z ust do ust.

Niektórzy z widzów powstali, żeby lepiej widzieć, lecz zaraz siedzący za nimi pociągnęli ich na miejsca. Wynurzył się jeszcze jeden drapieжник i wkrótce pięć czarnych kształtów spacerowało bez celu w jednym zakątku areny. Nagle jedna z panter odkryła mężczyzn na palach, przysiadła, przez chwilę poruszał się jedynie czubek ogona i nagle długimi skokami ruszyła ku ofierze. Mężczyzna wrzasnął, gdy wózek zachwiał się od siły uderzenia, ale już drugi kot dopadł nieszczęśnika. Pał runął, jeszcze jedna pantera skoczyła na złane krwią ciało, a potem rozlegał się jedynie warkot bestii walczących ze sobą o najlepsze kąski.

Na twarzy Flawiusza odmalowała się mieszanka odrazy i złości. Sąsiad przyglądał mu się z dezaprobatą już z następnym ciastkiem w ręku.

- Niezadowolony? Trochę cierpliwości, dzisiaj mamy szczęście - jego głos nabrął tonu poufałości. - Kiedy już się nasycą, zaczną się bawić i poświęcą reszcie trochę więcej czasu!

Pozostałe dwie pantery rozszarpały właśnie korpus skazańca wiszącego obok Avitusa.

- To mi wystarczy - Flawiusz trącił ojca. - Idziemy. Zasłużył na karę, ale nie taką.

Primus spojrział na syna i uniósł się z miejsca.

- Chętnie. Przyszedłem tu ze względu na ciebie.

Młody człowiek jak odurzony ruszył ku następnemu vomitorium. Wszędzie widział twarze zapatrzone gorączkowo w arenę. Tylko posągi w swoich niszach, w murze pomiędzy rzędami i kiepskimi miejscami w górze widowni miały na oczach czarne przepaski. Im chciano oszczędzić krwawego widowiska tak bardzo pożądanego przez ludzi.

Flawiusz z niesmakiem pokręcił głową, przeszedł dalej, dotarł do wyjścia, a gdy wszedł pod ciemny łuk, posłyszał poszum tłu-

mu narastający do histerycznego wrzasku. Fala entuzjastycznego aplauzu poniosła go przez korytarze, potem w dół schodów i wreszcie poza amfiteatr.

W połowie grudnia ukończono prace budowlane. Primusowi spadł wreszcie kamień z serca i po raz pierwszy od półtora roku mógł spokojnie spać: gotowa świątynia boga Słońca wznosiła ku niebu swoje krużganki. Dwudziestego piątego grudnia Aurelian polecił ją poświęcić złożeniem ofiary z byków, rozkazując, aby na wewnętrznych ścianach zawieszono wszelkie łupy ze świątyni Baala w Palmirze. Z całego Rzymu napłynęły tłumy, podziwiając złote i wysadzone szlachetnymi kamieniami szaty świątynne, kolorowe smoki z tkanin służące na Wschodzie za sztandary oraz spiczaste tiary zdobiące niegdyś głowy palmirskich kapłanów.

Dwudziestego siódmego lutego następnego roku przed domem z kolumnami z zielonego granitu na dachu stała starsza kobieta, a za nią tragarz z krzesłem do porodu. Uderzyła spiżową kołatką, a gdy jej otwarto, oboje ruszyli spiesznie w głąb domu. Ponieważ Ulixes nie pozostawił testamentu, jego majątek jako senatora przypadł cesarzowi - poza skrzynią z osobistymi rzeczami, którą otrzymał Flawiusz wraz z prawem zamieszkania w willi. Wkrótce Aqmat poczuła ból, a po zachodzie słońca położna włożyła w ręce młodego urzędnika małe, ubrudzone krwią zawiniątko. Nieco bezradnie przyglądał się swojemu synowi, lecz gdy niemowlę poruszyło drobnymi rączkami i zaczęło płakać, załała go fala takiego szczęścia, że nie mógł opanować własnych łez. Zaraz też przykląkł przy łożu Aqmat i przyłożył dziecko do jej piersi. Po dłuższym namyśle postanowili nadać synowi imię Aleksander.

Tego samego dnia w Naissus Helena, dziewczka z szynku, wydała na świat potomka o imieniu Flawiusz Waleriusz Konstantyn. Nic nie wskazywało na to, że przetrie on drogi Aleksandra i przemieni rzymski świat bardziej niż wszyscy cesarze od Augusta.

Flawiusz już nigdy nie spotkał Aureliana. W połowie maja posłaniec wezwał go do domu Konstancjusza Kalpurniusza Beryllu-sa, teraz kierującego kancelarią cesarską. Gdy rozmowa zeszła na osobę Ulixesa, wyzwoleniec objął go ze współczuciem, a następnie przekazał niewielki dokument - nominację na curatora w Augusta Treverorum. Flawiusza opanował smutek, nie umiał się szczerze cieszyć, zwłaszcza że Konstancjusz wspomniał, iż cesarz postanowił zrezygnować z odzyskania Ziem Dziesięcinnych. Zamiast tego zezwolono germańskim sprzymierzonym na osiedlenie się po rzymskiej stronie opuszczonej limes.

- Sprawozdanie Aquili było dla nas wielką pomocą przy podejmowaniu tej ciężkiej decyzji - westchnął dostojnik. - Ale musimy poświęcić nawet Dację wraz z kopalniami złota, żeby ocalić resztę Imperium.

Flawiusz przytaknął w milczeniu. Rozumiał powody, lecz tym samym utracił ostatnią nadzieję na to, aby kiedykolwiek odzyskać skarb ukryty w Lopodunum. Gdy jednak potem zobaczył w domu Aqmat, gdy opowiedział jej o swoim awansie, gdy wziął w ramiona swojego syna, wypełniły go radość i duma. Na długiej drodze osiągnął nieporównanie więcej, niż gdyby wrócił do domu ze spizami świątynnymi w bagażu. Teraz zaś z niecierpliwością wyczekiwał spotkania z Juliuszem i Druzyllą.

W połowie lipca, gdy Flawiusz zakończył przygotowania w Rzymie, a Aqmat stwierdziła, że mały Aleksander znieś już trudy podróży, wyruszyli w drogę. Towarzyszyli im Primus, a także Olus,

który w ostatniej minucie zdecydował się porzucić swoje gary, aby zademonstrować treweryjskim mieszczuchom, jak się przygotowuje korzenne sosy i inne smakowitości.

Młody curator miał prawo korzystania z *cursus publicus*, powozów poczty państwowej, więc przez dwa miesiące pokonywali czterokołowym pojazdem długie, często trudne do przebycia drogi, aż wreszcie dotarli nad Mozelę. W ostatnich dniach towarzyszył im tuzin pancernych jeźdźców. Flawiusz zażądał eskorty od komendanta jednego z kaszteli w głębi kraju, gdyż w okolicach grasowały hordy płądrujących Franków. Raz po raz widzieli wystające z gruzów poczerniałe belki spalonych domów. Wylęknieni uciekinierzy prosili, aby wolno im było podróżować pod ochroną żołnierzy do miast, gdzie mogą znaleźć schronienie.

Ostatniego dnia podróży mijali winnicę, w której opuszczone plony zwisały samotnie na słońcu. Curator kazał zatrzymać powóz, wyskoczył zeń i ruszył ku winorośli. Świergoczące szpaki zerwały się do lotu niczym płatki sadzy, gdy sięgał po aksamitnozielone grona i wkładał je sobie do ust. Były tak dojrzałe i słodkie, że ze skrytki w cholewie buta wyciągnął rozkładany nóż z podobizną małpy, który znalazł w spuściznie po Ulixesie, i odciął jedną z kiści dla Aqmat. Wracając do carrucy dostrzegł, że dowodzący jeźdźcami podoficer wpatruje się w coś.

- Co się dzieje, *optio*?

Jeździec obrzucił spojrzeniem młodego Rzymianina, a jego wyciągnięta ręka, wokół której wiły się wytatuowane węże, wskazała na drogę przed nimi.

- Tam, panie, dym.

Teraz i Flawiusz dostrzegł wielki, szarobury obłok wznoszący się ku niebu zza wzgórza.

- Co to takiego? Pożar lasu?

Żołnierz potrząsnął głową.

- Nie wydaje mi się. Tam nie ma już puszczy.
- A co tam jest? - krzyknął Flawiusz, choć domyślał się, jaką usłyszy odpowiedź.
- Augusta Treverorum!

Dalsze losy bohaterów zostały przedstawione w powieści pt. *Cena purpury*

TABLICA CHRONOLOGICZNA

- 222-235 Aleksander Sewer cesarzem
- 224 Ardaszir zakłada w Persji dynastię Sasanidów
- 235-238 Maksymin I Trak cesarzem (skutkiem morderstwa na A. Sewerze koło Moguncji)
- 238 upadek rebelii Gordianów w Afryce, obalenie Maksymina
- 238-244 Gordian III cesarzem
- 244-272 Sasanid Szapur królem Persji
- 244-249 Filip Arab cesarzem (skutkiem morderstwa na Gordianie), zawiera pokój z Persją, uroczystości 1000-lecia Rzymu (248 r.)
- 249-251 Trajan Decjusz cesarzem, zaraza w Cesarstwie, prześladowanie chrześcijan, Decjusz naciera na Gotów
- 251-253 Trebonian Gallus cesarzem, zawiera pokój z Gotami, zamordowany przez własnych żołnierzy
- 253 Emilian cesarzem, zamordowany przez własnych żołnierzy
- 253-260* Walerian cesarzem, mianuje współrządcą swojego syna Galiena
- 256-258 Szapur rujnuje Dura Europos, Walerian wyrusza z armią na wschód, zaraza, prześladowania chrześcijan
- 253-268 Galien cesarzem, w 259 r. mianuje współrządcą swojego syna Salonina
- 259/260* Galien ściąga wojska z granicy (limes), aby stłumić powstanie Ingenuusa w Panonii; Germanie przekraczają limes, Salonin zamordowany w Kolonii, Postumus zakłada cesarstwo galijskie, Walerian skutkiem zdrady dostaje się pod Edesą do niewoli Szapura, Galien kładzie kres prześladowaniom chrześcijan, Odenatus z Palmiry przepędza Szapura

- 267 Odenatus zamordowany, Zenobia królową
- 268* Postumus zamordowany przez własnych żołnierzy, uzurpatorzy Laelian w Moguncji i Mariusz w Kolonii zamordowani, Wiktoryn cesarzem galijskim w Trewirze (do 270 r.), Galien zamordowany przez własnych żołnierzy
- 268-270 Klaudiusz Gocki cesarzem, pokonuje Gotów, umiera w czasie epidemii dżumy
- 270 jego brat Kwintyllus cesarzem, popełnia samobójstwo
- 270—274* Tetrykus cesarzem galijskim w Trewirze
- 270-272 Zenobia podporządkowuje sobie rzymskie prowincje w Małej Azji, Syrię i Egipt
- 270-275 Aurelian cesarzem, pokonuje Germanów, obwarowuje Rzym murami, oswobadza Dację (Rumunia), pokonuje Zenobię i Tetrykusa, świętuje tryumf
- 275* narodziny Konstantyna

* data lub wydarzenie sporne

SŁOWNICZEK

| | |
|--------------------------|---|
| Aureus | złota rzymska moneta (ok. 6,5 g) = 25 denarów |
| Authepsa | rzymski samowar syryjskie |
| Baal, Bel | bóstwo płodności bandy |
| Bagaudowie | galijskich wieśniaków |
| Beneficiarieres | rzymska policja drogowa |
| Caldarium | gorąca część term |
| Cardo maximus | główna ulica miasta na osi północ-południe |
| Caupo | właściciel gospody setnik legionu |
| Centurio | przewoźnik przez Styks (mit. gr.) |
| Charon | główny ciąg kanalizacyjny Rzymu |
| Cloaca maxima | wędrowny handlarz nadzorujący |
| Coeparius | finanse miejskie poczta państwowa |
| Curator | śmierć na arenie w zębach dzikich zwierząt |
| Cursus publicus | główna ulica miasta na osi wschód-zachód |
| Dammatio ad bestias | srebrna moneta rzymska jednostka miary, |
| Decumanus maximus | ok. 3,5 g jeden z dwóch burmistrzów, |
| Denar | burmistrzowie biskup |
| Drachma | syn greckiego boga słońca dzisiejsze |
| Duunwir, l.mn. duoviri | Koloseum część term z basenami z |
| Episcopus | zimną wodą agent cesarski w III w. po |
| Faeton | Chrystusie korzenny sos rybny |
| (Flawiuszów) amfiteatr | |
| Frigidarium | |
| Frumentarius/frumentarii | |
| Garum | |

| | |
|------------------------|---|
| Glaesum | bursztyn |
| Hades | królestwo zmarłych |
| Herulowie | szczep germański |
| Honestior | członek rzymskiej elity |
| Hypocaustum | ogrzewanie podłogowe |
| Leo | „lew”, czwarty stopień w kulcie Mitry |
| Leuga | galijska miara odległości (2,2 km) |
| Liburna | lekki rzymski okręt wojenny |
| Magusz | perski kapłan (stąd - magik) |
| Mansio | gospoda państwowa |
| Miles | „żołnierz”, trzeci stopień w kulcie Mitry |
| Milia passuum | 1000 kroków = 1,48 km (stąd - mila) |
| Modius | jednostka miary, ok. 9 kg |
| Museion | miejsce poświęcone muzom, służące nauczaniu |
| Nymphaeum | zabudowania świątynne z basenami |
| Obolus | drobna moneta grecka |
| Optio | zastępca centuriona |
| Ozyrys | grecki bóg |
| Pandocheion | greckie „dla wszystkich” (stąd arabskie „funduk”) |
| Pairi Daeza | perskie „otoczone murami” |
| Parsanga | perska jednostka odległości = 6 km |
| Popina | gospoda |
| Posca | napój odświeżający na bazie octu |
| Praefurnium | otwór służący do rozpalania w ogrzewaniu podłogowym |
| Priapos | bóg płodności z członkiem w stanie erekcji |
| Retiarlus | gladiator walczący za pomocą sieci |
| Rzymska stopa | ok. 30 cm |
| Secutor | gladiator uzbrojony w miecz i tarczę |
| Sextarius | ok. 0,55 l |
| Styks | rzeka na granicy królestwa zmarłych |
| Swebowie (Swewowie) | szczep germański (stąd: Szwabowie) |
| Tabularium | archiwum państwowe w Rzymie |
| Tiara | nakrycie głowy wysokich dostojników perskich |

| | |
|-----------------|--|
| Tepidarium | letnia część term |
| Terra sigillata | nazwa nowoczesnej, czerwonej, często ozdobnej ce ramiki |
| Triclinium | łóża do ucztowania ustawione w podkowę |
| Valetudinarium | szpital wojskowy |
| Vir clarissimus | zwrot pod adresem senatora (tytuł) |
| Vomitorium | wyjście z teatru |

MIASTA I KRAINY

| | |
|----------------------------|--|
| Ad Quintam Lapidam | Quint (koło Trewiru) |
| Aelia Capitolina | Jerozolima |
| Aleksandria | tu: miasto w Egipcie |
| Ankyra | Ankara (Turcja) |
| Antiochia | tu: Antakya (Turcja) |
| Antunnacum | Andernach |
| Aquincum | Budapeszt (Węgry) |
| Arae Flaviae | Rottweil |
| Arelate | Arles (Francja) |
| Argentorate | Strassburg (Francja) |
| Aspendos | ruiny koło Antalyi (Turcja) |
| Augusta Raurica | August (koło Bazylei, Szwajcaria) |
| Augusta Treverorum | Trewir |
| Augusta Vindelicum | Augsburg |
| Augustodunum | Autun (Francja) |
| Aventicum | Avenches (Szwajcaria) |
| Babylon | Babilon (Irak) |
| Basilia | Bazylea (Szwajcaria) |
| Berenike | port nad Morzem Czerwonym (Egipt) |
| Berytos | Bejrut (Liban) |
| Bicastrum (nazwa fikcyjna) | Osterburken |
| Borbetomagus | Worms |
| Brigobanne | Huefingen |
| Byblos | Dschubail (Liban) |
| Byzantium | Istambuł (Turcja) |
| Carnuntum | ruiny koło Deutsch-Altenburg (Austria) |

| | |
|-----------------------------------|---|
| Castra Regina | Regensburg |
| Caesarea | tu: ruiny koło Hajfy (Izrael) |
| Charax, Pharat | starożytne miasta koło Basry (Irak) |
| Clysma | Suez (Egipt) |
| Colonia Claudia Ara Agrippinensis | Kolonia |
| Dacja | dzisiejsza Rumunia |
| (Aegri) Decumates | obecnie Badenia-Wirtembergia |
| Dura Europos | starożytne miasto nad Eufratem (Syria) |
| Edessa | Urfa (Turcja) |
| Emesa | Homs (Syria) |
| Ephesos | Selcuk/Efez (Turcja) |
| Grinario | Koengen |
| Gundeszapur | starożytne miasto (zachodni Iran) |
| Heliopolis | tu: Baalbek (Liban) |
| Ktezyphon | starożytna stolica (Irak) |
| Legio | Leon (północna Hiszpania) |
| Lopodunum | Ladenburg |
| Lugdunum | Lyon (Francja) |
| Lukania | region w Italii |
| Massila | Marsylia (Francja) |
| Mogontiacum | Mainz |
| Misenum | port wojenny koło Neapolu (Włochy) |
| Muziris | Pattanam (południowo-zachodnie Indie) |
| Myos Hormos | port koło Hurghady (Egipt) |
| Naissus | Nisz (Serbia) |
| Neapolis | tu: Neapol (Włochy) |
| Nehardea | miejsowość w Mezopotamii (Irak) |
| Palmyra | Tadmor (Syria) |
| Panonia | dzisiejsze Węgry |
| Pergamon | Bergama (Turcja) |
| Fenicja | wybrzeże syryjsko-libijskie |
| Pietas Julia | Pula (Chorwacja) |
| Placentia | Piacenza (Włochy) |

| | |
|--------------------|---|
| Podouke | Arikamedu k. Pondichery (południowo-wschodnie Indie) Pforzheim port koło Ostii Kuenzing |
| Portus (rodz. 5) | dzisiejsza Bawaria Bandar-e Buschir (Iran) Sart |
| Portus (rodz. 7) | (Turcja) Cieśnina Gibraltarska tu: miasto |
| (Castra) Cjuintana | antyczne w Mezopotamii (Irak) Rottenburg |
| Recja | Rheinzabern Cejlon |
| Riv - Ardaszir | Zurzach (Szwajcaria) Dougga |
| Sardes | (Tunezja) El Djem (Tunezja) dzielnica |
| Słupy Herkulesa | Rzymu Trastevere miasto starożytne |
| Seleucja | koło Nigde (Turcja) Bischapur (Iran) |
| Sumelocenna | Oehringen |
| Tabernae Rhenanae | Chesterholm, wał Hadriana (Wielka Brytania) |
| Taprobane | Windisch (Szwajcaria) |
| Tenedo | |
| Thugga | |
| Thyrsus | |
| Transtiberim | |
| Tyana | |
| Veh-Szapur | |
| Vicus Aurelianus | |
| Vindolanda | |
| Vindonissa | |

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ 1

Burzowe chmury 5

ROZDZIAŁ 2

Noc orła 41

ROZDZIAŁ 3

Dziewczyna 67

ROZDZIAŁ 4 Miasto

nad Mozlą 109

ROZDZIAŁ 5 W

zasięgu ręki 131

ROZDZIAŁ 6 Na

ziemi niczyjej 159

ROZDZIAŁ 7 Wszystkie drogi

prowadzą do Rzymu 221

ROZDZIAŁ 8

Królowa pustyni 291

ROZDZIAŁ 9 Królestwo

zbrojnych jeźdźców 355

ROZDZIAŁ 10

Niezwyciężone słońce

425

Tablica chronologiczna

473

Słowniczek 475

Miasta i krainy 478